

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Janina Wieczerska**

**DZIECI  
Z  
BLOKOWISKA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# SKOBLOWA DOLA

## I. Czarny dzień

„Czego oni się tak guzdrzą? Szkoda dnia!” – myślał Darek, patrząc na pustą uliczkę. Pierwszy dzień wakacji, pogoda po ostatnich deszczach wreszcie się odmieniła, piłka odglan-cowana

Opuścił firankę, wziął piłkę do ręki, przejechał jeszcze raz po szwach skórką od słoniny, po czym zaczął wcierać tłuszcz starą skarpetką, nie żeby to było potrzebne, ale żeby coś robić.

„Nie wyjdę im naprzeciw, jeszcze czego” – powstrzymał chęć opuszczenia posterunku przy oknie – „By se za dużo nie myśleli”.

Jak ma się coś, czego inni zazdroszczą, to się trzeba trzymać ostro. Ja tu pan, ja rządę. Olek-Cholek (Cholewiński) ma na przykład prawdziwy murzyński łuk i jeszcze na dodatek umie z niego strzelać najlepiej ze wszystkich i co? Cep głupi, łasi się na przerwach do tego i owego: „Pójdiesz ze mną do lasu postrzelać?” Godzą się jak z łaski, choć aż piszczą z ochoty, a potem wszyscy strzelają, tylko nie Olek-Cholek. A jak Jureczek-Aniołeczek zaczął pruć do dziecięcia, to Olek zamiast strzelić w mordę, błagał i prawie beczał, co tylko Jureczka hecowało. Przestał dopiero, kiedy trzecia i ostatnia strzała została na sośnie.

„Nie ze mną takie numery” – dodał sobie ważności Darek. Ważność ważnością, ale nuda nudą. Na budziku dochodziła dziesiąta, jak odjąć dwadzieścia minut na spieszenie to właściwie jakby było trochę po dziewiątej. No tak, oni wszyscy albo jedzą śniadanie, albo nawet leżą w betach. Trzeba było się umówić na godzinę, punkt dziewiąta trzydzieści jesteście, a jak nie, to figa...

Chociaż właściwie, gdyby mógł, też by jeszcze spał. Ale nie mógł, bo ojcowej ni z tego ni z owego zachciało się robić pranie i tłukła się po kuchni od świtu, rozpalala w westfalice, trza-skała wiadrem przy zlewie, a jak wyprawiła ojca do roboty, włączyła pralkę. Darek na swojej kozetce przy kredensie zatykał uszy, jak mógł, nic nie dało...

Podszedł do pieca, wrzucił zużytą do cna skórkę od słoniny do paleniska. Musiało tam być jeszcze trochę żaru, bo po chwili zasyczało i po kuchni poniósł się zapach topionego tłuszczu. Zapach wzbudził u Darka apetyt, pomyślał, że ta łycha kaszanki, co dostał od ojcowej na śniadanie, nie starczy mu do obiadu, ukroił sobie chleba, nawalił na kromki wszystek smalec, jaki mógł wskrobać z garnuszka, siadł przy stole i kiwając się z krzesłem, już znacznie obo-jętniej wyglądał na ulicę.

Pojawili się wreszcie, wszyscy pięciu. Przystanęli przed domem, jakby trochę zaskoczeni, że Darek na nich nie czeka na schodkach. Naradzali się, popychali... „Boją się ojcowej, hehe” – pomyślał Darek, dojadając drugą kromkę. Ojcowa bezlitośnie i obelżywie pędziła od drzwi wszystkich jego koleśków; po prawdzie, gdyby gdzieś nie poleciała, Darek ani chybi siedziałby teraz na progu i czekał. No, ale nie musi.

Koledzy wypchnęli w stronę wejścia Waldka-Klipę. Słusznie, jest najwyższy, jego ojcowa (gdyby była) nie dzieliłaby ścierką, jak kiedyś chudzinę Pawła Mrocza.

– Wejść! – zawołał Darek w odpowiedzi na pukanie Waldka.

Waldek od drzwi najpierw obadał kuchnię i gdy się upewnił, że ojcowej nie ma, postąpił śmiało naprzód.

– Co, zaspaeś? – spytał Darka na dzień dobry.

Darek udał, że dopija herbatę z pustego kubka, i dopiero potem powiedział:

– Są wakacje, co – nie? Zresztą już możemy iść.

Wziął piłkę pod pachę, w drugą rękę klucz na tasie. W sieni dał piłkę do potrzymania Waldkowi, by w spokoju zamknąć mieszkanie i zawiesić klucz na szyi. To był błąd. Bo nim wpuścił klucz za koszulę, Waldek już był na ulicy i kopnął piłkę do Mrocza, Mroczek do Jacka, Jacek do tyłu, znowu do Waldka...

– Nie tu, głupole – krzyknął do kolegów, biegnąc całą parą. – Dawać piłkę!

– Zaraz – odkrzyknął któryś, Darek do śmierci nie będzie wiedział kto, bo piłka najpierw przeleciała szcurem od Waldka do czyjejś nogi, a potem niewysokim łukiem w sam środek właśnie odsłoniętej szyby kiosku owocowego na wprost wylotu uliczki.

– I po ptokach! – usłyszał Darek za plecami.

Nie sprawdzał, kto to powiedział, tylko błyskawicznie ruszył w stronę kiosku, ratować piłkę, póki kioskier nie postawi na ziemi okiennicy.

Drugi błąd. Kioskier słysząc brzęk szkła prawie rzucił okiennicę i odwrócił się w stronę Darka. „Taki grubas, a taki szybki” – zdążył się jeszcze zdziwić Darek, nim kioskier chwycił go za koszulę.

– To nie ja! – powiedział uprzedzając ryk kioskierza. – Naprawdę! Ja nie chciałem...

– Jakbyś chciał, to bym cię na milicję oddał – ryknął kioskier, ale dość umiarkowanie. – A, że niechcący, to tylko sprzątniesz szkło i zapłacisz za szybę.

Darek nie zapytał: ile? Nie ma głupich! Teraz kioskier jest wściekły, zażąda Bóg wie czego. Trzeba odczekać, aż się wygotuje.

Posłusznie i gorliwie zaczął wyjmować resztki szkła z ramy, licząc, że tym ułagodzi kioskierza. Grubas przypatrywał mu się chwilę:

– Ty jesteś Banaszak, stamtąd – wskazał na ceglasty szeregowiec, i to dokładnie na Darkowe drzwi.

„Dół! Nie wykręcę się” – pomyślał Darek i potwierdził, bo co miał robić.

– Z tej meliny, no, no – pokiwał głową kioskier i wszedł do budki. Po chwili ryknął, już wcale nie umiarkowanie, na cały regulator: – Cholera na tych gnojów! W truskawki poszła! W pierwszy wybór!

„Poszła” – oczywiście piłka. Gdyby nie ona, Darek by zwiął. Niechby kioskier próbował go potem łapać, o, tyle by złapał. Ale piłkę musi odzyskać, choćby nie wiem co. Przeżegnał się i wszedł do kiosku.

Połowa budy była ciemna, za to do drugiej połowy, na wprost wybitej szyby, światła wpadało aż za dużo. W wesołym, złotym słońcu skrzyły się odłamki szkła, błyszczały rubinowe sok wyciekający niespiesznie z pojemnika z „pierwszym wyborem”.

– A w sałacie szkło – pomstował kioskier. – Ładnie mi się dzień zaczął!

– Ja wytrzępię szkło z sałaty – ofiarował się szybko Darek, omiatając wzrokiem wnętrze w poszukiwaniu piłki. Jest, w samym kącie, za skrzynkami. Jakby ją teraz nieznacznie wydstać?

– Spróbujmy, ale nie tu – zgodził się kioskier. – Wynieś skrzynkę na dwór.

Posłuchał, z wielkiej gorliwości zabrał też gazetę, rozłożył na ziemi, ostrożnie zebrał większe odłamki, a potem główka po główce potrzasał sałatą nad gazetą. Kioskier ratował tymczasem „pierwszy wybór”, rzucając pogniecione truskawki na tę samą gazetę, co Darek szkło. Takie ładne truskawki! Musi być otumaniały ze złości, bo przecież każdy widzi, że dałoby się je zjeść.

Darek mimo woli przełknął ślinę, podniósł głowę znad sałaty i zobaczył Waldka-Klipę, jak się czai za kubłami na sąsiednim podwórku. Dał mu znak, żeby czekał. Może uda się niepodpadająco wy dostać piłkę, szurnąć nią za kiosk, Waldek zabezpieczy.

Uporawszy się z sałatą, zaczął pomagać kioskarzowi przy truskawkach, co już nie trwało długo – po pierwsze, piłka nie czołg, na miążgę nie zgniecie, po drugie-musiała paść pod niegroźnym kątem, po trzecie – kioskarzowi się znudziło przebieranie, przesywał towar do innego pojemnika, tak, że na wierzchu znalazły się truskawki zdrowe i całe. Postawił je tuż przy wadze:

– Pójdą na pierwszy hip, mniej stracę – powiedział do Darka prawie jak do współnika, ale połapał się zaraz, że zmylił ton, więc huknął: – No, a ty hulaj po pieniądzu. Pięćset złotych, ale już!

– Ja nie zbiłem – zaczął Darek.

– To łap tego, co zbił. No, na co czekasz? – dodał kioskarz, widząc, że Darek wciąż stoi.

– Na piłkę. Jest w kiosku – Darek zrobił krok w stronę drzwi.

– I będzie! – zatriumfował kioskarz zastępując mu drogę. – Mądrała!

Dałbym ci piłkę, to tyle bym cię widział. Zostanie za fant, aż nie zapłacisz.

– Z czego? To jest wszystko, co mam – Darek wyciągnął z kieszeni 50 zł. – Dostałem wczoraj za świadectwo. Niech pan zabierze.

– Wypchaj się! Za pięć dych to i szyby do klopa nie wstawię.

– Skąd wezmę więcej?

– Co mnie to obchodzi! Niech się kolesie złożą. Zresztą, co ci będę radził. Sam sobie poradź. Trzeba się uczyć. Takie jest życie.

„Ty cholerny grubasie” – pomyślał Darek. – „Kazania mi będziesz zasuwał, zdzierco. Co dla ciebie pięć stów”.

Kioskarz przestał na niego zwracać uwagę, wziął skrzynkę z sałatą, wniósł do środka, wyszedł, zaczął zdejmować drugą okiennicę.

– Czego jeszcze stoisz? – huknął znowu. – Spływaj. Aha, i wrzuc ten chlew do kubła – wskazał na gazetę ze szkłem i truskawkami.

Darek zebrał „chlew” i chcąc nie chcąc poszedł, gdzie mu kazano. Waldek-Klipa przestał się kryć, podszedł do Darka.

– No i co, i co?

– Słyszałeś chyba? Chce pięć stów, inaczej nie wyda piłki. Musimy się złożyć.

– My? Niby czemu? – postawił się od razu Waldek. – To nie ja strzeliłem w szybę.

– Ale ty puściłeś piłkę w ruch. Jakby nie ty, nic by nie było. I ty poleciałeś w tę stronę, zamiast tam, gdzie zawsze.

– Nie ja, tylko Jacek – zatriumfował Waldek. – Bo internat już wyjechał i można grać na ich boisku. Tak mówił. Jacek, znaczy się.

– Przestań zalewać, dawaj swoją część. Waldek uderzył w ton bezradnie – serdeczny:

– Chłopie, ja bym ci i całość dał, jakbym miał. Ale starzy teraz kutwią, gronia mi do łapy nie dają.

– Nawet za świadectwo?

– Za świadectwo mi dali koszulę. Chytrusy, i tak by musieli kupić... „Kłamie, skurczybyk. Żal mu forsy. I jemu nie zależy na piłce” – podsumował Darek. Słusznie, jak się zaraz okazało: – Stary, nie przejmuj się, niech grubas trzyma piłkę, aż mu się nie znudzi. Nie zeżre jej, kiedyś ci odda.

– Odda albo nie odda.

– Tylko nie wychodzić z nerw. Nasypali piasku, chodź na łąkę, pogramy w klipę.

– Mam twoją klipę w...

– Przepraszam się jeszcze, kapitanie bez piłki – nadał się Waldek i poszedł.

Darek nie musiał długo główkować, żeby sobie poukładać, co Waldek kombinuje. Chce rządzić i zrobić z Darkowych piłkarzy swoich klipiarzy. Świrus jeden, hysia dostał z tą klipą, nikt w to od stu lat nie chce grać, śmieją się z niego, przezywają, a on nic, nawraca do tego, jak szczur do śmieci.

Wzdrygnął się, dotarto do niego, że stoi wśród kubłów, poczuł ich smród. Jeszcze by trzeba, żeby nadział się na prawdziwego szczura...

Ruszył niemrawo w stronę domu. Może pod serwetką będzie chociaż stowa. Zwinie zaraz, a potem jakoś się wytłumaczy ojcu...

– Żebyś przed wieczorem był z pieniędzmi! – dźgnął go w plecy krzyk kioskarza.

– A gówno – mruknął, nie odwracając się. – Co mi zrobi? Waldek ma rację. Niech sobie trzyma piłkę.

W domu nie znalazł złamanego grosza, grosze pod serwetką to były za mamy, nie za tej... ojcowej. Wiedząc, że naraża się na jej pyskowanie, włożył do siatki cztery puste półlitrowki, zawsze to coś. Postanowił iść do punktu skupu okrężną drogą, może na budowie albo na składowisku płyt jeszcze jakąś butelczynę znajdzie.

Znalazł nawet parę, co z tego, kiedy w punkcie skupu był remanent. Wracając, natknął się na Jacka i Pawła, szli weseli, liżąc lody, ale na jego żądanie, żeby się przyłożyli do wykupienia piłki, powiedzieli mniej więcej to samo, co Waldek: że nie mają, że rodzice nie dadzą, Jackowi – bo się splukali do czysta, dopłacając do kolonii, Pawłowi, bo coś też tam, nawet nie słuchał dobrze co, bo już wiedział, że zwyczajnie żal im własnej forsy, a starym boją się powiedzieć. I jadą na kolonie, to co im tam piłka. Nawtykał im więc, że są wredne gnoje i jeszcze go popamiętają. Głupio zrobił, bo czym prędzej się obrazili, a jemu nawtykanie wcale nie ulżyło.

Dotarł do Zielonej zmęczony, z pustką w głowie. Przy budce owocarza krzątał się pan Wacek z ROM-u – wstawiał szybę. Pana Wacka Darek nienawidził dziedzicznie – to przez niego nie mieli drugiego pokoju i przez niego ojciec wyleciał z ROM-u. Udał więc, że go nie widzi i zmusił się, żeby iść szybciej. Ale Wacek i tak go zobaczył i zawołał:

– Przyciśnij ojca o te pięć stów. To mniej niż pół litra!

Cham przeklęty, pewnie już zdążył obsmarować ojca przed kioskarzem. A pół litra to on przedtem niejednego ze starym rozpił. Darek nie odpowiedział, nie odwrócił głowy, trochę się wyprostował i szedł, patrząc „obojętnie” przed siebie.

Ulicę z prawej strony krył krótki cień, lewa w pełnym słońcu wyglądała nawet miło – czerwone cegły i zielone drzwi, otwarte na zewnątrz staromodne okna, wygładzone kamienne schodki, na których tu wygrzewał się kot, tam siedziała dziewczynka z lalką... Niedawne deszcze obmyły chodniki i bruk, kamienie pobłyskiwały, a zapach rozgrzanej smoły na dachach był tak czy owak przyjemniejszy, niż beton w nowych blokach.

„Mój Boże” – rozżalił się Darek. – „To jest moja ulica, tu się urodziłem i tu nie ma nikogo, kto chciałby mi pomóc”.

W domu zastał ojcową, nakrapiała poranne pranie, które tymczasem już wyschło i napełniało kuchnię świeżym, czystym zapachem, tak że prawie nie czuło się mydlin i wilgoci.

Ojcowa jakby się ucieszyła, że widzi Darka:

– Dobrze, że jesteś, poskładamy razem bieliznę. Tylko ręce umyj, żebyś nie zabrudził.

Darek wykorzystał moment, kiedy odwróciła się do stołu, by dalej kropić, i postawił cicho torbę z butelkami koło kredensu, a potem głośno już podszedł do zlewu i splukał ręce.

Kiedy naciągnęli i złożyli pierwszy obrus, ojcowa rozgadała się:

– Przylazł dziś na podwórko ten Wacek, zaraza. Akurat przyszedłam zobaczyć, czy pranie wyschło, i pytam się, kiedy wreszcie zabierze te klamoty z magazynu, bo my już od pięciu lat mamy go obiecany na drugi pokój.

„Jacy my?” – zjeżył się w środku Darek. – „Mama miała obiecane, nie ty. Ty wszystko popsułaś i wciąż psujesz”.

– To wiesz, co mi na to odpowiedział? Że na melinę nie przysługuje dodatkowy metraż! To ja mu na to, że na magazyn kradzionych materiałów jeszcze mniej. To on...

Ojcowa urwała, widąc pan Wacek powiedział coś nie dla uszu Darka. Wyglądziła złożony obrus, wzięła następny i zaczęła starą śpiewkę o tym, że wszyscy tu mają po dwa pokoje, tylko Józek (ojciec) dał się wpakować w klitki po sklepiku i że trzeba było od samego początku się postawić...

Darek znał to na pamięć: że jeszcze po wojnie przez parę lat był tu sklep kolonialny, kupiec miał u góry mieszkanie, a tu tylko magazyn (drzwi do niego pozostały do dziś, znad kredensu widać ich futrynę) i pokoik przy sklepie, no i sam sklep, gdzie teraz jest kuchnia. Opowiadała o tym matka i ojciec nieraz, tylko że ojciec się chwalił, jak to wynalazł ten opuszczony sklepiak i jak go, nie pytając nikogo, przerobił „elegancko” na mieszkanie. Przed wszystkimi się chwalił, a najwięcej przed ciotką Paulą.

Na wspomnienie ciotki Pauli serce mu się ścisnęło. Piłkę, tę co teraz w niewoli u kioskarza, dostał przecież od niej, po pogrzebie matki. Ciotka Paula chciała go wtedy zabrać do siebie, do Pucka, ale ojciec się nie zgodził, Darek zresztą też wolał zostać z ojcem. „Co, my dwa zuchy, damy sobie radę” – mówił ojciec, przygarniając go do siebie. Coś jeszcze musiał potem powiedzieć ciotce, jak Darek wyszedł na podwórko wypróbować piłkę. Na pewno coś głupiego, bo ciotka wyjechała obrażona i już nigdy się nie pokazała. Że też ojciec musi każdemu naubliżać...

– Co, mam rację czy nie? – usłyszał z bardzo bliska ojcową. – Trzymaj porządek! – to o obrusie, który właśnie składali.

Cofnął się o dwa kroki, żeby obrus się nasztremował i żeby dalej od ojcowej. Nie mógł znieść jej okrągłej, gładkiej twarzy, pozlepianych czarnych włosów, ale przede wszystkim nosa, który wysterczał wprost od czoła, jak dziób wrony. Co ojciec, co w ogóle chłopcy w niej widzą? Bo chłopcy ją lubią, zauważył to już dawno: „Pani Jadziu, pani Jadziuniu, na drugą nóżkę!” – zachęcali ją do wspólnego picia taty kumple, cholery na nich nie ma. Złazą się już od piątku wieczora, a potem sąsiedzi mówią, że tu melina. Inna rzecz, że jak już się mają złączyć, to Jadziunia sztafiruje się na glanc, wieczny zielony sweter idzie do kąta...

Dzisiaj znowu ma na sobie wieczny zielony sweter, chociaż na dworze na pewno koło dwudziestu stopni, jak nie więcej. To niedobrze – zdążył wymiarkować, że ojcową wciąga ten łach wtedy, kiedy nie ma głowy do strojenia się: kiedy coś kombinuje, albo kiedy w domu jest jakiś dół. Dół może być różny, awantura z sąsiadami, kłótnia z ojcem, ale najczęściej brak pieniędzy. O co idzie tym razem? Nie rozgryzie...

– Owiń to w magłownik – poleciała ojcową, składając ostatni obrus. Owiął, czemu nie, dziś wolał z nią dobrze. Zniknęła w bokówce, po chwili wyszła w żółtej bluzce (więc raczej kombinuje, bo jednak chce jakoś wyglądać).

– Idę do magła – powiedziała. – Na obiad jest żur z kielbasą, weź sobie, jak zgłodniejesz.

„Patrzcie, jaka dobra! Kurde, co ona kręci?” – myślał Darek po jej wyjściu. Zajrzał do garnka – faktycznie w burej zupie pływała kielbasa.

„Zjem, a potem na spokojnie przemyślę”.

Nie żałował sobie żuru i chleba, opchnął talerz i jeszcze pół, ale ani przy jedzeniu, ani po, nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Kolesie z ulicy odmówili pomocy, pozostali pewnie by zrobili to samo, zresztą oni są z bloków, nie wie, jak ich szukać. Mógłby liczyć na Grobelnych, sąsiadów z góry, to znaczy nie na wszystkich, gdzie tam, tylko na babcię Grobelną. Jak już nic innego, to chociaż o radę mógłby ją spytać, ale co – wczoraj po południu wyjechała z Tomkiem, wnukiem, na cały miesiąc do drugiego syna pod Kartuzy. Tomkowi to dobrze: ma ojca, matkę, babcię – i to jaką! – i jeszcze stryja nad jeziorem.



Zaraz, ale przecież ja też mam kogoś, i to nad morzem. Ciotkę Paulę! To co, że od pogrzebu się nie pokazuje. Ma rację, jak ją ojciec przepędził... Ale jemu, Darkowi, dała przecież piłkę, nową, kupioną, a nie przechodzoną po dorosłym synu. I na Darka komunię wprawdzie nie przyjechała, ale przysłała obrazek i aż tysiąc złotych. Przez babcię Grobelną, na jej adres, wołała żeby ktoś wiedział, żeby ojciec nie schował do kieszeni i nie przepuścił. Tak mówił, ojciec, znaczy się, kiedy Grobelna zeszła z tymi prezentami. I oczywiście znowu się obraził i nie chciał brać, i pomstował, aż Grobelna mu coś takiego po cichu powiedziała, że się zamknął, przyjął prezenty i nawet poprosił Grobelną, żeby za te tysiąc złotych coś dla Darka wybrała. Wybrała granatowy sweter, który po każdym praniu robił się większy i dzięki temu Darek do dziś może w nim chodzić do kościoła.

Tak, babcia Grobelna by mu teraz coś poradziła, ale jej nie ma, a młoda Grobelna to już nie to. Chociaż wtedy, kiedy matka umarła, była dla niego prawie tak dobra, jak stara. Ale, kiedy to było, cztery lata temu, jak kończył drugą klasę. Boże, jaki ja byłem wtedy głupi – przypomniał sobie. Do dziś nie wie, na co właściwie matka umarła, sąsiadki mówiły o tym ściszym głosem, z tajemniczymi minami. Więc jak go ktoś pyta, to mówi, że nagle i że na serce.

Że nagle, to prawda. Bawił się wtedy na chodniku, przy końcu ulicy, kiedy z wyciem minęła go „erka”. Potem starsza Grobelna przyszła po niego i pytała, gdzie można znaleźć ojca. Wiedział tylko tyle, że w Oliwie. Wobec tego w mieszkaniu zaroilo się od sąsiadek, przewracały po szufladach za adresem miejsca pracy ojca, pewnie w końcu znalazły, ale ojciec przyszedł do domu dopiero wieczorem, to jest, nie do domu, tylko do Grobelnych, bo zobaczył na drzwiach kartkę, że „Dareczek” jest u nich. Więc wszedł tam, na piętro, a Tomkowa mama spytała: „I co?” Odpowiedział: „Już po wszystkim”, Grobelny podał mu krzesło, babcia Grobelna chlipnęła głośno, powiedziała: „Taka dobra, sprawiedliwa kobieta”, podeszła do kredensu, wyjęła parę cukierków i dała Darkowi, i pogłaskała go, i powiedziała: „Biedny sierota. Matki mu nikt nie zastąpi”. Wtedy zrozumiał, o czym mowa, i rozryczał się.

Jaki ja byłem wtedy głupi – powtórzył raz jeszcze. Bo chociaż płakał, to cukierki zjadł, co mniejsza, ale gorzej, że cieszył się tymi cukierkami, i był ważny, że wołają go Dareczek, i że pani w klasie nie krzyczy na niego za kleksy i zapominalstwo, i że pojedzie zupełnie za darmo aż na dwie kolonie, ze szkoły i z taty pracy. Wydawało mu się, że choć w domu jest nie wszystko jak przedtem, i że w nocy bywa mu straszno samemu w dużym łóżku, to jednak wszyscy się nad nim litują i starają się o niego, że w gruncie rzeczy wychodzi na to samo.

Starsza Grobelna, jak go zobaczyła, jakoś tydzień po pogrzebie, ganiającego z głośnym śmiechem za piłką (tą od ciotki Pauli), po raz drugi nazwała go biednym sierotą, dodając tym razem, że „jeszcze nie rozumie co się stało, i co go czeka”.

Teraz już rozumie. Już od czwartej klasy rozumie. „Dareczkiem” przestali go nazywać po pół roku mniej więcej, pani pod koniec szkoły już nie miała tyle cierpliwości do kleksów i zapominalstwa i powiedziała, że właściwie nie powinna go puścić do następnej klasy, ale ze względu na sytuację rodzinną... I dwa razy na kolonie też mu się nie udało pojechać.

Choć i na tę jedną lepiej by było nie jechać, bo akurat wtedy, kiedy on „zdobywał góry” w Szklarskiej Porębie, w mieszkaniu nastąpiła Ojcowa. Wtedy jeszcze „pani Jadzia”. Jako „pani Jadzia” była słodka i gospodarna, a po wakacjach sąsiadki mówiły, że dzięki Bogu, ktoś się zajął tym Banaszakiem i jego biednym chłopcem. Tak sądziły i zajęły się swoimi sprawami. Tylko stara Grobelna powtarzała swoje, że, co matka to matka, i nikt jej nie zastąpi.

Co się sprawdziło od razu, kiedy „pani Jadzia” przestała tylko „zaglądać”, a sprowadziła się na dobre. Ojciec zawsze lubił popić, ale poza domem. W domu, choćby nie wiem jak doprawiony, był spokojny. Pani Jadzia jednak, jak już się poczuła mocno, ogłosiła, że najgorsze, jak chłop pije nie wiadomo gdzie i już lepiej, żeby w domu. No i zaczęły się wesołe popijawy (bo pani Jadzia sama była nie od tego), które ich pokłóciły z całym czworakiem i jeszcze sąsiedniami, i tak jakoś, na początku piątej klasy, Darek przestał być dla sąsiadek „biednym sie-

rotką”, a stał się jabłkiem ze złej jabłoni, takim, co to” jednak, proszę pani, trzeba uważać, bo choć dziecko niewinne, ale czym skorupka za młodu...”

Na szczęście Darek teraz nie był taki głupi, jak przedtem. Skapował, że na żadne ulgi nie może liczyć, nie chciał zimować w piątej klasie, więc z lekcjami się pilnował. Zresztą, dziwne to, ale dosyć lubił odrabiać lekcje. Pewnie dlatego, że polubił to jeszcze „za mamy”. Mama sprzątała dla niego połowę kuchennego stołu, w zimie nawet stawiała osobną lampę, sobie tak rozkładała robotę, że kiedy on brał się za zeszyt, ona – za szycie. Ojcu kazała ściszać telewizor (też stał w kuchni, bo pokój był mały, dwa łóżka, kozetka w poprzek, szafa i cześć), bo „jak chcemy, żeby dziecko wyszło na ludzi, to musi mieć spokój”.

Spokój! Koń by się uśmiechał z takiego spokoju, jaki ma teraz. Nawet wyspać się porządnie nie może. Jak ojcwowa zaczęła zostawać na noc, to wynieśli Darkową kozetkę do kuchni, najpierw na niej spała ojcwowa, a potem tak jakoś sprytnie zawinęła, że coraz częściej Darek, aż tak zostało. Kiedy na koniec tygodnia zaczyna się w kuchni balowanie, Darek kładzie się w ojca łóżku, ale też nie pozwoli mu dospać do rana. Choćby było nie wiem jak późno, ojciec wytrąca go do kuchni, kiedy ostatni wesoły gość wreszcie spłynie.

I co dziwić się, że z czwórek, a nawet piątek zjechał na tróje. Bo te trzy czwórki – z rysunków, z wu-te i z gimnastyki to się nie liczą, wyjątkowo w tej sprawie musi przyznać rację ojcowej. Z wuefu mógłby mieć piątkę, ale nie ma z powodu stroju, którego przez cały rok nie mógł się doprosić. Był bliski czwórki z polaka, bo miał jakimś cudem zawsze dobre dyktanda. Ale wyłożył się na lekturach – nie przeczytał ani jednej, a nie umiał zatrajlować pani, tak jak umie Jureczek-Anioleczek. I „za karę” w tym roku na żadne kolonie nie pojedzie. Ojcwowa tak wymyśliła, jeszcze kiedy nawet nie było świadectwa. Przyczepiła się do wpisów w dzienniczku. Cwaniara, psiakrew. A przecież każdy wie, że to nie o „zaległości w lekturach” idzie, tylko o dwa tysiące, które by musieli dołożyć do kolonii. Najniższa dopłata, jaka może być, mówiła wychowawczyni, ale dla nich jeszcze za wysoka. Trzy półlitrowy...

Rano tak się cieszył z wakacji, teraz wydały mu się nie do przebrnięcia. Dwa miesiące objawiania się. Koledzy gdzieś powyjeżdżali, piłkę stracił, więc tych mniej skumplowanych nie ma czym przyciągnąć...

– Nie, jeszcze nie straciłem! – poderwał się z krzesła. – Pojadę do ciotki Pauli! Czemu nie mam jechać? Ojciec mógł zakazywać matce, ale nie mnie. I wcale nie musi wiedzieć.

Popatrzył na budzik: jeszcze nie ma pierwszej. Jak będzie miał szczęście, to zdąży do Pucka i z powrotem, zanim owocarz zamknie budę. Te pięćdziesiąt złotych za świadectwo powinno starczyć na bilet. Choćby w jedną stronę...

Spytał się jednak w okienku, ile kosztuje jazda tam i z powrotem; okazało się, że jeszcze mu trochę grosza zostanie.

– Masz przesiadkę w Redzie, wiesz o tym? – powiedziała kasjerka, wydając mu bilet w obie strony i resztę.

– Wiem – odburknął i nawet wzruszył ramionami, wszystko po to, żeby sobie dodać ważności. Bo naprawdę to nie wiedział o przesiadce, ściśle – zapomniał (na jedno wychodzi!). Tak jak zapomniał, że biletów do Pucka nie kupuje się w automacie, i niepotrzebnie stracił czas i parę złotych na dojazd do Oliwy, gdzie są prawdziwe kasy. Nie ma co, krzywo mu się zaczęła ta wyprawa.

Od Gdyni zaczął się bać, że może przegapić Redę. Szczęściem w wagonie była tablica z wykazem stacji aż do Wejherowa. Na każdym przystanku sprawdzał, co to za stacja, a potem wyszukiwał ją na tablicy i obliczał, ile jeszcze do przesiadki. Ale gdy wagon minął napis „Rumia”, obleciał go bezsensowny strach. Też na „R”... Może to właśnie tu? Spiesznie zapytał starszego mężczyznę siedzącego naprzeciwko:

– Do Pucka to się muszę przesiąść w Redzie?

– Jo, w Redze – potwierdził mężczyzna jakby na odczepne i zaraz znowu zapatrzył się w okno.

Darek chciałby, żeby powiedział coś więcej. Na przykład, że trzeba przejść na inny peron, albo że jest sporo czasu i nie musi się spieszyć... „W Redze, w Redze, jo” – powtarzał bezgłośnie. – „Sledze w Redze, sece w Pecku” – dołożył jeszcze przedrzeźniankę, którą ojciec dokuczał ciotce Pauli. I w tej chwili przeszła mu złość na milkliwego towarzysza podróży. Skoro on mówi tak jak ciotka Paula, to na pewno ją zna. Wszyscy Kaszubi się znają. „Jedna sitwa” – mówił ojciec. „Wredna sitwa” – dopowiadała Ojcowa. A właśnie że nie – sprzeciwił jej się teraz. – Sama wredna, bo tak gada. Poproszę tego faceta, żeby mi pokazał drogę do ciotki, i on mi pokaże, mogę się założyć.

Dobrze, że się nie zakładał, bo „facet” wysiadł w Redzie naprawdę i przepadł, ani zauważywszy, że Darek szedł z nim po peronie krok w krok dobrą chwilę. „Co tam, dam sobie radę” – pocieszył się, dostrzegłszy krótki pociąg z napisem Reda-Puck. Pociąg był zatłoczony, mowy nie było, żeby znaleźć miejsce przy oknie albo w ogóle siedzące, ale teraz mu na tym nie zależało, nie musi pilnować stacji, wysiadzie, jak wszyscy będą wysiadali.

Patrzył jednak w okno nie z potrzeby, tylko dla przyjemności. Pola z wyrośniętym zbożem, kwiaty na skraju lasu, nad tym wysokie niebo... Tu jest prawdziwe lato – westchnął. Nazwa mijanej stacji coś mu przypominała. W ostatnie wakacje, jakie przeżył z matką, tu właśnie widział się na dłużej z ciotką Paulą. Obie siostry umówiły się w tajemnicy przed mężami na zbieranie jeżyn. Był niewyspany, bo wyruszyli z Gdańska do dnia, więc sam nie nazbierał wiele – ledwie słońce osuszyło rosę, położył się na ciepłym zboczku pod sosną i zmorzyło go. Mama i ciotka też sobie chyba przydrzemały, albo może rok był nie urodzajny, albo co, dość że kiedy trzeba było wracać, każda miała ledwie po pół wiaderka. Ciotka Paula, już na dworcu, wysypała swoje jeżyny do maminych i powiedziała:

– Bierz, bierz, żeby ten twój nie blubrał, żeś czas na próżno traciła.

„Ciotka Paula była dobra” – pomyślał Darek. – „Jest dobra” – poprawił się. – „Pomoże mi, pożyczę pieniądze, a za to w sierpniu ja się z nią umówię na jeżyny i oddam jej wszystko, co ubieram”.

Wyobraził sobie, jak zegna ciotkę i daje jej pełne wiadro i mówi: ciocia też dała mamie wszystkie swoje. „Zaraz, ale jakbym jej dał wiadro, to bym wrócił do domu bez wiadra. Dopiero by się Ojcowa rozdarła! Nie, musiałbym z ciotką pojechać najpierw do Pucka.

Przenocowałbym...”

I nagle olśniła go myśl, że mógłby nie tylko raz przenocować. Że mógłby zostać tydzień, dwa, całe wakacje. Właściwie, czemu nie? Mąż ciotki Pauli, jak mu... Aha, wuj Erwin, nawet miałby z niego wyrękę. Wyłączyliby razem łowić „sledze w sece”.

Uśmiechnął się do tej myśli, nie, chyba roześmiał się głośno, bo siedząca na ławce obok elegancka pani uniosła zdziwiony wzrok na jego twarz. „A niech się dziwi, stonka jedna. Ja tu jestem tutejszy, nie ona!”

W Pucku wszakże okazało się, że tak bardzo tutejszy to on jednak nie jest. Przede wszystkim miasto wydało mu się o wiele większe niż dawniej. Kiedy tu bywał z rodzicami, to raz – raz, w lewo, w prawo, już był kościół, potem trochę z górki i morze, port, a za portem pierwsza czy druga uliczka znowu pod górkę i prawie zaraz był domek ciotki. A teraz szedł i szedł, kościoła ani widu, za to znalazł się między blokami, których zupełnie nie pamiętał. Spytać kogoś o drogę? Też, przecież nie wie, jak nazywa się tamta uliczka. „Ech, porwałem się, jak szewce na jarmark” – zganił się. – „Gorzej, bo szewce chociaż wiedzą, gdzie ten jarmark jest”.

Przystanął, rozejrzał się – nie, to jasne, że poszedł nie tak. Tego pawilonu „Społem” w życiu nie widział...

Jakby chcąc uzupełnić lukę w znajomości świata, ruszył w kierunku „spożywczego”. W sklepie poczuł zapach chleba i wędzonej ryby i zrobiło mu się głodno. A co tam, bilet po-

wrotny ma, może sobie kupić bułkę. Stał w kolejce i gdy dotarł do ekspedientki, zamiast: „proszę bułkę” powiedział niespodziewanie dla samego siebie: „drożdżówkę”. Wybierał bilon z garści nie bez strachu, że nie starczy. Żeby czymś zająć niecierpliwą się ekspedientkę, spytał którejś do portu. Objaśniła go, jak dojść nad zatokę, „a potem już brzegiem, trudno nie trafić”.

Wyszedł więc ze sklepu zadowolony i smakując drożdżówkę, uznał zakup za udany. „Dopytałem się drogi, to raz, a po drugie – jakbym tak spotkał przypadkiem ciotkę gdzieś koło plaży z suchą bułą w łapie, wyszedłbym na ostatniego dziada. A z drożdżówką to wyglądam jak wczasowicz”.

Niedługo wyglądał jak wczasowicz, bo nim doszedł do plaży, było po drożdżówce. Za to przybyło mu sił i otuchy, rozpoznawał już teraz wszystko: przystań jachtową, molo, wysokie rozłożyste drzewa przy skarpie, a jak zobaczył piękną, ozdobną kamienicę, to był już w domu. Ta kamienica po prawdzie nie była ani taka piękna, ani ozdobna, jak mu się utrwaliła w pamięci, właściwie nawet bardziej przypominała rudere, gdzie jej tam do „bogatego domu” koło pętli u nich w Brzeźnie; to tylko matka i ciotka podziwiała ten budynek („tam kiedyś mieszkali bardzo zamożni ludzie, prawdziwe państwo”), więc i jemu udzielił się podziw. Zresztą nie myślał teraz, czy podziw był słuszny czy nie, zaprzątnięty problemem, czy do ciotki skręca się przed czy za kamienicą. Postanowił najpierw zbadać najbliższą uliczkę.

Skręcił w lewo i serce zabiło mu radością: tak, to tu, pierwszy domek za ogrodem „pięknego domu”. Pchnął furtkę z poczerniałych i poszczerbionych desek i wszedł na podwórkę. „Kurde, to jednak nie tu” – zatrzymał się skołowany. Co jak co, ale klatki z królikami naprzeciw furtki i drewniane schodki przed drzwiami wejściowymi pamiętał dobrze. Same drzwi też: były ciemnoczerwone z żelazną, opadającą klamką, z którą sobie nigdy nie mógł dobrze poradzić i ciotka krzyczała na niego, że wpuszcza kury do sieni. A teraz co? Kur nie ma, królików nie ma, mniejsza, mogli pozarzynać, wiadomo – kryzys. Ale i drewnianych schodków nie ma, tylko betonowe, a drzwi są z lakierowanych desek, wisi na nich tabliczka, na futrynie dzwonek. Okna też jakby inne.

Wycofał się, zajrzał na następne podwórkę – było zupełnie obce. Więc to musi być na innej ulicy. Obszedł jedną, rzucił okiem na drugą -nie, to nie te, wszystkie domy, choć tak samo jak ciotczyny niskie, z pociemniałymi ze starości dachówkami, mają wejścia wprost z wąziutkiego chodnika, nie z podwórka. „Dureń ze mnie!” – stuknął się w czoło. – „Przecież wuj mógł od tego czasu zmienić drzwi i schodki. Te z drewna były nadpróchniałe jeszcze kiedy na nich grałem w „wojnę” z dużym kuzynem Stachem. Trzeba było przeczytać nazwisko na tabliczce”.

Ledwie pomyślał o nazwisku, popadł w popłoch. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywała ciotka Paula. Z domu Konkel, tak jak matka; wuj Erwin czasem, kiedy obie siostry zgodnie mu się w czym opierały, mówił: „ech wy, Konkelki, obieście takie same”. Co Darka (pamięta jak dziś) dziwiło, bo ciotka już nie tylko to, że była dużo starsza od mamy, ale i wyższa, chuda, z szarymi gładkimi włosami. I ręce miała też jakieś takie szare i suche, nie lubił ich, nawet kiedy podawały placek z kruszonką. A mama była kolorowa: rumiana, z falującymi, prawie ciemnymi włosami i choć też szczupła, to jednak nie koścista. No, może oczy miały podobne, ale i to nie za bardzo, bo maminych niebieskość była łagodna, a ciotczynych – surowa. „Ta twoja Paula to się chyba w wędzarni urodziła” – szydził ojciec. – „Taka zasuszona. Co ten Renk w niej widział”.

Renk! Naturalnie, Renk! Darek zrezygnował z obadania kolejnej uliczki i popędził do domku, od którego zaczął poszukiwania. Nawet, jeśli tam mieszka teraz kto inny, to Renków musi znać, da adres, pokaże drogę...

Że mieszka kto inny, przekonał się bez odczytywania tabliczki na drzwiach. Był w połowie podwórka, kiedy na schodki wyszła niska, gruba kobieta w kwiciastym fartuchu i spytała ostro:

– Co tu się kręcisz? Szukasz kogoś?

– Tak. Pani Renkowej. To moja ciotka.

Kobieta wytarła ręce w fartuch i zeszła ze schodków.

– Powiadasz, że ciotka, a nic nie wiesz?

– Zapomniałem adresu – zaczął wyjaśniać Darek, ale kobieta mu przerwała;

– Adres jest dobry, tylko Renków już tu nie ma.

Darka zdjął strach, ale z cieniem nadziei spytał:

– Przeprowadzili się do bloków?

– Może i do bloków, ino nie tu. W Stanach albo w Kanadzie. Szukaj ich za morzem! – do-  
dała z niesprawiedliwą kpina.

– Nie! – krzyknął Darek z takim przejęciem, że kobieta popatrzyła na niego uważniej i  
bardziej po ludzku.

– Tak, tak, chłopcze. Jak wybuchł stan wojenny, to obaj Renkowie, stary i młody zeszli z  
pokładu w Hamburgu. Starali się o pozwolenie do Ameryki, bo tam był ich dawny kapitan.  
Tak mówiła Renkowa. A jak dostali to pozwolenie, to ona raz-dwa sprzedała co mogła i poje-  
chała do nich. Już będzie więcej jak rok. Ty naprawdę nic nie wiesz? – kobiecie wróciła po-  
dejrliwość.

– Nie, bo... – machnął ręką i urwał. Co będzie babie tłumaczył, że matka nie żyje, a ojciec  
od lat nie chciał znać Renków. – To dziękuję pani – powiedział w miarę grzecznie i ruszył w  
stronę furtki.

W kobiecie miejsce podejrzliwości zajęła ciekawość, zawołała za nim. – Czekaaj, powiedz  
mi tylko...

Oczywiście nie czekał. Trzasnął furtką z taką siłą, że odskoczyła, zamiast się zamknąć.  
Sięgnął więc jeszcze raz po klamkę i teraz ją rozpoznał: była taka sama jak ta dawna przy  
drzwiach: stara, ciemna, z grubego, żelaznego pręta. Przypatrzył jej się z uwagą, w tępych  
skupieniu. Coś mu się snuło po głowie, że gładkość tego żelastwa to od ręki matki, Pauli,  
dziadków, Renków – ojca i syna...

– Tyle tu zostało po Renkach, co na tej klamce – pomyślał. – Co ja teraz zrobię?

Najprostsze byłoby iść na dworzec i wracać do domu. E tam, do takiego domu? Do ojca,  
co tylko baje trzy po trzy, do ojcowej, co tylko się czepia? Jak Darek siedzi w domu, to: „co  
się tu płaczesz?”. Jak wychodzi, to: „znowu się włóczysz?”. Skopane to wszystko, niech szlag  
trafi!

Nie patrzył gdzie idzie, dopiero, gdy piasek zaczął zawadzać w tenisówkach, spostrzegł, że  
jest na plaży. Przystanął, rozejrzał się, zobaczył gromadkę chłopaków brodzących za tablicą:  
„Kąpiel i plażowanie wzbronione”. Chłopcy coś tam chcieli wyciągnąć z głębszej wody, rzu-  
cali kamieniami i sięgali kijami. „Po kostki bym nie wlaźł do tej gnojowy, a ci – po kolana.  
Badziewiaki durne!” Skreślił w prawo w kierunku mola.

Na molu było pustawo, tylko trochę młodzieży ze szkółki żeglarskiej wydzieralo się po  
angielsku (chyba?) do wtóru gitary. Tym to dobrze” – pomyślał Darek mijając pospiesznie  
dzinsowych szpanerów. Kuzynowi Stachowi też było dobrze, należał do tej szkółki, nawet  
obiecował Darkowi, że go zapisze, jak podrośnie. Cholera, że też ojciec musiał się z nimi po-  
żreć.

Teraz, wśród znanych z dzieciństwa widoków, Darkowi wszystko zaczęło się przypomi-  
nać, najpierw powoli, potem coraz szybciej i coraz głębiej, tak jakby do tyłu. Kłótnia u wuja  
wybuchła przy kawie. Uroczystej kawie, bo kuzyn Staszek wrócił po raz pierwszy z dalekich  
połowów, z ciepłych krajów, przywiózł kupę szmalu i prezentów (Darkowi całą gałąź bana-  
nów) i gdy tak siedzieli przy bardzo „zagranicznym” stole, obaj, i wuj, i kuzyn, wciąż się  
przechwalali, a ojciec nic, tylko pił coraz ostrzej, Aż wreszcie, kiedy wuj powiedział, że już  
ma widoki, żeby załapać się do Dalmoru na statek-przetwórnię, dociął po raz pierwszy, że on  
na jego miejscu dawno by to zrobił, zamiast dziurawymi gaciami łapać zdechłe śledzie w za-

toce, na to wuj, że lepsze zdechłe śledzie niż kradzione śruby, na co ojciec coś tam, i naraz zaroiło się nad stołem od „bosych Antków” i „głupich Kaszubów” i jakichś zapiekłych wyrzutów, i wyzwisk. Ojciec w wyzwiskach chyba przebił wuja Erwina, bo wuj zerwał się i ryknął: „Wynoś mi się zaraz i żeby tu twoja noga więcej”, na co ojciec też się zerwał, chwycił z kredensu Darkowe banany, rzucił na ziemię i zaczął deptać, wołając: „Popamiętacie wy moje nogi, szwabysie przeklęte” aż go mama wyciągnęła za próg. W drodze powrotnej to się przechwalał, jak dosolił Erwinowi, to podśpiewywał „Albośmy to jacy tacy, chłopcy krakowiacy” i zagadywał do Darka: „Kichamy na ich szwabskie banany, co, synku? Albośmy to jacy tacy”. Mama na przemian uspokajała ojca i płakała.

Brr, kurde, też miało mi się co przypomnieć! – wzdrygnął się Darek. Doszedł już do samego końca mola, siadł na deskach i przechylił się przez niższą poprzeczkę poręczy. Dna nie było widać, pale jednak migotały w zielonkawej wodzie, jakby były z miedzianej blachy. Dawniej i przy brzegu woda była taka przezroczysta. Kuzyn Stachu biegł z Darkiem ręka w rękę coraz głębiej i głębiej, a potem chwycił za obie i ciągnął, i wołał: „chlap nogami”. Darek chlapał i tak nauczył się pływać. Wiosłować nie zdążył się nauczyć, miał wtedy jeszcze za małe dłonie, zresztą matka niechętnie patrzyła, jak wypływa z wujem albo Stachem. Rozglądała się po morzu i niebie i kreśliła krzyż w powietrzu, kiedy odbijali. Raz powiedziała mu, dlaczego. Dziadek, jej ojciec znaczy się, popłynął w jakiejś nieważnej sprawie na Hel, pogoda się gwałtownie zmieniła i już nie wrócił. Albo raczej wrócił – jako duch, po babcię, bo niedługo potem umarła i tak z Paulą zostały sierotami. Mama jeszcze była mała i Paula ją wychowała...

Podniósł głowę i zapatrzył się na zatokę. Dzień już się przechylił, nad spokojną wodą była cieniutka jak tchnienie mgła, nieodległy brzeg Helu zielenił się i złocił w popołudniowym słońcu niewyraźnie, jakby sam był z mgły. „Drugi brzeg, drugi świat” – snuło się Darkowi nieskładnie po głowie. Dziadek Konkel przyszedł stamtąd po babcię. Najpierw pokazał się na szczycie wydmy, potem powoli schodził, schodził aż do wody i potem szedł po wodzie, trochę tylko ciemniejszy od mgły, aż doszedł do domu, stanął jak cień w progu, nikt go nie widział, tylko babcia, krzyknęła: „Idę, już idę”, i padła nieżywa. A później przez zatokę szły dwa cienie, zamajaczyły na wydmie i zniknęły w złoto-błękitnym horyzoncie...

– Mamo, przyjdź i ty po mnie – szepnął Darek.

W zapamiętaniu patrzył chwilę na piaski i drzewa drugiego brzegu, wreszcie otrząsnął się: „Co ja baję, przecież to wszystko nieprawda”. Ale zamiast wstać i iść, opuścił znowu głowę, oparł czoło na poprzeczkę i rozplakał się. Wszystko, wszystko jest przeciw niemu. Ojciec, Ojcowca, kioskarski, koledzy, wszyscy. A ciotka Paula opuściła go bez słowa, raz-dwa wyprzedziła się, wzięła i pojechała, Bóg wie gdzie. Żeby mu choć starą łyżkę na pamiątkę zostawiła. Ale nic, nic, jakby go nigdy na świecie nie było. Jakby nie był jedynym synem Maryjanny, jej jedynej siostry. Pojechała i zabrała mu zatokę, i Puck, i ciepłe spróchniałe schodki przed koślawym domem...

Płakał coraz rozpaczliwiej, mamrocąc: nic, nic, nic już nie mam. Słyszał za sobą zbliżające się kroki, co tam, nie obchodzą go, matka do niego nie przyjdzie, a inni mu niepotrzebni.

Na wodę, tuż obok jego własnego cienia padł drugi, wielki, i zaraz z góry dobiegł głos:

– Czemu płaczesz, chłopcze?

Głos był męski, Darek chciał powiedzieć: „co to pana obchodzi”, podniósł twarz i zerwał się. Przy nim stał wysoki, tęgi ksiądz z książką w ręku. Powtórzył pytanie:

– Czemu płaczesz, synu?

Darek przejechał po twarzy wierzchem dłoni i odpowiedział:

– Bo mi matka umarła.

Ksiądz jakby się zmieszał. Patrzył chwilę na chłopca w milczeniu, przełożył brewiarz do prawej ręki, lewą położył Darkowi na ramieniu:

– To wielkie nieszczęście, na które człowiek nic nie poradzi. Ale ufaj Bogu, On cię wspomże. A twoja kochana matka czuwa wciąż nad tobą z nieba.

– Tak, proszę księdza – Darek skłonił się, wymykając się przy tym spod ręki pocieszyciela.

– Będę się modlił za ciebie. Jak masz na imię?

– Dariusz, Bóg zapłać.

Odstąpił jeszcze jeden krok, jeszcze raz powiedział „Bóg zapłać” i odszedł tak prędko, jak tylko można bez posądzenia o ucieczkę. Dopiero u końca mola zaczął biec. Nogi same poniosły go we właściwym kierunku – w prawo, w stronę masywnej wieży kościoła, którą dopiero stąd, od zatoki, zobaczył w całej okazałości.

Na dworzec dotarł szybko i w porę, bo pociąg do Redy stał gotowy do odjazdu. Darek tym razem wyszukał sobie miejsce przy oknie z drugiej strony, od morza. Myślał, że jeszcze zobaczy Hel, nie zobaczył, stąd to za daleko. Widział tylko płaskie pola, łąki i torfowiska pocięte kanałami, w których ciemnej, prawie czarnej wodzie czasem rozbłyskało miedziane odbicie coraz to skośniejszych promieni słonecznych.

Myślał o dziwnym spotkaniu na molu. Teraz, kiedy kioskarz, szyba i pięćset złotych znowu stawały się coraz ważniejsze, był zły na siebie, że uciekł jak dzikus. Trzeba było księdzu powiedzieć o kłopotach i bez obciachu poprosić o te pięć stów. Co to dla takiego – żaden pieniądz. Trzech kroków nie musi zrobić, żeby mieć – Darek widział sto razy, jakie papierki ludzie w kościele rzucają na tacę.

Czemu uciekł? Bo mu się zrobiło wstyd zabeczanej gęby? To też, ale i jeszcze coś. „Ufaj, Bóg wspomże, matka czuwa”. Słyszał to już, od różnych bab z ich ulicy, co to głąskają po główce i rozczulały się, nie nad nim, tylko nad sobą, że takie dobre i pobożne, a nim jeszcze stał śnieg jego pierwszej sieroczej zimy, to już zapomniały, że mają być niby dobre, i nawet przed kościołem potrafiły krzyknąć na niego, że co się pcha albo czego się gapi.

Usiłował sobie przypomnieć twarz księdza, widzianą tak przecież krótko i przez zażawione oczy. Okrągła, wygolona, jak to u księdza. Tyle, że nie było na niej tego durnowatego rozczulenia, jak u słodkich panień. Nie, wyglądał na to, że mu było – po prostu głupio. Jakby się spodziewał, że spełni sobie spacerkiem dobry uczynek, a tu masz – nieszczęście, na które nie może poradzić.

Teraz mnie jest głupio – ganił się Darek. Jakoż było mu „głupio”, ale i gorzej – niespokojnie, nawet trochę straszno. Bo może to matka przysłała mu na pomoc duchownego, a on pomocy nie przyjął? O Jezu...

Drgnął, prawie chciał wstać i iść do wyjścia, by z najbliższej stacji wrócić do Pucka. Zaraz jednak otrzeźwiał: co, miałby zapukać na plebanie, spytać się o tęgiego, wysokiego księdza i potem prosić o pieniądze? Wyszedłby na chytrego żebracza i tyle. Tego matka by na pewno nie pochwaliła. A zresztą jest późno, zresztą nie ma już pieniędzy na bilet. Co się stało, to się nie odstanie, widać tak miało być.

Brak pieniędzy skojarzył mu się z drożdżówką, drożdżówka z ciotką Paulą. Jeny, jaki ja jestem głodny! Mogłem kupić dwie bułki zamiast... Ale liczyłem, że ciotka mnie pożywi. Przeliczyłem się, cholera, na glanc.

Znowu ogarnęło go rozżalenie na ciotkę, a potem złość. Przesiadając się w Redzie na elektryczny, postanowił twardo, że zwróci kioskarzowi za szybę pieniędzmi za piłkę. Sprzeda ją i już. „Jak ciotka tak, to ja tak, nie chcę nic po niej!”

Kiedy zbliżał się do domu, był już wieczór, choć wciąż jeszcze dosyć jasno – wiadomo, koniec czerwca. Spojrzał na budę owocarza, zamkniętą na głucho, i poczuł pewną ulgę – dobrze, że nie musi dzisiaj z nim gadać. Grubas wyłóści się, wypiekl i jutro będzie miękniejszy.

Skreślił w Zieloną, gdzie było nad podziw cicho, tylko zza płotu, z ogródka sąsiadów naprzeciwko, dochodziło stukanie i śmiechy: jacyś młodzi ludzie rozbijali namiot. Darek miałby ochotę popatrzeć na nich, na ich robotę, ale zdjął go nagle niepokój, czy kioskarz, zgodnie z

rannymi pogroźkami, nie poszedł jednak ze skargą do ojcowej. W takim razie lepiej przyjść do chaty przed nocą, żeby nie „zarobić” dodatkowo.

Nim otworzył drzwi do sieni, popatrzył jednak na posesję naprzeciw.

„Ich dom jest podobny do domu ciotki Pauli, że też tego przedtem nie widziałem. To dlatego matka wzdychała, że chciałyby w nim mieszkać. Pewnie inaczej by wtedy wyglądał. Matka pognałaby ojca, wybieliłby ściany, naprawił płot, skopał ogród. A ci nic, byle dach się na łeb nie walił, to już dobrze. Bose Antki cholerne. Ale forsę z tego zapuszczonego ogrodu umieją ciągnąć. Ciekaw jestem, ile biorą od studenciaków za postawienie namiotu?”

Jeszcze moment stał na schodkach obserwując, jak płótno namiotu prostuje się i napręża, potem westchnął, przeżegnał się szybko, byle jak, ukradkiem, i wszedł.

Ojciec z ojcową siedzieli przy kolacji. Na stole była kiełbasa, salceson, pasztet, coś tam jeszcze i parę butelek piwa.

– Chodź, chodź, synek, pojedz sobie – zawołał ojciec. – Wziąłem dziś zaliczkę na fuchę.

Darek w mig wywnioskował z dobrego humoru ojca, że kioskarz nie naskarżył. Podeszedł do stołu, odsunął krzesło.

– A łapy? – przyhamowała go ojcową. – Umyj zaraz!

Co jej odbiło dzisiaj z tym myciem rąk? Rano popędziła, teraz drugi raz? Posłusznie jednak ruszył do kranu.

– Gdzieś się szlajał cały dzień? – nie dawała spokoju ojcową.

– Wakacje przecież – burknął wymijająco od kranu.

– Pewnie, że wakacje – poparł go ojciec. – Co to, Jadźka, nie wiesz, jak to było w wakacje? Człowiek latał jak nie uwiązane ciele!

– Ty na pewno! – docięła ojcową, ale ojca to nie obeszło.

– A tym, że nie jedziesz na kolonie, to się nie przejmuj – ciągnął. – Sami se urządzimy kolonie. Wezmę cię w niedzielę na ryby...

Darek wiedział, że na żadne ryby nie pojedą, w niedzielę ojciec skacowany będzie spał do południa, niemniej ucieszył się ojcową dobrą wolą. Jakby ta zgaga straciła się choćby i na pięć minut, mógłby ojcu powiedzieć o szybie i dostałby pieniądze. Uczta na stole (był jeszcze ser i śledzie) wskazuje, że zaliczka na fuchę była chyba niemała. Ale „zgaga” nie chciała się stracić, po kolacji rozsiadła się do oglądania filmu i Darkowi nie zostało nic innego, jak też oglądać. Tyle że rozebrał się i patrzył na jakieś głupie eleganckie państwo już z kozetki. Zresztą film szybko go znudził, obrócił się więc do ściany i zasnął.

Spał tak mocno, że rankiem nie usłyszał, kiedy ojciec wychodził na fuchę. Pech, niech ręka boska! Gdyby w porę wyskoczył z betów, upolowałyby może chwilę, kiedy Jadźki nie będzie w kuchni... A teraz przepadło: ojciec wróci z flachami, kumplami, może już ubzdryngolony. Przepadło, nie ma na co liczyć i płakać nad rozlanym mlekiem. „Zresztą ja już nie chcę mieć tej piłki” – przypomniał sobie wczorajszą złość na ciotkę Paulę.

Zjadł coś z resztek wczorajszej uczty, dziwiąc się mimochodem, co się stało z ojcową, że już jej nie ma. Robotę jakąś złapała? Przy sobocie? Wszystko jedno, grunt, że spokój w chałupie. Wyszukał siatkę, dość dużą, żeby piłka się zmieściła, i wyszedł z domu. Spojrzał w prawo – kioskarza jeszcze nie było. Siadł więc w progu i popatrywał na „kemping” za płotem sąsiada. Studenci zabierali się do śniadania, jeden przyniósł właśnie okopcony czajnik z kuchni gospodarza. „Że też wybrali se takie miejsce” – wydziwiał Darek. – „Nie wiedzą, że plaża w Brzeźnie jeden syf? I to od kiedy? Już matka mówiła, że lepiej do tej wody nie wchodzić, jak już, to chodzili do Jelitkowa. Teraz i w Jelitkowie syf, jak był Wielki Strajk, to cholery zatruli, tylko zgniłe węgorze na piasku śmierdziały... Po co ci ludzie tu w ogóle przyjeżdżają?”

Studenci jednak musieli wiedzieć po co, bo uwinęli się szybko ze śniadaniem, coś tam popakowali i wyprowadzili z domu rowery. To ci pany!” – zadziwił się Darek. Wiódł za nimi wzrokiem, jak trochę zygakiem zjeżdżali z brzękiem i podskakiwaniem po kocich łbach



do głównej ulicy. „O kurde, teraz już nic mi nie pomoże” – powiedział sobie w duchu, nie żeby sądził, że wraz ze studentami oddała się jakieś domniemane wybawienie, tylko że zobaczył kioskarza dobierającego się do swoich sztab i okiennic. – „Co tam, im prędzej, tym lepiej, już wolę to mieć za sobą”. Z ociąganiem, bo z ociąganiem, ale podniósł się i pomaszerował, im bliżej kiosku, tym bardziej dziarsko, żeby kioskarz „se nie pomyślał”.

Kioskarz na „dzień dobry” odpowiedział zdziwionym pytaniem: – Co, przyniosłeś pieniądze?

– Nie, nie udało mi się dostać. Ale jeszcze do południa przyniosę.

Dzisiaj jest targ w Oliwie, pan da piłkę, pojedę sprzedać.

Kioskarz nic tylko gapił się, więc Darek powtórzył:

– Pan da piłkę. Nie ucieknę z nią, może się pan nie bać. Swój honor mam.

Kioskarz jeszcze parę sekund się gapił, potem poszedł do kiosku i wróciwszy, podał Dawkowi piłkę, z tym samym zagapionym, roztargnionym wyrazem twarzy. Jakby myślał o czymś zupełnie innym. Więc Darek też nic nie mówiąc włożył piłkę do siatki i zabrał się. Mijał kubły ze śmieciami, kiedy grubas krzyknął:

– Te, chłopak, słuchaj no!

Udał, że nie słyszy, ani się obejrzał.

Na targowisku w Oliwie był raz z ojcem, ojciec szukał jakichś rurek i kształtek dla klienta, któremu przedstawiał kaloryfery. Już wtedy było tam tłoczno, ale to, co Darek zobaczył teraz, aż go zatkało. Targ po prostu wykypiał z placyku, zalał chodniki dookoła, wlewał się na uliczki. Na tej prowadzącej do tramwaju też siedzieli sprzedawcy – lepsi przy żelaznych ogrodzeniach, na których porozwieszali dzinsy, suknie, płaszcze i diabli wiedzą co; podmurówki ogrodzeń też wykorzystali – „wystawiali” na nich papierosy, kawę, kakao, różne kolorowe puszki... Przy krawężniku, na gazetach, zalegał taki więcej chłam: stare buty, wyprute zamki błyskawiczne... Czego to ludzie nie sprzedają – pomyślał filozoficznie i całkiem trzeźwo, owiłał siatkę wokół dłoni, dłoń podniósł w górę tak, żeby każdy mógł się domyśleć, że ciasno owinięta siatką piłka jest na sprzedaż.

Jakoż i zaraz się ktoś domyślił. Wyrostek w koszulce z napisem U.S. Army spytał:

– Za ile biega?

– Siedem stów – wyjaśnił Darek, choć przedtem postanowił, że zacznie od tysiąca.

– Za taki kapeć? Trzysta góra – rzucił z pogardą U.S.– armista.

– Trzysta to sobie możesz – palnął Darek.

– Ty też – odszczeknął niedoszły kupiec i przepadł w tłumie.

Darek speszony uświadomił sobie, że łatwiej kupić niż sprzedać, przystanął, szukając miejsca, gdzie by tu zakotwiczyć. W mizernym cieniu oklapłej akacji zauważył chłopaka, który na sfatygowanej torbie plastikowej rozłożył trzy modele samolotów i parę zeszytów „Tytusa, Romka i Atomka”. „Kolesia też coś przycisnęło” – pomyślał. – „Stanę koło niego, zagadam, będziemy jakby w kupie”...

Oparł się o pień akacji, uważając, żeby nie włądować się kolesiowi na towar. Kolesz spojrział na niego obojętnie, ale nie wrogo. Darek już chciał spytać: „Jak myślisz, wyciągnę koło za piłkę?”, kiedy do „handlarza” podeszła matka z chłopczykiem i zaczęli targ o samolocik.

– To jest mitsubitchi jeden – wyjaśniał koleś. – Bardzo rzadki.

– Wiem – grymasił chłopiec – ale brak jednego znaku i w ogóle źle sklejonny...

Darek nie miał czasu śledzić dalej targu, bo i do niego zawitał „klient”. Wyższy od tamtego pierwszego, niedoszłego, poważniejszy jakby. Wobec tego Darek zacenił maksymalnie.

– Tysiąc.

– Pół.

– Dziewięć.

– Siedem.

– Dziewięć!

– Pokaż no bliżej, nie będę kupował kota w worku.

Darek podał mu piłkę, nie wyjmując jej z siatki i nie wypuszczając siatki z rąk. „Kupiec” oglądał piłkę, postukał palcami – odbrzmiała jak bęben (Darek pogratulował sobie, że tak dobrze napompowana).

– Najgorsza nie jest – przyznał klient. – No, niech będzie osiem, jak dla brata.

– Przyrodniego – odstrzelił Darek. – Ale niech ci będzie.

Młodzieniec włożył siatkę z piłką pod pachę i sięgając niby drugą ręką do tylnej kieszeni zrobił półobrotu tak, że Darek musiał puścić ucho siatki. I w tej sekundzie zrobiło się przed nim pusto. Piłka z siatką poleciała łukiem na drugą stronę ulicy, klient przepadł w tłumie na placu.

Darek rzucił się za piłką, nadaremnie, już jej nie było; wydało mu się, że wśród przechodniów mignęła biała koszula U.S. Army, biegł więc chwilę jezdnią wzdłuż chodnika. Kiedy jednak musiał uskoczyć przed trąbiącym samochodem, zaprzestał pościgu. Nie ma szans.

Bezmyślnie wrócił pod akację. Koleś dobił chyba targu o mitsubitchi jeden, bo był ozywiony i skłonny do współczucia.

– Załatwili cię, kurde, niech mnie.

– Jak myślisz, może iść na milicję? Jakby trzeba, to bym poznał...

– Coś ty? Gdzie by tam milicja... Tu co chwila ktoś wrzeszczy, że obrobili. Na żulię nie ma mocnych...

– Posunę w tłum, pofiluję, może ich sam złapię? – zastanawiał się Darek, bez przekonania zresztą.

– Nie radzę. Jakbyś się na nich nadział, sflekowaliby cię, nim byś narobił rabanu – koleś był widać oblatany w targowych obyczajach.

Mimo to Darek powłókł się jednak na placyk, żeby choć coś robić. Przepychał się między ławami, wpadał na ludzi, ludzie na niego, nie zwracał na to uwagi. W głowie migotały mu i gasły pomysły, co jeden to głupszy: a to, żeby przyznać się ojcu, a to żeby powiedzieć kioskarzowi co i jak, a to, żeby złapać jakąś robotę, no, choćby zamiatanie tego placzyku po południu...

W tym młynie nic nie wymyślę, pójdę do parku – zdecydował, choć w duchu był pewien, że w parku prędzej mu spadnie z nieba ptasie łajno niż dobre wyjście.

Znalazł miejsce na ławce przy klombie, siadł na samym końcu, by jak najdalej od matki z dzieckiem, wystawił twarz do słońca i – przestał myśleć o czymkolwiek. Pustka w głowie, sztyl, koniec.

Był jednak dość przytomny, żeby dostrzec dwóch znajomków, szurających ścieżką zwawo i wesoło. Jeden to stary koń z zasadniczej metalowej, Zbychu-Kłódka, który nie wiedzieć czemu kleił się do kolegi z klasy, Jureczka-Aniołeczka. Drugim był sam Aniołeczek.

Zobaczyli Darka, nim zdążył się zebrać w garść.

– Cześć Daras – powitał go Jurek. – Przyszedłeś się bawić w parku z maluszkami? – spojrział znacząco na berbecia koło ławki.

– Spieprzaj – odmachnął się niemrawo Darek.

Jureczek ani myślał; przyjrzał się Darkowi uważnie i zmienił ton:

– Ty, coś ty taki wymiękły? Jakiś dół?

– Dół – potwierdził odruchowo Darek. – Potrzebuję pięciu stów i nie mam widoków.

Jureczek wymienił ze Zbychem szybkie spojrzenie, Zbychu kiwnął nieznacznie głową, Jurek roześmiał się:

– Co znaczy nie masz widoków? A my? Zły widok?

– Co wy?

– Kłóda, pożycz mu sześć – zwrócił się Aniołeczek do towarzysza. – Za jedną kupi sobie loda i nam też.

Kłódka wyjął sześć czerwonych papierków i wyciągnął wachlarz w stronę Darka.

– Ale, do kiedy muszę oddać? – spytał Darek przytomnie, choć kręciło mu się w głowie.  
– Nie musisz – powiedział Zbychu-Kłódka. – Odrobisz. Normalnie, zrobimy coś do spóły. Jedna trzecia twoja.  
– Jedna trzecia czego?  
– Okaze się – przeciął sprawę Jureczek. – Chodźmy po lody. Dla mnie może być za cztery dychy, żeby był równy rachunek.  
Skurczybyk wycwaniony! – pomyślał Darek, ale był tak uszczęśliwiony nagłym a niespodziewanym wybawieniem z dołu, że kupił Aniołeczкови loda wedle życzenia, I swojego by oddał, gdyby koleś zażądał...

## II. Zmyłkowe szczęście

Jureczek był nowy w klasie, nie on jeden, wszyscy z wieżowca, tylko że on od razu zwrócił na siebie uwagę. To znaczy, nie on specjalnie, ale jego mama. Bo za pierwszym razem przysłała do szkoły i w drzwiach klasy wykladała długo wychowawczyni swoje obawy o dziecko, które przedtem „chodziło do przyzwoitej szkoły, sama inteligencja – pani rozumie. A tu – szkoda słów. A on jest taki dobry i zdolny, tylko nerwowy. Więc potrzebuje zrozumienia”. Na pożegnanie pocałowała go w czoło i powiedziała: „Pa, mój aniołeczku”.

Że Jureczek mógłby być za aniołka w szopce, to fakt: śliczne, kręcone włosy, niebieskie oczy i okrągła, różowa buzia. Jasne, że od razu postanowili dać mu wycisk. Już na dużej przerwie. Ale Aniołeczek kopnął pierwszego, który go zaczepił, w brzuch (a tego się u nich nie robiło) i bluznął tak, że diabeł by zatkał uszy. Mogłaby się z tego zrobić wojna z połową klasy, a że się nie zrobiła, to zasługa Aniołeczka, bo nim kopnięty się pozbierał, on już częstował najbliższej stojących czekoladą. Zagraniczną. Nie można powiedzieć, żeby go za to pokochali, ale już miał spokój. Tyle że został „Aniołeczkiem”, co go zresztą wcale nie wkurzało. Z nikim specjalnie nie trzymał, raczej z każdym po trochu. Więc Darek się nie zdziwił, kiedy gdzieś po zimowych feriach Jureczek go zaciągnął po szkole do piapierniczego, po farbki. Jurek wybrał, zapłacił i spytał kolegę: – A ty masz dobre mazidło na ten plakat?

– Nie mam, ale i tak nie zrobię. Nie mam gdzie rozłożyć papieru.

– To chodź do mnie, nikogo nie ma, machniemy od razu dwa i spokój, i z głowy.

Darkowi nie bardzo się chciało, z rysunku akurat miał zawsze piątkę, więc raz mógłby sobie odpuścić. Skoro jednak Aniołeczek naciskał...

Wnet się okazało, czemu naciskał. Rozłożyli arkusze, Darek machał pędzlem jakby płót bielili, a Jureczek ledwie ołówkiem zaznaczył napis-hasło: „Strzeż lasu przed pożarem”. Dobrze zresztą, że zaznaczył, bo Darek miał wątpliwości, czy w „strzeż” jest najpierw rz, potem ż, czy odwrotnie. – Ja ci zrobię napis, a ty mi wymyśl co namalować – zaofiarował się Jureczek spostrzegłszy trudności Darka.

I oczywiście skończyło się na tym, że Darek namalował mu wszystko. Nie można powiedzieć, że zupełnie za nic. Aniołeczek poczęstował go papierosem, a potem zabrał do kuchni, gdzie zjedli prawie całą szynkę z puszki, ledwie co zagryzając chlebem, za to nie żałując sobie pepsi.

Utarło się niebawem, że Darek robił Jurkowi wszystkie rysunki. Nie on jeden był za murzyna – od wu-te Jurek miał Zbycha. Skąd Aniołeczek wytrzasnął tego wyskrobka, czarniawego, z dziwnymi oczami, co to niby patrzyły na ciebie prosto, a mimo to rozjeżdżały się w boki, nie wiadomo. Zbychu też mógłby grać w szopce, za diabełka dla odmiany, takiego co skacze i potrząsa widłami. Starszy sporo od Aniołeczka, ale nie wyższy, tworzył z nim osobliwą parę. Tyle że poza Darkiem mało kto ich razem widywał, Zbychu-Kłódka nie pokazy-

wał się ani przy szkole, ani w supersamie, o kościele nie wspominając. Chyba był z innej dzielnicy, ale Darek jakoś nie mógł się dowiedzieć, z jakiej.

Dowiedział się za to, czemu Aniołeczek nazywa go „Kłódka”. To się wyjaśniło jakoś w marcu, w okolicznościach zresztą niemiłych. Kiedy raz prawie pod wieczór, skończyli, Darek – krajobraz wiosenny, Zbychu – świecznik z blachy, Aniołeczek rozłożył ręce i powiedział:

– Nic dziś z wyżery, matce coś odbiło i trzyma żarło pod kluczem. Chyba że ty, Zbychu, coś poradzisz – wskazał na kredens.

– Nie moja specjalność – odpowiedział Zbychu. – Wiesz, że jestem od kłódek.

– To zjedźmy do piwnicy, tam coś musi być.

Wtedy Darek się przestraszył, skłamał, że nie jest głodny i w ogóle to już musi iść. Później sam nie wie jak, dał się namówić. Najpierw myślał, że podbiorą coś Jurkowej mamie, więc o co chodzi. Jak chce głodzić syna, to niech ma. A jak w piwnicy okazało się, że Zbychu zrzęcznie otwiera kłódkę na boksie z zupełnie innym numerem, nijak mu było uciekać. A jeszcze później przekonał się, że właściwie nie ma się czego bać – w piwnicach psa z kulawą nogą nie było, zresztą Jureczek wymyślił sprytne zabezpieczenie – brał wiadro, co robiło wrażenie, że idzie po ziemniaki, i szedł w straży tylnej. W razie czego miał to wiadro upuścić, wtedy oni się gdzieś schowają, to by nie było trudne. A Zbychu ze swej strony uspokoił Darkowe sumienie, mówiąc, że nic się nie stanie, jak tym parszywym spekulantom ubędzie trochę majątku. Czy słoje z ogórkami lub bigosem były majątkiem spekulantów, Darek wołał nie myśleć. Zresztą nigdy nie brali za wiele z jednego boksu.

Potem przyszła Wielkanoc, Ojcowa zrobiła się nagle strasznie pobożna i zaciągnęła Darka do spowiedzi. Ksiądz go zrugął i nastraszył za te bigosy i ogórki, a spobożniała ojcowa przyniosła z parafii pakę z darów. Połączywszy jedno z drugim, postanowił dać spokój piwnicom do końca życia. I może by nawet postanowienia dotrzymał, gdyby nie ta historia z szybą i pożyczką.

Zbychu powiedział „zrobimy coś do spóły, a kiedy, to się okaże”, nie „okazywało się” jednak tak długo, że Darek powoli zapomniał o całej historii. Pożyczonej forsy nie trzymał przy sobie ani minuty dłużej niż trzeba było, kioskarcz dostał ją od razu tegoż przedpołudnia. Minę miał przy tym jeszcze głupszą niż rano, no, normalnie był zastrzelony. „Naprawdę sprzedałeś piłkę”? – pytał, kręcąc byczym karkiem. „A co?” – odpowiedział mu Darek. „Przecież widzi pan pieniądze”. A że kioskarcz nadal kręcił karkiem, Darek nadał się i dołożył: „Pan pewno myślał, że wezmę piłkę i zwieję, co – nie?” Kioskarcz przestał kręcić głową i dla odmiany kiwnął: „Bogiem a prawdą to tak. Pomyliłem się”.

Moralne zwycięstwo nad kioskarczem wbiło Darka w taką dumę, że prawie uwierzył w to, w co wierzył kioskarcz – że pieniądze były za piłkę. Niemiło jest rozpamiętywać, jak okradli człowieka, więc też i nie rozpamiętywał. I Aniołeczka z Kłódką też wykopał z pamięci, w każdym razie na tyle, że jak mu się trafił grosz, nie myślał go oszczędzać na oddanie długu. Kupował sobie pączka lub drożdżówkę, albo dwie bułki, jak już był bardzo głodny. Lipiec przeszedł mu po części na przeraźliwej nudzie – koledzy na koloniach, kapać się w zatrutej wodzie nie można – po części na włóczeniu się po Trójmieście, głównie po Gdyni. Bo tam go najbardziej ciągnęło, tak w ogóle, a po drugie – właśnie w Gdyni mógł czasem coś zarobić i miał potem na kino i bilety kolejowe (jak nie miał, to jeździł na gapę, choć ze strachem). Pomagał zrazu nosić skrzynie z rybami na hali, ale to był kiepski interes, bo handlarze chcieli się wykpić dorszem albo flądą, a on wołał pieniądze i musiał się dopominać. Później kręcił się przy Cepeliadzie – podawał gwoździe, sam przybijał listewki w przeddzień otwarcia i to była Kanada – szef od dekoracji dawał mu pepsi i kanapki, a na koniec całą stówę. Przy uważnej gospodarce starczyło tej stowy na tydzień.

Ale ucieszył się, jak zaczęli wracać z kolonii koledzy. Pierwszy pojawił się Olek-Cholek, z którym chodzili na torfowisko strzelać z łuku. Potem na krótko Waldek-Klipa, no to grali w kłipe, trudno. A potem...

– Był tu jakiś szczun do ciebie – powiedziała Ojcowa, kiedy wrócił z torfowiska. – Kazałam mu czekać na ulicy.

– Nikogo nie widziałem – zdziwił się Darek i wyszedł na dwór sprawdzić: a nuż jeszcze czeka?

A tak – z góry uliczki, od morza, szedł niespiesznie Zbychu-Kłódka. Jak zobaczył Darka, przyspieszył i nie bawiąc się w powitania oznajmił rzeczowo:

– Masz być dzisiaj o siódmej koło budowy przy blokach.

– Po co?

– Parę desek trzeba przenieść.

– Dużo?

– Spokojna głowa, opłaci się.

Może się i opłaciło (Anioleczek, który czekał na deski przy działkach, powiedział, że rozliczą się później), ale spokojnej głowy nie miał. Połapał się na miejscu, że to nie o przeniesienie desek, ale o ich zwinięcie chodzi. Ostatni cep by się połapał. Popieklili się na Zbycha, że gdyby wiedział, to by się na taki „odrobek” nie pisał. – Ale się zapisałeś – odparł mu Kłóda. – I lepiej dotrzymaj, bo to nieładnie figę pokazywać.

Oczy Kłódy rozjechały się bardziej niż zawsze, a ręka „z figą” dziwnie była podobna do grożącej pięści.

Drugi raz ze zleceniem przyszedł Anioleczek:

– Ciemny kmiecie, jaka kradzież – zarżał, kiedy Darek się zaparł, że dług długiem, ale kraść nie pójdzie. – Wezmiesz tylko od Zbycha trzy stare lampy i przywieziesz do mnie. Usługa transportowa, rozumiesz? Czekać na niego w Sopocie na peronie dalekobieżnym punkt siedemnasta. Jak się nie spóźnisz, to pół długu ci skreślę.

– Co ty masz do skreślania? Kłódka mi pożyczał.

– Uzgodnię z nim.

Darek postanowił, że sam uzgodni i w ogóle rozmówi się porządnie ze Zbychem. Chodząc po peronie w Sopocie układał, co mu powie, ale nic z tego. Zbychu wychynął z tunelu dokładnie wtedy, kiedy Darek patrzył na zegar i czekał aż wskazówka wskoczy na „punkt siedemnasta”. Wcisnął Darkowi do ręki dwie plastikowe torby, w których z lekka podzwaniały szklane okrągłości.

– Nieś jak zgniłe jaja, bo popakowane awaryjnie. Cześć, szukam dla palących – rzucił i bardzo szybko ruszył na koniec peronu.

– Co? – nie zrozumiał Darek, ale zaraz mu się rozjaśniło. Wjechał pociąg z Tczewa, Zbychu wskoczył do ostatniego wagonu, gdzie wolno palić. „Zezol diabelski, on naumyślnie tak wycyrklował, żebym nie mógł go przycisnąć o rozliczenie. Dobra, jak tak, to przycisnę Anioleczka” -postanowił Darek, idąc do swojej kolejki.

Nie był ciekaw jak wyglądają lampy, niósł je tylko ostrożnie, z obawą, żeby się coś nie stłukło, i odetchnął, kiedy zadzwonił do drzwi Anioleczka. Trwało chwilę, nim się otworzyły. Darek spodziewał się Anioleczka, zamiast niego zobaczył damę w szlafroku. Z trudem rozpoznał w niej Jurkową mamę. – To są te lampy, co Jurek – wybąkał zaskoczony.

– Tak, tak, wiem – odpowiedziała dama. Dość łapczywie chwyciła torby i jeszcze w holu zaczęła wyjmować lampy.

– Jurku, to nie takie – zawołała ku głębi mieszkania. – Ja chciałam wiszące! Chłopcze – zwróciła się z kolei do Darka – odwieź to temu panu i powiedz...

Anioleczek błyskawicznie wyleciał ze swego pokoju:

– To już ja zawiozę jutro panu mecenasowi, bo Darek nie ma czasu. Idź, chłopie, spokojnie – machnął władczo w stronę kolegi i prawie wypchnął go za drzwi.

„No, nie!” – pinił się w windzie Darek – „Takie robienie w konia to już za dużo! Dołapię gnoja jutro, przycisnę i koniec ze „spółą”.

Dołapanie Aniołeczka okazało się sprawą trudną. Darek teraz dopiero pojął, że i kolega, i w ogóle wszyscy z bloków mają inne rewiry niż oni z Zielonej i innych uliczek starej zabudowy. Dawniej, gdy zatoka jeszcze nie była zatruta, w wakacje wszyscy spływali na plażę i choćby tam był tłok nie wiem jaki, w końcu swój swego znalazł. Teraz na plażę chodzili tylko ci najbardziej wynudzeni; Jurek do takich nie należał. Przed samem też nie bywał, gdzie by on, hrabia zakichany, stał z torbą po chleb! Zresztą „bloki” miały swój bliższy sam, inny przystanek tramwajowy i wygodny autobus. Na przypadek nie ma co liczyć.

Kręcił się więc koło Jurkowego bloku od rana, przez parę dni, obserwując to drzwi, to parking – czy bordowy polonez stoi, co by znaczyło, że mama Aniołeczka jest w domu. Przy niej wolał nie zaczynać rozmowy z Jurkiem. Wóz jakby się przykleił do betonu – stał i stał całe przedpołudnie. Wreszcie – co za radość! – znikł. Darek wjechał zaraz na piąte piętro, zadzwonił ostro raz i drugi – nic. „Pojechał z matką czy nie chce otworzyć?” – zastanawiał się. – „Eee, pewnie pojechał. Może by mi i nie chciał otworzyć, ale skąd może wiedzieć, że to ja dzwonię?”

Dwie następne próby też nic nie dały, więc Darek w końcu machnął ręką. Szkoda czasu, zwłaszcza teraz, jak już wrócił Tomek od Grobelnych.

Wrócił zresztą sam, bez babci, która jeszcze miała pobyc w Kartuzach, i już na trzeci dzień skarżył się Darkowi, że bez babci wszystko idzie w domu jak wóz bez kół. Młoda Grobelna najwyraźniej „nie wyrabiała”, wciąż się spieszyła, obiady były byle jakie i późne, w dodatku o każde głupstwo od razu krzyk...

Darek też żałował, że nie ma starej Grobelnej, bo czuł się jakoś bezpieczniej, słysząc jej dreptanie nad swoją kuchnią. Łazili więc z Tomkiem obaj dosyć markotni, obaj trochę głodnawi, po torfowisku, po lesie, wzdłuż działek. Na polu niczym między lasem a działkami odkryli zdziczałą, pochyloną śliwę. Śliwki były jeszcze niedojrzałe, tylko na czubku zółciły się zachęcająco. Oby się na nie nie skusili!

Darek wspiął się na drzewo po „głubki”, ale to nie on został uszkodzony, kiedy śliwa zatrzeszczała i padła, tylko Tomek. Uschła gałąź pogłaskała go tak, że rękaw koszuli rozdarł się od ramienia do łokcia. Chłopiec był przerażony.

– Jeny, jak ja się teraz matce pokażę? Po coś włożył na tę śliwę?! -napadł na Darka.

Darek nie czuł się winny, ale żał mu było Tomka:

– Chodźmy do domu, spróbuję zabajerować ojcową, żeby ci zeszyła.

Nim dotarli na Zieloną, zrobiła się pora obiadowa, z otwartego okna domku naprzeciwko dochodził zapach przysmażonej cebuli. W ich papiaku też okna były otwarte, ale nic nie pachniało. Darek zaniepokoił się, że zbyt pochopnie obiecał Tomkowi zeszywanie koszuli, już na progu powiedział do kolegi:

– Lepiej daj mi ten łach i poczekaj tu. Sam załatwię.

Z „łachem” przerzuconym przez ramię wszedł do kuchni.

Ojcowa stała przy szafie i z najwyższej półki wyjmowała „paradne” talerze i filiżanki. Musiała to już robić dłuższą chwilę, bo na stole stała miska z wodą i sporo suszących się „skorup”. Na Darka nie zwróciła uwagi, choć wiedziała, że wszedł. Odezwał się więc pierwszy:

– Czy mama mogłaby zeszyć ten rękaw?

Nie bez trudu nazwał ją mamą, to mu zwykle nie przechodziło przez gardło. Ale, że kiedyś nalegała i mizdrzyła się o to, myślał, że jej zależy i że taka zagrywka daje pewne szanse koszuli Tomka.

– Znowu podarłeś!

– Nie ja, Tomek. To jest – dodał szybko, by uniknąć nieporozumienia – nie Tomek mnie podarł, tylko jemu się rozdarła.

– Się, się! Pewnieście się bili. I ja mam odpowiadać za twoje bijatyki!? Zresztą widzisz, że nie mam czasu.

To akurat widział i zachodził w głowę, co jej odbiło, żeby sprzątać półki w szafie. Ale nie pytał, wzruszył ramionami, podszedł do stołu i wyciągnął z szuflady czarne nici i igłę z największym uchem. Sam zeszyje Tomkowskie łachy, zdążył się już nauczyć.

Dzień był jednak wyjątkowo pechowy. Ledwie siedli na progu, ledwie machnął trzy razy na okrętkę po rozdarciu, przyniosło Tomkową mamę.

– Co tak siedzisz półgoły? – spytała syna. Nie było sensu nawijać coś na przykład o opalaniu się albo o gorącu, bo zaraz dostrzegła koszulę w rękach Darka i wyciągnęła wnioski takie jak ojcwowa.

– Jazda na górę! – krzyknęła na Tomka. – I żebyś mi się więcej z nim nie zadawał!

Zniknęli w ciemnej sionce. Darek się nie ruszył. Po co? Obiadu i tak nie ma, ojcwowa się wścieka. Ojcwowa jak ojcwowa, wiadomo, ale po Tomkowej mamie takiej niesprawiedliwości się nie spodziewał. Przecież najbliższa sąsiadka powinna wiedzieć, że nie jest żadnym żulem ani bandziorem, choć mu coraz bardziej pod górkę. Drze koty z ojcwową, i słusznie, kto by nie darł, ale to przecież widzi, że już tam Darek z ojcwową sztamy nie trzyma i w ogóle on to zupełnie co innego. „Żebyś się z nim nie zadawał!” Też! Czy ja ciągam Tomka do gry w automatach, albo na cudzą działkę, albo co?

Z kuchni dochodziło pobrzękiwanie naczyń – może stał się cud i ojcwowa nakrywa do obiadu. Darek wstał z kamiennego progu, postanowił zbadać sytuację w kuchni. Zajrzał – na obiad się nie zanosilo, choć stół był już sprzątnięty, stały na nim tylko dwa wazon-y i miedziany czajnik. Trzeci wazon ojcwowa właśnie zawijała w gazetę.

Teraz Darka oświeciło, co to wszystko znaczy. Ona chce to spylić, na targowisku albo na hali. Już od dawna wciąż coś znikalo z domu: lepsze obrusy, chochła, podobno srebrna, którą mama tak szanowała, że nigdy nie była w użytku, prezent ślubny chyba? Kto to spytał, ojciec czy ta tutaj? Oboje po jednych pieniądzach, palą świecę z dwóch końców, a on się musi truć przez głupie trzy stowy!

– Zostaw to, to jest moje, po matce! – krzyknął, podbiegając.

Ojcwowa odwróciła się błyskawicznie i nie wypuszczając wazonu z ręki uderzyła drugą Darka w twarz:

– Won stąd, ty kapusiu!

– Powiem ojcu!

– Ja też powiem. Nie myśl, że nic nie wiem.

Wyskoczył do sieni, trzaskając drzwiami i zaraz się zatrzymał. Dokąd teraz? Żeby Grobelnej nie odbiła szajba przed chwilą, to można by do nich. Ale upłynie parę dni, nim jej przejdzie. Zostaje Aniołeczek.

„Zostaje Aniołeczek. Kurde, ale wylądowałem” – myślał wlokąc się wzdłuż stosów płyt przy blokowisku. Z głębi składowiska usłyszał głosy, brzmiały jakby z piwnicy. Pewnie jacyś żule zrobili sobie gdzieś w środku melinę. Swoją drogą, trzeba by obadać, on przecież mógłby też... Nakłaść gazet na beton, ściągnąć skądś koc... Teraz sierpień, dni ciepłe, beton się narzewa... Jakby raz nie wrócił na noc, może by coś do nich dotarło, do ojca i do ojcwowej.

Podniecony pomysłem, już chciał szukać miejsca na bezpieczne legowisko, ale dał spokój – te głosy tam... Nie były to głosy grzecznych przedszkolaków. Niech który wyjdzie, zobaczy, że się kręci – można oberwać. Później, a najlepiej wcześniej rano, przyjdzie. Teraz nie.

Odechciało mu się iść do Aniołeczka. Zanadto jest złachany, wymiękły, dałby się zbyć. Do twardej rozmowy trzeba być twardym, I najedzonym, żeby nie zerkać na lodówkę i dać się ułagodzić kawałkiem kielbasy. Pójdzie na plażę.

Która to może być? Grobelna wraca z pracy koło trzeciej, więc pewnie dochodzi czwarta. Durna „stonka” już wraca znad morza. Durna – co to za sens siedzieć nad zatrutą wodą? I jeszcze raz дума, bo wciąż coś gubi. Tylko nigdy do pary: jeden but, jedną skarpetkę. A może dziś akurat zgubią coś lepszego? Na przykład koszulę. Wyprałby, wyprasował u Jureczka i zaniósł Grobelnym. Ale by gały wywalili!

Ucieszony i pocieszony tym wyobrażeniem, ruszył biegiem, jakby chciał uprzedzić innych znalazców wymyślonej koszuli. Na wieżowiec Aniolecza ani spojrzął, zwolnił dopiero przy lesie, bo ssało go już w żołądku i chciał sobie przypomnieć, przy której ścieżce są jeżyny. Przypomniał sobie, ale nic to nie dało – „stonka” obżarła wszystko, tylko zielone zostawiła. Więc już najkrótszym szlakiem wyszedł nad morze.

Rozejrzał się, jak przypuszczał – było już pustawo. W paru grajdołkach trochę zawziętych wczasowiczów, inne opuszczone. Śmieci pełno, ale dokąd by nie spojrzął, niczego podobnego do koszuli czy innego łacha. Od strony Jelitkowa szło zygzakiem po piasku, schylając się co chwila, dwóch chłopaków z workiem.

Dureń stuknięty ze mnie – zrugął się Darek. – Wymyślam sobie superzgubę, a jakbym tak jak tamci ruszył z workiem, to odtąd do Sopotu nazbierałbym tyle flach, że bym i Aniołka z Kłódką splącił, i jeszcze bym miał. O ile bym nie dostał po łbie od takich jak ci dwaj... że im interes psuję.

Położył się w najbliższym opuszczonym grajdole i patrzył bezmyślnie przed siebie. Naszła go taka rozpaczliwa nuda, że rzygać się chciało.

Dosłownie. Może zresztą nie z nudy, tylko z niejedzenia? Śniadanie dostał po siódmej, potem już nic...

Złościło go morze jak z pocztówki, niebieskie, trochę grzywaczy, statki na gdyńskiej re-dzie i Ferry na gdańskiej. Bo to jest jak pocztówka – tylko do patrzenia. To dziwne: kiedy tu dawniej przychodził z matką, wydawało mu się, że to jest jego plaża, jego morze i jego statki. Przychodzili w każdą ładną sobotę i niedzielę. Był za mały na kolonie, na wczasy nie mieli, bo odkładali na mieszkanie, mama raz po raz brała gdzieś dodatkowe sprzątanie, ojca też pędziła, za to w sobotnie popołudnie był fajrant. Biedna mama, komu jak komu, ale jej się należały wolne soboty. A nie doczekała!

Czy ja czego doczekam? – rozżalił się nad sobą i mało brakowało, a by się rozbeczał. Szczęściem, ktoś sychnął na niego piaskiem, więc zerwał się wściekły. Nad nim stał Anioleczek.

– Co się zaczynasz, gnoju! – ryknął na niego Darek.

– Tylko nie gnoju! Przychodzę jak do człowieka, a ty...

– Jak do człowieka, a sypiesz!

– Żeby cię zbudzić. Mam propozycję nie do odrzucenia.

– Jakżeś mnie znalazł? – zdziwił się Darek, myśląc równocześnie: musiało wyniknąć coś pilnego, że Anioleczek aż tak się fatygował.

– Widziałem z okna, gdzie zasuwasz. Słuchaj, krótko, jest taka sprawa. Kłóda wyczał piwnicę zawaloną makulaturą. Do pół ściany. Rozumiesz, ile tego jest? Normalnie, Kanada.

– Może i Kanada, ale pół dnia będziesz tę Kanadę wynosił i wpadniesz.

– Głupi! Ja z Kłódką rozpracowałem sprawę naukowo. Każdą sprawę rozpracowuję naukowo, jeszcze nie wiesz? Więc tak: To nie w naszym bloku, tylko obok, w nowszym. Dozorca tam nie mieszka, zresztą, co tam dozorca. W nocy śpi, a my właśnie w nocy. Wszystko gra jak w organach. Moja stara pojechała do ojca do Szczecina, przybijają jutro i za trzy dni mają znowu rejs. Zbycha starzy wynajęli się do pomidorów aż za Bydgoszcz. Ty śpisz w kuchni, guzik skapują, czy jesteś, czy nie. Tylko zorganizuj jakiś przecinak, bo tam kłódką taka, że i Kłóda nie da rady. Próbował, na cyfry, zagraniczna chyba. Więc trzeba ruszyć skobel, Ja będę miał latarkę, poświecę.

– Możesz sobie poświecić, wiesz gdzie. Ja raz robiłem przy makulaturze, w jednym urzędzie, ojcowi mnie pognęła. Trzy godziny wiązałem i nosiłem, a było tego słabo jedna szafa. Policz sobie: powiązać, wynieść, zamelinować. Do rana się nie wyrobisz.

– Właśnie, że już powiązane, elegancko, mocno, zaświeciłem do środka, to wiem. Po drugie: boks jest prawie przy wyjściu, a nas trzech. Po trzecie: Zbychu rozpracował kłódkę przy wózku mleczarza pod samem, więc jest transport. Zwali się między płytami, tam, wiesz. Już



upatrzyłem. O północy zaczniemy, o pierwszej będzie po wszystkim. A potem, w biały dzień, spokojnie do Złomowca. Ty pożyczysz wózek od owocarza, my ze Zbychem władujemy na rowery i jakby nigdy nic.

Darek przesypywał piasek z ręki do ręki i milczał. Wiedział co ma powiedzieć: „znowu mnie wciągasz w jakieś gównno, nie ma głupich”. Albo: „rozliczymy się najpierw z tego co wam odrabiałem, to może się zgodzę”. Wiedział, a mimo to nie mówił. Bo gdzieś jeszcze głębiej w głowie układała mu się inna mowa – do młodej Grobelnej: „Widzi pani? Chciałem dobrze, to źle, to za mało. Za mało, żeby Tomek się ze mną zadawał. Nie będę chciał dobrze. Co się wysilać, jak i tak nic to nie da”.

– Łamiesz się, skunksie, co? – ponaglał go Aniołeczek. – Możesz się łamać, tylko licz, że wisisz u nas na trzy stowy. Mogę iść do twoich i powiedzieć, żeś przegrał moje w automacie.

– Idź sobie, pieprzę. Ale tych trzech stów to potem w życiu nie zobaczysz – postawił się Darek, choć mu się zimno zrobiło. Jureczek zaczął więc z innej beczki.

– Co za złamaniec z ciebie. Wolisz, żeby cię sprali, niż być za pana, bez ryzyka. To przyniesie, najmarniej licząc, pełne koło. Niech ci będzie, dostaniesz trzydzieści procent i kwit z długu. Mało?

Darek nic, wciąż przesypywał piasek.

– Ty głupolu, w brzuchu ci burczy, aż mewy straszysz, a nie chcesz moniaków w kieszeni. Wiecznie będziesz dziadem.

Tym go trafił. Darek wstał, otrzepał z piasku kolana i powiedział:

– Git. Niech będzie. Ale jak już, to śpię do akcji u ciebie, I dasz mi dobrą kolację!

– Możesz nie wstawać od stołu do północy – ucieszył się Aniołeczek. – Lodówka załadowana po dach.

Na plaży było wszystko tak samo jak wczoraj, tyle że Ferry odpłynął, a chłopaki z butelkami przeszli i poszli. Darka aż zatykała myśl, że jak to może być – dookoła nic się nie zmieniło, a u niego wszystko odwróciło się, odmieniło, poleciało jak nasmarowane. Prawie że chciał Bogu dziękować, ale że początki dzisiejszego fartu tkwiły w piwnicy, przy cudzym boksie, wołał się Bogu nie przypominać. W głębi ducha, w najgłębszej głębi, wyobrażał sobie, że to ręka matki z drugiego świata tak wszystkim pokierowała. Matka wprawdzie zawsze mówiła, że cały ich honor to to, że są biedni, ale uczciwi. Czy to jednak aż taka wielka nieuczciwość wynieść z cudzej piwnicy dwieście dziewięćdziesiąt pięć kilo nikomu niepotrzebnych papierzydeł? Jakby to był wielki grzech, to by mu się tak ze wszystkim nie wiodło. A przecież od samego rana leci szczęście za szczęściem. Gdzie tam od rana: od północy!

Zaczęło się od tego, że skobel puścił od razu, jakby tkwił w maśle. Też ludzie są, niech ich: kłódkę dają taką, że trzech Zbychów by jej nie poradziło, a skobel pod tynkiem nawet nie zagięty. To tak, jakby kto dał kraty na okna, a drzwi otworzył na oścież... A potem już poszło gładko. Aniołeczek donosił po dwie paki do schodków, on, Darek, do wózka, a Zbychu jak wyścigowy koń – z wózkiem do płyt i z powrotem. Żywego ducha nigdzie, toteż śmiali się z Aniołeczka, że niby jakiś kasiarz, bo naciągnął pończochę na łeb.

Rano kioskarz pożyczył Darkowi wózek za darmo – może mu głupio, że tak surowo podszedł wtedy do sprawy szyby? Facio ze Złomowca nie oszukał ich nawet na pół deka, pomagał rozładowywać i z wagi sam zanosił paki gdzieś w daleki kąt. Nawet chciał im dać kupony na „atrakcyjne towary”, ale tu Zbychu jakoś się sfrajerował, bo powiedział, że nie trzeba. Aniołeczek go potem za to ochrzanił, mówił, że za kupony można dostać garnki, a za garnki byłby duży zysk, Zbychu jednak uciął, że duży zysk – może, duży kłopot – na pewno. Aniołeczek nie był w Złomowcu, żałował, ale musiał czekać na telefon ze Szczecina, od starych. Na Zbycha dla odmiany czekali starzy, wziął swoją dolę i najbliższym pociągiem pojechał do Bydgoszczy.

A dla Darka zaczął się indywidualny, cudowny fart. Do domu się nie spieszył, najadł się u Jureczka. Więc jak po oddaniu wózka kioskarz nadmienił, że jakby był porządny, to by mu pomógł wnieść skrzynki ze śliwkami, Darek okazał się porządny i wnosił, choć już czuł w kościach paki z makulaturą. Dostał za to wielką torbę bardzo dojrzałych śliwek. Ojcowej wiadać ojciec coś musiał nagadać za to, że nie doczekali się Darka ani na kolację, ani na śniadanie, więc chciała dobrze. Jak zobaczyła śliwki chciała jeszcze lepiej i dała mu z własnej woli trzy dychy. Przy obiedzie (robiła racuchy z tymi śliwkami!) wyjaśniła nie pytana ojcu, że Darek wrócił późno, a wyszedł wcześniej, bo złapał robotę u kioskarza. Ojciec go pochwalił i też najwyraźniej chciał dobrze, bo sięgnął do kieszeni. Ale tego już dla ojcowej było za dużo: ja już mu dałam – powiedziała, gangrena taka.

Żeby sobie udowodnić, jak ma za nic jej pieniądze, postanowił je przetracić w automacie. Dwie dychy przegrał, ale przy trzeciej zawarczało i wypadło pięć!

Jeśli to nie był znak z nieba, to już nie wiem co może być! – myślał teraz, leżąc na piasku. – To niemożliwe, żeby nie był. Od początku wakacji wszystko mi szło jak krew z nosa, a teraz jak się odwróciło, to się odwróciło! Tak się przecież zdarza!

Ale to niezwykle szczęście bardziej go niepokoiło niż myśl o nieczystym początku fartu. Za dużo szczęścia to też niedobrze, mówiła matka. Jak by tu wypróbować, czy to prawdziwy fart, czy zmyłkowy?

Plażę opuszczoną przez „stonkę” zajmowały coraz energiczniej mewy. Łaziły, podfruwały, biły się, jeśli tylko która co większego znalazła. Darkowi się przypomniało – ze szkoły? z telewizji? – że poganie wróżyli z ptaków. Jak, tego już nie pamiętał, więc wymyślił własną wróżbę: sięgnął do papierowej torby, w której były jeszcze dwa pączki, z jednego odłamał kawałek i rzucając w górę, między krążące mewy, powiedział głośno i szybko: – Jak która złapie w locie, to wygrałam. -Złapała. Na wszelki wypadek rzucił drugi raz: też wygrał. Już chciał: „do trzech razy sztuka”, ale nagle się zniechęcił. – To nie jest prawidłowa wróżba – pomyślał. – Bo zależy tylko ode mnie. Rzucę wysoko, to muszą złapać, nie ma siły. – Czuł jednak taką potrzebę upewnienia się, że naprawdę zaczęło mu iść dobrze, że stanął twarzą do morza, jakby tam w falach krył się jakiś bożek przyszłości, i wyszeptał ze strachem, przez zaciśnięte zęby: – Jeśli znajdę coś, co ma jakąś wartość, to wygrałam naprawdę i na zawsze.

Nigdy nie znalazł nic wartościowego, więc próba była ostra. A jeszcze ją zaostrzył: ruszył w stronę Jelitkowa, na teren przeczesany przecież przez tych od butelek. Pierwsze sto kroków nie dało niczego, potem znalazł dziurawy trampek, potem puszkę po piwie. Zawahał się, czy uznać ją za rzecz wartościową – nie, nie da rady, wgnieciona i porzeczona. Zdechły węgorz, skórki od pomarańczy... – Przecież nie było powiedziane – odpuścił sobie – że ma iść samym brzegiem. Więc zygzakiem, jak tamci. Od brzegu do ogrodzenia przy wydmach, a po drodze: od grajdoła do grajdoła. Wiaderko! Pęknięte. Łopatką! Złamana. Za drutem na wydmie coś się czerwieni. Piłka, na pewno też rozwalona... Bez niewczesnego zapalu przelazł jednak między drutami i wziął do ręki. Nie była rozwalona! Była cała i choć nie skórzana, jak tamta, utracona na targowisku, to jednak z mocnego tworzywa, da się kopnąć.

Więc kopnął. Z całej siły. Poleciała wysoko, płosząc mewy. Popędził, by ją złapać, nim spadnie w piach, mamrocząc coś w kółko. Dopiero, kiedy miał piłkę w ręku, usłyszał, co mamrotał: – mamo.

Do końca dnia już się nic nadzwyczajnego nie zdarzyło, ale też tylko ostatni głupek by chciał jeszcze czegoś. Darkowi wystarczyła pewność, że nie zdarzy się nic złego. I nie zdarzyło się. Sierpień toczył się powoli w stronę września, ubywało „stonki”, wrócili kumple z kolonii, z trzeciego turnusu. Zbychu się nie pokazywał – bardzo dobrze, Anioleczek z mamą pojechał szpanować do Zakopca, świetnie, Grobelna zapomniała o rozdartym rękawie Tomka i była jak przedtem – nie za słodka, ale i nie za kwaśna. Ojciec i ojcowca, normalnie, to się kłócili, to godzili, to doprawiali, to trzeźwili, ale póki były wakacje, Darek się tym nie zajmował. Bardzo ostrożnie wydawał kapitał z makulatury. Choćby był nie wiem jak głod-

ny, nie kupował więcej niż dwa pączki, chyba że mu coś wpadło od kioskarza. Bo kioskarz jakoś jakby go polubił, dawał zarobić – przy rozładunku skrzynek, za pomoc przy zamykaniu budki, a raz nawet zaryzykował i na dwie godziny zrobił Darka sprzedawcą (co prawda w kasie zostawił tylko bilon). Kiedy zaczęła się szkoła, Darek odważył się spytać, czy mógłby, jak w domu są goście, odrabiać lekcje w kącie za ladą. Kioskarz dobrze wiedział, co to za goście, i pozwolił. Darek musiał go o to poprosić, bo nie wiadomo dlaczego skończyły się posiedzenia u Aniołeczka. Aniołeczek w klasie niby tak, niby koleś, ale po szkole manewrował, żeby Darka za próg nie wpuścić.

Bieda zaczęła się w październiku, jak kioskarz zwinął interes, a zaczęły się sztormy. Wichura wszystkich zapędzała pod dach, a już szczególnie zawzięcie tatowych kumpli. Pod taty dach, ma się rozumieć. Darek przyniósł z plaży dwa rybackie kontenerki wyrzucone przez morze, chciał zrobić sobie w pokoju swój kąt, i nawet zrobił, cóż, kiedy ciemno tam było jak w norze, i zimno też. Spytał ojcową, gdzie się podziała lampa, którą matka mu zawsze dawała do odrabiania lekcji, ojcowa się rozwrzeszczała, że niech głowy nie zawraca, ojciec niespodziewanie ujął się za nim i nawet się rozczulił, że taki dobry synek, a uczyć się nie ma jak, ojcowa z pyskiem na niego, że w takiej śmierdzącej budzie nie tylko uczyć się, ale żyć nie można i najlepiej by było, żeby tę całą budę do morza zwiało...

Powiedziała to w złą godzinę. Bo zwiało. Nie „tę całą budę”, tylko dach, ale za to na trzech segmentach czworaku. Sześć rodzin bez dachu nad głową, dosłownie! Toż się zrobił raban!

Przyjechała straż pożarna ściągać przegniłe krokwie, ekipa budowlana kładła prowizorycznie papę, ludzie się awanturowali, jedni chcieli natychmiast nowych mieszkań, inni natychmiast remontu, komisje z Urzędu Miasta też nie były zgodne, burzyć czy naprawiać, jakiś ekspert upierał się, że dachy same z siebie nie mogły runąć, że ktoś im musiał pomóc, zrobił się cyrk i kryminał.

Co dzień coś nowego, co dzień jacyś ważni się kręcili z teczkami i bez, autami i pieszo, nawet mundurowi się pokazali. Darek wcale się nie zdziwił, kiedy wracając ze szkoły zobaczył w kuchni milicjanta. Ojcowa coś mu klarowała, że w takich warunkach... Jak zobaczyła Darka, krzyknęła:

– Coś ty narobił, ty!

– Nic – przestraszył się. – Normalnie, byłem w szkole.

– Wpłynął meldunek o kradzieży z włamaniem do piwnicy docenta Bielskiego przy ulicy Nowej 2 mieszkanie 67. Docent szacuje szkodę na trzydzieści tysięcy złotych – powiedział milicjant.

### **III. Jak się znaleźć, nie zgubić**

Potem, kiedy już było po rozprawie, Aniołeczek, ten judasz parszywy, powiedział, że Darkowi się udało. Że on, Jurek, myślał, że Darka zapudłują do poprawczaka, a tymczasem dali anioła stróża, co się nazywa nadzór sądowy, czyli praktycznie żadna kara. W Darku na taką mowę aż się zagotowało, ruszył bykiem na Aniołeczka, który zbladł jak ściana, ale przytomności nie stracił, bo wrzasnął: – Tylko mnie rusz! Masz nadzór, jeden wyskok i do pudła!

Więc Darek musiał się ograniczyć do „zniewag słownych” (to wyrażenie posłyszał w korytarzu sądu). Lepiej by było, żeby i na to sobie nie pozwolił – Aniołeczek przez zemstę roztrąbił w szkole całą historię, to znaczy właśnie nie całą, tylko poprzekręcaną tak, żeby Darek wyszedł na durnia, co dał się złapać przy wyrywaniu skobla. I znalazło się od razu paru głupoli, którzy zaczęli go przezywać Skobel, a on nawet nie mógł się odmachnąć, bo Aniołeczek uświadomił głupoli, że nad Darkiem wisi poprawczak i musi trzymać ręce przy sobie. Wystarczy jeden meldunek na komisariat i już po nim.

Skąd u tego Aniołeczka tyle podłości, tego Darek nie mógł pojąć. Raz zdobył się na odwagę, upatrzył chwilę, kiedy u Grobelnych była tylko sama babcia, poszedł, i najpierw jej opowiedział, jak to było naprawdę, a potem spytał, jak to możliwe, żeby chłopak, który wszystko ma, nigdy nie jest głodny i nigdy nie jest bity, miał w sobie tyle złości. Babci Grobelnej mógł opowiedzieć, bo ona broniła go przed sądem. Z własnej nie przymuszonej woli zgodziła się na świadka i opowiedziała, jak to u nich naprawdę jest. Ona jedna miała odwagę „się wtrącać”! Bo inni nie, inni nie wiedzieli, nie słyszeli, co się u Banaszaków, czyli u nich dzieje. A ojciec i ojcwowa więcej siebie bronili niż jego, ojcwowa to już całkiem bezwstydnie, wyszło na to, że Darek ma w domu jak Aniołeczek, tylko że jest taki zepsuty. Ale dzięki babci Grobelnej sąd nie uwierzył w takie gadanie.

Babcia Grobelna była zajęta pakowaniem (bo oni należeli do tego stronnictwa, które głosowało za remontem i godziło się przeczekać czas remontu w lokalach zastępczych), ale wysłuchała cierpliwie. Na pytanie odpowiedziała krótko:

– Bo go owies bodzie.

Dopiero widząc, że Darek nie rozumie, rozgadała się:

– To się tak mówi o koniu, wyżartym na owsie, kiedy wierzga i gryzie. Jak jednemu za dobrze, to go rozpusty ciągną. Ale, czemuś ty o tym od razu na milicji nie powiedział, o tym wszystkim, jak on cię namówił, a nawet zmusił?

– Porządny człowiek nie kapuje. Zresztą, co by mi to pomogło.

– Co prawda, to prawda. Ale jego jeszcze Pan Bóg skarże. A nad tobą się jeszcze zmiłuje, musisz wierzyć.

Darek nie chciał, nie mógł wierzyć w zmiłowanie boskie. Uwierzył wtedy, na plaży, kiedy sobie wróżył z ptaków, i co? Przestał się bać, zapomniał o tej nocy w piwnicy i tak się niczego złego nie spodziewał, że nawet nie umiał się wykręcać, a jak mu oficer śledczy stawił do oczu facia ze Złomowca, wywalił kawę na ławę. Tyle tylko skłamał, że pomocników nie zna z nazwiska, bo ich przypadkiem poznał na plaży. Bardzo głupio zrobił, bo wyszło, że on jako miejscowy nadał im ten skok i jest za głównego winowajcę. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to Aniołeczek go wsypał. A potem Aniołeczek go oświecił, żeby w ogóle nie próbował go w sprawę mieszać, bo on ma murowane alibi, a Kłódka jeszcze murowańsze, tak że jest poza wszelkim podejrzeniem i mógłby w y k o n a ć w y r o k, jakby Darek puścił farbę. I poza tym Darek zeznawał fałszywie przed sądem, a za krzywoprzysięstwo się siedzi.

Darkowi dopiero na rozprawie się przejaśniło i powoli sobie poskładał, jakim to sposobem tylko on jeden trafił przed barierkę. Więc tak: Aniołeczek się spietrał od razu, nakłamał im, że czeka na telefon, a naprawdę to nie chciał ryzykować, że go ktoś z łupem i współnikami zobaczy. Miał nosa, trzeba przyznać! A Zbychu-Kłódka w Złomowcu, przy jasnym dniu, skapował, że to nie żadna zwykła makulatura, tylko coś, co ma o wiele większą wartość, i dlatego zaraz prysnął. Facio ze Złomowca też wiedział co bierze: paki z tygodnikami rzucał między zwykły chłam, ale te mniejsze, z książkami, od razu zabezpieczył. Boże, Boże, żeby te książki były ładniejsze, to by ich nie brali, baliby się. Kto mógł pomyśleć, że to jakieś tam roczniki, których od dwudziestu lat już nigdzie nie można dostać?

O te roczniki właśnie docent się wściekł i przysięgał, że nie popuści, i rozpytywał ciągle i wszędzie. Sprawa wyglądała na beznadziejną (dla docenta, znaczy się), bo w ogóle odkrył stratę dopiero pod koniec września, a jeszcze później wydusił od dozorczyń, jacy chłopcy według niej weszli po piwnicach. Dozorczyń parę sobie przypomniała, między innymi Aniołeczka. A Aniołeczek, żeby od siebie odwrócić podejrzenie, nadał docentowi Darka. Docent, trzeba przyznać, tak od razu nie dał się nabrać, zaciągnął Aniołeczka do Złomowca. Facio ze Złomowca, owszem, przypomniał sobie dwóch chłopaków z wózkiem i kupą makulatury, tak pod koniec wakacji, ale tego tu, niby Aniołeczka, widzi pierwszy raz. No pewnie, nadał się Aniołeczek, tu on nigdy nie bywa, a w ogóle pod koniec sierpnia był z mamą w Tatrach, może udowodnić. Przed Darkiem przechwalał się swoim sprytem, no i szczęściem, że ten ze

Złomowca nakłamał. Bo facio pytany przez docenta, gdzie ta makulatura, odpowiedział, że właśnie tego samego dnia zabrali do centrali, a to właśnie była nieprawda, data była o parę dni późniejsza, i wtedy Aniołeczek naprawdę był w Zakopcu. A złomiarz miał dobre powody, żeby trajlować: „o, proszę, tu jest zapisana data. Żeby nie to, to on by oczywiście się przyjrzał, bo jemu to się trochę też wydało podejrzanym, ale co, tu już wóz czeka, szofer pogania, pan rozumie”... Już on tam, łajdak, przejrzał dokładnie i spylił, nie na wagę, ale na sztuki, tylko nikt mu nie udowodni.

Więc docent, widząc, że majątku nie odzyska, zawziął się na Darka. Darka w Złomowcu poznali od razu, po pierwsze, faktycznie go widywali, z butelkami, po drugie – przyprowadził go milicjant, a przed milicjantem facio chciał się zasłużyć. Ludzie są podli, szachrują, kantuja, a jak co do czego, to kręcą i zwalają na innych.

To właśnie powiedział Darek kuratorce, kiedy go spytała, jakie wyciąga wnioski z całej historii.

Kuratorka westchnęła – spodziewała się widać innej odpowiedzi. Darek chciałby jej nawet sprawić przyjemność i powiedzieć coś, co by chętnie usłyszała. Ale tu, w tej kuchni, która tyle widziała kłamstw i wykrętów, i pogroźek, i wyzwisk, te oczekiwane przez kuratorkę słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Darek wie, że ona nie jest najgorsza i w ogóle ten „nadzór” okazuje się do zniesienia. Pani kuratorka czasem wpadnie do domu, czasem przyłapie wychowawczynię, popyta o postępy w nauce i o zachowanie, rozejrzy się po kątach i już jej nie ma. No, bo co też ona więcej ma zrobić – ulitował się nad nią. – Pewnie, jakby mogła powiedzieć hokus-pokus i wyczarować mu pokój z biureczkiem, taki, jaki ma Aniołeczek, a na drugie hokus-pokus ojca, co by nie pił i nie bał się głupiej baby, to by zaraz wyczarowała. Ale przecież nie może. I tak właściwie dużo działała: ojcowi musi teraz pamiętać, żeby Darkowi dać zjeść o właściwej porze, a ojciec urzęduje pijatyki tylko w sobotę i niedzielę. Nie, już za to należy się wdzięczność kuratorce. Przerwał milczenie:

– Pewnie, nie wszyscy są podli. Stara Grobelna nie, i kioskarcz też jest w porządku. Oni mnie bronili. Kioskarcz nawet powiedział więcej, niż było. On mnie tylko raz zostawił samego z pieniędzmi, a mówił, że często.

– Więc ty uważasz za dobrych tych, co cię bronią, a za podłych tych, co cię oskarżali. A czy się zastanowiłeś, że docent Bielski miał prawo dochodzić sprawiedliwości? Zrobiłeś mu szkodę nie do naprawienia.

– Ale ja nie wiedziałem, że te papierzyska takie dla niego ważne. Już mówiłem. A co na tym wygrał, że mnie złapał? Książek i tak mu nie wróciło, I nic mu z tego, że mnie teraz przezywają Skobel.

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że nie wolno kraść? – zdenerwowała się kuratorka.

– Zawsze rozumiałem. To miało być ostatni raz.

– Przyrzeknij mi, że to było ostatni raz.

– Ja będę się starał – odpowiedział z ociąganiem. Z ociąganiem, bo mu już dojadły te przyrzeczenia: ojcu przyrzekał, wychowawczyni, starej Grobelnej, temu zaciekłemu docentowi też.

– Ciężki z ciebie przypadek. – Kuratorka znowu westchnęła. Co ona tak wzdycha i wzdycha? Poszłaby już sobie.

Ale kuratorka, zdaje się, postanowiła wykorzystać do dechy szczęśliwą okazję, że ojca z ojcową coś zatrzymało na mieście i że jest z Darkiem sama. Może chce się czegoś więcej dowiedzieć? Dobrze, niech się dowie.

– Ja, ciężki przypadek? – uniósł się. – Pani to powinna dostać pod opiekę takiego Aniołeczka. Z nim by pani osiwiła.

Wyobraził sobie tę bardzo młodą kobietę, jak siedzi przed Aniołeczkiem i siwieje. Zaczęło mu się śmiać. Potrafił się jednak powstrzymać i z poważną miną ciągnął dalej:

– Ja, proszę pani, jaki jestem, taki jestem, dobrze, dałem się wciągnąć, ale sam nikogo do złego nie namawiam, I nie kłamie, sama pani przyzna.

– A, to ci wszyscy mieli za plus, sędzina i docent też. W końcu dobrze na tym wyszedłeś.

– Ci co kłamali, jeszcze lepiej.

Kuratorka coś pokojarzyła, zamiast prawić dalej morały, spytała:

– Kto to jest Anioleczek?

– Pani go nie zna i nie pozna. On nigdy nie stanie przed barierką. Za cwany, skurczybyk przeklęty.

– To czemu go kryjesz? – kuratorka kojarzyła coraz lepiej! – Jak on się nazywa naprawdę?

– Nie powiem. Żeby mi dołożyli za krzywoprzysięstwo?

– Kto ci takich bzdur naopowiadał?

– Tak słyszałem – powiedział ostrożnie, żeby nie skłamać, a prawdy nie powiedzieć.

Kuratorka znowu miała ochotę westchnąć, najwyraźniej! Ale jakoś obróciła westchnienie w chrząknięcie i zmieniła temat.

– No, a powiedz, jak ci teraz idzie w szkole?

– Normalnie, jak przedtem.

Co jej ma opowiadać, że na przerwach sterczy jak ten palec pod oknem, bo jednym rodzice zabronili się z nim stykać, a przed innymi sam się chowa – przed tymi, którzy wiedzą, że im nie może przylać, więc chcieliby się czepiać.

– A w domu?

– Co w domu? Normalnie, jeść mi dają. Proszę pani – zdobył się nagle na odwagę. – Czy nie dałoby się tak zrobić, żeby oni sami się przenieśli na to nowe mieszkanie, a ja bym tu został? Jakby mi ojciec dał na jedzenie, to ja bym sobie poradził. Przecież już jestem w szóstej klasie.

– Nie, to jest wykluczone. Absolutnie niemożliwe. Ale przecież w nowym mieszkaniu będzie ci lepiej.

– Nie będzie. Żeby to było większe mieszkanie, to może. Jej będzie lepiej, bo ciepła woda i w ogóle. Dla mnie żadna różnica – tak samo pokój, kuchnia, w dodatku mniejsza.

– Jak to, przecież wam się należy M3.

– Nie należy, bo ona z ojcem na kocią łapę i nie zameldowana, i jeszcze nigdzie nie pracująca. W każdym razie na stałe. A w ogóle to tym „z wypadków losowych” dają najgorsze mieszkania. Już ja to wiem dobrze, przecież wciąż tu teraz się o tym gada, na okrągło. Ona jest wściekła, ale nic nie poradzi. W spółdzielni jej powiedzieli, żeby wracała do Smętowa, do starego męża. Akurat ona wróci! Na gospodarkę, gnój rozrzucić?

Teraz kuratorka zamilkła. Myślała, myślała, może by coś wymyśliła, ale wrócili ojciec z ojcową. Ojcowa zaraz się zrobiła na słodką, zaczęła przepraszać, że stół nie nakryty, i do Darka:

– Mogłeś, Dareczku, choć herbaty zagotować. Taki duży chłopiec, a się nie domyślił!

Darek nic nie powiedział, przeniósł się na swoją leżankę pod ścianą i tylko słuchał paplania ojcowej, popatrując na kuratorkę. Da się nabrać czy nie? Nie, ona jest młoda, ale nie jest głupia, to widać po jej minie. Odczekała, aż ojcowa skończy o herbacie, jak ją z poświęceniem wystąpiła w kolejce, i zwróciła się do ojca:

– Czy pan kupił już lampę dla Darka?

– No nie, jeszcze nie – wybąkał ojciec, a ojcowa zaraz go zagłuszyła, że proszę pani, w tym kryzysie to nic nie można dostać, ona lata i lata za tą lampą i nic. Ale po przeprowadzce, to się postawi na głowie, żeby zdobyć. W nowym mieszkaniu będzie wszystko jak należy.

I jak zaczęła o mieszkaniu, tak zaraz się czepiła gościa:

– Swoją drogą, niech pani magister sama powie: czy to sprawiedliwe, że nam nie chcą dać dwóch pokoi? Tym spod trójki przyznali, chociaż to młode małżeństwo, bez dzieci. A my to

już do śmierci mamy się gnieść na kupie? Może by pani była taka kochana i wytłumaczyła tym w spółdzielni, że dla dobra Dareczka, przecież on jest „zagrożony”...

Kuratorka powiedziała, że spróbuje, i szybko zaczęła się żegnać. Ojcową pogoniła Darka, żeby grzecznie wstał, choć już wstawał. Zołza jedna, wciąż udaje, że dba o jego wychowanie! Kuratorka jakoś sprytnie znalazła się blisko Darka i powiedziała cicho:

– Ja rzeczywiście spróbuję! A ty się zanadto nie martw, nowe ściany, nowe życie. To tak, jakbyś zaczął zeszyt od początku.

Darkowi nieoczekiwanie zrobiło się smutno, kiedy kuratorka poszła. Nie tylko dlatego, że ojcową zaraz na niego napadła:

– Musiałeś naklepać o tej lampie! Robię, co mogę, żeby tę sikse dobrze nastawić, a ty tak! Teraz jeszcze pomyśli, żeśmy niewarci lepszego mieszkania!

Ty na pewno! – pomyślał mściwie Darek. – Ciekaw jestem, czy kuratorka naprawdę będzie się starać o pokój dla mnie. Wszystko jedno, i tak nic nie wskóra.

Bez słowa wyszedł z kuchni do ciemnego pokoju. Siadł na skrzynce pod oknem i wyjrzał na ulicę. Była biedna, ledwie oświetlona, zadeszczona, koślawa. Niby nie ma czego żałować. Jednak on dobrze wie, czemu nie chciałby stąd odejść. Tu są jeszcze ludzie, którzy pamiętają jego matkę. Tu jest jeszcze wszędzie jakby cień matki. Czy ten cień znajdzie drogę do nowego osiedla, tam, gdzieś daleko, za Wrzeszczem?

– Mamo, nie zgub się! – wymamrotał.

A jednak „kochana pani magister”, jak kuratorkę nazywała ojcową w oczy, a „siksa”, jak za oczami, potrafiła się postawić! Tydzień przed przeprowadzką przyleciała ucieszona i oznajmiła, że udało jej się załatwić dla nich większy metraż.

– Oczywiście ja nic bym nie poradziła, ale nacisnęłam pewne sprężyny – wyjaśniła podniecona. – Okazało się, że w tym bloku, w którym państwo mają mieszkać, było przewidziane pomieszczenie na pracownię dla plastyka. Na najwyższym piętrze, 40 metrów, łazienka i wnęka kuchenna. Plastyk poczeka, dostanie w następnym bloku, a wy już się możecie urządzać!

– Znaczą się, na strychu? – rozczarowała się ojcową.

– Można to tak nazwać. Ale tam jest ślicznie! Co za widoki! Na wschód i na zachód! Sama bym chciała tam mieszkać!

– No, ale mówi pani, że nie ma kuchni! – kręciła nosem ojcową.

– Wszystko można zrobić. Ja państwu narysuję.

Wyjęła długopis, rozejrzała się za papierem. Darek podsunął jej szybko zeszyt od rachunków. W miarę, jak kuratorka rysowała, nadzieja napływała mu do serca. Te czterdzieści metrów dałoby się łatwo podzielić na kuchnię i dwa pokoje, jeden duży, drugi mały.

– Ale to by nie było przedpokoju – ojcową była nie przekonana. – I jakie koszty.

– Tu też nie ma przedpokoju, a żyliście tyle lat – zdenerwowała się kuratorka. – A co do kosztów, to coś pan przecież może dla swojego dziecka zrobić – zwróciła się wprost do ojca.

– Ma się rozumieć – przytaknął skwapliwie. – Takie przepierzenie to ja przecież sam umiem zamajstrować, bylebym tylko miał materiał. Bardzo dziękuję szanownej pani za starania.

Wstał i pocałował w rękę „szanowną panią”. Kuratorka obiecała, że po przeprowadzce zaraz ich odwiedzi, żeby tylko Darek do niej zadzwonił. Numer telefonu zapisała mu w zeszytce.

Po jej wyjściu Darek chciał się dokładniej przyjrzeć planowi w zeszytce, ale ojcową zabrała mu go sprzed nosa i dalej wrzeszczała na ojca, że fujara, że daje się zapędzić na strych, że mu ta „siksa” zawróciła w głowie i dlatego taki grzeczny. Inni mężowie umieją zdobyć dla rodziny eleganckie mieszkania, a on... Na to ojciec się wkurzył i ryknął:

– To jedź do swojego, do Smętowa, jak ci się ze mną nie podoba.

Darek wiedział, że ojciec tylko straszy, ale wiedział też, że straszenie na jakiś czas pomaga. Ojcową przycichła i do przeprowadzki była znośna. Dzięki Bogu i za to.

Opuszczali Zieloną chyba ostatni. Był cichy, słoneczny dzień, jaki czasem trafia się po Wszystkich Świętych, jakby na przeprosiny dla tych, którzy namarzli się na cmentarzu. Tego roku ojciec z Darkiem wybrali się na cmentarz za późno, już robiło się ciemno, w dodatku tłum był ogromny, w tym tłumie się pogubili i Darek sam nie potrafił odszukać grobu matki. Chociaż postanowił sobie twardo, że w żadne znaki nie będzie wierzył, na myśl o tym wydarzeniu jakoś mu się teraz serce ścisnęło.

Ojciec już wołał z szoferki, żeby wskakiwał na skrzynię, a Darek wciąż się ociągał. Chciałby się z kimś pożegnać, bo jak to tak – wsiąść, pojechać i cześć? Żegnać się nie było z kim, Grobelnych już nie było, budka owocarza zabita gwoździami. – Zaraz, zaraz – zawołał do ojca i wbiegł do mieszkania, po którym tylko walały się śmieci. Nie było tam niczego, co by się nadawało do zabrania na specjalną pamiątkę. Nie, jednak jest! Na futrynie wisiał klucz od komórki z opałem. Żeby się nie mylił z innymi kluczami, matka przyczepiła do niego gumowe kółko z zepsutego Darkowego autka. Wsunął klucz z kółkiem do kieszeni i starając się nic przy tym nie myśleć (żadnych wróżb!) wrócił na ulicę. Silnik już warczał, ledwie wskoczył na skrzynię, pojechali.

Nowy blok był w trakcie zasiedlania: hałas, ruch, przepychanki przy windach, zatory na schodach. Ojcową pilnowała większych gratów na dworze, narzekając, że kiedy się to wreszcie skończy. Darek z ojcem wszystko co można było, nosili w rękach na to najwyższe piętro. Na szóstym ojciec wskazał otwarte drzwi i powiedział: to jest to, co najpierw miało być nasze. Darek postawił krzesła i zajrzał: w środku dość dużego pokoju (ale mniejszego niż ich dawna kuchnia) stało dwóch zmieszanych panów z teczkami i dwie kobiety. Starsza, siwa, krzyczała do panów: – To co, ledwie cudem odzyskałam przydział i znowu mi odbieracie? – Młodsza, też cała w nerwach, wołała, że nie pójdzie rodzić dziecka pod płotem.

Jezus, Maria – przeraził się Darek – przecież one mogły tak na nas krzyczeć, niewiele brakowało. Chwycił krzesła, dogonił ojca.

– Tato – wysapał. – Wnośmy szybciej, bo jeszcze nam się ktoś włada na dziko!

– Nie pleć! – niby uspokoił go ojciec, ale postawiwszy kosz z bielizną, nawet nie otarł czoła, tylko zawrócił po następną porcję.

Darek rozejrzał się. Dziwnie tu wyglądało, okna z dwóch stron, wysoko, trzeba się wspierać na palce, żeby wyjrzeć. Z zachodniego widać było lasy na wzgórzach, ładne, owszem, ale co mu tam las. Podszedł do drugiego i aż go zatkało: pierwszy raz w życiu zobaczył Gdańsk, w całości, jak na dłoni. Morza nie było widać, tylko dźwigi. Może stoczniowe, ale może z portu? Zdecydował szybko, że chce swoje miejsce mieć przy tym oknie, i od razu przytaszczył tam leżankę. Mogłem ją wyczyścić przed przeprowadzką – zawstydził się, kiedy ze starego grata wzbil się kurz. W ogóle wszystkie graty brudne, Ojcową była zajęta polowaniem na szyk-wersalkę i ani jej w głowie było, żeby nadać meblom lepszy wygląd. A teraz ludzie, tam na dole, patrzą na nich jak na ostatnich...

– Co się tu guzdrzesz? – usłyszał od drzwi. Ojcową! – Jazda na dół, zaraz będziemy mieć windę!

– Ja tu będę mieszkał – pokazał leżankę. – Przy tym oknie.

– Dobrze, dobrze – zbyła Ojcową. – Zjeżdżaj na dół.

Na dole wziął się z ojcem za szafę – jakoś ją upchnęli w windzie. Stoły też jakoś poszły, ale kuchenny kredens – żadną miarą. Zawieźli więc resztę rzeczy, Ojcową gospodarzyła na górze, ojciec poszedł po kumpli, żeby pomogli wnieść kredens. Darkowi kazali pilnować tego skarbu.

Był już zmęczony, więc przysiadł na kaloryferze i gapił się na ludzi. Na niego nikt nie zwracał uwagi, za to na kredens owszem.

– Że też ludzie takie coś ze sobą wloką – powiedziała jakaś kobieta.



– To pewnie kwaterusy – odpowiedziała jej towarzyszka. – Porządny człowiek latami czeka na mieszkanie, a takim, co palcem nie kiwną, tylko czekają, aż im się buda rozleci, to dają od ręki. Gdzie tu sprawiedliwość!

Jeszcze nas tu nie znają, a już nie lubią – pomyślał. – Nie będę miał życia.

Znowu zajechał wóz – tym razem nie jakiś star, ale prawdziwy meblowy, a za nim fiat. Z fiata wysiadło małżeństwo i dwie dziewczyny, z meblowego wyskoczyło czterech chłopów – rozpakowywanie szło tak szybko i sprawnie, że aż przyjemnie było patrzeć. Darek podniósł się z kaloryfera i wyszedł, chciał przyjrzeć się z bliska. Machinalnie wyjął z kieszeni kluczyk z kołkiem, kręcił nim na palcu i medytował, że nieźle jest tym, którzy mają takie meble, fiata i ludzi do roboty. Segmenty znikwały w windzie jakby pies kiełbasę połykał, niebawem na piętrze przed domem został tylko stolik z poplamionym blatem i dwa wiklinowe fotele. Na jeden musiało coś spaść w czasie transportu, bo miał dziurę w oparciu.

Pojawił się właściciel ze starszą córką.

– Patrz, już wszystko na górze – stwierdził z satysfakcją. – To zostawmy – wskazał na resztę mebli – od razu mówiłem, żeby nie brać.

– Ale ja tak lubię te fotele – upierała się dziewczyna. – Będą na balkonie!

– Widzisz, że połamane! Kupi się nowe.

– Tylko jeden połamany!

– No to weź ten cały i wracamy. Dużo roboty nas jeszcze czeka. Darek sprężył się i ledwie zniknęli w windzie, buch, zabrał na jeden raz i stolik, i fotel, i szybko – do drugiej windy!

Ojcowa, jak go zobaczyła z tym majątkiem, spytała ostro:

– Skąd to masz? Żeby znowu czegoś z tego nie było! Opowiedział, skąd i jak, Ojcowa zadumała się, a potem powiedziała:

– Stolik będzie pod telewizor, a fotel stanie koło wersalki.

– Nie. Stolik jest mój i fotel też i będą stały w moim pokoju. A mój pokój będzie tu – przeciągnął obcasem po zakurzonej wykładzinie. – Na razie odgrodzi się od reszty kredensem, a potem ojciec zrobi przepierzenie.

– Co się rządysz, smarkaczu!

– Rządzę się, bo mam prawo. Większe niż ty.

Ojcową zatkało. Spojrzała na Darka, jakby go pierwszy raz zobaczyła. Bo też taki nigdy nie był: wyprostowany, z błyskiem w oczach, z jedną ręką w kieszeni, z drugą zaciśniętą w pięść i prawie już podniesioną.

– Chojrak się znalazł – zaśmiała się szyderczo, ale niepewnie. – No dobrze, niech ci będzie.

Darek wziął w prawą rękę stolik, lewej nie wyciągał z kieszeni. W spoconej dłoni wciąż ścisnął kluczyk z gumowym kółkiem. – Ten klucz mi pomógł – myślał. – Bez niego byłbym jak głupie ciele.

Potem, kiedy ojciec z kumplami wnieśli i ustawili kredens (tak jak Darek chciał) i zaczęli normalną konsumpcję „żyta”, Darek przyniósł z łazienki wiadro z gorącą wodą, wyszorował plecy kredensu, podłogę i wszystko. Na koniec wyszukał młotek, haki i gwóźdź, wbił gwóźdź w kredens i zawiesił kluczyk. Zlustrował swoje dzieło – nieźle!

Podszedł do biesiadujących, wziął sobie chleb z salcesonem i ogórka i zjadając zwrócił się do ojca:

– Tata, późno się robi, ja bym chciał się wykapać i położyć. Niech ojcowa mi pokaże, w którym tłumoku moja pościel, i da jakąś zasłonkę, żebym mógł się odgrodzić. A ty wbij haki w ścianę i kredens. O, tam leżą.

Ojciec patrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Wreszcie dotarło do niego i niespodziewanie się rozczulił:

– Mój biedny synek chce spać! Pewnie, narobił się jak stary! Patrzcie, chłopcy, jaki se salon urządził. Byś się od niego mogła uczyć! – zgromił ojcową. – Dali, rusz się, pościel mu,

Ojcwowa szybko zrobiła co kazał, ona dobrze umie wyczuć, kiedy się stawiać, a kiedy się zgadzać. Tyle jednak sobie odbiła, że na zasłonkę dała najgorszy, dziurawy i poplamiony obrus, słusznie uważając, że nikt się na tej szykaniu nie pozna. „Chłopy” koślawo, bo koślawo, ale zawiesili sznur, zasłonkę już Darek sam przypiął agrafkami. Potem wyrzucił z wanny jakieś klamoty, długo się chlapał, wreszcie zakopał się w pościeli, starając się nie słyszeć wesolego śpiewu: „Przepijemy naszej babci domek śliczny”. Nie, to było nie do wytrzymania. – Wreszcie im się znudzi – pocieszał się – odczekam, I tak dzisiaj tyle zwojowałem, co nigdy.

Leżał więc z otwartymi oczami, patrząc ponad zasłonką na ćmiącą u sufitu żarówkę i chmury dymu papierosowego wokół niej. A gdy to mętne światło go zmęczyło, przeniósł wzrok na „kredensową ścianę”, gdzie słabo połyskiwał kluczyk i czerniało kółko. – Żeby to był czarodziejski klucz – snuło mu się po zmęczonej głowie – to bym przekręcił nim w powietrzu i zaraz by wyrosły ściany do samego sufitu i takie segmenty, jak mieli tamci... A może jednak coś w nim jest? Miałem go w ręku, jak zdobywałem graty i jak ustawiałem ojcwą. Klucz zwycięstwa, tak się będzie nazywał!

Jak na razie, klucz przyniósł mu zwycięstwo tylko w dzień przeprowadzki. No, może jeszcze w szkole – udało mu się zabłysnąć na matmie, co prawda tylko dlatego, że w nowej szkole ze wszystkimi przedmiotami byli do tyłu – to zadanie, które popisowo rozwiązał przy tablicy, przeorał z mozołem trzy tygodnie wcześniej w kuchni na Zielonej. Darek prawie nie potrzebował odrabiać lekcji, wystarczyło sprawdzić w zeszytach, czy w dawnej szkole to przerabiali. Sprawdzał zawsze, bo nie chciał podpaść. Chociaż w tej szkole trudno byłoby podpaść: ciągle przychodził ktoś nowy, to lekcje wypadały, to ich przenosili z jednej sali do innej, to z pierwszej zmiany na trzecią, to łączyli po dwie klasy w jednej sali, co już było zupełną robotą głupiego, bo nim podociskali podwójną ilość krzeseł przy stołach, to pół lekcji schodziło, a drugie pół też było nic nie warte, bo wszyscy kręcili się i gadali.

Na jednej takiej łączonej lekcji, kiedy Darka klasa walczyła siłą i podstępem o lepsze miejsce z doczepioną im szóstą E (albo F czy G czy którąś, diabli wiedzą, ile ich w końcu było), Darek popchnięty mocno przez najeżdżącą z krzesłem na głowie usłyszał równocześnie:

– Skobel, łajzo jedna, nastąp się!

Rozpoznał Bobrka, kolegę z dawnej klasy i sąsiada z „czworaka”. Nigdy się nie lubili, właściwie bez przyczyny; zwyczajnie – nie lubili się i już. Mimo to ucieszył się trochę ze spotkania znajomka, przesunął swoje krzesło do oporu i powiedział:

– Cześć, Bobek! Was też tu gdzieś przekwaterowali?

To był błąd. Bobek nie cierpiał urągliwego przekręcania nazwiska i choć przecież on zaczął z przezywaniem, z mety się obraził:

– Tylko nie Bobek – wysyczał cicho, a głośno ryknął: – To ciebie jeszcze nie posadzili, Skobel?

„Miało być – nowe ściany, nowe życie” – przypomniał sobie Darek z goryczą słowa kuratorki, jednak przytomnie kopnął Bobka w gołęń i powiedział:

– Sam się posadziłem, widzisz przecież!

– Co kopiesz, Skoblu złamany! – wrzasnął Bobrek.

– Ja? – udał niewiniątka Darek.

– Ty, bandziorski Skoblu!

To już zwróciło uwagę nowych kolegów.

– Czemu „Skoblu”? – spytał jeden z nich, a inni nadstawili uszu.

– Bo... – zaczął Bobek, ale dostrzegł przymrużone z wściekłości oczy Skobla i jego pięść wciśniętą znacząco w podbródek, więc się zacukał:

– Bo, tego... Bo on mieszkał w budzie zamykanej na skobel.

– W takiej samej jak ty – odparował Darek.

– A właśnie że nie...

Weszła nauczycielka, dyskusja się skończyła. Darek wykorzystał to i szybko nabazgrał do Bobka ostrą notę na okładce zeszytu: „Jak piśniesz, mordę skuję”, podsunął sąsiadowi do przeczytania i zaraz zamazał długopisem. Bobek wycedził szeptem: „Przecież nie piśłem”, ale na przerwie jeszcze z trzy razy nazwał Darka Skoblem, tak że już pół klasy znało przezwisko i niektórzy zaczęli je powtarzać.

„Lepszy Skobel niż Bobek” – pocieszył się Darek i postanowił nie indyczyć się o przezwisko. Na swój sposób było ono praktyczne: w klasie było czterech Dariuszy i cztery głowy się obracały, gdy ktoś krzyknął „Darek”. Dla wygody, by na próżno łbem nie kręcić, jeden Darek sam się pozbył imienia i kazał wołać na siebie Big Ben (z czego wprędce zrobił się swojski Byk i – uprzejmiej – Benio). Inny wywojował sobie dostojną formę „Dariusz” i nie drgnął, gdy ktoś zwracał się do niego inaczej, na przykład Jasiu, od nazwiska – Jasiak. Mógł sobie na to pozwolić, bo należał do najwyższych w klasie, a słaby też nie był – gdy mu ktoś zanadto już bzyczał koło ucha, potrafił natręta zmyślnie złapać za przegub i dosłownie rzucić na kolana. To było gorsze niż najcelniejszy cios, bo ośmieszało. Dziewczyny wtedy pękały z uciechy i wołały do pokonanego: „Dobrze ci tak chwalipięto” albo jeszcze gorzej. W ogóle dziewczyny miał Dariusz za sobą, bo nie dość, że wysoki i mocny, ale jeszcze ostrzyżony, domyty i jakoś tak „ogólnie świeży”. Mieć dziewczyny za sobą – to wcale nie jest byle co. Baby bo baby, ale przydać się mogą.

W kotłującej się masie uczniów ten właśnie Dariusz Jasiak przyciągał uwagę Skobla. Głównie dlatego, że był spokojny. To znaczy, żaden tam grzeczny uczeń (choć jechał na czwórkach), co to rączki na ławce, zeszyt z obrazkiem i „proszę pani, on się bije”. Nie, po prostu Dariusza nie roznosiło jak innych, nie rżał z byle głupiego powodu „ja cie” i „o, ja!”. Był uczynny, ale też tak na .spokojnie, bez nadszkalowania ani bez zadzierania nosa. No i nie kazał się odwdzięczać, jak niektórzy z chłopaków, którzy za pożyczenie kredki zaraz na najbliższej przerwie chcieli fajkę.

Jasiak mieszkał w sąsiednim bloku, więc czasem wracali razem ze szkoły, a że był już zasiedziały osiedlowcem (jego rodzina sprowadziła się jeszcze przed wakacjami), udzielił nowemu koledze paru cennych wskazówek.

– Jak potrzebujesz czegoś z papierniczego, to albo do Wrzeszcza, albo na „Aline”.

– Aline?

– Tak, te osiedla tu nazywają się po alfabecie. Najstarsze, tam niżej na A – „Alina”, nasze – „Barbara”, to w budowie – „Celina”. Spiesz się z ta „Celiną”, wszystko od nas zabrali, widzisz: szkoła rozbabrana, sam ledwie z ziemi wylazł i stanął. Na „Alinie” jest sam, ale w samie nic nie ma i wciąż kolejki. Jak masz jakieś większe zakupy to jedź do Wrzeszcza.

– Zakupy to już ojcwowa robi – wyrwało się Darkowi.

– Ojcwowa? – zdziwił się Dariusz. – Tak mówisz na matkę?!

– Matki nie mam. A ojcwowa to taka właśnie... ojcwowa.

Dariusz jakby się zmieszał i więcej nie pytał. Właściwie szkoda -Darek nie bez zdziwienia odkrył, że temu właśnie spokojnemu, cichemu chłopakowi chętnie by o sobie opowiedział. Żeby wreszcie wywalić wszystko z siebie, tak jak się wywala graty z szuflady na stół, żeby zobaczyć, co tam w niej właściwie jest, i zrobić porządek.

Porządek! To jest słowo, które pasuje do Dariusza. Nie „cichy”. Dariusz wcale nie jest cichy (jak trzeba, to potrafi huknąć!), ale „w porządku”. Poskładany. On już tam nigdy nie zrobi na przezwisko „Skobel”.

Jak przed chwilą miał ochotę założyć koledze gadkę o sobie, tak teraz, patrząc z progu bloku na jego oddalające się plecy, zapragnął dowiedzieć się czegoś o nim. Kim są jego rodzice, gdzie mieszkał przedtem i w ogóle. Na Zielonej nie odczuwał takich pragnień, po co? Jednych znał od zawsze, jak choćby Bobek, innych od pierwszej klasy, a jak przyszedł ktoś nowy, to go cała klasa szybko i sprawnie zbiorowym wysiłkiem rozpracowała. Tutaj zaś

wszyscy są nowi i nikt nikogo nie obchodzi. Tak, blokowisko to inny świat, nie to, co ich małe uliczki w starym Brzeźnie. Może nawet lepszy, tylko trzeba się o tym przekonać.

Wjechał na swoje wysokości, rozważając w windzie plusy i minusy nowego miejsca zamieszkania. Jeden plus był nie do obalenia: ciepła woda. Darek nawet nie podejrzewał, że tyle będzie miał uciechy z łazienki. Kapał się co dzień, aż to złościło ojcową, ale nic nie mogła powiedzieć, bo woda była za darmo. Jak już nie mogła się pohamować, to wypędzała go z łazienki, że niby ojciec ma się kąpać albo ona musi zamoczyć pranie. „Proszę bardzo – mówił wtedy. – Może wreszcie będę miał czystą koszulę”. „Sam byś sobie mógł już prac” – odwarowała mu raz ojcową, co – o dziwo – oburzyło ojca:

– A ty, po co jesteś? – huknął. – Za co chleb jesz?

Zrobiła się pyskówna na sto dwa, Darek przysłuchiwał się jej z rozbawieniem, trochę nawet podpuszczał ojca, bo ojciec był górą. Zanosilo się prawie na to, że obaj, jak się zblatują, albo uskromnią Jadżkę, albo baba się wścieknie, trzaśnie drzwiami i pójdzie, co byłoby najlepsze.

„Najlepsze się nie zdarza” – pomyślał teraz, rozglądając się po zapuszczonym mieszkaniu. – „Baba poszła, ale do pracy, cwaniara!”

Cwaniarstwo ojcowej polegało na tym, że znalazła sobie posadę sprzątaczką w domu towarowym we Wrzeszczu. „Wielka mi posada” – próbował najpierw kpić ojciec, ale wprędce przestał, skoro na stole zaczęły się pojawiać lepsze wędliny kartkowe w ilościach przekraczających normę, ciasta, kawa i flachy z winem. Te flachy to były prezenty – od jakichś bab, które co rusz to nawiedzały ojcową, przekładały coś z jej przepaścistych toreb do swoich, płaciły ciężki szmal i jeszcze dziękowały. Darek miał nadzieję, że to kradziony towar i pewnego dnia ojcową zamkną. Jakoś jednak nie zamykali, przeciwnie, któraś pani magistrowa załatwiła jej stały meldunek. A jak już się zameldowała, od razu pokazała, kto tu rządzi, i ojciec stał się pokorny jak baranek.

– Niech rządzi, kurdemol, niech nie sprząta, ale niech chociaż ściele te wyra – powiedział półgłosem, gdy rzuciwszy teczkę na fotel i ubrawszy kapcie wyszedł ze swego kąta. Trzymał się twardo zasady, że za ojcową sprzątać nie będzie, ale nie mógł patrzeć na rozbebeszone łóżka, nienawidził ich, rzygać mu się chciało na ich widok. Więc szybko, byle jak, wygładził pościel i zarzucił kapą. Po czym poleciał do łazienki umyć ręce.

W wannie kisiło się już od dwóch dni pranie: „Nie dość, że muszę łązić w brudnej koszuli, to jeszcze ta na zmianę mi zgnije” – rozzłościł się znowu. – Dariusz nigdy nie chodzi w brudnej koszuli – pozazdrościł koledze.

Stał chwilę nad wanną i nagle powtórzył: „Dariusz nigdy nie chodzi w brudnej koszuli, to i ja nie będę!”

Wyłowił spośród innych swój łach, wrzucił do umywalki i przy pomocy mydła toaletowego i szczotki począł doprowadzać do porządku najpierw kołnierzyk, potem mankiety. Spieszył się, nie chciał, żeby ojcową zastała go przy tej robocie – zaraz by se pomyślała, że ona górą, że się złamał. Dlatego też powiesił koszulę nie w łazience, a na kaloryferze w swoim kącie. Gdyby jeszcze udało się cichcem wyprasować...

Odgrzał sobie bigos, pojadł prosto z garnka i zaraz wrócił do siebie, zobaczyć co z koszulą. Schnie! Tylko jeszcze kołnierzyk! Ale zaraz, kołnierzyki się prasuje na mokro.

Mignęły mu w pamięci ręce matki kropiące wodą ojcowe koszule i „problem prasowania” wydał się naraz prosty i wykonalny. Jakby w transie znalazł żelazko, rozłożył koc na stole... Szło mu, uważał, całkiem nieźle jak na pierwszy raz. Tylko żeby teraz elegancko złożyć...

Tak był zajęty odpowiedzialnym zadaniem, że na dźwięk dzwonka aż podskoczył. „Nie mogło to jej przynieść za 10 minut? I czemu sama sobie nie otworzy? Pewnie znowu ma torby pełne i nie chce jej się szukać kluczy” – myślał, idąc otwierać. Przekreślił zatrask, uchylił drzwi i pędem wrócił do stołu, chować żelazko i koszulę. Nim sobie ojcową torbami wejście rozepchnie, nim postawi torby, zdejmie płaszcz, on może zdąży...

– Co to, zawsze tak otwierasz nie patrząc komu? – usłyszał młody głos.

Zbaraniał, odwrócił się – przy wieszakach stała jego kuratorka!

– Nie, tylko chciałem wyłączyć żelazko – odpowiedział zgodnie z prawdą, ale niedorzecznie, więc się poprawił: – Dzień dobry pani... że też pani tu trafiła...

– Wolałbyś, żebym nie trafiła? – spytała kuratorka niby żartem, ale niezupełnie.

– Nie, jak Boga kocham, nie! – zaprzeczył szczerze. – Proszę, niech pani siada, zaraz zrobię herbatę. Tylko może najpierw tę koszulę...

– Nastaw wodę, koszulę ja ci złożę, bo widzę, że zabierasz się do tego po kawalersku.

– Jeszcze się nie ożeniłem – odpowiedział Darek i roześmiał się, rad, że taki dowcipny.

– W każdym razie urosłeś – zauważyła kuratorka. – Nie, nie mogłeś przez miesiąc urosnąć – poprawiła się. – Spoważniałeś.

– To przedtem byłem niepoważny? Jajcarz może?

– Nie – kuratorka przyglądała mu się gruntownie. – Nigdy nie robiłeś na mnie wrażenia „jajcarza”. Wiesz, sprzątnijmy najpierw, a potem siądźmy tu i porozmawiajmy spokojnie. Skoro akurat można.

– Ja już sprzątnę. A pani niech siada, ale nie tu. W moim pokoju. W moim kącie – uściślił skromnie.

Gdy kuratorka wieszała płaszcz na haku przy drzwiach wejściowych, Darek rzucił się do składania koca. Kątem oka zauważył jeszcze, że kuratorka ująwszy brzeg zaplamionego obrusa pełniącego funkcję kotary, kiwa głową z miną „wiedziałam, że tak będzie”. Pochwalił się w duchu za to, że koc na leżance wygładzony, buty schowane pod leżanką, a poręcz fotela naprawiona. „Zbieram punkty”...

Żeby ich zebrać jeszcze więcej, wylał z czajnika „siki świętej Weroniki” i nasypał świeżej herbaty. Potem tknięty nowym pomysłem wszedł do łazienki, ściągnął koszulę, wrzucił do wanny między inną bieliznę, po namyśle dorzucił jeszcze podkoszulek (też mu się przyda pranie) i ubrał tę właśnie co wyprasowaną. Mokrawy jeszcze kołnierzyk trochę go ziębił w kark, ale co tam. Przyjrzał się sobie w lustrze: „Przy księżycu ujdzie” – przypomniał sobie powiedzonko z zamierzchłej przeszłości (chyba wuja Erwina?) i uśmiechnął się zadowolony. – Co to robi świeża koszula!

Jednak nie sama świeża koszula zmieniała wygląd Darka tak, że „uszedłby” i przy księżycu, i w pełnym słońcu. Sam o tym nie wiedział, ale wizyta kuratorki ucieszyła go aż do głębi, od pierwszej chwili. Najpierw dlatego po prostu, że zobaczył na progu zwyczajnie kogoś innego, nie ojcową, jak się spodziewał. Potem, że tak dobrze wypadł: z żelazkiem, z własnoręcznie wypraną koszulą (kuratorka nie musi wiedzieć, że to był pierwszy raz), i w końcu, że może odgrywać gospodarza, być ważny na swoim. Wyprostowało go to, dosłownie. Zwykle odruchowo trzymał się pochylony, patrzył spode łba. A że w ogóle był krępy, barczysty, kościsty z kędzierzawą, krótką czupryną, wyglądał jak młody wołek gotów bój w każdej chwili. Teraz nad wydatnymi kośćmi twarzy oczy mu zrobiły się większe, błyszczące, prawdziwie niebieskie, nie siwe; poruszał się szybko i zwinnie, bez zwykłej ospałej powolności człowieka, który nie ma się do czego spieszyć.

Kuratorka, choć taka młoda i niby zielona, zaraz to zauważyła. – Chyba jednak ci tu lepiej idzie, niż na dawnym miejscu? – powiedziała, gdy postawił szklanki z herbatą na stole i siadł na leżance. – Jakies mebelki, widzę, dostałeś?

– Sam zdobyłem!

Opowiedział kuratorce, jak to było w dzień przeprowadzki, jak jest teraz, że ojcową czymś tam handluje, więc mniej jej jest w domu, co dobrze, ale za to trzyma kasę, co źle, bo ojciec jej z ręki je i na wszystko się zgadza, byle miał za co kurzyć i pić.

– Wciąż lubi popić? – spytała kuratorka.

Darek od razu zgasł, wciągnął głowę w ramiona i mruknął:

– A jak.

– Głupio pytam, przepraszam.

Ku jej zaskoczeniu Darek znowu się rozpromienił; nie wiedziała czemu, a to proste: pierwszy raz w życiu ktoś go przeproszał! I to dorosły w dodatku!

– Nie, no, pani się musi pytać – odpowiedział łaskawie. – Jak się pokłóci z Jadźką, to pije gdzieś tam z kumplami, do płótna w kieszeni. A jak się pogodzi, to tu. Ona też teraz ma swoje towarzyszo, opijają interesy.

– Jakie?

– Bo ja wiem? „Atrakcyjne towary”. Spod lady na targowisko pewnie. Kuratorka westchnęła, jak to ona, i zmieniła temat.

– Dowiadywałam się w szkole o ciebie. Bo w ogóle chciałam się spotkać z tobą poza domem – dodała, widząc pełną niesmaku minę Darka. – Żeby swobodniej... Więc w szkole nie mają do ciebie zastrzeżeń.

– Za co by mieli mieć?! – Darek schylił się, podniósł z podłogi teczkę i zaczął wyjmować zeszyty. – O, proszę, wszystko odrabiam. A stopnie – podał dzienniczek – niech pani sama zobaczy, I żadnych wpisów. Tylko jeden, żeby na wywiadówkę przyszli, ale gdzie tam przyjdą...

Kuratorka przeglądała zeszyty najwyraźniej „przez grzeczność” (wychowawczynie pewnie jej pokazała Darkowe stopnie), za to uważnie słuchała, co Darek odpowiada na pytanie: „a jak koledzy?”

– Tacy tam... Jak wszędzie. Ja wolę od nich z daleka, bo co? Nie znam, nie wiem... jeszcze bym znowu wdepnął w jakieś gównno. Raz starczy. I tak mnie przezywają Skobel, jeden gnojek przywłókł to przezwisko ze starej budy...

Kuratorka uniosła głowę znad dzienniczka:

– Wiesz, to nawet nie jest najgorsze przezwisko – wymyśliła pociechę. – Przecież skobel to jest coś twardego, z żelaza, co się mocno trzyma.

– U docenta wcale się nie trzymał – parsknął Skobel, ale zaraz się zasępił. – Proszę pani, pani powiedziała wychowawczynie, że mam nadzór?

– Tak, ale że ze względu na warunki rodzinne.

– No! Bo już się bałem...

– Niepotrzebnie – oburzyła się kuratorka. – Bez konieczności się nie rozgłasza, co kto ma w kartotece. To podstawowa zasada, jeśli podopieczny rokuje nadzieję.

– Pani myśli, że ja rokuję?

– Ty tak, ale...

Westchnęła, rozejrzała się wokół. Nie musiała nic więcej mówić, żeby Darek wiedział, kto tu nie rokuje nadziei i dlaczego młoda opiekunka wzdycha. Jakby na potwierdzenie jego domysłów spytała:

– Kiedy oni wracają?

– Powinni już być, ale to nigdy nie wiadomo.

– Muszę na nich poczekać – spojrzała na zegarek i znowu westchnęła. Darka przedtem te westchnienia złościły, ale teraz już nie. Kuratorka jest przez to trochę, odrobinę śmieszna, i to całe szczęście: nie musi się jej bać ani zanedto poważać.

– Dostałam teraz pod nadzór dwa przypadki i chciałam dziś zdążyć choć do jednego.

Znowu westchnęła, Darek nie wytrzymał i roześmiał się.

– Czemu się śmiejesz?

– Bo pani tak wzdycha – palnął śmiało.

– Sam byś wzdychał, jakbyś wiedział, co to za przypadki – obrazila się nieco kuratorka. – Przy nich to ty jesteś prawie anioł – dodała, łagodząc surowy ton.

Skoblowi zaraz przypomniał się Aniołeczek.

– Proszę pani, czy to prawda, że jakbym się pobił z chłopakami, to mnie zamkniecie?

– Skąd? Trzeba by w takim razie zamykać całą młodzież męską – zaśmiała się kuratorka, ale zaraz się pohamowała i ostrzegła: – Już ty się lepiej nie bij, bo możesz, choćby niechący,

komuś coś złamać albo ząb wybić, a to już się kwalifikuje jako uszkodzenie ciała i za to się odpowiada.

Znowu spojrzała na zegarek:

– Za piętnaście minut muszę iść. Wpadnę tu jeszcze raz przed świętami. Tak pod wieczór, to chyba zastanę kogoś z „opieki domowej”?

– Chyba. Jakby pani wpadła w piątek albo w sobotę, to na pewno. Wtedy balują – zaśmiał się gorzko Skobel. – Cały tydzień jest jakoś do wytrzymania, ale końcówka... Żebym to ja mógł wtedy gdzieś wyparować...

Kuratorka już znowu chciała westchnąć, jednak się opanowała.

– W zimie to trudno, rozumiem. Pomyślę, może ci jakiś klub znajdę, choć... A poza tym, czego potrzebujesz, powiedz szybko, to następnym razem załatwię z twoim ojcem.

– Pani myśli, że z nim można coś załatwić? Czasem, jakiś drobiazg, jak jest w dobrym humorze i przy forsie...

– Może trafię na dobry humor. Więc?

Skobel namyślał się chwilę.

– Koszula. Mam tylko dwie i jedną białą na niedzielę. Kurtka nowa by się przydała, ale to za drogie, nie wymusi pani...

Kuratorka wyjęła notesik, by zapisać, nie bardzo jej to szło.

– Zapal światło, ciemno się zrobiło. Tak, tak, to już połowa grudnia.

– Lampę! – przypomniał sobie Skobel. – Zwykłą lampę na stół. Zaraz pani pokażę, że od tej tam w górze ledwie coś dochodzi. A jak zaciągnę tę szmatę, to oczy można wysłepić i nic.

Zaciągnął obrusidło (wciąż wisiało na agrafkach), ale nie zdążył zademonstrować, jak „wysłepia oczy”, bo stuknął zatrzask i weszli oboje – ojciec i Jadźka. Z jakimiś pudłami.

– Co tak po ciemku stoisz? – zaczęła po swojemu ojцова i zapaliła światło. Zauważyła, że jest w świeżej koszuli. – Jakżeś się wysztafirował. Idziesz na bal?

– Nie. Tylko mam gościa – odpowiedział spokojnie Darek, myśląc z uciechą: „Ale kino, ja cie!”

– Stawiaj za łóżka – warknęła ojцова przytomnie do ojca, a gdy ten potulnie ruszył z pakunkami gdzie mu kazała, spytała: – Jakiego?

Darek nie musiał odpowiadać, bo kuratorka sama się ujawniła. Ojцова rozgdakała się jak spłoszona kura:

– Dzień dobry pani, że też Darek nie powiedział, że pani przyjdzie, z nim tak zawsze, dobrze że choć herbatę zrobił, mogłeś herbatniki, teraz jak pracuję, to i herbatniki są, musiałam się poświęcić, od razu jest inaczej i w domu przybywa, człowiek tak robi i robi, żeby było dobrze, ale kto to doceni, tylko na złość i żeby obmawiać...

– Nie powie pani, że Darek pani na złość pierze sobie koszule – kuratorka zdecydowała się na „ostre wejście”.

– On pierze! – prychnęła ojцова. – Czasem skarpetki, ale koszule? Za wielki pan!

– Zastałam go jak prasował tę, co ma teraz na sobie. Proszę pana – zwróciła się do Bana-szaka-seniora, który upchnąwszy pod łóżko pudła stał z niezbyt wyraźną miną. – Czy naprawdę pana nie stać, żeby chłopiec miał chociaż ze cztery koszule, nową kurtkę, przyzwoity sweter?

– Pewnie – powiedział ojciec z wahaniem – trzeba by... Nie tak od razu, ale...

– Kurtka, sweter! – przerwała mu szybko ojцова. – Pani wie, ile to teraz kosztuje? I tyle wydatków na nowe mieszkanie. O – wersalkę już kupiliśmy, ale firanek jeszcze nie, i zasłon też.

Chwyciła „obrusidło” i podsunęła kuratorce przed oczy. – Przecież to aż wstyd, żeby takie coś wisiało na widoku, ale co? Wszystkiego naraz się nie kupi.

„Spryciara, jak to umie kota ogonem wykręcić” – pomyślał Darek i spojrzał na kuratorkę. W jej oczach wyczytał dokładnie tę samą myśl. Jednak słowa były o czym innym:

– Tak, mogę to zrozumieć – zgodziła się pojednawczo. – Ale jest wyjście. Jak państwu tak ciężko, to ja mogę w sobotę zabrać Darka do mojej parafii i wybrać mu coś z darów. To już nie to co rok temu, tym niemniej coś się jeszcze znajdzie.

Ojcowej zabłyśły oczy:

– Ale, jeszcze ile! Sama widziałam, jakie paki wynosili od Serca Jezusowego – nie dalej jak tydzień temu. O jej, czemu my stoimy?

Proszę, proszę do stołu – stała się naraz gościnna. – A która to pani parafia? To ja już bym poszła z Dareczkiem, pani da tylko kartkę do proboszcza, nie możemy pani fatygować...

Kurorka uśmiechnęła się nieco pogardliwie, ale siadłaby przy stole, gdyby nagle nie włączył się ojciec:

– Ja pani serdecznie dziękuję za dobre chęci – powiedział tonem nie pasującym do słów, bo obrażonym – ale mój syn pod kościołem zebrać nie musi. Jadźka – zwrócił się do ojcowej mężnie, nie bacząc na jej wściekłą minę – nie będzie chodnika, będzie kurtka, sweter i sześć koszul!

„I pamperek ze słodką dupką” – mruknęła ojcowa cicho, że tylko Darek usłyszał. Ostrzeżony tym w porę, zadbał o najważniejsze:

– Może nie być kurtki albo swetra, ale lampę muszę mieć! Mówię i mówię od zeszłej zimy...

– Na lampę też starczy! – popisywał się dalej ojciec. Zalatywało od niego piwem, pewnie dogodził sobie we Wrzeszczu, jak czekał na paki ojcowej. Kurorka oceniła hojność i obietnice właściwie, to jest, udała, że wierzy, i zaczęła się żegnać. Przed odejściem dała Darkowi kartonik ze swoim telefonem i adresem:

– Wpadnij pokazać się w nowej kurtce – powiedziała przy tym. Darek wiedział, że to rodzaj żartu, kpiny z ojcowych obietnic, i podjął ton:

– A pani niech przyjdzie zobaczyć lampę!

– Tak, na pewno przyjdę jeszcze przed świętami – powiedziała kurorka dość zimno, bo to była pogroźka dla ojca i Jadźki. – A ty się spisuj tak dobrze jak dziś – dodała ciepłej.

„Zobaczę ją tak jak lampę i kurtkę” – myślał Skobel po jej wyjściu. Ale był rad, że została mu adres domowy – powiesił kartonik pod „kluczem zwycięstwa”, niech ojcowa wie, że Darek ma kogoś w odwodzie.

Ojcowa tymczasem piekliła się na ojca, że głupi cep, co „pana graje, a ino baje”.

– Ty wiesz, co po parafiach mają? Ubrania, suknie, nawet futra się trafiają. Tylko się tam dostać, ja już bym wiedziała, co brać. A ty: że nie będzie zebrać! Jakie zebranie? Lepsze ludzie, z samochodami, a pod kościoły się pchają! Dla swoich to tam jeszcze jest a jest!

Darek nie czekał aż obróci jadaczkę na niego, spłynął, zaciągnął szmatę, uwalił się na leżankę. Starzy się kłócili na pełnych obrotach, więc trudno mu było zebrać myśli. Ale był zadowolony: popisał się, dobrze wypadł i... i... Właśnie, i co jeszcze? Kurorka coś powiedziała, co mu rzuciło kamień z serca. Co, co, do cholery, co? Żeby ta Jadźka przestała jazgotać... Aha, że jest przypadkiem, który rokuje nadzieję. Tak, ale jeszcze coś. Tak przez kwiatek, niewyraźnie... Jest! Że za tłuczenie się z kolesiami go nie zamkną! Nie musi być za pokorne ciele, schodzące z drogi byle szczawikowi. Co za ulga!

Ale ten Aniołeczek, skurwiel! Tak człowieka wrobić. Tak zrobić w konia! No, teraz dostanie za swoje, za wszystko. Za Skobla też, chociaż „to nie jest najgorsze przezwisko”.

Jak się trafi dzień bez lekcji – postanowił – pojedzie do Brzeźna i nakładę mu po mordzie. Nie, nie po mordzie, bo jeszcze mu ząb poleci... Nakopię w tyłek!



#### IV. „... co się mocno trzyma”

Mijał dzień po dniu, a lekcji jak na złość nie odwoływano, nawet kiedy raz wysiadł prąd i dzwonki przestały dzwonić. Skobel wiedział, że Aniołeczka może dopaść tylko w drodze ze szkoły, bo czatowanie przed domem już raz okazało się bez sensu. Urwać się z budy jednak nie chciał, wierny zasadzie, że lepiej nie podpadać. Mimo że miał teraz rozwiązane ręce, nie mieszał się do bijatyk, bo i po co? Kolesie ani go grzali, ani ziębili, fasować sińce z powodu, że Byk-Benio oberwał mokrym śniegiem od jakiegoś tam Heńka? Nie ma głupich. Wolał po ostatnim dzwonku wracać z Dariuszem do domu. Tym bardziej, że skończyły się dobre czasy, czyli odwalanie lekcji ze starych zeszytów do nowych, i musiał się już normalnie męczyć z zadaniami. Więc wolał to odrobić, póki w chacie było pusto.

Z Dariuszem zresztą wracał rzadko, tylko jak się zdarzyło. Kolega miał jakieś interesy na parterze, znikał wśród maluchów z pierwszych klas, a Skoblowi nie honor było na niego czekać. Raz, gdy ociągając się z wyjściem patrzył za żeglującym wśród bachorów kolegą, zagadnęła go Zośka, z tego samego bloku co Dariusz:

– Czekasz na przedszkolankę?

– Nie potrzebuję przedszkolanki! – obraził się. Całkiem niepotrzebnie, jak się okazało: niedługo potem dowiedział się od Byk-Benia, że „przedszkolanka” to właśnie Dariusz. Że niektórzy go tak za oczami nazywają (w oczy nie mają odwagi), bo zamiast grać w piłkę czy coś, on się spieszy do Wrzeszcza odebrać brata z przedszkola, albo holuje siostrę z pierwszej klasy, jakby gówniara nie mogła sama trafić do domu.

Ta rewelacja nie zmniejszyła uważania Skobla dla Dariusza (przezywają go za plecami ze złości, że głośno muszą mówić tak jak on chce), jednak przestał na niego liczyć. „Uwiązany chłop, co się będę do niego jeszcze kleił”. Sam nie lubił „klejenia się” i tylko z łaski trzy czy cztery razy zagrał z Byk-Beniem i jego ferajną w karty w pustym baraczkach przy „samie w budowie”. Wolał już samotnie włóczyć się po blokowisku.

Z początku najciekawsza wydała mu się „Alina”, bo tam było prawie jak w mieście: sam, kioski, boisko... Przypatrywał się chłopakom kopiącym do bramki, odkopnął parę razy zbłąkaną piłkę i myślał, że jak trochę jeszcze postoi, to go zaproszą do gry. Ale nie dość że nie zaprosili, to jeszcze przegnali jako obcego. Nie to nie, wrócił na swoją „Barbarę”, gdzie niby nic nie było, ale też i nikt się nie czepiał.

W krótkim czasie tak się obeznał z terenem, że mógłby być za przewodnika. Czasem był: kiedy ktoś pytał, gdzie jest Głogowa 8 albo Jeżynowa 5, pokazywał, a nawet prowadził, jak już zupełnie nie miał co robić. Raz dostał za to dychę, ale tylko raz. Zresztą zmrok zapadał teraz coraz wcześniej i ludzie też wcześniej chowali się po domach.

Parę razy naszła go nuda-beznadzieja, taka jak wówczas na plaży, przed nieszczęsnym skokiem na piwnicę docenta. Zaczął bać się tej nudy-beznadziei i ubzdurał sobie, że póki nie policzy się z Aniołeczkiem, nic mu się dobrego nie przydarzy. Wieczorami przed zaśnięciem wyobrażał sobie całe seriale, jak to łapie Aniołeczka za frak, jak mu wciska różową morduchę w piach...

Śnieg to padał, to topniał, aż tu pewnego wieczora jak powiało, jak dmuchnęło, to zmiotło wszystkie chmury z nieba i papiery z blokowiska, ziemia z wtorku na środę zrobiła się sucha i kamienna, biegli do szkoły ślizgając się po krótkich kałużach, a w szkole – niespodzianka: na schodach strumienie gorącej wody, nad nimi kłęby pary – trzasnął grzejnik pod otwartym oknem na klatce drugiego piętra. „Ale jaja” -wołali, gapiąc się na spanikowanych dorosłych.

– Nie wchodzić – krzyczał wicedyrektor, skądinąd pan od wu-efu.

– To co? – spytał ktoś odważniejszy. – To nie będzie lekcji?

– Jak mają być?! Do domu! Nie kręcić się!

Niektórzy posłuchali z ochotą, inni – przeciwnie, z ochotą gapili się i włązili gdzie nie trza. Skobel należał do tych pierwszych. „Dziś albo nigdy” – pomyślał od razu, gdy zobaczył gejer na schodach, i nawet nie czekał na zachętę dyrektora, żeby polecieć do domu, tylko zresztą zostawić teczkę i wziąć rękawice. Mróz się zrobił najprawdziwszy.

Poczuł to dotkliwie, kiedy wysiadł na przystanku „Brzeźno-główne, dawniej Pętla” (tak ten przystanek nazywali jajcarze ze starszych klas, którzy trochę się wstydzili swojej dzielnicy, że mała, stara i bylejaka). Od morza walił siarczysty nord-ost, a mizerne słońce nad Nowym Portem wyglądało, jakby i ono kurczyło się z zimna. Odwrócony plecami do wiatru Darek zwawo szedł, prawie biegł w stronę szkoły, myśląc tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się za szklanymi drzwiami w holu. Aż tu oświeciło go, że przecież przy tym zimnie ludzie i na przerwach siedzą w klasach, więc co? Ma tak wpaść jak zbój i na oczach wszystkich posunąć do Aniołeczka? Zrobi się draka, w ciągu pięciominutowej przerwy się nie skończy, wejdzie nauczyciel... Nie, takiego numeru nie może wyciąć. Zresztą nie chce, nie to planował. Sprawa jest między nim a Aniołeczkiem, bez świadków...

Zwolnił, przystanął, wreszcie zawrócił. Przeczeka w supersamie do wielkiej przerwy, na wielkiej przerwie zawsze jest kotłowanina, dopadnie nieznacznie kogoś z klasy, dowie się, o której kończą, potem znowu zadekuje się – też w samie, albo gdzie indziej, o, choćby i w kościele...

W supersamie jak nigdy – kolejki żadnej, koszyków od metra. Darek wiedział, że jak będzie tak tylko stał przy drzwiach, to w końcu jakaś zgreda sklepowa go wypędzi – z czystej złości i nudów. Więc bardzo powoli zaczął niby-zakupy. Wyjął portmonetkę, policzył pieniądze (wygrał trochę w karty od Byk-Benia), spytał jakąś przyjemną kobietę o godzinę („dziewiąta czterdzieści pięć” – nie najgorzej), wybrał koszyk w dobrym stanie i – trudno, poszurał między regały. Zastanawiał się najpierw nad serkami, potem przystanął przy cukierkach, zawrócił do pieczywa, jeszcze raz przeliczył pieniądze i – zauważywszy, że ekspedientka go obserwuje, wrzucił do kosza rogala. Właściwie mógłby sobie jeszcze kupić coś do picia. Pożegłował do napojów – nie, myśl o przelknięciu czegoś z lodowatej butelki była odstręczająca. Więc do nabiału: śmietana? kefir? Kefir, bo tańszy i nie trzeba zastawy za butelkę. Dołożył kubeczek do rogala i teraz już naprawdę nie miał co szukać wśród półek. Ale, jak będzie jadł rogala i popijał kefirem, to na pewno nikt się do niego nie przyczepi i kolejne dziesięć minut przeleci.

Pogryzając rogala w kącie przy drzwiach widział swoje odbicie w szybie wiatrołapu. Zakłaczona wełniana czapka, sfilcowany szary szalik, wyszmelcowana bura ortalionówka z naderwaną kieszenią... A jeszcze – czarne buty, koślawe, z obitymi nosami, a jeszcze – spodnierzury zabłocone przy mankietach... Co się dziwić, że ekspedientki kikają na niego podejrzliwie? Na Zielonej to było inaczej, tam była chociaż stara Grobelna, co to albo by go popędziła, żeby buty wyczyścił, albo kieszeń naddartą sama przyszyła. Teraz to by do niej poszedł i powiedział: „Proszę pani, niech mnie pani nauczy prasować spodnie”.

Dopił kefir, jeszcze pół minuty na wyrzucenie kubka i będzie musiał wyjść. I tak przyjdzie za wcześniej, no trudno.

Ani za wcześniej, ani za późno, ani w ogóle nie musiał iść do szkoły, bo parę kroków za samem prawie wpadli na niego Paweł Mroczek i jeszcze dwóch ze starej klasy. Bez kurtek, bez czapek pędzili jak do pożaru, ale Darka spostrzegli.

– Skobel, cześć, co cię przywiało! – zawołał Mroczek. – Leć z nami do samu, chcemy coś szybko wtrząchnąć.

– To już duża przerwa?

– Zaraz będzie, ale myśmy się urwali z wu-te, bo...

Darek nie chciał wiedzieć, czemu się urwali z wu-te, przytrzymał Pawła za rękaw:

– Zdążysz jeszcze. Powiedz, ile macie dzisiaj lekcji?

– Pięć.

– Nie jest źle. Przyjdę przed szkołę po ostatnim dzwonku.

– Przyjdź, pewnie. A po co?

Darek zawahał się. Tamci inni już trzaskali drzwiami samu, więc mógł mniej więcej otwarcie:

– Mam coś do Aniołeczka.

– Jeszcze ci nie przeszedł ten gnój? Daj se z nim spokój, co on tu o tobie opowiadał... Skobel żuł, Skobel dziad...

– Niech mi to w oczy powie! – zakipiał Darek.

– Już, akurat! Dzisiaj zresztą i tak go nie ma. Pojechał do Rzeszowa, masz pojęcie?

– Do Rzeszowa?

– Do rajchu, znaczy się. Z mamunią. Polonezem. Jego tata ma się wyokrętować w Hamburgu i wrócić razem ze szmałem i ciuchami. Znowu będzie szpanował, niech ręka boska!

– Temu to się i byk ocieli.

– Żebyś wiedział. Bo z nim było krucho. Coś tam wyszło, jak jego stary był krótko na łądzie. Musiała być duża rzecz, bo fater przyszedł przed szkołę, napalony aż mu dym uszami walił. I sprął Aniołeczka przy ludziach, trząskając, ci mówię, z lewa, prawa. Co musiało się dziać w domu, to ja – cie, lepiej nie pytać. A mamuni przykazał, żeby za cholere Aniołka samego w chacie nie zostawiać. No i patrz – zamiast na pokutę do ciotki, to na rajcę przez pół świata. Dobra mamunia! Chodź, chodź, bo przerwa leci, nie zdążę nic kupić, I zimno – podskoczył dla rozgrzewki.

– Nie idę, już byłem w samie.

– No to cześć, ja muszę...

Klepnął Darka w ramię i już go nie było.

„Pipsztok cholerny, trzy lata moją piłkę kopał, a teraz cześć i tyle. No, nie tylko cześć – cześć. O Aniołeczku miał czas nakłapać. To ci heca -że rodzony tata mu dołożył... Chciałbym wiedzieć, za co...”

Pochylony, zaciskając ręką kołnierz pod szyją, szedł do tramwaju, ale pewnie dlatego, że nie bardzo patrzył przed siebie, nogi poniosły go drogą na Zieloną. Oprzytomniał dopiero, gdy zobaczył zamkniętą budkę kioskarszą. O cholera, gdzie ja zalałem – zacukał się. – A co tam, jak już tu jestem, zajrzę do starych kątów.

Na Zielonej na pozór nic się nie zmieniło. Od morza niosło mialki piasek, który zatrzymywał się przed większymi brukowcami, tworząc malutkie ni to fale, ni wydmy. W ogrodzie „bosego Antka” sterczały badyle słoneczników i szeleściły przy płocie resztki pnącej fasoli. Ale „papiaki” wyglądały okropnie: wybite szyby, okna na parterze zabite deskami na krzyż, górne wyrwane, tylko u Grobelnych jedno skrzydło tłuło się o ścianę.

Darek mimo to szedł dalej, aż do swoich dawnych drzwi. Te od sieni ktoś sobie zabrał na pamiątkę, ale kuchenne tkwiły jeszcze w zawiasach, półotwarte. Kopnął je i stanął na progu.

Na brudnej podłodze tuż pod piecową ścianą leżały dwa blade kwadraty słonecznego światła przekreślone cieniem desek, poza tym było dziwnie ciemno. Darek dopiero po chwili spostrzegł w miejscu, gdzie dawniej był stół, swoje dwie skrzynki od ryb, z których kiedyś próbował zrobić „biurko”. Obok nich deska na ceglach i stołek kuchenny, poszczerbiony, z obłazującą farbą, najwyraźniej ściągnięty ze śmietnika. Cuchnęło moczem i jeszcze czymś paskudnym. Melina, i to najgorszych obrzępów.

Więc do pokoju wolał już nie zaglądać, wrócił na ulicę. Zobaczył sąsiadkę z przeciwka, zamykającą drzwi wejściowe. Tknięty nagłym pomysłem przebiegł jezdnię, dopadł kobietę i zapytał:

– Proszę pani, może pani wie, gdzie teraz mieszkają Grobelni?

Kobieta rozpoznała go od razu:

– To ty? Patrzcie, i ciebie tu ciągnie... Wiem, gdzie mieszkają – na Zaspie. Młody tu był, patrzeć jak roboty idą.

– Aż furczy – zauważył Darek szyderczo.  
– Lata potrwa ten remont – zgodziła się sąsiadka. – Oni na Zaspie gniotą się w zastępczym, pokój, kuchnia, więc babcia wzięła wnuka i przeniosła się na ten czas do Kartuz.

Kobieta z wahaniem, ale zdobyła się na wielkoduszność:

– Jak chcesz, to wejdź, dam ci dokładny adres. Grobelny mi zostawił, od wypadku, jakby były jakie listy.

– A do nas nie było?

– Nie, nie, nic. Zupełnie nic – zaprzeczyła kobieta tak gorliwie, że Skoblowi by się to wydało podejrzanym, gdyby nie doświadczenie z ostatnich lat. Ojciec nie odpisywał na listy, więc i do nich przestali pisać.

– Jak Tomka z babcią nie ma, to adres mi niepotrzebny. Dziękuję.

Kobieta najwidoczniej szła po zakupy, Skobel nie chciał iść z nią razem, więc skręcił w górę, nad morze. Dochodził stamtąd prawdziwie sztormowy szum, zdjęła go chęć zobaczenia grzywaczy.

Fale były nad podziw wysokie. Co która wyżej się podnosiła, wyrastała jej z dwóch stron piana, z piany robiły się białe węże, gdzie tam węże -smoki, biegły ku sobie, brały się za łby i tak szczepione waliły się z hukiem na przymarznięty piasek. Darek patrzył zafascynowany. Gdyby było ciepło, jak wtedy w Pucku, siadłby pod wydmą i patrzył do oporu.

Skoro przypomniał mu się Puck, to i zaraz Hel. Podniósł wzrok wyżej: jest! Za tymi nieskończonymi szeregami wodnego wojska w granatowych mundurkach z białymi futrzanymi kołnierzami, majaczy coś jasnoszarego. Wygląda bardziej jak wyspa niż jak kosa. Stamtąd nikt już nie przyjdzie.

Znowu podciągnął wyżej kołnierz, zawrócił. Ale nim ruszył na dobre, obejrzał się jeszcze na morze, jakby czegoś zapomniał. Bo zapomniał, a było to nawet coś ważnego. Coś, co snuło mu się po głowie po spotkaniu z Pawłem. Coś, co zaprowadziło go na Zieloną i kazało pytać się o Grobelnych... Zaraz, po kolei... To coś łączy się z Aniołeczkiem...

Dziwne, ale nie był wcale zmartwiony, że nie udało mu się dopaść drania. Po rewelacjach Pawła poczuł nawet pewną ulgę, nie – zgoła poczucie zwycięstwa. Nie swojego osobistego. Takiego więcej ogólnego. Że jest sprawiedliwość na świecie. Że Aniołeczek jednak na czymś wpadł i został pokarany. Ręką własnego ojca. To co, że teraz rozbija się po bogatych krajach. Wróci i wezmą go krótko. „Jego jeszcze Pan Bóg pokarze” – powiedziała babcia Grobelna. Dlatego o niej pomyślał...

I jeszcze coś wtedy powiedziała: że nad Darkiem się Bóg ulituje. Ksiądz w Pucku, na mo-  
lu, też coś takiego mówił. Darek nie wierzył ani jej, ani jemu. Na księdza, ilekroć go potem wspominał, był po prostu zły. Że wyciągnął jak z rękawa gładkie słówka, a nie spytał: może ci czegoś trzeba? Jakby spytał, to Darek by powiedział o kłopotach i nie wpadłby w sidła Kłody i Aniołeczka. „Matka czuwa” – jak czuwała, skoro trafił przed sąd?

Tak, ale jakby nie trafił, to by nie dostał nadzoru, i już na całym bożym świecie nie byłoby nikogo, kto by chciał i musiał się za nim ująć. Kuratorka to niewiele, nie do porównania z babcią Grobelną, o rodzonej matce nie mówiąc, no, ale zawsze ktoś.

E tam – szarpnęła głową – wzdychająca, zabiegana chudzina, co to zawsze więcej chce, niż może... To miałyby być posłaniec z nieba, od matki? Spokojnie, nie daj się zwariować, chłopie. No, chociaż... Załatwiła mieszkanie. Nie, gdzie tam, mieszkanie załatwił październikowy sztorm, co pozdzierał dachy. Wtedy jeszcze ani kuratorki, ani w ogóle sądu nie było na horyzoncie. Dobrze, że się stąd wyprowadził (jak na razie – dobrze!), tu byłby Skoblem-półzulem najmarniej do końca budy, a na nowym, choć też jest Skoblem, ale Takim-co-się-Mocno-Trzyma. Choć może... Może to, co mówił ksiądz i stara Grobelna, nie było tak zupełnie od rzeczy? Babcia Grobelna by powiedziała, że to on, Skobel, mówi od rzeczy i Boga obraża, ona by bez namysłu połączyła jesienny sztorm i księdza z Pucka i wszystko by jej ułożyło się

jak w niedzielnym kazaniu. No, ale on, Skobel-co-się-Mocno-Trzyma, nie jest starą babcią, żeby...

A jednak było mu jakoś lekko na sercu. Minał swój były dom, ani na niego spojrzawszy. Koniec, kropka, to już skończone, stąd już nic na niego dobrego nie spłynie. Tam już i cień nie pozostał...

Do bloku wrócił w nastroju osobliwego zadowolenia, tak jakby czegoś dokonał, jakby rzeczywiście spełnił zamiar i nakładł Aniołczkowi ile wlezie.

Choć nie – gdyby nakładł, byłby bojowy i zaczepny, jak zawsze po zwycięskich bijatykach. A tymczasem był tylko pewny siebie, jakby już nic nie mogło mu zagrozić i nikt nie mógł mu nic zrobić. Ojcwowa powitała go swoim zwyczajnym:

– Gdzie łazisz, nigdy cię nie ma kiedy trzeba, tyle roboty, a wszystko na mnie!

Nie przejął się, odpowiedział spokojnie:

– Jakiej roboty? Powiedz jak człowiek, to ci pomogę.

– Widzisz przecież, że przywiozłam firanki i zasłonki, trzeba przymierzyć, pociąć, powieszać. Józek miał przynieść wiertarkę, karnisze zakładać, to też się szlaja nie wiadomo gdzie.

– Przyjdzie, przyjdzie. Daj mi najpierw zjeść, a potem możemy przymierzać.

– Oczywiście! Najpierw do koryta...

Dała mu jednak obiad, sama zjadła też, pomstując między jedną łyżką a drugą na ojca, że nie przychodzi. Aż to wkurzyło Darka:

– Przystań kłapać – powiedział, odsuwając krzesło – i zacznijmy już sami tę robotę. Co tu trzeba zmierzyć?

– Od sufitu do parapetu – powiedziała zaskoczona i bez gadania zabrała się do rozwijania firanek z papieru.

Darek wyszukał w kredensie metrówkę, postawił stołek przy oknie, włożył:

– To jakie mają być długie? Ojcwowa podeszła, pomedytowała.

– Półtora będzie dobrze.

– Zapisz – rozkazał Skobel, przeniósł stołek do swojego kąta, znowu pomierzył i na własną odpowiedzialność podyktował:

– Dwa osiemdziesiąt.

– A na zakład policzyłeś?

– Policzyłem.

Potem odmierzyli materiał, cięli, Darek grzecznie schylił się, kiedy ojcowej upadły nożyczki, przez cały czas był rzeczowy, stanowczy i chłodno uprzejmy. Raz nawet powiedział: „proszę”.

Ojcwowa zauważyła jego niezwykle zachowanie, spotulniała, przycichła. Kiedy powiedział: „Daj mi też igłę, obrębiać tak jak ty, to i ja potrafię” – dosłownie rozdziawiła gębę. Wyszukała igłę, nawet nawlokła. Podając ją Darkowi, nie wytrzymała:

– Ty u spowiedzi dzisiaj byłeś, czy co?

– Nie, w ferie pójdę.

– No, to już nie wiem, co ci się stało! – pokręciła głową. „Właściwie ja też nie wiem” – pomyślał i roześmiał się, czym do reszty skołował ojcwową.

Nazajutrz lekcji też nie było, w piątek rano pojawiła się na drzwiach wejściowych kartka: „Z powodu awarii c.o. szkoła nieczynna do poniedziałku”. Uczniowie przyjęli informację radosnym rykiem, optymiści głośno prorokowali, że można uważać ferie za zaczęte, bo nauczyciele też ludzie i nie będzie im się chciało uruchamiać szkoły na te trzy dni, co zostały do wakacji świątecznych. Pesymiści byli zdania, że nic podobnego, dyrekcja nie popuści ani dnia, może jeszcze ferie skrócić, żeby nadrobić stracony przez awarię czas. Wynikły spory, dyskusje, niektórzy zaczęli się zakładać, czy od poniedziałku fajrant czy nie.

Tak czy owak poszli całą hurmą na górkę (zwaną na wyrost parkiem), wypróbować, czy po spadłym w nocy śniegu da się jeździć. Nie dało się, Darek wrócił do domu, gdzie ojciec, jeszcze nie bardzo dospany po nocnej zmianie, siadał do śniadania-obiadu. Darek też zasiadł i opowiedział ojcu o awarii i zakładach.

– Trzeba się było założyć, nawet o dużą rzecz – powiedział ojciec. – Miałbyś jak w banku. Nie wiem, co tam nauczyciele, ale Opec nie włączy ogrzewania do sieci przed Nowy m Rokiem. Co się chłopcy mają spieszyć i zrywać? Przed świętami każdy za swoim lata. Nie włączą – żadna szkoda, czysty zysk. Jeszcze komuś premia poleci za oszczędność opału. Ty wiesz, ile ton koksu zje taka szkoła na dzień? Człowieku, jednemu by do Wielkanocy starczyło!

Ojciec też „za swoim latał”, choć trudno powiedzieć, by się spieszył i zrywał przy wiekopomnym dziele zakładania karniszy. W środę przyniósł wiertarkę, w czwartek kołki, w piątek zabrał się do nawiercania dziur dla kołków. Darek chytrze tak pokierował robotą, że zaczęli od karnisza dla jego zasłonki. Materiał kupiony przez ojcową nie podobał mu się – był żółty w wielkie czerwone i niebieskie kwiaty. „Jak cygańska spódnica” – ocenił. Cieszył się jednak, bo w końcu lepsza cygańska spódnica niż postrzępiony lump.

Szczęście było blisko, ale uciekło. Ledwie przykręcili karnisz, zleciał z trzaskiem i brzękiem. Ojcową podniosła krzyk, że ona zaraz wiedziała, że tak będzie, bo stare klamoty z odzysku muszą być do kitu (ojciec przywazył karnisze pod biurami spółdzielni, gdzie zmieniano wyposażenie), lepiej było kupić nowe, ze wszystkim: kołkami, uchwyty, a nie tak – to z gruszki, tamto z pietruszki.

– Cicho, podgipsuje się i będzie dobrze – przystopował ją ojciec. – Ty byś tylko forszą szastała. Nie słuchaj jej – zwrócił się do Darka. – Gada jak to baba. Ty se zapamiętaj: nie kupuj, jak możesz skombinować.

Zlazł ze stołka, wcisnął Darkowi śrubokręt i wskazał na wiertarkę:

– Rób dziury pod kołki przy tamtym oknie. Ja idę skombinować gips.

– Ale ja nie wiem jak – zastrzegł Darek.

– Eee, synek, dasz se radę. Widziałeś, jak ja robię.

Obdarzywszy syna tą wyczerpującą instrukcją, stracił się błyskawicznie, kombinować gips.

Darek patrzył chwilę na wiertarkę, na karnisze – da radę czy nie? Wahania przecięła ojcową.

– Nie ruszaj tego, jeszcze zepsujesz... Widzisz, co jaz nim mam! Od poniedziałku zakłada te karnisze. A to kombinowanie... Lepiej nie mówić. Tanio? Akuracik! Za darmo nikt nic nie da. Za wiertarkę wino, za kołki piwo, ciekawam, co da za gips. I komu? Nic dziś z roboty.

Wzięła szczotkę i zaczęła zmiatać gruz, co się posypał spod wiertarki, śpiewając przy tym: „W poniedziałek rano kosił ojciec siano”.

Trochę racji to ona ma – myślał Darek, zwiijając kable. – Ja tam, jak już, to bym sobie najpierw wszystko zabezpieczył...

Ale Jadźka jest ostatnia, co ma prawo pyskować. Ile razy, jak już miała wrzucać pranie do pralki, posyłała mnie po proszek. Nie tak jak matka... Albo ciotka Paula... A wuj Erwin, jak to obsztorcował Stacha, że mu przyniósł gwoździe i młotek, a obcęgow nie.

Mignęła mu w pamięci klatka z królikami, deski, z których Erwin miał robić nowe drzwiczki... Skąd mi tak naraz? A, wiem: siano, siano! Leżało pod daszkiem nad klatkami.

Ojcową przeskoczyła w piosence grabienie i zwożenie i doszła do ostatniej zwrotki: „A w niedzielę rano przepił ojciec siano” i jak zacięta płyta powtarzała ją w kółko. „Ona to śpiewa na ojca” – domyślił się Darek i słusznie, bo ojcową w końcu przerwała popis wokalny i odezwała się do niego:

– Ty nie słuchaj, co on ci mówi o kombinowaniu – wróciła do swego. – Jemu tylko o to chodzi, żeby się urwać z domu i popić.

„Ty jej nie słuchaj, ty jego nie słuchaj” – pokojarzył Darek i wyciągnął wniosek: oni go napuszczają na siebie nawzajem! Coś się tam między nimi psuje! Nieźle, można by na tym

wygrać. Jakby też zaczął podpuszczać... Nie, to nie interes. Dziś się kłóca, jutro się pogodzą i na nim się skrupi. Poza tym ojciec jaki jest, taki jest, ale zawsze swój. A dla tej tu, on, Darek, nigdy nie będzie swój, choćby się i wysiłał... Zresztą nie chce mu się wysiłać.

Powiedział:

– To jak dziś tu fajrant, to ja sobie pójde... Ojcowa nie protestowała, ale kiedy już wciągał czapkę, rozindyczyła się:

– Idź, idź! Idź za nim! Jeden wart drugiego. A ja tu sama zostanę tyrać.

Wyszedł przed blok z rozpędem, po czym zwolnił. Dokąd się spieszyć? Ściemniało się już, na górcie w środku blokowiska nie było nikogo, niżej stało kilkoro ludzi i patrzyło, jak drogą od „samu w budowie” sunie mozolnie cała karawana z jakimś ciężkim sprzętem budowlanym. Karawana skręciła w kierunku „Celiny”, ludzie się rozeszli...

Ojciec też pewnie poszedł po ten gips na „Celinę” – pomyślał Skobel. Zdjęła go nagła ochota przekonania się, ile kosztuje kilo gipsu, i postanowił zjechać do Wrzeszcza. Przelotnie wyobraził sobie ojcową, jak czekając na ojca samotnie „tyra” w mieszkaniu i złości się. E tam, złości się na pewno, ale nie tyra. Siedzi na wersalce i ogląda telewizję...

We Wrzeszczu odszukał sklep z tysiącem drobiazgów, który go wręcz olśnił. Wszystko tam było: i kołki, i widie, i szpachelki, i pędzle takie siakie. Gips naturalnie też – plastikowy woreczek tego cymesu kosztował mniej niż flacha piwa: „Cholera, Jadzka chyba miała rację” – pomyślał i zdziwił się.

Nie tym, że ojcową może mieć rację, ale że jest taki skory do przyznawania jej tej racji. Od czasu wyprawy do Brzeźna zrobił się sprawiedliwy, jak nie wiem kto. To znaczy wie, jak kto – jak mama.

W powrotnym autobusie myślał o wielu rzeczach. O tym na przykład, że narzędzia można mieć swoje, a nie wciąż pożyczać. I o tym, że jak skończy podstawówkę (a to już za niecałe dwa lata!), pójdzie do zasadniczej budowlanej. Ale nie, żeby się paprać w gumiakach koło betoniarki. Nie, on będzie od eleganckich robót – listwy, kafelki, karnisze. Będzie miał swoją wiertarkę i w ogóle torbę na narzędzia... Pokaże ojcu, jak powinien wyglądać prawdziwy fachman.

To myślał tak po wierzchu, prawie głośno. Ale pod spodem, zupełnie cichutko, siedziała i grzała go myśl, do której by się nikomu nie przyznał, bo przecież nie jest starą babcią Grobelną ani żadną inną. Myśl – pewność, że cień matki nie błąka się po opuszczonej Zielonej, po przymarzniętych piaskach na brzegu morza. Że się nie zgubił...

Szedł do domu z niejasnym, ale silnym postanowieniem, że ani nie da się napuszczać, ani wykorzystać, i pomiatać sobą też nie pozwoli i że ma dosyć siły, żeby zmusić tych tam dwoje, żeby go „uważali”.

Powiem im – układał sobie plan wieczoru, ale nie ułożył, bo zobaczył na rozstajach za budową samą zaaferowaną gromadkę ludzi. Dorosłych, a wśród nich – Dariusza. Zaciekawiony podszedł zobaczyć, o co chodzi.

Chodziło o kiepską sprawę, i to właśnie Dariusza. Jego najmłodszy brat, przedszkolak, był i przepadł. Dariusz miał go pilnować, odszedł na chwilę, tylko oddać książkę, a jak wrócił, gówniarza nie było. I co teraz? Po sąsiadach już się pytali.

– Skobel, a może ty go widziałeś? – pytał Dariusz, a szczęki mu latały z przejęcia. – Może masz pojęcie, gdzie mógł poleźć?

Skoblowi zrobiło się serdecznie żal Dariusza – nie wyobrażał sobie, że ktoś może być tak roztrzęsiony, a już Dariusz – nigdy w życiu. I patrzcie... A ten mały też musi być teraz biedny – łązi gdzieś zabłąkany, zasmarkany...

– A kiedy on ci zginął? – spytał.

– Przed czwartą. Od dwóch godzin go szukamy. Byliśmy przy piaskownicach, i na przystanku, i w szkole, i pod lasem.

– Pod lasem? Bez sensu, dzieciak po ciemku za skarby nie pójdzie w las. Czeka, mówisz, że przed czwartą? To ja wtedy jechałem do Wrzeszcza.

– I widziałeś go? – włączył się ojciec Dariusza.

– Nie, proszę pana. Ale widziałem transport dźwigu na „Celine”. Przodem autopilot, za nim ciągnik z przyczepami, a wszystko to trąbiło, świeciło, choinka z orkiestrą, można powiedzieć. Mały poleciał się gapić.

– Ja widziałem ten transport, jak zjechałem od Marcina, ale Waldka nie.

– Jak mogłeś go widzieć, kiedy tu całej parady jedna lampa, a twój brat pewnie mniejszy niż pół koła ciągnika.

– To jest myśl – przyznał z nadzieją ojciec zguby – chodźmy na „Celine”.

Gapie zostali, poszli tylko we czwórkę – Dariuszowy ojciec, jego szwagier i chłopcy. Szwagier się martwił i straszył, że jeśli nawet Walduś poszedł za dźwigiem, to mógł potem gdzieś wpaść do wykopu. Skobel na to, że w żadnym wypadku, dziecko idzie za światłem, na pewno siedzi teraz przy ogrodzeniu pod lampą i beczy. Albo zajęli się nim ci z transportu.

Kiedy to mówił, poczuł czyjś mocny uścisk dłoni – to Dariusz tak mu w milczeniu dziękował za dorzeczne słowo.

Słowo było nie tylko dorzeczne, ale i prorocze. Choć to nie od razu się okazało, bo kiedy minęli ostatni blok „Barbary”, a z nim razem jako tako ucywilizowany teren, i Skobla trochę strach obleciał. „Celina” była ciemna, rozkopana, rozryta, co krok walały się jakieś pręty, becзки, taczki i diabli wiedzą co. Przystanąli bezradnie.

– Tu i stary mógłby kark skrócić – zaczął znowu krakać szwagier. – I pobłądzić też – dodał, oglądając się za siebie w stronę ostatniej, samotnej lampy „Barbary”.

– Idźmy główną drogą – zaproponował Skobel – to chociaż znajdziemy dźwig, a potem się zobaczy.

– Widzisz tę drogę? – spytał zjadliwie szwagier.

Skobel natężył wzrok, usiłując wśród płataniny zamierzniętych kolein wynaleźć szlak.

– Jest! – zawołał. – I tam się coś świeci!

– Nie widzę!

– Bo blok zasłania. Niech pan stanie tu gdzie ja.

Nie tylko szwagier, ale wszyscy skupili się koło Skobla, a potem ruszyli z kopyta ku światłu, które okazało się być żarówką nad budką dozorca. Dozorcówka stała przy siatce, ogradzającej jakieś wiaty.

– Czy pan nie widział – spytał ojciec Dariusza zaraz od progu dozorcę i urwał, bo sam zobaczył. Z pryczy zerwał się niefortunny miłośnik maszyn budowlanych i radośnie zawołał:

– Tata!

– Najpierw mama, teraz tata – powiedział surowo dozorca – a jakby nie ja, to byś chyba nocował w becce, łazęgo!

Wyjaśnił ekipie poszukiwaczy, jak znalazł łazęgę. Wypuścił autopilota i ciągnik, zamknął bramę i spokojnie nastawił wodę na herbatę. Już się gotowała, jak usłyszał wołanie: „ma-mo! ma-mo!”

– Wyszedłem, patrzę, a to wspina się na siatkę i wrzeszczy. Co ty, myślałeś, że mama usłyszy?

– A kogo miałem wołać? – burknął Waldek, zawstydzony i niepewny losu. Ale że wszyscy się roześmiali, odetchnął z ulgą i przygarnął się do ojca.

Chcieli zaraz wychodzić, ale dozorca się rozgadał. Należało mu się, więc mniej więcej cierpliwie czekali.

– Przyprawiam go tu, mówię: no, po strachu, nie bec. Grzeczny, zaraz przestał! Pytam się: gdzie mieszkasz? W bloku. A w jakim? W dużym. To ci mądrała! A telefon macie? Nie. A może sąsiedzi? U Zośki. A jak się Zośka nazywa? Zośka. Ale jej tata? Nie wiem. A wiesz choć, jak się sam nazywasz? Waldemar Jasiak. Waldemar! Jaki ważny!



– Musisz go wszystkiego nauczyć; adresu, telefonu... – zwrócił się Skobel do Dariusza, Dariusz kiwnął z przekonaniem głową.

– No, to jeszcze się pytam: a trafisz sam do domu? Od autobusu trafię – chwali się. Co było robić? Budy nie zostawię, a nuż jaka kontrola? W derekcji jest taka jedna zaraza, co i o północy lubi dzwonić i sprawdzać, czy strażnik nie za mocno śpi. Więc nic, mówię, poczekamy do dziesiątej, jak przyjdzie zmiennik, to cię odprowadzę. Ale, jak wyście na to wpadli, że on aż tu przywędrował?

– Mnie by nie przyszło do głowy – przyznał uczciwie ojciec Dariusza. – To kolega syna kazał go tu szukać. Taki młody, a jak zna życie!

Wszyscy spojrzeli na Skobla z uznaniem, urósł na bohatera wieczoru. Gdy podziękowawszy należycie, pożegnali dozorcę, pilnował, by nie wypaść z tej roli. Po pierwsze, z miłości własnej, po drugie jednak – z miłosierdzia. Liczył na to, że jak ściągnie na siebie uwagę, to ochrzan, który ani chybi wisi nad Dariuszem i Waldkiem, przejdzie bokiem. Rozgadał się więc niezwykajnie, niczym dozorca budowy, o ty m, czego się dzieci boją, a do czego je ściągnie. Nie wiedział, że właściwie zwierza się ze swoich własnych strachów i nadziei, dopiero już przed blokiem Jasiaków połapał się, że opowiadanie, jak znalazł piłkę na plaży, nie ma nic do rzeczy. Urwał, powiedział „cześć” i chciał iść,

– Nie! – krzyknął Dariusz. – Chodź do nas na górę, zobaczysz, jak się mama będzie cieszyć.

Zobaczył. Ta mama, to nie było nic nadzwyczajnego, taka sobie zwykła, jak młodsza Grobelna, ale jak się cieszyła! Waldek po prawdzie powinien dostać lanie (chyba się nawet tego spodziewał, sądząc po tym, jak starannie chował się za brata), zamiast tego został wyściskany, umyty, posadzony przed michą żarcia. Tuż przy Skoblu, którego mama Jasiakowa miała za niewątpliwego zbawcę, też wyściskała, dała mu landrynek i przeproszała, że nie ma czekolady. Darek musiał się śmiać – żeby nie płakać. Bo, jak widział tę rodzinę – a w kuchni popiskiwała jeszcze z radości i podniecenia siostra Waldka, ta z pierwszej klasy – to obok śmiechu musiało mu się na płacz zbierać, nie ma siły.

Siedziałyby tak w kuchni Jasiaków do nocy, no, ale przyzwoitość kazała jednak w końcu się pożegnać.

– Przyjdź do nas koniecznie w święta – zapraszała mama Jasiakowa. – Pokoleđujemy sobie.

– W drugie święto – uściślił Jasiak. – W pierwsze będziemy u dziadków na Oruni.

– Nie! – zaprzeczyła żywo żona. – Na pierwsze święto Marysia zabiera dziadków.

– Nic podobnego. Na wigilię są u Tadzia, w pierwsze święto w domu, a dopiero...

– Gdzie tam! Wszystko pokręciłeś...

Zanosilo się na „golono-strzyżono”, Dariusz przerwał spór: – Pojadę jutro do dziadków i dowiem się dokładnie. A potem przyjdę do ciebie -zwrócił się do Skobla – i zawiadomię. Zresztą do świąt jeszcze się dziesięć razy zobaczymy.

Drogę do domu przebył Skobel fruując.

„Mam Grobelnych, mam Grobelnych, znów Grobelnych nowych mam” – śpiewało mu w duszy na melodię „W żłobie leży”. Dopiero gdy wszedł do mieszkania i zobaczył w świetle gołej (ciągle) stuwatówki oparte o kredens podrdzewiałe karnisze i na podłodze białe smugi po byle jak zgarniętym gruzie, wrócił do rzeczywistości. „Jeny, tu miałby Dariusz zajrzeć? Też by sobie pomyślał. U nich wszystko na swoim miejscu, jak u nas nigdy nie będzie...”

## V. Wypatrywanie „znaku”

Tak jak od wizyty kuratorki, żył myślą nakopania Aniołeczkowi, tak teraz wziął kurs na Dariusza. Żeby dobrze wypaść, kiedy kolega przyjdzie zaprosić go na kolędowanie. Żeby go nie miał za ostatniego dziada.

Pomagał ojcu przy zakładaniu karniszy, podawał, przynosił, przytrzymał, a i żandarma potrafił zagrać. Kiedy ojciec, dobrze już znudzony robotą, powiedział, że widia tępa jak cholera i trzeba iść naostrzyć albo skombinować inną, wziął od niego wiertarkę, wyborował sam kolejną dziurę i orzekł stanowczo, że na te cztery czy sześć kołków co im zostały, widia jest zupełnie dobra. Zamienili się z ojcem rolami, teraz ojciec podawał, przynosił. Trochę markotny, ale szybko znalazł sobie pociechę: chwalenie syna. – Eee, chłopie – powiedział przy trzecim nawiercić – ty masz fach w rękach! Ja cię będę teraz na fuchy ze sobą brał. Jeszcze cię spawać nauczę i nie zginiesz. Jadźka, chodź, zobacz, jak mu fajnie idzie. Nawet gipsować nie trzeba!

– I całe szczęście – odpowiedziała ojcowa od drugiego okna, gdzie wieszala firanki. – Takeście naświnili tym gipsem, że do wigilii nie sprzątnę.

Skobel, przerażony wizją zaświnionej podłogi, sam zaproponował, że zaraz jak skończą, to zmyje.

– Tak się należy – skwitowała jego gotowość ojcowa, ale uczynność Darka dała jej do myślenia.

– Ty pewnie myślisz, że ta siksa przyjdzie tu na kontrol? – zapytała, kiedy Darek napełnił wiadro ciepłą wodą.

– Pani kuratorka? Nie, nie myślę – odpowiedział szczerze. I jeszcze szczerzej przyznał w duchu, że gdyby się spodziewał kuratorki, palcem by nie kiwnął, żeby chałupa miała lepszy wygląd. Nic by mu z tego nie przyszło, a może by i stracił. Przed kuratorka nie będzie niczego upiększał.

Ojcowa coś sobie medytowała, medytowała, wreszcie wystąpiła z planem zajęć:

– To pospiesz się z tą podłogą, pojedziesz ze mną do pracy i weźmiesz od kierowniczkę towar. Wieczorkiem przyjdą tu po niego panie. Chociaż właściwie mógłbyś im porozwozić. Czekać, jutro to tak urzędę...

Skobel z punktu się najeżył:

– Niczego nie urządzaj, bo ja się do twoich szwindli mieszać nie będę. Wybij to se z głowy.

– O, święty się znalazł! I co za szwindle, uprzejmość ludziom robię. Do cudzych piwnic się nie włamuję!

To było więcej niż Darek mógł wytrzymać. Trzasnął mokrą szmatą i zawołał:

– Jak ty tak, to kończ to sama.

W biegu zdjął ortalionówkę z haka i wyleciał.

I znowu, jak tyle razy, stanąwszy przed blokiem nie wiedział co z sobą zrobić. Ciągnęło go, żeby iść do Dariusza, ale co, głupio by wypadło. Pomyśleliby, że się pcha, że może znowu chce landrynek. Zresztą zapraszali go dopiero na święta, zresztą Dariusz może pojechał na tę Orunię, zresztą to wszystko jest bez sensu, od pogody zaczynając.

Bo też pogoda była oburzająco nijaka: nad blokami i nasypem kolejowym szły niskie chmury, ale nie takie, jak się należy w grudniu, ciemne, skłębione, naładowane śniegiem. Gdzie tam: cieniżna jakaś, szara, poprzecierana, słońca przepuszczała tyle, co na złość. Gdyby było słońce, rodzeństwo Dariusza wyszłoby przed blok. Gdyby był śnieg – też. Można by zagadać, zapytać, gdzie starszy brat, w ogóle przypomnieć się.

A może jednak ci mali wyszli i są z drugiej strony bloku, gdzie mniej wieje? Darek już chciał iść sprawdzić, kiedy usłyszał wołanie: „Skobel, czekaj!”

Od strony samu w budowie zbliżał się, szurając desperacko obcasami Byk-Benio. Miał minę kropka w kropkę taką samą jak Skobel: nuda przemieszana z niecierpliwością. Zobaczył kolegę, przyspieszył kroku:

– Idziesz gdzieś? – spytał Skobla z nadzieją, że się podczepi.  
– Neeee – prawie ziewnął Skobel. – Tak tylko wyszłem.  
– Byłem w baraku, myślałem, że ktoś tam jest, ale nie. A nawet gorzej, bo jakieś obrzępy z budowy chleją.

Skobel wzruszył ramionami na znak, że za obrzępów z budowy nie odpowiada.

– U ciebie chata wolna? – kleił się dalej Big Ben.

– Sprzątanie.

– Tak jak u mnie. Cholera z tymi świętami, albo pędzą do roboty, albo wypędzają jak psa. Siądźmy na klatce, zagrajmy choć we dwóch – koleś wyjął karty dla zachęty.

– Chyba w durnia, bo jestem na czysto. Na potwierdzenie prawdy tych stów Skobel wygarnął z kieszeni pięćdziesiąt groszy i bilety autobusowe.

– Eee, nie tak na czysto – ucieszył się Byk-Benio. – Grajmy o bilety. Siedli na parapecie i zaczęli łupać w oko. Skoblowi karta nie szła, wprędce został mu tylko jeden bilet.

– Szlus – powiedział. – Ten jeden muszę trzymać.

– Odegrasz się! Albo ci pożyczę – kusił błagalnie Big Ben, szybko tasując karty. – Za pożyczone się wygrywa, sprawdzone, ja kiedyś...

Z windy wyszła pani w kożuchu z dziewczyną, pewnie córką. Skobel rozpoznał w niej pannikę, która w dniu przeprowadzki upierała się, żeby zatrzymać wiklinowe fotele. Teraz zagapiła się na karciarzy i została trochę w tyle za matką.

– Gosiu, proszę... Spieszmy się – ponagliła ją pani. Skobel odprowadził je wzrokiem do auta, pomyślał „szkoda, że ci się wprowadzali tylko raz. Jakby na raty, to może by jaką półkę wyrzucili...”

– Powiedziałem, że nie to nie – przerwał kusicielowi. – Ale, jak nie masz co robić, to chodźmy na „Celinę”.

– Po co? Tam nic nie ma.

– Mi się wydaje, że do jednego bloku już się wprowadzają – zmyślił Skobel na poczekaniu. – Popatrzmy, to hecowne.

Byk-Benio próbował jeszcze namawiać na „jedną-jedyną” partyjkę o ten ostatni bilet, w końcu jednak skapitulował:

– No dobra. Jeden bilet to i ja lubię mieć. Raz przejeździłem na taki dziesięć razy. Aż się nie podarł. Znasz ten sposób?

Skobel znał, ale pozwolił Beniowi instruować się: że to trzeba tylko stać przy kasowniku i jakby weszła „kontrol”... A kontrol poznaje się... I najlepiej stać przy kasowniku środkowym, bo dalej od drzwi... Ale, jak zupełnie bez biletu, to znowu lepiej przy drzwiach... Jednego razu, kiedy tak się ustawił...

Skończywszy historię swoich sukcesów w jeździe na gapę Big-Ben przycichł na chwilę. Skobel, jako że zbliżali się do „Celiny”, już – już chciał opowiedzieć o wczorajszej akcji ratowniczej, ale rozmyślił się. Co tam takim gadać! Nie wart tego.

Przypatrywał się koledze z ukosa, gdy ten zaczął przechwałki z innej paki, jak to mu niedawno szło w pokerze. Fule i karety po prostu się sypały. A jak się urwały, to przetrzymał z taką miną, jakby miał karete z fulem naraz. „No, mówię ci, wymiękli”...

Buja – ocenił Skobel te triumfy. Znał z filmów twarze pokerzystów – gdzie tam Bykowi do nich. Z jego okrągłą buziutką, zadartym nosem i małymi ślepkami? Chociaż okrągła gęba nie ma nic do rzeczy: Anioleczek też taką ma, a mógłby być z niego szuler na całego. Nie, Byk nie jest podobny do Anioleczka, chciałby pewnie, ale nie jest. Niby obaj utuczeni, tylko że inaczej: tamten był dobrze odżywiony, a Byk tylko spasiony. Zresztą jaki z niego Byk! Wół, a właściwie cielę. Anioleczek by go trzy razy sprzedał, a w końcu przerobił na kielbasy, a ten by nawet się nie spostrzegł. Byka nie ma co się bać. Ale lubić też nie ma za co.

Byk zaś tak jakby chciał, żeby go lubić, bo kiedy wyszło na jaw, że do jedyne go oszklonego bloku na „Celinie” nikt się nie wprowadza, powiedział pojednawczo:

– Pomyliłeś się, ale nie za bardzo. Tu już jest malowanie, więc zaraz będzie fertig.

Nietrudno było się domyśleć, że w bloku gospodarzą malarze, bo przy wejściu leżała cała kupa puszek po farbie. Big Ben zaproponował, żeby ustawić je w piramidę i celować kamieniami. On raz na Wesołym Miasteczku od jednego rzutu strącił pięć puszek.

– Można, czemu nie? – zgodził się z braku lepszego pomysłu Skobel.

Kiedy jednak zaczęli grzebać w stosie puszek, przyszło mu co innego do głowy.

– Patrz, ile w nich jeszcze farby – zwrócił uwagę koledze. – Ja ją sobie wezmę. Mamy akurat lakierować kredens, to forsa za farbę będzie dla mnie!

Taka przebiegłość zaimponowała Bykowi, zajął się ochoczo przelewaniem resztek farby do jednej puszk. Niebawem napełnili ją z górą do połowy. Byk znalazł jeszcze zapaprany pędzel. – Masz, też ci się przyda. Wymyjesz w rozpuszczalniku i powiesz starym, że nowy.

– Kurde, nie mam rozpuszczalnika – zafrasował się Skobel.

– Nie bój nic, będzie rozpuszczalnik – zapewnił go Big Ben i ruszył do drzwi bloku.

Nim Skobel znalazł mniej więcej czysty foliowy worek po czymś tam, nim umieścił w nim puszkę i pędzel (sam też jeden znalazł), Big Ben był z powrotem. Odstłonił połę kurtki pokazując prawie pełną butelkę.

– Widzisz? – zatriumfował.

– Jak?...

– Stała na parapecie w pierwszym mieszkaniu. Malarze są w drugim. Wiejemy.

Wianie nie było potrzebne, bo nikt ich nie gonił, mimo to Skobel przyspieszał. „Jak zaraz pomaluję plecy kredensu i stolik, to do wigilii powinno wyschnąć. Wtedy niech sobie u ojcowej będzie jak chce, ale w moim kącie Dariusz od razu pozna, że ja to co innego”...

Na „Barbarze” Big Ben zaczął nawijać, że za aktywność w zdobywaniu materiałów malarskich należałaby mu się dola w wysokości przynajmniej stówy. Wyliczał mętnie, ile jest warta farba, a zwłaszcza rozpuszczalnik, no i za pędzel też coś się należy...

Skobel uciał krótko, że za cały ten chłam jego stary nie dałby na budowie więcej niż fajkę.

– No, ale niech stracę – masz u mnie trzy. Po świętach – uściślił.

– Zaraz! – upierał się Big Ben, któremu przestało zależeć na Skoblu, skoro pojął, że na dziś promenady skończone.

– Dobra – zgodził się Skobel, licząc na to, że trzy papierosy uda mu się zwinąć, nawet jeśli Ojcowca jeszcze jest w domu.

Ale już jej nie było. Ojca zresztą też, co Darka trochę zmartwiło, bo wolałby malować pod doświadczonym okiem. Pocięszył się jednak prawie pełną paczką „popularnych”, zapomnianą na stole. Zwiózł obiecane fajki Bykowi, po czym ukroił sobie chleba, wziął kawał kiełbasy z obfitych tym razem zapasów i zjadając, układał plan, jak się wziąć do dzieła. Przywołałszy na pamięć wszystko, co kiedykolwiek widział i słyszał o malowaniu, napił się jeszcze herbaty, a potem, przeżegnawszy się pobieżnie, zabrał się do mycia pędzli.

Poszło mu wszystko lepiej niż się spodziewał, tylko w jednym miejscu na plecach kredensu za grubo położona farba trochę zjechała, ale poza tym było w porządku. I nawet niewiele nachlapał... Niemniej jednak, gdy szedł wyrzucić do zsypu pustą puszkę i gazety, którymi „zabezpieczył” podłogę, zmierzchało się już i przez wielkie okno na klatce zobaczył zapaloną lampę na skrzyżowaniu. Wczoraj stał tam Dariusz z ojcem i wujem, cały w nerwach. A dziś już zapomniał o strachu i o wszystkim...

Skobel chwilę ścisnął w kieszeni „klucz zwycięstwa”, który zdjął z gwoźdźca przed malowaniem, i przykleił prawie nos do szyby: a nuż kogoś dojrzy? Gdzie tam, tylko baby z siatami szły od autobusu.

Był już zmęczony, więc rozwalął się na leżance i patrząc na plecy kredensu, błyszczące świeżym, groszkowym kolorem, trochę się cieszył z tego, czego dokonał, więcej jednak nadśluuchiwał kroków na schodach. Pierwsze były ojca.

Tata był zły, rzucił na łóżka torby z czymś tam, tak jak Darek pożywił się kielbasą, pomalowanej ścianki w ogóle nie zauważył, tylko powiedział: „Co tu tak śmierdzi” i zaczął ochrzaniać Darka, że uciekł, zamiast jechać z Jadźką do Wrzeszcza.

– Ja też jestem człowiek, nie mogę harować dwadzieścia cztery godziny na okrągło. Po nocce, przed drugą zmianą należy mi się choć małe kimanie. A tu nie ja, tylko ty kimasz. Byś się wstydził.

Darek się nie wstydził, ale nie chciał się kłócić, zmilczał, zresztą ojciec zaraz poszedł. Potem przyszła ojcwowa, rozpakowała torby i zapach świeżej farby przytłumił zapach wędlin. Ojcwowa, inaczej niż ojciec, spostrzegła dzieło Skobla, ale też nie pochwaliła:

– Skąd miałaś farbę? I co ci przyszło do głowy, żeby akurat teraz, kiedy tyle innej roboty? Jutro musisz od rana stanąć za śledziami, bo ja ze wszystkim sama nie nadążę.

– Jutro jest niedziela.

– Handlowa. Od dziewiątej muszę być w pracy. A w poniedziałek od siódmej, A we wtorek wigilia. A jeszcze nic nie popieczono. A ten tu leży i nic!

– To co, ja mam placki piec?

– Nie – zreflektowała się ojcwowa. – Ale jutro pójdziesz do kolejek, a potem umyjesz okna i jeszcze raz podłogę. Co jest! Tylko byś łąził i nic nie robił. A świętować to byś chciał!

Skobel nie chciał świętować. Niczego tak nie cierpiał, jak świętowania. W święta to zawsze albo kwaśne nudy, albo balowanie tatowych obrzędów, woda, dym i głupie gadanie.

Tym razem też tak było. Wigilia była kwaśniejsza niż zwykle, bo dostał na prezent dwie koszule, a kiedy upomniał się o obiecaną resztę, usłyszał krzykliwe wymówki i wyliczania, ile co kosztuje i co trzeba było kupić do mieszkania. Ojciec, jak zwykle w takich razach, siedział z głupią miną i nic nie mówił. Tylko kiedy Jadźka poszła z brudnymi talerzami do części kuchennej, powiedział do syna cicho i płochliwie.

– Biedne my sieroty...

W pierwszy dzień świąt tata przed południem spał, po południu poszedł gdzieś z ojcwową. Darek też albo spał, albo siedział przed telewizorem. Tylko na chwilę wyszedł przed bloki, wyszukał okna Jasiaków – były ciemne, widać spotkanie rodzinne przypadło jednak na ten dzień. W drugie święto pojechał do kościoła, śpiewał z przejęciem kolędy i modlił się, żeby Dariusz przyszedł z zaproszeniem. Zamiast Dariusza przyszli znajomi Jadźki – jakaś „pani kierowniczką”, która już przedtem była po kawę i szynkę, z mężem, łysym, tłustym cepem, co na wszystko miał jedną odpowiedź, że: „takie czasy, panie, i nic się nie poradzi, a żyć trzeba”.

Skobel powiesił „klucz zwycięstwa” z powrotem na gwoździu. Nic mu nie da. Widać pisanie, że najlepsze na co może liczyć, to dwie koszule w prezencie na święta i towarzystwo Byk-Benia na co dzień. A tak się starał...

W pierwszy dzień po świętach obudził się z bólem głowy i mocnym postanowieniem, że w ogóle nie wstanie. Uda chorego i już. Zresztą nie ma przed kim udawać, starzy wyszli i jak to oni, przyjdą nie wiadomo kiedy. Dawno musieli wyjść, bo tak jasno. Południe chyba. Nie chciało mu się jednak spuszczać nóg na zimną podłogę i iść zobaczyć na budziku, która godzina. Patrzył w sufit, rozmyślał o przeszłych świętach: tyle szumu, latania, sprzątanania, stania po kolejkach i co? Dla kogo? Wychodzi na to, że dla „pani kierowniczką” i jej męża przygłupa. Czym też może kierować „pani kierowniczką”? Sklepem? Biurem? Brygadą sprzątaczek? Gównem, nieważne. A sztywna taka, ę-ą, elegancja-Francja. Nudna, że już ojcowi kumple lepsi, czasem coś hecownego zaśpiewają. Tata się potem dopił w trupa, ale trudno mu się dziwić. W ogóle, to nie takie dziwne, że pije. Robić umie, ale nie lubi, rządzić lubi, ale nie umie; to się stawia Jadźce, to uszy po sobie. To się przechwała, to „biedne my sieroty”...

Poczuł trochę litości dla ojca, nawet jakiegoś zrozumienia. On sam, jakby nie przyrzekł księdzu na spowiedzi, wtedy, już po sądzie i wyroku, że nie będzie pić i kraść, to kto wie... Od picia się odprysnął z własnej woli, bo tak mu się zdawało, że gdyby ojciec nie pił, to on by nie kradł. A obietnicę co do siódmego przykazania wmusił mu spowiednik. No i kuratorka.

Tu kolnął go lekki wyrzut sumienia: a papierosy? A rozpuszczalnik? Czy to nie jest złamanie obietnicy?

E, tam. Rozpuszczalnik podpieprzył Big Ben, a te trzy fajki ojciec sam by mu dał, jakby akurat był w domu. Zresztą kuratorka też nie dotrzymała obietnicy. Miała zajrzeć przed świętami i co? W cichości spodziewał się, że jednak, mimo ojcowych protestów, zabierze go do parafialnego sezamu i ubierze w przyzwoite ciuchy. Jakby tak do niej zadzwonić?

Przeniósł wzrok na gwóźdź z „kluczem zwycięstwa”, gdzie zawsze wisiał kartonik z telefonem kuratorki. O kurde, nie ma. Przed malowaniem klucz wsadził do kieszeni, ale kartonik położył... Gdzie? Na stole, na oknie? Wszystko jedno, nie ma i klops. Nie zadzwoni, nie przypomni się, będzie łąził dalej w wyszmelcowanej ortalionówce i rurowatych spodniach, a eleganckie panie będą ostrzegały odstrojone córeczki, żeby na niego nie patrzyły...

Ojciec też nie dotrzymał obietnicy, z wielkich zapowiedzi zrobiły się dwie bylejakie koszuły. No, a najgorszy okazał się Dariusz. Wszystkich można jakoś usprawiedliwić – tata nie miał pieniędzy, kuratorka czasu... Ale Dariusza dotrzymanie słowa nic by nie kosztowało, ani grosza, ani godziny. Dziesięć minut góra. I tego pożałował!

„Takie czasy, panie, i nic się nie poradzi” – przypomniał sobie słowa świątecznego gościa i niespodziewanie trochę poweselał. Świąteczny gość nie tylko narzekał na takie czasy; w pewnym momencie uhonorował Darka pochwałą, że jest „niedzisiejszy”. To było wtedy, kiedy ojciec podsunął Darkowi kieliszek ze słowami: „jesteś już duży chłop, łyk ci nie zaszkodzi, a nie będziesz siedział taki markotny”. Darek odmówił wyniośle i stanowczo. Ojca to zmieszało, ojcową zezłościło, a tłusciuchowi się spodobało!

Widać tłusciuchy mnie lubią. Ten tam, i kioskarz, co najpierw mnie wkopał, a potem wyciągał... I Big Ben... Ciekawe, dlaczego?

Tłusciuchy skojarzyły mu się z jedzeniem, jedzenie ze śniadaniem. Dostyc żwawo odrzucił kołdrę, wstał – i poczuł się jeszcze żwawiej. Bo na parapecie zobaczył śnieg. Śnieg, więc koniec z nudą, koniec z kiseniem się w chacie. Wakacje, prawdziwe!

Objadł się solidnie, na zapas, świątecznymi resztkami, przy okazji stwierdził, że jasność w mieszkaniu nie tylko od śniegu i czystego nieba, ale i naprawdę od południowej godziny – dochodziła pierwsza. To właściwie dobrze. Inni ganiają się od rana, już wyslizgali zjeżdżawki.

Miał rację. Na górcie wprost bloków mrowiło się od saneczek i od sylwetek z rozpostartymi rękami szusujących na butach po zboczu. Patrzył na to chwilę, wydawało mu się, że rozpoznaje Dariusza...

– O, nie – mruknął. – Jak on tak, to ja tak. Na „Alinie” też się można ślizgać.

Obszedł bloki od balkonowej strony, żeby Dariusz (jeśli to był on) nie mógł go zobaczyć, i dotarł na „Alinę” skrótem przez olszynowy lasek. Bardzo dobrze zrobił, bo na ścieżce prowadzącej w dół do osiedla nie było żadnych maluchów z saneczkami, tylko sami jego rówieśnicy, którzy już zdążyli wyslizgać długą „butostradę”, a teraz udoskonalali ją, zgarniając śnieg na kamieniste miejsca. Skobel, pomny, że „aliniacy” przegnali go raz od piłki, postanowił się wkupić i zasłużyć. Zawrócił do olszynki, gdzie przedtem zauważył dzikie wysypisko jakichś kłamotołów. Poszurał w nich obcasem, poprzierzucał kawały blach i plastiku, aż znalazł coś, co mu się nadało: szufłę, wprawdzie z trzonkiem ułamanym, ale nie za bardzo, u samej góry. Gdy z tym drogocennym sprzętem wkroczył do akcji, mógł już rządzić.

Przystał do niego niejaki Jacek, uzbrojony w szczątek „Tablicy informacyjnej” z płyty pilśniowej, nagarnęli śnieg, innym kazali udeptać, trasa po tych zabiegach zrobiła się dłuższa i przyjemniejsza. Skobel ślizgał się zawzięcie, prawie najdłużej ze wszystkich, na drugi dzień z owym Jackiem udoskonalali, a raczej – uciekawili „butostradę”, usypując tu i ówdzie coś w rodzaju skoczni, trzeciego dnia zwykle zjeżdżanie już wszystkich trochę znudziło, więc urządzili sobie zawody: kto się wywrócił, odpada, kto wszystkich przetrzyma – wygrywa. Czwartego dnia znienacka nastąpiła odwilż i koniec zabawy. Jeszcze trochę porzucali się mo-

krymi resztkami śniegu, ale że był bardziej podobny do błota niż do śniegu, wprędce dali spokój.

Darek wracał do domu półmokry i zły. Ta odwilż to też... Nie mogła to nadejść dopiero jak się ferie skończą? Kurde, to już pojutrze. Trzeba by otworzyć torbę, zobaczyć, czy czasem czegoś nie ma do odrobienia. E, tam...

– Darek! – usłyszał za plecami. Poznał głos Dariusza, udał, że nie bierze wołania do siebie.

– Skobel, poczekaj! – nie ustępował Dariusz.

Skobel odwrócił się, zobaczył, że Dariusz biegnie, „I tak zobaczyłbym się z nim w szkole. Dobrze, nawtykam mu teraz. Powiem, że jest fajansiarz i niepoważny. Tak, niepoważny, tym mu najlepiej przygrzeję!”

Nie ruszył ni krokiem w stronę kolegi. Patrzył tylko zawzięcie w jego twarz, pogodną, życzliwą, jak gdyby nigdy nic. Tak go złościła, że zacisnął pięści w środku mokrych rękawic.

– Czego? – szczerknął krótko, gdy Dariusz był już blisko. Jasiak przystanął, zaskoczony.

– Co ci odbiło? I gdzie się podziewasz? Szukam cię od wigilii...

– Nie bądź niepoważny, fajansiarzu. Jakbyś szukał, to byś znalazł. Wiesz, gdzie mieszkam.

– Właśnie że nie wiem. Powiedziałaś, że pod sto dwudziestym dziewiątym, a takiego numeru w twoim bloku w ogóle nie ma. Spisu lokatorów też – odpowiedział ostro Dariusz.

– Dobrze powiedziałem, tylko ci się nie chciało szukać. Mniejsza z tym, nasypali piasku – miało to zabrznieć obojętnie, a wypadło żałośliwie, jakby do słów domieszała się rozżalona myśl: a ja tak na ciebie czekałem! – Cześć, muszę iść, bo mam wodę w butach.

– Czekaj, nie utopisz się w tej wodzie. I nie świruj, tylko powiedz jak człowiek gdzie jest twoje mieszkanie.

– Na samej górze, gdzie już winda nie dochodzi. Trzeba iść schodami, są z boku, za sto dwudziestym ósmym.

– Trzeba było tak od razu.

– E, tam. Nic się nie stało.

Twarz Dariusza wskazywała, że wreszcie do niego coś dotarło. Że widzi, jak nawalił.

– Pewnie – powiedział zgodliwie. – Tyle, że mnie matka zrugowała. Zresztą to się da odrobić. Dzisiaj znowu idziemy do dziadków, ale ja z małymi wrócę wcześniej. W nagrodę ojciec mi dał rakiety, żebym sobie postrzelał o północy. Przyjdź do mnie, postrzelamy razem.

– O północy to ja będę spał jak kamień.

– Przyjdę cię obudzić!

– Jak chcesz – łaskawie przyzwolił Skobel. – Ale jak zaśpisz, to nic się nie stanie. Cześć, idę, bo mi naprawdę zimno w nogi.

Dariusz spojrział na niego bardzo uważnie, ale poza „cześć” nic więcej nie powiedział.

Skobel rzeczywiście buty miał mokre jak gnój, a nogi aż sine od zimna. Buty położył na kaloryferze, bose stopy zaczął rozcierać ręcznikiem, aż go oświeciło, że lepiej rozgrzać je gorącą wodą. Więc dołożył do butów spodnie, wciągnął dresowe i poszedł do łazienki.

Kiedy siedział na brzegu wanny, podtykając to jedną, to drugą nogę pod kran, odważył się wreszcie pomyśleć o rozmowie z Dariuszem. Bardzo dobrze, że mu dosolił – zagłuszał niepokój. – Niech wie, że nie z nim takie numery: nawalić, a potem ciamku-ciamku, wszystko się samo odrobi. Nie samo, tylko Dariusz ma odrabiać. Przyjdzie – będzie dobrze. Nie przyjdzie – jest taki sam jak inni i nie ma co żałować.

Jestem Skoblem-co-cię-Mocno-Trzyma i podpórki mi nie potrzebne. Przeżyłem ferie bez Jasiaków i co? Zachorowałem od tego? Wykitowałem? Nic mi nie przybyło, ale i nie ubyło.

Po obiedzie, kiedy ojcowa zagnała ojca do kąpieli, a sama wzięła się za prasowanie, powoli zmieniał zdanie. Zazdrościł starym, że mają gdzie iść na wieczór, zazdrościł Jasiakom ich wielkiej rodziny, co się nawzajem odwiedzają. I żałował tego wieczoru kolędowania, który go ominął przez przypadek, przez niedopatrzenie, przez złą pogodę też. Bo jakby śnieg spadł

choćby i w wigilię rano, to by się spotkał z Dariuszem na górce i wszystko byłoby w porządku.

„A jakbyś nie był taki dziki i zwyczajnie poszedł do Jasiaków, jak człowiek do ludzi – zgañił go głos wewnętrzny – to też by było w porządku. I jakbyś się głupio nie stawiał w południe Dariuszowi, to mógłbyś u niego czekać na północ, a nie tłuc się sam w czterech ścianach”...

– Nie siedź tak głupio – przywołała go do terażniejszości ojcwowa – i sprzątnij stół. Ja też muszę się przed wyjściem wykapać.

Ojca świąteczne ubranie leżało na krześle, ojciec w gaciach siedział na wersalce i patrzył dość obojętnie w telewizor. Darek wziął żelazko, już miał zwiijać sznur, ale pozazdrościł ojcu wyprasowanych spodni.

– Tata, ty wiesz, jak się prasuje portki?

– Co nie mam wiedzieć – ożywił się ojciec. – Za kawalera zawsze miałem kanty jak brzytwy!

Jak się wziął do pouczania, to z rozpędu prawie że i wyprasował synowi sponiewierane mokrym śniegiem spodnie. Kanty może niekoniecznie były jak brzytwy, mimo to Darkowi wydały się godne szacunku, powiesił więc portki na poręczu drugiego krzesła, zamiast ubrać od razu.

Ojcwowa wyszła z łazienki wyfloczona, nagadała ojcu, że jeszcze nie gotowy, spostrzegła Darkowe spodnie:

– Co, ty też idziesz balować? – spytała ze zdziwieniem i szyderstwem.

– Może... – zrobił tajemniczą minę Skobel, co zresztą zaaferowanej ojcwowej nic nie obeszło.

Może ja też wyjdę. A może nie. Wszystko teraz zależy od Dariusza. Jak przyjdzie, to znaczy, że jest mądry. A jak nie przyjdzie? To ja jestem głupi, bo przesoliłem.

Starzy wyszli zaraz po dzienniku. Skobel siadł przed telewizorem. Lecił jakiś film o zakochanych, ani życiowy, ani hecowny. Nudził go, robić nie miał co. Pojadł bez przyjemności pierniki i rozglądał się po mieszkaniu. Przyszło mu do głowy, że nawet gdyby byli bogaci jak ci szpanerzy na ekranie, to i tak by nic nie pomogło. Przecież ojciec jako palacz zarabia lepiej niż Dariuszowy, który jest kierowcą w MPK. A ojcwowa na tych ciemnych interesach to nawet robi szmal. I co z tego? Lamy mu nawet na Gwiazdkę nie kupili. Dobrze chociaż, że przyzwoitą zasłonę dostał. On dostał? Figa, to ojcwowej zrobiło się wstyd poplamionego obrusa, jak zaczęły przychodzić „klientki”. Kuratorki to się nie wstydzila, a przed tymi babsztylami chce szpanować. Też mi szpan, niech ręka boska! Sztuczne kwiaty, abażur z frędzelkami, co pół światła zjada. I poduszki na tej durnowatej wersalce, które przezornie przenosi na łóżka, kiedy pojawiają się taty kolesie. Roześmiał się nagle, bo sobie przypomniał, w jakim pośpiechu ojcwowa ściele te łóżka pięć minut przed wizytą „pani kierowniczkii” albo „pani magistrowej”. Szlag by trafił! Nie pieniędzy w tym domu trzeba, ale rozumu i serca. A te odeszły z matką.

Wyłączył telewizor, przeszedł do swojego kąta, zaciągnął kwiecistą zasłonkę i rymnął się na leżankę. Przed oczami miał teraz plecy kredensu, z takim pośpiechem i zapałem nadaremno malowane. No, może nie tak zupełnie nadaremno, Dariusza nimi nie oczarował, ale tak czy owak wygląda tu lepiej niż przedtem. Przyjemniej. Kuratorka radziła, żeby poprzyklejał na ściankę jakieś plakaty? Ale skąd wziąć? Ze słupa zerwać?

Właściwie mógłby coś sam nabazgrać na tej ścianie. Ma dryg do tego, kredki świecowe leżą w szufladzie stołu... Co by tu można? Kwiatki nie, dosyć tu już kwiatków. Lepiej jakieś obrazki. Na przykład ich dom na Zielonej, z różami pod oknem. To nic, że były krótko, umarły niedługo po matce. Właśnie dlatego! Albo plażę w Brzeźnie i statki na gdańskiej reddie. Moło w Pucku, zatokę we mgle, z cieniami idącymi od Helu... Nie, tego by nie potrafił. Ale, jakby się postarał, to może udałoby się ten szczęśliwy wieczór w kuchni u Jasiaków, kiedy to był za wybawcę Dariuszowego braciszka...

Nie wiedzieć kiedy zasnął. Obudziły go strzały, oprzytomniał od razu i wpadł w popłoch.



– Dariusz już był i nie dostukał się. Cholera, nie powiedziałem mu, że dzwonek wysiadł. A może się obraził? A może uwierzył, że mi nie zależy? A może zwyczajnie zasnął?

Pobiegł do kuchni i odetchnął z ulgą: na budziku było dopiero pół do dwunastej. Te hukki robią ci, co nie mogą się doczekać.

Spokojniejszy już, przyczesał się, przebrał spodnie, wyjął z szafy granatowy sweter, ten „komunijny”, za pieniądze ciotki Pauli, co to „rósł” z nim razem. Przelotnie pomyślał o Renkach – czy im tam dobrze za oceanem? Czy myślą czasem o nim? Choćby i pomyśleli, to już poniewczasie – nie wiedzą, że się przeprowadził.

Wrócił do swojego okna – nad portem przesuwwały się po niebie światła reflektorów, nad wielkimi osiedlami, tam w dole, blisko morza, rozpryskiwały się kolorowe pierwsze rakiety. Podciągnął się na parapet i siadł, objąwszy rękoma podkurczone kolana.

Sam Gdańsk był ciemny. Darek rozpoznał krzyż na Kościele Mariackim, on zawsze świeci. Majaczyły też i inne wieże, ale słabo. Trochę się rozczarował, wnet jednak zaciekawiło go nie widziane dotąd zjawisko: bliżej, na dole, zobaczył wielki, prostokątny cień w czerwonym obramowaniu. Cień kurczył się szybko, dziwnie to wyglądało, jakby blok odjeżdżał do tyłu. Potem czerwień zalała wszystko, podniósł wzrok wyżej, zobaczył parasol z ognia, w mieszkaniu zrobiło się ciepło – czerwono, tak jak u nich na Zielonej, kiedy matka rozpałała ogień przed kolacją. Bardzo lubił ten blask kuchennego ognia. Najbardziej zaś lubił tę chwilę, kiedy pod kuchnią już się paliło, a matka wychodziła po węgiel do komórki. To znaczy, lubił nie jak wychodziła, tylko jak wracała i wieszala klucz na futrynie. Bo od tej chwili zaczynał się ciepły, spokojny, bezpieczny wieczór.

Huki były coraz częstsze, zaczął się martwić, że Dariusz nie przyjdzie. Zielone światło, czerwone, znowu zielone. Łup – i olśniewające, białe. Jakby ktoś stuwatówkę w pokoju zapalił, tak się zrobiło jasno. Ale tylko na moment, na tyle, żeby klucz na „ścianie” zabłysnął. - Przyprowadź mi, proszę – wyszeptał Darek i urwał. Za oknem znowu pojawił się cień bloku, topniejący szybko w napływającej czerwieni. – Teraz. Przy tym ciepłym świetle...

Wydało mu się, że jedzie winda. Na dworze znów huknęło, więc nie mógł rozróżnić, czy ktoś wsiada, czy wysiada. Zrobił pół obrotu, ręce wparł w parapet, nogi opuścił, czekał. Nic się nie działo. Tylko strzały coraz częstsze.

U nas, na Zielonej, słyhać było dzwony – myślał. – Staliśmy przy oknie i życzyliśmy sobie. Ja byłem za głupi, ale matka mi życzyła. Wynajdowała takie słowo na dobrą wróżbę. Coś, na czym mi zależało. Na czym mi wtedy zależało, rany, na samych głupotach. Na autku, na piłce, czysty śmiech. Teraz muszę sam wymyśleć. Muszę mieć gotowe, jak się odezwą dzwony. Może jednak doniesie ich dźwięk aż tu?

Natężył słuch, dzwonów nie słyhać. Jeszcze za wcześnie. Ale na schodach – tak, po schodach ktoś biegnie. Szybkie, mocne kroki. Nie zasnął, nie zapomniał! Dariusz, przyjaciel. P r z y j a c i e ! Rozum i serce.

Zeskoczył z parapetu i pobiegł otworzyć drzwi.

# PLAGA OSIEDLA

## I. Normalka, czyli nuda

– Ależ się nudno zrobiło – powiedział Darek, zwany Przedszkolanką, a drugi Darek, na którego mówili Skobel, uzupełnił:

– Myślałem, że jak przenudzimy się przez zimę, to znowu będzie jak w zeszłym roku.

– Jak w zeszłym roku to jest na „Celinie” – westchnął z zazdrością trzeci Darek, którego chrzestne imię zastąpiono w owym wspaniałym zeszłym roku tak skutecznie przezwiskiem Hipek, że nawet wychowawczynie zapomniała się czasem i tym przezwiskiem przywoływała go do porządku.

– Co będziemy tu gnić, lećmy tam, tam są wszyscy – zaproponował zeskakując z kubła na śmieci. Pusty kubeł przewrócił się z hukiem i dudnieniem.

– Nie bredź, Hipciu. I nie rób hałasu, bo ściągniesz nieszczęście -przyhamował go bez złości Przedszkolanka i zlął niespiesznie z murku, żeby podnieść kubeł. Lepiej by się pospieszył – choć nie, to też by nie pomogło. Z pierwszego piętra doleciało:

– Znowu tu siedzicie? To już nie macie innego miejsca, tylko śmietnik? I żebyście chociaż cicho siedzieli!

Teraz i Skobel zeskoczył na beton, spojrzął w stronę balkonu, gdzie przez poręcz przechylała się „ciężkokalibrowa” teściowa dozorczyńni.

– A gdzie pani ma to miejsce, gdzie możemy siedzieć? – odkrzyknął i nie spodziewając się odpowiedzi zwrócił się do kolegów:

– Chodźmy zajrzeć do Zośki, może już jest.

– Na pewno nie ma, widziałem, jak zaraz po budzie wsiadała do autobusu. Nawet teczki do chałupy nie odniosła. – Hipek, choć najmłodszy, był najlepiej poinformowany.

– Ale możemy podejść do przystanku, poczekamy, aż wróci.

Przedszkolanka popatrzył na zegarek i łaskawie się zgodził:

– Podejść możemy, nawet stamtąd będzie bliżej.

Nie pytali dokąd bliżej, bo wiedzieli: do budy, po małych.

Darka mama pracowała w przychodni, wracała nieraz późno i Darek miał przykazane, żeby małych nigdzie samych nie puszczał. Więc ciągnął tych dwoje, Anię i Waldka, wszędzie ze sobą, albo oni jego ciągnęli. Koledzy wiedzieli, że przez tę „przyczepę” Darek „nie ma życia”, nawet mu współczuli, ale kiedy zbyt często odmawiał udziału w dalszej wyprawie albo dołączał do niej zasmarkaną „przyczepę”, przezywali go Przedszkolanka i przestali na niego liczyć. A Darek wołał już znosić i przezwisko, i los, niż przeżyć jeszcze raz taki wieczór, jak jesienią zeszłego roku, kiedy Waldek „urwał się i uciekł” i znaleźli go dopiero o dziewiątej na „Celinie” zabeczanego, w budce dozorca budowy. Dozorca, nie mogąc od Waldka wydusić gdzie mieszka, już mu robił spanie na swojej pryczy. Nie można powiedzieć, pocziwy, ale mógł przecież zadzwonić po radiowóz... Co mu też tata wygarnął, mimo wdzięczności. Ale naprawdę skrupiło się na Darku, że nie upilnował brata. Więc teraz pilnuje.

A że pilnuje już dwoje, to ciotka, na nieszczęście mieszkająca w sąsiednim bloku, dołożyła mu jeszcze Hipka. Miły kuzynek chodził już wprawdzie do piątej, ale po pierwsze, był mały i wyglądał na trzecią, po drugie, miewał pomysły nie z tej ziemi, więc ciotka ciągle drżała, że albo mu coś zrobią, albo on coś zrobi, i lamentowała, że już nie wiadomo, co gorsze.

Co do Darka Skobla, to ten przewisko przywiózł ze sobą, ze starego mieszkania. Oni byli z tych przekwaterowanych, z rudery, która się zawaliła. „Kwaterusów” nikt na osiedlu nie lubił, więc trzymali się razem, tylko Darek od nich odstał, właśnie z powodu przewiska. Jeden z dawnych koleśków krzyknął do niego już w nowej szkole: „Ty, Skobel, ruszamy po budzie w Polskę?”, a Darek z punktu rąbnął go w szczękę i ryknął, że Skobel został na Zielonej i niech nikt się nie waży. Bili się przez całą przerwę z takim skutkiem, że Darek stracił kumpli, a przewisko stało się znane w całej szkole. Z Przedszkolanką spiknęli się w czasie pamiętnych poszukiwań jego braciszka, przy których się nawet odznaczył, bo to on skierował wyprawę na „Celinę”. Chwalono go za to i on sam też się przechwalał i może dlatego przystał do „przedszkola”.

Ruszyli środkiem jezdni, bo chodników jeszcze nie było. Hipek dumny, że idzie ze starszymi jak równy z równymi, wydłużał krok i komentował otaczającą ich rzeczywistość:

– Co to się narobiło przez tę zimą, co – nie? Barak się spalił, tak wciąż na nas krzyczeli, że co się kręcicie, jeszcze pożar się robi, ciekawym od czego, myśmy tylko w karty grali, i to, ja wiem, do października? Prawda, Skobel, że tylko do października?

– Uhm. Potem już było za ciemno i za zimno.

– No, mówię. A barak się spalił w lutym. Więc kto zrobił pożar? Jasne, że nie my. Co – nie?

– Jasne.

– Myśmy spalili szałas, ale to był nasz szałas, nie? A drzewa, co się tylko trochę osmaliły, to i tak spychacz potem wywalił i śladu nie ma. Więc o co ten krzyk?

– Spychacz zwałił drzewa urzędowo, a nasz szałas był nielegalny – wyjaśnił Przedszkolanka. – I w ogóle mamy szanować otoczenie, nie słyszałeś, co na rozpoczęciu roku mówił ten z Rady Spółdzielni?

– Nie słyszałem, gadał i gadał, kto miał siłę uważać... Ale wtedy to było fajnie – Hipek wrócił do barwnych wspomnień. – W budzie tylko trzy godziny, tu wszędzie wykopy, a co gratów ludzie wyrzucali... Ciekawe, że nie zostawili na starym, tylko wlekli ze sobą na nowe mieszkanie. A potem co im się nie mieściło, to buch, oknem albo jak... Pamiętacie ten bunkier, cośmy sobie w wykopie z szafy zrobili? A teraz – co? Przyszedł spychacz i wyrównał.

– Za to idziesz drogą, a nie skaczesz przez bajora – Skobel wziął w obronę spychacze.

– Bajora też były fajne. Pamiętasz, były tam, gdzie teraz budują sam. Po pas wody, i taka ciepła...

– Po pas, to było tobie, Hipku. Przestań wreszcie trzeszczeć -zastopował go Przedszkolanka.

– Co ci przeszkadza?

– Nic. Bądź cicho.

– Wszyscy tylko: bądź cicho i cicho – mruknął rozżalony Hipek i kiedy doszli do pętli autobusowej, siadł z dala od starszych, na drugiej stercie betonowych krawężników. Nie usiedziało długo, krawężnik się chybotął, więc Hipek stanął na nim i rozstawiwszy szeroko nogi próbował go rozkołysać.

– Hipek, jak się nie uspokoisz, to cię zdzielię – zdenerwował się dla odmiany Skobel.

– Ale wy jesteście! Co wam dzisiaj odbiło? Pogoda nareszcie ładna, nie musimy kisić się po chatach...

– Właśnie dlatego – wyjaśnił mu Przedszkolanka. – Gdyby lało, to bym cię zamknął w mieszkaniu i miałbym spokój.

– To daj mi klucz i sobie pójdę.

– Żebyś wiedział! Jeszcze dziś uwiążę twoje klucze na ślicznej długiej tasiemce i na tej tasiemce zaciągnę cię do ciotki i róbcie sobie co chcecie.

– Eee, złęknieś się mojej mamy i złamiesz się po trzech słowach! – Hipek chciał to powiedzieć podpuszczająco, żeby kuzyn się zawziął i powiedział: „A zobaczysz, że nie”. Ale wyszło blado, bo zanadto się bał, że Darek rzeczywiście się złamie. A tak bardzo chciałby mieć znowu klucze dla siebie. To było życie – kiedy chciał, mógł wyjść, kogo chciał, mógł wpuścić... Żeby ten głupi cep Szymura nie zalał wtedy łazienki, byłoby tak do dziś.

– Na pewno się złamiesz. Ty jesteś taki grzeczny, uczynny chłopczyk. Poważny i kochany – judził dalej, przedrzeźniając słowa własnej matki, która nieustannie stawiała mu siostrzeńca za wzór.

– Wiesz co Hipek, jak mi dasz słowo, że za godzinę będziesz przed moimi drzwiami, to ci pozwolę się urwać. – Przedszkolanka zagrał „po dobroci”.

– Nareszcie coś z głową! Bo od tego twojego „cicho”, „spokój”, to można się skręcić. Czegoś ty dzisiaj taki, jakby cię brzuch bolał? Pogoda jak złoto...

– Nie zagaduj o pogodzie! Słowo?

– Słowo, słowo, słowo! – Hipek zerwał się i już chciał biec na przełaj do osiedla „Celina”.

– Tylko nie na „Celinę”, bo nie zdążysz wrócić!

– No dobrze – zmarkotniał Hipek, ale posłusznie zmienił trasę. – Pójdę do parku.

I zaczął wspinać się na ukos po skarpie w stronę przyciętego przez spychacze wzgórza, nazywanego na wyrost parkiem. Na razie były tam tylko dwie huštawki, piaskownica i kilkanaście patyków, z których podobno kiedyś będą rozłożyste lipy. Doszedłszy do parku spojrzął w dół, na pętlę. Właśnie nadjechał autobus, wśród wysiadających dostrzegł Zośkę. A już, akurat będąc tu się plątał między szczawikami – pomyślał ucieszony, że Przedszkolanka teraz nie może go widzieć. Zobaczył go za to Maciek z piątej „b”.

– Hipek, dobrze, że jesteś. Myślałem właśnie, gdzie cię szukać. Pokażę ci coś fajnego, tam, za ostatnim blokiem!

– Ale biegiem, bo za godzinę mam być w chacie.

– Będziesz, spokojna głowa.

Pędem przecięli park, przeskakując stopy płyt chodnikowych minęli ostatni blok i czepiając się czarnych jeszcze krzaków janowca, najbardziej skrótowym skrótem, opuścili się w dolinkę, oddzielającą osiedle od nasypu kolejowego i lasu.

Dwaj starsi Darkowie, pozbywszy się Hipka, nadal siedzieli milcząc. Skobel miał nawet ochotę zagadać, ale widząc ponurą minę kolegi, dał spokój. Rzeczywiście wygląda, jakby go brzuch bolał.

Przedszkolanki nic nie bolało, tylko uwierała go, niczym kamień w bucie, piękna pogoda. Zima to zima, plucha to plucha, trudno, trzeba przeczekać. Ale teraz, kiedy niebo aż błyszczy od słońca, które nareszcie nie tylko kłuje w oczy, ale i przygrzewa, okazuje się, że nie było na co czekać. Obciążony „przyczepą”, poobstawiany dziesiątkami zakazów – na „Celinę” nie wolno, do Wrzeszcza nie wolno, pod oknami nie wolno, na klatkach nie wolno – czuł się więzieniem tej jałowej, zrytej ziemi i wrogiego blokowiska. Zatęsknił za starym mieszkaniem, no nie, mieszkanie było nie do wytrzymania, ich pięcioro w jednym pokoju, dziadkowie w drugim... Ale poza tym na Oruni wszystko było lepsze – szkoła taka ładna, w zieleni... A lista obecności rok w rok zaczynała się od „Bodył Maria”, a kończyła na „Żurek Tomasz”. Tomka Żurka też żał, i opuszczonych, zdziczałych sadów na wzgórzach, i „oswojonego” samu, gdzie ci przyjęli butelki o każdej porze. Nawet pompy, do której musiał chodzić z wiadrem, teraz też pożałował. Zawsze tam można było kogoś spotkać... Waldka i Ani nie potrzebował pilnować, bo pilnowali ich wszyscy -dziadkowie, sąsiedzi... Do kina chodził co tydzień, obdrapane było, prawda, ale było. A tu, choć już podobno dziesięć tysięcy ludzi mieszka, kina i za dzie-

sięć lat nie będzie. Nie ma na tych wielkich osiedlach, takich po czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy, to tu by miało być? O stadionie też nie ma co marzyć...

Podniósł głowę i zlustrował blokowisko. Tu, gdzie siedzieli miało być centrum, na prawo, na gołym polu otoczonym siatką – szkoła, na lewo – fundamenty samy, po drugiej stronie pętli – cztery budki handlowe: kwiaty, warzywa, spożywczy i kiosk „Ruchu”. W spożywczym nudzi się wśród makaronu i marynowanej dyni ekspedientka, a w kiosku kartka: „poszłam do dyrekcji”.

– Będę chyba musiał już iść – powiedział. – Zaraz będzie dzwonek, Waldek może wystrzelić wprost na powietrze w kapciach i znowu mu buty skradną. Jakby przyjechała Zośka, to spytaj się jej, czy nie przechowałaby dziś mojej „przyczepy”, ja bym jej jutro odrobił. To moglibyśmy po obiedzie pojechać do Wrzeszcza, połączyć, albo do kina...

– Poczekaj, jedzie autobus, może Zośka wraca.

Zośka wysiadła, dźwigając dwie torby z chlebem na wierzchu.

– O rany – jęknął Skobel na ten widok – ja miałem na przerwie wyskoczyć i zapomniałem.

– Nie łam się, kupiłam dwa bochenki na zapas – pocieszyła go Zośka.

– Darek, spotkałam w sklepie twoją mamę, dała chleb dla was i kazała ci nie czekać na nią, tylko dać obiad małym, bo ją zatrzymują do osiemnastej.

– No to jestem ugotowany – westchnął. – Na trzy godziny mógłbym ich splawić, ale na sześć... Cześć, idę po „przyszłość narodu”.

– Plagę osiedla – sprostował Skobel.

– Idź, tylko potem nie zapomnij przyjść do mnie po waszą siatkę -zawołała za nim Zośka.

Darkowi zrobiło się głupio, dosyć się dziewczyna nadźwigała z Wrzeszcza.

– Skobel, bądź rycerz i weź te torby. Ja was zaraz dogonię – poprosił kolegę i pobiegł.

Skobel posłuchał, czemu nie, jakaś sprawiedliwość musi być – skoro Zośka dowiozła ten chleb dotąd, to teraz ich kolej. A ten Przedszkolanka to swoją drogą umie znaleźć właściwe słowo. Inny by powiedział: „Rusz się, chamie”, albo gorzej, a ten: „Bądź rycerz”. Jak on mnie wyczuł, że do mnie lepiej „rycerz” niż „chamie”. Przystanął na niego wołać Przedszkolanka – postanowił.

– To Darek jest rycerz – powiedział, odbierając od Zośki obie torby. Jak już, to już. – Mnie tam do szczawików bardziej pasuje „plaga osiedla”, a on nie, on elegancko. Choć ma ich po uszy.

– Wiesz, czasami myślę, że tu, na osiedlu, wszyscy wszystkich mają po uszy. W Kościelnie tak nie było.

– Nie mogliście tam zostać?

– No jak? Ile lat tata może dojeżdżać do pracy? Dwa, trzy, tak się mówiło, kiedy po urodzeniu Bolesia wymówili nam pokój w Gdyni. Co było robić, wuj nam dawał pół domu, żebyśmy tylko mu pomogli w ogrodnictwie. Nie powiem, nawet nam się dobrze działo, ale tata jest pilotem portowym, więcej był w Gdyni niż w domu. I kto myślał, że z dwóch, trzech lat zrobi się dwanaście! Póki chłopcy byli mali, to jeszcze szło, ale teraz, to już ojciec konieczny.

– Pewnie, jak dobry, to tak – zgodził się półgębkiem Skobel. Pomilczał trochę, nabrał tchu i wywalił, co mu od rana leżało na sercu. – Wiesz, Zośka, jest taka sprawa. Nawet dwie sprawy. Darek, nie Hipek, tylko duży Darek, chciał ci podrzucić małych na popołudnie, ale wyszło, że to byłby i wieczór, więc spasował. Ale ja sobie teraz wykombinowałem, że raz nie zawsze, było nie było, niech ja będę za przedszkolankę. Mógłbym wziąć i twoich szczeniaków, coś bym tam dla nich wymyślił. Za to... – urwał.

– Co za to? – zachęciła go Zośka.

– Widzisz, dzisiaj jest piątek, piątek jest u nas zawsze taki, no... Wolałbym przyjść do domu, jak już taty kumple pójda. Jeśliby twoi starzy oglądali nocny film, to ja bym z nimi. Ja byłbym cicho. Tylko byś im musiała jakoś przetłumaczyć...

Zośka coś długo nie odpowiadała. Skobel już chciał powiedzieć: nie to nie, nie ma sprawy, ale Zośka właśnie zaczęła:

– Wszystko się sypie. Film byś pewnie mógł oglądać, jeśli rodzice by oglądali. Ale jest tak, że wuj z Kościerzyny dzisiaj się obsprawa w Gdańsku, potem ma być u nas na herbacie, a potem nas zabiera swoją „karetą” do siebie.

– No nie, ja przecież nic, ja tylko tak... A bo to pierwszy raz... Schowam łeb pod kołdrę, może mi dadzą spokój.

Zośce ten obrazek – biesiadujący kumple i Darek skulony w kącie wersalki – wydał się nie do zniesienia. Co by tu? A może go wziąć do wuja na dwa dni? Odpada, nie zmieszczą się w „karecie”, i tak jest superata. Niby byłby sposób, ale... Ale co? Ale nie ma żadnego „ale”!

– Mam! – wykrzyknęła zuchowato. – Że mi to od razu nie przyszło... Uważaj: gdy zobaczysz, że już się ładujemy do wujowego wozu, pokręć się koło mnie. Ja ci dam moje klucze, położysz się na mojej wersalce, wiesz, w małym pokoju, tam będzie koc i poduszka, tylko potem ładnie złóż...

– Odpada – przerwał Skobel. – Ja nie mogę być sam w cudzym mieszkaniu.

– Bo co? Boisz się? W nowych blokach nie straszy – usiłowała żartować Zośka.

– Wiesz, czemu mnie nazywają Skobel?

– Wiem, kolesie ze starej szkoły cię tak...

– Dobra, dobra. Skobel i Kłódka. Kłódka i inni zwiali, mnie przytrzasnęli. Przy piwnicy, no, wiesz. Dostałem nadzór, jeszcze nie najgorzej, zwłaszcza że tu nikt nie nadzoruje. Ale ja nie chcę drugi raz podpaść.

– Zlituj się, czemu masz podpaść? – Zośka zaprotestowała głośno, zbyt głośno. Skobel skapował od razu, że ma stracha.

– Życia nie znasz.

– Ja? – oburzyła się. – Ja nie znam? Mnie sąsiadki o radę pytają! Dorosłe, matki dzieciom.

– Tak, tak, gdzie kupić dorsze, albo do której chodzi autobus. – W głosie Skobla było tyle lekceważenia, że Zośka mimo najlepszej woli jednak się obraziła. Nie chciała dać tego poznać, więc przystanąła i obejrzała się za siebie.

– Coś Przedszkolance ciężko idzie, bo go nie widać – powiedziała.

– No to poczekajmy na niego, nie pali się.

Zośce akurat się paliło, bo przed przyjazdem wuja miała zadane przetrzeć podłogi i wolałyby lekcje odwalić i zmusić Bolka i Adasia, żeby też to zrobili. Tylko że ich pewnie i tak gdzieś nosi...

– Dobrze, poczekajmy.

Rozejrzeli się, gdzie by tu przysiąść. Jedyne ławki były zajęte, za to nie brakowało betonowego złomu na inne. Siedli, Skobel z ulgą położył siatki na piasku. Zośka nic nie powiedziała, ale nieznacznie przeniosła je na beton. Skobel to zauważył, ale też grzecznie udął, że nie widzi. „Elegancja-Francja” – pomyślał przy tym – jak tak dalej pójdzie, to ja jeszcze przy nich wyporządniję do zdechu.

I czy to myśl o wyporządnieniu wydała mu się nudna, czy też przecucie jutrzejszego niewyspania, bo ziewnął, aż mu w szczękach trzasło.

W dole, w bramie szkoły, pokazał się wreszcie Przedszkolanka z maluchami. Coś tam musiało się odbyć, bo maszerowali w szyku „kompanii karnej” – przed starszym bratem, maksymalnie szybko i trzymając się za ręce.

Zośka wstała, oświeciło ją, że z powodu weekendu i wuja – również drugiego kolegę musiałyby załatwić odmownie. Nie lubiła tego, wołała zwiąć.

– Mnie się jednak trochę spieszy – wyjaśniła Skoblowi – weź swój chleb, zwrócisz mi za niego potem.

Zabrała swoją siatkę, Darkową oparta o pękniętą nogę niedoszłej ławki i poszła.

Skobel patrzył chwilę za nią, potem z powodów niejasnych dla samego siebie mruknął: „a niech to wszystko szlag jasny trafi” i powlókł się naprzeciw „przedszkola”.

Przedszkolanka też był w nastroju „a niech to szlag”. Tylko że dobrze wiedział czemu.

– Wiesz, co ten gnojek znowu zrobił? Wysypał wszystko z tornistra i nie pamiętał gdzie. A ta diamentowa Ania, zamiast z nim szukać od razu, zagrała ważną i go złała. Zobacz, jak wyglądają!

Nie wyglądali znowu tak bardzo strasznie, tyle że zaryczani i rozczochrani, zwłaszcza Ania.

– Teraz mi jeszcze trzeba, żeby ten głupi Hipek się zgubił – dołószczał się Przedszkolanka. – Ale niech się o minutę spóźni, to spiorę, jak Boga Kocham, spiorę jak stary łach, niech leci do ciotki na skargę, może się obrazi!

Na ponuro i wojowniczo doholował rodzeństwo przed dom. A tam -nie do wiary – siedział na progu Hipek. Podskoczył na ich widok:

– Słuchajcie, co ja odkryłem! To jest Australia, Kanada i niech się przy tym „Celina” schowa. Jak mi dacie słowo honoru, że nie wyklepiecie, to was po obiedzie zaprowadzę.

– No, no, nie przechwalaj się, ty Kolumbie od siedmiu boleści – przyhamował go Przedszkolanka. – Ale dobrze, możesz nas zaprowadzić.

– Ale słowo, że nikomu?

– Komu by tam gadać o starej taczce w rowie, czy czymś takim -wzruszył ramionami Skobel.

– O, o, stara taczka...

Był tak przejęty, że pomyśleli: kto wie, może i coś więcej niż stara taczka.

– Przekonamy się, zobaczymy. A słowo masz, co nam zależy – przyrzekł Przedszkolanka.

## II. Paka nowości

Zośka połała gulaszem makaron i zawołała braci.

– Chodźcie, jak szybko zjecie, to zdążycie jeszcze lekcje odrobić, nim wuj z mamą przyjedzie z miasta, i będziecie mieli spokojną głowę.

Bolek i Adam zjawili się natychmiast, ale nie dlatego, że im się spieszyło do zbożnego odrobienia lekcji, tylko że byli głodni.

– Czemu tak późno ten obiad? – narzekał Bolek. – Patrz – machnął widelcem w stronę okna – już druga zmiana wraca.

– Musiałam pojechać do Wrzeszcza po chleb, masło i takie tam. W kiosku już rano zabrakło.

– No to co, przecież jedziemy do wuja – nadal wymądrzał się Boles.

– Ale w niedzielę wieczór i na śniadanie coś będziesz chciał zjeść, nie?

– Gdzie tam, u wuja zawsze jest wyżera.

– Jesteś głupi i niedobry – rozżaliła się nagle Zośka.

To jest niesprawiedliwe – pomyślała. – Od siódmej w budzie, przerwy pięciominutowe, w szatni przepychanka, bo już druga zmiana czeka, potem leć, kup, dopilnuj i jeszcze im źle. Chłopakom jest sto razy lepiej na świecie. No, z wyjątkami... Przedszkolanka też pewnie teraz daje obiad tym swoim.

– O, zobacz, katowicki ląduje – przerwał ciszę Boles, pewnie żeby zagadać poprzednie wybrzydzenie.

Spojrzeli wszyscy w okno na zniżający się samolot, Adaś zaczął tłumaczyć bratu, że to nie może być katowicki, bo katowicki zawsze robi pętlę, a ten na pewno jest warszawski, tylko ma spóźnienie.

– Katowicki czy warszawski, ale to znaczy, że zaraz trzecia. Ja was bardzo proszę, jedzcie, nie gadajcie, muszę pozmywać i w ogóle.

Boles tymczasem nie tylko przestał jeść, ale prawie przykleił się do szyby. To już nie samolot, to coś innego przykuło jego uwagę.

– Gdzie oni prują? Adam, widzisz? Darek, i całe „przedszkole”, z Hipkiem. O, i Skobel z nimi! Ja już się najadłem, potem zjem resztę.

– Ja też! – poderwał się Adam.

Zośka zobaczyła „przedszkole” dochodzące już do bloków zwanych „jamnikowo”, stojących na skraju osiedla. Tam, między te czteropiętrowe, długie od „A” do „K” bloki nigdy się nie zapuszczali, bo nie było po co. Tam tylko piach i kurz. Rzeczywiście, to ciekawe, czemu Darkowie akurat do „jamnikowa”? – zastanawiała się, ale szuranie krzesel przywołało ją do rzeczywistości. Za późno – bracia już byli w przedpokoju.

– Nie polecę za nimi – zbuntowała się. – Niech mama zobaczy, jacy są.

Skończyła obiad, nie dojezdzone makaron braci zgrnęła do rondla i zabrała się do sprzątnia. Nawet dobrze, że ich nie ma – pomyślała -nie będą się pętać pod nogami. I w końcu są już w czwartej klasie, powinni za siebie odpowiadać. Po pół godzinie naczynia były zmyte, kurze starte. Poszła do pokoju, włączyła magnetofon i postanowiła co najmniej do czwartej niczym się nie przejmować. Akurat! Trr-trr-trrrr – to był dzwonek braci.

– Co, już was przygnało z powrotem? – zdziwiła się, otwierając drzwi.

– Uciekli, wiesz, schowali się, myśmy zza „jamnika”, a oni, kapujesz, gdzieś w krzaki czy coś, myśmy się przyczaili, żeby ich przyuważyć, jak wyleżą, a oni nie i nie, nie ma i szlus – podniecał się Bolek. Adam tymczasem pomknął do kuchni i dorwał się do zimnego makaronu.

– Zośka, jakbyś była człowiek, to byś się spytała Przedszkolanki, gdzie byli – poprosił siostrę Bolek.

– Jeśli wy będziecie jak ludzie, to może się spytam. Róbcie lekcje. Adam, co się tam tłuczesz?

– Nic, ja nie nabrudzę, ja z garnka. Bolek, chcesz też?

– Uhm. Kurczę, gdzie to „przedszkole” się przyczaiło? Ale my ich jeszcze wytropimy.

„Przedszkole” zaś nie miało wcale pojęcia, że jest tropione, że ma być tropione. Hipek doprowadził całą wyprawę do olszyny zamykającej wygon za „jamnikowem”. Tam stanął i powiedział:

– Widzicie. Każdy myśli, że dalej już tylko pokrzywy i śmieci, nie? Ale my przewalimy się dalej i...

– Czekaj, wezmę Waldka na barana, te pokrzywy są już za duże na niego. – Przedszkolanka przerzucił brata przez bark, podskoczył trochę, dopasował do pleców. – No, możemy.

Droga przez pokrzywisko-śmietnisko była nadspodziewanie krótka, aż do rozjeżdżonego parowu, za którym znów zobaczyli drugie pokrzywisko-śmietnisko.

– I co, gdzie ta twoja Ameryka, Kolumbie zasmarkany? – spytał rozczarowany Skobel.

– W lewo, i za pięć minut przeprosisz mnie za tego Kolumba.

Rzeczywiście za pięć minut stanęli przed w miarę rozległą, piaszczystą kotlinką.

– No, widzicie?

– Niby co – chciał zakpić Skobel, ale urwał, bo w mig docenił. Od żółtej ściany porzuczonego wyrobiska piasku po zielone uprawne zbocze, od nasypu kolejowego aż prawie po ujście parowu, w którym stali, kotlinkę zawałył pnie i korzenie martwych drzew. Miejscami spiętrzone wysoko, gdzie indziej rozrzucone byle jak – całe drzewka, konary, odziomki, kłoc...

– To jest, wiecie, złomowisko drewna. Oni tu chyba zwalili wszystko co przedtem wycięli tam, na górze – tłumaczył Hipek. – Ale macie pojęcie, co z tego można zrobić?

Mieli pojęcie. Aż ich zatkało.



– Hipek, grabula, odszczekuję – odezwał się pierwszy Skobel. – To jest sto razy lepsze niż nasz zeszloroczny szalas.

Darek postawił brata na ziemi, Waldek szmyrgnął od razu w stronę drzew, Ania za nim, po chwili już się huścili, fikając nogami, na pierwszej większej gałęzi sterczącej ze złomowiska.

– Małpiszony, z mety sobie znaleźli zabawę – ucieszył się Darek. – Ale my musimy to obadać dokładnie.

– Ja już trochę obadałem, z Maćkiem Liweckim. Maćka musimy przyjąć, bo właściwie to on odkrył. On jest maminsynek i wszystko ma, nawet poloneza mają, ale trudno, musimy – klarował Hipek w miarę, kiedy zbliżali się do drzewnego eldorado. – To z daleka wygląda jak jedna wielka kupa z poplątaniem na pomieszaniu, ale z bliska, to wcale nie. My z Maćkiem już sobie melinę robimy. To znaczy, on zaczął, ale nie dał rady i w ogóle sam się bał...

Tym razem Darkom nie wypadało go uciszać, szli za nim, tylko Przedszkolanka czasem odwracał się w stronę „małpiszonów”. Nie, nic nie może im się stać, najwyżej spadną na trawę – myślał z zadowoleniem. – Tylko od razu trzeba im wbić do głowy, że to jest wielka łaska, że ich tu zabrali.

– O, widzicie? – zatrzymał ich Hipek.

– Co?

– Nic nie widzicie, nie? Bo o to chodzi, żeby nie widzieć, A ja wam teraz pokażę.

Zbliżył się do ogromnych kłód okolonych tarczami korzeni z resztkami darni, schylił się – i przepadł. Ale zaraz wystawił głowę przez okienko darniowo-korzeniowe.

– No, chodźcie!

Teraz już spostrzegli szczelinę między kłodami, przecisnęli się, i potem, wpół zgięci, zygzakami posuwali się za Hipkiem. Niedługo kłody się skończyły, drogę zagroziły pnie z kikutami konarów, ale i między nimi był leciutko przetarty szlak. Jeszcze trochę i znaleźli się w niby-grocie: kilka sporych pni tworzyło jakby dach, inny drzewny chłam układał się w nieregularne ściany. Na środku leżały dwa krótkie okrągłaki, a między nimi pieniek.

– Te kloce, to wytaskał Maciek, ale stół, to już ja z nim skombinowałem. Jak się wylezie na wierzch i przelezie dalej, to tam jest kupa pociętego drzewa. No i co? – wyprężył się Hipek, czekając na pochwałę.

– To jest pierwszorzędne – przyznał Przedszkolanka. – A byłoby bezbłędne, gdyby tu można ściągnąć i zostawić małych.

– Ściągnąć możesz – powiedział Hipek. – Zostawić też, sami stąd nie wyfruną.

– Ale mogą próbować. Nic, zobaczymy, na razie ich przyprowadzę. Darek poszedł, a Hipek, niesyt chwały, zwrócił się do Skobla:

– To melina, nie powiesz, co-nie?

– Nie powiem. Tu jeszcze to i tamto zrobić, i nawet spać by można.

– Pewnie, Maciek też tak mówi. On tu powinien niedługo przyjść.

Ta wiadomość nie ucieszyła Skobla. Niby to rozglądał się po grocie, ale w duchu obliczał, ilu to chętnych do niej, i jakich. Wychodziło, że za dużo i taka mieszanka, że nie daj Boże. Bo tak: on i Przedszkolanka to jedna para, Hipek z tym Maćkiem – druga, „przyczepa” – trzecia, i to taka, że ani przypiąć, ani przyłatać. I głupie to jeszcze, języka za zębami nić umie trzymać...

Przysiadł na kłocu i jednym uchem słuchał planów Hipka, z których jedno wynikało jasno: że wie, co w melinie zrobić, ale nie wie co dalej. Z tym to już my się będziemy łamać – myślał. – Jakiś rozkład jazdy trzeba ułożyć, bo gnieść się na kupie tu czy na klatce, to co za różnica.

Potem przyszło mu do głowy, że jednak różnica, bo tu nikt się na nich nie może wydierać, a potem przestał się martwić, bo przypelzył Darek z „przyczepą” i jeszcze z tym Maćkiem. Maciek na szczęście wyglądał do rzeczy i od pierwszego słowa dał poznać, że ma więcej do

gadania niż Hipek. To znaczy, nie żeby więcej gadał od Hipka, pod tym względem nikt Hipka nie pobije, tylko że więcej wie.

– Ja tu już łązę od tygodnia – wyjaśnił, kiedy wszyscy usadowili się na klocach. – Najpierw myślałem sobie, że będę za Robinsona, potem, że przydałby mi się Piętaszek, a potem, że ta wyspa jest taka duża, że to by było świnstwo mieć ją tylko dla siebie. Więc pozwoliłem Hipkowi, żeby wam powiedział. Ta grota to dopiero początek. Ja bym proponował, żeby tu była wartownia.

– Taka melina! Szkoda na wartownię – sprzeciwił się Skobel.

– Tu są lepsze miejsca, tylko trzeba nad nimi popracować.

– Tu jest nawet basen – wystrzelił z rewelacją Hipek.

– Nie basen, ale trochę wody jest. Chodźmy tam, bo tu już chłodno się robi.

Hipek poderwał się i zaczął wspinać się do dziury w „dachu”, ale Maciek go zatrzymał, mówiąc:

– Nie, pójdziemy dołem, trochę niewygodniej, ale górą mali by nie dali rady.

Cały porządek przewrócił się do góry nogami. Maciek pociągnął za sobą Waldka i Anię, za nimi przepychał się Hipek, a Darkowie zostali na szarym końcu, trochę zaskoczeni tym, że Maciek tak jakby ich zdegradował. Kiedy przecinali wolne od pni odcinki, gdzie było jaśniej i można było się wyprostować, Skobel przypatrywał się pilnie Maćkowi. Był lepiej ubrany od nich, dzinsy miał na pewno z Pewexu i zachowywał się jak uprzejmy gospodarz. Póki jeszcze nie zachowuje się jak wódz, można to znieść. Ale jakby spróbował, to trzeba go z miejsca ustawić. Wodzem tu ma być Darek, bez dwóch zdań.

Znowu przejaśniało nad ich głowami, Skobel, ostatni, widział co parę sekund na przemian plecy kolegów i smugę słońca, wreszcie przyszła jego kolej, precyzyjnie się przez wąską bramę między pniami i klocami.

– To wejście ja sam zrobiłem – usłyszał tuż obok. To Maciek stał przy otworze, jakby pilnując, czy wszyscy zdrowo i cało dotrą.

– Narobiłeś się! – wyraził uznanie Skobel, bo miał pojęcie co to jest przesunąć i zamocować choćby niezbyt grube pnie, – Ale warto było! -dodał, obrzucając spojrzeniem „lepsze miejsce”. Była to otwarta przestrzeń wielkości, tak na oko, ich klasy. Popołudniowe słońce docierało mniej więcej do połowy i odbijało się w sporej kałuży obłożonej pniami, pewnie dlatego Hipek nazwał ją basenem i z tej przyczyny pewnie nie zwalono tu drzew. Bo na prawo leżały zupełnie nawet porządnie ułożone pnie bez gałęzi, więc widocznie z początku jakoś je układano, dopiero później machnięto ręką i zwalono jak leci. Hipek rzucał kawałki kory na wodę i zachęcał małych, żeby też sobie wyszukali okręty. Przedszkolanka stała parę kroków dalej, zamyślony.

– Już wszyscy są – zameldował Skobel, Darek odwrócił się:

– No to siądźmy i porozmawiajmy.

Hipek nie miał ochoty oderwać się od „basenu”, więc umieścili się we trzech na trawie przed bramką. Trochę musieli zmrużyć oczy przed majowym słońcem, trochę ich uwierały w plecy sękaty kłoc, ale w ogóle, to aż ruszać się nie chciało.

– Tu jest bardzo pięknie – powiedział Przedszkolanka. – Bardzo. Dlaczego nie zatrzymałeś tego dla siebie? Dlaczego nas wpuściłeś?

– Już mówiłem, za duży metraż jak na jednego. A dlaczego was? Ja mam was od dawna na oku i parę razy nawet chciałem... Po to zahaczyłem Hipka.

– Jakoś cię nie zauważyłem. Ty jesteś z jego klasy? – spytał Skobel.

– Nie, ja jestem z „b”. Ale ja nie lubię mojej klasy. W ogóle nie lubię szkoły.

– Kto by ją lubił – zgodził się Przedszkolanka. – To jest dworzec przelotowy, nie szkoła. W mojej dawnej, to co innego. Mniejsza z tym. Mówisz, żeś chciał się do nas dołączyć. Po cholere? Do takiego „przedszkola”?

– Wy nie wyglądacie na przedszkole. Wy wyglądacie jak rodzina.

– Tak mówisz? – ucieszył się Przedszkolanka i po paru sekundach dodał: – Aha, jestem w domu. Ty jesteś jedynak! No, tośmy się dogadali. Skobel, jak myślisz?

– Myślę, że tak.

– Więc weźmy się do roboty. Maciek ma rację, tamta pierwsza melina to będzie przedsionek, wartownia, no, coś tam. A tu, nad tym „Morskim Okiem”, zrobimy centralę. Każdy sobie wynajdzie miejsce dla siebie, małym trzeba będzie pomóc... O Boże święty, czy ja dobrze widzę? Hipek przejął moją funkcję, patrzcie!

Hipek przykucnął przy Waldku na brzegu kałuży i pouczył go:

– Jak podłożysz kawał drewna, to możesz ukłęknać i o, widzisz: jedną ręką się podeprzesz, a drugą będziesz wiosłował. Rób tak jak ja:

widzisz, jak pruje?

Po „basenie” pływały już trzy kawałki kory z piórkami w roli żagli.

– Chodźmy na obchód, ich można spokojnie zostawić – zakomenderował Przedszkolanka, zawahał się chwilę i dodał: – Jakby wam przyszło do głowy jakieś inne przezwisko dla mnie, to bym się nie obraził. Może być byle jakie...

– Tak jest Prezesie – wykrzyknął Skobel, który już od południa łamał sobie nad tym głowę, odrzucając po kolei Szefa, Generała, Starego, Dużego. „Prezes” przyszedł mu do głowy przed chwilą, kiedy patrzył na Maćka, a słuchał Darka.

– Prezesie czego? – zdziwił się awansowany Przedszkolanka.

– Och, wszystko jedno – zawołał Maciek. – Może być: Spółki Drzewnej.

– Dobra jest, niech żyje Spółka.

– Jaka? – Hipek dosłyszał i chciał wiedzieć.

– Nasza.

– Aha. Jak nasza, to w porządku.

Wobec wolnej soboty Darek żywił uczucia mieszane, zupełnie jak jego mama, i co zabawne, z podobnych powodów. Po pierwsze, nie każdą sobotę mieli wolną – jeśli mamie przypadła dyżur w przychodni, to Darkowi dyżur przy małych. Po drugie, jakoś soboty zależała od piątku: jeśli w piątek było dosyć chleba i warzyw na osiedlu, to pięknie, ale jeśli nie, to kolejki sobotnie były najgorsze w świecie i przedpołudnie szło na straty. No i jeszcze pogoda: jak ładna, to wiadomo, ale jak chłapa, to nagle robiło się ich w mieszkaniu za dużo. Trochę też zależało od taty, bo tata jako kierowca autobusowy też miał służbę rozmaicie. Jeśli kończyła się w piątek po południu, to sobota dla kogoś zawsze była świętem, zależy komu tata ją darowywał – małym na spacer, mamie na pomoc w domu, różnie. Gorzej, kiedy miał nocne kursy – wtedy odsypiał, a oni musieli być cicho. Dziś był akurat ten przypadek, ale ponieważ piątek pod względem zakupów wypadł pozytywnie, pogoda była piękna, mama w domu, więc...

Zresztą: dziś jest inaczej. Od wczoraj przestał być Przedszkolanką, jest Prezesem i mają Spółkę.

Przy śniadaniu Ania popędzała Waldka, stanowczo, ale skrycie, tak, żeby mama nie widziała. A potem, gdy wychodzili z kuchni, szepnęła do Darka:

– Pójdziemy zaraz, co?

Darek dał znak oczami, że tak, że zaraz. Ania pociągnęła Waldka do pokoiku, coś mu na ucho klarując. Mama odwróciła się od zlewu i powiedziała do najstarszego:

– Jakbyś sobie chciał gdzieś iść, to możesz. Dzisiaj jest ładnie, oni mogą się bawić przed domem, będę widziała ich z okna.

Ku jej zdumieniu oświadczył, że nie, niczego nie planuje, a raczej planuje, żeby iść z małymi do parku albo gdzie pochodzić...

– Przecież mógłbyś grać w piłkę, już jest sucho. Mnie przecież żal, że ty wciąż z małymi, a nie jak inni chłopcy. Weź chociaż piłkę ze sobą...

Mama miała bardzo małą wyobraźnię – jak mu chciała zrobić przyjemność, to tylko: piłka, kino i lody.

– Nie, tym razem nie.

Mama sięgnęła do szafki nad zlewem i wyciągnęła portmonetkę, tzw. wspólną, gdzie zawsze było parę złotych „na wypadek”.

– To kupcie sobie chociaż lody.

Darek musiał się uśmiechnąć – przewidział! Podziękował, schował trzy dychy starannie – mogą się przydać, Spółka potrzebuje kapitału.

– Hej, knajdry, idziemy – zawołał.

„Knajdry” znalazły się natychmiast, Ania niosła torbę z rynsztunkiem piaskownicowym, a Waldek dużą „plażową” łopatkę.

– Co za mądrale! – pochwalił ich.

W windzie Ania pokazała mu zawartość torby:

– Widzisz, tu na wierzchu mam foremki, tak dla niepoznaki. Ale naprawdę to, o: całówka, bo przecież coś będziemy mierzyć. Gwoździe, sznurek, nici, nóż... Ten ułamany, mama go chciała wyrzucić...

– Kiedyś ty to zdążyła zwinąć? – spytał z uznaniem.

– Jeszcze wszyscy spali... Jak bym się nie bała narobić hałasu, to bym jeszcze naściagała, ho-ho!

– No, masz pochwałę Prezesa – powiedział, naumyślnie nazywając się nowym przydomkiem, żeby utrwalić świeżą powagę i ukryć przykry fakt, że tym razem smarkata siostra wykazała pomyślunek, którego jemu zabrakło. – Dobrze, żeś wzięła nóż, bo mój scyzoryk na wszystko nie starczy – dodał, żeby nie wyszło, że on z pustymi rękami. – Po południu zajrzemy do piwnicy, tam się też coś znajdzie.

Winda stanęła, Waldek pchnął drzwi i popędził, Ania za nim, więc i Darek się pospieszył, nie chciał, żeby lecieli wprost na „wyspę”. W biegu minął Zośkę, rzucił jej „cześć”, dogonił małych. I wtedy dopiero coś go tknęło: dlaczego Zośka sterczy bez sensu przed blokiem, i to tak wcześnie? Miała przecież gdzieś jechać. Skobel wspominał. Zastanowił się, obejrzał – coś ta Zośka nie tak...

– Wiecie co, nie możemy pruć wszyscy razem prosto do celu -powiedział do rodzeństwa – jeszcze by ktoś polazł za nami i klops. Hipek już czeka, o, stoi i kiwa! Więc zabierzcie się z nim i idźcie tak, jak byście mieli iść do przychodni na „Alinie” i dopiero za przedostatnim blokiem szmyrg, i w dół.

Waldek skinął głową z głębokim zrozumieniem, wyrwał się Ani, która w przypływie ważności chciała go wziąć za rękę. Ania powiedziała, że „jasne”, i poszli, z trudem udając, że im się nie spieszy. Ale ich wzięło!

Zawrócił, Zośki już nie było, przyspieszył i w ostatniej chwili wskoczył za nią do windy.

– Co, pozbyłeś się ich? – zapytała Zośka, najwyraźniej tylko po to, żeby coś mówić. Głos miała taki jakiś sztywny, twarz też.

– Tak, to jest nie, na razie, potem ich znajdę. Mama kazała ci podziękować, żeś przywiozła wczoraj torbę – skłamał.

– Patrzcie ludzie, co za dziw! Raz w życiu ktoś mi za coś podziękował!

Darkowi zrobiło się przykro – i z powodu zaczepnego tonu Zośki, i jej słów, a także i dlatego, że jednak mamie nie przyszło do głowy podziękować za tę torbę. Winda mijała piętro po piętrze, już siódme, jeszcze trzy i Zośka wysiądzie... Zebrał się w sobie, no, raz, dwa...

– Coś się stało? – zapytał.

– A co się miało stać?

– Pytam się. Zobaczyłem, że tak stoisz przed blokiem jak sierota...

– A co, stać nie wolno? Zajmuj się twoimi smarkaczami, Przedszkolanko!

Wyszła z windy energicznie, nie przytrzymując drzwi. Gdyby nie odruch wyrobiony w ziemi, kiedy to szczawiki zabawiały się porywaniem windy, Darek by zjechał, ale odruch był taki, że gdy winda staje, to natychmiast wyskakiwać, więc wyskoczył, nim drzwi się zatrzaśnęły.

– Musisz za mną latać? – prychnęła Zośka.

– Nie muszę. Wcale. A ty nie musisz złościć się na mnie. Coś ci nie wyszło, widzę, pytam jak człowiek, a ty od razu z pyskiem! Nie masz powodu, przecież zawsze sobie pomagamy i w ogóle, po sąsiedzku.

– Ja tobie pomagam, nie ty mnie!

– To już jest niesprawiedliwe – oburzył się. – Trudno, chciałem dobrze, ale jak nie, to nie.

– To co, że niesprawiedliwe?! Inni mogą być niesprawiedliwi, to ja też mogę – krzyknęła Zośka i nagle się rozryczała.

Darek zbaraniał. Był przyzwyczajony do skrzeków i beków, nawet Skobla musiał kiedyś pocieszać, kiedy mu wydali z dwusetki jak ze stowy i bał się wracać do domu, ale żeby Zośka...

Stał z głupią miną, odejść teraz – nie wypada, zostać – nie wie, po co. Cholerny świat. Zośka beczy, twarz przy ścianie, pięścią wali nad głową. Zgroza, tego nawet w kinie nie grali, czuł, że z tego wszystkiego i on się wnerwia. Chciał odezwać się łagodnie, ale nim ułożył słowa, zupełnie inne wyskoczyły mu jakby same:

– Przestań ryczeć, ale już! Co za baba, psiakrew!

– Nie chcę być babą – odkrzyknęła Zośka. – To jest najgorsze co może być na świecie. Wszyscy wszystko zwalają tylko...

– Jak nie chcesz być babą, to po pierwsze, nie becz – powiedział już spokojniej – a po drugie, idź do mieszkania, przebierz się w dres i chodź ze mną.

– O, Przedszkolanka...

– Od wczoraj nie jestem już Przedszkolanka. Jestem Prezes.

Zośka oderwała się od ściany, popatrzyła na niego przytomniej.

– Idź, idź, zrób, co mówię, potem pójdziemy gdzieś i opowiem ci, co się fajnego wczoraj stało – popędzał ją.

– No, właściwie, czemu nie – odpowiedziała Zośka, wreszcie do rzeczy. Wyjęła klucze z kieszeni wiatrówki i otwierając drzwi mieszkania mruknęła, nie odwracając głowy, ale dosyć głośno, „przepraszam”.

Darek oparł się o poręcz i na użytek Zośki układał sobie opowieść o „drzewnej wyspie”. Jak do niej dotarli, co tam jest, i co tam będą robić. Z drzwi pod numerem sto sześć wyszedł cały kołchoz – rodzice z dziećmi, babcia i pies na dokładkę. Ustawili się przed windą, serdelasty pies najpierw zrobił dyskretnie kałużę, a potem zaczął ujadać na Darka.

– Czemu drażnisz psa – naskoczyła na Darka babcia.

– Ja? Niech pani lepiej go pilnuje, naświnił w kącie.

Babcia spostrzegła kałużę, pociągnęła psa za smycz, ale trzymała się swego:

– To przez ciebie, jakbyś go nie drażnił...

– Niech mama do spokój – uciszył ją ojciec rodziny.

Wyszła Zośka, przebrana w dres, z obmytą twarzą. Darek wskazał jej głową rodzinę czekającą na windę i ruszył w dół po schodach. Zrównali się na półpiętrze.

– Cóż to za babsztyl, ta wasza sąsiadka z piskiem? – spytał, kiedy usłyszeli, że winda pojechała.

– Ona im prowadzi dcm, a ten utuczony mops to jej osobisty pies. Powinna go wyprowadzać, ale jej się nie chce, a może boi się windy, czy ja wiem, więc wypuszcza go na klatkę. Trzy światy z nią. Powiedz lepiej, co to fajnego się wczoraj stało?

Darek opowiedział ze szczegółami o odkryciu „wyspy”, o Spółce Drzewnej, o wszystkim. Mijali piętro po piętrze, na którymś przystanęli i Prezes palcem na brudnej szybie narysował z grubsza, gdzie leży złomowisko drzewa i w jakim otoczeniu.

– Jak widzisz, to jest dosyć dobrze schowane. Z punktowców nie widać, sprawdziłem wczoraj wieczorem, „jamniki” zasłaniają. A „jamniki” znów za niskie, żeby z ich okien zobaczyć. I drzewa zakrywają.

– To, że z okien nie widać dolinki, to jeszcze nie wszystko. Widać tych, co idą przez ten wydmuchów za „jamnikami”. Bolek, gdyby was wczoraj dogonił, to już by wiedział. Tę drogę musimy skreślić – i skreśliła mażąc palcem po planie narysowanym na szybie.

– Znowu bazgrzecie jakieś świństwa! – usłyszeli za sobą.

Darek, nim się odwrócił, przejechał otwartą dłonią po szybie. Wiedział kto to się wydziera. To ten rencista spod dziesiątki, nazywany Wuj-Truj, przewiskiem zapożyczonym z „Muminków”.

– Jakie świństwa, nie widział pan, a krzyczy – odparował.

– Jakby nie świństwa, to byś nie zamazywał! Bezczelny jesteś, a ta dziewczyna to też musi być numer, że na to patrzy! Zrobilibyście coś pożytecznego, o, choćby i tę szybę umyć, albo starszce psa wyprowadzić. Ale wy nic, tylko po ścianach smarować, pluć na podłogę, windy psuć, starszym ludziom ubliżać.

– Chodźmy – szepnęła Zośka.

Jeszcze przez dwa piętra słyszeli pomstowania Wuj-Truja. Nic już nie mówili, dopóki nie wyszli przed blok. Darek zauważył, że Zośka ma znowu ściętą twarz, zaciśnięte zęby.

– Zośka, daj spokój, Wujem-Trujem się będziesz przejmować? Schowamy się w dolinie i będziemy mieli w nosie wszystkie Truje świata.

– Jedyne wyjście. Dziękuję ci, żeś mnie zabrał.

– Pomyślałem, że byłoby niesprawiedliwie kryć to przed tobą. Twoich chłopaków też przyjmę, będzie banda młodszych i klub starszych. Zobaczysz, z naszymi małymi zupełnie dobrze się ułoży. Moja „przyczepa” i twój Adam, on właściwie powinien być w trzeciej, jak Ania, prawda?

– Posłali go rok wcześniej, żeby ze starszym bratem razem, to bezpieczniej, ale właściwie to on jest mądrzejszy od Bolka. W każdym razie lepiej się uczy. I spokojniejszy. On sam z siebie nie narozrabia, jak go Bolek nie napuści... Ja go wolę.

– Bolek byłby więc do pary z Hipkiem. Ale wtedy byłby i z Maćkiem, a nie wiem, jak by to wyszło. Tego Maćka to ja jeszcze nie rozgryzłem... bo on z jednej strony pętał, ale z drugiej... Piąta klasa to jest w ogóle taka ni z mięsa, ni z pierza. Wobec nas, z siódmej, to...

Spostrzegł, że Zośka nie bardzo słucha, więc urwał. A ona jakby nie zauważyła, że umilkł, ale nie, ocknęła się:

– To trzeba zobaczyć, to się wszystko okaże w praniu. A wiesz, czemu ja wolę Adama od Bolka? Bo Bolek jest niesprawiedliwy tak jak wszyscy, jak ten Wuj-Truj.

Darek mógłby dorzucić do kolekcji jeszcze babcie z mopsem, ale nie chciał przerywać. Niech dziewczyna wywali, co ma na wątrobie, to potem będzie się lepiej gadało o Spółce.

– Od piątku, od samego rana wali się na mnie niesprawiedliwość. W szkole mnie ochrzaniłi, że się spóźniłam na drugą lekcję, a ja przecież musiałam wyskoczyć po chleb, i w dodatku zabrakło tuż przede mną, bo się wepchał ktoś z legitymacją. Musiałam po szkole jechać do Wrzeszcza – a Bolek z pretensjami, że za późno obiad. Mama, gdy przyszła z wujem, a spóźniłi się zdrowo, naskoczyła na mnie, że na herbatę muszę czekać. Był wrzątek, ale zdążył wystygnąć.

– No tak, ale to drobiazgi, jak w życiu...

– Dopóki się nie naskłada. A już zupełnie dobiło mnie... Bo tak się cieszyłam na ten wyjazd do Kościerzyny. Mam tam koleżanki, takie prawdziwe, od pierwszej klasy. I tam jest tak porządnie, normalnie... Więc jak mamy jechać, to ja zawsze się bardzo staram. i żeby w domu

było bez zgrzytów, i żeby się nie wnerwiać. No i masz: wuj spotkał znajomego faceta, obiecał mu, że go zabierze z powrotem. Wuj taki uczynny, wiesz. Tylko mu się zapomniało, że wóz ma już pełny. A facet miał na niego czekać na rogu Słowackiego, i to z jakąś paką. Więc jak go zostawić? Więc zostawia się mnie. I tak jest zawsze. Ile razy jedziemy do Kościerzyny naszym „maluchem”, a dopałęta się ktoś chętny, to albo mama, albo tata musi strzelić, że ależ owszem, Zosia jest już duża, dojedzie autobusem.

Teraz Darek przypomniał sobie, że oni przecież mają małego fiata i że rzeczywiście parę razy widział odjeżdżające „pudełko sardynek”, a Zośkę na progu.

– No dobrze, ale jak oni pojechali z wujem, to ty przecież mogłabyś z ojcem.

– Mogłabym, ale nie mogę. Bo tata dzisiaj ma robotę w porcie i właśnie zadzwonił, że skomplikowane manewrowanie i żebym na niego nie czekała. A ja wiem, że tata zwyczajnie i po prostu nie chce jechać. Już w czwartek coś wyczułam. Bo u nas jest tak: tatę ciągnie do morza, a mamę do ziemi. W Kościerzynie wytrzymał dwa lata, a potem siup – z powrotem do Gdyni i odtąd mamy „niedzielnego tatę”. Bo tak już zostało. A mama, jak się zaczęła jeszcze jesienią u ogrodnika, to też więcej tam przy różach, niż... To niby dla naszego dobra. Ja mam w nosie takie dobro. Tylko się przechwalają, które więcej pieniędzy przyniosło, a w domu co jest? Dywan z Pewexu i ja z chłopakami. Bo ja jestem starsza i mam się opiekować. Jak miałam siedem lat, a oni trzy, cztery, to miałam się opiekować, bo jestem starsza, i jak miałam dziesięć, to też, i jak będę miała sto, to też. To ja w czwartej klasie już byłam duża, a oni w ósmej jeszcze będą mali. W piątek oni szli na dziewczątą. Bolek mógł stanąć po chleb, ale nie, to ja muszę wyskakiwać na przerwie.

– U mnie jest trochę podobnie, ale tata jest w ogóle po mojej stronie, a mama mi czasem coś odpala za niańczenie i w ogóle.

– Tobie, tobie. Bo ty jesteś chłopak. Ale ja nie, to do mnie należy z urodzenia i już. Słuchaj! Ja ci dziękuję, żeś mi powiedział o Spółce i naprawdę się cieszę. Ale mówię od razu, żeby było jasne: ja chcę tam być za chłopaka. Jak mi każecie robić kanapki albo wycierać nosy smarkaczom, to cześć, nie ma mnie.

Darek roześmiał się, wolał się roześmiać, niż użalać nad dołą Zośki. Bo wiedział sam po sobie, że jak się zacznie ktoś nad tobą litować, to ci się robi już zupełnie dennie. Dobre rady też zwykle są jak kulą w płot, nawet mogą być dobre, ale nie trafiają. Kiedy indziej może by trafiły, ale przy dużym stopniu wnerwienia – tylko złością. Po prostu nie zawsze można „na rozum”. Zośce w tej chwili niczego na rozum nie wytłumaczysz, jeśli nawet ten głupi Wuj-Truj omal jej znowu do beku nie doprowadził. A Zośka przecież beksiwa nie jest. Dzięki Bogu.

Zośkę zdziwiło, że Darek się śmieje, zamiast coś pocieszającego powiedzieć. Wstyd jej jednak było poprzednich wyskoków, więc powiedziała ugodowo i dzielnie:

– Coś ci się śmiesznego przypomniało?

– Właściwie tak. Moja Ania, bo wybrała się na „wyspę” z nożem i sznurkiem.

– Bardzo rozsądnie!

– Oczywiście, zaraz ją pochwaliłem. Tylko się śmieję, bo ona też najwyraźniej chce być za chłopaka.

– No i świetnie! Żeby tylko wytrzymała!

Ania wytrzymała bardzo długo. Chyba ze dwie godziny. Od samego początku przejęła komendę nad Waldkiem – właśnie komendę, nie opiekę, bo naśladowała Przedszkolankę w tym co było w nim z wodza, a nie w niańczeniu. Natomiast opiekuńcze funkcje przejął Hipek. Prezes, a zwłaszcza Skobel, najpierw nadziwić się nie mogli, widząc, jak Hipcio podaje rękę Waldkowi w trudnych miejscach, jak mówi: ten kloc za ciężki dla ciebie, ale widzisz, ten w sam raz... Kiedy Waldek władował łapę aż po łokieć w wodę, Ania na niego prychnęła, Hipcio zaś ze świętą cierpliwością najpierw odcisnął wodę z mokrego rękawa, a potem przykładnie zawinał, mokrym na wierzch, tak że i Darek by tego lepiej nie zrobił.

- Co mu odbiło? – kręcił głową Skobel.
- Myślę nad tym cały czas i zdaje się, że już wiem. On, widzisz, przy nas czworgu... Gdzie jest Maciek i Zośka?
- Odmeldowali się, jak byłeś tam na górze, na pniach. Nie chcieli głośno wrzeszczeć, że idą. A poszli po narzędzia.
- W porządku. To my zrobimy sobie przerwę. Siedli, jak wczoraj, przy bramce do dolinki, tylko że dziś było tu już coś w rodzaju ławki z okrągłaka i żerdzi.
- Urobiliśmy się, ale widać robotę – stwierdził z zadowoleniem Skobel. Jakoż i było na co popatrzeć: z dolinki wyprzątnęli cały chrust, nawet go z grubsza posortowali – lepsze kije i patyki mogą się na pewno potem przydać, a drobiazg będzie służyć do maskowania i utrudniania wejść. Wejść aż do czterech schronów, które zresztą różnie się nazywały: największy, naprzeciw bramki, Maciek usiłował tytułować klubem. Ale Hipek i Skobel uparcie nazywali go meliną, aż wreszcie wkroczył Prezes i rozstrzygnął, że niech będzie melina, a klub urządzi pod chmurką, właśnie tu, przy bramce, gdzie po południu najprzyjemniej, bo słońce grzeje. Obok był lokal Zośki, tylko częściowo zadaszony gałęziami, bo – jak wyjaśniła – lepiej niech dochodzi światło, to zrobi się jakieś siedziska i kto chce, będzie mógł się rozłożyć i na przykład czytać. Zgodzili się tedy na czytelnię. Dwa następne schrony były dopiero w projekcie, ale w mniejszym już gospodarzyła Ania, nazywając go domikiem – jednak wylazła z niej babska natura!
- Mówiłeś, że wiesz, co Hipkowi odbiło – przypomniał Skobel i zrelaksowany zupełnie, wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę popularnych.
- Nie pal! – powstrzymał go Prezes. – Tu dookoła sam susz, jakby się zaczęło fajczyć, to mogła, po zabawie.
- E, tam. Przecież nie rzuciłbym nie zgaszonego peta... Przyznaj się, ty nie chcesz, żebym palił?
- Chcę, nie chcę, twoja sprawa. Ale tu: zakazuję. A co do Hipka – zmienił szybko temat, żeby było wiadomo, że dalsze słowa zbyteczne, i żeby nie robić sprawy ze Skoblowego kopienia – to myślę, że jest tak: on jest chłopak „śprytny”, skapował, że przy nas będzie za rekruta, a przy „przyczepie” może być za kapitana. No i jest, nie? Jak po niedzieli dołączą braciszki Zośki, to już będzie wiadomo, kto tu maluchami rządzi.
- Jak dołączą Zośkowi, to się znowu zakotłuje. Tylko nakładz Zośce i tym jej, no, jak im tam, tak jakoś alfabetycznie...
- Adam i Bolek... – przypomniał mu Prezes.
- Więc nakładz „alfabetom”, że spuszcza my szlaban, dosyć, ful, choćby najfajniejszy koleś, to trudno, gębę na kłódkę, albo won.
- Darek czuł się trochę nie w porządku, że bez konsultacji przyprowadził Zośkę, więc od razu przyznał rację Skoblowi i dodał, że dziś, jutro, to jeszcze nie trzeba, ale od poniedziałku muszą jednak wystawiać wartę i w ogóle opracować system alarmowy.
- Z tym samym wnioskiem wystąpił po powrocie Maciek, a Zośka go z całej siły poparła.
- My byśmy wrócili o wiele wcześniej, ale przyczepił się Szymura, ten, przez którego Hipek stracił klucze do mieszkania. No, ten, co im łazienkę zalał. Szymura jest z „jawnikowa”, na szczęście z drugiego „jawnika”, z tego przy polu, więc w tę stronę go raczej nie nosi. Chyba mu się nudziło, bo kręcił się przed Hipkowym blokiem, pytał o niego, a my, że nie wiemy, a on nic, tylko lezie za nami. Pyta się, co niesiemy, dokąd. Maciek, załatwiłeś go genialnie, powiedz jak.
- Sam nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy – Maciek chciał być skromny. – Powiedziałem mu, że idziemy na „Alinę”, bo tam jest giełda starych zabawek, pokazałem żołnierzyki w torbie i poradziłem, żeby leciał, ale szybko, do domu po „Romki Atomki”, bo za to jest dobry szmal.
- A jest? – spytał podniecony Hipek.



– Co jest? Szmal?

– Giełda.

– Wyobraź sobie, że jest. Wczoraj po obiedzie musiałem zanieść na „Alinę”... Hipek nie był ciekaw co Maciek musiał zanieść.

– Ja właściwie też mam różne komiksy – powiedział niepewnie i spojrzał pytająco na Prezesa.

Prezes pomyślał: już go nosi, jak by go tu przyhamować? O, wiem.

– A jakim cudem miałeś w torbie żołnierzyki?

– Zabrałem z pawlacza. Mogą się tu przydać – Maciek szybko wyjął pudło z wszelkimi rodzajami broni. Darek widząc te skarby, utwierdził się w przekonaniu, że Maciek nie jest z tych jedynaków, co to wszystko dla siebie, tylko z rzadszego gatunku, takich, co by ostatnią koszulę oddali w zamian za przyjęcie do paki.

– O rany! – Hipek aż westchnął na widok militarnego bogactwa. – I ty to miałeś w pawlaczu? Daj, y-y-y, pokażę Waldkowi.

Łapczywie wziął pudło w jedną rękę, a drugą pociągnął Waldka na środek polanki. Darekowi przemknęło przez myśl, że gdyby Maciek był chociaż w szóstej, można by go mianować Wiceprezesem.

– Co jeszcze macie? – spytał, odkładając na potem sprawy hierarchii służbowej.

– Drut, młotek, haki – meldował Maciek.

– Sznur do bielizny, bardzo mocny, i tasak. Lepszy byłby toporek, ale nie mamy. Może ściągnę od wuja z Kościerzyny – Zośka chciała być równie dobra jak chłopcy.

– Nie musisz – uspokoił ją Prezes. – Toporek jest na pewno w piwnicy, myśmy z Oruni przywlekli kupę nieziemskiego chłamu. Szpadle, grabie, Bóg wie co. Saperkę też przyniosę. I piłę.

Skobel siedział przygaszony. On nie miał co wynosić z domu, już go tata w tym dawno wyręczył. Nawet pieniędzy za butelki nie może obiecać, bo go z nich rozliczają. Ale zaraz, w piwnicy jednak coś jest: jego własny, pracownice ciułany złom.

– Jedna piła może być mało – włączył się. – Ja mam parę brzeszczotów do metalu, ale gałąź tym też się da. I całą cewkę miedzianego drutu. Dużą. Jak się to rozwinie, to ho-ho! Starczy od wartowni aż dotąd.

– Co, telegraf założymy? – zdziwiła się Zośka.

– To by było! No, nie, nie da rady, ale można na końcach coś uwiązać, żeby stuknęło, albo co. W razie czego pociągniesz i jest sygnał.

– To jest myśl! Skobel, opracuj to, będziesz szefem ochrony. Świetnie. A teraz chłopaki – Darek mówiąc to spojrzał porozumiewawczo na Zośkę – ustalmy, co będziemy robić po obiedzie. Bo to już czas. Tylko jeszcze musimy zrobić tymczasową, ale dobrą skrytkę na cały ten majątek.

Spotkanie z wścibskim Szymurą uczuliło ich na sprawy bezpieczeństwa. Postanowili, że po południu jeszcze raz przebadają teren, tak żeby móc zrobić dróżki i dojścia awaryjne. Właściwie to nawet powinno być tak, że każdy przychodzi z innej strony. No, może nie każdy osobno, ale każda grupka. I już teraz, jak będą wracać, to broń Boże całym stadem.

Darek, zatwierdziwszy jako skrytkę wypróchniały pień, kazał go tylko głębiej wydrążyć i przygotować maskowanie. Sam poszedł nad „basen”, żeby zmobilizować do powrotu kompanię Hipka. Kompania w najlepsze przeprowadzała armię przez „basen”, na promie funkcjonującym sprawnie dzięki pinezkom i niciom przyniesionym przez Anię.

Prezes przypatrywał się chwilę tej wojowniczej, a przecież spokojnej zabawie, i zaświtało mu w głowie, że „przyczepa” jakby się odczepiała, że przynajmniej na parę godzin mógłby ją zostawić pod okiem Spółki. Jakby na przykład chciał jutro pojechać na Orunię, zobaczyć, co robi Tomek Żurek i inni, to czemu nie? Mamie by powiedział, że małymi zajmie się Zośka, i

to byłaby prawda. I nie byłoby to żadne podrzucanie świni Zośce, bo jest jeszcze Skobel i Maciek, a i Hipek, odpukać, jak na razie, nie ma „pomysłów”.

Tak, mógłby wyskoczyć, gdzie chce. Ale nie chce. Po co?

### III. A jednak wyspa nie jest wyspą

Wszystko przewidzieli, Maciek się śmiał, że i inwazję z Aldebarana, co już było przesadą, ale od pomniejszych inwazji byli zabezpieczeni. Skobel, jako szef ochrony, zarządził, że każdy ma mieć swoją trasę, bo najgorsze, to wydeptać ścieżkę – wtedy prędzej czy później ktoś na nią trafi i z prostej ciekawości pójdzie, aż dojdzie. Rezydencja – tak w końcu za Maćkiem zaczęli nazywać polankę nad kałużą – też nie powinna wyglądać zbyt kulturalnie, lepiej ją maskować na dziką. W tym punkcie doszło do sporu między Skoblem a „ludkiem” (ludek to była „przyczepa” i „alfabeci” razem). Zwłaszcza głośno protestowała Ania, która przed swoim domikiem już zaczęła sadzić kwiatki, a i Hipek nie bardzo chciał rezygnować z budowania trwałych fortów, portów i . czegoś tam nad kałużą, którą zresztą pracownicy powiększał. Bo okazało się, że kałuża wcale nie jest kałużą. Normalnie kałuża przecież wysycha – a ta, choć przez tydzień zdrowo grzała, nic. Nikt się specjalnie nie przejmował tym dziwem natury, zresztą dziwów natury odkryli więcej: Skobel upatrzył sobie jako materiał na superbarrykadę jakieś koleczaste badyle za czytelnia Zośki, ale kiedy po paru dniach znalazł czas, żeby je przetransportować w okolice wartowni, badyle wcale nie chciały się ruszyć i po bliższym zbadaniu okazały się krzakami zdziczałego agrestu. A na zachodnim skraju „wyspy”, już blisko nasypu kolejowego, wśród płataniny suchych konarów i pni nagle zakwitła jabłoń. Bardzo biedna, jak stwierdzili, z połamanymi gałęziami, przechylona, ledwie trzymająca się ziemi połową korzeni – ale zakwitła! Darek i Zośka dotarli do niej, trochę łodem, trochę górnym szlakiem i przysiedli w pobliżu na kikucie konaru innego, też chyba owocowego drzewa. Z góry widzieli poharatany pień jabłonki i skośną płaszczyznę darni, spod której w stronę dołu wyciągały się kawałki porwanych korzeni.

– Jaka ona dzielna – powiedział Darek. – Wszystko dokoła powalone, potrzaskane, a ona się nie daje.

– Może by jej jakoś pomóc? – zastanawiała się Zośka. – Naprostować, podlewać?

– Połowa korzeni i tak martwa, a jak byśmy ruszyli pień, to i resztę moglibyśmy uszkodzić. Ona musi sobie radzić sama. My i tak nie pomożemy przywrócić tego, co tu było przedtem.

– Myślisz, że tu coś było?

– Ta jabłoń, agresty... i kałuża... Myślę, że ta woda bierze się z jakiegoś starego wodociągu. Rura przerdzewiała i woda się wybija na wierzch. Pod ciśnieniem widać.

– Jak z wodociągu, to może nadaje się do picia?

– Ryzyko. Małuchy się opiją dla czystej zabawy, a niech im zaszkodzi, to będzie draka. A w ogóle, to trzeba już do nich zajrzeć.

Wrócili w samą porę, bo Hipek i Bolek byli bliscy bójkii. Trudno było zrozumieć o co im idzie, bo świadkowie – Adam, Ania i Waldek – składali sprzeczne zeznania. Maciek miał służbę na wartowni, a Skobel odszedł na wizję lokalną, aż za pnie, na skraj lasu, żeby sprawdzić, co stamtąd można zobaczyć.

– Cicho! – zakomenderował Prezes. – Cicho, wszyscy! A wy teraz po kolei. Alfabetycznie. Bolek pierwszy, mów!

Rozindyczony Bolek zaczął: „Bo on, bo ja”.

– Do rzeczy. O co poszło?

– Bo tak. Bo jak ja mogę odstawić kumpli i być tylko z wami, to Hipek też może, nie? A on coś mota z Szymurą i jeszcze mu wynosi nasze żołnierzyki.

– Nie mu, wcale nie mu! – wściekł się Hipek. – Złodzieja ze mnie chcesz zrobić? Wziąłem żołnierzy, żeby się pobawić, bo musiałem. Ale odniosłem, co-nie?

– Zaraz. Dlaczego musiałeś? – dociekał Prezes.

– Bo Szymurą w klasie robi sprawę, że ja z dziewczynami latam. Taki głupek, jakie to dziewczyny, Ania i Zośka! Ale co tłumaczyć głupkowi, raz nas widział i wbił sobie do łba, że zbabiałem. Więc dla niepoznaki i żeby się przestał czepiać, zabrałem żołnierzyki i robiliśmy wojnę, wczoraj przed kolacją. Pod naszym blokiem. A Bolek zobaczył i zaczął takie miny robić...

– Jakie? No, Bolek?

Bolek najpierw pokazał jakie: stuknął się parę razy w szczękę, a potem uzasadnił, czemu te miny:

– Bo, żeby on się tylko bawił, no, to jeszcze. Ale on gadał o naszych bitwach.

– Ale nie mówiłem gdzie one były. I powiedziałem, że żołnierze są nie moje, tylko jednego tam. Bo jakbym powiedział, że moje, to on by wciąż chciał, co-nie? A ja muszę z nim dobrze, bo jak nie, to wyciai i ściągnie nam na łeb całe „jamnikowo”, ja wam mówię.

– Już. Dostyc. Powiedziałeś – przerwał Prezes. – Teraz obaj liczcie po cichu do stu, a ja się namyślę, co z tą chryją zrobić.

Hipek liczył szybciej, bo nie minęła minuta, gdy zaczął: „bo ja mówię”. Ale Darek już zdążył coś postanowić.

– Teraz ja mówię. Bolek, ściągnij z lasu Skobla. Hipek, leć po Maćka. Robimy naradę.

– I mam tam zostać? – zaniepokoił się Hipek.

– Nie. Przez pół godziny może nie być warty.

– Noo, ja nie wiem – wyraził wątpliwość Bolek.

– Po Skobla, już!

Wtrącił się Adam:

– Ja mogę być na warcie. Ja nie muszę na naradzie.

– Masz prawo. – Prezes od początku przyjął zasadę, że „ludek” jest równouprawniony. – Ale jeśli na ochotnika, to bardzo dobrze.

No i na tej naradzie omówili wszystkie możliwości najścia obcych i sposoby uniknięcia tej ostateczności. Postanowili więc od czasu do czasu pokazywać się przy blokach, a Hipkowi przykazano, żeby, skoro już nie może odczepić się od Szymury, odciągał go jak najdalej, może nawet do Wrzeszcza, do kina, zafundują mu, a Darek załatwi pozwolenie u ciotki. Dalej, że jednak, gdyby tu się ktoś wdarł...

– To złać, żeby mu się odechciało – podał prosty sposób Bolek.

– To wyprosić, ale spokojnie. Łać będziemy za następnym razem. Ale na bitwę też musimy się przygotować – powiedział szef ochrony.

– Trzeba nazbierać kamieni i w różnych miejscach zrobić stanowiska artyleryjskie. Jak by się pokazali, to w nich – Bolek nie zmienił zdania.

– Ach, ty ekstremie – wkurzył się Skobel. – Kamieniami! Rozbijesz komuś czachę i dopiero będzie.

– No to czym?

Skobel miał już pomysł:

– Wodą. Tak jak w lany poniedziałek. W workach plastikowych. Od dziś znosimy woreczki po mleku i jakie tam będą, byle nie dziurawe, potem pochowa się je w różnych dobrych miejscach. Kto nie umie rzucać, niech ćwiczy torbą z piaskiem w lesie.

– Ja umiem – pochwalił się Bolek.

– To będziesz uczył innych.

– A przed blokiem i na całym osiedlu macie być spokojni – zakończył naradę Prezes. – Żadnych tam wygrażeń pięścią. Bo zaczniemy wojnę idiotycznie, o nic, i sami ściągniemy jakąś bandę na nasz teren.

Tak więc wszystko przewidzieli, tylko jednego nie: deszczu. To jest, schrony były już na tyle szczelne, żeby móc przeczekać w nich ulewę. Ale jak w ulewę wrócić do domu i nie zmoknąć? To się nie dało, przyszli więc któregoś dnia utyłani i mokrzy, niektóre mamy podniosły lament... A deszcz, jak się zaczął na początku czerwca, tak do soboty lał złośliwie krótkimi seriami, że ledwie człowiek za próg i już musiał wracać. Kisili się więc po staremu w mieszkaniach, na klatkach i przed blokami, i pocieszli się tylko, że jeśli oni nie mogą dotrzeć na „wyspę”, to i nikt inny tam nie polezie. Niepokoili się jednak o Rezydencję – czy woda nie narobi szkód, czy skrytki są dosyć szczelne. Wreszcie w sobotę rano deszcze stały się rzadsze, przerwy między nimi dłuższe, a późnym popołudniem, kiedy Darek zaszedł do Zośki na najwyższe piętro, zobaczyli przez kuchenne okno niebo czyste i błyszczące nad całym światem: nad blokami, na morenowych wzgórzach, do samego końca, do lotniska.

– No, teraz już możemy iść! Chłopaki – zwrócił się Prezes do „alfabetów” – skoczcie: Adam do Hipka i Skobła, Bolek po Maćka.

– Weźcie gumki – dorzuciła Zośka. I im też poradźcie żeby wzięli.

– I nie kupą, nie wszyscy naraz – przypomniał Prezes.

– Coś ty! – oburzył się Bolek i przyzwoicie odczekał, bo wyszedł dobre pięć minut po bracie.

Darek zjechał pięć pięter niżej, wyekspediował rodzeństwo – pamiętajcie, trasa A-W – poczekał w klatce na Zośkę i poszli ostatni trasą P, czyli Prezesa.

– Ciekawam, w jakim tam wszystko jest stanie – powtarzała Zośka, im bliżej „wyspy”, tym częściej.

– Nie myślę, żeby się wiele zmieniło. Trochę błota, może kałuża rozlała, ale w ogóle, to co by się mogło zmienić? – uspokajał ją Prezes.

Kiedy jednak wyszli z parowu, okazało się, że zmieniło się wiele. „Wyspa” się powiększyła, ale jak! Przybyło trochę pomiażdżonych drzew, ale przede wszystkim łączkę przed „wyspą” pokrywały pagórki gruzu i śmieci. Wejście do wartowni było zablokowane.

Z gruzowiska przybiegła do nich reszta Spółki.

– Ja wiem, co się stało – Hipek, jak zwykle, był najlepiej poinformowany. – Zaczynają sprzątać „Celinę”. O, patrzcie, tamtędy wożą.

Wzdłuż żerdzi ogradzających uprawne pole, to pole, które tak doskonale broniło dostępu do „wyspy” od południa, ciągnęły się koleiny wyżłobione przez wywrotki.

– Okropnie się tu zrobiło! – jęknęła Zośka.

– I do wartowni nie wiadomo jak się dokopać – dodał Bolek.

Darek jeszcze raz ogarnął wzrokiem zmiany, pomilczał...

– Tylko się nie łamać – powiedział wreszcie. – Oczywiście, że ten chłam tutaj jest okropniasty. Ale z drugiej strony utrudnia jeszcze bardziej dostęp i robi takie, no, maskowanie odstrasające. A co do wejścia, to mamy przecież trzy awaryjne.

Pocieszyło ich to, a jak dotarli do Rezydencji i okazało się, że deszcze jej nie zaszkodziły, prawie zapomnieli o śmietniku na pograniczu. Ale Prezes pamiętał. To wszystko prawda, co im powiedział o maskowaniu. Sam jednak miał ciągle przed oczami zbocze rozryte przez wywrotki. Tą drogą może przyjść katastrofa.

Kotlina miała najwidoczniej jeszcze innego gospodarza oprócz Spółki, bo pewnego dnia pojawił się na pograniczu słup z napisem: „Wywóz śmieci surowo wzbroniony”. Pośmiali się z tego napisu, bo tuż pod nim już leżała zawartość co najmniej trzech wywrotek. Maciek zauważył, że widocznie kierowcy zrozumieli zakaz tak, że nie wolno wywozić śmieci ze śmiet-

niska. Może być zabroniony na przykład wywóz dzieł sztuki, to mogli pomyśleć, że widocznie gruz też jest pod ochroną, jako materiał archeologów z XXIII wieku. Droga przez gruzowisko była jednak uciążliwa i nie sposób było przejść przez nie bez zostawienia śladów. Trudno, trzeba okrążyć „skażone środowisko” i przerobić trochę ścieżki na „wyspie”. Wartownię spisali na straty, zrobili nową. Miejsce wybrali po długich namysłach i przymiarkach bliżej Rezydencji, za to wysoko, w konarach usychającej od góry, ale jeszcze żywej brzozy, ściśniętej aż do pierwszych gałęzi próchniejącymi już gdzieniegdzie pniami świerków i sosen. Maciek, którego nudziły obronne przygotowania, bo w gruncie rzeczy nie wierzył w wojnę, nie czekając na wiek XXIII zaczął zabawiać się w archeologa i penetrując różne warstwy, grupy i rodzaje drzew, ustalił, że właściwie koło wieży – jak nazwali nową wartownię na brzozie – znajduje się najstarsza część „wyspy”.

– Ja myślę – tłumaczył Hipkowi – że najpierw składowali tu obrobione pnie wiatrołomów po tych burzach przed trzema laty. Pewnie na tymczasem, żeby potem wywieźć. Ale potem przyszła mniszka brudnica, więc nie zdążyli, tylko już dowalili te uschłe drzewka jak popadnie. Kłody i kloce wzięły się pewnie stąd, że ktoś kazał to pociąć i zabrać. Ale albo zapomnieli, albo nie mieli mocy przerobowych. No, a jeszcze później do tego wszystkiego doszły drzewa najpierw z „Aliny”, potem z naszej „Barbary”.

– Jak myślisz, czy jakby poszukać, to by się znalazły te, pod którymi mieliśmy szalas? Można by je poznać, bo były trochę podfajczone – zapytał Hipek, przez grzeczność, bo prehistoria „wyspy” mało go obchodziła.

– Nie wiem. Trzeba by ich szukać na pograniczu, tam, gdzie za pierwszym razem Ania i Waldek chcieli mieć huśtawkę.

– Tam już jest teraz chłam z „Celiny”. Swoją drogą, skąd na tej „Celinie” tyle tego baracha? Muszę to zbadać.

Prezes, przysłuchujący się tej rozmowie z wyżyn wieży, najpierw chciał Hipkowi zakazać, ale potem przyszło mu na myśl, że skoro znowu zaczyna go nosić, to niech z tego będzie pożytek. Zawołał więc, przechylając się przez gałąź:

– To jest dobry pomysł! Hipek, mianuję cię generalnym zwiadowcą i zlecam zadanie: wyśledź, skąd ten gruz i śmieci, a przy okazji, czy gospodarz tych pól za żerdziami ciągle pilnuje tej swojej rzepy, czy co to tam rośnie.

– Wyprawimy się na rzepę? – ucieszył się, ale i zdziwił Hipek.

– Z byka spadłeś? Poza tym rzepa jest do jedzenia pod jesień. Nie, chodzi o to, że jeśli on pilnuje, to my nie potrzebujemy.

– Czy muszę iść zaraz? – zapytał Hipek, bo zobaczył, że skrajem wyrobiska żwiru wspina się do lasu kompania bombardierów Bolka -Adam, Ania i Waldek. W tym towarzystwie był zawsze za mistrza, no, wicemistrza, po Bolku. I żał mu było okazji popisania się. Darek dostrzegł jego tęskne spojrzenie.

– Nie, teraz idź do Bolka. Aha, proszę cię, jeśli Waldkowi uda się celny strzał, to go chwal. On, bidaka, tak się stara... A gdy będziemy wracać, ty pójdziesz pierwszy i to od razu w górę, wzdłuż pola. I potem mi zameldujesz, coś widział.

Hipek wystartował, a Darek jeszcze spróbował, jak działa linia alarmowa i zszedł z wieży. A linia działała dobrze, bo gdy pociągnął za drut, zobaczył, jak w Rezydencji spadła z pieńka puszcza.

– Czy ty naprawdę myślisz, że będziemy się musieli bronić, czy też wymyślasz to wszystko, żebyśmy się nie nudzili? – zapytał Maciek, kiedy Prezes znalazł się obok niego.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo wysyłasz na wartę i ćwiczenia przede wszystkim „ludki”. Zośka i Skobel są w tej chwili w czytelniku.

– Wysyłam, bo im to jest potrzebne. Muszą nabrać sprawności i poczucia obowiązku. A myśmy to już przerobili.

Maciek ucieszył się, że Prezes zaimkiem „my” ogarnia i jego, zawsze się z tego cieszył. Ale dociskał:

– To znaczy, że te całe przygotowania to tak, dla zabawy.

– Nie. Tu prędzej czy później ktoś się przypęta. Może nie będzie trzeba się łać, ale w pogotowiu być trzeba. Nie wiadomo, co za bandę przywieje.

– Ja bym się nie bał bandy. Wiesz, kogo ja się boję?

– No?

– Ja się boję dorosłych. Że coś im odbije i zaczną tu robić porządki.

– Coś ty! Na osiedlu robią lewą nogą i na pół pary, a tu by im się chciało?

– No, jednak tablicę ktoś kazał ustawić.

– Ustawili i cześć, uważają, że mają sprawę z głowy. Przecież ta tablica w tej chwili już ledwie widoczna. Jak żagielek na tratwie rozbitka na pełnym morzu. Chcesz, wejdz na wieżę, to zobaczysz.

– Widziałem, ale mnie się to nie podoba. Prezes nie zdążył się dowiedzieć, co konkretnie nie podoba się Maćkowi, bo na wieży zagrzechotały kamienie w puszcze – sygnał z Rezydencji.

– Sprawdzają instalację czy coś się dzieje? – zwrócił się do Maćka i nie czekając na odpowiedź dodał: – Sygnały trzeba jakoś uściślić, żeby było wiadomo za każdym razem o co chodzi. Przemyśl to do jutra, dobrze? A teraz chodźmy, bo może tam się jednak coś stało.

Skacząc z konara na pień, z pnia na umocowany przemyślnie kloc, chwytając się poręczy z przygiętych gałęzi, podążyli do Rezydencji. Maciek myślał sobie, że wojna nie wojna, warta nie warta, ale ta droga sama w sobie jest bardzo fajna: człowiek czuje, po co mu Pan Bóg dał ręce i nogi, i poczucie równowagi. Ach, człowiek w ogóle czuje, że żyje, że jest sprawny, szybki bystry... Swoją bystość jednak trochę przecenił, bo kiedy poczuł, że pięta uwięzła mu w jakiejś szparze, nie sprawdził, co go przyhamowało, tylko szarpnął nogą z takim rezultatem, że noga była wprawdzie wolna, ale bosa. Musiał więc przystanąć, wyciągnąć trampek, który zdążył już spaść trochę niżej, i założyć go. Nim się wyguzdrał, Prezes już zmienił górny szlak na lądowy i znikł w tunelu pod gałęziami. Maciek dodał gazu, żeby zmniejszyć spóźnienie, w tunelu biegł nie zważając, że może dla odmiany zahaczyć o jakiś sęk koszulą, przez bramkę wystrzelił niczym rakietą z wyrzutni – i stanął jakby złapany na lasso.

– A mówiłem – szepnął sam do siebie.

Przed czytelniką zobaczył Skobla i Zośkę z minami tak niepewnymi, że aż przerażonymi. Miny Prezesa nie mógł widzieć, bo stał naprzeciw tamtych. Widział za to dość dobrze powód alarmu. Był nim starszy pan, wysoki, siwawy, w kraciastej koszuli i drelichowych spodniach. Uśmiechał się przyjaźnie. Przyjaźnie, przyjaźnie, ale niechby nawet anielsko, to co? To był dorosły!

Maciek zaraz sobie przypomniał, że nawet go zna z widzenia. Mieszka gdzieś wysoko w ich bloku. Nigdzie chyba nie pracuje, bo można go spotkać o najdziwniejszych porach przy windzie. Tam wygląda przyzwoicie, a nawet sympatycznie zagaduje. Ale tu? Którędy tu przylazł? I po co, święci pańscy, po co?

Zbliżył się i w myśl zasady: „grzeczność nie zaszkodzi” powiedział uprzejmie, ale z godnością:

– Dzień dobry panu.

Przybysz chyba też przypomniał sobie Maćka, bo zwrócił się do niego:

– Dzień dobry, młody sąsiedzie. Teraz rozumiem, czemu ostatnio tak rzadko cię widuję. Myślałem o tobie.

– Słucham? – spytał Maciek tym samym grzecznym, ale godnym tonem, zerkając jednocześnie pytająco na Skobla. Skobel zrozumiał nieme pytanie i ruchem głowy wskazał na skarpe przy żwirowisku.

– Tak, myślałem o tobie i o innych chłopcach z osiedla. Już niedługo wakacje...

– Trafił pan tu przypadkiem – przerwał przybyszowi Prezes, informując jednocześnie Maćka o tym, czego zdążył się już dowiedzieć – mimo to jest pan naszym gościem, prosimy więc do klubu, przecież nie będziemy rozmawiać na stojąco.

Prezes najwidoczniej przyjął tę samą taktykę, co Maciek: uprzejmie, ale z godnością. Zośka podchwyciła ton, wskazała gościowi „fotel Prezesa” – to już przesada, pomyślał Maciek – i coś tam zażartowała, że wprawdzie niewyściełany, ale... Tylko Skobel nic nie mówił, siadł z boku i na znak, że nie pochwała fasonu „elegancja-Francja”, zaczął demonstracyjnie obgryzać paznokcie.

– Piękną rezydencję żeście sobie tutaj urządzili – zagaił gość.

– Skąd pan wie? – Skobla aż poderwało.

– Co wiem? – zdziwił się starszy pan.

– Że tak to nazywamy – szef ochrony był czujny, chciał z punktu dojść, kto wychlapał tajemnicę.

– Wcale nie wiem. Tak mi się powiedziało, bo trudno o lepsze słowo. Wygodnie tu, estetycznie, czysto...

– Kiedy nas tu nie ma, wtedy – Zośka już chciała opowiedzieć o maskowaniu, ale w porę ugryzła się w język. Mimo to Skobel zgromił ją wzrokiem, po czym zajął się znów paznokciem. Na pozór, bo słuchał uważnie, żeby wykapować, jakie są luki w systemie ochrony.

– Mamy dosyć bałaganu na osiedlu, więc się staramy, żeby przynajmniej tu jakoś wyglądało – powiedział Prezes.

– Właśnie o tym bałaganie na osiedlu chciałem mówić. Za parę dni wakacje i jak myślę, niewielu wyjedzie gdzieś na wczasy. Bardzo teraz drogie, w dodatku to przecież nowe osiedle i mieszkańcy wydają ostatnie rezerwy finansowe na urządzenie się.

– Albo na spłatę długów – uzupełnił Darek, myśląc o swoich rodzicach.

– Więc przyszło mi do głowy, że młodzież będzie się strasznie nudzić na tej oskalpowanej ziemi. A przecież tak nie musi być.

– Nie musi, ale jest – wtrącił ponuro Skobel.

– Gdyby się skrzyknąć w gromadkę, można by sposobem gospodarczym urządzić plac czy nawet parę miejsc do gier, to byłaby nawet zabawa. Wyście się tutaj ogromnie napracowali, to widać od razu, a przecież nie żal wam było sił i czasu. Plany by się opracowało wspólnie, każdy by dorzucił jakiś pomysł... Ja w tym celu wybrałem się do lasu, żeby znaleźć materiał. Tyle jeszcze ciągle wiatrołomów gnije. Ja byłem leśnikiem i patrzeć na to nie mogę. W ten sposób trafiłem na tę dolinkę. To przecież istny sezam!

– Nie! – krzyknął Skobel.

Leśnik umilkł zaskoczony. Przesunął wzrokiem po twarzach: wszystkie zaciśnięte i przeżarte. Zwrócił się do Maćka, upatrując w nim deskę ratunku.

– To właśnie dlatego rozglądałem się ostatnio za tobą. Wyglądasz rozsądnie i przedsiębiorczo. Chciałem od ciebie zacząć, młody sąsiedzie.

– Na imię mi Maciek.

– No więc, Maćku, jak sądzisz? Mnie się wydaje, że pomysł jest realny. Młodzież miałaby pożyteczną zabawę, osiedle nabrałoby ludzkiego wyglądu.

– A naszą Rezydencję szlag by trafił – dokończył Skobel.

Znowu milczenie, tym razem długie. Leśnik ma minę zafrasowaną, coś tam sobie w głowie układa. Maciek nie ma zamiaru stawać po jego stronie, mimo że uczestowany komplemtem. Wszystko jedno, czy „stary sąsiad” ma rację czy nie, czy jego pomysły mają szansę. Choćby były na sto procent realne, Maciek nie odstąpi Skobla. Ale nie są, wie coś o tym. Wie też, co zaraz powie ten czytankowy społecznik: że trzeba coś poświęcić dla wspólnego dobra, że nie można być egoistą... Co ten Prezes, do cholery, język mu przyrósł do zębów czy co?

Prezes patrzył w ziemię, ręce zwiesił między kolanami. Teraz mi pewnie przyznaje rację, że największe niebezpieczeństwo to dorośli. A Zośka? Gdzieś się gapi. Aha, Bolek i reszta.

– Bombardierzy wracają – oznajmiła Zośka i przestała się gapić, tylko natarczywie wbiła wzrok w przybysza, a potem znowu odwróciła głowę w stronę zwirowiska. Przybysz spojrział w tę stronę i widok schodzącego z góry „ludku” bardzo go zafrapował. A „ludek” dochodził już do promenady z pni. Teraz Hipek podprowadza Waldka do Ani, mówi coś Bolkowi, salutuje i skręca w stronę nasypu kolejowego. Bolek podchodzi do Waldka, bierze go za rękę, mały jest już ubezpieczony z obu stron, idą, nie za szybko, ale w żadnym razie nie ślamazarnie.

– No, i co pan na to? – mówi Zośka, niby bez związku, ale wszyscy wiedzą, że związek jest.

– Aha, to ja pewnie ich widziałem w lesie. Widziałem, jak widziałem, mignęli i przepadli.

Skobel i Prezes uśmiechnęli się pod nosem z satysfakcją, leśnik to zauważył.

– Więc was jest tu aż tylu i w tak różnym wieku! Czy wy jesteście rodziną?

– Częściowo – odezwał się wreszcie Prezes. – Ale to nie robi różnicy. To znaczy, obojętne, czy brat mój czy twój.

Leśnik ni z tego, ni z owego zapatrzył się na „basen” i zapomniany na nim parowiec z kory.

– Moi kochani – zaczął wreszcie – ja jestem stary leśnik, starej szkoły. Oho, będzie truł, pomyślał Skobel.

– A ta stara szkoła polegała na tym, że jak gdzieś drzewo samo urosło, to znaczy, że w dobrym miejscu i nie należy go ciąć tylko dlatego, żeby było równo i według planu. Ja, szczerze mówiąc, właśnie dlatego umyśliłem sobie te różne szalasy, palisady, płotki i co tam jeszcze byście chcieli i wynaleźli, żeby nie było równo i według planu wydumanego gdzieś przy biurku. Żeby na osiedlu coś samo wyrosło, gdzie mu najwygodniej.

– Nam jest najwygodniej tu – powiedział Maciek.

– Widzę. I wyobraźcie sobie, nie jestem takim idiotą, żeby was namawiać do rzucenia tego wszystkiego, coście zbudowali. I do zaczynania czegoś, co jeszcze nie wiadomo, czy się uda.

– To właśnie chciałem powiedzieć – wyłożył rezultat swych rozmyślań Prezes. – Ja nie uważam pana pomysłów za głu... tego, za wydumane. Tylko, że nam one nie po drodze.

– Szkoda – westchnął leśnik i wstał. – Ale rozumiem. Gdybyście zmienili zdanie, to mieszkam w tym bloku co Maciek, pod numerem sto siedemnaście. Do zobaczenia.

Chciał iść, którędy przyszedł. Powiedzieli mu „do widzenia” i nagle wszystkim zrobiło się go żal. Nawet Skoblowi. Może nawet przede wszystkim Skoblowi, bo szepnął do Prezesa:

– Może przeprowadzę go na skrót?

Darek klepnął go w ramię z aprobatą i zawołał za odchodzącym:

– Proszę pana, czy pan wraca do lasu czy do domu?

– Do domu.

– To my znamy krótszą drogę. Kolega pana przeprowadzi – i do Skobla, ciszej – weź go trasą P.

Starszy pan wyraźnie się ucieszył, a jeszcze bardziej pojaśniał, kiedy zobaczył, że przewodnikiem ma być ten zacięty obgryzacz paznokci. Może nie wszystko stracone, myślał, przeciskając się za Skoblem krętym tunelem. Kiedy wyszli na pogranicze, Skobel powiedział:

– O, widać już pana blok. Tylko jeszcze jedno: niech pan da słowo honoru, że pan nie zdradzi Rezydencji i tej drogi.

– Wierzysz w słowo honoru? – zdziwił się leśnik.

– W ogóle, to nie. Ale pan mówił, że jest starej daty, więc może pana słowo jest coś warte.

– Postaram się, żebyś się przekonał. Dziękuję i do widzenia!

Skobel cofnął się w chaszczę i chwilę obserwował, jak starszy pan wcale dziarsko maszeruje przez gruzowisko.

Trzeba dziadziowi podpowiedzieć, że drzewo jest nie tylko na wyspie – pomyślał. – Ostatecznie, chce dobrze.



Nikt nie przypuszczał, że bardzo prędko przyjdzie im skorzystać z adresu leśnika. Bo jeszcze tego samego wieczora Hipek przyniósł wieści, których wagi sam nie doceniał. Ale Prezes od tego był Prezesem, żeby docenić. Z punktu kazał ściągać Maćka i Skobla, Zośkę sam wywołał przed blok, a potem, na fundamentach samu, który jak ciasto na złych drożdżach wciąż nie chciał rosnąć, zasiedli do narady.

– Hipek, referuj jeszcze raz od początku. I jeśli ci się jeszcze coś przypomni, to wal.

Hipek, przekonawszy się, że Prezes przejął się raportem, sam starał się być jak najbardziej rzeczowy i poważny.

– Po pierwsze stwierdziłem, że ten gruz i śmieci na pograniczu, to tylko częściowo z „Celiny”. „Celina” już jakoś wygląda, to znaczy spychacze wyrównują...

– Oczywiście, jakby bez tego – parsknął Skobel.

– Ale prawdziwe używanie mają, znaczy spychacze i wywrotki, tam niżej, przy starej drodze, gdzie były te domki i ogródki, gdzieś zaraz po sprowadzeniu się latali na jabłka. To było wtedy, kiedy jeszcze mi nie odebrali kluczy – dodał widząc groźne spojrzenie Prezesa.

– Mówisz: były? To znaczy, że teraz nie ma? – pochwycił trop Maciek.

– No właśnie, w tym cały gips i stamtąd ten gruz. Tam teraz zaczynają stawiać „Danutę”, na miejscu tych gospodarstw. Będzie mniejsza niż „Celina”, nie mówiąc o naszej „Barbarze”, i podejdzie pod „jamnikowo”. Teraz spychacze przeszły po domkach, chlewach i co tam jeszcze stało. Rany, nie macie pojęcia, ile tam hecownych klarnetów sterczy! Rury, kafle, dechy takie i owakie, nawet piecyk widziałem, kozę, ale zawsze.

– Do rzeczy! – powściągnął wyliczankę Prezes.

– Kazałeś ze szczegółami, a teraz krzyczysz – rozzalił się Hipek, ale posłuchał. – Więc te domy stały do niedawna puste i pół „jamnikowa” tam miało ubaw. Meliny i fortece, i Bóg wie co. To mi mówił Szymura, jeszcze dawniej. Ja tam z nim nawet dwa razy byłem.

– I nic nie powiedziałeś! – wystąpił z wyrzutem Skobel.

– Nie myślałem, że to ważne, a pozwolenie Prezesa miałem, co-nie? I jak bym powiedział, to by zaraz Bolek zaczął, że zdrajca albo co. I ty byś mi urządził przesłuchanie, co, może nie?

Skobel nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył, wobec czego Hipek ciągnął dalej:

– A teraz nic nie mają, chodzą i płaczą. To znaczy nie wszyscy akurat, bo niektórzy po fajrancie wyciągają żelastwo, spylają za ciężki grosz w złomowcu i zaraz walą do salonu gier.

– Szymura też? Taki szczawik?

– No nie, Szymurze odpalają jakąś dołę i każą spieprzać. Tam są sami z siódmej, ósmej, a wódz nawet z zasadniczej. On się nazywa Byrski, ale go przezywają Bryś, za oczami naturalnie, bo w oczy to tylko „Szefie”. On ich trzyma za mordę, nie to, co nasz Prezes!

– A ilu ich trzyma, ten Bryś?

– No, takich prawdziwych, to z pięciu. Jednego trzymają tylko dlatego, że ma wózek, ale Szymura słyszał, że jak tylko złom się skończy, to go spławią, bo tchórz. Szymury też tak zupełnie nie można liczyć, on tylko łązi za nimi, przyplątał się do nich, bo pokłócił się ze swoją paką z klatki. Jak się pogodzi, to się odczepi od Brysia, sam mówił. On się tego Brysia trochę boi, raz już oberwał, bo nie chciał...

– To już kiedy indziej opowiesz – uciął Prezes i zwrócił się do reszty: – Jak widzicie, sytuacja staje się poważna. „Jamnikowo” teraz bez dwóch zdań zacznie sobie czegoś szukać. Nie trzeba długo myśleć, żeby zgadnąć, w której stronie. „Wywrotkowa” droga sama ich zaprowadzi. Zwłaszcza tych, którzy zbierają złom. Nie znajdą na rumowisku, to pójdą szukać na śmietnik.

– Może im się odechce? – wyraził nieśmiałą nadzieję Maciek. On by w śmietniku nie grzebał. – A poza tym, jeśliby szukali złomu, to chyba tu by nie znaleźli, tu tylko drewno.

– To jest chowanie głowy w piasek. Trudno, musimy się liczyć z wojną. Od jutra ostre pogotowie.

– To znaczy? – chciała wiedzieć Zośka.

– To znaczy parę rzeczy. Po pierwsze, i to jest robota dla ciebie Zośka, trzeba zwiększyć zapas granatów wodnych. Twoje zawleczki są bezbłędne, dają się ściągnąć w pół sekundy, ale nikt ich tak dobrze nie założy jak ty.

Zośka przypomniła sobie z satysfakcją swój dzień triumfu, kiedy chłopcy nie mogli wykombinować żadnego innego zamknięcia dla woreczków z wodą, tylko sznurki, i biedzili się nad węzłami, a ona wpadła na pomysł, że żadne tam sznurki, tylko klamerka z kory albo z patyka. Niestety, zawleczek było więcej niż woreczków. Zwróciła na to uwagę:

– Wodnych bomb starczy na dziesięć minut. A zapas się zwiększa ledwie o sześć dziennie, bo tyle mleka w sumie kupujemy. Musimy zrobić i piaskowe, w zwykłych papierowych torebkach. I to trzeba rzucać tak.

Wstała i podniosła z ziemi upatrzoną od pewnego czasu wymiętą torbę po cukrze, do której wsypała piach, po czym wskazując najpierw beczkę po lepiku jako cel, ciach – rzuciła. Torebka leciała jak zwykły kamień, ale pod koniec lotu piasek sypnął się luzem.

– Genialne! – krzyknął Hipek. – Jak ty to robisz?

– Nauczę was – powiedziała skromnie, ale tak naprawdę, to pękała z dumy.

– Nie ma dwóch zdań, Zośka ma komendę nad artylerią – zdecydował Prezes. – Poza tym, zwiększona ostrożność. Musimy też przeprowadzić parę alarmów próbnych.

– Właśnie o tym chciałem – włączył się Skobel. – Sam sygnał z wieży to za mało. Dzisiaj, gdyby nawet Bolkowi zaświtało, że trzeba nas ostrzec przed tym dziadkiem, to nie miałby jak. Poszukajcie w domu, kupcie, pożyczcie, ale każdy musi mieć gwizdek. I zapamiętać trzy sygnały. Krótki gwizd: uwaga. Długi: na stanowiska. Dwa długie: atak. Oczywiście długie sygnały może dać tylko dowódca. Całości albo grupy.

– Jeszcze powinien być sygnał: na pomoc – zauważył Maciek.

– Słusznie. To niech będzie normalne SOS – zgodził się szef ochrony.

– Więc wszystko jasne – zakończył Prezes. – Skobel przeprowadzi alarmy, ty, Hipek, będziesz dalej generalnym zwiadowcą, Zośka ma artylerię, ja dozoruję całość.

W tej chwili wzrok jego padł na Maćka. Zawahał się – wypadałoby i jemu coś przydzielić, ale co? Aha, mam.

– A Maciek sprawdzi, jak się trzymają stanowiska ogniowe i maskowanie. Może trzeba zrobić jakieś dodatkowe barykady? Masz pole do popisu.

– Dobrze, pomyślę. Ale myśmy w tym wszystkim o jednym zapomnieli.

– Noo? – zdziwił się niemile Prezes.

– Słuchajcie, o ile ja się znam na polityce, to każdą wojnę poprzedza akcja dyplomatyczna. Czasem w ogóle na niej się kończy, bo okazuje się, że można obejść się bez wojny.

– Jak byś ty raz zobaczył Brysia, to byś sobie młotkiem wybił z głowy dyplomację – zaśmiał się Hipek.

Prezes też nie widział Brysia, ale zastrzeżenia Maćka wydały mu się bez sensu.

– Człowieku, to nie jest wielka polityka, żeby się bawić w jakieś konferencje okrągłego stołu czy coś. Przede wszystkim, z kim byś siadł do tego stołu? Przecież my nie wiemy tak na sto dwa, czy będziemy bić się z Brysiami, czy na przykład Szymura sam się nie zrobi wodzem ludzi ze swojej klatki, jak się już z nimi pogodzi. Może zresztą w ogóle nic nie będzie.

– Ja tam nie myślałem o posłach z białą chorągiewką czy coś – tłumaczył Maciek. – Myślę tylko, że trzeba czegoś spróbować, żeby mieć spokój bez wojny.

Czuł, że wszyscy patrzą na niego jak na tchórza. Nawet Zośka. A Zośka powinna wiedzieć, że jej ulubiony, cichy Adam będzie tym, który oberwie najwięcej. I Waldek – Prezes pewnie zapomniał, że ma ośmioletniego brata. I w ogóle tak naprawdę to „ludek” nadaje się tylko do zabawy w wojnę. My to mamy broń jeszcze jako tako humanitarną. Ale czym będzie walił przeciwnik? Zastanawiał się, czy im to wszystko powiedzieć. Należałoby, skoro sami nie pomyśleli. Choć z drugiej strony – mogą uznać, że im tylko odbiera ducha.

Skobla wnerwiło jego zastanawianie się.

– Maciek, ty tę dolinę odkryłeś, ty się nią z nami podzieliłeś, bardzo fajnie. Ale jak jej nie chcesz bronić, to wolna droga. Nie musisz być z nami.

– Chcę być z wami! – krzyknął Maciek. – Chcę, do cholery. Ale nie chcę widzieć Waldka z rozbitym nosem...

– Wielkie rzeczy – wzruszył ramionami Hipek – sto razy miałem rozbity nos, jeszcze w przedszkolu.

Ale w Prezesie odezwała się zapomniana Przedszkolanka.

– Waldka trzeba by w ten dzień zostawić w domu – przyznał rację Maćkowi.

– Wspaniale! Bo ty z wyprzedzeniem tygodniowym będziesz wiedział, który to dzień – zadzwiała Zośka, bo też uświadomiła sobie nikłą wartość bojową „ludku”.

– No więc co? Mamy się poddać bez bicia? – gorączkował się Hipek.

Prezes pomyślał, że dzięki Bogu nie ma Bolka. Ten by dopiero podskakiwał!

– O tym nie ma mowy – powiedział, uprzedzając Maćka, który miał to samo na końcu języka. – Można by starać się przedłużyć pokój, ale jak? No, Maciek?

– To się może wydawać dziwne, ale ja myślę, że ten leśnik spadł nam dziś jak z nieba.

– Idź ty, chcesz dziadzia za stróża, czy jak? – wzruszył ramionami Skobel.

– Nie, zupełnie nie.

– No to co chcesz, mów, ale szybko i do rzeczy.

– Szybko nie umiem, od tego jest Hipek. Do rzeczy, proszę bardzo. Uważam, że powinniśmy pomóc leśnikowi w tym jego planie. Od razu po rozdaniu świadectw już się coś powinno zacząć dziać. To ściągnie kupę ludzi, najpierw będą się gapić, potem też coś robić. Może z tego coś wyjdzie, może nie, ale jakby na początek ustawić chociaż bramki do nożnej i jakiś szalas, to inwazja pójdzie w tym kierunku. Nie będziemy się pchać na pierwszy plan, dziadzia sobie znajdzie jakichś ulubieńców, adiutantów, sam będzie głównym komendantem... Jak to się rozkręci, wtedy nieznacznie wycofamy się do siebie.

– Ten stary dał mi słowo honoru, że nas nie zdradzi – rzucił przed siebie Skobel.

– Ostatecznie, możemy coś tam na pół pary pogrzebać – przyznał Hipek. – Jak byśmy się pospieszyli, to moglibyśmy wytaskać z gruzów trochę desek. Na piaskownicę albo ławkę. A potem siup, nie ma nas, niech dalej ciągną sami.

– Ja myślę, że Maćka pomysł nie jest zły. Widzicie, jak tak słuchałam tego leśnika, to chwilami myślałam, że to niesprawiedliwe, takie mieszanie się w nasze sprawy, a chwilami, że niesprawiedliwe jest co innego, że my mamy Rezydencję, a inni nawet marnej ławki.

– Ech, Zośka, ty zawsze „sprawiedliwe”, „niesprawiedliwe” – przerwał jej Prezes. – Ale Maciek tak w połowie mnie przekonał. Trochę dyplomacji nie zawadzi. Będę musiał jutro pójść do leśnika. Kto pójdzie ze mną? Maciek? Kto jeszcze?

– Ja nie, ja jutro znowu muszę na zwiady – wykręcił się Hipek, choć po prawdzie nikt nie chciał go wkreślać.

Okazało się, że poza nim wszyscy mają ochotę. Nawet Skobel.

– Dobra. A „ludek” przez ten czas niech się bawi przed blokiem. To też będzie rodzaj maskowania – zakończył naradę Prezes.

Skobel przeczytał na tabliczce przybitej na drzwiach mieszkania numer sto siedemnaście: Inż. ANTONI NOWAK

– Fiu, to on inżynier! – zdziwił się Skobel. – A ja myślałem, że najwyżej gajowy. Ale zadana sycha to on nie był, bo ma M-2. My spoza kolejki, losowi, a on...

A on już otwierał drzwi.

– O, to wy? – zdziwił się i ucieszył zarazem. – I wszyscy? Proszę, wchodźcie.

Weszli, rozejrzeli się szybko po pokoju. Skobel utwierdził się w przekonaniu, że jak na inżyniera, to Nowak mieszka marnie. Prezes i Maciek też się rozczarowali: spodziewali się jakichś trofeów myśliwskich, jeśli już nie głowy dzika, to choćby rogów jelenia. Zośkę zaś

zdziwiło, że cały długi parapet okna zastawiony jest doniczkami. Tu jest zupełnie przyzwoicie sprzątnięte, jak na mężczyznę – pomyślała – ale żeby nawet kwiatki...

Leśnik kazał im siać na wersalce, sam siadł tyłem do biurka.

– Sądzę że przyszedliście w pokojowych zamiarach, a nie, żeby torturami wymusić zachowanie sekretu.

– My niczego nie wymuszamy – nie poznał się na żarcie Skobel, więc Prezes szybko załagodził:

– Tak, proszę pana, w misji pokojowej. Jak najbardziej. Myśmy przemyśleli, co pan wczoraj mówił, i uzgodniliśmy, że możemy się włączyć. Nie zaraz, bo mamy robotę u siebie, ale po zakończeniu roku jesteśmy do dyspozycji. Tylko chcielibyśmy wiedzieć, od czego zacząć. I w którym miejscu. To jest dla nas ważne.

– To jest w ogóle ważne. Opracowałem parę wariantów. Spójrzcie, to są plany.

Zbliżyli się do biurka, Skobel miał ochotę znowu gwizdnąć: plany były jak na wystawę. Że też jemu się chce?

– To jest plan S, czyli skromny. Na zapleczu każdego bloku siedziska, altanka, piaskownica i mini-boisko. Szczegóły wymyślą sami użytkownicy.

– Odpada – powiedział Prezes. – Nie dlatego, że skromny, ale ludzie już tam zaczęli zajmować teren na ogródki.

– Wiem, ale jedno drugiemu nie przeszkadza. Ogródki są nieduże.

– Jak które, proszę pana. Pod naszym blokiem Wuj-Truj już trzy razy przesunął płotek do przodu i pewnie jeszcze mu mało – uświadomiła leśnika Zośka.

– Kto to jest Wuj-Truj? – przewisko zaintrygowało leśnika.

– Eee, taki tam. Stróż moralności i dobra publicznego – wyjaśnił Prezes. – Nazywa nas plagą osiedla.

– Sam plaga – mruknął Skobel, bo i jego Truj zdążył kiedyś ochrzanić, w dodatku wyjątkowo „za niewinność”.

– Poza tym – dodała Zośka chytrze – do pracy przy jednym bloku nie przyjdzie nikt z drugiego. Chyba na gotowe, psuć.

– Wobec tego plan R, czyli rozwojowy. U dołu wzgórza, na którym jest, czy ma być park. Z tego mógłby się rozwinąć duży czyn społeczny, z udziałem dorosłych...

– Ja bym był ostrożny – odezwał się po raz pierwszy Maciek. – Z planami rozwojowymi i w ogóle dużymi. Ja, proszę pana, mieszkałem już na dwóch nowych osiedlach: w Warszawie i Płocku. To jest moje trzecie.

– Nic nie mówiłeś – zdziwiła się Zośka.

– Bo nikt nie pytał. I wiem z doświadczenia, że zanim plany rozwojowe się rozwiną, już się je zwija.

Leśnik uśmiechnął się na to „doświadczenie”, tak nie pasujące do trampków i wzrostu Maćka, ale nie zlekceważył go.

– Ja jestem z lasu i to jest moje pierwsze nowoczesne osiedle, więc słucham twoich propozycji.

– Skoro tak, to myślę, że tu byłoby najlepiej – Maciek wskazał na planie R miejsce, gdzie od drogi (w budowie) do „jamnikowa” odbijał skrót na „Aline”.

– Ja się też nad tym zastanawiałem – powiedział leśnik – ale wydawało mi się, że to zbyt na uboczu i nikt nie będzie przychodził,

– Ze na uboczu, to właśnie dobrze, bo na pewno nie zrobią tam parkingu, a poza tym, dla kogo ubocze? Dla dorosłych, ale nie dla młodzieży. Tu ściągnie całe „jamnikowo”...

– Co, proszę?

– Te niskie, długie bloki. A do tego nasze trzy punktowce, i jak by to policzyć, będzie ponad trzysta rodzin. Co najmniej. Zresztą spójrzmy przez okno, stąd widać, wiem, bo mój pokój jest trzy piętra niżej, ale prawie w tym samym miejscu.

Zbliżyli się wszyscy do okna i zaczęło się rysowanie planów palcem na szybie.

Wyszli od leśnika zadowoleni, rozochoceni i z konkretnym zadaniem dla generalnego zwiadowcy – żeby zaraz po rozdaniu świadectw przyciągnął Szymurę i kogo ten będzie chciał na „budowę”, którą leśnik najpierw trochę sam pociągnie. Może zresztą nie sam, może znajdą się już ochotnicy. Spółka w każdym razie już jutro przywlecze coś niecoś materiału.

Przed blokiem się rozdzielili – chłopcy szli na „wyspę”, gdzie umówieni byli z Hipkiem, a Zośka musiała niestety wrócić do domu. Nie mogła tak od razu i bez reszty uwolnić się od dziewczyńskiego losu!

– Darek – zawołała za odchodzącymi – zaczekaj sekundę! Zapomniałam o czymś.

Chłopcy zawrócili, Zośka zbliżyła się i sięgnęła do kieszeni džinsów:

– Pamiętałam o gwizdkach. Masz, to dla ciebie – i podała Prezesowi imponujący, kapitański, prawdziwy gwizdek. – Wczoraj poprosiłam ojca i wyobraźcie sobie, nie zapomniał, przyniósł aż dwa.

Skobel chciał spytać: więc gdzie drugi, ale dał spokój – jasne, że u niej. Zośka spostrzegła jego minę, zawahała się, jeszcze raz sięgnęła do kieszeni.

– A ten drugi dla ciebie – wyciągnęła rękę w stronę Skobla – jesteś przecież szefem ochrony.

– No, a ty? – miał skrupuły Skobel.

– Może tata coś jeszcze skombinuje...

Maćkowi zrobiło się wstyd. Wiedział, że w pawlaczu jest jeszcze jeden karton z bojowymi zabawkami, z tych czasów, kiedy go to pasjonowało. Nie pomyślał, żeby tam zajrzeć. Wczoraz albo jutro musi koniecznie.

– Dziękujemy ci! – szybko porzucił skrupuły Skobel. – Będziemy mogli już dzisiaj poćwiczyć sygnały. Powiedz po drodze „ludkowi”, niech się zwinie sprzed bloku i zamelduje w Rezydencji.

Kiedy okrążali pogranicze, Prezesa zainteresował leżący na skraju ładunek kolejnej wywrotki – sterczało z niego trochę belek i desek, poza tym wały się cegły. Gdyby mieć czas i działkę – pomyślał – można by z tego śmietniska zbudować domek, że hej! Ale tak czy tak, kiedy będziemy wracać, podtaszczymy trochę desek leśnikowi. Dobrze, że to na samym brzegu.

Jednak o zmierzchu, w porze powrotu, pomysł Prezesa nikogo nie zachwyił. Wczesnym popołudniem byli pełni zapału, w Rezydencji i okolicy aż furczało od roboty, wszyscy chcieli robić wszystko naraz – i stanowiska ogniowe, i bomby piaskowe, i ćwiczyć alarmy, i rzucać granatami. I rzeczywiście robili: Prezesa i Skobla ogarnęło niezwykle natchnienie organizacyjne, „ludek” kipiał żądzą walki i zwycięstwa, i tylko Maciek wykonywał swoje sapersko-inżynierskie zadania z jakąś smutną powagą. Jego milkliwość w ogólnym podnieceniu nikomu nie podpadła. Dopiero pod koniec, kiedy Prezes go pochwalił za to, że pomyślał o wszystkim – o tym, żeby stanowiska miały dojścia łatwe dla wtajemniczonych a „pułapkowe” dla napastników, żeby w razie wyczerpania się amunicji odwody mogły szybko dostarczyć nową, żeby między stanowiskami też była łączność – dopiero, kiedy go pochwalił, a on nic, wzruszył ramionami i mruknął: „Robiłem, co mogłem, ale...” Prezesa to zastanowiło. Trzeba z nim pogadać na boku – pomyślał.

Na razie jednak musiał pogadać z całą Spółką o tych dechach i belkach dla leśnika. Ogarnął wzrokiem człapiącą ledwie-ledwie ósemkę i już-już chciał odłożyć sprawę do jutra, ale z drugiej strony – prawie ciemno, najlepsza okazja, żeby niepostrzeżenie wziąć, co trza...

Zarzykował:

– Słuchajcie, zwijaliście się tak dzielnie, że należy wam się święty spokój: kolacja, mycie, spać. Ale może ktoś ma jeszcze trochę pary, żeby te tutaj deski zabrać i zanieść dziadziowi pod blok?

Nikt nie chciał się przyznać, że para z niego uszła, ale i jeszcze coś wlec też nikomu się nie chciało. Hipek wynalazł honorowe wyjście:

– Pod blok? Żeby do rana ukradli? Weźmy co lepsze kawałki, ale schowajmy po drodze, w pokrzywach.

– Dobra – poparł go Skobel – to nawet będzie bezpieczniej. Nikt nie wykupuje, skąd to naprawdę jest.

Prezes upatrzył sobie sporą belkę, naumyślnie taką, do której trzeba dwóch, i zawołał do pomocy Maćka. Pozwolił innym iść naprzód, pewien, że Skobel już tam znajdzie dobry schowek na materiał.

– Tyś, Maciek, coś dzisiaj nie w sosie – zagadnął kolegę, gdy zostali na końcu. – Gryzie cię coś?

– Trochę tak. Co to mogą być za typy ten gang Brysia?

– Boisz się ich?

– Nie. Ja się umiem bić, nie myśl, że nie.

– No, więc?

– Więc to, że w tym wszystkim nie ma żadnych reguł gry, to takie dzikie i bez sensu.

– Coś ty? Przecież się nie pozabijamy. Jak by nie było, myślę, że te Brysie to też ludzie.

– No właśnie.

– Co „właśnie”?

– Nic. Nie przejmuj się, tak mnie dzisiaj jakoś naszło. Przypomniało mi się, jak w Płocku rozciąłem jednemu koleśowi czoło szablą. Głupio mi było, słowa nie powiedziałem, jak tata skonfiskował mi broń.

– Aha, to dlatego tak jesteś za pokojowym wyjściem?

– Dlatego i nie dlatego. Mieliśmy być rodziną, a jesteśmy armią.

– To na razie. I w dodatku armia czy nie armia, ale coś tam z rodziny też jest.

– No i dzięki Bogu. Zresztą zaraz wakacje, to może wszystko skończy się zupełnie dobrze.

Zwalili belkę w pokrzywy obok desek. Skobel czekał, żeby zamaskować „majątek” zielnikiem, po czym ruszyli we trójkę ciemnym już parowem.

– Nic tam na mnie wesołego nie czeka tego lata – odezwał się ni z tego, ni z owego Skobel – ale cieszę się, że od jutra koniec budy.

– Kto by się nie cieszył! – przytaknęli razem Prezes i Maciek.

#### **IV. Wrogowie, wojny, bitwa**

Dyrektor mówił o osiągnięciach i nawet miał rację – wokół szkoły było o wiele porządniej niż na początku roku. Potem podziękował Radzie Osiedla za współpracę i oddał głos jej przewodniczącemu. Przewodniczący nie był chyba przygotowany do mowy, bo ściągał z przemówienia dyrektora – to o osiągnięciach i podziękowania, a potem powtórzył swój dowcip z września – że dzieci są przyszłością narodu i plagą osiedla, ha-ha, tak słyszał, ale wie, że w przyszłości nie będą na pewno plagą i że wysiłki wychowawców nie mogą iść na marne. Dosyć zmęczony, bo żar lał się z nieba, otarł czoło i dodał, że dzięki inicjatywie Komitetu Blokowego nr 5 zorganizowane będą wczasy w mieście i żeby chętni zgłaszali się w administracji, gdzie od – do będzie dyżurował pan Kaczorowski.

Do tego momentu każdego ze Spółki, rozrzuconej teraz w różnych punktach uczniowskiego czworoboku, obchodziło jedno: kiedy wreszcie odmaszerują do chłodnych jeszcze klas, a potem ze świadectwami wyfruną do domów i na „wyspę”. Kiedy przewodniczący ustąpił miejsca „panu Kaczorowskiemu, żeby udzielił bliższych informacji”, zdębieli. Panem Kaczorowskim okazał się Wuj-Truj.

– Jezus Maria, on i w czasie wakacji chce nas truć – szepnęła do Prezesa Zośka. – Co on kombinuje?

– Pojęcia nie mam – odszepnął Darek. – I jak on się tam wkręcił?

– Wkręcić się to żadna sztuka, mało chętnych – Zośka wiedziała o tym od mamy, która się wkręcić nie chciała. – Ale po co, po co?

Odpowiedzi udzielił sam Truj, bo wykorzystał okazję, żeby „dać popalić”.

– Pan przewodniczący trafnie powiedział, że jesteście plagą osiedla, a z plagi osiedla może wyrosnąć tylko plaga dla kraju. Więc musicie od zaraz się poprawić. Za to czeka was nagroda: wycieczki, ciastka. Ale najpierw praca, potem przyjemność. W jeden dzień będziecie naprawiać to, coście zepsuli i zdeptali, w drugi dzień pojedziecie na plażę albo do kina. Udział we wczasach na osiedlu jest tym razem nieodpłatny. Będziecie się bawić i jeść za odrodek: za posadzenie drzewek, sprzątanie trawników. Bez pracy nie ma kołaczy. Życie to nie wieczna zabawa, trzeba od małego uczyć się dbać i pracować dla wspólnego dobra. Wam się to pewnie nie podoba, ale wasi rodzice na pewno przyznają mi rację i będą wdzięczni.

Przerwał, spojrzął po czworoboku, zauważył szept i miny.

– Ja wiem, że wam się to nie uśmiecha. Wolelibyście tabunami, jak dzikie kozy, latać po osiedlu. Myślę, że niejeden już sobie przyrzeka, że rodzicom nawet nie wspomni o tej możliwości. Ale rodzice i tak się dowiedzą, jeszcze dziś we wszystkich kłatkach będą ogłoszenia.

– On chce zrobić na osiedlu ochotniczy poprawczak – podsumował mowę Truja Skobel, kiedy już szli do klasy. – Ale to nie chwyci.

Wychowawczyni była osobą rozsądną – bardzo szybko rozdała świadectwa i zebrała kwiaty, życzyła miłych wakacji i cześć.

Świadectwa schowali do kieszeni, tylko Skobel ciągle, już nawet na drodze, za fundamentami samu, wachlował się swoim. Czekał, czekał, aż ktoś się domyśli i spyta: „Jak wylądowałeś?” albo co, a oni nic, gadali o Truju. Więc w końcu zaczął sam:

– Patrzcie państwo, to my już jesteśmy w ósmej. Kto by powiedział...

– Miałaś wątpliwości? – zdziwił się Prezes.

– Noo, wiesz... Jak ktoś jest podpadnięty... Ale zobacz, Zośka, co mam z polaka.

Zośka zobaczyła: wśród równych, długich „dostatecznie” wyrwa i krótsze słowo.

– Ty, czwórka ci dała!

– A wiesz, za co? Za te parę spokojnych popołudni w twojej czytelni. Pierwszy raz w życiu zaliczyłem lektury.

– To ci nowina – ucieszył się Prezes. – Poczekajmy na resztę, trzeba im powiedzieć.

– Iii, co im do tego. Ale poczekać możemy.

Siedli na krawężniku, spoglądając w stronę szkoły. Pierwszy pokazał się Maciek, zaraz potem doścignął go Hipek, najpóźniej wysypał się „ludek”. Prezesa coś zastanowiło w układzie czwórki. Coś się tam zmieniło, ale co? Adam i Bolek idą jak zwykle razem... A nie, właśnie że nie razem. Adam idzie z Anią, a Bolek z Waldkiem. Niby w jednym rzędzie, ale Ania wcale nie pilnuje Waldka, a Waldek coś tłumaczy Bolkowi, a Bolek go słucha. Właśnie tak, nie na odwrót. Waldek przestał być pierwszakiem! Tak! Waldek przestał być zasmarkanym pierwszakiem! Oczywiście! Przecież czekam tu na niego spokojnie, jak na człowieka, a nie jak na nieznośną „przyczepę”. Co to się zmieniło przez te marne sześć tygodni na „wyspie”? Skobel zaczął czytać, Waldek przestał beczeć, Hipek się nie urywa...

Hipek się nie urywał, ale ozorem musiał mieć, to już trudno.

– Wiecie, kogo ja widziałem? Leśnika! W holu szkoły!

– Przecież on nie ma dzieci – zdziwiła się Zośka.

– No właśnie. Nie ma dzieci, więc nie wycelował w porę. Bo wiecie, z czym on przyszedł? Robić konkurencję Trujowi.

– Czy on z byka spadł? Z Trujem jeszcze nikt nie wygrał – przestraszył się Prezes. – Trzeba go było ostrzec.

– Skąd mogliśmy wiedzieć? – jęknął Maciek i zwrócił się do Hipka. – A jaka to ma być konkurencja? Hipek wyjaśnił:

– Leśnik przyszedł do przewodniczącego pokazać mu plan tego, tam, wiecie. A Truj był przy tym i powiedział, że ważniejszy jest porządek. Ale przewodniczącemu plan się podobał i mówił, że można to i to, i że smarkaterii na osiedlu jest aż za dużo. Tak powiedział! Oficjalnie to przyszłość narodu, a prywatnie: smarkateria!

– Ale co z planem i Trujem? – dociekał Prezes.

– Nic, przewodniczący zatwierdził i zaraz poszedł do zarządu. Truj za nim, a leśnik do kiosku,

– A my chodźmy się przebrać i wiejemy na „wyspę” – Prezes wstał. – Tak dziś gorąco, że chyba siądziemy koło basenu i będziemy nogi moczyć.

– Ach, żeby zatoka nie była zatruta! – westchnął Bolek. – Co to za morze, na które można tylko patrzeć!

– A ja pamiętam, jak jeszcze nawet w Orłowie można było się kąpać – rozmarzyła się Zośka...

– Mój ojciec powiedział, że jak byście chcieli, to może nas zawieźć w którąś sobotę gdzieś, gdzie jest czysta woda – Maciek przypomniał sobie rozmowę z ojcem sprzed paru dni, w czasie której dowiedział się, że nie pojedą w tym roku do żadnej Bułgarii, i jako rekompensatę wymusił na ojcu choćby jedną wycieczkę polonezem.

– Przyzwoity ten twój stary – wyraził uznanie Skobel, – Ale póki co, musimy pilnować Rezydencji. No, jazda, stare łachy na się i moczyć nogi!

Rzeczywiście pierwsze wakacyjne przedpołudnie na „wyspie” zaczęli od chlapania się w kałuży. Prezes, ani nawet Skobel, nie mieli serca zapędzać nikogo do prac militarnych, a kiedy Hipek, kopnięty w kostkę przez chlapiącego się obok Bolka zaproponował, żeby „basen” poszerzyć, Darek się zgodził. W końcu Maciek miał trochę racji, kiedy stękał, że się stali armią...

Poszły w ruch łopatk i saperki, wkrótce kałuża powiększyła się aż tak, że można było się w niej położyć, co Hipek zauważył i zaraz chciał wykonać.

– Oczywiście, tylko woda się musi ustać – przytaknęła Hipkowi Zośka.

– I coś trzeba zrobić z tym błotem dookoła – zauważył Adam.

– Uklepać, potem samo przeschnie – zarządził Maciek-saper. – Można by i darnią obłożyć, to by się piasek nie kleił do slipów.

Ponieważ i tak nie mogli się na razie chlapać w zmętniałej wodzie, poszli na zwirowisko i przynieśli z jego skraju sporo darniowych cegiełek, z piękną, wysoką trawą. Ale nie zdążyli tego poukładać, bo czas był na obiad.

A po obiedzie zatrzymał ich leśnik. Chyba czatował w oknie albo na klatce, bo wyskoczył z bloku jak kukułka z zegara, akurat kiedy przechodziła główna grupa – Prezes i starszyzna. „Ludek” ciągnął za nimi, w przyzwoitej odległości.

– O, jak to dobrze, że was spotykam – niby się zdziwił leśnik – właśnie wybieram się popatrzeć na placyk u rozstai. Może pójdziecie ze mną?

– Nie, no, możemy, ostatecznie – wymamrotali, a leśnik wyciągnął z raportówki (fajna była, trzeba przyznać!) tabliczkę zagranicznej czekolady i zaczął szybko rozrywać opakowanie.

– Tak wzięłem, na wszelki wypadek, przysłał mi mój uczeń z Finlandii, a ja nie mam dzieci, to jest, mam, ale dorosłe i daleko, i wnuki też daleko... Proszę, częstujcie się, koniec roku trzeba uczcić... – język mu się plątał i był tak zmieszany, że aż litość brała. Więc się nad nim zlitowali.

– Proszę pana, ta czekolada jest zupełnie niepotrzebna – zaczął Prezes. – My panu i bez tego pomożemy.

– Ale ja nie dlatego.



– Dlatego, dlatego – wtrącił się Skobel. – Wie pan co, my i tak pana dosyć lubimy. Ale niech pan nie wstawia numerów Wuja-Truja, bo nam odbije w drugą stronę.

– Kto to w końcu jest ten Wuj-Truj? – leśnik nareszcie porzucił nieznośny, udawany ton, i odezwał się jak człowiek, do którego pasuje raportówka, spłówały drelich i proste plecy,

– Kaczorowski. Widział go pan dzisiaj w szkole, kiedy rozmawiał pan z przewodniczącym – uświadomił leśnika Hipek, który zdążył już doszlusować.

– Ten niski, kwadratowy, z opaloną łysiną? – upewniał się leśnik.

– Ten, ten. Niech pan mu nie wchodzi w drogę, bo to staszna zaraza – ostrzegł życzliwie, ale nadaremnie Skobel. Nadaremnie, ponieważ leśnik był święcie przekonany, że nikomu w drogę nie wchodzi, o czym natychmiast zaczął ich przekonywać. I zaraz potem, pewnie, żeby zatrzeć jakikolwiek ślad podobieństwa do Truja, dał czekoladę Hipkowi i kazał (kazał!) rozdzielić między dzieci. Hipek uznawszy się na ten raz za dziecko, nie robił ceregieli, tylko wpakował spory kawałek do ust i pobiegł do raźnie zbliżającego się „ludku”.

Na rozstaju leśnik otworzył raportówkę, wyjął z niej i rozłożył znany już Spółce plan.

– Ten usychający buk ja bym zrobił punktem centralnym. Trzeba zaczepić na konarach, są mocne, sprawdzałem, że dwie liny i będzie huśtawko-karuzela.

– Fajnie. Ja poproszę ojca, on mi przywiezie liny holownicze, te spisane na straty – obiecała Zośka.

– O, jeśli tak, to możemy sklecić wiele ciekawych konstrukcji – ucieszył się leśnik. – Siądźmy gdzieś, to wam naszkicuję. Widziałem coś takiego na osiedlu w Helsinkach.

W Helsinkach! Ten dziadzio nie jest taka ostatnia łamaga, jakby się wydawało. I musiał kiedyś rządzić ludźmi, to widać, jak wstaje i pokazuje – teraz to, potem tamto, to tak, a tamto tak – myślał Skobel, obserwując poczynania leśnika. – Nawet znośnie się przy nim pracuje.

Nie zapomniał jednak, że jest szefem ochrony, i kiedy mieli iść po schowany wczoraj materiał, wysłał najpierw Hipka na zwiady, a potem Bolka i Anię na wartę do Rezydencji.

I tak im zeszło aż do soboty. Osiedle było trochę wyludnione, bo na jakieś kolonie jednak niektórzy pojechali, w każdym razie w stronie parowu nikt się nie kręcił, Rezydencja była bezpieczna. Budowa Rykowiska powoli się rozkręcała, zwłaszcza że leśnikowi nazwa, nie wiadomo już przez kogo rzucona, bardzo się spodobała. Zrobił w domu głowę jelenia z gałęziastymi rogami, tabliczkę z kory, na której pracowicie wypalił nazwę – RYKOWISKO – i jak tylko ten totem zamocowali na słupku – Rykowisko zaczęło przyciągać nowych chętnych. „Kadra”, czyli Spółka, mogłaby spokojnie spływać, ale uradzili z Prezesem, że lepiej, jeśli ktoś z nich będzie miał jednak oko na Rykowisko, żeby nowych nie zaniósło zbyt blisko „wyspy”.

W piątek po południu Maciek oznajmił, że tata chce spełnić obietnicę: kto chce, może się zabrać z nimi w sobotę do Jastrzębiej Góry. Tylko że wszyscy naraz się nie zmieszczą, więc tata proponuje...

– A może się zmieszczą? Ja nie pojedę, bo muszę, trudno, zbierać z mamą truskawki u ogrodnika. Bolek i Adam też – oznajmiła Zośka.

– Ja zostaję na warcie – odmeldował się Skobel.

Maciek był trochę rozczarowany, zwłaszcza odmową Skobla, choć z drugiej strony – bez nich to już się teraz jakoś upchną w wozie. W niedzielę może pojechać druga zmiana. Ale w sobotni ranek było mu znowu przykro, kiedy minęli Skobla, samotnie maszerującego w stronę „wyspy”.

Tymczasem Skobel nie poszedł od razu na „wyspę”, tylko najpierw na Rykowisko. Spodziewał się spotkać leśnika, czekał, czekał, nie doczekał się, zajrzał na „wyspę” – cisza, spokój – wrócił. Leśnika nie było, gorzej, kręcił się Truj. Skobel poszedł do domu – ojciec już był trochę wlany, „Ojcowa” jeszcze trzeźwa, dała mu kaszę z maślaną i kazała iść po chleb.

Rychło w czas – wszystko pozamykane. Może leśnik ma jakiś zapas? U leśnika głucho, nikt nie reaguje na dzwonek. Więc skończy się na tym, co myślałem – podsumował Skobel daremne wędrówki. Trochę liczył na to, że wkręci się do leśnika na nocny film. Tylko trochę liczył, minimalnie, ale jak to wzięło ostatecznie w łeb, poczuł się tak, jak przed skokiem w zimną wodę. Trudno, trzeba skoczyć. Postanowił nie wracać już do domu – po co, żeby obierać, że nie ma chleba? Zszedł od razu do piwnicy, wyciągnął spod pustych już worków po ziemniakach węzełek z kawałkami koców, które wycyganił od szmaciarza za złom. Miał już pomysł – a i igłę z nitką też – jak to pozszywać, żeby był śpiwór. Dawno to planował, raz trzeba się odważyć. Wyszedł na tę stronę bloków, gdzie nie mogliby go zobaczyć z mieszkania. Pewnie nawet nie zauważą, że go nie ma w domu na noc, a choćby nawet, to szukać nie będą. A choćby nawet szukali – na „wyspę” nie trafią.

Spojrzał w niebo: bez chmurki. Noc będzie ciepła. I głodny spać nie pójdzie, bo w skrytce w czytelnicy jest pół słoika Zośkowego dżemu i herbatniki, tzw. kryzyski, które Hipek przyniósł ze szkolnej zabawy.

Raz trzeba się odważyć.

Zbudził się przed świtem, zmarznięty na kość. Czerwiec nie czerwiec, ale te szmaciane kocy to za mało na przedranne godziny. Wyszedł z meliny, rozejrzał się po świecie – szaro było i cicho, skądś dochodziło samotne ćwierkanie. Coś by trzeba zrobić dla rozgrzewki. Popatrzył na cegielki darni zwalone obok „basenu” – jakoś im nie starczyło czasu, żeby je poukładać. Nie, to nie robota na tę porę, mokre od rosy. Która może być godzina? Czwarta, piąta? Nad lasem niebo jakby już trochę różowiało. Postanowił poczekać wschodu, poskakać, pogimnastykować się, a potem przenieść barłóg do czytelnicy, gdzie najwcześniej robi się jasno i ciepło.

Myśl była dobra, lepsza niż przypuszczał. Bo po raz drugi obudziło go nie tylko ciepło słoneczne, ale i głosy. Głosy! Siadł, od razu czujny i spięty, najpierw bezszelestnie zwinął „śpiwór” i schował pod siedzisko, potem wyjrzał przez chruścianą ścianę. Przed meliną stał Bryś – na pewno Bryś, rozpoznał go po detalicznie przez Hipka opisanej koszuli z paszczą tygrysa – i czterech innych. Gdyby nie zmienił legowiska, już by go mieli. Piegowaty chudzielec mówił do Brysia:

– Ale jak to jest melina jakiejś mocnej ferajny?

– Durnyś! Ferajna by się bawiła łopatką? – wskazał na dziecienną łopatkę Waldka, tkwiącą w „basenie”.

Jak mogliśmy zapomnieć – zdenerwował się Skobel, ale nie za bardzo, bo zaraz usłyszał dalsze wnioski Brysia z oględzin Rezydencji.

– Przetrzyj gały i popatrz: tu nie ma żadnych petów ani butelek. Tu się bawią jakieś szczawiki.

Ten wywód zachęcił do czynu wysokiego chłopaka, stojącego obok Brysia. Wyrwał z ziemi łopatkę, złamał na kolanie i rzucił do wody.

– Już się nie będą bawić! – zarechotał triumfalnie,

– Nie będą – przytaknął Bryś. – Nie ma co szukać lepszej meliny. Zostajemy tu do obiadu i na wciąż. Piegża, szuraj po piwo.

Piegowaty chudzielec zaprotestował:

– Teraz, o dziesiątej? Gdzie dostanę?

Aha, to jest dziesiąta. Nie najgorzej, wszyscy już na pewno wstali – ucieszył się Skobel i zaczął rozważać, jak się bezszmerowo wycofać. Ale postanowił jeszcze chwilę odczekać: to ważne, którądy ten piegowaty pójdzie po piwo. Odkryje się, którądy przyszli.

– Juras, idź z nim. Pod „A” parkuje wyładowany flachami star PSS, kierowca mieszka pod „A” dwadzieścia pięć. Powiedźcie, że ojciec ma imieniny i potrzebujecie całą skrzynkę. Stowa za przysługę.

Bryś wyjął z kieszeni taki pęk banknotów, jakiego Skobel w życiu nie miał w ręku. Skąd on bierze tyle forsy – zastanowił się, obserwując równocześnie, jak Juras i piegowaty oddalają się w stronę zwirowiska.

– Dokąd?! – krzyknął za nimi Bryś.

– Nie będę se portek darł na tych chaszczach – odkrzyknął Juras (faktycznie, spodnie miał szpanerskie!) – obejdziemy lasem.

– No, tylko dajcie pary – popędził ich Bryś i zwrócił się do pozostałych: – patelnia się robi, ja się smażę,

I zaczął ściągać koszulę.

Skobel już wiedział ile trzeba. Klnąc agresty, które blokowały tyły czytelnici aż nadto skutecznie, przedarł się jednak przez nie i pełzając między pniami dotarł łukiem do trasy Prezesa. Tam otrzepał łokcie i kolana i puścił się biegiem.

Wiem tyle – porządkował sobie obserwacje – że ich jest pięciu, że przyszli górą, na dziko, że chcą się opalać i pić piwo. Tras jeszcze nie odkryli. Jak by mi się udało ściągnąć wszystkich piorunem, to możemy ich przepędzić, nim tamci z piwem wrócą. Trzem damy radę śpiewająco.

Pędził jak do pożaru, w bloku Prezesa nie czekał, aż winda zjedzie, tylko po trzy stopnie wparował na piątą i zadzwonił. Nic, cisza. Cholera, to klops. Ale nie rezygnował, odliczał do dziesięciu i znowu dzwonił. Wreszcie coś zaszurało, otworzył zaspany tata Prezesa.

– Ja bardzo przepraszam, ale mam ważną sprawę do Darka.

– Darek w kościele. Wszyscy poszli, tylko ja chciałem odespać noc – powiedział tata Darka z wyrzutem, ale bez złości, więc Skobel odważył się na dalsze pytanie:

– A na którą? I wszyscy, to znaczy kto?

– Na dziesiątą. No, żona, dzieci i siostrzeniec. Zdaje się, że ci ich przyjaciele z góry też, bo ktoś dzwonił i słyszałem głos dziewczyny.

– A o której mogą wrócić?

– Myślę, że nie przed dwunastą.

– Aha. To przepraszam.

Teraz już się Skoblowi nie spieszyło. Dokąd? Cała „armia” we Wrzeszczu. Aha, może został Maciek. Maciek na szczęście był. Na nieszczęście – z całą rodziną. Przy śniadaniu.

– Słuchaj, klops i mogiła – tłumaczył mu szeptem w holu. – Brysie zajęli Rezydencję, a Prezes i wszyscy pojechali do Wrzeszcza. Jedyne, co możemy zrobić, to przyciąć się w lesie i patrzeć.

Maćkowi serce ruszyło galopem, czuł, że zbladł, pocieszył się, że w półmroku holu nie widać, i zaproponował odważnie:

– To może ja pójde na zwiady, a ty do autobusu i jak tylko wrócą, to...

Z pokoju doleciał głos kobiecy:

– Maćku, parówki stygną! Poproś kolegę do środka, może tymczasem coś wypije z nami.

Parówki! Skobel mino woli przełknął ślinę.

– Już! – odkrzyknął Maciek i do Skobła: – Jak ich wytropiłeś?

– Nocowałem w Rezydencji – w podnieceniu zapomniał, że chciał to ukryć. – Obudziły mnie ich wrzaski.

– To rzeczywiście zjedz z nami śniadanie – Maciek rozszyfrował w mig Skoblówkę przełknięcie śliny. – Pół godziny nas nie uratuje, a może uda nam się wymyślić coś lepszego.

Skobel chciał odmówić, ale zapach dochodzący z pokoju był tak kuszący... Poza tym przed bitwą warto byłoby coś wrzucić na ruszt. Dla honoru oznajmił, że przed jedzeniem musi jednak umyć ręce.

Gdy był w łazience, Maciek przyniósł z kuchni dodatkowe nakrycie i poinformował rodziców, że ten kolega przyszedł w ważnej sprawie, a ponieważ jest bez śniadania, więc zje z nimi, i że on, Maciek, bardzo prosi, żeby o nic na razie nie pytać, on sam potem wszystko opo-

wie. Rezultat tych rewelacji był taki, że rodzice popadli wprawdzie w popłoch, ale dali się sterroryzować i w czasie, gdy Skobel pilnując się, żeby nie jeść zbyt łapczywie, ładował w siebie „paliwo”, zagadywali niemrawo o szkole i wakacjach.

Maciek skończył szybko, co miał na talerzu. I oznajmił, że niech się Darek – przy rodzicach Skobel był oczywiście Darkiem – nie spieszy, on tymczasem coś przygotowuje. Ale Skobel jednak zaczął się spieszyć i choć wiedział, że tak nie wypada, odpowiadał z pełnymi ustami na pytania Maćkowych rodziców.

– Tak, bardzo przyzwoici (to o tej części Spółki, która wczoraj była w Jastrzębiej Górze). – Na pewno bardzo zadowoleni. – Bo, bo tego, bo musiałem pomagać ojcu. – Pracuje w porcie. Ale ja pomagałem mu na działce. Do późna, więc tam nocowaliśmy. – Warunki nie bardzo, dlatego tak wyglądam. Ale się nie przebieram, bo zaraz mamy zawody.

– Jakie? – zdziwił się tata Maćka. – Syn mi wczoraj nic nie mówił.

– Bo to wynikło nagle – wpakował ogromny kęs chleba z pasztetem do ust, żeby mieć czas ułożyć sobie odpowiedź na pytanie: „Jakie zawody?” Ale nie musiał, bo zawołał go z holu Maciek. Więc odsunął talerz, wymamrotał „dziękuję” i już go nie było.

Maciek stał na drabince przy otwartym pawlaczu. W rękach trzymał pudło.

– Weź to ode mnie i zanieś tam – wskazał brodą swój pokój.

Skobel gwizdnął z cicha widząc ten pokój, ale zaraz zajęli się pudłem.

– To jest mój arsenał – wyjaśniał Maciek. – Tych terkotek nie ma co brać, dziecinne – odsunął na bok trzy pepesze – biała broń też się nie nada. Za to pistolety weźmiemy.

– Po co? – zdziwił się Skobel. – I tak nie strzelają.

– Ten strzela, to jest wodny, bije tak, że trafiony głupieje. Te są na kapiszony, ale kto się domyśli, że nieszkodliwe. Jak Prezes któremu przyłoży, to inni będą się bać i tych.

– Ja wiem? – Skobel powątpiewał, ale z drugiej strony wisi wyglądały fantastycznie. – Możemy wziąć dla szpanu.

– Przejrzyj co jeszcze się nada i schowaj do chlebaka. Ja lecę naładować wodny.

Przechodząc do łazienki usłyszał, jak mama w kuchni mobilizuje tatę do akcji.

– Owszem – mówiła przyciszonym głosem – tamci mi się podobali, ale ten... Proszę cię, dowiedz się dokładnie, co to za zawody.

W łazience Maciej najpierw sięgnął do apteczki, wsunął do kieszeni paczkę prestoplastów, wsypał do komory pistoletu trochę hipermanganu, trochę proszku zawinął w papier toaletowy i na końcu naładował pistolet. Do pokoju wpadł w samą porę, tuż przed ojcem. Dzięki Bogu, Skobel też był szybki – chlebak leżał zapięty, karton wsunięty pod biurko.

– Co to mają być za zawody? – tata włączył taśmę nagrany przez mamę.

– Bieg na przełaj – Skobel już zdążył coś wymyślić.

– I do tego potrzebny wam miecz? – tata nie ciemniak, zauważył wystającą z chlebaka rękojeść grubego plastikowego miecza.

– Tak – zaimprovizował z miejsca Maciek. – Bo to jest bieg podtytułem „Odsiecz Wiednia”. Darek, lećmy, bo się spóźnimy.

Ojciec nie był przekonany „odsieczą Wiednia”, ale przepuścił ich bez słowa. Dopiero gdy chłopcy byli przy drzwiach, powiedział:

– Ja wiem, że macie swoje sprawy. Ale proszę cię, pamiętaj, piąte: nie zabijaj.

– Pamiętam, pamiętam. A mama niech się nie boi, wróć zdrowy. W windzie przypomniał sobie, że nie zabrał gwizdka. Mniejsza z tym, rozkazów nie wydaje, a pomocy wzywać nie będzie!

– A po co ten miecz? – spytał Skobla. – I w ogóle, coś jeszcze wybrał?

– Mieczem można zdrowo przywalić, a łba nie rozbijesz. A reszta – Skobel otworzył chlebak – to dla szpanu, żeby „ludek” czuł się ważny. Miecz byłby dla Hipka, tomahawk dla Boleka...

– Bolek i Adam mają miecze takie jak mój. Pokazywali mi kiedyś. I jeszcze tarcze do tego.

– Git, to damy toporek Waldkowi, niech się cieszy. A dziewczynom te felerne colty, jakby co, niech walą kolbami, dziewczynom to ujdzie. Która godzina? Aha, przed bitwą schowaj gdzieś zegarek.

– Piętnaście po jedenastej. Za godzinę się zacznie, nie wcześniej.

– Właściwie to dobrze. Brysie zdążą się doprawić piwem. W taki upał...

Ciężko było przeczekać tę godzinę, ale kiedy z autobusu wysypał się odświętnie odziany tłum, a z nim Prezes i Spółka, wszystko ruszyło od razu na najwyższych obrotach.

Prezes wysłuchał raportu i z punktu stał się komendantem:

– Biegiem, przebrać się w łachy, zbiórka za dziesięć minut. Nie zapomnieć gwizdków. Bolek i Adam, weźcie też tarcze, mogą się przydać. Zośka i Ania, wskakiwać w spodnie, z paskiem, żeby się colty miały na czym trzymać.

– Niech Zośka weźmie jakiś bukłak, żeby można ładować pistolet wodny – przypomniał Maciek.

– Dobra. Odmarsz! Narada na Rykowisku.

Narada trwała krótko, bo już od dawna było ustalone, kto, gdzie i co. Tyle że dotąd wyobrażali sobie, że będą zajmować stanowiska, gdy napastnik się pokaże, na jego oczach. Teraz ważne było, żeby dotrzeć do nich z zewnątrz, i to bezszmerowo. Platformy ogniowe rozmieszczone były w czterech rogach Rezydencji – najłatwiejsze do zajęcia były w tej sytuacji te obok czytelnicy i domiku, można też wleźć niepostrzeżenie na tę nad klubem, ale drogę do stanowiska przy lesie może trzeba będzie sobie wywalczyć.

– Brysie rozwaliły się albo nad „basenem”, albo na pniach, bo teraz tam najlepsze słońce. Na pniach byłoby gorzej, bo miałbym mało czasu do manewru. Tak czy tak, planu nie zmienimy.

Patrzyli na Prezesa, jakby był jakimś Sobieskim albo przynajmniej Kojakiem: z gwizdkiem na szyi, z pistoletem za pasem, wyprostowany, głowa do góry, wzrok błyszczący, głos zdecydowany. Damy Brysiowi „popalić”, nie ma co – myśleli i zaciskali dłonie na dziecinny rymsztunku. Ania nawet wyciągnęła colta zza paska i ścisnęła za lufę, jakby już-już chciała grzmotnąć wroga. Choć przecież znali plan, słuchali z bijącymi sercami. Teraz ten plan był naprawdę, nie na niby, dla ćwiczeń!

– Powtarzam ostatni raz, bo potem nie będzie czasu. Zośka i Bolek nad czytelnią, rzucacie na zmianę raz piasek, raz wodę, nie na hurra, bo wam nikt amunicji nie doniesie. Hipek i Adam znad domiku – na długi dystans rzuca tylko Hipek, Adam podaje. Gdyby się zbliżyli, walicie obaj. Ania jest za podawacza dla mnie i Maćka na stanowisku przy pniach. Musicie tam dotrzeć bardzo szybko, żebyście mogli w razie czego mnie ubezpieczać. Skobel i Waldek nad klubem, Waldek podaje. Gdyby było z wami kiepsko, a ja nie będę mógł was wspomóc, opuszczacie placówkę w kolejności i kierunku; Waldek trasą A-W do lasu, Skobel, jak się da, do najbliższej placówki, to jest do Hipka i Adama. Unikać starcia wręcz, a jeśli już, to walić po goleniach.

– Po czym? – spytał bezradnie Waldek.

– Po tym! – Prezes pokazał co to goleń, i ciągnął dalej: – Zaczynamy od tego, że czekam, aż wszyscy będziecie na miejscach, a potem się pokazuję i schodzę po pniach, tak jak wtedy leśnik. Zatrzymuję się w korzystnej odległości i wzywam ich do opuszczenia terenu. Oni oczywiście ani myślą. Wtedy daję sygnał: ognia – włożył gwizdek do ust i zademonstrował sygnał. – I odtąd już każdy rusza własną mózgowicą: jak blisko, to walić, jak za daleko – siedzieć cicho i czekać, aż się zbliżą. Nic na hurra, powtarzam. Wszystko jasne?

– Jasne. Ale... – odezwał się Bolek.

– Ale co?

– Ale jak oni zaczną uciekać, to gonić?

– W zasadzie nie. W każdym razie zganiać ich w stronę pni i lasu. My z Maćkiem możemy nawet na chwilę wstrzymać ogień, żeby mogli wiać. A teraz: odmarsz! Cicho jak koty. Jak cienie kotów!

Chyba żadnym kotom – nie mówiąc już o cieniach kotów! – tak nie biły serca, jak żołnierzom Spółki, kiedy przekradali się na stanowiska. Skobel patrzył z ukosa na swojego mizernego pomocnika, jak zagryza wargi i wzdryga się przy byle trzaśnięciu gałązki.

– Teraz jeszcze tak się nie przejmuj – uspokajał go. – Naprawdę będzie trzeba uważać dopiero przy włożeniu na gniazdo.

Ale kiedy już byli blisko, nawet i ta ostrożność nie była potrzebna, ponieważ z Rezydencji dochodziły rozmowy, przygłuszane głośną muzyką z radia. Ot, durne pawiany – pomyślał – jacy pewni swego!

To samo mniej więcej mówił sobie Prezes, kiedy ukryty za jałowcem obserwował, jak po drugim skraju zwirowiska skradają się do placówki Maciek i Ania. Nad domikiem i czytelną pokazały się zielone gałązki – umówiony znak, że załogi są już na miejscu. Skobel chyba też zaraz będzie. O, jest. Co z Maćkiem? Maćka już nie widać, Ani też. Im trzeba dać czas, ta bateria pierwsza wystrzeli, więc spokojnie. Co robią Brysie?

Podczołgał się do następnego jałowca, skąd miał lepszy widok. Zobaczył środek Rezydencji i aż nim zatrzęsło: w „basenie” sterczały szyjki butelek, a czterech Brysiów, bez koszul, z podwiniętymi nogawkami, siedziało z nogami w wodzie i przy zwałonych byle jak belkach – z „umeblowania” klubu! – grało w karty. Piąty leżał obok, głowę trzymał na zwiniętych w kłębek koszulach, obok głowy miał radio, a pod ręką butelkę.

– Skurczybyki! – mruknął. – Skurczybyki, ale byki! Ani dobrym, ani publicznym słowem ich się nie przegna. No trudno, w imię Ojca i Syna...

Wstał, upewnił się jeszcze, czy i na czwartej baterii już jest zielona witka – była! – i z prawą ręką na pistolecie, z lewą na kapitańskim gwizdku – wszedł na pnie.

Osiem par oczu wbiło się teraz w niego z napięciem, wiedział o tym. Ale pięć par, tych tam na dole, patrzyło w karty albo w niebo. Darek prawie biegł, nie starając się być cicho, a oni nic. No i bardzo dobrze – przemknęła mu myśl – szczęście nam sprzyja. Był już na wysokości baterii Maćka, zobaczył jego głowę wysuniętą zza pniowych blanków, pokiwał mu lewą ręką, nie wypuszczając gwizdka. To była chwila nieuwagi – jakiś potrącony kloc z turkotem poturlał się w dół. Nie szkodzi, a nawet dobrze. Brysie podnieśli głowy i zauważyli go.

– Te, koleś, chciałbyś piwa, co? Spieprzaj, nie masz szans – zawołał ten w szpanerskich spodniach.

Prezes nie odzywając się, zszedł jeszcze niżej. Teraz jest już w zasięgu baterii Maćka. Jak się zacznie, odskoczy, a Maciek ciśnie pierwszy granat... Dobrze, że ten gwizdek nie jest z plastiku – przemknęło mu przez głowę, bo zauważył, że ścisza go w pięści, jakby chciał go zgnieść. Staął.

– Nie chcę waszego piwa – zawołał. – Chcę, żebyście stąd poszli. To jest n a s z e miejsce!

Najeżdźcy wstali. Wyglądali dosyć głupio – półgoli, z podwiniętymi nogawkami. Głupio, ale groźnie. Byki! Najwyższy nie miał co prawda na sobie koszuli z tygrysem, ale Darek był pewny, że to Bryś.

Bryś wysunął się naprzód, zmierzył Darka wzrokiem:

– Było wasze. Teraz jest nasze. Już cię nie ma!

– Słuchaj, ja po dobru, na rozum. Myśmy się tu narobili, a wy chcecie na gotowe. Tak nie można.

– Juras, pokaż mu, że można – rozkazał Bryś,

Juras, ten w szpanerskich spodniach, rozejrzał się dokoła, podniósł poręcz byłej ławki i ruszył na Darka. Darek poczuł dreszcze wzdłuż kręgosłupa, wrzucił gwizdek do ust. Sygnał

jeszcze nie przebrzmiał, a Juras już dostał z dwu stron: od Maćka granatem wodnym, dokładnie w pasek ślicznych spodni, a od Skobla – piaskowym w ramię.

– Wy szczuny przekłete! – ryknął i zupełnie „nie przicom” zaczął otrzępywać się z piasku.

W stronę Darka rzucił się Bryś. Darek puścił wreszcie gwizdek i oburącz, jak policjant z filmu, nakierował w jego stronę broń.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął.

– A strzel sobie w...

Darek nacisnął spust. Efekt był nadzwyczajny. Bryś zatrzymał się, zaczął wycierać oczy, a Darek na sekundę osłupiał: twarz wroga ociekała czerwienią! Przecież go nie rozwaliłem – pomyślał, ale nie było czasu na rozmyślanie. W dwóch skokach dotarł do murawy, dał nurka pod płataninę gałęzi i po kilku sekundach był już na platformie, przy Maćku i Ani. Ania skwapliwie podawała mu granat wodny i pytała:

– Czy ty go zabiłeś? Cały we krwi!

– Widzisz, że stoi. Maciek, co było w lufie?

– Woda z hipermanganem. Efekt odstraszący.

– Mogłeś mi...

Nie było czasu na gadanie, bo ludzie Brysia, bystrzejsi od Ani, rozpoznali, że to nie krew a farba, i zamiast się przestraszyć, wpadli w szal.

– Łać bandziorów! – przejął na moment komendę zapiaszczony Juras, ale i Bryś już przyszedł do siebie:

– Juras, Antena, brać tamtego – wskazał w kierunku pozycji Skobla, który raz celnie, raz niecelnie, walił, nie spiesząc się piaskowcami. Ale Antena najpierw zatroszczył się o radio – złapał i zaniósł do meliny. Gdy wracał, dostał się pod niezawodny ostrzał najlepszych bombardierów – Zośki i Bolka.

– Rwa! – zaklął. – Ich tu jest cała kupa!

Bryś, Piegża i ten trzeci, zwany Waletem, też wiele nie zwojowali przy placówce Prezesa. Rozkaz Brysia – „ściągać ich!” – okazał się niewykonalny. Walet dostał piaskiem w twarz, musiał się cofnąć. Bryś z trudem uchylał się od pocisków. Tylko Piegża wystartował naprzód, dotarł do podnóża twierdzy, chwycił ręką wystającą gałąź.

– Puść, bo to zleci – krzyknął do niego z góry Maciek.

– O to chodzi!

– Ale na ciebie, bałwanie!

Piegża zbaraniał – tego w życiu nie widział, żeby ostrzegać wroga przed pułapką. Maciek po prawdzie też nie – sam przecież robił pułapkę, powinien się cieszyć, że wróg w nią lezie... Nie wiedział, co mu odbiło. Przez parę sekund patrzyli sobie w oczy, ale doskoczył Bryś, wtedy Maciek rzucił worek z wodą, niecelnie, Bryś złapał gałąź, no i – pułapka zadziałała: na szturmujących spadły gałęzie i suche pędy jeżyn. Kiedy już wygrzebali się z tego, Bryś zawołał:

– Zbieramy się, za mną! – i pobiegł do meliny, kulejąc, z nogą oplątaną jeżynowym pędem. Nim znaleźli się w środku, Bolek i Zośka jeszcze im trochę dołożyli.

Nastała cisza. Obrońcy wyprostowali się, Hipek na migi zgłaszał chęć wyruszenia pod melinę na zwiady. Skobel – też na migi – doradzał, żeby szturmem na nich. Nie był to zły pomysł, więc Prezes dał znać Hipkowi, żeby siedział spokojnie, a do Skobla krzyknął:

– Dobrze, ale czekajcie rozkazu! – i zwrócił się do Maćka: – ja ze Skoblem wpadniemy pierwsi, ty z Bolkiem za nami, a reszta niech bierze... Co oni tam robią?

Z meliny doszedł trzask łamanych gałęzi. Prezes pojął co to znaczy – zbroją się w kije. Będzie gorąco – pomyślał i zrobiło mu się zimno.

– Nic z tego. Za późno, Aniu, wiej do lasu. Maciek, wzmocnić Skobla.

– A ty?

– Ja sobie dam radę. Nie, stój, poczekaj, co zrobią... – Bo w tej chwili banda wyszła z meliny. Rozglądali się, w rękach mieli pały z gałęzi.

– Najpierw tego – zakomenderował Bryś, i cała piątka popędziła na placówkę Skobla.

Wszystkie cztery baterie otworzyły ogień, ale pociski w plecy i w bok nie robiły już wrażenia na Brysiach. Skobel walił raz za razem, co mu Waldek podsuwał.

– Już tylko cztery bomby – usłyszał jego meldunek.

– Podaj mi „knytel”, no, ten do wbijania kijów – rzucił w odpowiedzi.

Waldek podał gruby kij, sam stanął obok z tomahawkiem.

Skobel rzucił dwa granaty piaskowe, celnie, cofnęli się. Jeszcze zepchnę na nich zasieki myślał gorączkowo – i potem już na drągi. Spojrzał na Waldka: małemu drżały wargi, ale toporek uniósł w górę.

– Wiej, Walduś. Jesteś dzielny żołnierz, ale to są chamy.

– Z honorem lec – wymamrotał przez zaciśnięte zęby dzielny żołnierz.

– Jak będziesz starszy. – Skobel rzucił przedostatni granat i teraz już ryknął na Waldka: – Rozkaz! Odwrót!

Waldek znikł w otworze prowadzącym do tras naziemnych. Skobel zepchnął jeżynowe zasieki, ale tamci przecież mieli kije – rozgarnęli w mig. Jezu, żeby nie wybił któremu zębów – modlił się Skobel. – Wybiję i poprawczak. Jezu, żeby nie!

– Nie łam się, jestem tu – usłyszał za plecami. Prezes!

– Bierz jakiś kij – rzucił za siebie bez oglądania się, bo na platformę już się wdrapywał Juras.

Prezes strzelił mu w nos, ale tuż obok wyskoczyła głowa Brysia. Poprawczak, ale wybiję – powtarzał z rozpaczą Skobel, biorąc rozmach. Prezes był szybszy, zepchnął Brysia kopniakiem.

– Chwilę musimy ostro, zaraz będą posiłki, rozkazy wydane – objaśnił sytuację Skoblowi, trzasnął prętem po nie wiadomo czyich palcach czepiających się platformy i chwycił ostatni worek z wodą. Skobel czekał z „knytlem” na kolejny szturm.

Minęło parę sekund – nikt się nie pokazywał. Co jest? Nastawili uszu, teraz dopiero dotarli do nich, brzmiały już od chwili, koguci, zarywający głos. Wykrzykiwał jakieś dziwne słowo:

– Wonwygnoje! Wonwygnoje! Wonwygnoje!

Wyjrzeni zza umocnień. Nie, nie do wiary. W środku „basenu” stał Waldek i, to chlipiąc, to piejąc „Wonwygnoje”, miotał ułamaną łopatką błoto przed siebie, z furją, celnie. Juras w zachlapanych błotem spodniach biegł w jego stronę. Skobel nic nie myśląc spał się i zeskoczył na łączkę, obalając z rozpędu Brysia. Prezes zagwizdał: do szturm! i też skoczył. Hipek, Bolek, Zośka, Adam ruszyli jak lawina. Bolek przejął na tarczę cios kija, ciął mieczem po kostce – Antena zwinął się. Adam z Hipkiem zwalili się na Jurasę. Zośka i Maciek chwyтали darniowe cegły i rzucali, na kogo popadło. Skobel, odrzuciwszy z ulgą „knytel”, poszedł za ich przykładem. Kotłowanina zrobiła się nieziemską.

Prezes dotarł do Waldka: – Dostaniesz krzyż walecznych, ale teraz wal do lasu, do Ani.

– Ania jest tu – Waldek wyciągnął rękę w stronę czytelnika. Rzeczywiście, jest! Prezes się wściekł: żeby „rodzone rodzeństwo” nie słuchało rozkazów!

– Do niej i do lasu, już, bo spiorę!

– Pierz lepiej Brysia! – odszczeknął się Waldek.

A Bryś właśnie krzycząc, powtarzał swój pierwszy rozkaz:

– Do meliny! Zbiórka! Do meliny!

O, posłuchali szybko i sprawnie. Na łączce została Spółka.

Ciężko dysząc, ściskając broń, tę przyniesioną i tę przypadkową, patrzyli na Prezesa, który mówił:



– Coś knują. To nie wygląda na zawieszenie broni. Maciek, naładuj mi go – podał pistolet koledze. – Ania, Waldek, jak już jesteście, zbierajcie woreczki. Hipek, Bolek – osłona. Reszta: ładować worki.

Z takim komendantem można zdobyć Somosierę – myślał Maciek, naciągając do pistoletu zmaconą wodę z kałuży. Jak to było: „A wtem Napoleon na Polaków skinął...” – zanucił pod nosem.

Z meliny doleciał głośniejszy krzyk:

– A gówno! Nie będę się szarpał z tymi żulikami. Tylko biorę radio i...

– Samiście żule! – krzyknął w stronę meliny Hipek. Prezes kazał mu być cicho, a wszystkim – wziąć, co gotowe z amunicji i stanąć półkolem w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj był klub.

– Łamię się – powiedział cicho do swoich wojowników. – Musimy wyglądać groźnie, żeby się złamali do reszty, kiedy nas zobaczą.

Więc „zgroźnieli” do granic możliwości; Bolek i Adam z tarczami na lewej ręce, worki z piaskiem w prawej, miecze wbite przy nodze. Zośka z długą tyczką i stosem darni. A w środku półkola Prezes z dłonią na kolbie i dwaj adiutanci – z wisami za pasem, ale że wisy na niby, to i z pałami w rękach.

– Cholera, gdzie moje radio! – znowu krzyk Anteny.

Z szeregu wojowników rozległ się chichot. Prezes obejrzał się – to Ania i Waldek pękali ze śmiechu.

– Co wam tak śmieszne? – zdziwił się, ale nie doczekał się odpowiedzi. Z meliny wyszedł Antena i zawołał:

– Oddajcie radio, to pójde i nie wróce. Prezes postąpił ze dwa kroki naprzód:

– Wyjdźcie wszyscy to pogadamy.

Wyszli, nastroszeni, z kijami w pogotowiu.

– Oddajcie radio Antenie, to was puścimy całych – odezwał się Bryś.

– Nic nie wiem o radiu – odpowiedział zgodnie z prawdą Prezes. – A kto stąd odejdzie cało, to się jeszcze okaże.

Teraz na czoło wysunął się Antena:

– No, chłopaki, nie wygłupiajcie się. Była bitwa, nie ma bitwy, możemy się rozejść po dobru. Tylko dajcie radio.

– Teraz to „po dobru”. Jak stoicie przed nami goli i bosci. Brysiowie spojrzeli jak na komendę na swoje boscie nogi, potem na brzeg „basenu”, gdzie rzucili buty, nim siedli do gry w karty. Te zmięte szmaty utyłane w błocie to pewnie ich koszule. Ale buty wciągle!

– Oddawać wszystko, bo was tak spierzemy, że do domu nie dojdziecie – ryknął Bryś.

– Może nie dojdziemy, ale wy będziecie swoich rzeczy szukać do Wielkanocy – zapisał z czoła zza pleców Prezesa. Ania! Ania wsunęła się między Skobla i brata:

– Tak, właśnie tak. Wyście się lali, a myśmy z Waldkiem zbierali buty! A radio już jest hej-hej, daleko.

Co za spryciara! Prezes zdjął dłoń z kolby.

– No, widzicie. Z nami można tylko po dobru.

Bryś cisnął w niego kijem, nie trafił, chciał doskoczyć, ale koleś go przytrzymali.

– Stój, durniu, przez ciebie moje spodnie na nic – wrzasnął Juras, a Antena dodał:

– Karty w wodzie, buty i radio Bóg wie gdzie. Spieprzaj, żaden z ciebie szef.

Zrobiło się cicho. Bryś stał wściekły i czerwony. Nie wiedział, co gorsze: prosić o buty, czy odejść boso. Jego podwładni wyglądali tak, jakby go chcieli bić. Tylko Piegza przysunął się bliżej. Ten łamaga!

„Łamaga” szepnął: – Idź już, ja te buty wytarguję i potem ci przyniosę! – Więc Bryś wyprostował się dumnie i zawołał:

– Ja się jeszcze z wami policzę, wy skórkoszady!

– Licz się ze swoją babcią, głupku! – krzyknął Antena. Bryś udał, że nie słyszy, i zrobiwszy w tył zwrot, polazł w najgorsze chaszczce.

Prezesowi zrobiło się go żal, zawołał, żeby lepiej po pniach, do lasu.

– Daj spokój – powiedział Juras. – On taki, że jak się uprze, to choć się usmarka, to się nie utrze. Cośmy w nim widzieli, to już nie wiem.

– Ja też – zgodził się złośliwie Prezes. – No cóż, siądźmy i porozmawiajmy.

– Ty, mała, powiedz gdzie są nasze klamoty. Zabierzemy, powiemy cześć, i zgoda – zaczął Antena, gdy siedli.

Ania stała. Stała, patrzyła to na Prezesa, to na pokonanych wrogów, wreszcie powiedziała:

– Oddamy wam, ale musicie przysiąc, że już nigdy nas nie zaczepicie.

– Sami widzicie, jak to się dla was skończyło – poparł ją Prezes, a Skobel dodał:

– A jak byście znowu spróbowali, to nie będziecie pewni dnia ani godziny. Na co wam to? Przecież wam też chodzi o to, żeby móc gdzieś spokojnie posiedzieć, nie?

– Ja was wszędzie wytropię – postraszył Hipek.

– Ja też – nie chciał być mniej ważny Waldek.

– Ale ty, mały, toś chojrak – podchlebiał się Antena. – Komandos!

Rozluźnili się, zaczęli się śmiać, wspominać epizody bitwy. Piegża poszukał wzrokiem Maćka, zbliżył się do niego:

– Ty, właściwie to ci muszę podziękować, żeś nie zwałił na mnie tego kolczastego świni-stwa. Co cię przyhamowało?

– Uśmiejesz się! Jak cię zobaczyłem tak oko w oko, to mi strzeliło do głowy, żeś też człowiek!

– No więc, przysięgacie? – dociskała Ania.

– Trudno, musimy – powiedział Antena i wstał. Pozostali też się podnieśli. Prezes wyciągnął rękę do Juras.

– Ty pierwszy ruszyłeś na mnie, pierwszy oberwałeś, pierwszy obiecuj, że nie będziemy sobie wchodzić w drogę.

– Obiecuję – powiedział Juras, bez większego przekonania, ale kiedy to samo powtarzali Piegża, Antena i Walet, wydawało się, że mówią szczerze.

Dostali buty, radio i dobrą radę na drogę od Hipka – żeby szli pod nasypem, przy resztkach ostatniego zwałonego domku jest pompa, będą mogli się umyć.

– Aha, i pozbierajcie butelki, i co tam wam jeszcze piwa zostało -przypomniał Prezes.

Ta życzliwość rozbroiła nawet Juras. Znalazł pełną butelkę, otworzył: – Wasze zdrowie! Szkoda właściwie, żeśmy się lali! Napijesz się?

– Nie, za gorąco. Poszli wreszcie.

– Chyba nie wrócą – podsumował wydarzenia Skobel.

– Nigdy, nigdy, przenigdy – podskakiwała Ania.

– Aniu, ale z ciebie to! Niech cię drzwi ścisną – entuzjazmował się Hipek, szczerze, bez zazdrości.

Zośka była trochę markotna. Wobec wyczynów najmniejszych, jej celne rzuty, amunicja jej pomysłu – poszły w zapomnienie. Więc dość sucho przerwała chwałby i przechwałki:

– Wszystko świetnie, ale czas na obiad. I wyglądamy wszyscy jak nieboskie stworzenia. Chodźcie do mnie, rodziców nie ma, to się doprowadzimy do porządku. Tu też by trzeba uładzić.

– Po południu albo jutro. I jutro rozdaję odznaczenia. Wszystkim. Walczyliśmy jak... jak... – zająknął się Prezes.

– Jak stara gwardia – dokończył za niego Maciek. – Jak komandosi z Nawarony. Jak szwoleżerowie. Jak...

– Już dosyć. Do domu: odmarsz!

Teraz nie musieli być ostrożni. Teraz maszerowali trasą Prezesa, pokrzykując, wiwatując. Maciek darł się na cały głos:

– „To konnica polska, dzielne szwoleżery  
Zdobywają szturmem wąwóz Somosierry!”

Nie pasowało to za bardzo, ale wszystko jedno:

„Grzmiał grom po gromie i razem ustały...”

– Teraz przestań na chwilę grzmieć – poprosiła go Zośka, gdy już mijali Rykowisko – bo się będą na nas gapić. I w ogóle obejźmy lepiej bloki od tyłu, mniej ludzi nas zobaczy.

Posłuchali jej, rzeczywiście za blokami było pusto. Tylko przy jednym ogródku, jeden jedyny człowiek podlewał sałatę. Właśnie ten jeden, którego nie chcieli spotkać: Truj!

Choć umilkli od razu, Truj ich zobaczył.

– Przy świętej niedzieli! – zaterkotał. – Przy świętej niedzieli uświnieni jak prosiaki! Jak wam nie wstyd! Banda! Bandziory. Już teraz wiem, kto mi grządkę ryje!

– Niech pan nie obraża przyzwoitych ludzi! – oburzyła się Zośka.

– Już ty niby przyzwoita! Wciąż z łobuzami!

Doszli do klatki, Waldek, ostatni, odwrócił się i rozciągając wargi palcami wszerek, co dało głosowi szczególnie obelżywe brzmienie, zagdakał:

– Wuj-Truj psuj...

Prezes zasłonił mu usta w samą porę:

– Cicho, bohaterze, dosyć się dziś nawojowałeś! Truja pokonasz w następnej bitwie.

Maćka odleciał w tym momencie bojowy nastrój i pomyślał sobie, że wolałby, żeby następnej bitwy nie było, a już z Trujem, to za skarby! No, ale przecież z ramolami się nie wajuje, Bogu dzięki.

W windzie już wrócił do swego:

– „A wtem Napoleon na Polaków skinał,  
skoczył Koziętulski, w czwórki jazdę zwinął”.

Słuchając tego, Prezes zastanawiał się, czy Maciek ma go za Koziętulskiego czy za Napoleona. Tak czy tak, źle nie jest. Zwyciężyli, mało tego: pozbyli się zmory. Co to teraz będą za wakacje! Życ, nie umierać.

## V. Słodki jest owoc zwycięstwa

Nie minęły trzy dni, a już Maciek był pewien, że ich zwycięstwo przyniosło im więcej niż szwoleżerom spod Somosierry. Tamci mieli tylko sławę, a zwycięska bitwa Spółki – oprócz sławy – przyniosła też owoce.

Bo stali się sławni. Hipek nie wytrzymał i rozpaplał po całym „jamnikowie”. Tłumaczył się, że tylko Szymurze, że tylko dlatego, żeby Szymura i inni wiedzieli, że nie tacy oberwali od Spółki, ledwie zaczęli. Skobel w pierwszej chwili się wściekł, nakrzyczał na Hipka, że się nadaje na babę z magła, nie na generalnego zwiadowcę. Ale z dalszych usprawiedliwień Hipka wynikało, że sława zwycięzców może równie skutecznie bronić Rezydencji co dotychczasowe środki ostrożności. Okazało się, że sami nie wiedzieli, kogo pobili. Gang Brysia uchodził za niezwykły, a sam Bryś za jakiegoś Al Capone „jamnikowa”. A teraz znikł, przepadł, zmienił teren, dość, że tak jakby go nie było. Wcięło też Jurasa, może gdzieś wyjechał, może znalazł sobie fuchę u truskawkarzy, czort z nim.

Za to pojawił się na Rykowisku Piegża. Gapił się, gapił, odszedł, wrócił z garścią gwoździ, przybił pod kierunkiem leśnika dwie deski do pieńków, które miały w przyszłości być ławkami. Prezes obserwował go z ukosa, podejrzewał, że ta cała gorliwość Piegży coś kryje. Miał

rację. Kiedy zgodnie z planem pojawili się Maciek i Skobel, a Prezes i Zośka ogłosili sobie fajrant i odeszli do Rezydencji, Piegża od razu rzucił młotek i posunął do Maćka.

– Cześć, poznajesz mnie chyba? – zagaił.

– Jak by nie! Nazywają cię Piegża.

– Piegża to u Brysia. Przez te piegi. Ale w domu to jestem Krzysztof.

– I tu pewnie też chcesz być Krzychu?

– No, wolałbym. Ale nieważne. Mam do ciebie sprawę. Właściwie nie sprawę, tylko tak. Widzę, jak nosicie różne tam z wysypiska. Ja mam wózek i ja bym mógł z wami. To byłoby sprawniej.

Aha, to on jest ten z wózkiem, którego Bryś miał za tchórza -przypomniał sobie Maciek. – Mnie też o mało nie mianowano tchórzem. Poczul sympatię do Krzycha, właściwie trochę jakby go polubił jeszcze wtedy, kiedy już-już na piegowatą facjatę miały zlecieć zasieki jeżyn. Bo w tej facjacie, mimo bojowej zaciętości, było coś, no, pocziwego.

– Ładnie to z twojej strony – powiedział uprzejmie. – Zgłoś się z tym do kierownika robót.

Wskazał leśnika, Krzychu spojrzał posłusznie, ale nie odchodził.

– Jeszcze coś masz? – chciał mu pomóc Maciek.

– Nie, tylko wózek. To jest, mam – zebrał się na odwagę. – Ja, wózek, naturalnie... Ale ja chciałbym z wami razem.

– Jeśli o mnie chodzi, to możesz. Ale u nas, rozumiesz, jest tak, że w takich sprawach to siadamy sobie i omawiamy.

– To nie wystarczy, jak byś powiedział waszemu Szefowi?

– Nie. U nas nie ma Szefa, jest Prezes i wszyscy.

– To by mi odpowiadało – rozmarzył się Piegża.

– Jeszcze nie wiadomo, czy ty będziesz odpowiadał – włączył się Skobel, który nie opodal niby rąbał gałęzie na poręcze, ale wszystko słyszał.

Piegża przygasł, pomilczał, i nagle postanowił wywalić kawę na ławę:

– Jak już macie omawiać, to omówcie za jednym razem Antenę i Waleta. Antena zgłasza, że jak byście chcieli słuchać listy przebojów, to on wam przyniesie radio. A Walet nauczył was różnych gier w karty. Pokera, ale i innych, dobrych dla szcza... tego, dla młodszych.

Skobel, choć sam kiedyś podliczył, że więcej godzin zeszło mu przy kartach, niż przy odrabianiu lekcji, nie chciał widzieć Bolka i Hipka grających w durnia.

– U nas karty odpadają. Co do radia, to ja wiem? Wydaje mi się, że wszyscy wolą, żeby w Rezydencji nic nie było. Jak byśmy chcieli radio, to by dawno było.

Piegża z żalną miną spojrzał na Maćka. A Maciek już od chwili „był w domu” – chwycił, że nieśmiało Piegżę wysłali z misją pokojową tamci dwaj śmiali, bo sami nie mieli odwagi. Wcale nie ma ochoty widzieć ich w Rezydencji, nawet gdyby mieli najprzyjaźniejsze zamiary. Jednak z drugiej strony, chociaż do negocjacji nie mają rozpędu, ale ochrzanić Piegżę za ich marny wynik – na pewno potrafią.

– Skobel, jak myślisz, może każmy im się stawić tu po odpowiedź? Po południu, powiedzmy o szóstej?

– Może być – zgodził się Skobel.

Piegża uznał, że więcej i tak nie wytarguje, zabrał się więc z Maćkiem i Skoblem do ulepszenia ławeczek. Podszedł leśnik, ucieszony widokiem nowej twarzy. Oczywiście przyjął „wózkową ofertę” Piegży, wywiedziało się, ile ten wózek może udźwignąć, ucieszył się jeszcze bardziej, kiedy Piegża powiedział, że nawet słup telegraficzny, bo to jest taki gospodarski wózek, którego osie można rozłączyć...

Maciek i Skobel wymienili spojrzenia:

– Ej, czy ja nie nawarzyłem piwa? – szepnął Maciek. – Nie wiedziałem, że ten wózek to coś jak chłopska fura.

– Chodźmy lepiej od razu do Prezesa – Skobla też ogarnął niepokój.

Prezes siedział na odnowionym fotelu, przed nim stali Hipek i Bolek i skakali sobie do oczu. Ania, Adam i Waldek gospodarzyli przy domiku, demonstrując tym swoją neutralność w sporze rodzinnym. Zośka strugała w skupieniu nowe stylisko do łopatki, najwidoczniej czekając na koniec kłótni.

– Dzięki Bogu, że was przywiało – powitał Maćka i Skobla Prezes. – Mamy nową sprawę.

– Ledwie się wojna skończyła, to ci zaczynają nową? Domową, dla odmiany? – spytał Maciek.

Bolek musiał być dobrze wnerwiony, bo udało mu się nie dopuścić do głosu Hipka:

– Nie zaczynam żadnej wojny, tylko że Hipek znowu wyjeżdża z tym swoim ukochanym Szymurą. Chce go tu wprowadzić!

Maćkowi zrobiło się głupio, bo on przecież sam tak jakby wprowadził Piegzę.

– No, tośmy się zrobili ważni! – powiedział. – Bo my ze Skoblem też przynosimy coś w rodzaju podania o przyjęcie. Nawet trzy podania.

Zośka od razu przestała strugać stylisko.

– Żadnych przyjęć. Jest nas tu akurat tyle, ile Rezydencja może wytrzymać. Jeden, drugi i w końcu zwałą nam się wszyscy krewni i znajomi Królika.

– Od kogo te niby-podania? – Prezes wołał najpierw konkrety.

– Ten piegowaty przyszedł jako poseł od dwóch Brysiowych niedobitków. Chcą się wkuścić. Piegowaty już się wkuścił do leśnika wózkim.

– Do leśnika niech się wkuępuje, co nam do tego. Ale do nas nie, nawet ze złotą kareta – Zośka była nieugięta.

Prezes swoim dobrym zwyczajem czekał, aż się wygadają. Spojrzał tylko pytająco na Skobla.

– Nie wiem jak Maciek, ja zgadzam się z Zośką.

– No, myślę! – mruknął Bolek.

– Ja w zasadzie też. Ale sprawa w ogóle nie jest prosta – wypowiedział się Maciek.

– Dla ciebie nic nie jest proste! – teraz Bolek już krzyknął, za co Prezes go zganił:

– Czekaj. Ja mogę czekać, aż Maciek skończy, to ty też. Więc, Maciek?

Maciek nabrał tchu przed dłuższym wywodem i zaczął:

– Staliśmy się sławni. To ma swoje złe strony.

– Bo, jak by Hipek nie roztrąbił... – nie wytrzymał Bolek.

– To by roztrąbił Piegza i Szymura. Nie ma dwóch zdań, Rezydencja przestała być tajemnicą i na to nie ma rady. Wszyscy są jej ciekawi...

– Jacy wszyscy, jeden głupi Szymura.

– Bolek, daj mi skończyć. Ja myślę, że od czasu do czasu możemy kogoś zaprosić, ale tak, żeby było jasne, kto tu gospodarz. Na stałe: nikogo.

– A jak się wproszą i nie dadzą wyprosić, to co? – nie ustępował Bolek.

– Każdy gość idzie w końcu do domu – bronił swego Maciek.

– Jak ma dom – skontrował Skobel.

Prezes podniósł porzucony przez Zośkę kij i próbował go dopasować do łopatki, jakby to było w tej chwili najważniejsze. Czekali, czekali, aż Hipek nie wytrzymał i ogłosił, że Szymura chciał tylko obejrzeć pole bitwy, a Bolek mruknął, że tu nie Grunwald, żeby wycieczki...

– Dobra, gotowe! – Prezes umocował stylisko i wyprostował się. – Ja myślę, że wszyscy mają rację. Najważniejsze jest to, co powiedział Skobel. – Skobel zrobił głupią minę, bo nie pamiętał, co powiedział. – Że do domu idzie ten, co ma dom. Zośka też ma rację, że tu jest ful. Bolek słusznie uważa, że zaprosić łatwo, a wyprosić trudno. Więc ja myślę tak: odpalmy niedobitkom Brysia wartownię, od dawna nam niepotrzebna. Szymura, nawet z jakimś koleśkiem, niech zwiedzi co chce, ale tylko raz. Poradzimy mu, żeby sobie zrobił Rezydencję na

wzór naszej. Pod nasypem na przykład, tam nawet mają wodę w rowie. Jak tak zrobimy, to nie będą nas nachodzić i zamiast nachalów możemy mieć sojuszników.

Namyślali się, namyślali. Niby tak, ale z drugiej strony...

– To już nie będzie to samo co przed wojną – powiedział Skobel.

– Po żadnej wojnie nie jest tak samo – zauważył Maciek. – Ale to jeszcze nie znaczy, że gorzej.

Szukał w pamięci przykładu wojny, po której było lepiej, ale zanim znalazł, odezwała się Ania:

– A czy ja będę mogła czasem zaprosić Kaśkę? Bo Adam się trochę nudzi w domiku,

– A czy ja będę mógł pokazać Szymurze, jak się robi zamaskowane wejście? – Hipka już ponosiło.

Skobel chciał zapytać, czy on będzie mógł czasem pograć w karty z Waletem, ale przyznał sobie to prawo bez pytania.

– Więc się zgadzacie? – Prezes chciał wiedzieć na pewno. Zgodzili się, nawet Zośka i Bolek. Zośka – bo ją oświeciło, że trochę życia towarzyskiego by się przydało, Bolek – bo wyobraził sobie, jak to będzie miło, kiedy Hipek od czasu do czasu zmieni lokal.

W tym wszystkim i Maciek, i Skobel zapomnieli o niejasnych obawach, jakie wzbudził w nich wózek Piegży. To znaczy, Maćkowi nawet zabręczał w głowie jakiś sygnał, ale wydał mu się przeterminowany. Skoro „wyspa” przestała być tajemnicą, skoro nie muszą się bać najazdu, to czy to nie wszystko jedno, czy z wysypiska transportuje się materiał na ramieniu, czy wózkiem?

Już po paru dniach okazało się, że wspaniałomyślność się opłaca. Zaczęło powstawać coś, co Maciek – górnolotnie, bo górnolotnie, ale trafnie – nazwał federacją niezależnych i samorządnych rezydencji. Łamał sobie nawet głowę, jaki by tu wymyślić skrót obejmujący całość – Rezydencję, Szymurówkę, wartownię i Rykowisko – ale wychodziło dziko: Reszywar, Re-warszyrk, więc dał spokój. Jak się zwał, tak się zwał, byleby się dobrze miał.

A mieli się dobrze. Wszyscy. Szymura i jego kumple przestali żałować utraconego rajku w wyburzonych domkach, Antena, Walet i Piegża zrobili sobie z wartowni klub muzyki i karciarstwa, trochę co prawda meliniasty, ale żadną tam szulernię. A Prezes i Spółka odkryli, że dzięki sojusznikom są teraz wolni od niebezpieczeństwa, którego przedtem nie przeczuwali: że pilnując ciągle Rezydencji mogą się stać jej więźniami. Kiedy Zośkowcy mieli jechać do Kościerzyny, nikt się nie przejmował, że w razie czego będzie za mało obrońców. Kiedy Maćkowy tata zabierał ich gdzieś nad jezioro, ten, co nie mieścił się w wozie, nie był skazany na samotne czuwanie. Ci z Szymurówki albo z wartowni też pilnowali, czy nie kręci się koło „wyspy” jakiś podejrzany typ. Zresztą nikt się nie kręcił, jeśli nie liczyć Truja, który raz wyłazł z parowu, ale doszedł tylko do wpół zasypanej tablicy: „Wywóz śmieci surowo wzbroniony”.

Poza tym i odwiedziny sojuszników okazały się przyjemne. Szymura zaprosił raz całą Spółkę na truskawki, Antena przyszedł z gitarą i zupełnie miło sobie pośpiewali aż do zmierzchu, „ludek” przyjmował inne „ludki”, albo bawił się na Rykowisku, które z dnia na dzień stawało się coraz fajniejsze. A kiedy w Rezydencji robiło się „bezludkowo”, zaglądał Piegża, tak po nic, ot, żeby porozmawiać o życiu.

Któregoś dnia, już po kolacji, kiedy „ludek” został przytrzymany przy domowych ogniskach, Prezes, Skobel, Maciek i Piegża zajrzeli do Rezydencji we czwórkę, tak sobie, po prostu posiedzieć.

– Te nowe fotele są o wiele wygodniejsze – zauważył Skobel. – Swoją drogą, po coście wy je wtedy z mety rozwalili? – zwrócił się do Piegży.

– To Juras i Bryś. Oni tak zawsze, żeby pokazać, kto tu mocny.

– Głupki. Zabrać komuś, żeby mieć, to jeszcze rozumiem. Ale zabrać, żeby zniszczyć i nie mieć, to trzeba mieć wodę w głowie – Skobel stuknął się w czoło.

– I to sodową – dodał Maciek.

– Bryś był sodowiarz – potwierdził Piegża. – Ale że miał siłę w łapach i forszę w kieszeni, to mógł rządzić.

– Jak widzisz, do czasu – wtrącił z cichą dumą Prezes.

– A skąd miał forszę? – zainteresował się Skobel.

– Z handlu. Jak żeśmy wyciągali złom, to dla niego były wszystkie klamki, zawiasy, krany, nawet kątowniki kazał odkręcać. Nam zostawiał barachło.

– To czemuście z nim trzymali?

– Czasem coś postawił, czasem zagroził. Jakaś tam korzyść była, a odejść: strach. Mógł gdzieś dopaść i sprać.

– A jednak żeście odeszli. Jak trafił na mocniejszego. Choć właściwie to my nie byliśmy mocniejsi – Prezes pamiętał jeszcze to zimno wzdłuż kręgosłupa, gdy schodził po pniach, bandzie naprzeciw.

– No właśnie, to mi się w pale nie mieści – przyznał Piegża. – Bez obrazy, ale więcej niż połowa z was, to szczawiki.

– Byliśmy przygotowani i broniliśmy swojego – powiedział Prezes.

– I nikt nie chciał uciekać – przypomniał Skobel. – Jak lecieliście na mnie z kijami, kazałem małemu wiać, a on co? Prawie wygrał bitwę!

– Tak, musiałyby was być dwa razy tyle co nas – dodał Maciek. – Jest nawet taka zasada strategiczna, że na jednego obrońcę musi być dwóch napastników.

– Ale gdyby było, to marny wasz los.

– Dla wszystkich byłby marny – uniósł się Maciek. – Taki durny kacyk, co tylko chce porządzić i sobie kieszenie nabijać, niczego naprawdę nie zorganizuje. Mielibyście wieczną cichą wojnę, bo byśmy wam przy każdej okazji robili na złość. On by wściekał się coraz bardziej, my byśmy się zawzięli... Strach pomyśleć! Dobrze, że was było tylko pięciu.

– Też tak myślę – zgodził się Piegża. – W pierwszej chwili było mi żal Brysia, gdy tak odchodził na bosaka. Ale odetchnąłem, jak przepadł. On mnie właściwie siłą wciągnął. Bo chciał mieć wózek.

– Aha, jak już mówimy o wózku – przypomniał sobie Prezes. – Maciek, jeśli twój tata naprawdę chce nam urządzić wczasy nad jeziorem od piątku, to wpadnij dziś wieczorem do leśnika i powiedz mu, że będziemy pomagać przy robocie jeszcze tylko dwa dni. On coś mówił, że z większych sztuk chce zrobić „drogę Tarzana”, więc niech się do tego bierze już. Bo z samymi maluchami nie da rady.

– Tata mówił poważnie. To jest też heca, wiecie? Taty kolega, nieźle ładowany, postawił sobie daczę nad Mauszem, ale mówię wam: stodołę, nie daczę. Jeszcze nie skończył na glanc, materiału w środku kupa i on teraz wciąż się boi, że mu się włamią i rozkradną. Dlatego taki łaskawy i odpala nam na dziesięć dni. Krzychu, jak chcesz, to też możesz jechać.

Piegży błysnęły oczy, ale miał wątpliwości:

– A to drogo wyjdzie?

– Coś ty, on by musiał wynająć stróża. Tylko jakieś żarto i koc musisz wziąć.

Prezes był trochę zły na Maćka za to zaproszenie – liczył, że Piegża będzie doglądał Rezydencji. No, ale w końcu jest jeszcze Antena, a w ostateczności choćby i Szymura.

Musieli przyznać leśnikowi, że „drogę Tarzana” wymyślił bezbłędnie: miała oddzielać Rykowisko od drogi i składać się z pni razem z konarami, które na oko wyglądały jakby je huragan zwałił byle jak, ale naprawdę były zamocowane na fest, tak że całe plemię maluchów mogło po nich skakać i ani drgnęły. Była to jednak robota bardzo ciężka – przez dwa dni

zdołali ściągnąć tylko pięć pni, a umocować trzy. Ale i te trzy od razu stały się najgęściej „zaludkowanym” miejscem na Rykowisku.

– Nie, zaharujecie się na śmierć – powiedział leśnik, kiedy Piegża i Maciek, nie czekając na Prezesa, chcieli pojechać po jeszcze jedno drzewo.

Leśnikowi też koszula kleiła się do pleców, nie oszczędzał się, ale sam widział, że jeśli „droga Tarzana” ma być taka, jak sobie wymarzył, to musi się do niej przyłożyć niejedno męskie ramię. Toteż ucieszył się, kiedy zobaczył, że na Rykowisko wkroczył Truj.

– O, panie Kaczorowski – zawołał, idąc mu naprzeciw – jak to dobrze, że pan jest. Pan jest przecież w Radzie Osiedla...

– Tak. Właśnie. Jestem – odpowiedział sucho Truj. – I dlatego pytam pana: jakim prawem przywłaszcza pan sobie mienie państwowe? Leśnika aż rzuciło:

– Co? Ja? Przywłaszczam? Ależ, proszę pana, przecież to dla dzieci z osiedla. I jakie mienie? Drzewa wyrzucone na śmietnik!

– Wszystko jedno. Ma pan pozwolenie z Zieleni Miejskiej?

– Zieleń Miejska w ogóle pewnie nie wie, że tu były jakieś drzewa. Ma dosyć kłopotu z zieleńcami.

– To na pewno. Te dzikusy – Truj wskazał na „ludek” siedzący na konarach – wszystko niszczą. I pan prowadzi rozbijacką robotę. Mieli porządkować osiedle, a pan im jakieś małpie gaje urządza. Bez uzgodnienia z radą w dodatku.

– Przepraszam, przedstawiłem plany przewodniczącemu.

– Machnął pan jakimś bazgrołami, powiedział o placu zabaw, a stawia urządzenia trwałe. Zresztą to trzeba zatwierdzić kolegiąlnie. Komisja Wychowawcza o niczym nie została zawiadomiona.

– No to ją zawiadomię, tylko gdzie jej szukać?

– W budynku administracji w śróde o osiemnastej. Ma pan przyjść i wytłumaczyć się. Przyszedłem to właśnie panu powiedzieć. Tego już było leśnikowi za dużo:

– Co?! Ja mam się tłumaczyć? Z czego? Z tego, że gromada dzieci ma zajęcie i zabawę? I przed kim? Przed jakąś komisją, której działania w ogóle nie widać?

– Nie widać, bo pan uprawia dywersję. – Truj zrobił w tył zwrot, rzucając jeszcze przez ramię: – W śróde, niech pan zapamięta!

„Ludek” siedzący na konarach nie wiedział o co chodzi, ale domyślał się, że Truj przyszedł truć. Więc ledwie się odwrócił, rozległo się krakanie:

– Wuj-Truj-Psuj!

– Cicho bądźcie – krzyknął Maciek i zwrócił się do leśnika: – Proszę pana, niech pan lepiej załatwi to pozwolenie z Zieleni Miejskiej, zanim pan pójdzie do komisji.

– Ależ ja nie mam pojęcia, jak to załatwić. A w ogóle: obłęd i paranoja – denerwował się leśnik.

– Może pan ma tu jakiegoś ucznia? W Helsinkach pan ma, a tu by pan nie miał?

– Mam – przyznał leśnik. – Ale chyba nie pracuje w zieleni. A może? Praktykował u mnie szkółkarstwo. Niestety, niezbyt pilnie.

Leśnik zamyślił się, ale Maciek nie pozwolił mu na dumanie o niezbyt pilnym praktykancie.

– Panie inżynierze, ja poproszę ojca, żeby się w to włączył, jak wrócimy. Ojciec ma trochę znajomych. Trzeba się zmobilizować.

– Co wy się wszyscy tak tego Truja boicie? – irytacja leśnika skierowała się na Maćka. – Maniak jakiś, kacyk niewyżyty. Śmieszny i tyle.

– No właśnie, my też tak myślimy, on kiedyś musiał być ważny i teraz nie może się bez tego obejść.

– Ja też byłem ważny, a mogę.



– Są ludzie i ludziska – wtrącił się Piegża. – Jedni dają człowiekowi żyć, a drudzy nie. Weź na przykład Prezesa i Brysia – dodał na użytek Maćka.

Prezes właśnie nadszedł z meldunkiem, że u Zośki i u niego bagaże gotowe i skoro mają wyjeżdżać zaraz po obiedzie, to warto by już teraz zanieść je do garażu. Poza tym byłoby dobrze, żeby ktoś się machnął do Gdańska i kupił bilety autobusowe dla tych, którzy się nie zmieszczą w samochodzie.

No i tak zostawili leśnika z jego kłopotem, Rezydencję pod pieczęcią Anteny, a własnych rodziców z zapewnieniem, że będą uważać, niczego nie popsują i na pewno się nie potopią.

Oczywiście, że niczego nie popsuli, nawet przez grzeczność to i owo uporządkowali – mieli już wprawę w urządzaniu Rezydencji! Rodzice Maćka – bardzo najpierw niepewni, czy niezwykle pomysł jedynaka, żeby ściągnąć nad jezioro cały batalion, nie okaże się już nazbyt szalony – kręcili głowami ze zdumieniem. A Maciek pysznił się kolegami, jakby to on sam ich wychował!

Właściciel daczy, który przyjechał w następną niedzielę, ponieważ od poniedziałku zaczął własny urlop, najpierw był zaszokowany, że „kolegów i koleżanek Maciusia” jest aż dziewięcioro, ale kiedy się rozejrzał, natychmiast wystąpił z ofertą, żeby przyjechali jeszcze raz pod koniec sierpnia.

– Co to za dziwna banda – podsumował wrażenia wieczorem, kiedy większa część „bandy” odjechała autobusem – że nie wrzeszczy, nie robi bałaganu, słucha swojego wodza, który jest przecież takim sobie zwyczajnym chłopcem.

Ojciec Maćka, który sam zużył sporo czasu, żeby tę kwestię rozwikłać, odpowiedział:

– To nie jest banda, tylko normalna gromada dzieci, która żyje sobie tak, jak myśmy żyli w różnych tam Koźminach, Wągrowcach, Śniatyniach.

– No dobrze, ale tu mają blokowisko!

– Jakimś cudem udało się im uciec przed blokowiskiem. Ale, ale, przypomniało mi się: masz kogoś w Zieleni Miejskiej? Syn mnie prosił o protekcję.

Maciek, który bezwstydnie podsłuchiwał zza drzewka, odetchnął z ulgą. Skoro tata pamięta, to leśnik nie będzie już samotnym kowbojem.

## VI. ...a Truj zatrul

Dni nad Mauszem były fenomenalne, co jezioro to nie „basen” w Rezydencji, ale w poniedziałek rano, ledwie przełknęli śniadanie, zeszli się przed klatką Maćka, żeby polecieć na „wyspę”. Niby każdy mógł iść z osobną, nie czekając na innych, ale jakoś czuli, że po tak długim niewidzeniu należy się Rezydencji uroczyste powitanie. Trochę musieli poczekać na Maćka, który wczoraj położył się późno i zasnął. Wybiegł wreszcie, z nie dojeżdżonym kawałkiem chleba w garści i tłumaczył się, że to dlatego, że tata dziś jeszcze ma urlop i nie nastawiali budzika.

– Drobiazg, „wyspa” nam nie ucieknie – powiedział Prezes i poszli. Kiedy mijali Rykowski, Skobel zauważył:

– Ledwie ławeczki dokończyli. Bez nas jednak sobie nie radzą!

W parowie, jak zwykle o tej porze, było cienisto i chłodnawo, tym bardziej, że nocą przeszła burza. Cieszyli się więc na tę chwilę, kiedy wyjdą na rozslonecznioną dolinkę, kiedy dróżką wyjeżdżoną już przez wózek Piegży pobiegną, nie patrząc na boki, do „wyspy”, potem przez odblokowaną wartownię najkrótszą trasą do Rezydencji. Wczoraj wrócili do mieszkań, ale dziś wracają do domu!

Wyszli z parowu. Wyszli i skamienieli.

Nie było Piegżowej dróżki, nie było wartowni, nie było nic. Przez ubite gąsienicami dzikie wysypisko ciągnęła się krecha kolein, od „wywrotkowej” drogi aż do zwirowego zbocza. Cały złom drzewny, od wartowni do Rezydencji, zginął gdzieś, ubity, przemieszany z gruzem. Tam gdzie przedtem był „basen”, stał ciągnik z przyczepą załadowaną pniami. A trochę dalej, mniej więcej na miejscu czytelnicy, pełzał pracowicie wielki gąsienicowy spychacz, wgniatając w ziemię resztki „wyspy”.

– To jest niemożliwe – szepnął Prezes.

– Jak niemożliwe, kiedy widzisz! – jęknęła Zośka.

A jednak chwilę stali w milczeniu, jakby się spodziewali, że to im się tylko zdaje. Naraz rozległ się płacz:

– Domik! Mój domik! – łkała Ania.

– Rwa! To wszystko robota Truja – zapiał Hipek. – Ja mu cholera, ja mu wszystkie psie główne z bloku na drzwi rzucę!

Z szeregu wyrwał się Waldek, schylił się, podniósł kamień i krzyżąc: „wonwygnoje” po-pędził w stronę spychacza. Prezes pobiegł za nim, chwycił za rękę:

– Daj spokój, Walduś, nie dasz rady. To za wielkie Brysie.

Chciał zawrócić, ale okazało się, że wszyscy ruszyli do przodu. Poszli więc, ponuro, milcząc, aż do spychacza.

– Proszę pana, dlaczego to wszystko tratujecie? – spytał Prezes kierowcę.

– Ja wiem? Kazali wyrównać, to wyrównuję.

– Ale kto kazał?

– Kierownik z bazy.

Prezes spojrzał na napis na drzwiach szoferki: Transbud. Więc kierownikowi musiał zlecić jeszcze ktoś inny.

– To już nie macie pilniejszej roboty?

– Mamy, jeszcze jak. Ale ktoś narobił rabanu, że zaśmiecamy. Ja tam zresztą nie wiem, idźcie do kierownika, na „Danutę”, to wam powie. Jak będzie chciał.

Wiadomo, że nie będzie chciał. Zresztą „wyspy” już nic nie wskrzesi. Zawrócili.

Prezes prowadził za rękę Anię i Waldka, pocieszał ich byle jak, a w głowie mu się tłukło: znowu jestem Przedszkolanka. Hipek, Bolek i Adam wysforowali do przodu, coś tam szeptali, chyba knuli zemstę na Truja. Prezes czuł, że powinien im to wybić z głowy, ale jakoś nie miał siły. Zwrócił się do Skobla:

– Ty myślisz, że to naprawdę mógł puścić w ruch Truj?

– A kto? Taka zaraza to do samego prezydenta się wdrapie, byle narobić komu koło pióra.

Jak już otworzył usta, to nie zamknął. Wywalił to, co mu się ułożyło w głowie od chwili, kiedy zobaczył swój azyl w ruinie.

– Skończę budę. Pójdę do zasadniczej. Budowlanej. Będę robił u prywaciarzy za trzy koła dziennie. Postawię dom, ogrodzę murem na dwa metry. I kupię takiego psa, co rozszarpie każdego Truja, ledwie dotknie dzwonka.

– Ty! Ty jesteś chłop jak dąb. Ale co ma zrobić Adaś albo Hipek? Albo ja? – Zośkę ogarnęła zupełnie babska bezradność.

– Idźmy na skrót, nie ma się co teraz kryć – zarządził Prezes.

Poszli więc tą drogą, którą kiedyś, w maju, Hipek po raz pierwszy biegł za Maćkiem na „wyspę”.

Maciek odłączył się zaraz za pierwszym blokiem „jamnikowa”. To wszystko przeze mnie – myślał z rozpaczą. – To ja wciągnąłem Spółkę do planów leśnika, a leśnik się pociął z Trujem, a Truj pokazał jaki ważny, i co może.

Przez moment miał chęć zająć do leśnika i nagadać mu. Jak ktoś nie umie zabezpieczyć swojej roboty, to niech jej w ogóle nie zaczyna! Ale kiedy przed blokiem zobaczył leśnika, i tego mu się odechciało.

Leśnik go zatrzymał:

– Wiesz już? – zapytał cicho.

– Wiem.

– Kaczorowski przekonał Zielęń Miejską i Radę Osiedla, że tam ma być w przyszłości park.

Więc mieliśmy rację, że to Truj – pomyślał Maciek i ruszył bez słowa do windy.

– Ale ten park ja będę urządził. Z wami! – krzyknął za nim leśnik.

– Szczęść Boże, ale bez nas. Póki się pan nie nauczy zwalczać Wujów-Trujów.

Kiedy wszedł do mieszkania, ojciec zawołał z kuchni:

– Co tak wcześnie? Zapomniałeś czegoś?

Nie odpowiedział, pobiegł szybko do swego pokoju, resztą rozsądku powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami, rzucił się na łóżko.

Ojciec najpierw się zdziwił, potem zaniepokoił, a następnie poszedł do pokoju syna.

– Maciek, na miłość boską, ty płaczesz? Co się stało?

– Nie udało nam się uciec od blokowiska...

1983 r.

# CHŁOPIEC ZNIKĄD

## I. Dom

Słońce odbite od szyby biblioteczki świeciło Maćkowi prosto w twarz. Nie można było przed nim uciec, choć Maciek bardzo chciał – nie miał ochoty się obudzić. Zaciskając powieki, przesunął głowę najpierw w lewo, do ściany; gdzie tam, na nic. Desperacko rzucił się w drugą stronę, z takim skutkiem, że potracił byle jak położone wczoraj na taborecie gazety, które z niegłośnym, ale zjadliwym szelestem zjechały na podłogę. Maciek poddał się i otworzył oczy.

– Trudno, nie wymigam się – mruknął, przewracając się na bok i sięgając po zegarek. Gdyby miał jasno i dokładnie powiedzieć, od czego mianowicie się nie wymiga, to by nie potrafił. W każdym razie nie chodziło o słoneczną plamę na poduszce – wystarczyłoby przecież zaciągnąć zasłonę (co po prawdzie powinien był zrobić wieczorem) i spać dalej. Rzecz w tym, że nie mógł spać, że coś niepokojącego wybijało go ze snu, choć właśnie sen był najlepszym sposobem odsunięcia na jakiś czas tego, czego wolałby tak zaraz nie spotkać.

To przesuwanie czasu jest idiotyczne – pomyślał, kiedy stwierdził, że dopiero dochodzi szósta. – Zmarnowana niedziela. Co człowiek może robić o świcie w niedzielę, jak nie spać? Tłuc się i budzić innych? Wczoraj o tej porze była siódma ...

„Innych” też musiało albo obudzić słońce, albo przyzwyczajenie, bo z kuchni dobiegł trzask zapalacza do gazu i lekkie stuknięcie czajnika stawianego na kuchence. To mama robi kawę. Widać i ona nie mogła spać. Uwaga, zaraz zamknie drzwi od mojego pokoju. Muszę się przyzwyczaić, żeby je znowu na noc zamykać...

Tymczasem zamknął oczy i udawał, że śpi. Niepotrzebnie, mama zamknęła drzwi bezszmerowo, nie zaglądając do pokoju. Trudziła się nadaremnie, bo niebawem wcale nie bezszmerowo otwarły się drzwi pokoju taty i Maciek usłyszał wymianę zdań:

- Zrób i dla mnie kawy – to tata.
- Cii, Maciek jeszcze śpi – szept mamy.
- Nie przejmuj się! Taki młody człowiek ma mocny sen.
- Nie zawsze. Już ci robię kawę.

Kroki taty zbliżyły się i oddaliły, stuknęły lekko drzwi kuchni i nastała cisza na tyle głęboka, że ktoś nadbudzony mógłby spokojnie spać dalej. Ale od Maćka spokojny sen już odleciał.

Tata też się będzie musiał przyzwyczajać – pomyślał. – My wszyscy zresztą. O rany, ja przez całe życie nic nie robię, tylko się przyzwyczajam.

Westchnął i w tej chwili go oświeciło, od czego to chciał się wymigać. Od przyzwyczajania się oczywiście. Tym razem do obecności taty.

Trzy lata temu musiał się przyzwyczajać do jego nieobecności. Wydawałoby się, nic prostszego, odkąd sięga pamięcią, zawsze taty więcej nie było, niż było. Ale pech chciał, że właśnie nim tata wyjechał na afrykański kontrakt, byli całe, no, prawie całe dwa lata razem, normalnie jak każda zwyczajna rodzina z bloku. Może nie jak każda, bo nie w każdej rodzinie

tylko dzieje się „obok”, ale w końcu chodził cały czas do tej samej szkoły, rodzice cały czas wracali mniej więcej o tej samej porze do domu... A właśnie, że nie, tata jednak nie... W osiemdziesiątym pierwszym, kiedy co wieczór w dzienniku telewizyjnym widzieli płomień nad odwiertem w Karlinie, tata z kolegami siedział dniami i nocami w rafinerii i główkował, jak by tu najszybciej i najtaniej ściągnąć karlińską ropę do Gdańska. Potem płomień zgasł, zrobiło się ciemno i ponuro jak nieszczęście. Nieszczęście też przyszło – na początku grudnia ciężko zaniemogła babcia w Jazowie. Tata wziął urlop i pojechał na Mazowsze, niedługo potem mama z Maćkiem pojechali w ślad za nim-na pogrzeb. Maciek do tej pory się dziwi, że rodzice nie przewidzieli tego, co on czuł od razu, kiedy się dowiedział, że babcia sprzedaje domek na skraju miasteczka i przenosi się do nich (z tego powodu dostali czteropokojowe mieszkanie; tata się postawił, kiedy go kaperowali z Płocka). Babcia nie nadawała się do życia w bloku. Pewnie w ogóle „nie czuła się” poza swoim domkiem i miasteczkiem, a blok... Przecież i on, choć niby w Jazowie mieszkał tylko... Nie, nie, wcale nie „tylko”, jakby podliczyć lata i miesiące, to by wypadło – pięć? sześć lat? Mniejsza z tym, w każdym razie ilekroć kazali mu rysować dom, nigdy nie był to blok, tylko domek z dwoma oknami, drzwiami w środku i dymem nad czerwonym dachem.

Wtedy, w grudniu, skończył się Jazów, skończyło się Mazowsze i jeszcze coś – tak jakby dzieciństwo, chociaż chodził dopiero do trzeciej klasy... Jak się nie ma babci z domkiem, gdzie się jeździ na wakacje, to tylko to twoje, co przed tobą... Tata przedłużył urlop, żeby dokończyć sprzedaży domu i ogrodu, potem tak się sprawy obróciły, że w Rafinerii nie miał czego szukać, na bruku jednak nie wylądował, bo dobrzy przyjaciele urządzili go na politechnice. Była to – w porównaniu z rafinerią – spokojna praca, bez budzika o 5.30. Tata, choć na łeb, na szyję kończył doktorat rozpoczęty jeszcze w Warszawie, miał niebywale dużo czasu dla syna. Dobre czasy – westchnął Maciek – że też tacie musiało odbić z tą Afryką... Ale jeśli już, to szkoda, że nie udało mu się nas tam ściągnąć, bodaj na rok. Miałbym w życiorysie coś kolorowego. Jak by to brzmiało: Jazów – Warszawa – Jazów – Płock (ten Płock był nieudany od samego początku!) – znowu trochę Jazowa – Gdańsk i naraz, proszę – Monrovia.

E tam, może to i lepiej, że nas nie puścili do taty. Teraz to przynajmniej mama i ja nie jesteśmy cyganami z zielonego wozu i nie musimy się przyzwyczajać na nowo. To znaczy, musimy, ale tylko do taty. Zaraz, gdzie to mnie przezywali cyganem-powsinogą? W Płocku? Nie, w Płocku nie zdążyli nic wymyślić, ktoś tam wołał na mnie „komputerek”, ale to się nie przyjęło. W Warszawie? W Warszawie byłem niestety „kmiot”. Więc jednak w Jazowie, już wiem, między Płockiem a Gdańskiem. Bo przedtem, między Warszawą a Płockiem, przezywali mnie „ministrem”. W Warszawie „kmiot”, w Jazowie „minister”, szumu w uszach można dostać. Ale oni też dostali szumu w uszach, nie mogli się połapać, skąd ja w końcu jestem, i wymyślili „cygana”. Choć tak naprawdę to mnie lubili... Pewnie zazdrościli w gruncie rzeczy.

Słońce przestało odbijać się w szybie, przeszło na ścianę nad tapczanem, zaraz sobie w ogóle pójdzie. Taty pokój jest bardziej dla ludzi – rano nic nie kłuje człowieka w oczy, a za to po południu piękne zachodnie słońce... Tata wiedział co wybrać. Nie, to niesprawiedliwe, taty pokój miał być dla babci, tata w ogóle nie miał mieć pokoju, to znaczy mieli mieć z mamą wspólny pokój, tu obok, za ścianą...

Obok, za ścianą, usłyszał pisk wyciąganej szuflady. Rodzice wypili już kawę, mama wyjmuje sweter z komody. Po co? – zdziwił się Maciek i za chwilę zdziwił się jeszcze bardziej, bo doszło go szuranie w skrzynce na buty, a potem trzask zamka w drzwiach wejściowych. Wyszli gdzieś? A to dopiero!

Zdjęty ciekawością wyskoczył z pościeli i ruszył na bosaka do drzwi, ale się opamiętał – nim rodzice zjadą na dół, zdąży przecież włożyć pantofle.

Zdążył też zlustrować kuchnię: na stole było trochę okruszyn, w zlewozmywaku kubki po kawie i talerzyki od ciasta. To znaczy, że nie jedli śniadania, więc wyszli na niedługo. Zresz-

ta, gdyby na długo, mama zostawiłaby kartkę. Przybliżył twarz do szyby – nie, stąd nic nie zobaczy, trzeba wychylić się z balkonu. Minał tatowy pokój, skąd sączył się lekki zapach dymu papierosowego (jeszcze jedna rzecz, do której trzeba się będzie na nowo przyzwyczajać) i wpadł do „wspólnego”. Tu też były ślady „powrotu taty”, przyjemne, nie ma co: pod telewizorem kolorowe tygodniki, na stoliku-lawie banany, pomarańcze, czekolada. Przystanął, zawałał się, wybrał banana i obierając go „w marszu”, wyszedł na balkon.

Uch, ale rzeško – wzdrygnął się. – Jak to tata znieśie po afrykańskim gorącu?

Tata chyba nie pamiętał, że to początek października, bo miał na sobie letnią kurtkę; mama ubrała się roztropniej, w gruby sweter. Szybko wyszli z zimnego cienia bloku, przystanąli na rozbabranym chodniku u stóp łysej góry, wciąż na wyrost i z nadzieją nazywanej parkiem. Naradzali się chyba, w którą stronę iść. W prawo. Więc albo skrótem na „Alineę”, albo parowem do lasu, przez kotlinkę, teren dawnej Rezydencji.

Dobrze, że udałem twarde spanie i nie poszedłem z nimi – pomyślał Maciek. W parowie i w kotlince nie był od czterech lat, od kiedy spychacze zrównały z ziemią Rezydencję. W siódmej jeszcze nie mógł odżalować Rezydencji, w ósmej doszedł do wniosku, że szczęście na Drzewnej Wyspie i tak by długo nie trwało. Ale właśnie tego krótkiego szczęścia nie mógł zapomnieć, zawziął się, powiedział: „Moja noga tam już nie postanie” i słowa dotrzymał. Co było trudne tylko z początku, kiedy Leśny Dziadek przemieniał kotlinkę w dolinę szczęścia dla wyżu demograficznego ze wszystkich czterech osiedli, więc nawet z najstarszej „Aliny” i „Danuty”, co ledwie zaczynała wyrastać z fundamentów. Dlatego bardzo mu zależało, żeby mieć do pomocy taką zwartą i doświadczoną w robocie grupę, jaką była Spółka Drzewna z Darkiem-Prezesem na czele.

Maciek od razu wiedział, że z tego nic nie będzie. Widział przecież i w Warszawie, i w Płocku, jak to się dzieje nawet nie z jakąś superdoliną szczęścia, ale ze zwykłym placem zabaw między blokami: najpierw spychacz wyrównuje, potem mieszkańcy kopią, grzebią, sieją trawę, potem długo, długo nic, potem administracja stawia huśtawkę, drabinki i trzy ławki, potem możliwe są dwa warianty: albo – jak w Płocku – podpite grzdyle zaciągną ławki w krzaki, a huśtawki połamią, albo – jak w Warszawie – na plac zabaw wjedzie koparka i zacznie się stawianie garaży.

W kotlince poszło pół na pół z obu wariantów: nim trawa urosła, a drzewka się przyjęły, zwalono tu kupy gruzu i skamieniałego cementu z „Danuty”. Leśny Dziadek nieugięcie próbował z tego gruzu komponować jakieś murki, skalniaki, coś tam. A jak się skończyło barachło z „Danuty”, przyszli mierniczowie, po nich koparka i teraz – proszę – jest dolina szczęścia, ale tylko dla mieszkańców piętnastu czy dwudziestu domków szeregowych. Maciek nie wie dokładnie ilu, bo nie liczył. Choć mógłby. Czerwone dachy jednorodzinnych rezydencji widać było z balkonu. Z niektórych kominów unosił się już leciutki dym, inne nie były nawet otynkowane.

A, co mi tam cudze domy – wzruszył ramionami Maciek i wycofał się do swojego pokoju.

Co by tu teraz – zastanawiał się. Na balkonie zziął trochę, więc nieźle byłoby wskoczyć znowu w bety. Ale wyczuł, że ledwie wskoczy, to zaraz wyskoczy, trudno, taki dziś dzień, nie na leżenie. Postanowił się ubrać. Żeby zrobić przyjemność tacie, wciągnął dres, prezent od niego. Dres leżał świetnie, nigdzie ani się nie ciągnął, ani nie nadymał, i Maciek teraz dopiero ucieszył się z podarunku naprawdę, nie przez grzeczność, jak wczoraj.

Ale w ogóle wciąż jeszcze było mu tak jakoś – niewygodnie. Miał sobie za złe, że się nie cieszy z powrotu ojca, jak by należało, wstydził się, że przed chwilą, kiedy rodzice znikli mu z oczu, pomyślał: „No tak, znowu zostawili mnie samego”. Myślał tak nieraz w Jazowie czy w Warszawie, gdy rodzice gdzieś wychodzili wieczorem razem. Już wtedy czuł pod skórą, że się czepia, a co dopiero teraz, kiedy ma nie sześć, nie osiem lat, ale prawie szesnaście...

Dla zagłuszenia tej całej niewygodności pościelił starannie tapczan, przeszedł do kuchni, zmył co było do zmycia, i na chwilę znowu utknął. Chyba nie ma innego wyjścia, jak się przy

oknie i wypatrywać rodziców – pomyślał. Zobaczył w wyobraźni siebie przy oknie, z miną nieuchronnie skwaszoną, rodziców w drzwiach kuchni z minami niewyraźnymi... Nie, to jest żadne wyjście.

Ruszył do kredensu i zaczął wyjmować talerze. Te lepsze, tak zwane imieninowe. Nakryje do stołu w jadalni, w ogóle zrobi śniadanie na pełny szpan. Rodzice będą ogromnie zaskoczeni, pomyślał, że go rozpiesza radość, taka chemicznie czysta, bez żadnych domieszek, oczywiście ucieszą się i będą go chwalić, wtedy on oczywiście też się ucieszy i będzie zadowolony z siebie, i to się jakoś utrwali, i wszystko wskoczy na właściwy tor, i już dalej samo poleci.

Rozsiadł się w fotelu tylko, jak myślał, na chwilę, właściwie, szczerze mówiąc, dla efektu – żeby, gdy rodzice wrócą, udać zaczytanego w „Newsweeku” i obojętnie powiedzieć: „A, dobrze, że jesteście, bo już zgłodniałem”, wtedy oni z podziwem spojrzą na stół, a on mruknie: „Drobiazg...” Tymczasem oni nie wracali i nie wracali, Maciek zgłodniał naprawdę, raz i drugi podszedł do stołu po kawałek sera (wędliny ułożył tak kunsztownie, że nie chciał psuć kompozycji) i zaczął czytać tego „Newsweeka” na serio, no bo, co miał robić.

Wreszcie zazgrzytały klucze, nie wytrzymał w pozie zaczytanego, wybiegł na spotkanie rodzicom, mama chciała skrócić do kuchni, Maciek prędko oznajmił: „Śniadanie już czeka” i scenariusz zaskoczył. Tata w progu jadalni zawołał:

– Ależ to kapitańska gala! Gdzieś ty się tego nauczył?

– Po prostu, przypomniałem sobie, jak mama to robi. Mama się rozpromieniła, dumna z siebie i syna, powiedziała:

– Co chcesz, zawsze był zaradny, a teraz to już przecież prawie dorosły młodzieniec.

– Zgadza się – przytaknął ojciec niespodziewanie poważnie – widzę to od wczoraj,

I spojrzał na Maćka tak dziwnie, że Maciek nie wiedział, czy ojciec się z tego cieszy, czy nie.

Kiedy Maciek, mniej zręcznie niżby chciał, nalewał ojcu czerwone wino, ojciec powtórzył:

– Pełna gala, ani słowa. I to na moją cześć! No, no, znowu się czuję kimś. Przynajmniej w domu.

– Przecież jesteś kimś, nie tylko w domu! – oburzyła się mama.

– Profesorem z Monrovii – popart ją Maciek.

– E, tam. Wasze zdrowie – tata podniósł kieliszek. Stuknęli się nad stołem, upili po trochu i Maciek poczuł na sobie to samo co przed śniadaniem, trudne do określenia spojrzenie ojca. Zdaje się, że jemu też niełatwo się do mnie przyzwyczaić – przemknęło mu przez głowę.

Milczenie trwało parę sekund dłużej niż trzeba na łyk wina i odstawienie kieliszka. Potem ojciec znowu popatrzył na Maćka:

– Maciek, synu, co ty mówisz: „profesor z Monrovii”... Ten uniwersytet tam to ledwie trochę więcej, niż u nas szkoła średnia. A poza tym, przecież już wróciłem i znowu jestem tylko adiunktem.

– Ale za to z dolcami – strzelił Maciek.

– Właśnie. Krzysiu – zwrócił się ojciec do mamy – trzeba go chyba od razu wprowadzić w sprawę. Sama mówisz, że to prawie dorosły chłopak.

Maciek nadstawił ucha. Wstyd powiedzieć, ale od wczoraj gryzła go ciekawość, ile ojciec zarobił na tych afrykańskich saksach. Teraz chyba rzuci cyframi i będą się zastanawiać, co zrobić z kapitałem. Ale ku zdziwieniu Maćka ojciec zaczął zupełnie o czym innym.

– Pamiętasz jeszcze te wasze kryjówki w zwałowisku drzew pod lasem? O które stoczyliście bitwę, a potem...

–... przyszedł spychacz i wyrównał – mruknął niechętnie Maciek.

– A ty płakałeś, że nie udało się wam uciec z blokowiska.

– E, tam, stare historie, już mi dawno przeszło – skłamał Maciek;

– A mnie, wyobraź sobie, nie. Zrobiłem sobie z tego prawie punkt honoru,

- Z czego?
- Żeby ciebie wyciągnąć z blokowiska.
- Ale to przecież nie chodzi o mnie, tylko o nas wszystkich. Myśmy tam mieli swoją własną rezydencję i byliśmy czymś w rodzaju rodziny, plemienia, ja wiem... Musiałbyś być czarodziejem, żeby wszystkich wyciągnąć. Zresztą, to już i tak nie da się skleić. Ci, co wtedy byli mali, wyrosli i latają, gdzie chcą, starszyzna wyszła z podstawówki i ledwie zew niedziele przed kościołem...
- No, przepraszam, ten masywny Darek często nas odwiedza -przerwała mama.
- Skobel? To jest szczególny przypadek, wiesz, jak u niego w domu. Przychodzi, bo ma tu święty spokój. A i tak woli Darka-Prezesa, bo tam jest duża rodzina i w ogóle zwyczajniej. Tylko, że dla odmiany miejsca i spokoju tam nie ma, fakt. Mieszkanie takie jak nasze, a w nim pięć osób i każda z innej parafii...
- A ja myślę, że coś dałoby się zrobić i dla tych twoich „wszystkich” – w głosie ojca było zaskoczenie i jakby zawód. – Posłuchaj mnie i nie przerywaj.
- No, słucham – Maciek zgodził się z tak wyraźną niechęcią, że aż mama uznała, że trzeba interweniować:
- To jeszcze nic pewnego, tylko próba, ale uważamy z ojcem, że ty też w tej sprawie masz prawo głosu.
- „Doradczego” – chciał dopowiedzieć Maciek, jednak dla miłej zgody zmilczał.
- Mnie się wydaje, że to całkiem realne, i w ogóle okazja, jaka może się nie powtórzyć – sprzeciwił się ojciec. – Krótka: te domki tam w kotlinie, gdzie była wasza Rezydencja, budują własnymi rękami i z odgórną pomocą różni młodzi prominenci...
- Prominenci już dawno zbudowali – popisał się znajomością życia Maciek.
- Tak, i teraz sprzedają z zyskiem – zgodził się ojciec. – Otóż właśnie przed godziną... Widzisz, jak to się sprawdza, że kto rano wstaje... Na spacerze zaszliśmy z mamą aż do kotlinki, a tam przy jednym segmencie sprząta gruz inwestor. Zagadałem go i wyobraź sobie, co za fart! Okazało się, że on jest z tych, co sprzedają! Nie może „wyrobić” i chciałby się zamienić na mieszkanie własnościowe, duże, w bloku. Jak nasze. Tylko trzeba się decydować natychmiast, bo jego żona spodziewa się w grudniu drugiego dziecka i do tego czasu muszą mieć jaki taki komfort, a chałupa w proszku.
- No, to on chyba nie prominent – zauważył Maciek.
- Powiedzmy, z kół zbliżonych – odpuścił częściowo tata. – Stawia twarde warunki: spłata jego zobowiązań, mieszkanie, maluch i paczka zielonych. Ale to akurat dla nas w tej chwili wykonalne. Tylko, że trzeba by się za miesiąc, dwa, przeprowadzać, a przedtem założyć c.o. Bo resztę można stopniowo.
- Temu chłopcu akurat na c.o. zabrakło pieniędzy. Absolutnie i bez szans – wyjaśniła mama.
- A my mamy na tym żerować? – spytał zjadliwie Maciek.
- Żerować, żerować! – oburzył się tata. – Płacimy jak za zboże, tyle, ile chce. A co do żerowania, to wyobraź sobie, raczej on miał to w planie. Mówił mi, że dla siebie zostawiłby tylko trzy pokoje, a pozostałe wynajął, żeby mu lokatorzy spłacili pożyczki i sfinansowali wykończenie. Wyliczał mi dla zachęty, że jak się ostro trzymać, to w dwa lata wyjdzie się na czysto.
- My oczywiście nie będziemy nikomu wynajmować – szybko wtrąciła mama – chociaż metraż tam naprawdę duży. Mieszkałoby się komfortowo.
- Przecież i tak mieszkamy komfortowo – odparował Maciek. – I żadnych kłopotów z chałupą. Co, czy ja nie wiem, jak to jest z domkiem? Nasłuchałem się dosyć u babci w Jazowie. To rynna, to dachówka, to okno w piwnicy...
- To był bardzo stary dom – zauważył ojciec.



– A ten będzie bardzo nowy. Nim jedno wykończysz, będziesz drugie naprawiał. Widzę, jak jest u Krzycha Palucha. Jego mama siwieje od tego. I do autobusu mielibyśmy o wiele dalej. A sklepu to tam w ogóle nie ma i nie będzie.

– Myślałby kto, że kochasz blok – teraz ojciec był już wyraźnie urażony.

– Wiesz dobrze, że nie kocham, ale...

– Ale co?

„... ale mi wstyd przed Prezesem i Skoblem” – to by powiedział, gdyby miał powiedzieć prawdę. I tak mu zazdrościli własnego pokoju, ciszy, przestrzeni. Ma im oznajmić, że będzie mieszkał we troje w sześciu czy kilku pokojach? Aż się zwijał w środku na samą myśl. Zawsze peszyła go cudza zazdrość, nie mógł jej znieść, dzielił się z kolegami, przekupywał ich, zmniejszał wartość tego, co miał, byle tylko mu nie zazdrościli.

– No, ale co? – naciskał tata.

– Ale patrzę realnie. Po co sobie ściągać na zdrową głowę trzy lata bałaganu?

– Nie trzy lata, już nie przesadzaj. I myśl perspektywicznie. Przecież ty się kiedyś ożenisz...

– E, tam – mruknął Maciek i zaczerwienił się jak idiota, bo ledwie tata to powiedział, jemu stanęła przed oczami ta głupia, ale prześliczna Grażyna z trzeciej ławki. Wszyscy koledzy mówili, że głupia, a każdy z nich byłby szczęśliwy, gdyby mógł ją odprowadzić do tramwaju. Ale nie mogli, bo po nią przyjeżdżała mama golfem. A jakby tak tata raz przyjechał po mnie golfem? Albo mama, to nawet lepszy szpan... Co ja, z byka spadłem? Otrząsnął się i zaczął słuchać, co mówi ojciec.

– Przez lata kątem u obcych ludzi, z żoną, z dzieckiem, a teraz z drugim w drodze, gospodarze nie chcą słyszeć o pieluchach...

Maciek zorientował się, że to o budowniczym domku, powiedział szybko:

– To tak jak u Zośki, tej od Bolka i Adasia, no, dziewczyny Prezesa. Oni dwanaście lat czekali w Kościerzynie na mieszkanie tutaj.

– Teraz by czekali dwadzieścia. Nie wiem, jak ci się życie ułoży, ale myślę, że skoro możesz mieć jeden przyszłościowy kłopot z głowy, to powinieneś się cieszyć, nie wybrzydzać.

Maciek wiedział z doświadczenia, że słowo „wybrzydzać” jest kamieniem granicznym między wymianą zdań a kłótnią. Nie chciał się kłócić z ojcem, w ogóle, a dziś szczególnie. Zresztą: „daremne podrygi konającej ostrygi”, ojciec i tak zrobi, jak zechce. Powiedział to głośno:

– Pytałeś mnie o zdanie, to przedstawiłem. A zrobisz przecież, jak uważasz. Zresztą na logikę, to masz rację.

– Pewnie, że mam. Nie rozumiem, co masz przeciw.

– Przeprowadzkę, szczerze mówiąc. Tak tego nie lubię. Znowu się przyzwyczajając...

– To by już było ostatni raz. W każdym razie na wiele lat – chciała go pocieszyć mama.

Maciek spojrzał na nią – miała minę dość nieszczęśliwą. Czy to z powodu kontrowersji między nim a ojcem, czy może jej też się nie chce przeprowadzać? Biedna mama, to w końcu głównie na niej się skrupi. Postanowił więc „nie utrudniać”.

– Dobrze – uciał. – Podejźmy do sprawy po męsku. Jeśli dobrze zrozumiałem, mamy dwa miesiące na wszystko. Co tam trzeba zrobić, żeby móc się wprowadzić? A, prawda, gdzie ta buda tak dokładnie jest?

Mama wstała, zaczęła zbierać talerze.

– Wiesz, może sprzątnijmy szybko i chodźmy tam jeszcze raz -zwróciła się do ojca. – Albo sprzątnij ty, a ja pójdę z Maćkiem?

Ojciec w mig rozszyfrował intrygę i zgodził się radośnie. Maciek też rozszyfrował: tata przedtem zaagitował mamę, a teraz mama będzie urabiać mnie. Normalka. A czułem rano, że znowu na coś się zanosi. Tylko żeby aż na tyle...

Mama albo uważała, że Maciek jest już dość „urobiony”, albo odłożyła urabianie na później, bo najpierw chwaliła śniadanie przez niego przygotowane, a potem, kiedy doszli do Rykowskiego (placu zabaw, który Leśny Dziadek wymyślił, zaczął urządzać i – o dziwo – skończył, a nawet – jeszcze większe dziwo – potrafił utrzymać w porządku), zaczęła go agitować, ale w innej sprawie.

– Popatrz, ten starszy pan z ostatniego piętra jednak potrafił postawić na swoim. To jest jedyny przyzwoity plac zabaw na osiedlu. Właściwie niedobrze, żeś się na niego wtedy obraził i nie pomógł przy pracy.

– Właśnie, że bardzo dobrze. Bo jakbym się nie obraził, to Dziadek nie zawiałby się na Truja. A tak, co usłyszał przy windzie moje zimne jak lód „dzień dobry”, to sobie przypomniał, kto co stracił na jego nawalance.

– Wyrozumiały to ty nie jesteś! – westchnęła mama, która lubiła Leśnego Dziadka i pewnie by chętnie go zapraszała na pogawędki, może i na święta, ale się bała Maćkowych min.

– A czemu mam być? – odpowiedział o ton za głośno.

– No to bądź chociaż sprawiedliwy. Mógłbyś docenić, że ten plac zabaw jest i że jak nie wyszło z parku w kotłince, to ten pan potrafił choć pas ziemi wyrwać na ogródki działkowe.

– Ludzie sami wyrwali. Wiem, bo mi mówił Darek-Prezes. Dziadek tylko zrobił im plany. Zresztą, sam od razu zachapał coś i dla siebie.

– Nikt mu tego nie ma za złe, przeciwnie, wszyscy działkowicze się cieszą, że jest pod ręką. Że mają bezpłatnego instruktora.

Na to Maciek już nie miał dorzeczej odpowiedzi, ale nie spasował:

– Skąd wiesz? – spytał zaczepnie.

– Co ty myślisz, że tylko ty wiesz, co mówią na osiedlu? Że ja tylko siedzę w muzeum i sklejam prehistoryczne skorupy?

Po prawdzie tak właśnie myślę – przemknęło Maćkowi przez głowę. Mama zawsze rozmawiała z nim tylko o jego sprawach. Szkolnych najczęściej... Zamilkł, mama też.

W milczeniu weszli w parów prowadzący do kotlinki. Maciek dziwił się, że wygląda tak samo, jak przed czterema laty. Ten sam chłód, zapach pokrzyw i gnijących liści, ten sam cień. I ta sama jasność u wylotu parowu.

– Ładny dzień się robi – powiedział, żeby coś powiedzieć.

– A tak – zgodziła się mama zdawkowo, wyraźnie myśląc o czym innym. O czym?

– To dziwne, że ta droga jest taka, jaka była, nawet koleiny nie zrobiły się większe. Jakby tam dalej nie było żadnej budowy – ciągnął Maciek neutralnie, ale z pojednawczym zamiarem.

– Materiały wożą od drugiej strony, od „Danuty”. W ogóle kolonia domków ciąży ku „Danucie”. Z drugiego końca jest podobno wcale niedaleko do sklepu i autobusu, jeśli chcesz wiedzieć. Bo o to też ci chodziło?

– W drugiej kolejności – mruknął Maciek.

– A w pierwszej?

Maciek zawahał się. Czy naprawdę przede wszystkim chodziło mu o miny Skobla i Darka-Prezesa, i jeszcze jego Zośki? Tak, przede wszystkim, ale tego mama nie zrozumie. Ale może zrozumie co innego.

– Bo ja mam dosyć tego ciągłego rzucania się w te i wewte, jakby się było pustym kartonem na śmietniku. Tatę ciągle coś nosi, wciąż wymyśla coś nowego. Mógłby się wreszcie zdecydować, kim chce być, co chce robić, i sięść na, tego, sięść spokojnie.

– Właśnie chce.

– I zaczyna od przeprowadzki do chaty w proszku – Maciek wbrew pojednawczym zamiarom zaśmiał się urągliwie.

Mama westchnęła i nie odpowiedziała. Pewnie liczy do stu, wedle recepty babci – pomyślał Maciek. – Może i ja przez ten czas pomyślę? O już wiem, o co mi chodziło od bladego świtu. Czego się bałem. Tata wczoraj, po powrocie, był taki jakiś spięty, no, jak w dołku startowym. Wcale nie opowiadał o Afryce, więcej się dopytywał, jak u nas, ale tylko połowa z tego go obchodziła. Ja już wtedy musiałem przeczuć, że tata myśli, co by tu wymyślić. Przeprowadzki nie mógł przewidzieć, ale spadła mu jak z nieba. Muszę się z tym pogodzić, ostatecznie mogło być gorzej. W każdym razie, jeśli się przeprowadzimy tu, to przynajmniej pewne, że nie wyprowadzimy się z Gdańska. Dzięki Bogu i za to. A skoro już padło imię Boskie, dodał akt strzelisty: Panie Boże, daj mi siły i cierpliwość, żebym to zniósł po męsku.

– Zresztą – podjął, zmusiwszy się do zgodliwego tonu – już mówiłem, że w zasadzie tata ma rację. Ja rozumiem, przyszłość, to, tamto, i nawet to, że trzeba forse gdzieś zainwestować, bo się rozplynie. Tata o tym nie mówił, ale ja to wiem. No, ale wy też rozumcie, że nie piszcze ze szczęścia, kiedy widzę, że znowu będę musiał wydeptywać nowe ścieżki. Stracę z oczu obu Darków, Skobla i Prezesa. I innych...

– Czy stracisz, to już zależy od ciebie. I tak masz teraz nowych kolegów, z liceum.

„Więc niby nie ma co żałować starych” – chciał strzelić, ale Anioł Stróż w porę nałożył mu tłumik. Wstrzymał język za zębami na trzy sekundy, po czym spytał:

– A jak myślisz, co mam robić, żeby ich nie stracić?

– To co do tej pory. Teraz mamy znowu większy wóz, będziesz mógł ich zapraszać na wycieczki latem. A zimą do siebie. Możecie przecież sobie zrobić coś w rodzaju klubu...

– ...w tej przyszłej prywatnej rezydencji. Który to dom?

Mieli już przed oczami widok na kotlinkę. Maciek zobaczył najpierw, po lewej stronie drogi z betonowych płyt, siatkę i niski żywopłot z jałowca, za tym ogródki działkowe, ciągnące się na dawnym śmietniku-pokrzywisku prawie aż pod niskie, długie bloki, zwane „jamnikowem”.

Z oporami, wbrew sobie, musiał przyznać, że Leśny Dziadek tu się popisał: działki ani trochę nie przypominały ogródków przedokiennych przy blokach, grodzonych wszelakim paskudstwem wyciągniętym ze złomu – drutem kolczastym, pordzewiałą siatką, a nawet rozklepaną blachą ze starych beczek. Tu było wszystko „do winkla”, równo, przyzwoicie, a przy tym jakoś „indywidualnie”. Na niektórych działkach stały altanki, prawdziwe, nie ze starego kiosku albo tramwaju. Prawda, Darek-Prezes wspominał, że Leśny Dziadek jego ojca też przekonał, żeby nie klecić byle jakiej budy...

Odwrócił szybko wzrok od działek – a nuż Darek z rodziną wykonuje tam jakieś podorywki... Nie chciałby go teraz spotkać, za skarby -musiałby jakoś wyjaśnić, co go tu sprowadziło. Spojrzał na domki. Nie były to klasyczne szeregowce, raczej czworaki: cztery segmenty, przerwa, znowu cztery. Przy tym choć nie klocki, dość skromne: garaż w piwnicy, balkon nad wysokim parterem, facjata na poddaszu. No i dobrze.

– To ciekawe – zwrócił się do matki – z nie wykończonych kominów leci dym, a z wykończonych nie. Powinno być odwrotnie, co?

– Tata też na to zwrócił uwagę. Nasz kontrahent wyjaśnił, że w wykończonych domach jeszcze nie palą, bo i po co, pogoda niezła. A w tych innych grzeją, bo chcą przed zimą wysuszyć tynki w środku.

Maciek zlustrował dachy i mury w nadziei, że zgadnie, który dom należy do „kontrahenta”, daremnie.

– No, a który to ma być, ten niby nasz? – skapitulował.

– Ostatni w drugiej czwórce.

– Nie wykończony, a z komina się nie dymi.

– Bo wewnątrz nie ma jeszcze tynków. Musisz się liczyć z tym, że pierwsza zima nie będzie komfortowa.

No, to przynajmniej z początku nie będą mi zazdrościć, a potem jakoś będzie – Maciek odprężył się, poweselał i zawołał radośnie:

– To kontrahent drze nas niemiłosiernie!

Ton głosu zupełnie nie pasował do treści, mama zauważyła to, spojrzała na Maćka zdziwiona, ale nie komentowała.

– Właściwie robi świetny interes – Maciek jeszcze dołożył.

– Na najbliższe parę lat na pewno – powiedziała mama powściągliwie.

– A potem załapie się na saksy i powtórzy manewr taty – uspokoił sumienie swoje i chyba mamy też. – Kim on jest?

– Inżynierem mechanikiem ze stoczni remontowej.

– Eee, to bankowo się załapie. Byłby ostatnia noga, jakby się nie załapał – podsumował Maciek.

Doszli wreszcie do „ich” segmentu – był bardziej w proszku, niż Maciek podejrzewał: nie ogrodzony, bez tynków, bez poręczy na balkonie, z porytym klepiskiem-gruzowiskiem w miejscu ogródka. Od prowizorycznych schodów przy drzwiach wejściowych do ulicy prowadziła ścieżka, na której widoczne były ślady grabienia. Grabie leżały na kupie drobnego gruzu.

Mama rozejrzała się trochę bezradnie – gospodarza nie było nigdzie widać, na wrotach garażu i obskurnych, pewno tymczasowych, drzwiach wejściowych wisiały potężne kłódki.

– Chyba go nie ma. Zaraz, jak on się nazywa? Czeka, coś od rzemiosła i na-uk. Krawczuk, Nie. Szewczuk? A, mam. Panie Siedluk! – zawołała.

– Od rzemiosła? Ciekawe od jakiego? – zachichotał Maciek.

– Siodlarskiego – odcięła się mama i zawołała jeszcze raz. Z sąsiedztwa dobiegł głos:

– Państwo do inżyniera Siedluka? Poszedł już, chyba z godzinę temu. Zwrócili głowy w lewo. Po drugiej stronie uliczki prowadzącej w las, za pięknym ogrodzeniem, stał, oparty na łopacie, młody brodac.

– O, pani tu już była rano – brodac jakby się ucieszył. – Z mężem, jak myślę. A teraz z synem, prawda? Więc co, będziemy sąsiadami? Maciek ruszył w jego stronę, mama za nim.

– To jeszcze nic pewnego – powiedziała, gdy stanęli przy płocie. – Mąż zagadnął pana Siedluka, ot tak, nieobowiązująco.

Brodacz wbił szpadel w ziemię, wytarł ręce o drelichowe „ogrodniczki”.

– Nieobowiązująco? A to się Siedluk zmartwi. Bo on, ledwie państwo odeszli, poleciał do żony z dobrą nowiną. Rzucił mi tylko, żebym się więcej nie rozpytywał, bo on już ma takiego kupca, że lepszego mu nie znajdę.

– My z mężem jesteśmy zdecydowani – powiedziała szybko mama, jakby się bała, że brodac jednak znajdzie. – Ale syn też ma prawo głosu i właśnie chciałam, żeby zobaczył wnętrze.

– To zajdźcie państwo do mnie. Układ jest taki sam. To znaczy, Siedluk chciał robić jakieś klity na poddaszu i w suterenie, na wynajem, ale nie zrobił – mówił szybko brodac, idąc wzdłuż płotu ku furtce. – Zmienił plany. Ja od razu wiedziałem, że się na tym skończy. Tu niejeden wysiadł. Zakład dał pożyczki tylko do stanu zamkniętego, ale wykończenie, proszę pani, to najmniej drugie tyle, jeśli dom ma jakoś wyglądać. Trzeba bidować latami, jak się nie jest bogatym z domu.

– To pan jest? – nie wytrzymał Maciek, który zdążył zlustrować posesję i uznał ją za szpanerską.

– Nie, gdzie tam. Tylko że ja najpierw pojechałem na saksy, a Siedluk najpierw dorobił się dziedziców.

Mama, chcąc nie chcąc, podążyła za rozmownym brodaczem aż do furtki. Dopiero tam przystanęła.

– Ależ my nie chcemy panu przeszkadzać. Domownicy...

– Żadne przeszkadzanie – przerwał brodacz i otworzył furtkę. – Korbal jestem.  
– Liwecka – przedstawiła się mama.  
– Domownicy wybyli. To jest, żona z córeczką pojechały po teściów. Zawsze zapraszamy starszków na niedzielny obiad. Mogliby mieszkać z nami, ale nie chcą. Każdy woli być na swoim.

Jazów – przemknęło Maćkowi przez głowę. – Zupełnie jak w Jazowie. Sąsiedzi zza płotka. Uczynni i wścibscy. Rozmowni i ciekawscy. Ciekawe, kto mieszka z drugiej strony nas. Aha, nas. Tak jakbym już tu mieszkał. O, rwa, ja chcę tu mieszkać. W dwie godziny mi się odwróciło.

Wchodząc na schody, obejrzał się szybko za siebie, na działki. Przy jakiejś altance zobaczył wśród ludzi znajomą sylwetkę. Leśny Dziadek. Udziela instrukcji...

To jest człowiek z zasadami, cholera – pomyślał. – Nie do dobicia. Nie to co ja.

## II. Koledzy

Wysypał wiadro gruzu przy betonowym słupku przyszłej bramy, zamknął wrota garażu i nim zgasił światło, zlustrował wnętrze.

No, tu też jest już jakoś po ludzku – pomyślał z satysfakcją. Przeszedł do pomieszczenia obok, zwanego zależnie od okazji magazynem lub świetlicą, i trochę zaskoczony przystanął: na klepkach boazeryjnych pod oknem siedział Skobel i palił papierosa. Czyżby to już czas na fajrant? Ukrył jednak zdziwienie i powiedział normalnie:

– Skończyłem swoje, teraz mogę wam pomóc na piętrze.

– Tylko nie to – zaprotestował Skobel. – Jak zrobiłeś swoje, to idź do domu odrabiać lekcje. Umowa była: tynkowanie ze sprzątnięciem, nie?

– No tak, ale jak i ja się przyłożę, to będzie prędzej. Przecież nam zależy na czasie.

– Jak ci zależy na czasie, to się nie przykładaj, tylko goń do roboty ludzi. Jakbyś teraz zaczął za nich robić, to jeden zaraz pójdzie zakopcić, drugi do klopa, trzeci weźmie wiadro i przepadnie, i będziesz sam zapieprzał przez godzinę. Inwestor ma płacić, a wykonawca robić, jasna sprawa.

Maciek popatrzył na kolegę z głupią miną, nie wiedział, co odpowiedzieć. Skobel odpowiedzi nie oczekiwał.

– Zeszłem tu, bo chciałem z tobą trzy słowa zamienić bez świadków. Zaraz wracam do brygady, żebyś nie myślał.

– Przecież nic nie myślę.

– Wiem, tak mi się powiedziało – Skobel uśmiechnął się pojednawczo.

– A sprawa jest taka... Chciałem to obgadać z twoim starym, ale jak go wywiało...

– Pojutrze będzie, pojechał na Śląsk po piec gazowy.

– Pojutrze po południu my tu wchodzimy ze starym przykręcać grzejniki. A ja chcę, żebyś swojemu najpierw rzecz wyklarował.

– Jaką rzecz? – Maciek siadł na grzejniku, wstał, położył na grzejnik kawałek deski i siadł znowu. – No?

– Właściwie to nawet dobrze, że twojego ojca nie ma. Mnie poręczniej jest mówić do ciebie, wiesz, co i jak, nie muszę tłumaczyć. Ty mu już tam powiesz, co trzeba. Chodzi o to... – Skobel zaciągnął się, wypuścił dym.

– No, wywalaj „kawę na ławę” – pomógł mu Maciek.

– Chodzi o to, że jak twój ojciec będzie się umiawiał z moim o zapłatę, to niech go rąbnie najmarniej o dwadzieścia patoli. Ty wiesz – dodał szybko – że z tego, co dostał za montaż rur, już gronia nie ma? A to przecież była ciężka forsa. I jeszcze: nie dawajcie mu tego, co przy-

pada na mnie. To, co za rury, to mu musiałem prawie pazurami z kieszeni wyrwać. Ja nie chcę się bić o pieniądze z rodzonym ojcem – dopowiedział ciszej.

– Przepił? – zapytał Maciek, też cicho.

– Wszystko. Chyba że ojcowa mu coś podebrała. Ale to też jakby przepite. Z nim coraz gorzej, leci z górki.

– Może kuracja odwykowa? – powiedział Maciek, żeby coś powiedzieć.

– E, tam. Kajne gadanie. Żeby tej baby nie było, to może. On nie jest zły chłop, w gruncie rzeczy.

– Moja mama też tak uważa.

– Moja mama umiała go trzymać. A ta nie umie, i nie chce. Uch, żeby tę zgredeń szlag jasny trafił!

Maciek był tego samego zdania. Widział macochę Skobla nie więcej niż trzy razy, ale to wystarczyło, żeby wyrobić sobie pogląd.

– Tak – przyświadczył Skoblowi. – Taka baba to gorsze niż wojna. Słuchaj, ja mam pomysł: powiem ojcu, żeby wam zapłacił nie tak jak przedtem, całościowo, żebyście sami dzielili, tylko fifty-fifty. A to, co utarguje od twojego ojca, to też potem da tobie. Urządza cię to?

– Właśnie to. Rozumiesz, ja nie chcę dla siebie, tylko na przechowanie. Mnie moich pieniędzy wystarczy, w szkole dostają już prawie sześć za warsztaty... Ale musimy mieć rezerwę, nie daj Boże jakaś choroba czy coś...

– To jest zupełnie jasne. A może byś chciał...

Na schodach rozległy się ciężkie kroki, a zaraz potem głos:

– Te, szef, fajrant se robisz?

– Już idę, tylko peta zgaszę – odkrzyknął Skobel i wstał. Nim jednak wyszedł, powiedział do Maćka:

– Wy chyba upłynniacie dolce, bo skąd byście mieli na to wszystko, nie?

Maciek skinął głową.

– To niech twój stary przeliczy moją dolę na zielone i trzyma na swoim koncie. Będę pewniejszy.

– To właśnie chciałem ci podsunąć. Nie zginie ci i nie straci na wartości.

– O to, to. Fajny jesteś. Dziękuję. A teraz spływaj, ja tu potem wszystko zgaszę i pozamykam. Klucze mam.

– Przecież wiem – odpowiedział Maciek niechętnie, bo wolałby zostać i „zapieprzać” ze wszystkimi. Ale skoro Skobel wyraźnie go przepędza, to trudno. A lekcje faktycznie trzeba odrobić. Dla honoru jednak, żeby się trochę postawić Skoblowi, chciał bodaj uładzić świetlicę. To chłopcy Skobla tak nazwali tę część sutereny. Przedtem ojciec mówił „magazyn”, mamie się plątała kuchnia i jadalnia, Maciek nieraz nie był pewny, dokąd go wysyłają, i z ochotą przyjął pomysł chłopców, a i rodzicom też się spodobał.

Pod północnym oknem leżały deski, grzejniki i różne takie, co można najwyżej omieść. Pod południowym za to jest co sprzątać: na stole brudne talerze po bigosie, kubki, deska z chlebem, w zlewie też coś. Podszedł do kuchenki gazowej (stary trupiszon, ale dobrze, że ojciec kazał go zamontować), dotknął ręką czajnika – jeszcze ciepły. Wziął się do zmywania.

Odkąd Skobel poszedł na piętro, od razu zrobiło się tam ruchliwiej. Nim Maciek skończył sprzątanie, skoblowcy ze cztery razy zbiegali z gruzem. Może jednak wyjdę razem z Darkiem – pomyślał Maciek. Wstyd powiedzieć, ale wolałby nie iść sam przez ciemną uliczkę, no i parów!

Znowu tupot nóg na schodach, łomot drzwi. Chyba już kończą? Próżne nadzieje, w drzwiach świetlicy pojawił się Skobel z pustym wiadrem.

– Co, jeszcześ tu? – zdziwił się na widok Maćka.

– Zaraz się przebieram – odpowiedział Maciek. – Wy chyba też niedługo kończycie?

– Moglibyśmy, bo piętro tylko trzeba przetrzeć i można by nosić dechy na podłogę. Ale jeszcze nie ma szóstej, uradziliśmy, że jak zostaniemy dłużej, to zrobimy i parter. Tylko policzcie za nadgodziny.

– Tata w zasadzie nie chce, żebyście dłużej niż do szóstej...

– Nie truj, jutro nie mamy warsztatów, tylko szkołę, podrzemiemy na lekcjach.

– To w każdym razie zróbcie sobie przerwę na herbatę. Albo czekaj, zrobię wam podwieczorek, w szafie wszystko jest.

– Teraz jeszcze nikt nie głodny, potem sami sobie zrobimy.

– Na pewno? Bo mama...

– Dobra, dobra – machnął ręką Skobel i podstawił wiadro pod kran.

Maciek zdjął kombinezon, wciągnął sweter, spytał jeszcze Skobla, czy elektryczny piec wyłączyć czy nie, Skobel radził wyłączyć, bo szkoda prądu, cześć, cześć, i nie pozostawiało nic innego, jak zapiąć kurtkę i iść.

Na dworze panował już głęboki listopadowy wieczór. W dolince było zacisznie, czuło się jednak, że górą wiatr pcha ciężkie chmury i że jeśli w tej chwili nie leje, to będzie lało niebawem. Uliczkę rozjaśniało kilka żarówek nad wejściami do domów i światła z okien. Maciek przeszedł na „działkową” stronę ulicy (przy nie wykończonych domkach można się było po ciemku w coś wpakować), spojrzął na „swoją chałupę”: świeciło się wszędzie, na parterze okna były otwarte, doleciał go głos Skobla: „Nie ciebie kropię, cepie, tylko podłogę”.

Maciek przed wyjściem wahał się, czy nie podskoczyć na górę i nie powiedzieć „dobranoc” brygadzie Skobla, teraz jednak był zadowolony, że tego nie zrobił. To są chłopaki o dwa, trzy lata od niego starsze -dostyc, żeby go uważali za szczeniaka, a za mało, żeby ich zupełnie nie obchodził, żeby się z nim nie porównywali. O ojcu mówili „facet z biglem”, o matce „równa szefowa”, ale o nim „picuś-glancuś” albo „szpaner”. Najniesprawiedliwiej w świecie, bo brał się za ciężką robotę tak jak oni, a już w głowie mu nie powstało, żeby zadawać szyku. Ale Maciek już wiedział, że choćby się dorobił bąbli na rękach, a na grzbiecie miał łachy z opieki społecznej, to i tak będzie dla nich paniczem, jak dla kolesiów w Warszawie był „kmiotem”. Mimo że wtedy miał tatę asystenta wyższej uczelni i same piątki w dzienniczku. Takie jest życie.

„Takie jest życie” to było ostatnio ulubione powiedzenie Skobla. Może nie ostatnio, może w ogóle, dość że Maciek co rusz je teraz słyszał. Ojciec wyraził dysgust, że brygadzysta z budowy, gdzie Skobel zaliczał zajęcia praktyczne, zażyczył sobie pół litra i doli za „wypożyczenie” uczniów. Skobel: „Takie jest życie proszę pana”. Mama zdziwiła się, kiedy przepędził z fuchy swojego kolegę. „Obijał się, cwaniak”. „Zawsze to jednak kolega, można było mu wytłumaczyć”. „Sam ma patrzeć, skąd chleb idzie. Takie jest życie”.

„Patrzeć, skąd chleb idzie”. „Takie jest życie”. I jeszcze: „Trzeba wiedzieć, czego się chce”. Ot i cała, prosta i surowa filozofia Skobla. Maciek jej nie podzielał, ale i nie ganił: był absolutnie pewny, że z nią Skobel nie zginie. A może i tego swojego nieszczęsnego ojca jakoś wyratuje?

Bo Skobel, jak się tylko dowiedział o domu, że nie wykończony, że nie ma c.o., tynków, podłóg, szybko zaproponował, że c.o. to on z ojcem robi, byle tylko był materiał. Materiał był („zabezpieczył” go jeszcze Siedluk, tylko nie miał za co wykupić), więc tata, który od tygodnia obdzwaniał nadaremnie prywatne firmy, przyjął (co prawda nie bez wahania) ofertę. Potem okazało się, że Skobel nie przesadzał, zachwalając fachowość swojego ojca. Zyskał więc zaufanie „inwestora”, tym większe, że nieubłaganie pilnował „starego”, pozwalając mu jedynie na dwa piwa w czasie dniówki. Było to bardzo zabawne i bardzo smutne.

Tak, że Skoblem poszło wszystko nieoczekiwanie gładko: przyzwoity inwestor, odpowiedzialny wykonawca plus wzajemna życzliwość bliska zaufaniu.

Gorzej było z drugim Darkiem, z Prezesem. Na pozór scenariusz był taki sam: Darek od razu zapytał, czy nie znalazłaby się dla niego jakaś fucha, i ucieszył się, że owszem, trzeba

założyć instalację elektryczną w całej budzie, z wyjątkiem sutereny, gdzie Siedluk zdążył to zrobić, co prawda raczej na dziko, bez dokumentacji. Że bez dokumentacji to też ucieszyło Prezesa: „Ty, klawo, jak cholera, to ja nie dość, że zarobię, to jeszcze pracę semestralną zaliczę! Wyrysuję wam dokumentację jak na wystawę”. Darek chodził do technikum elektrycznego, tam, odwrotnie niż Skobel w zasadniczej budowlanej, miał więcej teorii, praktyk mniej. Nie za „pół litra i dolę”, ale jakoś też załatwił, że fuchę zaliczono mu jako praktykę, też ściągnął do pomocy kolegę i – niestety – koleżankę. Niestety, bo tą koleżanką była Zośka.

Prezes i Zośka trzymali się razem od czasów Spółki Drzewnej. Darek nie namawiał jej, żeby poszła do technikum elektrycznego, raczej radził jej ogólniak, a potem studia, ale ona chciała mieć jak najprędzej zawód, byle nie babski. No więc chodzili do tej samej szkoły i klasy, chodzili, aż zaczęli „chodzić ze sobą”.

Do Maćkowej chałupy przyszli zaraz w październiku, jeszcze przed Skoblem. Darek obmierzywszy wszystkie pomieszczenia, siadł w świetlicy i zaczął wyliczać ile kabli, gniazdek i wyłączników trzeba kupić, a wyliczywszy aż się zdziwił:

– Cholera, to ci metraż!

Na to Zośka, z zaciętą miną:

– My takiego w życiu nie będziemy mieli.

No i jest. To, czego się bałem – pomyślał Maciek. Powiedział:

– Kto ci wywróżył? Nie trzeba się zarzekać. Moi starzy więcej niż dziesięć lat byli tak jakby bez mieszkania, potem wyglądało, że nie ruszymy się z bloku, a proszę – trafiło się.

– Wam się trafiło, a Wysiedlukowi chybiło.

– Siedlukowi – poprawił z naciskiem Darek i dodał: – Zośka, ja tu nie mam danych z piętra. Skocz na górę i policz, ile ma być gniazdek.

Zośka spojrzała na niego krzywo, ale poszła. Ze schodów usłyszeli jej głos śpiewający: „Pieniążki kto ma, ten jedzie do Wieliczki, a kto pieniążków nie ma, pcha palec do solniczki”.

– Musisz jej odpuścić – powiedział cicho Darek. – Pocięła się dziś z matką o robotę. Matka chce z niej kuchnię dla całej rodziny zrobić, a dziewczyna się nie daje, co się dziwić.

– Powinieneś ją stamtąd możliwie szybko wyciągnąć.

– Sam wiem. Dlatego już teraz zaczynamy tyrać. A po szkole założymy spółkę z kolegą i jak będziemy machać po szesnaście godzin na dobę, to za dwa lata uskładamy na kawalerkę. A może nawet na dwupokojowe.

– Dacie radę? – Maciek miał pewne pojęcie o cenach mieszkań i dlatego w jego głosie brzmiało powątpiewanie.

– Cztery kontakty, sześć gniazdek – oznajmiła Zośka od progu i patrząc na Maćka, dodała: – Dwadzieścia.

– Co dwadzieścia?

– Dwadzieścia patoli za założenie gniazdek i kontaktów na piętrze. Przygotuj swojego tatę, żeby się nie zdziwił, jak dostanie rozliczenie.

– Masz odpowiedź, czy damy radę – powiedział szybko Darek. – Tysiąc gniazdek to już by była kawalerka.

– Dobra, dobra – przerwała mu niecierpliwie Zośka i znowu zwróciła się do Maćka: – Powiedz swojemu tacie, żeby nam wypłacił w dolcach. Możemy tyrać jak dzikie osły, ale nie jak głupie osły. Co składają w PKO, żeby im inflacja co roku połowę zżarła.

Przypomniawszy sobie tę rozmowę sprzed dwóch tygodni, Maciek westchnął: najpierw oni, teraz Skobel. Powariowali na punkcie dolców. Nie – zreflektował się – oni są tylko przezorni. W każdym razie oni. Bo inni „because of dollars” gotowi zabić.

Zrobiło mu się nijako na duszy. Uliczka już się skończyła, szedł teraz przez parów. Ciemno jak u Murzyna w nosie o północy. To nie pora na spacer. Nie ma przy sobie ani centa, ale czy jakiś żuł, dajmy na to w rodzaju Brysia, o tym wie? Tu tylko w pysk dać i uciekać, jak mawiała babcia.



Miałby ochotę biec, ale to byłoby bez sensu – kałuże, suche gałęzie strącone przez wiatr... Gdyby się tak wyłożył w błoto, mama od razu by poznała, że jej nie posłuchał i nie poszedł okrężną drogą przez „Danutę”. Przyśpieszył jednak kroku i niebawem zobaczył już światła bloków. Odetchnął, ale za wcześnie: na Rykowisku majaczyły jakieś postacie i rozlegały się głosy uzasadniające nazwę placu zabaw:

– Ja cię... rwa... olę-darł się jeden głos, a drugi nakładał się na niego. To tylko pijaczkowie – dodał sobie odwagi Maciek i żołnierskim krokiem minął Rykowisko, Głosy zamilkły na chwilę, a potem znowu zachrypiało: „...rwa” i „...olę” – pijaczkowie wrócili do wymiany poglądów. „Żołnierski krok” nie zawiodł – Maciek wypraktykował go jeszcze w Warszawie: jeśli przechodzisz obok żuli stanowczo i spokojnie, nie zwracając na nich uwagi, to masz szansę, że cię nie zaczepią. Najgłupsze, co można zrobić, to gapić się na takich.

Spokojnie i stanowczo doszedł do bloku. Ale czekając na windę, postanowił jednak w przeszłości wracać przez „Danutę”.

Kiedy mama powiedziała: „O, dobrze, że już jesteś”, Maciek poczuł lekkie wyrzuty sumienia, może się o niego niepokoiła? Ale mamie nawet w głowie nie powstało, że mógłby wracać przez parów. Po prostu w jadalni czekał na niego Tomek-Tommy i mama, zdaje się, miała dosyć bawienia go „kulturalną rozmową”, bo ledwie Maciek przywitał kolegę, wyszła do kuchni.

– Co to, nie macie wideo? – spytał Tommy, gdy Maciek siadł w fotelu naprzeciw gościa.

– Nie, a bo co?

– Bo nic, tak sobie pytam. Nasielski przywiózł z Rzeszowa pół walizki kaset, myślałem, że cię to zainteresuje.

– Myślisz nieprawidłowo – pouczył kolegę Maciek.

– Bardzo prawidłowo. Twój stary wrócił z kontraktu, to powinien przywieźć.

– Nie po to ojciec pocił się w tropikach, żeby kupować gadżety.

– A po co? – zdziwił się niebotycznie Tommy. Rzeczywiście, po co? – przemknęło Maćkowi przez głowę. Zawahał się chwilę: powiedzieć? I tak się w grudniu dowiedzą.

– Potrzebny nam był nowy wóz, a poza tym kupiliśmy chałupę w stanie surowym.

– Fiuu – gwizdnął Tommy z uznaniem i zaraz dodał z niepokojem: -To wam forsa leci, nie?

– A leci – przytaknął Maciek, dziwiąc się, skąd ta troska w głosie Tomka, i w ogóle, co go tu przywiało. W budzie trzymali się raczej z daleka, jeden na drugiego patrzył nie to, że krzywo, ale z góry.

– A gdzie on właściwie był, twój stary?

– W Monrovii.

– Monrovia... Monrovia? To w Australii?

– W Liberii.

– E, cieniutko. Ale stówę do pierwszego możesz mi chyba pożyczyć?

– Mogę – powiedział Maciek i sięgając po portmonetkę, pomyślał, że z Tommym też musi być cieniutko, skoro pożyczka taki śmieszny pieniądz. Podał setkę gościowi.

– Coś ty, nie rób kawałów – zachnął się Tommy. – Ja serio potrzebuję setki. Na te kasy.

Maciek zaczerwienił się: prostodusznie myślał o złotówkach. Jednak starał się trzymać fason:

– Przykro mi, ale ja tylko w tym kolorze...

– Nie masz bodaj Grania?

– Nie mam – odpowiedział szybko, nie tracąc czasu na dowiadywanie się, co to jest „grant”.

– No, no – pokręcił głową Tommy – jedno z dwojga; albo szastasz jak wariat, albo z twojego starego nieprzeciętna kutwa.

Za taki tekst albo się leje w pysk, albo przynajmniej wstawia do lodówki. Gościa nie można lać, więc Maciek „wionął mrozem”:

– Dżentelmeni nie mówią o pieniądzach.

– Dżentelmeni je mają, he he – odstrzelił Tommy i wstał. – Trudno, świetnie, przemieszczam się w inne sfery.

„Idź złoto do złota” – chciał powiedzieć Maciek, ale się bał, że Tommy nie pojmie ironii, albo, co gorzej, pojmie i znowu powie coś takiego, co trudno puścić pływem. Też wstał:

– Przykro mi, że ci nie mogłem pomóc.

– Never mind – machnął ręką Tommy pojednawczo, wobec czego Maciek potowarzyszył mu do przedpokoju, a nawet otworzył szeroko drzwi wejściowe, żeby na korytarz padało światło.

– Chyba trafisz do windy? – spytał gościa i wyjaśnił: – Żarówka się przepaliła albo skradli.

– Normalka. Dobrze, że się wyprowadzacie z tych slumsów – rzucił łaskawie Tommy. – A dokąd właściwie?

– Na Działkową. To jest tam między lasem a...

– Wiem, wiem. Dobry adres. Zupełnie dobry!

Maciek nijak nie mógł rozszyfrować, czy Tommy powiedział to serio. A tam, niech go licho... Zajrzał do kuchni, do mamy.

Mama w fartuchu, z zakasnymi rękawami, stała na miską z czymś tam i górą kapuścianych liści. Domyślił się, że robi gołąbki, jak i celu tej produkcji.

– Mamo, nie trzeba, na Działkowej jest jeszcze bigos, a skoblowcy chyba jutro będą ostatni raz.

– To nic, będzie dla nas i na zapas. Zresztą pojutrze zaczyna znowu Banaszak i Darek. Banaszak był tu niedawno, zapewniał, że punktualnie o ósmej w czwartek...

– I dałaś mu zaliczkę! – zawołał Maciek z oburzeniem. Mama nie umiała kłamać, więc próbowała bagatelizować.

– Niewiele, tysiąc złotych. Tak prosił, mówił, że ma pilne zakupy...

– A, że pilne, to wierzę. O siódmej zamykają monopolowy. A Skobel zaklinał, żeby mu nie dawać, zwłaszcza okrągłego tysiąca. Mogłaś powiedzieć, że nie masz.

– A mogłam – przyznała mama skruszona i czym prędzej zmieniła temat: – Kto to był, ten kolega przed chwilą? Nigdy dotąd nie przychodził. Robił kulturalne wrażenie. Ładnie ubrany... Ty też powinienes się trochę obsprawić.

Maciek spojrział na swoje odbicie w wielkiej szybie kuchennej. Niewiele zobaczył w ciemnym oknie, mimo to pomyślał, jak nieraz: Dziwadło ze mnie. Mazurska strzecha na łbie po ojcu, a mołojcka skóra i oczy po mamie. Nie mogło być na odwrót? Zerknął na matkę, smukłą i smagłą i zmienił szybko zdanie. Nie dziwadło, tylko oryginalna uroda – pochwalil się i parsknął śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – zdziwiła się mama.

– Bo to śmieszne, że ledwie zobaczyłaś tego szpanera, już chcesz mnie przefasonować.

– Wcale nie, dawno o tym myślałam, tylko że czasu ciągle nie mamy.

– I tak dobrze, że w taty instytucie zapomnieli, że wraca. Gdyby miał normalnie zajęcia ze studentami, to byśmy chyba do grudnia nie wyrobili.

– Tak, tak, oczywiście – zgodziła się mama podejrzenie zdawkowo, co Maciek zaraz wyczuł. Z tatą różnie to bywało, ale mamę wyczuwał momentalnie.

– Więc o co chodzi? – docisnął.

– Na razie o nic. Tylko że w następnym semestrze będzie strasznie uwiązany.

– E tam, to już będzie luty i najgorsze za nami – Maciek wzruszył ramionami zdziwiony, że mama trapi się na zapas i nie wiadomo czym. Chyba że coś się komplikuje, a mama nie chce powiedzieć? Oj, pewnie tak – utwierdził się zaraz w podejrzeniach, bo mama zagadała o lekcjach:

– Za długo dziś siedziałeś na Działkowej. Zdasz się przygotować na jutro?  
– Zdam. Do matmy mam przecież komputer, a polski i fizę zrobiłem przez pomyłkę w niedzielę.

– Korzystna pomyłka – uśmiechnęła się mama. – No, to siadaj do komputera, a ja do gołąbków – dodała, dosyć stanowczo.

Bardzo mu się nie chciało odrabiać matmy, więc zapytał jeszcze, kiedy będzie kolacja, bo zgłodniał.

Mama spojrzała na górę kapuścianych liści, westchnęła i sięgając po ścierkę, powiedziała, że może mu zaraz coś zrobić.

– Nie, to ja już sobie sam zrobię – odpowiedział, podchodząc do lodówki. – Co mogę sobie wziąć?

– Co chcesz. Może kawał wędzonej kury?

Siadł na taborecie z chlebem w jednej, kurzą nogą w drugiej ręce i zaczął główkować, jak by tu podejść mamę, żeby puściła farbę, co u taty w instytucie jest grane. Ale że naprawdę był głodny, postanowił poczekać z tym do herbaty. Mama wróciła do gołąbków i do początkowego tematu:

– Słuchaj, serio, rozejrzyj się po kolegach, co noszą, jakby ci się jakiś ciuch podobał, to kupimy, jak tata wróci. Możemy nawet w piątek wybrać się do Pewexu.

– Tylko nie to! – krzyknął z pełnymi ustami, przełknął i wyjaśnił: – Ja nie potrzebuję, żeby mnie byle Tommy podliczał: sweter tyle docłów, portki tyle... Zresztą, oni wszyscy chodzą w tym samym, jak umundurowani.

– Jacy wszyscy?

Księżycowe pytanie. Jak tu odpowiedzieć? Trzeba by cały wykład. Na szczęście – zaterkotał dzwonek.

– Pewnie Skobel z kluczami – rzucił matce i zeskoczył z taboretu, żeby otworzyć drzwi.

Nie, to nie był Skobel, na Skobla przecież jeszcze za wcześnie. Krzychu Paluch. Cześć, cześć, wchodź, przynieść ci herbaty?

– Właściwie możesz – zgodził się Paluch, z czego Maciek wywnioskował, że kolega na dłużej.

– Właż – kiwnął głową w stronę swojego pokoju – ja zaraz będę. Gdy przyszedł z herbatą, Krzychu siedział na tapczanie z „Fiaskiem” Lema w ręku,

– Ty masz czas czytać? – spojrzał na Maćka bardziej z naganą niż z podziwem.

– E, tak tam, przed zaśnięciem – odpowiedział Maciek, stawiając przed kolegą szklanekę.

– Dobre chociaż?

– Takie sobie. Ciężkie. A właściwie rozpaczliwe. I Pirxa uśmiercił.

– To już nie dla mnie. Rozpaczliwości to ja mam dosyć naokoło. Już wolę się gdzieś załapać na wideo, pogapić się, jak zdobywano Dzikie Zachód albo i na tego głupiego Rambo. Przynajmniej coś się dzieje i myśleć nie trzeba.

– Dołujesz dzisiaj jakoś, widzę.

– Wysiadł mi kalkulator, a ojca wykołegowali i nie popłynię pod „tanią banderą”, i nie kupi mi nowego. Niby żadna tragedia, ale odzwyczaiałem się liczyć na piechotę.

– To siądziemy razem i policzymy na moim – domyślił się Maciek. – Właśnie miałem się zabrać.

Z Krzychem matma poszła bardzo prędko. Nie ma się co dziwić. Ktoś, kto ma „Sharpa” od dwóch lat, jest szybszy od tego, co stuka dopiero od dwóch miesięcy. Ale ja w głowie liczę lepiej od niego -pocieszał się w duchu Maciek, trochę przygnębiony sprawnością kolegi. – Jeszcze miesiąc, dwa i też będę dobry, albo i lepszy.

To samo, prawie słowo w słowo, powiedział Krzychu, kiedy skończyli.

– Będziemy równi – Maciek nie chciał być mniej wielkoduszny niż kolega. – Jeśli będziesz chciał wciąż tak jak dzisiaj, razem.

- Chcieć to ja bym chciał, tylko to smerfiasty kawał drogi. Żebyś bliżej mieszkał...
- Będę mieszkał jeszcze dalej – wypalił mimo woli Maciek.
- Coś ty? Gdzie?
- Tam niżej, pod lasem. Zamieniamy mieszkanie na segment do wykończenia.
- Śmiała decyzja – pokręcił głową Krzychu i zadumał się na chwilę. Coś kombinował, potem powiedział szczerze: – Szkoda. Myślałem, że ubiję interes. Ale wy chyba wszystko teraz ładujecie w mury?
- Ano, na to wychodzi.
- Wiesz, stary nie popłynął teraz, ale za pół roku to już bankowo. Oddałby z procentem, jak w PKO.
- Ojciec będzie w piątek, spróbuj z nim porozmawiać – powiedział niepewnie Maciek, domyślając się o co chodzi.

Krzysztof pokiwał głową z powątpiewaniem, zaczął mówić, że w końcu nic ważnego i naraż wybuchnął:

– Niech to szlag trafi, za tę szmatławą złotówkę nic porządnego nie można kupić. Co kto ma lepszego, to ci się w nos śmieje, jak mu szopeny pokazujesz.

– Takie jest życie – posłużył się Skoblową maksymą Maciek i zaraz się zawstydził: inne jest „takie życie” dla Skobla, inne dla Krzycha.

– Ale takie nie powinno być – wściekał się dalej Krzychu. – Cholera, mieszkamy w Europie i we własnym kraju, i co to jest, żeby mój stary, było nie było kapitan ze stażem, musiał się wic przed jakimś urzędasem, żeby mu łaskawie pozwolił zarobić nędzne dolce u jakiegoś beżowego cwaniaka.

– Bez dolców też można żyć.

– Tak mówisz, bo twój stary akurat wrócił z kontraktu. Poczekaj rok, dwa, to zmienisz zdanie.

– Przedtem też jakoś szło.

– Przedtem, przedtem. E, co ja tu będę. Spytaj lepiej twojego tatę, czemu pojechał uczyć Murzynów...

Kiedy Krzysztof poszedł, Maciek wyciągnął się na tapczanie i chwilę bezmyślnie patrzył w sufit.

Poczuł się zmęczony, gorzej, tak jakoś zbrzydzone wszystkim. Trzech facetów po dolce w jeden dzień... I ten gest, jakim Tommy załatwił stuzłotówkę... Maćkowi zamajaczył w wyobraźni obraz tak dokładny, że mógłby go narysować: otwarte drzwi, od których ktoś bez twarzy odpędza żebraczkę w szmatach z „szopenów” i „koperników”, a uniżonym gestem zaprasza szpanera w zielonym garniturze, ozdobionym plaketką z portretem Washingtona. Money makes the world go round – zadźwięczało mu w głowie jako podkład muzyczny. „Takie jest życie” „Ale takie nie powinno być”. Czemu oni, do cholery, nic nie robią, żeby ratować ten biedny grosz? Przecież to jest szmacenie nie tylko pieniądza... A jak on w tym wszystkim wygląda? Niby ma, niby nie ma, dla jednych bogacz, dla drugich dziad, no, może nie dziad, ale... „Cie-e-niutko” powiedział Tommy. I pewnie ma go za kmiota. Wciąż to samo: raz „kmiot”, raz „minister”. Czy ja zawsze będę taki znikąd, ni to „krzok”, ni to „ptok”? Inni też się przeprowadzali po pięć razy i nic ich nie uwiera. A może jednak, tylko się nie zwierniają? Ja w końcu też nikomu nic... No, może mamie.

Aha, mama. Miałem ją o coś spytać. Zaraz, o co? Krzysztof coś powiedział, mnie zabrakło języka w gębie... Już! „Dlaczego twój tata pojechał uczyć Murzynów”. Dobra, niech mi to wyłoży dokładnie. Wszystkie kółka i sprężyny na stół. Mam dosyć tych ichnich „uzgodnionych komunikatów prasowych”.

Zerwał się z tapczanu i dość energicznie pomaszerował do kuchni. Ale mama porzuciła już gołąbki. Siedziała w jadalni przed telewizorem i patrzyła, jak zdobywano Dziki Zachód.

Też ma już dzisiaj dość – pomyślał Maciek i cicho siadł obok matki.

Geografka skończyła sprawdzać obecność i spojrzała na klasę tak, jak może patrzeć drwal na kupę kłoców do porąbania.

Oho, będzie pytać – domyślił się od razu Maciek i przygarbiwszy się, przesunął za rozłożyste plecy Jasia Kotelki. Większość nauczycieli wzywała do odpowiedzi z listy, ale Dziunia-Spychacz miała „indywidualne podejście” – wrywała na oko, kto jej podpadł z miny. Rozłożyste plecy Jasia mogły być skuteczną zasłoną przeciwogniową, bardzo w tej chwili Maćkowi potrzebną. W niedzielę przez roztargnienie odrobił polski i fizykę, ale także przez roztargnienie zapomniał wczoraj o geografii. Łypnął z ukosa po klasie – we wszystkich ławkach trwało ciche pogotowie bojowe, otwierano podręczniki i zeszyty, rozkładano przemyślnie ściagi.

W tej szeleszczącej ciszy spadła na podłogę książka. Zabrzmiało to jak pierwszy, przedwczesny strzał. Dziunia-Spychacz spojrzała skąd padł, i czołg ruszył do natarcia.

– No, Kudelska, wymień mi... – nauczycielka zawiesiła głos, pogmerała w notatkach. – Wymień mi dziesięciu największych producentów soi i wysokość produkcji.

Biedna Grażyna – pożałował koleżankę Maciek. – Podniosła książkę, ale producentów soi już nie będzie mogła znaleźć. Grażynka jednak nie była taka głupia, jak utrzymywał odpalony przez nią Krzychu Paluch. Zaczęła z miłym uśmiechem nawijać ogólnie o znaczeniu soi dla gospodarki światowej i nim Dziunia-Spychacz przywołała ją do porządku słowami: „Kudelska, bez poezji, fakty!”, siedzący przed Grażyną Tommy zdążył wyciągnąć odpowiednią kartę ze swego banku informacji i zręcznie podsunąć przed oczy Grażynce. Tommy od podstawówki wiedział, że pójdzie na handel zagraniczny, więc choć olewał wszystko, nawet angielski (no, ale z angielskim był tak do przodu, że mógł), do geografii miał „pomoce naukowe” wręcz bezbłędne.

Maciek patrzył z rozbawieniem i aprobatą, jak Grażynka, wykorzystując swe przyrodzone walory: dziewczęcy wdzięk i długie rzęsy, a to spuszcza skromnie wzrok, a to trzepocze powiekami i zręcznie niby spikerka w telewizji odczytuje dane z Tomkowej karteczki. Czego ten Paluch od niej chce? – pomyślał. – Przecież nie jest głupsza od trzech czwartych bab z klasy. A nie jest złośliwa, nie plotkuje, na swój sposób uczynna... Szkodzi jej, że taka ładna. To się z rozpędu mówi – ładna i głupia.

Geografce płynna od chwili wypowiedź Grażynki wydała się podejrzana, wstała zza stołu i w całej okazałości swej monumentalnej postaci sunęła w stronę uczennicy. Ale Grażynka była już przy siódmym producencie soi i nim niebezpieczeństwo stało się realne, na czwartym biegu wymieniła resztę, a Tommy schował „pomoc”.

– Udało ci się – powiedziała nauczycielka. – Masz czwórkę.

– Czemu nie piątkę? – odezwała się solidarnościowe Jola Bereś z drugiej ławki.

Geografka była teraz w połowie przejścia między rzędami ławek, odwróciła się szybko i odparowała:

– Piątkę można dostać tylko przed tablicą. Proszę cię, stań tam i powiedz, co wiesz o ryżu.

Jola podeszła do tablicy z miną: „nie ze mną te numery”. Ryż -wiadomo, Azja, na pierwszym miejscu Chiny, potem na pewno Indie, a jeśli nawet dalej coś pokręci, to Tommy przesygnalizuje. Dziunia się przechytrzyła – stanęła pod tylną ścianą, żeby mieć wgląd w „pomoce”, ale jeśli delikwent odpowiada przed tablicą, to zza pleców uczniów „pomocy” nie widać. Zorientowała się w tym i czym prędzej wróciła do stołu. Jola była szybsza: „Birna sto czterdzieści sześć” i chciała wrócić do ławki.

– Zaraz, zaraz – przyszpiliła ją geografka. – Sto czterdzieści sześć czego?

– Ton – strzeliła Jola.

– Ton! Dziecko drogie, ile mieszkańców ma Birna? Jola zmarszczyła czoło i przymrużyła oczy, żeby wydawało się, iż usiłuje sobie przypomnieć, i żeby nie było widać, na kogo patrzy. A patrzyła tymi zmrużonymi oczami na Jasia Kotelkę, który, inaczej niż Tommy, „pomoce” miał nie na kartonikach, a w głowie. Pokazał na palcach, Jola nagłośniła komunikat migowy:

– Ponad trzydzieści osiem milionów.

Dziunia zazezowała do swoich notatek i triumfująco sprostowała:

– Nie ponad, tylko poniżej i to grubo. Trzydzieści pięć milionów, dziewięćset dziesięć tysięcy. Na to zerwał się Kotelko:

– Przepraszam, ale Jola ma rację. Trzydzieści pięć to było osiem lat temu. Ostatni rocznik statystyczny...

– Was obowiązuje podręcznik, nie rocznik – odparowała Dziunia. -Zresztą, trzydzieści pięć czy trzydzieści osiem, po ile ziarenek ryżu wypadłoby na głowę, gdyby rocznie produkowali sto czterdzieści sześć ton? No, Beresiówna?

– Pomyliłam się, sto czterdzieści sześć milionów ton.

– Teraz przysypałaś biednych bambusów. Naucz się tego porządnie, spytam cię następnym razem.

Jola krokiem wdzięcznym i beztroskim wróciła na miejsce. Polecenie nauczycielki nie było karą, tylko aktem łaski, wszyscy to rozumieli, wiedzieli też, jakie jest jej źródło. Widać to było po ich minach.

W działaniach wojennych nastąpiła krótka przerwa. Maciek czekał w napięciu: czym i w kogo Dziunia teraz strzeli?

Jednak Dziunia-Spychacz była wrażliwa na miny. Dziwne, ale prawdziwe – myślał Maciek, patrząc na twarz nauczycielki: to szerokie, pulchne oblicze, które w sprzyjających warunkach mogło być (i bywało) wesoło-dobrodusze, miało teraz wyraz strapienia połączonego z niesmakiem. Ona wie, że my wiemy, i jest jej głupio – ocenił minę Dziuni i w sercu zakolałało mu coś w rodzaju współczucia. – Biedna Dziunia. Ona pewnie tak samo jak my nie cierpi geografii gospodarczej, i za to mści się na nas. Przecież przy geografii fizycznej taka nie była. I więcej tłumaczyła niż pytała.

Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie lekcję o rzeźbie polodowcowej, kiedy to Dziunia, usiłując im wbić do głów różnicę między moreną denną a czołową, złączyła przed biustem zaciśnięte pięści i pochylona do przodu wołała: „Lodowiec to nie jest spychacz, rozumiecie? Nie jest spychacz”. Stąd wzięło się przezwisko „Spychacz” (geneza „Dziuni” ginęła w pomrokach dziejów). Ale jeszcze teraz Maciek, jadąc przez Kaszuby, z grubsza odróżniał, które wzgórze jest jaką moreną.

Dziunia myślała, aż wymyśliła:

– Powtórzcie sobie światową produkcję zbóż i innych ziemiopłodów, od dziś za tydzień zrobię kartkówkę. Ale ty, Beresiówna, w poniedziałek i tak będziesz odpowiadać z ryżu. A teraz przechodzimy do hodowli. Piszcie: światowa produkcja świń ogółem...

Bitwa była skończona, a rozejm miał trwać, jak wiedzieli z praktyki, aż do kartkówki.

O tę kartkówkę mieli jednak pretensję do Joli. Tommy na przerwie zaczął ją rugać:

– Cholera, podsuwam ci pod nos tabelkę, a ty nawet nie raczysz przeczytać, co stoi jak byk u góry: „w tysiącach ton”.

– W ogóle wbijcie sobie do głowy, że jak ludność, to w milionach, a jak produkcja to w tysiącach – pouczał z drugiej flanki Kazio Kotelko. -Wszystkiego na palcach nie da się pokazać. Ech, te baby! Wszystkie...

– No, no, tylko nie wszystkie – Maciek postanowił być za rycerza. -Grażyna wyszła na czysto.

Zainkasował od Grażyny miły uśmiech. Jolka broniła się sama:

– Moi słodcy, możecie pyskować ile chcecie, a ja i tak się gegry nie będę uczyć i szlus. Po co mam wiedzieć, ile świńskich ogonów lata po świecie? Skończę jakiś ulgowy wydział, żeby mieć dyplom, a potem i tak założę butik.

Zaśmiali się, rozbrojeni tą szczerością. Jola zaś, żeby zgoda miała trwałe podstawy, dodała:

– Jeśli uważacie, że ta kartkówka to kara zbiorowa za moją wpadkę, to niech mi Tommy da odpowiednie kartoniki. Przekażę ojcu, a on każe zrobić tyle ksero, ile trzeba dla wszystkich i na kartkówce wszyscy będziemy mądrzy. Może tata „świadczyc dla szkoły”, mogę ja dla klasy. O!

Tata Joli był szefem firmy handlującej komputerami i robił taki szmal, że mógł odpalić szkole dwa komputery, co prawda starszej generacji, ale za to z serwisem. Jola nie nadużywała „działań osłonowych” taty, to musiał każdy sprawiedliwy przyznać. Zresztą nie musiała – z matmy krążyła koło czwórki, w polskim nawet trochę brylowała, tyle że nie ze swobodą ogólnie przyjętą. Poza tym szpanowała w miarę, nie jak ten olewus Tommy, dlatego ją lubiano. Teraz klepnęła olewusa w ramię i powiedziała:

– Chodź, słodziaku do klasy i otwórz mi sejfy twojego banku.

Tommy miał ochotę zaprotestować, ale przy pięciu świadkach nie śmiał i dał się sterroryzować.

– Tommy, ja też mam coś dla ciebie – przypomniała sobie Grażynka i poszła za tamtymi do klasy.

– Mafia wileńska, psiakrew. Zawsze na cztery łapy – usłyszał Maciek głos Kotelki.

„Wileńska” nie oznaczało, że z Wilna (z Wilna to akurat wywodził się Kotelko, a raczej jego rodzice), tylko z ulicy Wileńskiej i okolic, które Tommy zaliczał do „dobrych (a nawet bardzo dobrych) adresów”. „Mafia” liczyła parę głów, które oprócz dobrego adresu miały też samochody dobrej marki i pewne wspólne sprawy, niepojęte dla innych.

– Ojej, zaraz mafia – obruszył się Maciek. – Zresztą, Grażyna nie jest z Wileńskiej, o ile wiem.

– Ale zawsze z „drugiego obszaru płatniczego” – nie ustępował Kotelko.

Najniespodziewaniej w świetle do rozmowy wmieszał się Maćkowy cichy sąsiad z ławki, Jarek Zagaja:

– Czego się złościsz, Jasiu? Że Jola nie chce zakuwać ton ryżu i owsa, czy że planuje założyć butik? Ja też nie chcę, a po studiach założę firmę z Zielińskim.

– Naturalnie. Z twoim wspaniałym Zielińskim podbijecie świat i okolice – zadrwił Maciek i poszedł niby zobaczyć, czy jeszcze ciągle leje, a naprawdę dlatego, że nie mógł słuchać o Zielińskim. Z Zagają siedział razem od pierwszej klasy, sam go sobie upatrzył, bo wydał mu się sympatyczny i chciał go mieć za kumpla. Rzecz jednak w tym, że Jarek sympatyczny wprawdzie był, ale do roli kumpla wcale się nie kwapił. Przez „wspaniałego Zielińskiego” oczywiście. Ów tajemniczy Zieliński, którego Jarek ciągle cytował niczym świadkowie Jehowy „Pismo Święte”, był kolegą Jarka z podstawówki i mieszkał niedaleko od Jarkowego falowca. Gdyby w falowcu, to Maciek gładko odpuściłby Jarkowi wierność starej przyjaźni. Ale ten Zieliński mieszkał w odglancowanym domku, chodził do „angielskiego” liceum w Gdyni, dokąd odwoził go służbowym samochodem tata, jakaś nieprawdopodobnie wielka szycha u Hartwiga. Więc Maciek, dotknięty odrzuceniem oferty przyjaźni, podejrzewał, że sąsiad z ławki adiutantuje Zielińskiemu mniej więcej tak, jak szara myszka Kasia z ostatniej ławki dynamicznej i odstrzelonej na wysoki połysk Joli.

Trzy ostatnie lekcje przeszły już spokojnie, polski – bo był przygotowany, chemia – no cóż, chemię to on umiał „z domu”. Od zawsze było jakby postanowione, że pójdzie w ślady ojca, choćby dlatego, żeby pokażna biblioteka fachowa się nie zmarnowała. Maciek się nie zastanawiał, czy mógłby wchodzić w grę jakiś inny kierunek, przyjmował przyszłe studia za tak samo oczywiste, jak w podstawówce ogólniak. Był zaskoczony, kiedy swego czasu odkrył, że dla Darka-Prezesa i Zośki to nie było oczywiste, a rozczarowany, kiedy tamci poszli do technikum. No cóż, mieli swoje racje, takie jest życie.

W siąpiącym deszczu wracał z kolegami – on szedł do autobusu, oni do kolejki. „Mafia wileńska” dawno ich minęła samochodem prowadzonym przez tatę Jolki, Grażynka odpłynęła w szarą mgłę golfem z mamą.

E, chyba nie? Golf stoi na placyku koło przystanku autobusowego. A przy golfie – mama, ale nie Grażynki, tylko jego własna. Spojrzał na numery golfa – no tak, to ich. Gdyby mama siedziała w golfie, to by udał, że nie widzi, teraz jednak nie miał wyjścia.

– Cześć – powiedział szybko do kolegów i skręcił na placyk. Może nie zauważą, że odjeżdża wozem? Nie ma tak dobrze – jeszcze nie uszedł tuzina kroków, kiedy doleciał go głos Kotelki:

– Ot, i mafia wileńska sje powiększyła...

Ojciec Skobla w lecie był „konserwatorem sieci w.k. i c.o.”, ale w zimie palaczem, bo to „lepiej płaciło”. Więc załatwił sobie ze zmiennikiem tak, że brał tylko nocki, a w dzień z synem i kolegą montowali grzejniki na Działkowej, aż furczało. Zostało jeszcze parę dni listopada, a do domku mogli już wkroczyć licencjonowani zakładacze gazowego pieca c.o. Był to malowniczy duet (mama przezwiała ich od razu „Rączka i Adamus”), bardzo skłonny do rozmówek i bardzo bezceremonialny -bez obciachu przyjmowali w piwnicy jakichś swoich znajomych, którzy przybywali ze świata z niecierpiącymi zwłoki komunikatami. Tatę te ich posiedzenia wkurzały, ale zdobył się tylko na cierpkie pytanie, czy aby skończą w ustalonym terminie.

– Szefie, nasz interes, klientela czeka, a my do piętnastego grudnia musimy być na czysto, bo potem zjeżdżamy do Wiednia czekać na śnieg – wyjaśnił obszernie Rączka w słusznym przekonaniu, że „własny interes” jest lepszą rękojmią niż słowo honoru.

– Do Wiednia? – zdziwił się tata. – W Alpy raczej?

– O nie, szefuniu, my jeszcze nie ten standard. W Wiedniu można dostać legalnie tylko jedną fuchę – odgarnianie śniegu. Złoty interes, płacą ci parę groszy za „gotowość”, jak się ma metę z telefonem, to nawet się wszystkiego nie wyda, zresztą bierzemy wałowę z domu. A jak leci śnieg, to hop na elegancki płuzek, jeździsz, jeździsz, możesz dzień i noc, aż z siodełka nie spadniesz, a za każdą godzinę leci ci z nieba ze śniegiem pięć dolców. Pan sobie policz, ile to da.

Tata może i policzył, ale nie wypowiedział się na ten temat, tylko upewnił się, że jutro po południu próbnego palenie.

Usłyszał to Skobel, który układał w kuchni kafelki (sam, żał mu było dzielić się z kimś zarobkiem) i zajrzał do piwnicy zapytać, o której ma być ten odbiór, bo jego ojciec też musi przy tym być, sprawdzić, czy i jak grzeją wszystkie kaloryfery. Maciek potowarzyszył mu na górę i wtedy okazało się, że Skobel słyszał nie tylko rozmowę o odbiorze.

– To ci fajansiarze, te wasze inżynierki. Żeby mieć taki fach, taką firmę i jeszcze jechać kasztanom śnieg odgarniać... No, ale takie jest życie – za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli.

– Jaki tam oni lud – wzruszył ramionami Maciek. – Po studiach przecież.

– To i gorzej. Żeby po studiach nie umieć zarobić w swoim fachu?

– Wiesz jak to jest, żyć z pensji? A jak już się przestawisz na robienie szmalu, to trudno się zatrzymać – bronił fajansiarzy Maciek, myśląc:

Ciekaw jestem, gdzie ty się zatrzymasz. Jeśli w ogóle...

Okazało się niebawem, że wątpliwość była uzasadniona. W miarę, jak chałupa na Działkowej stawała się bardziej mieszkalna, Skobel robił się bardziej zażarty na robotę. Łazienkę kończył zupełnie sam, a do boazerii na poddaszu zatrudnił tylko jednego pomocnika i to z młodszej klasy. Zdziwionemu Maćkowi wyjaśnił:

– Ci moi to by chcieli się dzielić po równo, a mnie się to nie opłaca. Ja mam na świadectwie: technolog prac wykończeniowych i potrzebuję pomocnika, nie współnika. Mundzio mi tylko listwy przycina, do czego innego za głupi, a i tak niech się gówniarz cieszy, że na portki zarobi. Zresztą, żeby to nie był twój pokój, to bym i jego nie brał. No, ale chcę ci prędko skończyć, żebyś mieszkał jak człowiek.



Skobel widział czarno ich pierwszą zimę w nowym domu – uważał, że tylko Maćkowe poddasze, jako że z drzewa, będzie ciepłe, gdzie indziej nie przeschnięte tynki zjedzą wszystkie kalorie. Odradzał malowanie: „Pobielić wapnem, żeby był wygląd, i tyle. Resztę se zostawicie na zaś”.

Do bielienia jednak, zmuszony przez „inwestora”, musiał zwerbować kolegów. Naglił czas i Siedluk. Były właściciel zachodził i do mieszkania, pytać, kiedy przeprowadzka, i na Działkową, patrzeć, jak się robota posuwa. Widać było, że mu markotno po stracie, tym markotniej, im dom wyglądał bardziej po ludzku. Ale im mu było markotniej, tym energiczniej poganiał:

– Ja, gdybym miał ogrzewanie, już bym dawno tu mieszkał. Gotować można w piwnicy, graty zwalić do dużego na parterze, mieszkać w tym, co ma być kuchnią, i już. Na cackanie się będzie czas latem.

Inspekcje Siedluka były ze wszechmiar niemiłe, głupio było wszystkim, jakby go okradli, i tata po każdej jego wizycie przypominał sobie i mamie, że przecież nie targował się ani o grosz i był najlepszym z możliwych kupców. A mama nic nie mówiła, tylko jak wzięła się do pakowania, tak z każdym dniem trudniej było ruszać się po mieszkaniu i połapać, gdzie co jest. Tata perswadował mamie, że po co to demolowanie gospodarstwa domowego, do pierwszego grudnia jeszcze czas, ale mama wiedziała swoje.

Teraz wpakowała Maćkowi dwie torby z suchym i gotowanym prowiantem i kazała jechać na Działkową, nakarmić młodocianych malarzy.

– Tylko proszę cię, dopilnuj, żeby zjedli. Najlepiej przygrzej im gulasz, nalej herbaty i wołaj do stołu. A sam nie siedź za długo!

Też mi logika – myślał Maciek, stojąc na przystanku. – Albo mam szybko wracać, albo pilnować, żeby zjedli. A autobus znowu gdzieś wcięło.

Musiał teraz jeździć autobusem przez „Danutę”, bo parów już nie to, że był ciemny o tej porze, ale rozmokły jak chleb w zupie. Popatrzył na zegarek – 16.15, nie, autobus nie mógł uciec. Wyleciał z rozkładu? Utknął w korku przy Słowackiego? Niby godzina szczytu...

Zaczął spacerować po zakażonym chodniku, dwadzieścia kroków w lewo, dwadzieścia w prawo. Potem wytknął sobie pewien cel: dojść do latarni bez oglądania się, czy autobus nie jedzie. Jak przyjedzie, nim się odwrócę, to wygram, pomyślał. Przegrał raz, zaczął na nowo. Słyszał za plecami szum silnika, ale nie autobusu. Mimo to nie wytrzymał, obejrzał się. Golf! Mamie się coś przypomniało, czy tata jedzie „na kontrol”?

Żeby go tylko nie minął! Pokiwać nie mógł, bo w obu rękach torby. Ale golf i tak się zatrzymał. Tylko że z za uchylonych drzwiczek zawołała na niego – Grażynka Kudelska.

Przemaalujemy chyba naszego albo co? – myślał, podchodząc szybko do wozu.

– Hej, Maciek, podrzucie cię gdzieś?

– Do pętli na „Danucie” – powiedział i dodał, kłaniając się mamie Kudelskiej: – Jeśli to pani po drodze.

– Tak, tak, my na Działkową.

– Na Działkową? – zdziwił się Maciek. – Ja też. Teraz zdziwiła się Grażynka:

– Ty też? A co tam robisz? Wsiadaj, opowiesz w wozie. Maciek dość niezdarnie (dwie torby!) usiłował otworzyć tylne drzwi, ale ktoś z wnętrza go ubiegł. Jakaś dama w jasnym odzieniu.

Wybąkał „dzień dobry” i ostrożnie manipulując torbami (jasne odzienie damy nie czułoby się dobrze w kontakcie z gulaszem), jakoś się władował. Grażynka odwróciła głowę, podparta brodę ramieniem i powtórzyła pytanie.

– Zawożę obiado-podwieczorek malarzom. Bo my tam będziemy mieszkać.

– O, będziemy sąsiadami! Jak miło – ucieszyła się nie wiadomo czemu mama Kudelska. – I kiedyż to przeprowadzka?

– Jak dobrze pójdzie, to za dziesięć dni. Biedna mama już się pakuje,

– Podziwiam ją! – wtrąciła „jasna dama”. – Mieć pakowanie na głowie i jeszcze gotować dla robotników! Ja bym się tak nie godziła.

– Myśmy się nie godzili, tylko...

– Wymusili na was zbóje, prawda? Ja panu poradzę, niech pan to przekaże mamie: jak myśmy kończyli willę, to żadnego tam podwieczorku czy coś...

– Pracują do późna, muszą skądś mieć siły.

– Właśnie! Myśmy robili tak: wielki termos kawy, ale szatańskiej, pół litra i po dwie paczki papierosów na stół. Aż im się oczy śmiały. A robili! W oczach migąło. I wszyscy byli zadowoleni.

– Ale ludzie muszą przecież jeść, nie mogą... Grażynka machnęła ręką, żeby dał spokój, więc urwał. A dama roześmiała się:

– Pan ma rację, ja też tak myślę. Ale wie pan, że oni nie jedzą? Co dzień prawie wyrzucaliśmy do kubła te kromki, które im żony do roboty dawały. Nie mam pojęcia, jak oni żyją.

– Zapewne – odpowiedział sucho Maciek. – Ale gulaszu mojej mamy nikt z nich nie wyrzucił.

– Widać pańska mama wyżywa się w gotowaniu – przycięła dama.

Na to Grażynkę aż rzuciło, powiedziała: „Na pewno nie tak jak ciocia”, co chyba było zjadliwą złośliwością, bo włączyła się interwencyjnie mama Kudelska:

– To już zaraz nasz dom, ale podwieziemy pana na miejsce. Tylko który to segment?

– Tak blisko, że sam dojdę. Tu trudno zawracać wozem.

– Maciek wie, bo ma takiego samego golfa jak my – przytwardziła Grażynka. Kiedy zdążyła zauważyć?

– Jeśli niedaleko, to może rzeczywiście lepiej stanąć – dodała skwapliwie dama. – Ty, Asiu, wybacz, ale nie jesteś mistrzem w zawracaniu. Szarpiesz wozem, że strach. A ja mam w torbie śliczną rzecz, prześliczną i kruchuteńką. Pokażę ci w domu, oszalejesz.

Niebawem stanęli przed wykończonym segmentem.

– To taki sam jak nasz – powiedział Maciek do Grażynki, która wysiadła równie szybko jak on. Dama jeszcze kokosiła się w wozie, nawet jęknęła: „O Boże, tylko nie to”, ale nikt na ten jęk nie zwrócił uwagi. Mama Kudelska też, bo zapraszała właśnie Maćka, żeby wracając zajrzał do nich.

– Obejrzy pan sobie mieszkanie, może jakiś nasz pomysł da się i u państwa wykorzystać.

– Chętnie, ale...

– Nie bądź dzikusiem, wpadnij – poparła mamę Grażynka, więc obiecał, że owszem, na chwilę.

Maszerując po zabłoconych i już tu i ówdzie pozapadanych płytach myślał, jak to się zabawnie wszystko obróciło. Wychodzi na to, że z całej klasy on będzie najbliższej Grażynki. „Mafia wileńska” dopiero wywali gały... A Krzychu Paluch! Oj, nie, lepiej, żeby go to nie obeszło. Uderzał do Grażynki, ona nic, ale czy to jego, Maćka wina? Zresztą Grażynka nic Maćka nie obchodzi, gdzie tam, tyle że ładna dziewczyna, miło będzie wejść z taką na imprezę, zaraz, co tu najbliższego się pichci, aha, andrzejki, świetnie. Nie, klops, andrzejki to będzie chyba ostatni dzień przed przeprowadzką, Siedluk przecież ani dnia nie popuści. A może? E tam, nie chodziłem z nią przedtem, nie muszę teraz. Ale mimo to zabawne, że i wóz, i chałupę mamy takie same.

Gdy skręcił na własną ścieżkę, pomyślał, że chałupa długo nie będzie „taka sama”. Tu gruz, błoto, kłamoty, mury gołe, okna nie pomalowane, a u Kudelskich pic i szpan, że u-hu-hu. Zdjęła go ciekawość, jak też musi być w środku, i wybaczył sobie, że zgodził się tam wpaść. Wprawdzie miał przykazane, żeby zaraz wracać do domu, no ale oszczędził czas przez to, że go Kudelskie podrzuciły prawie pod drzwi, zimować u nich nie będzie...

Zszedł do świetlicy, nawet nie rozpiął kurtki, tylko od razu postawił na gazie czajnik, wyjął garnek z gulaszem („jeszcze ciepły, no, ale lepiej przygrzać”), rozłożył na stole talerze i

sztuńce, aha, jeszcze ogórki, gdzie one? Nie ma, zjedli. Trzeba otworzyć następny słoik. Okazuje się, że mama dobrze zrobiła przywożąc tutaj wszystkie weki. Ależ trzyma to wieczko, niech to szlag...

Wziął słoik między kolana, nacisnął oburącz, no, puściło, ale trochę ogórkowej wody chlapnęło mu na spodnie. Niech to! Na pierwszej wizycie będę śmierdział jak sklepik z kapustą.

Już nie wykladał ogórków na talerze, tylko ruszył na piętro, wołać Skobla i jego brygadę. Z przyszłej kuchni wiało chłodem od otwartego okna, za to wyżej łaźnia. Skobel widać potraktował dyrektywę swojego taty: „hajcować i wietrzyć, wietrzyć i hajcować” zbyt dosłownie.

Maciek zatrzymał się na półpiętrze i krzyknął;

– Darek, hej, gdzie jesteś?

Z pokoju, który miał być mamy, wychynał ubielony Skobel.

– Dobrze, że przyszedłeś – ucieszył się.

– Przyniosłem obiad, schodźcie, herbata zaraz będzie.

– Chłopaki, do koryta! – krzyknął Skobel w kierunku drugiego pokoju i zwrócił się do Maćka. – Mnie chodzi o to, czy już żeście się namyślili, gdzie ma być ten wihajster, no, ten termostat od c.o. Ja bym kabel położył przed malowaniem...

– Jeszcze nie – zawstydził się (po prawdzie za ojca) Maciek. – Rozumiesz, chata nie obmieszkana, my nie wiemy, która izba będzie „miarodajna”.

– No, to już wasza sprawa, ja mówiłem – Skobel jakby się trochę obraził.

– Ty, ja wiem! – ucieszył się Maciek. – Ja skoczę na koniec ulicy, tam już prawie przy pętli. Tam jest taka sama buda jak tu, identico. To nowi znajomi, dowiem się, gdzie oni powiesili termostat, i zaraz ci powiem.

– Dziś nie musisz – zgodził się łaskawie Skobel. – Ale jutro mam wiedzieć.

– Dobra, to ja już tam lecę – odpowiedział Maciek ni w pięć ni w dziewięć. – Gulasz macie na gazie. Schodźcie zaraz, bo się przypali. Cześć!

I poleciał ani się oglądając na Skobla, który nawet nie zdążył powiedzieć: „Goni cię kto, czy co?” Skobel tylko wzruszył ramionami i statecznie zszedł do piwnicy, ratować gulasz przed przypaleniem.

A Maciek gnał do Grażynki, uskrzydłony chytrą myślą: „Taki świetny pretekst! Powiem mamie, że poszedłem w sprawie termostatu, że nie wypadło tak zaraz w tył zwrot, ale że za herbatę podziękowałem!”

Tymczasem u Kudelskich o herbacie w ogóle nie było mowy. Grażynka z miną spiskowca pociągnęła kolegę od razu na schody, nawet nie pozwoliła mu kurtki powiesić.

– Rzucisz u mnie na krzesło, chodź, chodź.

Maciek biegł za nią prawie na palcach, taka była tajemnicza. Z living-roomu dochodziły kobiece głosy, jeden, „jasnej damy”, dominował.

– Co się dzieje? – spytał szeptem Maciek, gdy wbiegli na poddasze. Grażynka parsknęła zduszonym śmiechem:

– Ciocia Luna się wścieka, bo stłukła to „kruchuteńkie cudenko”, którym chciała zaszpanować przed mamą. I wciska jej, że to niby moja wina.

– Niby czemu?

– Niby temu, że powinnam była pomóc jej wysiąść i odebrać paczki, a nie...

– A nie trajlować ze mną, co? Czuję, że mam przerąbane u twojej rodziny.

– Jaka ona tam rodzina, przyszywana ciotka, mamina koleżanka ze szkoły. Że też mama przez tyle lat nie mogła jej gdzieś po drodze zgubić! Widać nie chciała – pomyślał Maciek, a głośno powiedział:

– Coś jakbyś jej nie kochała?

– Pewnie. Wredny babsztyl. No, zwalaj kurtkę i siadaj, gdzie ci wygodnie.

– Och, chyba wszędzie – westchnął Maciek, walcząc z zamkiem błyskawicznym. Wyswobodził się wreszcie i siadł na najbliższym fotelu, rozejrzał się i dodał: – Miło tu u ciebie.

Bo i było miło, miło i przestronnie. Koło południowego okna stało biurko i regały z książkami, koło zachodniego – fotele kontiki i niski stolik ze „sprzętem grającym”, poza tym w kącie przy drzwiach niski tapczanik, stojąca lampa i na tym koniec. Właściwie jedyną ozdobą pokoju był dywan, wielki, miękki, głuszący najbardziej energiczne kroki.

– Coś mi się widzi, że jak przyjdzie co do czego, to mój pokój urządzę jak twój. Wydaje mi się bezbłędny.

– A skądże – zaprotestowała Grażynka, kraśniejąc z zadowolenia. – Tu nie wszystko jest jak należy, niejedno trzeba jeszcze zrobić.

I założyła Maćkowi wykład, co sfelerowane na amen, a co da się ulepszyć. Maciek słuchał jednym uchem, bo były to raczej babskie sprawy, poza tym, kiedy rozwalił się na kontiki, poczuł, jak bardzo w gruncie rzeczy jest zmęczony. Zamarzyło mu się, że Grażynka przynosi herbatę, włącza magnetofon, że sobie mogą tak spokojniutko to słuchać, to rozmawiać o rzeczach pięknych i niepraktycznych, że nie czekają na niego lekcje i pakowanie... Przez grzeczność jednak wykazał bliższe zainteresowanie tym, co mówi Grażynka:

– Dlaczego „szmaty”, a nie obrazy? – spytał.

– Widzisz – zaczęła mu wyjaśniać – szmata, wszystko jedno: sumak, gobelin, kilim, komponuje ci się z drewnem zawsze i z każdym. A obraz prawie nigdy. Bo dobry obraz to i dobre ramy, a znowu... Ty! – urwała, nasłuchując. – Ciocia Luna sływa, Bogu dzięki.

Wybiegła na schody, przechyliła się przez poręcz i niebawem skinęła na Maćka z uroczym, konspiracyjnym uśmiechem:

– Chodź, droga wolna!

Ee, z nią to można nie tylko ludziom się pokazać, ale i konie kraść! – pomyślał Maciek i jakoś mu nie przyszło do głowy, że przedtem prawie się ukrywał przed rozindycjonowanym babsztylem, któremu po pierwsze nic nie zawinił, po drugie – który go ani ziębił, ani parzył.

– Wiesz, ja już w ogóle pójdę – powiedział. – Obiecałem mamie, że nie będę nigdzie zimował. Aha, tylko powiedz mi, gdzieście zainstalowali termostat od c.o.

– Pojęcia nie mam. Ale mama ci powie.

Chcąc nie chcąc (choć raczej to ostatnie), dał się zaprowadzić do living-roomu. Mama Kudelska poinformowała go natychmiast, że termostat należy zainstalować w holiku na pierwszym piętrze i nastawiać go na temperaturę o dwa stopnie wyższą, niż ta, którą się chce mieć w pokojach. Grażynka pociągnęła go pod boczną lampę, gdzie na stolyczku leżało coś w grubym papierze.

– Popatrz, o to poszło cioci Lunie.

Maciek popatrzył: na papierze stała śliczna figurka z porcelany: pasterz nagiął gałąź wiśni i podawał owoce pasterce, która siedząc na murawie, unosiła ku niemu misternie pleciony koszyczek. Tylko nic do niego nie miało wpaść: korona drzewa, przygięta gałąź i ręka pasterza leżały w kawałkach na papierze.

– O Boże! – jęknął Maciek. – Współczuję jej.

– A ja nie – odpowiedziała z zaciętą miną Grażynka. – Przywiozła to tutaj tylko, żeby się chwalić. Ona robi w zapiekankach, truje pół Trójmiasta – zaśmiała się – a my w ceramice. Ma kompleks niższości i dlatego co rusz demonstruje, że jest na świecie porcelana lepsza niż nasza.

– Grażynko! – zgromiła ją mama Kudelska. – Jak możesz... To jest cenna rzecz. Majsen.

– Majsenów nie tka się w byle jakim papierze do torby pomiędzy ogórki i pomidory.

– Z tym się zgodzę. Ona jest bardzo nieuważna. Wie pan – Kudelska zwróciła się do Maćka – przyjaciółka uważa, że jeśli rozbiła to cacko o drzwi naszego auta, to my musimy znaleźć jej kogoś, kto naprawi. Także dlatego, że mąż jest z branży. Tłumaczyłam jak dziecku, że co innego modelować w porcelanie, co innego wypalać, a zupełnie co innego sklejać stłuczki.

Powiedziała mi na to... – urwała nagle. – Mniejsza z tym. Zje pan z nami podwieczerek, prawda? Grażynko, proszę cię...

Maćkowi stanęli przed oczami Skoblowcy nad gulaszem w zakurzonej „światlicy”, mama nasłuchująca szczęku kluczy... Ocknął się, podziękował bardzo stanowczo, chyba zbyt stanowczo, bo mama Kudelska z lekka się nadeła. Żeby nie zostawić złego wrażenia, bez dłuższego namysłu wystąpił z propozycją:

– Moja mama jest konserwatorem takich rzeczy w muzeum. Proszę mi dać tę figurkę, mama sobie z nią poradzi.

– Ale czy można ją tym obarczać? – spytała dla pozorów Kudelska, jednak od razu pojaśniała i rzuciła się pakować zdemolowane drzewko z pasterską parą.

„Ale czy ja mogę ją tym obarczać?” – Maciek poczuł wyrzuty sumienia, kiedy stanął przed mamą i zaczął wyjaśniać w czym rzecz.

– Bo mi się żal zrobiło Grażynki, jak ten babsztyl zaczął się na nią wydzierać – tłumaczył się, grubo koloryzując. – I to taki ładny drobiazg, majsen – popisał się. – Szkoda dać partaczowi.

– Widzę przecież, że Miśnia – mama też nie była wolna od zawodowego snobizmu. -I to z dobrego okresu. Dobrze, zrobię ci to w najbliższych dniach.

– Mamo, jesteś fajna! – rozpromienił się Maciek. – Ja ci to odrobuję! Spakuję wszystkie książki taty, albo garnki, albo co chcesz!

Mama popatrzyła na niego dziwnie rozweselona i powiedziała: – Tak czy owak byś pakował. A tę Miśnię zrobię w pracy, tu przecież nie mam instrumentów. Odbiję sobie w ten sposób za klej, który tata mi przywiózł dla celów służbowych.

Maciek przypomniał sobie, że tata rzeczywiście przywiózł karton różnych tubek i wręczył go mamie ze słowami: „Żebyś mi się nie trula tym paskudztwem, na które wciąż narzekasz”.

Odetchnął z ulgą, że nie wrobił mamy aż tak, jakby mogło się wydawać. Ale żeby jednak odwdziżyć się mamie, poszedł do tatowego pokoju zobaczyć, czy jest do czego rękę przyłożyć. Było, czemu nie. Tata stał przed regałem, trzymając w ręku kartę z bloku rysunkowego, pokreśloną w kolorowe prostokąty.

– O widzisz – zwrócił się do syna bez zbędnych słów – tu jest schemat:

regał I – na czerwono, II – zielony i tak dalej. Takim samym kolorem oznaczy się kartony...

– Kapuję. Będiesz od razu wiedział, co w którym jest.

– O to-to. Podawaj mi książki, ja będę układał w pudłach.

Tata był w dobrym humorze, Maciek w jeszcze lepszym, aż zaczął podśpiewywać. Gdy mama przyszła zawołać ich na kolację, regały były już puste, a ojciec z synem, wiążąc kartony, wydzierali się unisono;

So kiss me and smile to me,

Say, that you wait for me...

– Coście wy w takim sentymentalno-kowbojskim nastroju? – zaśmiała się mama.

– A co, nie jesteśmy dzielni kowboje? – tata wskazał na sześcian powiązanych kartonów.

– Bardzo, bardzo dzielni kowboje – pochwaliła ich mama pobłaźliwie i kazała iść umyć ręce przed jedzeniem.

W łazience Maciek śpiewał jeszcze „So kiss me and smile to me”, a potem, siadając do stołu, pomyślał; Cholera, że też najgorsze pakowanie musi nam wypaść w andrzejki. No, trudno, wszystkiego nie można mieć, jak mawiała babcia.

Okazało się jednak, że od czasu do czasu przynajmniej można wszystko mieć. Mama sklepiła wiśnię i pasterza nie w kilka, a w dwa dni, kiedy zaś Maciek podziwiał jej bezbłędną robotę, przyszedł niespodziewanie Siedluk, aby oznajmić, że bardzo przeprasza, ale wynikiły

trudności z transportem i będą się przeprowadzać nie w sobotę, tylko dopiero we wtorek (umówione było już dawno, że Siedluk postara się o ciężarówkę i ludzi ze stoczni, którzy przywiozą jego chudobę i wywiozą meble Liweckich na Działkową). Maciek uznał więc, że bez obrazy boskiej i czwartego przykazania może iść na andrzejki, a nawet, jeśli mu się uda sprawę dobrze rozegrać, to kto wie, może tata odbierze i jego i Grażynkę z zabawy; i to będzie bardzo dobrze, bo niech raz „Pociej Macieja, a nie Maciej Pocięja ma za dobrodzieja”.

Zwłoka wyszła na dobre wszystkim – brygadzie Skobla, bo zarobili dodatkowy grosz przy sprzątanii, na które przedtem nie byłoby czasu, tacie – bo przestał się truć, że rodzina wyląduje w bielonym chlewie, nie w mieszkaniu. Z poświęceniem mył szyby i drzwi, Maciek mu pomagał i prawił komplementy, żeby tata się cieszył i na amen zapomniał, że przecież Maciek z początku kręcił nosem na pomysł przeprowadzki. Mama upiekła ciasto na pożegnanie Skoblowców i kupiła dla każdego z nich czekoladę, którą, owszem, wzięli z podziękowaniem, ale i z dziwnymi minami.

– Woleliby wino – powiedział tata, gdy chłopcy poszli.

– Pewnie by woleli, ale to przecież młodzi chłopcy i ja ich rozpijać nie będę – uniosła się mama.

– Sami sobie kupią jakiegoś bełtu – tata był realistą.

– Na to już nic nie poradzę, ale na to, co mogę poradzić, to, tego, co wam tłumaczyć... – I mama zdecydowanie ujęła szczotkę, jakby chciała nią wymieść całe zło tego świata.

– A ja, co mam robić? – spytał niepewnie Maciek.

– Zanieś pasterza pasterce, to jest pasterza i pasterkę sąsiadom – powiedziała mama. – My tu już z tatą dokończymy, zresztą niewiele zostało. Leć, leć – dodała widząc, że Maciek ma wątpliwości.

Skoro tak, to poleciał.

Kudelska piała z zachwytu nad maminią robotą, a Maciek puszył się, jakby to on sam skleił pasterza i drzewko.

– Wspaniale, wspaniale – powtórzyła po raz któryś Kudelska i zmieniła ton na całkiem rzeczowy. – tle ma wynosić honorarium? Maciek zgłupiał, o tym nie myślał. Wybąkał:

– E, nic, jakżeż. To tak, z sąsiedzkiej życzliwości...

– A skąd w tobie sąsiedzka życzliwość wobec cioci Luny? – otrzeźwiła go Grażynka. – Zbiła baba, niech płaci.

Tak by powiedział Skobel – przemknęło Maćkowi przez głowę.

– Grażynko, jak możesz – skarciła Kudelska córkę za „babę”. – Ale w zasadzie masz słuszność. Z jakiej racji pańska mama ma robić prezenty nieznannej osobie?

– Niby racja. Tylko mama nie będzie chciała. Najwyżej... To było klejone japońskim klejem, bardzo drogim. No więc „wsad dewizowy”, ewentualnie.

– Ile?

– Pięć dolarów – strzelił w ciemno.

– Dziesięć – sprostowała Kudelska. – Luna sama wzięłaby dwadzieścia, gdyby potrafiła to zrobić. Ona nie przepuści przez ręce tysiąca złotych, żeby nie zarobić. Choć naprawdę leży na pieniądzech.

– Właśnie dlatego leży, że nie przepuści – zauważył logicznie Maciek. Wszyscy się roześmieli, mama Kudelska wyjęła z torebki dziesięć dolarów, Maciek jeszcze się ościagał.

– Bierz, bierz, na biednego nie trafiło – dopingowała go Grażynka.

Skobel powiedziałby słowo w słowo to samo – uświadomił sobie Maciek i wziął.

Grażynka pociągnęła go do siebie na górę, niedługo potem jej mama przyniosła sok pomarańczowy i ciastka i szybko wyszła.

Maciek, popijając sok, powiedział, żeby coś powiedzieć:

– Wy już tu chyba od dość dawna mieszkacie, prawda? Dziwne, że nie spotkaliśmy się nigdy w autobusie.

Po minie Grażynki zorientował się, jakie palnął głupstwo – ona przecież nie jeździ autobusem! Szybko podjął temat andrzejek.

– Oczywiście, że się wybieram – zapewniła go Grażynka. – Musimy się umówić z dokładnością do pięciu minut, to zajedziemy po ciebie, jak mama będzie mnie zawozić.

– Dobra, a mój ojciec dla odmiany zabierze nas po imprezie. Maciek nie był pewien, czy ten „rachunek bez gospodarza” mu wyjdzie. Jednak tata, wprowadzony w sprawę, sam wystąpił z propozycją:

– Nie wypada, żeby cię baby tam i nazad woziły. O której się kończy ta impreza?

– Niestety, już o dziesiątej.

– Dzięki Bogu, że o dziesiątej – podtrął pedagogicznie tata i zapisał w notesiku: „sobota, 22.00 L.O.”.

W sobotę Maciek starał się zachowywać, jak gdyby nigdy nic, wiązał, pakował, wycierał na mokro i sucho, co mu mama kazała. Dopiero po obiedzie zaczęło mu iść niesporo, coś upuścił, czegoś nie dosłyszał... Mama to zauważyła:

– Już daj sobie spokój z pakowaniem. Jest trzecia, ja bym ci radziła się wykąpać, może trochę wyciągnąć, no i ubierać się powoli na bal.

Postanowił, dla ćwiczenia woli, nie tylko ubierać, ale i kąpać się powoli. Długo leżał w wannie, długo się wycierał. Ale kiedy usłyszał

dzwonek u drzwi, wpadł w głupią panikę. Wciągnął nowe dzinsy, starą koszulę i wyleciał z mokrą głową z łazienki – wydawało mu się bezsensownie, że to Grażynka przyszła po niego.

W holu nie było już nikogo. Pośpieszył do jadalni. Rodzice stali ze ściągniętymi twarzami, na fotelu siedział Skobel.

– Cześć, Darek, co się stało? – spytał Maciek. Skobel uniósł twarz i powiedział:

– Mój ojciec nie żyje.

### III. Cienie

Maciek przeniósł wzrok na matkę:

– Jak to? Przecież jeszcze w środę, czy przedwczoraj...

– Wypadek przy pracy – wyjaśnił krótko ojciec.

Skobel spojrział na niego tak jakoś desperacko:

– Proszę pana, po co to? I tak sprawa jasna. Pewnie, że przy pracy i wypadek. Ale prawda jest taka – zwrócił się do Maćka – że wcześniej, jak szedł na nockę, musiał widać spotkać tych swoich obrzępów i zapił. A w nocy go rozebrało, usnął tuż przy piecu, na podłodze, w popiele... A tam czad, rozumiesz. Jak przyszedł zmiennik, był już zimny.

Maciek widział po twarzach rodziców, że myślą to co on. Jaka nędzna śmierć, Boże, i niepotrzebna. Bo przecież mógł żyć lata...

Mama pierwsza przerwała milczenie:

– To był taki szczery, uczynny człowiek.

– I rzetelny fachowiec – dodał szybko tata.

Skobel wyprostował się, jego znękana twarz (jakby schudł od rana -przeleciało Maćkowi przez myśl) zrobiła się zacięta, mściwa:

– To ona go pchała do wódki. To by się nigdy nie stało, gdyby matka żyła.

Wyraz zaciętości jak się nagle pojawił, tak i znikł. Skobel wciągnął gwałtownie powietrze, jakby się zakrztusił albo zachłysnął. Ale oczy miał suche. To Maćkowi łzy nabiegły do oczu, chcieliby zbliżyć się do kolegi, ogarnąć go ramieniem, nie śmiał jednak. Mama nie miała opo-

rów, ruszyła w stronę Darka. Ojciec przytrzymał ją szybko, powiedział „siadaj”, sam też usiadł.

– Panie Darku, nieszczęście ma to do siebie, że jakby jego nie dosyć, to jeszcze ściąga kłopoty. Na nieszczęście nie ma rady, ale w kłopotach możemy panu pomóc.

– Ja właśnie przyszedłem prosić pana o wydanie mojej, te..., mojego depozytu.

– Depozyt niech sobie leży – zaprotestował tata. – Jeszcze się panu przyda. Ja panu pożyczę na pierwsze potrzeby pięćdziesiąt... nie, to może nie starczyć, sześćdziesiąt tysięcy. Nie, nie – powstrzymał Skobla, który chciał coś powiedzieć – pan nie potrzebuje się martwić z czego odda. ZUS panu zwróci. Tylko musi pan wszystkie rachunki brać na swoje nazwisko. Czy może ona się już do tego wmieszała?

– Nie zdążyła. Ojca zabrali do medycyny sądowej, trumna będzie potrzebna dopiero na wtorek. A w ogóle do poniedziałku niczego nie da się załatwić.

– A wie pan, co trzeba załatwić?

– Nie wiem, ale tego się przecież można dowiedzieć.

– Mnóstwo latania. Ja z panem pojeżdżę, wozem to jednak szybciej.

– Pan idzie do pracy...

– W tym semestrze mam trochę luzu, zresztą wziąłem urlop na cały tydzień.

Prawda, przeprowadzka! Że też Siedluk musiał przesunąć! Jakby nie to, siedzielibyśmy teraz na tobołkach, ale na Działkowej, mielibyśmy to już za sobą – uświadomił sobie Maciek jedno i zarazem drugie. Wstał:

– Przepraszam, ale muszę zadzwonić – powiedział. Rodzice spojrzeli na niego z niemiłym zdziwieniem, mama jednak połapała się o co chodzi, i szybko włączyła się do akcji:

– Tak, dobrze, że sobie przypomniałeś – wsparła Maćka i zaczęła dawać tacie znaki, żeby wywabił Skobla do swojego pokoju, ale tata, niestety, okazał się mało pojętny.

Maciek wykręcił numer Grażynki. Odebrała jej mama. To nawet lepiej.

– Nie, proszę nie wołać Grażynki. Ja krótko: przepraszam, ale tego... – jąkał się, nie chciał przy Skoblu mówić o andrzejkach – no właśnie wynikło, że ten... Nie mogę się dziś stawić. Śmierć w rodzinie. Kudelska oczywiście z należytą zgrozą spytała, czyja.

– To znaczy ściśle, nie w rodzinie, ale przyjaciela rodziny... Tak, bliski... Tak, bardzo smutna historia. Nie na telefon. Mam nadzieję, że Grażynka zrozumie.

Odłożył z ulgą słuchawkę. Ojciec dopiero teraz pojął, o co chodzi, wstał poniewczasie i powiedział do Skobla to, co według mamy miał powiedzieć pół minuty wcześniej:

– Panie Darku, przejdźmy do mojego pokoju, dam panu pieniądze i spisemy sobie zadania na poniedziałek.

– Pieniądzy to ja teraz nie wezmę – mówił Darek, idąc za ojcem. – Ja tylko przyszedłem powiedzieć, że będą potrzebne, żeby pan miał czas zabezpieczyć. Ja się boję trzymać forszę w domu, żeby ona nie podpier... podebrała. Ona już teraz ryczy, że grosza nie ma, a to czysta niemożliwość, wszystkiego ojciec nie dałby rady od czwartku przepuścić...

Maciek został sam z matką. Pomilczeli trochę, mama westchnęła cicho:

– Boże ty mój, toż on jest zupełny sierota. Jak on sobie da radę sam na świecie?

– Żeby był sam, to by sobie dał. On jest twardy, sama wiesz. Ale zostaje oko w oko z tą gangreną. Na czterdziestu metrach kwadratowych, gdzie nawet drzwi za sobą nie może zamknąć.

– Jak to? On nie ma swojego pokoju?

– Nie, ten ich lokal to miała być pracownia malarska, dostali go jako „losowi”, Darek mi mówił. A jak tam jest, sam widziałem: stodoła, rozumiesz, poprzegradzana gratami – pół na pokój, ćwierć na kuchnię, ćwierć na Darkowy kąta za zasłonką. Łazienka dość duża, przedpokój żadnego. Wyobraź to sobie...

Mama wyobraziła sobie łatwo:



– To może być piekło. On jej nienawidzi, i ma powody. Przecież Banaszak jeszcze nie pochowany, a już Darka okradła. Czy Darek ma jakichś krewnych?

– Nie wiem, nigdy nic nie wspominał.

O krewnych pytał pewnie i tata, bo kiedy z Darkiem wrócili do jadalni, powiedział do Maćka:

– Skocz może z panem Darkiem do jego mieszkania i przejrzyjcie razem papiery. Może tam na jakimś świstku albo pocztówce są jakieś adresy?

– Przejrzeć to możemy, ale jak wiem, po tym, kiedyśmy się tu wprowadzili, nic do nas nie przychodziło, nawet na święta. Ojciec kiedyś mówił, że napisaliby do wuja z Górek, ale zgubił adres.

– Górek w Polsce to jest pewnie z siedemnaście – zmartwił się tata.

– Te Górki są na południu – przypomniał sobie Skobel. – Wiem, bo wuj Leon nas raz odwiedził, jeszcze na Zielonej, znaczy się, na starym mieszkaniu. Przyjechał starem z rejestracją krakowską. To pamiętam, bo go pytałem, co to za litery. On jest kierowcą.

Z ojca miny można było poznać, że odszukanie wuja Leona z Górek uważa za sprawę trudną i nie na dziś.

– A dziadkowie? – spróbował z innej strony.

– To była jakaś pokręcona historia, nie pytałem, bo co tam, szczawik byłem, nie obchodziło mnie. Ale to wiem, że ojciec z nimi jakoś nie tak. O coś poszło i się urwało.

– Może trafimy na jakiś ślad – powiedział Maciek, sugerując, że jak iść, to iść.

Kiedy w milczeniu czekali na windę, Maćkowi przypomniało się, że w kieszonce na rękawie kurtki ciągle nosi dziesięć dolarów za sklejenie „majsena”, których nie miał okazji, a bez owijania w bawełnę – odwagi, dać matce. Wyjął je teraz i gdy wsiedli do windy, wyciągnął dłoń z zielonym zwitkiem w stronę Skobla.

– Stary, weź to i wybierz się do Pewexu, Jak znam życie, przyda ci się jakaś kawa, czekolada, koniak...

Ku zdumieniu Maćka Skobel roześmiał się. .Ciepło, pocziwie, jak rzadko:

– To samo, słowo w słowo powiedziała mi twoja matka, jak ty się ubierałeś w przedpokoju. Słowo w słowo!

– No to co, forsy nigdy nie jest za dużo.

– Zgadza się. Więc trzymaj, jeszcze i tobie się przyda. Od twojej matki mogłem wziąć, odwdzięczę się, ale od ciebie to już by było za dużo.

I Skobel swoją wielką, twardą dłonią przykrył wyciągniętą rękę Maćka, przykrył, zacisnął razem z banknotem i łagodnie, prawie czule odepchnął, aż obie dłonie, i ta duża, i ta mniejsza, dotknęły Maćkowej kurtki.

– W porządziu, chłopie – powiedział Skobel i znowu się uśmiechnął.

Maćkowi ten uśmiech wydał się czymś tak niewypowiedzianie smutnym, że serce mu się ścisnęło, a z gardła nie chciało wyjść żadne słowo. Dopiero przed blokiem zdobył się na uwagę – o pogodzie.

– Kurcze, ale wieje. Śnieg spadnie, czy co?

– Na śnieg chyba za wcześnie.

Zmierzchało już, na zachodzie, za blokami „Danuty”, lśnił płat zielonego, zimnego nieba, po asfalcie niosła się niska zadymka z kurzu i piasku, a pod trupim światłem jarzeniówki przy skrzyżowaniu miotał się kawał niebieskiej, opaćkanej smarem folii.

Maciek poczuł zimno na karku, prawda, przecież głowa nie zdążyła mu wyschnąć. Przystał, żeby naciągnąć kaptur. Skobel też stanął, czekając, aż kolega upora się z szarpanym przez wiatr kapturem, i sam podniósł kołnierz kurtki. Maciek odkrył w końcu, że nie osłoni głowy, jeśli nie odwróci się plecami do kierunku wiatru. Ustawił się właściwie, ujął oburącz kaptur, chciał powiedzieć: „Mam nareszcie drania”, spojrzał na Skobla. Skobel patrzył nad jego ramieniem na zachodnią poświatę i mówił coś cicho. Maćka doleciały urwane słowa:

„Mój Boże, w taką zimnicę, tak daleko...” Powiódł wzrokiem za spojrzeniem kolegi i prawie zobaczył: cień nieszczęsnego pijaczka, brata-łaty wędrujący pod wiatr, pośród ciężkich chmur do tej szklistej i połyskliwej zieloności nad wzgórzami.

Skobel ocknął się:

– Maciek, wiesz, myślę, że dobrze byłoby ściągnąć Prezesa. Ja się boję, że jak ją zobaczę, to się zagotuję i wykipię. A Prezes umie na spokojnie.

Maciek, trochę upokorzony, przyznał jednak rację Skoblowi. Bał się, że sam też mógłby wykipieć. Minęli więc Skoblowy blok i weszli na klatkę następnego.

– Powiem ci – zaczął Darek – że nie mam siły opowiadać wszystkiego jeszcze raz. Wejdz tam sam, powiedz Prezesowi, co i jak. Ja tu poczekam.

Prezes siedział w kuchni z Zośką nad zeszytami.

– Co, przyszedłeś się pożegnać przed przeprowadzką do willi? -spytała Zośka niezbyt przyjaźnie.

– Nie, przeprowadzka się przesunęła, zresztą idiotycznie, na wtorek, kiedy będzie chyba pogrzeb Banaszaka.

– Coo!!

Prezes i Zośka zerwali się z krzeseł, Zośkowe upadło z hałasem, na to wszystko przyleciała reszta rodziny, to jest matka, Ania i Waldek, a na końcu tata. Maciek miał duże audytorium.

Powiedział, co miał do powiedzenia, i dosyć sprawnie ujarzmił orkan pomysłów i dociekań, który już-już nadciągał.

– Nie, Darek w tej chwili potrzebuje tylko dobrego słowa, bo praktycznymi sprawami obiecał się zająć mój ojciec. Od rana w poniedziałek będzie ze Skoblem objeżdżał wszystkie urzędy.

– Jak to, a przeprowadzka? – wtrąciła Zośka.

– Dopiero we wtorek, zresztą jakoś to będzie – machnął ręką Maciek. – Darek ma prośbę do Dariusza – przypomniawszy sobie swoją misję – żeby poszedł teraz z nami do nich, szukać adresów rodziny. Trzeba telegramy wysłać.

Darek-Prezes ruszył ku drzwiom, Zośka za nim, ale coś ją tknęło, zatrzymała się.

Skobla zastali na klatce, z czołem opartym o szybę. Prezes uściśnął mu w milczeniu dłoń, a gdy wyszli, powiedział:

– Darek, jakbyś czegoś potrzebował, to wal śmiało. Może będę mógł w czymś pomóc.

– Właśnie pomagasz. Jak będziemy na górze, to pilnuj mnie, żebym jej nie nałożył.

Powtórzył to zlecenie, kiedy przed drzwiami wyjmował klucze:

– Pociągnij za rękaw albo kopnij w kostkę, jakby mnie poniosło. Do pogrzebu musi być spokój.

Skobel wszedł pierwszy, Prezes tuż za nim, Maćka skryły plecy starszych i wyższych kolegów, nie mógł więc od razu zgadnąć, czemu Prezes już od progu chwycił Darka za łokieć. Ale zaraz pojął.

W pokoju świecił tylko ekran telewizora, jednak wystarczająco jasno, by mogli zobaczyć, że Ojcowa przyjmuje gości. Przy stole siedział zażywny, dobrze ubrany jegomość, przed nim stał talerz z kanapkami, kieliszek, na środku półlitrówka.

Ojcowa raczej domyśliła się, niż zobaczyła, że to wszedł Darek:

– No, jesteście! – zawołała. – Widzi pan, jaki on jest. Ojciec jeszcze nie pogrzebany, a ten się szlaja.

– Ojciec jeszcze nie pogrzebany, a ty...

Prezes ścisnął ramię Skobla, Skobel umilkł, nacisnął kontakt, zrobiło się jasno. Teraz oj-cowa zobaczyła, że nie jest sam.

– Dobry czas na sprowadzanie kołosiów – zaczęła, ale gość ją przyhamował. Wstał, podszedł do Darka.

– Moje wyrazy współczucia – wydeklamował. – Takie nieszczęście. Pani Jadzia właśnie posłała po mnie, bo sama biedna sobie nie poradzi.

– Pan Wiktor, taki porządny, widzisz, zaraz przyszedł. I pieniędzy nam pożyczy, i miejsce na Łostowicach załatwi, tanio.

Skobel sam wziął się w garść, Dariusz nie musiał go kopać w kostkę:

– Dziękuję panu za dobre chęci – powiedział zupełnie grzecznie – ale pieniądze już załatwiłem. A ojciec będzie pochowany nie na Łostowicach, tylko na Srebrzysku, razem z matką.

– Cmentarz na Srebrzysku jest zamknięty – odparł pan Wiktor.

– Ojciec wykupił podwójne miejsce, wiem, bo mi mówił niedawno, na Wszystkich Świętych. I opłacił na dwadzieścia lat. Właśnie przyszliśmy szukać kwitu. Chłopaki, wejdźcie do mnie – odsunął wypłowiałą zasłonkę – ja zaraz wszystko przyniosę.

Prezes, częściej bywający u Skobla niż Maciek, zapalił stojącą lampę i wskazał Maćkowi miejsce na kozetce. Kiedy Skobel przyniósł szeroką, płaską szufladę, zaciągnął za nią zasłonkę.

Archiwum rodzinne Banaszaków nie było bogate, ale, o dziwo, dość porządne. W kredensowej szufladzie z przegródkami znaleźli od razu dowód osobisty zmarłego, trochę pism z ROM o przeseregowaniach, świadectwo zgonu matki, książeczkę opłat telewizyjnych, drugą – czynszowych, a na samym dnie kwit z zarządu cmentarza i przydział mieszkania.

Prezes rzucił okiem na ten dokument, podał Skoblowi ze słowami: „Tego pilnuj jak oka w głowie” i wyjął zawartość następnej przegródki.

Skobel wstał, chwilę gmerał w stercie gazet na parapecie, po czym podał Maćkowi torebkę foliową z napisem: „Wólczanka”.

– Ojcu kupiłem taką samą koszulę – powiedział. – Gdzie ja mogłem myśleć, że to na wieczność. Włóż w to te papiery – pouczył zaraz Maćka – i przechowaj do czasu.

W drugiej przegródce były kwity z kasy pożyczkowej, książeczka do nabożeństwa, nie wypełnione blankiety totolotka, stara talia kart i dwa „dowody nadania” – jeden, jak stwierdzili, sprzed trzech lat, na paczkę wysłaną przez ojcową, drugi – na dwa tysiące złotych od Józefa Banaszaka dla Pelagii Szymczak z Siemianowic, sprzed roku.

– Kto to jest ta Pelagia? – spytał Maciek.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Skobel. – Zresztą, wszystko jedno, bo nie podana ulica i numer.

– W każdym razie schowam – postanowił Maciek i wsunął świstek do plastikowej torebki.

W pozostałych przegródkach wałały się ogarki, kapsle, samotna rękawiczka, pożółkła paczka sportów itepe.

– Wiedziałem, że tak będzie – powiedział szeptem Skobel. – Ona przed przeprowadzką wywaliła wszystko, co do świstka. Nawet fotografie. Za fotografie ojciec jej nakładł po pysku, jak się wydało, ale co z tego. Jedyne, co zostało, to moje zdjęcie od Pierwszej Komunii. Tylko dlatego, że było z moimi własnymi rzeczami i że ich pilnowałem.

Zła, głupia, chytra baba – pomyślał Maciek. – I oni teraz mają tu razem mieszkać, niech ręka Boska... Prezes pewnie myślał to samo, bo kręcił głową prawie ze zgrozą. Obaj jednak nic nie powiedzieli, nie chcieli podsycać gniewu Skobla i martwić go na zapas.

W tej krótkiej ciszy usłyszeli zza firanki półgłose słowa „pana Wiktora”: „Tylko z uszanowaniem. Trzeba politykować”.

Chłopcy spojrzeli po sobie, od razu czujni i spięci.

– Kto to właściwie jest? – spytał Prezes, nasłuchując krzątający ojcowej za kredensem oddzielającym kąk Skobla od niby-kuchni.

– Przychodził tu pić z ojcem, przynosił mu złom hydrauliczny. Wiecie, baterie łazienkowe, krany, takie tam. On handluje tym na targowisku. Z ojcową też robił jakieś interesy, ale nie wiem jakie, bo się cholernie...

Urwał, gdyż doszły go kroki ojcowej. Ta odsunęła firankę i z „uszanowaniem zapolitykowała”:

– Jak jużście skończyli, to proszę, chodźcie do stołu, coś na ząbek... Strzelała przy tym oczami po szufladzie, po papierach. Maciek pogratulował sobie, że torbę z dokumentami ma już w kieszeni. Skobel spojrział pytająco na Prezesa, Prezes kiwnął głową, że można przyjąć zaproszenie.

– Tak, znaleźliśmy, co trzeba – powiedział Skobel. – Herbatę możemy wypić.

Herbata, owszem, czekała na stole, obok niej zaś kieliszki. Pan Wiktor wstał, ujął butelkę.

– Nie trzeba – zastrzegł Skobel.

– „Na frasunek dobry trunek”. I kolegów trzeba uszanować poczęstunkiem – perswadował pan Wiktor.

– Dziękuję, ja w ogóle nie piję – powiedział Maciek.

– Ja też – dodał Prezes, co już nie było tak całkiem zgodne z prawdą.

– Eee, chłopaki, jakie z was chłopcy – zagrał „swojachę” pan Wiktor. -Kielonek, dwa nie zaszkodzi...

– Co panu tak zależy – zaczął Maciek, ale przerwał mu Skobel. Nerwy mu w końcu puściły, bo krzyczał:

– Pan da zaraz spokój! Zaraz! Ja przysiągłem księdzu na spowiedzi, Bogu na ołtarzu i matce w niebie, że dwóch rzeczy nie zrobię: nie będę kradł i nie będę chlał. I w tym domu już chlać się nie będzie!

Sięgnął po butelkę, jakby chciał ją oknem wyrzucić. Prezes w ostatniej chwili chwycił go za rękę. Z drugiej strony zadziałał podobnie pan Wiktor. Gdy ojcowa wrzasnęła: „Nie będziesz się tu...”, syknął ostro: „Jadzka, spokój”, po czym siadł i zaczął nawijać, że rozumie, że to bardzo ważne i że on przecież w najlepszym zamiarze...

– Dobra, dobra – mruknął Skobel i pociągnięty przez Prezesa siadł, ponuro siorbnał herbatę, nie zwracając uwagi, że pan Wiktor usłużnie podsuwa mu cukier.

Maciek poczuł, że teraz na niego kolej.

– Proszę pani – zwrócił się do ojcowej – dowód pana Banaszaka i kwit z cmentarza zabieram do nas. Ojciec umówił się z Darkiem, że pojutrze od rana objadą urzędy i wszystko połatwiają. Tylko trzeba ustalić, kiedy ma być pogrzeb.

-Ja myślę, pani Jadziu – powiedział pan Wiktor – że we wtorek można spokojnie.

– We wtorek? Jak ja zdążę? O Jezu, Jezu – zaniósła się lamentem pani Jadzia. – Stypa, kwiaty...

– Z czym masz zdążyć? – uciał lamenty Skobel. – Wieniec ja kupię, stypy nie ma dla kogo robić. Tyle że ubranie dla ojca musisz przygotować.

Skobel spojrział w stronę szafy i teraz dopiero zauważył stos odzieży na łóżku.

– Po coś to wywalala?

– Właśnie chciałam – zacukała się „pani Jadzia” – tego, coś wybrać...

– No to wybieraj!

Zabrzmiało to jak wyproszenie gości. Skobel w istocie chciał się pozbyć pana Wiktora, ale ten był twardy, natomiast Prezes i Maciek uzgodnili spojrzeniem, że nic tu po nich.

– Pamiętaj, w poniedziałek o wpół do ósmej zajedziemy po ciebie -przypomniał Maciek, żegnając się ze Skoblem w progę. – Ale i przedtem – dodał ciszej – jakbyś nie mógł wytrzymać, to wal śmiało do nas, o każdej porze!

– Albo do nas – dołożył drugie zaproszenie Prezes. – I jakbyś miał coś do wyprania albo do wyprasowania, a nie chciał tej tam prosić, to mama...

– Sam się umiem oporządzić – odparł Skobel, poczuł, że zabrzmiało to wrednie, dodał: – Ale dziękuję, za dobre chęci. W ogóle dziękuję.

– Nie ma o czym mówić. Do jutra!

Maćkowi huczało w głowie od domysłów i podejrzeń. Ten Wiktor, fałszywy jakiś... Ubrania nieboszczyka jakby przygotowane dla handlarza. Co oni knują? I Skobel został teraz sam z tą parą cwaniaków. Coś trzeba z tym zrobić...

- Coś trzeba z tym zrobić – Prezes miał dokładnie takie same myśli.
- Nie wiem jak ty, ale ja widzę czarno.
- Musimy przemyśleć.

Umilkli, szli szybko z postawionymi kołnierzami, w ciemności wiatr stał się jakby bardziej zjadliwy.

Ojciec odłożył przydział mieszkania, powiedział:

- No, jeden punkt dla Skobla – ta dama nie figuruje w spisie osób uprawnionych do zamieszkania.
- A jakby figurowała, to co? – spytał Maciek.
- To by próbowała przepisać mieszkanie na siebie, a chłopca wysiudać.
- I tak będzie próbowała – zatroskała się mama.
- Też tak myślę. Dlatego trzeba by mu sprowadzić jakieś posiłki. Tylko skąd?
- No, może da się odszukać wuja Leona z Górek. Albo tę tajemniczą Pelagię Szymczak? – wyraził umiarkowany optymizm Maciek. Ojciec wziął do ręki dowód nadania przekazu.
- Dawniej podawało się cały adres, teraz tylko kod. Po kodzie można by znaleźć ulicę, ale też tylko tyle.

– Czy w ogóle warto? Nawet nie wiemy, kim owa Pelagia jest dla Darka. – Maciek chciał zakończyć jałowy temat.

- Może ciotka? Zameżna siostra Banaszaka? – dociekał dalej ojciec.
- Wątpię – sprzeciwiła się mama. – Pelagia to niedzisiejsze imię. Już prędzej by pasowało do babki Skobla. Albo jakiejś cioci-babci. Albo nawet prababki.
- Dajmy spokój ciociom-babciom – uciał wreszcie ojciec. – Skoblowi można poradzić, jak ma szukać rodziny, damy nekrolog do gazet, może się ktoś odezwie. Teraz trzeba się narażać, co z przeprowadzką. Poniedziałek mi odpada, będę załatwiał sprawy pogrzebowe. Sami dużo nie zrobicie.

Mama poczuła się dotknięta:

– Zrobimy bardzo dużo! Tylko kłopot z tym, że zabierasz auto i nie będzie można sukcesywnie wywozić pak.

Maciek przeprowadzał się już tyle razy, że w mig pojął, o co mamie chodzi: przewożenie wszystkiego jednocześnie kończyło się nieodmiennie „stogiem”, w którym trudno było się doszukać już nie to, że igły, ale na przykład skrzyni od tapczanu; przeprowadzka na raty zaś doprowadzała do „proszku”, kiedy cały dobytek był rozkawałkowany na stare i nowe mieszkanie i też w końcu nikt nie wiedział, gdzie co jest. Z dwojga złego wołał „stóg”, cóż, kiedy rodzice zdecydowali się na „proszek kontrolowany”, to znaczy stopniowe przemieszczanie klamotów na Działkową i rozkładanie ich tam już na właściwych miejscach, tak że kiedy ciężarówka przywiezie najcięższe graty, od razu będzie można ułożyć wszystko jak trzeba. Tata zrobił dokładny harmonogram i starannie oznakował paki. Od poniedziałkowego świtu mieli je wozić golfem. No i masz, harmonogram szlag trafił.

– Trudno, będziemy dzień święty święcić pracą – stwierdził tata i wstał. – Myślę, że i dziś da się coś zrobić, w końcu to jeszcze nie noc. Pakujcie gary, ja wywiozę książki.

– Sam nie dasz rady – sprzeciwiła się mama. – Mówiłam, że kartony są za wielkie, toście się ze mnie śmiali.

– Miał być Skobel i jego ojciec... – przypomniał tata. Wszyscy umilkli, Maćkowe myśli uleciały do Skoblowego mieszkania – jak on teraz, w cztery oczy z ojcową... A może i ten podejrzany Wiktor jeszcze tam tkwi?

Zaczął opowiadać rodzicom, co zastał u Skobla. Ojciec słuchał z uwagą, ale gdy Maciek skończył, nie zadawał żadnych pytań, tylko wydeklamował:

O szóstej go powiesili,  
O siódmej do dołu wrzucili,  
A ta już o ósmej godzinie  
Śmiała się w karczmie przy winie.  
– A może to i lepiej? – zastanowiła się mama.  
– Co lepiej? – spytał Maciek.  
– Że już ma pod ręką jakiegoś absztyfikanta. Łatwiej się odczepi od Skobla.  
– Albo odwrotnie, ten facet będzie się chciał przyczepić. Koniecznie trzeba będzie dać nekrolog – tata wrócił do swojego pomysłu. – Siądźmy jeszcze na chwilę, spróbujemy zredagować.

Ale nie siedli, bo odezwał się dzwonek. Maciek zerwał się, w drodze do drzwi biło mu serce: a może? A może jednak Grażynka czuła się nieswojo na andrzejkach, wyszła wcześniej i teraz chce się dowiedzieć, jakie to zmartwienie zatrzymało Maćka?

– O, to wy! – powiedział ze zdziwieniem podszytym zawodem. – Co was sprowadza?

Prezes i Zośka weszli do przedpokoju, Zośka jeszcze na progu zdążyła odpowiedzieć:

– Poczucie sprawiedliwości.

– Coo?

Rodzice Maćka wyszli naprzeciw. Dariusz wyjaśnił mniej zagadkowo cel późnej wizyty:

– Przyszliśmy się spytać, jak i kiedy możemy pomóc przy przeprowadzce. Pan straci więcej niż pół poniedziałku z powodu tego nieszczęścia, więc...

Ojciec spojrział triumfalnie na mamę:

– No widzisz? Niepotrzebnie się martwiłaś! Bardzo wam dziękuję – zwrócił się do przybyłych. – A jak jesteście z czasem?

– Dziś jeszcze ze dwie godziny można by podziałać – powiedział Prezes – a jutro po kościele to już choćby i do wieczora.

Ojciec bez żadnych obłudnych: „ależ nie mogę was wykorzystywać” przydzielił wszystkim odpowiednie zadania. Kobiety pakowały, mężczyźni nosili, potem, gdy najcięższe paki wylądowały na Działkowej, tata odwiózł Zośkę i Prezesa pod ich blok i wróciwszy do mieszkania, chciał jeszcze rozkręcać segmenty.

Ale tu już zaprotestowała mama:

– Koniec, kolacja, spać, jutro też jest dzień. I to jaki – dodała z lekkim westchnieniem.

– Zwariowany – uzupełnił Maciek spokojnym tonem człowieka, co już niejedną taką dzień zaliczył.

A jednak następny dzień, choć bez wątplenia pełen roboty i latania, okazał się prawie sympatyczny. Trochę po dziesiątej przyszli nie tylko Zośka i Prezes, ale i ich ojcowie – ojciec Zośki przyjechał nawet małym fiatem, wybebeszonym na tę okazję z wszystkich siedzeń. Na dwa wozy i siedmioro par rąk szło wszystko szybko i sprawnie, a pod wieczór, kiedy mama ściągnęła towarzystwo do kuchni na herbatę i kanapki, w mieszkaniu pozostały tylko „mamuty”, których do osobowego auta już nijak nie można było wepchnąć.

Tata dziękował wylewnie wszystkim za pomoc, mama go wspierała:

– Boże, i pomyśleć, że dopiero teraz, kiedy się wyprowadzamy, odkryliśmy, jakich mamy miłych i dobrych sąsiadów!

– Po prawdzie, to my nie jesteśmy sąsiadami – powiedział ojciec Prezesa. – To dzieci nas wyciągnęły.

– Nie jesteśmy sąsiadami – potwierdziła Zośka. – Ale państwo zachowali się przyzwoicie wobec jednego z nas, więc wypadało wyrównać.

Nie uważa mnie za jednego z nich – przemknęło przez głowę Maćkowi. – Zawzięta baba. Zaświtała mu wątpliwość, czy Prezes aby na pewno będzie miał dobrą towarzyszkę życia. Zdawało mu się jednak, że nikt nie zauważył cierpkiego tonu Zośki – ojciec właśnie usiłował

zwrócić jej tacie przynajmniej koszty benzyny. Zośkowy tata śmiał się z tego, a Zośka znowu wtrącała coś w tym rodzaju, że ich też stać na uczynność.

– No, to wyrównamy innym płynem – powiedział ojciec i wstał po koniak. W tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi – okazało się, że Skobel!

– Chciałem przyjść wcześniej – powiedział – ale ona całe przedpołudnie gdzieś latała, a potem musiałem jej dopilnować, żeby ojcu wszystko jak należy wyprasowała i wyczyściła. Ale może jeszcze na coś się przydam?

– Daj spokój, jeszcze ci tego trzeba – odpowiedziała za wszystkich Zośka. – Siadaj lepiej.

Zrobiła mu miejsce koło siebie na ławie, podsunęła talerz z kanapkami, mama tylko podała herbatę. Tata poczuł się dziwnie z butelką i kieliszkami – przed kim stawiać, przed kim nie. Zdecydował, że tylko przed dorosłymi.

Skobel był najwyraźniej głodny, zmiatał jedną kanapkę po drugiej. Nikt mu nie przeszkadzał, nie zagadywał, tylko Zośki ojciec, po drugim kieliszku, zaczął go wypytywać o rodzinę.

– Z matki strony nie ma już nikogo – wyjaśnił sucho Skobel – a z ojca to może by się i kto znalazł, ale nie tak od razu.

– Jakżeż to tak można, nic nie wiedzieć o własnej rodzinie – zdziwił się Zośkowy tata i zaczął wykład o pożytkach z zacieśniania rodzinnych więzów. Jednak córka zgromiła go spojrzeniem i dla pewności jeszcze kopnęła w kostkę, więc zamilkł i pomarkotniał.

Skobel zjadł ostatnią kanapkę i wstał:

– To jak nie ma nic do zrobienia, to ja pójdę. Jutro o wpół do ósmej będę czekał przed blokiem – zwrócił się do pana domu.

Nie było go co zatrzymywać, inni też wstali. Ojciec Prezesa już z przedpokoju zlustrował mieszkanie:

– Pusto tu teraz. Nie boi się pan tyle dobra zostawiać bez opieki tam pod lasem? – zwrócił się do ojca.

Tata pomyślał moment:

– Co prawda to prawda, zamki tam ciągle takie więcej symboliczne. Wiesz co, Krzysiu, ja chyba pójdę spać na Działkową. Przed nocą jeszcze to i owo poukładałam.

– Na czym ty tam będziesz spał? – jęknęła mama.

– Wezmę materac i pościel do wozu.

Jeszcze chwila zamieszania, Maciek zjechał z ojcem na dół, upchali bety w wozie, tata siadł i pojechał. Ze Skoblem, który jednak uparł się, żeby „coś pomóc”.

– No, pół przeprowadzki za nami – powiedział Maciek, wróciwszy na górę. – Albo i więcej – dodał, lustrując pokoje.

Z pokoju „telewizorowego” (byłego, bo telewizor już pojechał na Działkową) doszedł go głos mamy, jakiś dziwnie głęboki:

– Tak, tak. Nie tylko więcej, ale chyba za dużo. Maciek doszedł do matki, stojącej pośrodku pokoju.

– Czemu? – spytał. Jego głos też brzmiał inaczej niż zwykle. Nie czekając odpowiedzi, zawołał dla eksperymentu: „Ho-ho!” Eksperyment się udał.

– Echo dudni – zakomunikował mamie. – Ciekawe, nigdy przedtem, przy innych przeprowadzkach, nie dudniło.

– Nigdy przedtem nie mieliśmy tak dużego mieszkania – wyjaśniła mamą.

– Żal ci go? – zaciekawił się Maciek.

– Bo ja wiem? Musiałabym się zastanowić.

Siadła w fotelu, Maciek w drugim. Szczęście, że tata powstrzymał Zośkowego ojca, kiedy ten w zapale chciał wynieść i fotele – pomyślał Maciek. Mama ma rację, trochę za dużo wygarnęliśmy. Lamy można było zostawić na koniec.

Pokój oświetlała marna dwudziestka piątka z kinkieciku, który zwykle zapalali przy oglądaniu telewizji. Teraz kinkiecik wisiał krzywo na gwoździu po obrazie, rzucając krążek świa-

tła na dosunięty do ściany stół. Na innym gwoździu tkwił „harmonogram dalszych czynności”, przeprowadzkowych, ma się rozumieć. Goły blat stołu zawałały stare gazety pozostałe po pakowaniu. Obok nich leżał trójkolorowy długopis taty, którym wypisywał harmonogram.

Maciek podniósł się, wziął długopis i podał matce:

– Schowaj go do torebki albo gdzie, bo tata jutro będzie szukał. Mama wpięła długopis do górnej kieszeni roboczego kitla i westchnęła:

– Szukać to my jeszcze będziemy – wielu rzeczy przez wiele dni. Pytałeś, czy mi żal tego mieszkania. O tyle, o ile. Było najlepsze z dotychczasowych, no i wszystko się dobrze zapowiadało. Tylko że potem poszło krzywo i nic się nie spełniło. Nie – podsumowała z zaciętą stanowczością – nie żal mi. Ale chciałabym już więcej się nie przeprowadzać. Mam dosyć wszelkiego „tymczasem” i czekania. Całe moje życie zeszło mi na czekaniu!

– Twoje?! – Maciek był zaskoczony i oburzony. – To ja wciąż tylko musiałem czekać i czekać! Najwięcej na was. Kiedy przyjedziecie do Jazowa, kiedy mnie zabierzecie z Jazowa, kiedy wrócisz z zagranicy, kiedy...

– Co ty wiesz o czekaniu... – przerwała mu ostro, i łagodniej już powtórzyła: – Co ty wiesz o czekaniu? Ostatecznie od pięciu lat, w tym mieszkaniu, żyliśmy razem, normalnie, bez żadnego czekania na coś tam.

– Nie wiem, może ty – Maciek wyczuł, że między jednym „co ty wiesz”, a drugim mama wykreśliła „smarkaczu” czy coś w tym rodzaju, i chciał się za to odegrać. – Widać do ciebie nie dotarło, że przez pierwszy rok z tych pięciu czekałem, aż skończą drugie skrzydło w szkole i będę chodził do budy co dzień o jednej porze. W domu przez dwa lata miałem pokój na tymczasem, bo jak się babcia sprowadzi, to może się zmienić, potem znowu przez dwa lata czekaliśmy na paszport do Monrovii, potem rok na powrót taty, a teraz dwa miesiące na przeprowadzkę... A jeszcze co do Monrovii, to niech ci się nie wydaje, że ja jestem taki głupi i nie wykapałem, że się namyślacie – czy w odwiedzin, czy na stałe. Szczęściem władza ludowa rozwiązała problem za was. Ale mnie się nie pytaliście...

– Mnie nie pytali o nic. W ogóle. Do osiemnastego roku życia. Do matury. A potem na odwrót: „Rób, jak uważasz”. Et, nie ma o czym mówić. I tak nie zrozumiesz. Zrobić ci herbaty, czy idziesz się od razu kąpać?

Mama wstała, Maciek ani drgnął. Zamurowało go. „I tak nie zrozumiesz” – to, owszem, słyszał nieraz, od ojca, a zwłaszcza od babci. Ale od mamy?

– Czekaj. Zaraz. Nie chcę herbaty. Siadaj. Ja chcę wiedzieć... Wydziwialiście wczoraj i dziś nad Skoblem, że mu się rodzina pogubiła i że nic nie wie, skąd jest i w ogóle. A co ja wiem? Pi razy drzwi przez iks.

– Chciałam ci opowiedzieć, kiedy wróciłam ze Szkocji, z pogrzebu ojca. Nie chciałeś słuchać.

– Miałem wtedy osiem lat, były wakacje. Sierpień, pamiętam bo babcia zaciągnęła mnie na Powązki i truła patriotycznie. A ja akurat mogłem wtedy już sam, to znaczy z Włodkiem, chodzić nad Liwiec. Szkoda, żeście się wtedy pożarli z wujkiem Olkiem. Czy tam Saszą. Do dziś nie wiem, jak do niego mam mówić. Zresztą nie problem, bo i tak nie mam okazji. Ale właśnie – o! Wtedy, już w Płocku, kiedyście się pożarli na amen, to chciałem słuchać i wiedzieć, co jest grane. A wyście mnie wyrzucili za drzwi. Kazaliście mi iść nad Wisłę. Pobawić się. Byłem taki wściekły, że rozwalilem tą nową szablą łeb Kramerowi. Szabla to było jedyne, co do mnie trafiło z walizy, którą przywiozłaś z Aberdeen. Zamknęliście przede mną wszystko na cztery spusty. Dlaczego?

– Maciusiu, synku... Zrozum, ja wtedy wróciłam z pogrzebu matki. Matki, czy nie pojmujesz? A mój brat nie pojechał ze mną, niby nie mógł. Potem go ruszyło i przyjechał do Płocka łagodzić i po pamiątki rodzinne. Więc nad tą właśnie walizką wygarnęłam mu wszystko, za wszystkie czasy. A że ciebie do tego nie wciągnęliśmy... Przecież to było za ciężkie dla ciebie.



I z Włodkiem lubiliście się przecież – on nie jest winien, że ma takiego ojca, niech między wami przynajmniej nic nie stoi.

– I tak stanęło.

– Babcia się wmieszała.

– Ty nie lubiłaś babci Liweckiej.

– Szanowałam ją. To była dzielna kobieta. Tylko surowa i w pewnych sprawach nieprzejednana. Dla niej nie istniały inne racje, niż jej własne. Ty masz coś po niej, chociaż z nią wojowałeś – dodała mama z westchnieniem.

– E, tam, takie wojowanie. O pójście nad Liwiec i układanie jabłek w skrzynkach. A poza tym jestem do ciebie podobny. Wszyscy mówią. Tylko strzechę mam po ojcu.

– I coś niecoś pod strzechą, mam nadzieję.

Mama znowu wstała, tym razem zdecydowanie, podeszła do Maćka, przejechała palcami po „strzesze”.

– No, mój kochany, idź się kąpać. Naprawdę. Zrobiło się późno. Już nie pora na wywoływanie duchów. Jutro nas czeka ciężki dzień.

– Dobrze, niech ci będzie, żeby się nie nazywało, że jestem uparty jak babcia. Tylko jeszcze jedno: gdzie jest ta waliza ze Szkocji?

– Bożeż ty mój, nie wiem – zafrasowała się mama. – Albo już na Działkowej, albo gdzieś tu. Nie ma się co martwić, znajdzie się we właściwym czasie – zakończyła dziarsko.

Widać jednak dziarskość była udana, bo kiedy Maciek wyszedł z łazienki, zobaczył matkę stojącą na taborecie i zaglądającą do pustego pawlacza. Zeskoczyła zaraz i zgasiła światło w przedpokoju.

– Nic, nic, tylko tak sprawdzam. Śpij spokojnie. Ja też się zaraz kładę. W to już zupełnie nie uwierzył. W kuchni się świeciło, na podłodze w pokoju ojca stała zapalona lampa stołowa, a w pokoju matki migotał blask świecy. Powiedział jednak najłagodniej jak mógł: „To dobranoc” -i zamknął za sobą drzwi. Po ich matowej szybie przesuwwały się cienie: rozmazane, ostre, to znów ledwie majaczące. „Mama umie chodzić cicho jak duch. A te cienie to zależą od światła. Jutro muszę...”

Usnął nagle, nim kolejny nikły cień zdążył przemknąć po szybie.

Obudziły go też cienie. Nie – obudziły go szepty, ale pierwsze co zobaczył, to cień na szybie. Pomyślał półprzytomnie, że mama jeszcze szuka walizy z Aberdeen, ale otrzeźwiał szybko i nim wymacał bosymi stopami pantofle na zimnej podłodze, znalazł się we właściwym punkcie czasu i przestrzeni. Tata przyszedł na śniadanie – zorientował się. – Chyba dochodzi siódma. A że ciemno, to jasne: przecież jest grudzień.

W kuchni ojciec czytał mamie nekrolog Banaszaka. Tata to umie myśleć o trzech rzeczach naraz – pomyślał z uznaniem Maciek, a że chciał się wykazać, przerwał matce, zastanawiając się, czy będzie lepiej „zmarł nagle”, czy „tragicznie”, i wystąpił z pomysłem:

– Podpiszcie „jedyne dziecko” i dajcie pełny adres. I dopilnujcie, żeby się ta zgreba czasem nie dopisała.

– W ogóle nie będzie wiedziała o nekrologu. A co do adresu, w zasadzie się nie podaje, ale masz rację – zgodził się ojciec. – Ubieraj się, to cię podrzucę po drodze do szkoły.

– Co?! – krzyknął Maciek. – Przecież mam zwolnienie na trzy dni z powodu przeprowadzki. I nie tknąłem lekcji.

– Myślałem, że skorośmy wczoraj tyle zrobili... Ale oczywiście, chcesz zostać, zostań – zbył lekko sprawę ojciec. Przydasz się matce.

– To ja nie pojedę z tobą i Skoblem?

– Po co?

– No... Tak na wszelki wypadek.

– E, tam. Zasada jest taka, że jak robotę może zrobić jeden, to nie woła drugiego. Idźcie po śniadaniu na Działkową i uładźcie na tyle, żeby jutro mogła tam być główna kwatery.

Na Działkowej okazało się, że tata zasadę „co może zrobić jeden, niech nie robi dwóch” traktuje nie to, że poważnie, ale zgoła maksymalistycznie: większość kartonów znajdowała się tam, gdzie miały być rozpakowane, w Maćka pokoju regały prawie skrecone, a w kuchnio-świetlicy mniejsze szafki nawet powieszono.

– Kiedy Boguś zdążył to zrobić? – zdumiewała się mama. – Chyba się w ogóle spać nie kładł.

– Ja myślę, że Skobel został z tatą do późna. Że wołał tu regały skrecać, niż siedzieć u siebie i patrzeć „pani Jadzi” na ręce.

– Słuchaj, jakby mu tu za tę robotę zapłacić? Lampy, zdaje się, też on poprzykręcał...

– Lampy to raczej Prezes albo Zośka. Ale i tak do Skobla nie zagrywaj teraz z żadną zapłatą, bo się obrazi. Ja mu chciałem wepchnąć dziesięć zielonych...

– Jakich zielonych?! Skąd miałeś?

– Ten, no, tych, wiesz, co znajoma Kudelskich zapłaciła za reperację pasterza z Miśni. Zapomniałem ci od razu... A zresztą myślałem... – brnął coraz beznadziejniej, aż zrezygnowany umilkł.

Mama znieruchomiała z jednym rękawem kitla w ciągniętym, drugim dyndającym za plecami. Mam przerabane, że nie pytać – jęknął Maciek w duchu i postanowił milczeć. Kiedy jednak mama nałożyła drugi rękaw i zaczęła wyjmować z wiklinowego kosza firanki, złamał postanowienie.

– Ja nie chciałem brać, ale wmusiły we mnie. Wiedziałem, że będziesz zła. Ale z tymi babami...

Mama położyła naręcze jakichś materiałów na stole pod południowym oknem, jeszcze raz sięgnęła do kosza, wyjęła żelazko, włączyła i dopiero wtedy się odezwała głosem suchym jak tygodniowy chleb:

– Na przyszłość nie rób takich interesów, proszę cię.

– Tak jest! – odpowiedział skruszony, ale i odprężony. – A teraz co mam robić?

– Zakładać karnisze. Tata przygotował pod każdym oknem właściwe. Zaczynij od góry.

Głos mamy brzmiał rzeczowo, ale już mniej sucho, więc Maciek ucieszony powtórzył: „Tak jest” i kopnął się w stronę schodów.

– Gdzie lecis? – przyhamowała go mama. – Wiertarka, kołki, śrubokręt, drabina.

Z trzecim „tak jest” zawrócił po sprzęt. Ale zawstydzony wpadką i zły na rekruckie „takjestowanie” chciał sobie poprawić samoocenę i nie posłuchał matki. Mój pokój może czekać. Zacznę od tatowego. Boże, żeby weszło jak w masło – westchnął, dobierając wiertło. – Żeby nie trzeba było gipsować.

Udało mu się z jednym karniszem, drugi też nie potrzebował gipsu. Kiedy jednak zszedł piętro niżej i zobaczył w przyszłym „telewizorowym” czterometrowe szyny, obliczył, że to będzie dziewięć kołków, i zrobiło mu się trochę mdło. E, tam – odpuścił sobie – tych szyn w pojedynkę się nie założy. Zrobię najpierw kuchnię.

To, co miało być kuchnią, było tymczasem pakamerą – ze względu na ledwo podeschłe tynki postanowili do lata gotować w świetlicy. Toteż zwalali w przyszłej kuchni wszystko, co nie było zaraz potrzebne i to, „co się może kiedyś przydać”. Maciek nie bez irytacji zaczął odciągać od okna paki, żeby zrobić miejsce na drabinę, i nagle aż gwizdnął: poznał solidną, skórzaną walizę z harmonijkowym wiekiem, z szerokimi pasami.

– Mamo – zawołał, wybiegając na schody do suterenu. – Mamo, jest! Znalazła się!

– Co?

– Waliza z Aberdeen!

Ku jego zdumieniu mama odkrzyknęła bez emocji:

– Wiedziałam, że gdzieś musi być. Niech leży, nie ruszaj jej, bo znowu zginie z oczu.

Ale Maciek ruszył ją, bo musiał – zastawiała dojście do okna. Wcale nie taka ciężka – zdziwił się. Przystanął, nastawił uszu – w suterenie mama coś płukała pod kranem. A właśnie że... – powiedział półgłosem i najszybciej, jak mógł, wbiegł z walizką na schody.

Na piętrze tylko przerzucił ją do drugiej ręki i biegł dalej, dopiero u siebie położył brzemień płasko na podłodze i przetarł czoło. Potem ukląkł i nacisnął przyrdzewiałe zamki. Puściły, chciał podnieść wieko, aha, jeszcze pasy. Już.

Na samym wierzchu leżał mundur. Kurtka battledressu z rzędem baretek. Wziął ją ostrożnie w ręce, złożona kurtka rozwinęła się, rękaw zsunął się na podłogę, mignęło coś czerwonego.

Maciek ujął rękaw, żeby zobaczyć, co to. Naszywka.

– Poland – odczytał półgłosem. – Poland. Mundur mojego dziadka. Ujął kurtkę za patki, wstał, żeby jej się lepiej przyjrzeć, a potem znowu złożyć. Nie spełnił zbożnego zamiaru, bo usłyszał za plecami:

– Ależ, Maciek... Przez lata nic cię ta walizka nie obchodziła, a teraz nagle... To naprawdę nie pora!

Na progu stała mama z firankami i zasłonami przewieszonymi przez ramię.

– I karniszy nie przykręciłeś! – dodała.

– Chciałem najpierw u was, mój pokój może czekać.

– Szlachetnie z twojej strony. Ale ta walizka też może czekać. Zamknij ją i zejdźmy na dół, czas na drugie śniadanie.

– A rzeczywiście! – zgodził się ochoczo Maciek.

Przy śniadaniu mama studiowała ojcowy „harmonogram prac”, Maciek milczał, szykując się do skoku. I kiedy mama, odkładając harmono ram, powiedziała:

– Szczerze mówiąc, po zawieszeniu firanek nie będzie tu na razie co robić.

Wyskoczył ze swoim:

– No, skoro tak, to powiedz, póki jest chwila spokoju, o co wam poszło z wujkiem Olkiem.

– Te o się nie da w trzech słowach. Nie mówię, żeby się wykręcić, ale naprawdę. Żeby wyjaśnić, czemu Olek jest, no, może: był taki jaki był, trzeba by zacząć od pradziadka.

– Wasze o?

– Nie, twoje o.

– Eee, to nie tak źle. Wał śmiało, godzinę możemy sobie podarować. Może ci kawy zrobić? – dodał chytrze.

– Już sobie zrobiłam. Możesz mi podać, nacią a na kuchence.

Maciek podskoczył, przyniósł matce jej ulubiony „kubas” w niezapominajki, siadł.

– Więc pradziadek... – zaczął za matkę.

– Więc twój pradziadek, a mój dziadek, miał w Zaleszczykach dom, duże sady, mnóstwo znajomych i powinowatych i tylko jedną córkę, to jest: moją mamę. Sadownikiem był, zdaje się takim sobie, morelami i wiśniami zajmowała się babka, dziadek był przede wszystkim lekarzem. Jedyna córka zdała maturę już w niepodległej Polsce i uparła się, żeby studiować medycynę. W tamtych czasach był to śmiały pomysł, ale dziadkowi się podobał, a kiedy wróciła po studiach na stałe, z dyplomem, po prostu pękał z dumy. Zabierał ją bryczką jako konsultanta, gdy jeździł po dworach, przedstawiał jako krynicę wszelkiej medycznej mądrości – mama uśmiechnęła się. – Przesadzał oczywiście, ale mamie dodawało to bardzo pewności siebie. Stawała się na swój sposób sławna. Miała ogromne powodzenie i już po pierwszym karnawale – mój Boże, wtedy jeszcze były karnawały – wyszła za męża. Za kapitana KOP u.

– Czego?

– Korpusu Ochrony Pogranicza. To taki przedwojenny WOP...

– Eee...

– Nie żadne „eee”, tylko... No, mniejsza. Kapitan był od niej sporo starszy, ale bardzo przystojny i...

– Wiem! Podobny do Sikorskiego. Od razu tak pomyślałem, jak w Płocku oglądałem album.

– W albumie widziałeś go już starego. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że podobny do... Ale ciebie rozumiem: to ta jego przedwojenna twarz... W każdym razie dziadkowie woleliby może innego, młodszego i bogatszego, ale w końcu przeważało, że to, było nie było, Aksak...

– Wiem, że Aksak, ale czy to takie ważne?

– Gdybyś przeczytał całą Trylogię”, jak cię prosiłam, to byś wiedział, że wśród zbarażczyków był i młody pan Aksak, „który pod Konstantynowem nieśmiertelną okrył się sławą”...

– A dziadek gdzie się okrył nieśmiertelną sławą? – w głosie Maćka było odrobinę kpiny, co mama odczuła, bo odpowiedź miała ton karzący.

– W legionach, na wojnie bolszewickiej i pod Falaise. Za legiony miał Krzyż Walecznych, za dwudziesty rok Virtuti Militari, za Falaise znowu Krzyż Walecznych.

– I był tylko kapitanem?

– Pod koniec wojny został majorem. Co już mu się na nic nie przydało, a nawet mogło zaszkodzić. W kraju, gdyby wrócił...

– Zaraz, przecież urodziłaś się po wojnie.

Mama stuknęła „kubasem” w stół.

– Jak chcesz wysłuchać do końca, to nie przerywaj. Wszystko po kolei. No więc było huczne wesele, młoda para była piękna i szczęśliwa, aż oczy rwała, we właściwym czasie urodził się syn, któremu wrócono świetną przyszłość, dorastał, ojciec brał go przed siebie na siodło, dziadek na bryczkę, wszyscy się do niego uśmiechali.

– To był wujek Olek?!

– Tak, wyobraź sobie, to był wujek Olek. Tak mi mama opowiadała – a jak opowiadała, mój Boże, szkoda żeś nie słyszał.

– Nie moja wina – burknął twardo.

– Moja też nie. Saszy.

– Wujka Olka?

– Właśnie. Tak więc żyli błogo i szczęśliwie...

– Aż wybuchła wojna.

– Aż wybuchła wojna. Ojciec wsiadł na konia i pojechał, matka i dziadek wnet mieli pełne ręce roboty, bo zaczęły się epidemie, do Zaleszczyk zwała się lawina uciekinierów, potem rannych, Olek nie wiedział co się dzieje, co ze sobą robić...

– Zaleszczycka szosa – przypomniał sobie Maciek coś z historii.

– Otóż to. Wyobraź sobie podrostka – miał wtedy trzynaście lat – harcerzyka, który rósł przy piosence „O rycerstwie znad kresowych-stanic, o obrońcach naszych polskich granic”; i jeszcze na dodatek nazywał się Aksak, dosiadał koni kawaleryjskich, na siódme urodziny dostał miniaturową szablę ułańską...

– Tę, którą rozwalilem łeb Kramerowi? – podskoczył Maciek.

– Skąd, tamtą szablę rdza zżarła gdzieś w ziemi, w zgliszczach. Tę, którą ci tata skonfiskował po twoim wyczynie, kazał dziadek zrobić specjalnie dla ciebie, bo choć nie nazywasz się Aksak...

– Rozumiem. Mam nadzieję, że tata ją wreszcie „odkonfiskuje”.

– Tak, oczywiście, jeśli ci zależy – mama jakby się nawet ucieszyła. – Olek chciał ją wyprosić dla Włodka, ale wola ojca święta.

– A nie mógł, dziadek znaczy się, kazać zrobić drugiej i dla niego?

– Rzecz w tym, że nie chciał.

– Czemu? Włodek też przecież wnuk.

– Dziadek odpłacił zawziętością za zawziętość. Nie przerywaj. Więc Olek, harcerz z drużyny imienia Skrzetuskiego, patrzył młodymi, dziecinnymi oczami, jak zaleszczycką szosą

walą w chaosie i panice auta rządowe, pogubieni „obrońcy naszych polskich granic”, jak „marszałek Śmigły Rydz do Rumunii hyc-hyc-hyc”.

– „Nie oddamy ani guzika” – popisał się Maciek.

– „Nikt nam nie zrobi nic” – dołożyła inny cytat mama. – Ja nawet mogę Olka zrozumieć. Zwłaszcza że most na Czeremoszu – Olek uciekł dorosły m, co nie było w tym zgiełku trudne, i dotarł aż do Kosowa, widział generalskie czapki rwące za granicę – więc most na Czeremoszu to jeszcze nie było to najstraszniejsze. Zaraz, w kilka dni po siedemnastym wrześniu zaczęły się rabunki i rzezie. Dziadkowie zrobili wtedy rzecz zgubną – postanowili przeczekać najgorsze u przyjaciół na wsi. Mama nie pojechała z nimi, szukała zawieruszonego Olka, kiedy się znalazł, ruszyli nocą za dziadkami, ale dotarli tylko do połowy drogi. Z wysokiego brzegu Dniestru widzieli, jak na równinach płoną dwory i wsie. Wtedy Olek dostał wręcz ataku hysterii, krzyczał: „Nienawidzą nas tu, nienawidzą pańskiej Polszy, i ja też nienawidzę, tych tchórzy, tych zdrajców”. Uspokoił go jakoś tam, jakoś wrócili do Zaleszczyk. A dziadków już nigdy w życiu nie zobaczyli. Najdosłowniej słuch o nich zaginął. Potem, po wojnie, mama wypytywała repatriantów – bez rezultatu. Opowiadali zresztą rzeczy tak straszne, że może i wołała nie wiedzieć, wyobrazić sobie, że zmarli na atak serca, że z wyczerpania... Nie wspominać... „Mego dziadka piłą rżnęli... myśmy wszystko zapomnieli”.

Matka umilkła, Maciek próbował wyobrazić sobie siebie samego w sytuacji wujka Olka. Jakoś nie mógł. Prawie miał przed oczami nigdy nie widziany most na Czeremoszu, ale siebie tam nie umiał zobaczyć.

– „Myśmy wszystko zapomnieli” – powtórzyła mama. – Moja matka to często cytowała, ale nie tu, w Aberdeen. W Warszawie raz Olkowi wypomniała, nie tym wierszem, ale też z „Wesela”: „...ród pamięta, brat pamięta, kto te pozakładał pęta i że ręka, co przekłeta, była swoja”. Kiedy znowu wracał do swojego; „tchórze, zdrajcy”. To już mu zostało. I dlatego ty masz szablę od dziadka, nie Włodek.

– Ale przecież wujek Olek musiał wiedzieć, że wojna nie jest skończona, że Sikorski we Francji...

– Wtedy, w tym chaosie? Radio im zaraz zabrali, zresztą wszystko, co popadło. A na początku października przyszło NKWD, aresztowali ich, zabrali na przesłuchanie do Lwowa...

– Za co?

– Ech, ty. Za dziadka – był przecież oficerem i to KOP-u. Przesłuchiwali ich osobno, mamę ostro, Olka bardzo inteligentnie, tak że kiedy na początku zimy wylądowali w kołchozie pod Nowosybirskiem, Olek miał już „jedynie słuszne” poglądy. Mama była przerażona i zrozpaczona. Ale nie protestowała, gdy go wytypowali do szkoły z internatem, uważała, że tam ma większe szansę przeżycia, i słusznie. A mamę uratowało to, że była lekarką – to szczęście dla kołchozu mieć lekarza i kołchoźnicy to doceniali, i strzegli jej jak oka w głowie, tak że nie miała szans, żeby się dostać do Andersa.

– Ale do pierwszej armii się załapała.

– Tak, choć i to nie było łatwe. Tylko że w to, kto by się spodziewał, włączył się Olek. To już nie był Olek, tylko Sasza, z duszą i kośćmi, rwał się do wojska...

– Było nie było, Aksak.

– Było nie było. Miał już szesnaście lat, za młody do służby frontowej, ale tak się upierał, że dotarł z matką nad Okę. Broni do ręki nie dostał, dopiero pod sam koniec wojny trochę postrzelał. Był jednak bardzo dzielnym sanitariuszem, przy matce najpierw, później w innej jednostce, ale już nie próbował ustawiać matki, „uświadamiać”, Mama mówiła, że gdy się spotkali w Warszawie – tak było umówione, mama miała przyjaciółkę ze studiów w Zieloncu...

– To przecież na trasie do Jazowa!

– Tak, to potem miało pewne znaczenie – uśmiechnęła się mama. – No i ta przyjaciółka była skrzynką kontaktową. Cóż to za urocza kobieta! Dziś już się takie nie rodzą, jak mawiała babcia Liwecka.

– To babcia ją знаła?

– Nie, nie. Ta ciocia Krysia zmarła, nim wyszłam za tatę. Była strasznie poharatana po powstaniu, właściwie inwalidka... To po niej mam imię. I poniekąd dzięki niej poznałam tatę. W pociągu, jak jeździłyśmy z mamą do niej na niedzielę...

– Czekał, zaraz. Poleciałś do przodu. Kończy się wojna, ale ciebie ciągle jeszcze nie ma na świecie.

– Zaraz będę. Mama spotkała Saszę u cioci Krysi, trochę tam nawet pomieszkali, ale nie za długo, bo Sasza był szalonym aktywistą.

– Zetempowcem!

– Coś ty. Po pierwsze ZMP powstało później, po drugie on się od razu zapisał do PPRu, poszedł na kursy dokształcające, błyskawicznie dostał się na studia...

– Co on właściwie studiował?

– Nauki polityczne.

– Też mi studia – prychnął Maciek.

– Widać nie najgorsze, sądząc po tym, jak jest urządzony...

– Bo jest prominentem, a nie, że studiował.

– Oj, mój synu, ty jesteś jednak strasznie zielony. A teraz już krótko:

Sasza stał się podporą mamy, jeszcze nie był studentem, a już wystarał się o pokój z kuchnią i wnęką w Warszawie, do załatwiania mieszkań on w ogóle miał szczęśliwą rękę.

– Nie to, co my.

– No, w tej chwili nie możesz narzekać – mama zatoczyła ręką po „światlicy”. – Niejeden marzy choćby i o mieszkaniu w tej suterenie.

Tak, to prawda. A Skobel będzie szczęśliwy, jeśli mu się uda zachować tę stodołę na poddaszu – przemknęło Maćkowi przez myśl i poczuł się głupio. Czym prędzej zagadał:

– Już wiem, co dalej. W tym pokoju z kuchnią odnalazł was dziadek Aksak.

– Ich. Mamę i Saszę. Przyjechał późnym wieczorem, lży, radość. Radość trwała krótko, bo jeszcze nie dopił herbaty, a już stwierdził, że mu odmienili syna. A po paru dniach był zgoła przerażony i rozmawiał z mamą szczerze tylko wtedy, kiedy Olka nie było. Chciał ich zabrać ze sobą do Anglii, wtedy, w powojennym chaosie, można się było jeszcze jakoś przemknąć. Ale było jasne, że Olek prędzej wyda ojca bezpiecznie...

– No, nie!

– No, nie, aż taki nie był. Niepotrzebnie mi przerywasz. Chciałam powiedzieć – prędzej wyda, niż z nim wyjedzie. Nie, nie, wydać go nie chciał, sam namawiał, żeby ojciec wrywał, póki czas, bo może być z nim krucho, jak nie zaraz, to później. Potem, ile razy się z Olkiem pocięłam, to mi chodziło po głowie, że wołał nie mieć takiego taty na karku.

– A teraz jak myślisz?

– Że im bardziej w stalinizm, tym bardziej się bał, że ten hak w życiorysie wyjdzie na jaw. I że wiele rzeczy, które najpierw robił „z przekonania”, potem robił ze strachu. Wracając do rzeczy: to powojenne spotkanie, na które mama czekała sześć lat, było zupełnie okropne i unieszczęśliwiło mamę do końca życia. Bo odtąd już ciągle musiała wybierać między mężem a dziećmi.

– I najpierw wybrała dzieci, a potem męża. To już wiem. Babcia Liwecka mi mówiła – zawahał się, ale dodał: – Miała jej to za złe, że zostawiła dzieci.

– Niesłusznie! – zaprotestowała mama ostro. – Nie zostawiła Saszy, choć był już prawie dorosły i dałby sobie radę...

– A ty byś się urodziła w Anglii.

– Jak się rozstawali z ojcem, to jeszcze nie wiedzieli, że się urodzę. Nie byli już młodzi, nie przypuszczali, że... No, ale jak się zameldowałam na świat, to już nie było co myśleć o zielonej granicy. Sasza zrobił się zresztą na jakiś czas bardzo dobry i kochający – mamę i mnie. Mama mówiła, że nosił mnie na rękach, jakbym była jego dzieckiem.

– Pewnie! Jak rodzonego ojca przepędził...

– Nie sądz go tak ostro. Czasem myślę, że z nas wszystkich jemu było najciężej. Chociaż nie – jednak mamie.

– A ty co? A tobie nie? W końcu jednak babcia Aksakowa „wybrała wolność”, a ciebie podzuciła Saszy na amen.

– Babcia Liwecka nagadała ci bzdur! Żebyś to wiedziała, to bym ci dawno wyjaśniła. Teraz rozumiem, czemu się wcale nie zmartwiłaś, jak z podróży do Szkocji wyszły nici.

Maciek przypomniał sobie wyraźnie scenę, kiedy babcia Liwecka „nagadała bzdur”. To było w Boże Narodzenie, chyba w pierwszy dzień świąt, jeszcze „przed Płockiem”, ale tuż, tuż. Rodzice gdzieś wyszli, może do kościoła, on się bawił zapamiętałe prezentami z Aberdeen -nie były to pierwsze prezenty, ale tym razem dostał ich bardzo dużo: matchboxy, airfixy, pewnie całą drugą wojnę dałoby się nimi rozegrać. Mazaki od babci Liweckiej (o których przedtem marzył) leżały nietknięte, ledwie rozpakowane, pod choinką. Chyba to właśnie ją wkurzyło, bluznęła, aż hej. Struchlał po prostu. Czego tam nie było: i wyrodna matka, i pazerność na lekkie życie, i wuj – pacholek Moskwy... Zasnąć potem nie mógł, ale matce słowa nie pisał. Zresztą z czasem zapomniał. Aż do dziś.

– Fakt jest faktem – powiedział. – Wyjechała z wycieczką Orbisu, jak tylko pojawiła się możliwość, i tyleście ją widzieli.

– To wcale nie było tak. Ojciec wtedy chorował, błagał ją, żeby przyjechała. Olek już był żonaty, więc cóż mu po mnie tylko kłopot z głowy i luz w mieszkaniu, mogła się nim nie przejmować. A mnie mieli ściągnąć przez Czerwony Krzyż, ojciec zapewniał, że nie ma siły. Ale siła się znalazła: Sasza. Sasza, gdy mama nie wróciła z wycieczki, załatwił pozbawienie jej praw rodzicielskich, a sobie opiekę prawną nade mną.

– Ten Sasza jest chyba kopnięty!

– Jest. Wstyd tak mówić o własnym bracie, ale myślę, że jak go kopnęło nad Czeremoszem i Dniestrem, tak już się nie pozbierał.

– A ty za to płacisz...

– Teraz już nie, ale całe lata... Chociaż, mój Boże, i teraz... Przecież ja poszłam na archeologię, choć mnie wcale nie obchodziła... Ja, uśmiejesz się, chciałam być malarką. Ni mniej ni więcej. Kiedy byłam mała, smarowałam zawzięcie to wszystko, o czym mama mi opowiadała. Dom dziadków w Zaleszczykach, sady nad Dniestrem, Oczywiście w tajemnicy przed Olkiem. Mama skądś zdobywała fotografie.

– Masz te obrazki?

– Skąd, kto by takie rzeczy chował.

– A może potrafiłabyś namalować jeszcze raz?

– Bardzo wątpliwe. Od lat tylko wykopuję i sklejam prehistoryczne skorupy.

– No więc czemu poszłaś na tę archeologię?

– Bo mi koleżanki doradziły. Że to daje szansę wyjazdu za granicę. Na wykopki. A ja chciałam strasznie zobaczyć rodziców.

– Przecież jeździłaś potem do Szkocji.

– Potem, potem. Za Gierka. Aleja przecież studiowałam za Gomułki. Tego się nie pamięta, ale i w latach sześćdziesiątych nie dawali ci paszportu, ot tak, bo sobie chcesz pojeździć. Zresztą podejrzewałam, i nie bez racji, że Sasza by mi przeszkodził.

– Czemu nie bez racji?

– Bo później, kiedy było łatwiej, nigdy nie dostaliśmy zgody, żeby jechać z tobą. W ogóle we troje. Odmowa z paragrafu czwartego: „inne ważne względy” i kropka. Ktoś nam musiał świnię podłożyć.

– Ale jaki by miał w tym biznes? Wujek Sasza, znaczy się.

– Miał takie zrywy, mówiłam ci. Myślę, że się bał, no, nie mógł znieść myśli, że możemy się wszyscy razem przed kominkiem w Aberdeen, wspominać, opowiadać i wydziwiać na niego.

– Przed kominkiem? To dziadek żył jak lord!

– E tam. Mieszkał w zabytkowej oficynie, której nikt nie chciał, bo była wyposażona jak w osiemnastym wieku. Coś takiego można zwiedzać, ale nie mieszkać w tym.

– Czekał, a tak dokładnie, to co dziadek robił?

– Co mógł robić byłby kawalerzysta pod pięćdziesiątkę? I tak miał szczęście, że dostał posadę od towarzysza broni, faktycznie landlorda. Przy koniach. Był czymś trochę lepszym od stajennego. A babcia – mama uprzedziła pytanie – pracowała jako pielęgniarzka. Po śmierci ojca lord wymówił jej oficynę, przeniosła się do „domu złotej jesieni”. Staraliśmy się o jej powrót do kraju, no cóż, wyszło inaczej. To byłoby na dzisiaj tyle -mama wstała bardzo energicznie.-Chciałeś wiedzieć, o co poszło w Płocku nad walizą z Aberdeen, to się dowiedziałeś. Po prostu o całokształt.

– A babcia Liwecka mówiła, że o pieniądze. O spadek.

– Wiesz, ta babcia... Po pierwsze, co za spadek. Biedne emeryckie oszczędności, zmieściły się w jednej kopercie. Choć, co prawda to prawda, za nie mogliśmy tu wykupić mieszkanie na własność. Ale co do wujka Olka, to akurat w tej sprawie był absolutnie w porządku. Do pieniędzy nie zgłaszał pretensji, cienia pretensji. Chodziło mu o szablę i fotografie, a tego właśnie nie chciałam mu dać. Za karę, że nie pojechał na pogrzeb. Teraz żałuję, można było się jednak czymś podzielić.

– Wiesz co? Mam pomysł! Daj Włódkowi!

– Eee. Myślisz, że to dla niego ważne? Wrzuci gdzieś do szuflady i tyle. Ty byś też tak zrobił.

– Ja? Nigdy! – zaperzył się Maciek. Ale gdy napotkał spojrzenie matki, z lekka drwiące i pełne niedowierzania, zaczerwienił się.

– Dobrze, dobrze. Chodźmy zawieszać firanki. Nie po to je prasowałam, żeby się gniotły na stolku. I przed tatą trzeba się czymś wykazać.

Powinien niedługo być.

Ojciec jednak wrócił, kiedy już szarzało. Nie chciał obiadu:

– Zmęczony, owszem, ale głodny akurat nie. Zabrałem młodego Banaszaka do knajpki koło stoczni, wiecie, co to w szyldzie ma: „Jak u mamy”. Zmiał z talerzy aż miło. To jest, właściwie smutno. On chyba pierwszy raz w życiu był w restauracji. W ogóle strasznie nieobyty, nie przypuszczałem. Beze mnie by nie pozatłatwiał wszystkiego. Te biurwy... A boję się, że to nie koniec. On jest, okazuje się, niepełnoletni. Parę miesięcy mu brak, ale zawsze. Ty – zwrócił się do Maćka – ty wiedziałeś, że on miał nadzór sądowy za włamanie?

Mama zaskoczona, też spojrzała na Maćka. Maciek zawahał się, ale odważnie przytaknął:

– Całe szczęście, że miał. Dzięki temu wyjdzie na ludzi. Trafiła mu się bardzo dobra kuratorka. Opowiadał mi kiedyś i mówił, że z „taką kobitą” to by się ożenił.

Ojca nie zainteresowały matrymonialne ideały Skobla, tylko co innego.

– To była prawniczka? Bo Skoblowi na razie nie żona, ale prawnik może być potrzebny.

– Prawnik? A to po co?

– Oj, dziecko. Mieszkanie. Ludzie teraz gotowi mordować za mieszkanie. A propos – bardzoście się tu namordowali?

– Tak sobie – powiedziała mama. – Nie zrywaliśmy się, w końcu na wysoki połysk jeszcze czas.



Obeszli z ojcem chałupę „od piwnicy aż po dach”, Ojciec zdziwił się niemile, że Maćkowe poddasze jest w takim stanie, w jakim je zostawił:

– Myślałem, że skończysz, co zacząłem. Specjalnie się starałem, żebyś jutro już mógł tu lekcje odrabiać, a ty nawet karniszy nie zamontowałaś!

– Jeszcze nie noc – usprawiedliwiał się Maciek. Nie chciał się przyznać, że tyle czasu przegadał z mamą. – I wiesz co? Dziś ja tu mogę nocować. Nie pójdę spać, aż nie skończę.

Ojciec zastanowił się:

– Właściwie to nie jest zły pomysł. My z matką mamy jeszcze trochę roboty na starym miejscu...

Mama, bez entuzjazmu co prawda, przystała na ten projekt. Gdy niedługo potem wychodzili, napominała od progu:

– Tylko nie idź głodny spać! W kuchni znajdziesz dość spyży. I postaraj się zapamiętać, co ci się będzie śniło. Pierwszy sen pod nowym dachem się spełnia!

Wcale mu się nie chciało brać znowu wiertarki do ręki. W ogóle raczej nic mu się nie chciało – ledwie został sam, tak jakoś para z niego uszła. Poczłapał jednak na poddasze, rozejrzał się, westchnął:

– Przedtem mi się wydawało, że tu już wszystko zrobione, a teraz -że nic... No, trudno, trzeba się za coś wziąć. „Najdłużej trwa ta robota, której się wcale nie zaczęło”, jak mówi hobbicke przysłowie.

Wspomnienie hobbitów skierowało jego oczy w stronę pak z książkami. W której z nich może być „Władca pierścieni”? Właściwie to jest to, na co w tej chwili ma ochotę – rozwalić się na materacu i czytać bajkę o dwóch niezłomnych Halflingach, którzy unicestwili Saurona i całą potęgę Mordoru. Tak, tylko niestety, och, niestety, może czytać jedynie o Halflingach, a nie o niziołkach, ponieważ tata, owszem, sprezentował mu trylogię Tolkiena, ale po angielsku („Jeśli już musisz czytać bajki, to trenuj się chociaż przy okazji w języku” – powiedział bezlitośnie). O, nie, trenować angielski to żadna frajda, w każdym razie teraz. Już lepsza wiertarka. Wziął się w garść.

Z zawziętym spokojem umocował karnisze, z podobną spokojną zawziętością powiesił „szmaty”, starając się wykonać to tak, żeby mama nie miała okazji do poprawek. I jeszcze wstawił książki na półki, i jeszcze zaniósł na dół puste kartony, i jeszcze zmiótł trociny pod oknem, i wtedy dopiero spojrzął na zegarek.

– Dochodzi jedenasta. Po jaką cholere ja się tak nad sobą znęcam? Bo cały ten zimny zapach, z którym odwałiał nie ulubiane prace był jakby komuś na złość, za karę. Tylko właściwie komu? Sobie czy mamie? Dosyć to niepojęte – sam zmusił matkę do gadania, a teraz wolałby, żeby tego nie było. Uprzytomnił sobie, że z historii rodzinnych dotarło do niego więcej, niż mu się zrazu zdawało. Oczywiście dzięki babci Liweckiej, która „miała gadane”, oj, miała, czy ktoś chciał słuchać, czy nie. Maciek z reguły nie chciał, coś jednak i przy największym niechceniu musi się do pamięci przykleić. Na przykład losy rodziny ojca mógłby nawet teraz nieźle poskładać: że protoplasta rodu był kasztelanem na zamku w Liwie, stąd nazwisko. „E, tam, babcine bajki – machnął kiedyś ręką ojciec na te rewelacje – moim zdaniem nie od Liwu, tylko od Liwca, podobno wciąż nad rzeką siedzieli”. Ale na bliższe dzieje ojciec już ręką nie machał, bo były treścią życia jego matki, no i odczuwał je na własnej skórze. Dziadek Liwecki był w AK, po wojnie się ujawnił, z poświęceniem i zapałem pracował w szkole w Jazowie, nawet był kierownikiem w najgorszym, tuż-powojennym okresie, aż tu pewnej nocy ktoś zapukał do okna, dawny towarzysz broni prosił o pomoc, dostał ją, po paru tygodniach znowu pukanie, a ściśle walenie, nie do okna, do drzwi. UB, aresztowali dziadka za współpracę z reakcyjnymi bandami, umarł w śledztwie, bez procesu, krótko przed śmiercią Stalina. Babcia mówiła, że nawet gdyby przeżył Stalina, to jeszcze nie powiedziane, czy by ocalał, bo dopiero trzy, cztery lata później rehabilitowali takich jak on, i mały Boguś („czyli twój tatuś”) aż do

trzeciej klasy był w szkole za „syna bandziora”, i musiał się bardzo dobrze uczyć, żeby udowodnić, że żadnego bandziora, tylko bohatera, i jak dorośnie, to im wszystkim pokaże, A babcię ze szkoły wylali, choć uczyła matematyki, przy której żadnej polityki nie ma, bo dwa i dwa jest cztery niezależnie od tego, kto to mówi, „bandzior” czy bojownik o wolność. Dopiero za Gomulki pozwolili jej znowu uczyć, ale żeby na szkole powiesić tablicę ku czci pierwszego powojennego kierownika, który własnymi rękami papę na dachu tej szkoły przybijał, o, to nie, to by ich zanadto w oczy kłuło...

Maciek patrzył w ciemność za oknem i jakby słyszał głos babci Liweckiej. W pewnej chwili tak wyraźnie, że aż bał się odwrócić. Więc oczywiście się odwrócił, oczywiście nie zobaczył babci, tylko skórzaną walizę, ledwie przymkniętą.

Znowu przykląkł nad nią, przez chwilę miał ochotę zajrzeć do środka, czy ta skonfiskowana przed laty szabla tam jest...

– O, nie – powiedział półgłosem – jak zacznę w tym grzebać, to nigdy nie przestanę. Koniec z tym.

Docisnął zamki, zapiął pasy i prawie wrzucił walizę do schowka pod skośną ścianą.

Koniec z tym – powtórzył, waląc pięścią w zacinające się drzwiczki schowka. – Dobrze, wiem, miałem dwóch dziadków bohaterów i dwie babki – dzielne, nieszczęśliwe kobiety. I co z tego? Co z tego dla mnie wynika? Nul koma nul. Idę spać.

Umył się byle-byle, wdział tatową piżamę, zgasił światło i zagrzebał się w bety.

Uch, ależ tu ciemno – pomyślał. – W bloku to zawsze coś w oknie mżyło, od lampy, od okien innego bloku. A tu nic, tylko wiatr w lesie szumi i na działkach szeleści. Ojej, no przecież nie będę się bał!

Ale było mu nieswojo. Trochę z powodu wiatru za oknami, bardziej jednak od czegoś w środku. Znowu coś go uwierało, jak wtedy, po powrocie ojca. Ale co? Skobel? Nie myślał tego dnia wiele o Skoblu, o Zośce i Prezesie w ogóle. Może więc właśnie to, że nie myślał? O Grażynce też nie myślał, e, tam, świeża sprawa, nie ma o czym myśleć. Albo właśnie jest – o, w sam raz myśl na chwilę przed zaśnięciem. Jutro, nie, jutro finał przeprowadzki, pojutrze ją zobaczy...

Więc to będzie tak: wejdzie do klasy, Grażynka zawoła: „Maciek, nareszcie, gdzie przepadał?” On: „W Himalajach gratów. Przeprowadzaliśmy się, wiesz przecież!” Ona: „Nie wiem, nic nie mówiłeś”. On: „Zapomniałem w tym wszystkim”. Ona: „Ty też jesteś! Tylko nie mów, że nie mogłeś się urwać na pół godziny i wpaść do sąsiadów” On: „Żebyś wiedziała, że nie mogłem”. Stop, nie tak, obrazi się. Cofaj taśmę: Ona: „... wpaść do sąsiadów”. On: „Chciałem cię zaprosić na gotowe”. Ona: „No to zapros”. On: „Kiedy jeszcze nie wszystko gotowe”, Stop. Nie tak. W ogóle nie tak. Daj spokój. Nie wychodzi, to nie wychodzi. Nieważne.

Kiedy właśnie, że ważne. Chcę, żeby mi się przyśniła. Pierwszy sen pod nowym dachem się sprawdza, mówiła mama.

I ledwie wspomniał mamę, zaczęło się na nowo. Zamiast mglistego zarysu kędzierzawej głowy Grażynki, po powiekami twarz matki, gdy mówiła: „Co ty wiesz o czekaniu?” Teraz wie. O jej czekaniu. I czemu ojciec ciągle jakby chciał komuś coś udowodnić. I wcale nie chce tej wiedzy. Jest niepotrzebna. Niewygodna. „Musisz zrozumieć ojca” – to głos babci Liweckiej, kiedy się wściekał, że ojciec nie przyjechał z Warszawy i nie pójdą razem nad Liwiec. Wcale nie musi. On też jest człowiekiem. Ma prawo mieć ojca w niedzielę. „Twój ojciec od trzeciego roku życia nie miał nie tylko w niedzielę, ale w ogóle. I proszę, będzie uczonym”. „Nie będzie, bo diabli wzięli asystenturę i przenosimy się do Płocka, he he”. „Jesteś niedobry”. „Właśnie, że dobry. Mama mówi, że dobry!” „Ech, twoja mama. Dla niej każdy dobry. Ona chodzi po ziemi jakby na palcach. Jakby wszystko tu było nieważne. Warszawa, dobrze, niech będzie. Płock – też dobrze. Tylko Jazów jej się nie podoba”.

Cholera jasna, czy tej babci Liweckiej nie można wyłączyć? Wciąż się pcha na falę. Czym ją zagłuszyć? Szablą dziadka Aksaka? Też. Spać, spać.

Boдайby nie zasnął. Bo we śnie znalazł się w Warszawie, w salonie wujka Olka. Miał w ręku szablę i zbliżał się do wuja ze słowami: „Teraz popamiętasz, ty Saszo!” Chciał go uderzyć płazem w twarz. Ale szabla się przekręciła i ciał ostrzem. I nie „Saszę”, tylko kuzyna Włodka. „Nie chciałem ciebie!” – krzyknął i ciał drugi raz. I trzeci. I jeszcze. I jeszcze. Twarz przeciwnika zniknęła w ranach i strugach krwi, ale nie była to tylko twarz Włodka, także i wujka Olka, a raz nawet Kramera z Płocka. „Ja przecież nie chcę – krzyczał ciągle i ciągle walił na odlew. – Mamo, zrób coś!”

Zamiast mamy stanął w drzwiach Piegża, prawie zapomniany wróg, a potem przyjaciel, z czasów Drzewnej Wyspy. „Przeżegnaj ich rękojeścią” – powiedział głosem babki Liweckiej. Maciek posłuchał, zakrwawione twarze zniknęły, zniknął salon, a szabla przemieniła się w wierzbową witkę. Stał nad Liwcem i patrzył na piasek, łopiany i wikliny na drugim brzegu. Tam, tuż przy wodzie, siedział Włodek z wędką. Wstał i zawołał do Maćka – „Chodź, nie bój się!” „Ja się niczego nie boję” – odpowiedział i ruszył prosto po wodzie. Była miękka i ciepła jak leśna trawa. „No widzisz, wszystko dobrze! – powiedział Włodek. – Teraz pójdziemy”. „A on?” – spytał, bo nagle zobaczył wujka Olka siedzącego na kajaku odwróconym do góry dnem. Maciek wiedział, że to jest wujek Olek, choć nigdy go takim nie widział: miał szczupłą, smagłą twarz, żadnych worów pod oczami i całkiem siwe włosy. Podniósł głowę i patrząc na chłopców, powiedział: „Idźcie sami. Ja muszę czekać, aż zakwitną morele”. „Co on mówi? – zwrócił się Maciek do Włodka. -Przecież na Jaćwieży morele nie rosną”. „Chodź, chodź, pora na nas. W Liwie już dzwonią”.

Obudził się, nie, żeby coś dzwoniło, tylko zegar wewnętrzny mówił mu, że trzeba wstać. „O Jezu, co za bzdury mi się śniły! Jeśli to ma się spełnić, to ja dziękuję. I skąd w tym śnie morele i Jaćwież? Kompletna paranoja”.

Wciągając dzinsy, poczuł się nagle strasznie głodny, tak aż do mdłości, i nawet się z tego ucieszył. Przynajmniej przez pół godziny będzie miał z głowy nocne zmyślenia. A potem przyjedzie meblowóz i zacznie się tupot, pokrzykiwania i „nowe życie”.

Przed meblowozem przyjechała jednak mama. Była zdenerwowana, nawet zła i wcale nie wyglądała na kogoś, kto tylko palcami nóg dotyka ziemi. Ledwie przeszła próg, wcisnęła Maćkowi plastikową torbę z czymś kanciastym.

– Masz, to jest telefon, przyłącz go do gniazdka w jadalni. Ja jadę do centrali żeby przysłali podłączyć do sieci. Ten Siedluk jest jednak bezczelny: spłaciliśmy mu dług, dostał mieszkanie, malucha, paczkę zielonych, wszystko co chciał, i w ostatniej chwili chce jeszcze wytargować telefon. Że niby należy do stałego wyposażenia. Tata się z nim pociął, bo co za dużo... Pa, leczę.

– Czekaj, a jak tam jest z załadunkiem?

– Najpóźniej za godzinę powinni być. To nie jest meblowóz, tylko zwykły star. Odkryty. Dobrze chociaż, że nie pada. Rozejrzyj się, czy coś nie zagradza dojazdu pod sam dom.

Nim Maciek wyszedł za próg, golf zniknął już na zakręcie. U-hu-hu, mama w tempie rakietowym... Tego jeszcze w kinie nie grali. Musiało iść na ostro z tym Siedlukiem. Dobrze, że mnie przy tym nie było... Kłótnie to ja lubię tylko z mamą czy z tatą.

Otóż to. Fakt, stawia się rodzicom, więcej – lubi się stawiać. Przyciskać do muru, wprawiać w zakłopotanie. Do dziś, do wczoraj, wydawało mu się, że ma do tego święte, zgoła najświętsze prawo. Uczy się dobrze, gwiazdki z nieba nie chce, nigdy o żadne szmery-bajery nie robi sprawy, w domu pomaga i w ogóle jest poskładany, więc powinni to docenić, liczyć się z jego zdaniem, uwzględniać jego sprawy. A oni – słuchają jednym uchem. A oni – za jego plecami... Mama: „Tak, tak, synku, oczywiście”, a widać, że myślami jest w jakichś niepojętych dalach. Ojciec mniej więcej tak samo, tyle że jego myśli nie przepadają w owych dalach, tylko coś w nich ścigają, za czymś gonią...

Rozejrzał się wokół – no, tę taczkę można by odsunąć, poza tym wszystko w porządku. Wjechał z taczką aż za dom, brr, ależ tu w cieniu zimno, wrócił na schodki przy wejściu, siadł i wystawił twarz na promienie nikłego, grudniowego słońca. Przymknął oczy, nie było na co patrzeć – działki po przeciwnej stronie uliczki w październiku jeszcze przyciągające wzrok tu żółcią późnych nagietków, ówdzie fioletową kępą marcinków, były teraz jedną wielką szarą, niewiele się różniącą od dawnego śmietniska-pokrzywiska.

– I znowu siedz i czekaj, człowieku – zezłościł się i w tej samej chwili ogarnął go wstyd. „Ja całe życie czekałam” – przypomniał sobie słowa matki i serce mu się ścisnęło. Już nie zazdrościł rodzicom ich „terenów zastrzeżonych”, tych długich półgłośnych rozmów za zamkniętymi drzwiami, tych zamyśleń i roztargnień. Oni są jeszcze bardziej znikąd niż ja – olśniło go. – Nie, bardzo dobrze, że się nam trafiła ta chałupa. Posadzą drzewa, może morele... Będzie tu ładnie, jak u sąsiada, jak u Grażynki... Co to jest Jaćwież? Dziunia-Spychacz chyba wie. Kiedy ja ją zobaczę?

Zaśmiał się z cicha – kto by się spodziewał, że zateśni za Dziunią i w ogóle za szkołą? Chociaż, po tych opętanych paru dniach i szkoła może się wydać oazą normalności. A to jeszcze nie koniec, zaraz przyjedzie star z gratami i zacznie się orkan.

Orkan się zaczął po pół godzinie. No, może nie orkan, bo najęci ludzie zwijali się szybko i sprawnie, ale średnia burza z piorunami. Piorunował ojciec – widać scysja o telefon wkurzyła go tak, jak mamę, może tam jeszcze coś zaszło, bo tylko pokrzykiwał ostro: „Nie tam, na piętro. W lewo, bardziej w lewo, bo rąbniecie w okno. Albo coś rób, albo znikaj i nie płacz się pod nogami” – to do Maćka.

Maciek położył uszy po sobie, włożył na skrzynię stara (byle dalej od ojca) i podawał ładowaczom mniejsze klamoty. Jeszcze ostatnie krzesło, jakaś deska nie wiadomo od czego, nie szkodzi, potem się wyjaśni... Czyżby już? Nie, w domu czymś tam szurają, ojciec nadal piorunuje...

Odczekał przy starze, aż robotnicy wyszli, po czym odważnie wszedł do domu. Nadsluchiwał chwilę – ojciec przybijał coś w kuchnio-świetlicy.

Niech sobie przybija, aż mu złość przejdzie – zdecydował Maciek. – Ja pójdę uładzić w moim pokoju.

Niedługo potem przyjechała mama, z monterem od telefonów, głos taty już złagodniał, na pytanie mamy „A gdzie Maciek?”, ojciec odpowiedział z niejakim zakłopotaniem, że był przed chwilą, że dzielnie się zwijał...

No, to mogę się ujawnić – odetchnął Maciek i przechylając się przez poręcz, zawołał:

– Tu jestem, na górze. Wieszam ubrania w szafie.

– To dobrze. Nie zapomnij się tylko przebrać przed wyjściem

– Ja nie wychodzę. Chyba wieczorem.

– No jak? A pogrzeb Banaszaka? Zapomniałeś?

To ty zapomniałeś mi powiedzieć – chciał sprostować Maciek, ale nie sprostował.

– Coś mi się pokręciło. Myślałem, że jutro.

Rodzice zaczęli konferować z monterem w sprawie drugiego gniazdka do telefonu, Maciek medytował przed otwartą szafą, w co należy się ubrać na pogrzeb. W każdym razie nie dzisiaj, tyle zapamiętał z pogrzebu babci Liweckiej...

Tata stanął przed tym samym problemem znacznie później, mama i Maciek musieli – jak nigdy – czekać na niego, tak że przyjechali na Srebrzysko, kiedy z kaplicy cmentarnej już wychodził ksiądz i ministrant z krzyżem. Ojciec przytomnie pchnął Maćka w stronę jednego z grabarzy, żeby ten zajął się wieńcem. Ledwie Maciek stanął znowu przy rodzicach, we wrotach kaplicy ukazała się trumna.

– O Boże! – szepnął Maciek. Poczł zimno wzdłuż kręgosłupa i jakby brak tchu. Dotąd śmierć Banaszaka jawiła mu się jako nieszczęście Skobla; dopiero teraz pojął, że Banaszak naprawdę umarł. Że ten wysoki, silny mężczyzna, patrzący spod kędzierzawej, bujnej „strze-

chy” spojrzeniem płochliwie-przepraszającym, gdy był trzeźwy, i zawadiacko-wesołym, gdy był podпиты, leży w tej drewnianej skrzyni i już nigdy nie powie: „Szefuniu, w porząsiu, będzie dobrze”... Że był człowiek, nie ma człowieka.

Sfatygowany głośnik wyduszał z mozołem i jękami powolne takty marsza żałobnego, żałobnicy szli jednak szybko, widać spieszyło się i księdzu, i kierowcy karawanu. Gdy weszli na serpentynę prowadzącą w górne rejony cmentarza, głośnik umilkł i szli teraz jeszcze prędzej. Maciek spojrział w lewo, w dół – pomiędzy obrośniętymi bluszczem pniami świerków zobaczył narastającą przed kaplicą nową gromadkę ludzi z wiązanekami w rękach.

Żałobników była garstka, ale Liwecy szli prawie na końcu i dopiero, kiedy ksiądz ze słowami: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” sypnął garstkę ziemi na trumnę, a grabarze rozepchnęli gromadkę i chwycili za sznury, Maciek dostrzegł Skobla.

Młody Banaszak stał sztywno i samotnie tuż u krańca deski podtrzymującej trumnę. Właśnie podszedł do niego grabarz i coś szepnął. Skobel schylił się, zgarnął pełną garść piasku i cofnął się o dwa kroki. Grabarz wyciągnął deskę, krzyknął: „Równo, mówię!”, trumna zakolysała się i zaczęła pograżać w dole. Rozległ się teatralny lament „ojcovej”: „O Jezu, Jezu, co ja teraz biedna pocznę”. Skobel spojrział na nią z wściekłą pogardą, wydawało się, że ciśnie w nią piaskiem, nie, rzucił piasek na znikającą trumnę. Zadudniło głucho, potem zachrząściły wyciągane z dołu sznury, grabarze chwycili za łopaty...

Ojcowa zaprzestała lamentów, przystąpił do niej pan Wiktor z dwojgiem młodych ludzi, coś tam szeptał. Skobel nie patrzył na nich, ani na rosnącą szybko mogiłę, tylko gdzieś obok, pomiędzy zwijających się grabarzy. Maciek zwrócił oczy za spojrzeniem Skobla na sąsiedni krzyż i odnowioną niedawno tabliczkę: „Marianna Banaszakowa z d. Konkel. Zmarła 17 V 1979. Żyła lat 31”.

Kiedy mama miała trzydzieści jeden lat? W Warszawie, w Płocku? Nie mógł sobie zupełnie wyliczyć, myśli mu się rozbiegły. W siedemdziesiątym dziewiątym to ja miałem lat... To ja byłem... Zdjęła go nieokreślona zgroza i żal, w których, jak w ciężkiej mgłę, krążyły nieskładne zdania: „Mam rodziców. Rodzice mają życie. Rodzice mają swoje życie. Skobel jest zupełnie sam. Jego rodzice już nie mają życia. Już nic nie mają”. Czuł ucisk w gardle, bał się, że jeszcze się rozplacze, nie z żalu nad nieszczęsnym Banaszakiem ani ze współczucia dla Skobla, ale nad życiem własnych rodziców, takim ciężkim, zagrożonym, poszarpanym i jeszcze mimo to za krótkim...

– Podejdziemy złożyć mu kondolencje? – usłyszał głos matki.

– Nie, dajmy spokój, trzeba by wtedy i tej babie...

„Ojcowa” i pan Wiktor stali teraz przy Skoblu, coś mu tłumaczyli, Skobel z kamienną twarzą wodził wzrokiem po rozchodzących się już żałobnikach, naraz pojaśniał, rzucił coś na odczepne panu Wiktorowi i prawie pobiegł do stojącej pod świerkiem starszej pani, ubranej z emerycką starannością w ciemny płaszcz i kapelusz. Emerytka widać czekała na tę chwilę, objęła Skobla...

– Może jednak znalazł się ktoś z rodziny? – ucieszyła się mama, a tata dodał z dumą:

– Miałem rację, że ogłoszenie poskutkuje. Chodźmy, nic tu po nas.

Schodzili powoli serpentyną do głównej alei. Ojciec rozglądał się wokół w milczeniu, powiedział półgłosem:

– Piękny cmentarz. Taki cichy...

Maciek, który też lustrował nagrobki, w pierwszej chwili chciał, dawnym zwyczajem, wygłosić zgoła odmienne zdanie. Tyle zaniedbanych grobów, zeschnięte wieńce, wypalone znicze jeszcze po Wszystkich Świętych, tu zapadający się nagrobek, tam przeraźliwe lastriko z kalfkami... Ale na tym wszystkim szeleszczące liście, chwiejące się gałęzie świerków i bluszcze, bluszcze, zwycięsko zielone, evergreen... Święty spokój. Naprawdę święty.

Ten spokój zamąciło stonowane, ale głośne wołanie:

– Proszę państwa!

Przystanęli, obejrzeni się: Skobel. Dogonił ich i z lekka zdyszany powiedział:

- Przepraszam. Ja tylko chciałem podziękować. Żeście państwo uszanowali mojego ojca.
- No, przecież... – tata zrobił nieokreślony ruch ręką.
- Tak, tak. I za wieniec. Gdyby nie państwo, byłby tylko ten jeden ode mnie. Ta zgreda wysiliła się „aż” na pięć goździków. Za to teraz robi stypę. Czyli ochłaj. Mam tam z nimi siedzieć. Niedoczekanie ich!
- No, nie wiem, może by trzeba i to znieść – powiedział ojciec. – Ale tak czy owak, może się pan zabrać z nami. Podrzucimy pana, gdzie pan będzie chciał, do bloku czy do nas.
- Bardzo dziękuję, nie. Albo właściwie... – urwał.
- No, co właściwie?
- Bo tu się znalazła nasza dawna sąsiadka. Babcia Grobelna, tak ją wszyscy nazywali. Z Zielonej. Oni przeczekali remont w domu rotacyjnym i od dwóch lat są znowu na starym miejscu. Przeczytała o ojcu w gazecie. A na stary adres przychodziło trochę listów i ona je ma, bo nie знаła naszego nowego...
- Aha – domyślił się ojciec. – Nie ma sprawy, zawieziemy ją do domu i pana razem z nią, tak?
- No właśnie, tak byłoby dla niej dobrze. Tylko że to aż w Brzeźnie.
- Nie ma sprawy – powtórzył ojciec.

Gdy Skobel pobiegł po sąsiadkę, ojciec jeszcze raz musiał się pochwalić pomysłem nekrologu, mama uśmiechnęła się na to, a Maciek milczał, przypominając sobie z wysiłkiem, że o tej „babci Grobelnej” chyba nawet od Skobla coś słyszał – że próbował ją znaleźć przez administrację, ale biurwy go spławiły...

Stara sąsiadka wiedziała już, że Liweccy pomogli Darkowi w ciężkich chwilach, dziękowała im, jakby chodziło o własnego wnuka, i kilkakrotnie powtarzała, że „Pan Bóg wynagrodzi”.

Mama, Skobel i Grobelna siedli w tyle golfa, Maciek przy ojcu, toteż niewiele słyszał z tego, co mówili za jego plecami. Skobel we właściwy moment wychylił się do przodu, by wskazywać ojcu drogę. Zatrzymali się w wąskiej uliczce, przed ceglany szeregowiec krytym papą. W oknach białe firanki, doniczki z bujnym geranium...

- Sympatycznie tu – zauważył ojciec.
- Tak, teraz, po remoncie, to nawet bardzo – zgodził się Skobel. – Żeby ojcowa nie upierała się przy bloku, mógłbym tu znowu mieszkać – dodał z rozżaleniem.

Emerytka zapraszała do środka, odmówili, tłumacząc się, że chętnie, ale są właśnie po przeprowadzce. Skobel zapewnił, że przyjdzie dowiedzieć się, czy nie pomóc, wreszcie się pożegnali.

- To naprawdę szczęście, że znalazł kogoś znajomego i życzliwego.

Ta starszka robi jak najlepsze wrażenie – powiedziała mama, kiedy wóz ruszył.

- No i może dowie się czegoś o swojej rodzinie – dodał ojciec. „Oby się nie dowiedział za dużo” – przemknęło przez głowę Maćkowi, ale zaraz wzruszył ramionami, uznając tę myśl za głupią.

#### IV. Akcje

Przyszedł do szkoły wcześniej jak nigdy i jak nigdy ucieszył go specyficzny zapaszek budy: mokrego kurzu, ciągnący z kątów, które sprzątaczką zawsze ochłapie, a tylko od wielkiego święta wyciera, lizolu czy innego paskudztwa, zalatujący z kłopotów. Nawet zasmarowany byle jak cementem ubytek w posadzkowych kafelkach, tuż przed progiem klasy wydał mu się sympatyczny, bo swojski.

W klasie było pustawo, „mafia wileńska” jeszcze nie nadjechała -wiadomo, pierwsi są ci, którzy mają niepewny dojazd, jak Jarek Zagaja, co ze swojego falowca na Przymorzu telepie się autobusem, kolejką i tramwajem, i „od wypadku” wychodzi z domu o siódmej.

Jarek szurnął krzesłem w bok i przesunął książkę na drugi koniec stołu, jakby Maciek potrzebował więcej miejsca niż on.

– Cześć, dobrze że już jesteś – powiedział serdecznie. – Co się z tobą działo? Zmarnowany jakiś jesteś.

– Fakt – przytwierdził ze swojego miejsca Krzychu Paluch. – Wyglądasz jak trup na urlopie.

– Twoje porównanie jest nieco prostackie – nadał się Maciek – ale bliskie prawdy. Poniekąd wracam z krainy cieni.

– Ho ho, co za górny styl! Te cienie musiały chyba być z bywszego salonu – odparował Krzychu.

– E, tam – mruknął Maciek ze złością. Zły był na siebie, że się nadał, ale jeszcze bardziej za to, że strzelił „krainą cieni”, którą rezerwował dla Grażynki. Wczoraj wieczorem ułożył sobie wzniosłą i piękną wersję ostatnich dni – jak to ruszanie z miejsca gratów uwolniło z zamknięcia duchy przodków, jakie to myśli chodziły mu po głowie na Srebrzysku... Czysta filozofia i poezja, a tu masz – najpiękniejsza perła wymysknęła się przed tego wieprza Krzycha. No nie, Krzychu nie jest wieprz, już prędzej Tommy, a tego na szczęście jeszcze nie ma.

Tommy zjawił się tuż przed dzwonkiem, nawet później niż Jolka Bereś, rzucił aktówkę na swój stół i zawołał:

– Panowie, czy ktoś mógłby mi złamać rękę na wuefie? Chcę olać sprawdzian z chemii.

– Trzeba było zostać w chacie – zauważyła Jola.

– Coś ty? Zakulem na sprawdzian z biologii, szkoda żeby się zmarnowało.

Ja cie... Dwa sprawdziany dzisiaj – zacukał się w duchu Maciek. -Kurczę, żeby wiedział, to bym się za próg nie ruszył. Trzeba było jednak do kogoś zadzwonić.

– No, chłopaki – ponowił ofertę Tommy. – Kto mi pomoże?

– Dobra, mogę ci nawet nogi z dupy powyrywać – odezwał się z kąta klasowy osiłek, zwany nie wiadomo czemu Mahoniem.

– Dziękuję, na razie nie skorzystam – odparł grzecznie Tommy. -Wystarczy, jak mnie elegancko sfaulujesz pod koszem. Jola Bereś wróciła do swego:

– Ty jednak jesteś frajer, Tommy. Znosić kuksańce od Mahonia, a zobaczysz, dosoli ci zdrowo, zamiast dziś się zrelaksować, a z Zarodnikiem umówić się na odpyt. Grażyna zawsze tak robi.

Aha, to jej dziś nie będzie. Strategia klasówkowa, wiadomo. Będę miał dodatkowy powód wizyty – podsumował Maciek i wyciągnął podręcznik do biologii.

Tommy jeszcze nie skończył:

– Grażynka może ryzykować odpyt u Zarodnika. Zatrzenie rzesami -Tommy zatrzepotał swoimi – główkę skłoni i Zarodnik ugotowany. Sam odpowie na wszystkie pytania, a jej da piątkę. Ale ja, co? Gdyby był pedziem, no, to może. Niestety, sukces Grażynki wyklucza mój. „Nie ma szansów dla romansów”.

Tommy siadł z miną człowieka skrzywdzonego przez los i wyciągnął piórniki. Piórniki, niektóre wręcz przedpotopowe, leżały dziś na wszystkich stołach. A pod nimi – zgrabne tekturki z powycinanymi okienkami. Tekturki były podstawowym wyposażeniem ucznia w wojnie z Zarodnikiem. Nauczyciel biologii nazywał się naprawdę Zagrodnik, ale przekręcili bezlitośnie jego nazwisko zaraz po pierwszej lekcji, zupełnie nie wzruszeni ofertą stremowanego biologa, który, ledwo co po studiach, proponował im partnerstwo i koleżeństwo. Że niby on będzie się odnosił wyrozumiale do ich kłopotów i problemów, a oni za to będą się dobrze uczyć. Biedak! Gdyby uczył polskiego albo matematyki, może by i doszło do jakiegoś gentlemen’s agreement, rzecz jednak w tym, że biologii nie chcieli się uczyć nie tylko „za to”,

ale za nic. Początkowo po prostu nie dopuszczali do odpytywania, błaznując, zagadując i w ogóle robiąc jaja. Nieszczęsny nauczyciel wymyślił więc testy, którymi torturował ich na co drugiej lekcji. Ale do czasu! W testach odpowiadało się „tak” przez postawienie krzyżyka w odpowiedniej rubryce. Otóż cichy Zagaja odkrył, że krzyżyki układają się w pewien określony deseń, nieznacznie różniący się w każdym sprawdzianie od poprzedniego. Współ z przyjacielem, przesławnym Zielińskim, złamali kod testów, nie kryli światła pod korcem i od miesiąca wystarczyło mieć w głowie cztery niewątpliwie dobre odpowiedzi, by przyłożyć właściwie tekturkę do testu i potem już mechanicznie stawiać krzyżyki w okienkach. Inna rzecz, że dla niektórych i cztery dobre odpowiedzi były ponad siły...

Zagrodnik podyktował pytania, Maciek studiował je dosyć bezradnie:

„1. Sprzężniaki należą do klasy: a. glonowców? b. workowców?, c. podstawczaków?”;

„12. Redukcja gametofitu jest charakterystyczna dla: a. kropidlaków?, b. borowika? c. roztoczka?” Leżę – myślał, ale nie poddawał się. Odetchnął po przeczytaniu czternastego pytania i postawił krzyżyk przy twierdzeniu że drożdże rozmnażają się przez pączkowanie. Żeby jeszcze załatwić trzy pytania...

Podzielił się z Zagają rozwiązaniem /”14 a”/, ten odwzajemnił mu się komunikatem „12 b”, obaj skorzystali z przesygnalizowanej na palcach przez Jolkę informacji, że „7 a”, na „8 c” wpadli sami po malej, dyskretnej konsultacji i już teraz mogli spokojnie czekać na chwilę, gdy przechytzony nauczyciel odwróci się plecami i będzie można błyskawicznie przyłożyć szablonik do kartki.

Żeby nie przefajnować, Maciek postawił dwa krzyżyki naumyślnie błędnie. Na medycynę się nie wybiera, czwórka mu wystarczy. Inni też podejmowali działania maskujące – Mahoń dał się złapać na celowo nieudolnym wyciąganiu spod ławki podręcznika, Paluch ściągnął na siebie uwagę nauczyciela upuszczając zeszyt, niektórzy niby to rozwiązywali test do ostatniej minuty i oddawali kartki razem z dzwonkiem.

Na przerwę wylecieli weseli i rozbawieni. Ten Zarodnik to zieloniec, że ja cie... – cieszył się ten i ów.

– No i całe szczęście – uciał szyderstwa Krzychu Paluch. – Ty wiesz, ciemny Mahoniu, co by to było, gdybyś musiał naprawdę wpałować te gametangie i zygoty?

– Zygoty – głupoty – odstrzelił beztrósko osiłek. – Ja idę na transport lądowy.

Maciek stanął przy oknie, obok Jarka Zagai, podziękował mu za „borowika”, tamten jemu za „drożdże”, Zagaja zaczął rozwijać drugie śniadanie. („Pewnie pierwszego w ogóle nie zdążył zjeść” – pomyślał Maciek).

– Ja idę na inżynierię sanitarną – nawiązał Jarek do oświadczenia osiłka. – I wiesz, czasem mi przychodzi do głowy, że może i te zygoty-głupoty mogłyby się kiedyś przydać. Weźmy na przykład temat: oczyszczalnie biologiczne.

– Tego tematu w podręczniku nie znajdziesz.

– Wiem, wiem. Jedne jaja to wszystko.

– I to śmierdzące – zgodził się Maciek. – Jak chcesz coś naprawdę wiedzieć, to musisz się sam nauczyć.

– I po co to się mordować w tej budzie przez cztery lata?

Pytanie było retoryczne, ale Maciek powtórzył je w domu, kończąc relację ze szkolnego dnia.

Rodzice popatrzyli na siebie dosyć niepewnie.

– No, zawsze jednak coś ci zostanie – powiedział ojciec.

– Z polskiego, z matmy i z historii. Z historii to tylko jak się dobrze trafi. Na dobrego bel-fra, znaczy się. Tegoroczny, nie powiem, może być. Ale z biologii – nigdy w życiu.

– Niemożliwe – upierał się tata. – Zostaje ci choćby ogólne pojęcie.

– Niemożliwe? Niemożliwe? – Maciek sięgnął do teczki po podręcznik. – Proszę: „Heterotroficzne bulwkowe przedrośle żyje w symbiozie z grzybem /mykoryza/. Sporofit jest roślini-



ną zieloną... Sporofile podobne do liści płonnych zawierają haploidalne zarodniki”. Zostało ci coś z tego? Wiesz chociaż, o co chodzi?

– Tak od razu, wiesz, to mi trudno – zmieszał się ojciec.

– O widłaki!

– Widłaki! Wiem, te takie chrzęszczące choineczki. Jak się szło nad Liwiec...

– Figę wiesz! Te „choineczki” to skrzypy. Ale, że skrzypy, to wiem od babci Liweckiej, nie ze szkoły...

– Jedz zupę, bo stygnie – zaśmiała się mama. – Co robisz po południu?

– A będę potrzebny? – zaniepokoił się.

– Nie, nie, ja tylko tak pytam.

– Odrobię lekcje, a potem wyskoczę do sąsiadów.

Tata zrobił wielkie oczy:

– Do sąsiadów?

– Maciek ma koleżankę cztery domy dalej – oświeciła ojca mama.

– Aha, racja. Myślałem, że do tych obok. Zdziwiłem się, bo przecież za naszą ścianą wciąż nikt nie mieszka, a do Korbała niby po co? Po co Maciek, bo ja chyba później do niego wpadnę, mówił mi, że zostało mu sporo rur na słupki...

Maciek miał ochotę lecieć do Grażynki zaraz po obiedzie, ale wykalkulował, że będzie korzystniej, jeśli zjawi się z rozwiązana matmą i chemią, zostawi Grażynce zeszyty (gdyby chciała), wtedy i ona będzie miała budę z głowy, polaka chyba zdążyła zrobić przed południem, więc będą mogli spokojnie gadać, jak długo zechcą.

Zasiedział się nad lekcjami do szóstej. Zasiedział jak zasiedział – przy lekturze notatek z nopolu po prostu zasnął. Na szczęście obudził go jakiś łomot za oknem.

Przeczesał się, wciągnął lepsze dżinsy i biały sweter. Zakładał w holu buty, kiedy z sutereny wychynął ojciec.

– O, dobrze, że jesteś, my właśnie... A nie, skoroś taki odstrojony, to już leć – odpuścił synowi wspaniałomyślnie.

Znalazszy się przed domem, Maciek domyślił się od razu, co tata „właśnie”: nad garażem się świeciło, wrota były otwarte, tak samo u sąsiada po drugiej stronie uliczki, prowadzącej do lasu.

Korbał stał obok taty we wrotach i mówił: „Tak, chętnie wypiję z państwem, tylko pozamykam u siebie”, z czego Maciek wywnioskował, że bezcenne rury na słupki zostały przetransportowane od Korbała i że tata odpuścił sobie na dziś inne czynności.

Sąsiad minął Maćka nie poznając go w ciemności, z czego Maciek był zadowolony – Korbał mógłby pomyśleć, że syn miga się od roboty, żerując na sąsiedzkiej uczynności. Lubił dosyć sąsiada, ale nie przepadał za nim aż tak, żeby przystawać dla wymiany uścisku dłoni. Za to tata wyraźnie dążył do „zacieśnienia więzów współpracy i przyjaźni”, Maciek miał nawet powód do przypuszczeń, że ojciec – w zasadzie niepijący -z Korbałem sobie czasem po sąsiedzku „jednego strzelił”. No i dobrze – tata ma w sąsiedztwie kolegę, on ma koleżankę, mama... Hm, jak dotąd, to tylko klientkę (przypomniał sobie pasterza z porcelany). Mama jest w ogóle mało kontaktowa, właściwie, jeśli są w domu jacyś goście, to tatowi. Może stara Kudelska pokuma się z mamą? Stanęła mu przed oczami matka Grażynki, taka dynamiczna, zdecydowana... Ech, chyba nie, nie wygląda, żeby były krasnoludkami z tej samej bajki. Chociaż, może, na zasadzie kontrastu...

Kiedy zobaczył mamę Kudelską nie w wyobraźni, a w progu jej domu, pomyślał że i „zasada kontrastu” tu nie pasuje. Kudelska uchyliła drzwi na szerokość łańcucha i spytała: „Proszę?” – tonem, jakby mówiła: „Czego?!”

– Do Grażynki. Kolega z klasy. Z sąsiedztwa – rekomendował się Maciek gorliwie.

Kudelska otworzyła szeroko drzwi i – prawie że – ramiona:

– A to ty! Proszę, proszę, Grażynka się ucieszy. Trochę się dziś nie czuła...

Zdegradowała mnie z pan na ty – zauważył Maciek ze złością. – Za to, że tak się dokładnie przedstawiłem. Jak bym jeszcze legitymację szkolną pokazał, to by mówiła do mnie „niech Maciej”.

Przywitał się uprzejmie, ale z godnością. Starał się nie poddać poczuciu niższości, które atakowało go zawsze w tym holu. Gdzież bowiem ich bielonym ścianom do tych tu boazerii (prawdziwych, jak w ratuszu, nie z oklepanych cieniutkich deseczek, jak wszędzie), do niebieskiego, pluszowego chodnika na schodach. Na te schody weszła teraz statecznie mama Kudelska, wołając z zadartą głową: „Grażynko, do ciebie!”. W pierwszym odruchu chciał zdjąć adidasy, ale go stłumił. Ciekaw jestem, czy mi każe iść w skarpetach po tych ichnich persach – pomyślał nie bez złośliwości. Powiesił kurtkę na wieszaku z jelenich czy tam innych rogów i chciał iść na górę, nic z tego, pani domu zablokowała drogę. Spojrzała na jego buty, ale nic nie powiedziała na ten temat.

– Przepraszam, że nie otwarałam od razu na oścież – usprawiedliwiała się – ale tyle bandytyzmu wokół... Wciąż się słyszy straszne historie. A Państwu radziłabym jak najprędzej ogrodzić posesję.

– Siatkę już mamy, a dziś ojciec zdobył słupki – odparował Maciek, dziwiąc się zarazem, że Kudelska zdążyła już skontrolować stan ich działki.

– I koniecznie założcie zatrask magnetyczny przy furtce. Otwierany z domu, żeby... Grażynko – przypomniała sobie, usłyszawszy, że córka idzie – znowu zapomniałaś zamknąć furtkę. Tyle razy prosiłam.

Maciek przesunął się pół kroku w lewo i spojrzał w stronę schodów, Zobaczył najpierw fantastycznie puchate pantofle, potem miodowy dres i nareszcie łobuzersko-przekornie uśmiechniętą twarz Grażynki, okoloną chmurką tych nieprawdopodobnych włosów – jasnych, a przecież nie blondyniastych, kędzierzawych, a przecież nie w loczkach... Nie wyglądała wcale na kogoś, kto „się nie czuje”, gdzie tam, mogłaby rozdawać dobre samopoczucie. W każdym razie Maciek poczuł się naraz świeży i rześki. „Są jeszcze na świecie inne sprawy poza...” – zaświtało mu, ale nie dokończył myśli, bo Grażynka zbiegła już po ostatnich schodkach.

Kudelska nie popuszczała:

– Wcześniej się robi ciemno, odludzie tu, tata wróci późno, a ty tak lekkomyślnie...

– Wcale nie lekkomyślnie, jakbym zatrzasnęła furtkę, to Maciek by nie znalazł dzwonka i co by było? Cześć – podała mu rękę. – Gdzieś przepadał tyle czasu?

– Przeprowadzka i...

– No comments. Nic dziwnego, że wyglądasz...

– Jak trup na urlopie. Krzycho Paluch tak mnie rano zdefiniował. Grażynka parsknęła śmiechem, jej mama była zgorszona:

– Co za makabryczne... Rzeczywiście, zmizerniałeś, ale przy tym... – urwała, zlustrowała Maćka uważniej. – Trudno określić, w sumie jednak powiedziałabym, że wyglądasz korzystnie.

Mama by powiedziała: „Szczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał” – uświadomił sobie Maciek i jak na „wyszlachetniałego” przystało, na wezwanie Grażynki ruszył ku schodom z miną poważną i skupioną.

Była to jednak mina nie do utrzymania. Trudno rozwalać się na fotelu kontiki w pozie „wspartego na Judahu skale”, nie można też opowiadać co było w budzie z filozoficzną melancholią. A musiał opowiadać, bo od takiego pytania Grażynka zaczęła rozmowę. Więc przedstawił w miarę barwnie i zabawnie sprawdzian z biologii, potem opowiedział, jak Mahoń sfaulował Toma na wuefie, jak Tommy z obolałą łapą szedł do higienistki, a po szkole kopnął Mahonia w tego, siedzenie za to, że go za dobrze sfaulował...

– Przyłożył mu pewnie z przyjemnością nie tylko za faul – przerwała Grażynka. – Mahoń miał u Toma przerabane już od andrzejek. Wyobraź sobie, ten ciemny Mahoń ubzdurał sobie, że przeskoczy Toma i przez cały czas dosuwał się do Madzi, no wiesz, „Czar prerii”, z Wileńskiej. Szkoda że cię nie było, mówię ci, wideo made in Hongkong. Ale -zreflektowała się i zmieniła ton – mama mi mówiła, żeś stracił kogoś z rodziny.

– Ze znajomych, Jeden z naszych wykonawców, dobry fachowiec...

– A to szkoda – wyrwało się Grażynce.

– Zawsze szkoda człowieka. Ale mnie przytrzymało to, że jego syn to mój przyjaciel i tak jakby towarzysz broni... Ty wiesz...

Maciek wstał, podszedł do północnego okna i usiłował coś wypatrzeć w ciemności. Grażynka czekała, czekała, wreszcie też wstała i podeszła do Maćka:

– Co ty tam chcesz zobaczyć? – przyłożyła twarz do szyby. – Ciemno jak w czarnym biurku o północy,

– Coś jednak... – skłamał Maciek. Ujął Grażynkę za barki i odwrócił nieco w lewo. – O, tam, widzisz – lewą rękę trzymał ciągle na jej ramieniu, prawą postukał w szybę – pod lasem jest takie szerokie zejście w dół...

Grażynka pełna dobrej woli mało czołem szyby nie wypchnęła:

– Nie widzę, ale przypominam sobie. Za dnia to wygląda, jakby... Odwróciła twarz do Maćka. Maćkowi zabiło serce, pomyślał: „Boże, to wcale nie jest takie trudne”, przyciągnął dziewczynę ku sobie...

– Grażynko, zrobiłam herbatę dla was! – doleciało z dołu. Grażynka niespiesznie i z westchnieniem podeszła do drzwi, rzucając Maćkowi przez ramię:

– Mama uczy mnie dobrych manier. Gościnności, znaczy się. Zaraz przyjdę z tą herbatą. Ustaw stolik.

Maciek nieco otumaniały rozejrzał się po pokoju. Chyba to – zdecydował, wypatrzywszy za trzecim fotelem coś z kafelkowym blatem. Podtoczył kruchy mebel na kółkach do swojego fotela, siadł, położył rękę na poręczy sąsiedniego kontiki. Za daleko – osądził i przyciągnął Grażynkowy fotel bliżej.

Grażynka wróciła, niosąc tacę zastawioną niczym w hotelu klasy lux: oprócz sprzętu herbacianego stały na niej wysokie szklanki i takież dzbanek z sokiem pomarańczowym, talerzyczki i porcelanowy koszyk z fikuśnymi ciasteczkami.

– Jesteś w łaskach u mamy – oznajmiła ze śmiechem i ze śmiechem dodała: – Coś ty to tak ustawił, jak ławki w szkole?

Położyła tacę na stoliku-barku i rozsunawszy fotele, umieściła stolik pomiędzy nimi.

– Tak będzie wygodniej – powiedziała. – Będziemy patrzeć na siebie, a nie w ekran. Chyba że chcesz obejrzeć „Popołudnie z Pankracym”. Maciek teraz dopiero dostrzegł telewizor w kącie koło drzwi. Zawołał:

– Niech ręka Boska...!

– Tak też myślę. Pijmy tę herbatę, trudno. I bierz ciastka, one są naprawdę dobre.

Posłuchał, przyświadczył, że rzeczywiście znakomite, nałożył sobie od razu kilka na talerzyk, Grażynka spytała:

– Czegoś ty wypatrywał tam za oknem?

– Wypatrywałem? A, prawda – ocknął się. – Widzisz, wasz ogród prawie że leży w historycznym miejscu. Historycznym dla mnie. Tu w rocznicę odsieczy Wiednia stoczyłem moją ostatnią bitwę.

– Tu? – zdziwiła się Grażynka. – Nie na Błędniku czy pod kościołem świętej Brygidy? I czemu mówisz: ostatnią? Jeszcześ nie na emeryturze.

– To nie była bitwa z tych... Kończyłem wtedy piątą klasę. Ale masz rację, nie trzeba się zarzekać, że już nie powalczę. Było nie było, jestem z rycerskiego rodu. „Ostatni z Aksaków, chociaż po kądzieli”.

– Z czego? – nie zrozumiała Grażynka.

– Jeden z przodków mamy to młody pan Aksak, który pod Zbarażem „nieśmiertelną okrył się sławą”.

W tym momencie zaświtało Maćkowi, że zdaje się nie pod Zbarażem, tylko gdzie indziej, no i że jest przecież na świecie Aksak, kuzyn Włodek. Pierwszej nieścisłości nie musi prostaować, drugą lepiej tak, bo może się wydać.

Grażynkę zamurowało albo nie wiedziała co powiedzieć. Milczała z niepewną miną, więc ciągnął z tym pewniejszą:

– Dokładnie, to jest jeszcze syn i wnuk dziadka Aksaka. Ale dziadek ich wyklął, choć noszą sławne nazwisko. Może tym bardziej dlatego -koloryzował.

– Za co? – zainteresowała się Grażynka, umiarkowanie co prawda, czego jednak Maciek nie zauważył i strzelił górnice:

– Za zdradę narodową.

– Boże, to takie rzeczy się jeszcze zdarzają? Ten syn został folksdojczem?

– Komuchem. Jest teraz szychą w MSZ-cie.

– Ho, ho, nieźle – wykrzyknęła Grażynka. Sięgnęła po ciastko, pochrupała... – Musiało tam między nimi coś jeszcze zajść. Kto by się żarł o przekonania... Powinniście się pogodzić z tym wujem, co rodzina to rodzina, lepiej spuścić wodę na stare dzieje.

– No, nie takie bardzo stare.

– E tam, zawsze dziadków. Mówmy o czymś ciekawszym. Miałaś opowiedzieć, jak ty tu walczyłeś. I o co?

Maciek zaczął od tego, że jak się sprowadzili do bloku, nie znał nikogo, w szkole był niezmierny bajzel, osiedle rozgrzebane, a drugie – „Celina”, wiesz – jeszcze bardziej. Łaził samotnie po lesie, po nasypie kolejowym, aż odkrył tę dolinkę.

– Tu, rozumiesz, zwałali wszystko drzewo z okolicy: wiatrołomy z lasu, ale głównie to, co wycinali pod osiedla. Z „Aliny”, z „Barbary”, z „Celiny”. I mówię ci, jak zobaczyłem ten drewniany złom, to mnie formalnie zatkało. To była wyspa, dżungla i busz z uschniętych gałęzi, pni, konarów, co chcesz. Można było po tym skakać jak Tarzan, można było się skradać dołem, bo tam się porobiły jaskinie, komnaty... Zmajstrowałem sobie kryjówkę...

– Przed kim się kryłeś? – zapytała Grażynka z lekkim prześmiejem.

– No właśnie – sam się też zaśmiał. – Przed nikim i było mi głupio. Jakiś czas udawałem Robinsona, ale to żaden szpas dla jedynaka. W klasie kleił się do mnie taki jeden Darek, przezwiskiem Hipek. Durnota narwana, spławiłem go, dopóki nie odkryłem jego powiązań.

– No, to ciekawe – Grażynka zrzuciła pantofle i umieściła się na fotelu z nogami. – Oj, nalej mi dzusa, bo teraz nie mogę sięgnąć.

Maciek poderwał się ochoczo, nalał przy okazji i sobie soku, też przemieścił się na fotelu, przerzucając nogi przez poręcz.

– Więc Darek-Hipek miał tu krewnych, jego najstarszy kuzyn, też Darek, miał przyjaciela, właśnie Darka Banaszaka, tego, którego ojciec zginął w andrzejki. Tego Darka przezywali Skobel, jak powiem Skobel, to o nim. A Prezes – to o tym najstarszym.

– To dobrze, bo mi się z punktu pomylili.

– No więc ściągnąłem cały klan na wyspę, urządziliśmy tam Rezydencję, cud-miód. Smarkateria, te wszystkie młodsze siostrzyczki i braciszki, zrobiły sobie domek, basenik, Prezes miał ich z głowy i przestał być przedszkolanką, a starszyzna, czyli my...

– Miało być o bitwie...

– Bitwy to właściwie były dwie. Pierwszą myśmy wygrali. Pewnej niedzieli do Rezydencji wpakowała nam się banda Brysia, takiego żula, że nie pytaj. Tylko że myśmy byli przygotowani. Mieliśmy amunicję, fortece, system alarmowy, no, mówię ci...

Spojrzał na Grażynkę: patrzyła na ekran telewizora. Może jednak wolałaby „Popołudnie z Pankracym”? Umilkł, też popatrzył na ekran: o, gdyby na nim można było wyświetlić, Jak

rozgorączkowany Hipek melduje, że Brysie kręcą się po „Danucie”, jak Prezes, niczym szeryf z „W samo południe”, idzie naprzeciw żułom, jak Skobel z zaciętą miną wznosi do ciosu kij, jak mały Waldek piejąc: „wonwygnoje!” – ciska łopatką błoto w plecy Brysiowi... Ale opowiadać o tym dziewczynie, i to z dobrego domu? Błąd.

– I przegnaliście ich?

W głosie Grażynki brzmiała nutka ponaglenia. Jasne, to nie są opowieści dla dziewczyny. Czy w ogóle dla kogoś? Posmutniał.

– Tak, nawet staliśmy się sławni na cztery bloki i pół „jamnikowa”. „Jamnikowo” to te niskie bloki za działkami, wiesz. No i dumni ze zwycięstwa i sławy pojechaliśmy całym plemiem na tydzień z hakiem nad jezioro. A w tym czasie przyszedł spychacz i wyrównał. Jak wróciliśmy, było „po ptokach”.

Grażynka zauważyła, że stracił zapał do opowiadania i w ogóle coś jest nie tak. Przestała nakręcać na palec włosy i patrzeć w pusty ekran, pochyliła się ku Maćkowi ze współczuciem w oczach:

– No właśnie, tak to u nas jest. I komu to szkodziło, żeście mieli się gdzie bawić. Ale czekaj, mówiłeś, że były dwie bitwy...

– Ta druga była między dorosłymi. Przeważnie na papierki. Ale mnie to już nie obchodziło. Rozumiesz, jak zobaczyłem w dolince spychacze, powiedziałem, że moja noga tam nie postanie, a Leśnemu Dziadkowi do końca życia poza „dzień dobry” słowa nie powiem.

– Zaraz, ja już się gubię. Co za Leśny Dziadek?

– A wiesz, że ty powinnaś go znać z widzenia. Wysoki, szczupły, oczywiście siwy, ubiera się w swoje stare łachy ze służby leśnej. Jest takim jakby ochotniczym instruktorem tu na działkach.

– Pewnie, że znam. Pan Antek! – ucieszyła się Grażynka. – Tata miał z nim jakieś sprawy, raz nawet u nas był. Sympatyczny. Co ty masz do niego?

Maciek zastanowił się:

– Teraz to już właściwie nic. Przeszło mi – dodał, dziwiąc się sam sobie.

– No widzisz. Wszystko przechodzi. Nie trzeba się zacinąć. Moja mama ze sto razy kłóciła się z ciocią Luną – to ta od majseny, pamiętasz – a po tygodniu się godziły i jakoś to idzie. Takie jest życie.

Ulubione powiedzonko Skobla. Tylko on chyba w innym sensie. A może i w takim samym? – pomyślał Maciek. Grażynka podsunęła mu talerz z ciastkami:

– Weź te z migdałami – poradziła. – Są najlepsze.

– Wszystkie są bardzo dobre – odpowiedział, ale posłuchał. – To twoja mama piekła?

– Coś ty. Gdzie by jej się chciało. Mamy dostawcę. Prosto ze statku, nawet przez budkę na hali nie przechodzi. Do budki to to, co zostanie. Może też reflektujecie? On tu się zamelduje lada dzień po zamówienie świąteczne.

– Spytałam mamę – uciał krótko i pomarkotniał jeszcze bardziej. Grażynkę wyraźnie obchodzi co innego. Chociaż chce dobrze.

Grażynka bez wątplenia chciała dobrze. Nim schrupał migdały z ciastka, znalazła wspólny temat.

– Nie wiedziałam, że pan Antek ma przydomek Leśny Dziadek. Pasuje do niego, ale ja bym go nie przezywała. To bardzo rozsądny człowiek.

– Rozsądny! Dziewczyno, co ty wiesz! Maniak, fantasta, a w dodatku nieporadny jak dziecko.

– Czy my naprawdę mówimy o tym samym człowieku? – zaniepokoiła się Grażynka i powtórzyła rysopis. Wysoki, siwy...

– Tak, tak, Antoni Nowak. Ten sam. On, wyobraź sobie, ściągnął na naszą Rezydencję spychacze, bo wdał się w wojnę z takim tam osiedlowym prominentem czy kacykiem, który miał zupełnie inne plany i ambicje. Leśny Dziadek chciał coś zrobić z niepotrzebnych pni, a

Truj-Psuj myślał, że to konkurent do władzy, i załatwił go w tydzień. To znaczy, jego plany, drzewo i naszą Rezydencję po drodze.

– Tak to bywa, jak ci, co chcą coś zrobić, wchodzą w drogę tym, co chcą rządzić – zauważyła sentencjonalnie Grażynka. – Na całe szczęście tu nikt nie chciał rządzić, tylko żyć cicho i bezpiecznie. Więc, kiedy zaczęła się wojna o działki...

– Wiem od Darka-Prezesa, bo jego ojciec był jednym z pierwszych, co wkroczyli z łopatami na śmietnisko-pokrzywisko. Ale ciebie tu jeszcze wtedy nie było?

– Mnie nie, za to ojciec trzymał rękę na pulsie od samego początku; jak tylko się dowiedział, że ma powstać „Osiedle Młodej Gwardii”.

Słyszac tę nazwę, Maciek parsknął śmiechem, Grażynka mu zawtórowała.

– Ta ulica tak się miała nazywać – błysnęła znajomością rzeczy. – Nie powiem, żeby nazwa „Działkowa” mnie zachwycała, ale mimo wszystko lepsza. To jedna z zasług Leśnego Dziadka, jeśli chcesz wiedzieć.

– Chcę – potwierdził szybko Maciek. – Chcę, bo jeśli mówisz, że mam się z nim pogodzić, to muszę go za coś szanować.

– To ja muszę trochę cofnąć taśmę. Myśmy rozglądali się za czymś jednorodzinny, bo nasze mieszkanie, przyzwoite, nie powiem, z Locum...

– Ho, ho...

– Niedługo było ho, ho, bo po wieżowcu zaczęli się kręcić beżowi, a beżowy w bloku to jak Murzyn w dobrej dzielnicy: skoro się zagnieżdzi pierwszy, to znak, że dzielnica przestaje być dobra. Murzyni też się zresztą kręcili. Arabeski nie patrzą na kolor skóry, tylko banknotów.

Maciek wiedział, co to „beżowi” i „arabeski”, nie był takim naiwniakiem, żeby nie wiedzieć. Ale że Grażynka...

Grażynka zaś łyknęła trochę dzusu i ciągnęła jak gdyby nigdy nic:

– Więc tata dotarł do jednego z młodogwardzistów, który z założenia budował, żeby sprzedać. Kupiliśmy mu mieszkanie i tata był „in”, nim geodeci pierwsze paliki wbili.

– I wtedy zaprotestowali działkowcy – skojarzył Maciek.

– Dzicy działkowcy. Formalnie dzikusy. Ze szpadlami na geodetów!

– Bronili swojego.

– Nie swojego! Zajęli grunt na dziko, wszyscy wtedy chapali co się dało, władza miała inne kłopoty. W śródmieściu, nie w cichych dolinkach.

– Ma do tej pory...

– A niech sobie ma, co mnie to obchodzi – zachnęła się Grażynka. – Chcesz słuchać o Leśnym Antku czy nie?

– Mów, słucham.

– Więc, kiedy już miało iść na łopaty i paliki, zjawił się pan Antek z kontrplanem, który wszystkich pogodził. Zmniejszyli trochę parcele i drugi rząd domków będzie za naszym i plecami, pod lasem. Czysty zysk. Powinieneś iść do Leśnego Antka z kwiatami i podziękować mu, że maniak i... Jak go tam jeszcze przezwales?

– Fantasta. Ale niby za co mam dziękować?

Grażynka wzniosła oczy i ręce ku górze:

– Boże, oświeć tego zielonego baranka! Przecież, gdyby nie „misja dobrej woli” twojego „fantasty”, to drugi rząd domków stanąłby naprzeciwko. Mielibyśmy przez dwa lata plac budowy przed nosem, a potem do oporu nosy sąsiadów w oknach.

Maciek oczywiście obraził się za „zielonego baranka” i odpowiedział sucho:

– Strasznie jesteś mądra, boś się nasłuchała, o czym mama z tatą radzili. Wyobrażam sobie, że w swoim czasie palawery na ten temat trwały od rana do nocy.

– A trwały, żebyś wiedział. Pewnie, że to nie jest najmiłsze, słyszeć od starych: „Siedź cicho, tu się mówi o ważnych sprawach”. Ale za to potem się wie, na jakim świecie człowiek żyje.

– Jesteś pewna, że wiesz? – spytał Maciek zaczepnie.  
Grażynka pochyliła się do przodu, spojrzała mu w oczy...

– Nie – powiedziała po chwili, niespodziewanie cicho i bezradnie. -Czasem mi się wydaje, że żyję jakby...

– W złotej klatce! – palnął Maciek.  
Grażynka zaśmiała się:

– Coś ty, o klatce w każdym razie nie ma mowy. Nie, wiesz – głos jej znowu złagodniał, zbezdradniał – tak jakby na wyspie. Albo lepiej: na transatlantyku. Płynie się po oceanie, płynie...

„Bo gdy \*Titanic\* tonął, to też był pełny szpan” – przypomniała się Maćkowi taśma taty. Był strasznie ciekaw, czy Grażynka mówiąc „transatlantyk” właśnie to miała na myśli, chciał spytać, dał spokój. Nie płoszyć.

– ...atak naprawdę nie wiadomo dokąd. Jest fajnie, komfort i behape, poruszasz się swobodnie, ale jak tak wyjrzysz za burtę... Brr, strach i zimno.  
Maciek był tak zaskoczony, że go замуrowało.

– Nie czujesz tego samego? – spytała Grażynka.

– Nie – przyznał szczerze. Zupełnie nie czuł się jak na transatlantyku, wszystko jedno, \*Titanic\* czy \*Queen Mary\*. Chociaż... – Chociaż -powiedział głośno – coś koło tego. Jak już zaczęłaś o żegludze... Mnie się czasem wydaje, że jestem szyprem, który już dobił do portu, rzucił cumy, a tu siup, przychodzi fala, cumy puszczaają i masz – telepie cię znowu. To oczywiście stąd, że ojcu wciąż się cumy rwą...

– Kim jest twój ojciec?  
– Doktorem chemii. Dokładnie – petrochemik.  
– No, petrochemia u nas teraz siadła.  
– Skąd wiesz?  
– Benzyna na kartki.  
– To nie ma nic do rzeczy – zaśmiał się z ulgą. Z ulgą, bo jeszcze tego trzeba, żeby Grażynka знаła stan polskiej petrochemii. – Nie, nie ma pieniędzy na badania. Pies z kulawą nogą nie warknął, jak ojciec przerwał doświadczenia i pojechał na saksy. Choć niby benzyna bezołowiowa to temat top i high important. Ale – przypomniał sobie – co do chemii... Przyniosłem ci zeszyty z chemii i fizy, jakbyś chciała sobie przejrzeć to co było dzisiaj. Zadania już zrobiłem, myślę że dobrze, ale nie zaszkodzi, jak porównasz wyniki – dodał elegancko, niby to nie przypuszczając, że Grażynka zwyczajnie odpisze.

Wstał i ruszył ku drzwiom.

– Gdzie lecisz? – zdziwiła się Grażynka.  
– Zostawiłem te zeszyty w holu.  
Zbiegł szybko i chyba dość głośno, bo z living-roomu wyrzała mama Kudelska:

– Cóż to, już wychodzisz? – powiedziała pytająco-twierdząco.

Z pokoju doszedł sygnał dziennika telewizyjnego, z pierwszego piętra brzęk łyżeczek – to Grażynka schodziła z tacą. Fakt, trzeba się wynosić.

– I tak się zasiedziałem – powiedział.

– No, jeszcze młoda godzina – uśmiechnęła się Kudelska zdawkowo i zwróciła się do Grażynki: – Dobrze, że nie zapomniałaś o tacy, będzie mi potrzebna. Tatuś dzwonił, że przyjdzie niedługo z panem Jurkiem.

Byłbym chamem, gdybym w tej sytuacji chciał jeszcze wrócić do pokoju Grażynki – uświadomił sobie Maciek. Podał Grażynce zeszyty i sięgnął po kurtkę. Mama Kudelska, znikając w kuchni z tacą, pouczyła jeszcze córkę:

– Furtka już zamknięta, jak kolega będzie wychodził, to zwolnij zatrask.

Chciał na pożegnanie powiedzieć Grażynce coś lirycznego, ani rusz nie mógł nic wymyślić, choć, by zyskać na czasie, guzdrał się długo z zamkiem błyskawicznym.

Dopiero kiedy był przy furtce i odwrócił się czekając, aż Grażynka naciśnie zwalniacz zatrasku, pomysł się zjawiał. Bo Grażynka stała na progu, w jasnym prostokącie drzwi, jakby odprowadzała chłopca i czekała na ostatnie słowo pożegnania. Ale to, co nadaje się do cichego zanucenia przy uchu dziewczyny, nie nadaje się do wywrzeszczenia na cały ogród i okolicę. Więc zanucił tylko dla siebie: So kiss me and smile to me...

Zaterkotał brzęczyk, Grażynka zawołała: „Pchnij, a potem zatrzaśnij”. Wykonał, pomachał zza furtki „bye-bye”. I tyle.

Ruszył ostro w lewo. Nie potrzebował patrzeć pod nogi, bo tym razem było sucho i nawet dość jasno. Nad mdłymi światełkami „jamnikowa”, wśród poszarpanych chmur przesuwiał się młody księżyc, za punktowcami „Barbary” niebo rozjaśniała luna znad Wrzeszcza. Maciek prawie fizycznie odczuł odludność uliczki i swoją na niej samotność. Wiatr na twarzy, daleki szum i bliską ciszę. Jakby był na morzu.

Było to uczucie nie wiedzieć czemu przyjemne. Nie próbował się nad nim zastanawiać, w ogóle nad niczym się nie zastanawiał. Nucił ciągle ten sam country-song, aż dopiero przed własnymi drzwiami, szukając kluczy, urwał. Pomyślało mu się tak wyraźnie, jakby powiedział na głos: „Tym razem cumy wytrzymają”.

Stał w kolejce do kiosku, zadowolony z siebie i swego pomysłu: widział stąd dobrze wszystkich śpieszących do szkoły, temu i owemu nawet kiwnął ręką i krzyknął „hej”, a nikt się nie domyśli, że nie czeka na gazetę, tylko na Grażynkę. Chce z nią razem wejść do klasy, tak żeby wszyscy widzieli, i zarazem, żeby to wyglądało jak gdyby nigdy nic. Kolejka wprawdzie posuwała się szybko, już słyszał słowa kupujących: „Dziennik”, „Dziennik”, „Głos”, „Głos”, „Głos i Dziennik”, nie szkodzi, jak będzie za blisko, przemknie się znów na koniec. Jakaś babulina zaczyna wybierać pocztówki świąteczne, kolejka się buntuje, nie szkodzi, dla niego lepiej. Matka z dzieckiem, kolejka mruczy; wypasiony bawół z legitymacją, kolejka pomstuje; „Proszę, ja jeszcze mam chwilę czasu” – Maciek ustępuje miejsca kobiecie stojącej za nim.

O rany, właśnie że nie mam – uświadamia sobie, widząc nagłą pustkę przed szkołą – Przegapiłem? Niemożliwe, sterczę od kwadransa. Jest!

Maciek wyskakuje z kolejki, biegnie do stojącego przed szkołą fiata. Widać golf zajęty, Grażynka złapała taksówkę.

Nie, to nie ona, z taksówki wysiada chłopak. Trudno, może jutro się uda. Już chce skrócić w bramę szkoły, aż tu chłopak woła:

– Maciek, czekaj!

Odwraca się, patrzy: Skobel. A w dole ulicy golf. Kurcze, dno szczęścia.

Golf minął Maćka i taksówkę, stanął. Taksówka ruszyła, skręca. Teraz są na chodniku w trójkę: Maciek ze Skoblem, Grażynka u drzwi golfa. Spozstrzega Maćka i woła:

– Hej! Śpiesz się, pewnie już dzwonek.

– Spóźnię się, siła wyższa.

– Trudno, jeżeli musisz. To na razie – Grażynka mierzy jeszcze Skobla szybkim, uważnym spojrzeniem i wbiega w szkolną bramę. Maciek parę sekund patrzył za nią, potem spojrzał na Skobla.

– Staralem się być wcześniej – zaczął Skobel.

– Domyślam się, skoro wzięłeś taryfę – przeciął Maciek sucho. – Co cię przygnało?

– Stary, ja wiem, że masz być teraz w ławce, ale sprawa jest nie do obejścia.

– To spływajmy stąd, nie chcę żeby mnie kto z budy widział i było gadanie, że się urywam.

Chciał skrócić w najbliższą uliczkę w lewo. Skobel zaprotestował:

– Tędy to wleziemy w las. Chodźmy w drugą stronę, wyjdziemy na postój taksówek.

– Co ty się dziś tak od rana taksówkami rozbijasz?



– Nie rozbijałbym się, jakbym nie musiał. Byłem przed chwilą u was, aleście już wyszli. A ja zapomniałem odebrać od twojego starego przydział na mieszkanie. Mógłbym po południu, ale na dziesiątą mam być w sądzie dla nieletnich.

Maciek błyskawicznie przełknął cisnące się na usta pytanie: „Coś tym razem zmalował?”, ale Skobel i tak skapował:

– To nie to, co myślisz. Czekać, ja ci najlepiej opowiem po kolei. Więc jak wtedy, po pogrzebie, wróciłem z Brzeźna... Niepotrzebnie tam jechałem.

– Niczego się nie dowiedziałeś o rodzinie?

– Dowiedziałem się ful. Ta Pelagia Szymczak to matka ojca! Moja babka, znaczy się. Nieważne na razie. Mogłem z tym poczekać, bo oni tymczasem urządzili ochłaj i naradę wojenną.

Maciek domyślił się, że „oni” to pan Wiktor i eks-ojcowa; o temat narady nie pytał, żeby nie przerywać. I tak się dowie. No i słusznie -zaraz się dowiedział.

– Szło o mieszkanie, jasna sprawa, spodziewałem się, ale żeby już, zaraz, kiedy jeszcze się piasek nie uleżał... Wiesz, co te skurwiele wyglówkowały? Że Wiktor się wprowadzi do mnie, a ja mam się wynosić na sublokatora.

– Chyba byś na głowę upadł!

– Już, tyle upadam – Skobel zgiął rękę w łokciu. – Byś słyszał, jak to owijali, w jakie piórka i kwiatki... Wiktor jest wdowiec, ma trzy pokoje i żonatego syna. Więc gadka, że młodzi powinni być z młodymi, że oni, starzy, nie są wieczni... Wieczni to nie są, ale ze dwie dychy jeszcze podychają, nie ma mocnych... I że będę miał pokój dla siebie, a oni, niby Jadwiga i Wiktor, będą mi nawet płacić za mieszkanie, mam tylko powiedzieć ile. Wiktor może się nawet nie meldować. Chcieli mnie schlać, żebym wycharczał zgodę, gablota Wiktora czekała na dole. Bogu dzięki, że odprzysięgłem się od wody. Ten jego, Wiktora znaczy się, synalek, mało mi na siłę nie wlał, tak się napalił na zamianę.

– Jaki to dla niego interes? Przecież czy ty zajmiesz jeden pokój, czy Wiktor, to mu ganc pomada.

– A figę. Najpierw, to Wiktor ma dwa pokoje, a synalek jeden. A dwa, że Czesinek – Jadwiga go tak słodko nazywa, ja też byłem z początku „Dareczek” – Czesinek czuje smród za drzwiami. Jak się Wiktor nie wyprowadzi, to Jadwiga się włada do nich. Może sobie mówić „Czesinek, Czesinek”, Czesinek i tak wie, co z niej za zgaga. Ty, stoi taryfa!

W strachu, że im ktoś poderwie „taryfę”, pobiegli do taksówki. Maciek zaczął tłumaczyć, jak dojechać na Działkową, taksówkarz przerwał: „Wiem, wiem, to akwarium za pannami”. Maciek odłożył na później rozwikłanie zagadki, czemu „akwarium” i jakie „panny”; zwrócił się do Skobla:

– Teraz rozumiem, czemu pędzimy po przydział. Chociaż nie bardzo... Przecież siłą cię nie mogą wywalić.

– Mnie nie, ale moje graty. Ty wiesz, że ona na tę „stypę” zaprosiła tych obrzępów, co z ojcem pili dzień przedtem, nim to się stało. Gdybym się zachlał, jak chcieli, to by mnie wynieśli z łóżkiem i butami. Niech se szukają frajerów w „Marinie”, nie ze mną takie szpasy. Wysłuchałem, wysłuchałem... Wysłuchać zawsze trzeba...

– Niech pan spisze przy świadkach jej rzeczy i wystawi na klatkę -wtrącił się taksówkarz, który widać słuchał, choć nie musiał.

– To by było bezprawie. Adwokat przestrzegaj.

– Stać pana na adwokata? Daj pan spokój, tylko forsę wyciągają.

– Mój nie – uciął Skobel i wyjaśnił Maćkowi: – Jak skończyli, powiedziałem, że nie i że niech Jadwiga sobie idzie na sublokatorkę, nie ja. Ona w krzyk, oni z nią, no to im trochę nawciskałem za całość, trzasłem drzwiami i poszłem do Dariusza-Prezesa, a z nim do Zośki, oni mają telefon.

– Mogłeś do nas.

– Z wami to ja jestem do tyłu, że opór. Od niej zadzwoniłem do tej pani mecenas, co ci kiedyś mówiłem – Skobel zerknął znacząco na plecy taksówkarza.

– Wiem, wiem. Że młoda, a bystra.

– Już starsza. Wyszła za męża i ma dziecko. Kazała mi przyjść do siebie, choć był wieczór. Jak jej wyłożyłem, to od razu wiedziała, co trzeba robić. Z punktu napisała podanie w sprawie spadku i drugie o opiekę sądową nad nieletnim, że ona się podejmuje w braku rodziny, przy mnie obtelefonowała chyba ze trzech facetów z sądu. Właściwie z sądów, bo to ja nawet nie wiedziałem, jeden jest cywilny, inny dla nieletnich...

– Też nie wiedziałem – przyznał Maciek.

– O sądach lepiej nie wiedzieć – znowu wtrącił taksówkarz. To wtrącanie się wkurzyło Skobla i zamilkł. Maciek też nic nie mówił, patrzył w okno, pilnując drogi. I słusznie, bo gdy wyjechali z Wrzeszcza, kierowca chciał skręcić na „Alinę”.

– Nie tu, na „Danutę”! – ostrzegł go Maciek.

– Prawda, pomyliły mi się panny.

Tak więc zagadka „panien” się wyjaśniła. Niebawem i druga też: gdy Skobel, stanowczo odsunawszy Maćka, płacił taksówkarzowi, ten zdążył rzucić okiem na rozbabraną posesję Liweckiego i rzekł z przekąsem:

– No, nie takie znowu wielkie z was złote rybki.

Rybki – akwarium, rozumiem – pokojarzył Maciek. Otwierając drzwi, zerknął na zegarek i pożałował, że odesłali taksówkę. Mowy nie ma, żeby autobusem zdążył na drugą lekcję. Machnął ręką: i tak będą Bóg wie jak długo szukać tego przydziału...

Okazało się jednak, że przydział i wszystkie papiery Skobla leżały w środkowej szufladzie ojcowego biurka, na wierzchu, w tej samej foliowej torbie „Wólczanki”, w którą je niespełna tydzień temu Skobel zapakował.

– Stary jest poskładany – pochwalił zaocznie ojca Maciek i znowu spojrzął na zegarek. – Właściwie, gdyby znowu złapać taxi...

Skobel jakby nie słyszał. Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki jakieś papiery i kupę banknotów, załadował to razem do folii, schował, rozejrzał się, jakby jeszcze czegoś szukał.

– Chodź, łapmy takse. Tym razem ja płacę – ponaglał Maciek.

– Małe piwo. Widziałeś, ile mam szmalu. Rozliczę się z twoim ojcem po południu, a i tak będę do przodu. ZUS wypłacił po katolicku.

– Dobra, mniejsza z tym. Lecimy.

– A musisz być dzisiaj w budzie? – spytał niepewnie Skobel.

– Zawsze muszę być – odparł Maciek szorstko.

– T-tak. Ale czasem się bardziej musi, czasem mniej. Prezes dzisiaj bardzo musiał, bo ma z czegoś tam ważny odpyt, a Zośki nie chciałem prosić, zawsze to tylko baba...

Wtedy, dawno, przed bitwą o Rezydencję, też przyszedł do mnie w drugiej kolejności, jak Prezesa nie zastał – Maćka dziabnęła w serce ambicja. Ale przyszedł. Wie, że jak co, to ja też się liczę – poskromił jednak zazdrość.

– Stary, wał, o co ci chodzi, bo szkoda czasu na bawelnę.

– Żebyś mi popilnował mieszkania, póki nie wrócę z sądu. Wiktor może się w każdej chwili władować, a mecenaska mówi, że to by skomplikowało sprawę, trzeba by go skarżyć, dostać nakaz eksmisji...

– Jasne, lepiej nie wpuścić, niż wywalać. Dobra, mogę być nawet za Rejtana. Tylko myślisz, że dam radę? Wiktor jest kawał chłopca, a nie będzie sam.

– Ty już też nie jesteś ten chłopaczek, co bał się bitwy z Brysiami...

– Nie bałem się! Cholera, jak możesz! – uniósł się Maciek tak bardzo, że kołaczący się w duszy strach przed Wiktorem i jego drużyną zgasł jak ogarek. – Mówiłem, że umiem się bić, tylko nie lubię. Zresztą widziałeś!

– Jakbym wtedy nie widział, to dziś bym cię nie prosił. Mam cię za równego chłopca, przecież wiesz.

– No to chodźmy – uciał Maciek zdecydowanie.

Mimo stanowczego tonu ręce mu trochę latały, kiedy zamykał drzwi wejściowe. Skobel doszedł do chodnika, stanął, gapił się na posesję, na działki, ale nic nie mówił.

– Jeszcze się nie przyzwyczyłem do nowych kluczy – usprawiedliwił się Maciek, podbiegając do niego. – Myli mi się, który jest do którego zamka.

– Dla złodzieja zamka nie ma – zacytował potoczną mądrość Skobel.

– Ale chałupę powinniście ogrodzić. Lepiej nie kusić.

Proszę, mogliby sobie z mamą Kudelską rękę podać – pomyślał Maciek. – Boże, to już na pewno pierwsza przerwa, mógłbym stać z Grażynką pod oknem...

Stłumił westchnienie i powiedział:

– Materiał na ogrodzenie już jest, ojciec szuka wykonawcy.

– Pogadam z kolesiami. Teraz, po sezonie, to ich będzie ful.

W tej chwili nie masz ani jednego – przemknęło Maćkowi przez myśl. – Przecież mógłbyś wystawić przeciw Wiktorowi cały hufiec tych twoich...

– Ho, ho, aż ful? – powiedział kąśliwie.

Skobel zmilczał, coś mu się kojarzyło, wreszcie, kiedy już dochodzili do parowu, zaczął wyjaśniać:

– Sprawa jest taka, że póki mecenaska nie ustawi Jadwigi, trzeba pilnować chaty i to ze świadkami. Mógłbym ściągnąć niezłych brysiów z mojej budy, takich, wiesz, co ich nawet o drogę strach spytać. Przylecieliby, ho, jeszcze jak. Ale musiałbym im postawić, piwo to już najmniej. No i widzisz to? Włazi Wiktor z Jadwigą i Czesinkiem, a tu banda kurzy, chla i w karty różne. Z mety byłbym do tyłu. Za świadków muszą być tacy, że... Jak ministranci prosto z procesji.

Maciek parsknął śmiechem:

– Ciężko o takich, nawet w ogólniaku.

– Łatwiej niż w zasadniczej. Żeby nie to, że czasu mało, bym cię prosił, żebyś już dziś wciągnął jakiegoś porządnego chłopaka do towarzystwa. Mógłbyś na jutro, tak od południa?

O jery – jęknął Maciek w duchu i odpowiedział ostrożnie:

– Spróbuję. Chciałbym, bo samemu mi jednak głupio.

– Pewnie, ja wiem. Wiktor i Czesinek mogą cię normalnie wziąć za frak i wystawić jak walizkę. Ale ja cię zabezpieczyłem. Dzisiaj rano, jak tylko Jadwiga poszła do roboty, przykręciłem dwie takie zasuwę, że w pierdłu lepszych nie ma. Łucznika otworzy się zapalką, ale zasuw – za cholere.

– No to po co ja tam mam sterczeć?

– Ech, ty! – zaśmiał się Skobel. – A kto zasunie rygle od środka i kto mi otworzy, jak wrócić?

Maciek, zawstydzony, też się zaśmiał:

– Ot, głąb ze mnie.

Odprężył się, poweselał. Mijali właśnie blok z jego dawnym mieszkaniem. Rzucił okiem na znane okna na piątym piętrze – były zachlapane farbą. Siedluk jednak wziął się za malowanie...

– Ty – przypomniało mu się – ja się nie uchylam, ale czy nie byłoby lepiej, gdyby ci chaty pilnował Leśny Dziadek?

– Pewnie, myślisz, że nie myślałem? Ale wyjechał na jakiś zjazd, Prezes mówił...

Maciek przejechał wzrokiem po najwyższym piętrze: fakt, u Nowaka zasłony zaciągnięte...

– A to pech – mruknął.

W windzie przyszło mu na myśl, że jeszcze większym pechem byłoby, gdyby Wiktor i spółka byli szybsi i już gospodarowali na górze. Skobel też widać o tym myślał, bo powiedział:

– Gabloty Wiktora przed blokiem nie było, nie? Taki szary fiat z pordezwiąłymi drzwiczkami... Chyba bym nie przegapił.

– Nie, nie, na pewno nie było – uspokoił Skobla i siebie Maciek.

Mimo to Skobel chwilę nadśluchował pod drzwiami, nim włożył klucz do zamka.

– Pan Bóg łaskaw – odetchnął, otwierając drzwi. Przepuścił Maćka przodem i zaraz stuknął zasuwami. I istotnie, były potężne.

– Tyś je chyba z Malborka podpieprzył – zaśmiał się Maciek.

– Nie, z budowy – odparł z niewinną szczerością Skobel i zaraz potem wykrzyknął: – O rwa, ona się nigdy nie nauczy łóżka słać. Nie zauważyłem przed wyjściem...

Rzucił się ścielić rozbebeszoną pościel na jednym z dwóch małżeńsko zestawionych łóżek. Maciek miał ochotę otworzyć okno, w mieszkaniu wisiała mordercza mieszanka zapachów smażonej ryby, popularnych i jakiejś „o-de-kołon”. Odłożył tę czynność na później, by nie peszyć Skobla.

Skobel wyglądał kapę na łóżkach i mówił przy tym:

– Ja zaraz lecę, nie ma rady. Zaparzyłem rano świeżą herbatę, gdybyś chciał. Nie puszczaj radia ani nic, jakby co, udawaj, że cię nie ma. Choć mi się zdaje teraz, że jak nie zajechali rano, to już nie zajadą. W każdym razie dziś. Ja o pierwszej, góra o drugiej będę nazad. Nie będę dzwonił, tylko zastukam. O, tak.

Już był przy drzwiach, uderzył otwartą dłonią: trzy stuknięcia szybkie, przerwa i jedno mocne na koniec.

– Zapamiętasz? – upewnił się.

– Tu-tu-tu tum – zadudnił Maciek. – Piąta Symfonia.

– Co? – zdziwił się Skobel. – Mniejsza. To bywaj, trzym się i nie bój nic. Poleciał. Maciek trochę ogłupiały patrzył, jak pióro łuczniaka wsuwa się w główkę zamka na futrynie, potem słuchał jeszcze szybkich, głośnych kroków na schodach. Ale zasuwają... W porywach do ośmiu – pomyślał. – Zaraz, co to ja miałem? Aha, okno. Nie, tumanie. Najpierw zasuwę. Przecież po to tu jestem.

Wykonawszy zadanie numer jeden, odsunął zasłonkę oddzielającą Skoblowy kątek od reszty mieszkania, spojrzął na zakurzone okno bez firanek. Wysoko, cholera. Zrzucił adidas, stanął na kozetce i zaczął mocować się z oknem. Zaklinowane na amen. Skobel, nie można powiedzieć, ma porządek w swoim kącie, ale oknem najwyraźniej od Wielkanocy się nie interesował. Trudno, trzeba sposobem.

Wciągnął się na parapet, ukląkł i przygarbiony (okno było tuż pod sufitem) natarł na klamkę. Naciskał i szarpał w te i wewte, a gdy już stracił nadzieję, puściła nagle, tak że omal nie zleciał na kozetkę. Z drugim skrzydłem poszło łatwiej, odetchnął, siadł wygodnie na parapecie, ciesząc się świeżym powietrzem.

Tu w górze było jakby jaśniej niż na ziemi. A może po prostu się wypogodziło? Popatrzył na zegarek – dziewiąta trzydzieści. Niedługo druga przerwa. A za pół godziny Skobel będzie zeznawał w sądzie. Czy aby zdąży? Gdzie może być ten sąd? Pewnie gdzieś na Starym Mieście...

Choć wiedział, że nie wypatrzy stąd ani Skobla, ani tym bardziej nieznanego sądu, przebieścił się trochę, żeby mieć szerszy widok.

„O rany! – krzyknął z cicha. – Co jedenaste piętro, to nie piąte.”

Ze swojego starego pokoju widział tylko bloki „Aliny” i czubki drzew. A stąd-dźwigi, wieże... Rozpoznał Kościół Mariacki, no, nie masie czym chwalić, poznański ratusz także by rozpoznał, choć go na oczy nie widział, o, wieżę ratuszową też poznaje. Ale reszta? Tam dalej, to chyba kościół niedaleko mamy muzeum, ale nie wie, jak się nazywa. Właściwie to

wstyd. Mieszka tu już ile? Od połowy czwartej klasy, kupa czasu. A zna w Gdańsku ledwie to, co zwiedzili w pierwsze wakacje, potem, jak już wskoczyli w koleiny, to tylko Wrzeszcz, czasem wypad do Gdyni po lepsze zakupy, Długie Pobrzeże, jak się bardzo nudził po szkole i pod lada pozorem odwiedzał mamę w pracy. A potem był stan wojenny, mama i ojciec, choć sami parę razy byli w gazie (mama nawet musiała wyrzucić płaszcz, tak go opaćkała niebieska woda z armatki), jemu kazali tkwić na osiedlu... I tak mu zeszło.

Czy te dźwigi to stocznia czy Nowy Port? Chyba jednak stocznia, bo morza nie widać. Nie, morza by tak czy owak nie było widać, ta niska mgła... Ciekaw jestem, czy Skobel prał kamieniami na Błędniku? Jest starszy i jego nikt nie pilnuje...

Rany, ja mam pilnować jego mieszkania! Lepiej nie tkwić w oknie, małe szanse, żeby z dołu i to od tej strony ktoś go dostrzegł, ale sicher jest sicher.

Zeskoczył z okna, zamknął je z mniejszym trudem, niż otworzył, i teraz już zupełnie nie wiedział, co robić. Czuł nieprzeparłą odrazę do reszty mieszkania, taką, że wołał zakurzone ręce wytrzeć w spodnie, niż iść do łazienki. Zobaczył na parapecie pożółkłe gazety, były jednak tak zakurzone, że strach brać do ręki. Szkoda, że nie wziął czegoś do czytania, zamiast głupio taszczyć teczkę. Zaraz, wcale nie głupio, może przecież odrobić coś z lekcji „na zaś”.

Rozsiadł się w wiklinowym fotelu (skąd Skobel wytrzasnął taki zdezelowany antyk?), po-grzebał w szkolnej torbie. O, można odwalić anglika, anglica zadaje wszystkie ćwiczenia jak leci, więc nie będzie to robota głupiego.

Dobre sobie wybrał zajęcie – ćwiczenia angielskie były tak odległe od tego miejsca i spraw jego, że prawie zapomniał, gdzie i po co siedzi.

Prawie. Bo kiedy usłyszał głosy za drzwiami i zgrzyt klucza w zamku, momentalnie zeszytniał, złodowaciał. Więc jednak – myślał, zaciskając szczęki, żeby mu zęby nie kłapały. Wstał bezszelestnie i dziękując Bogu, że adidasy ciągle tkwią pod oknem, zbliżył się na palcach do drzwi.

Z tamtej strony ktoś nacisnął klamkę, raz, drugi, potem zaczął szarpać. Kiwająca się w górę i w dół klamka robiła niesamowite wrażenie, Maciek zaciskał szczęki coraz mocniej i błagał Boga, żeby ten ktoś za drzwiami się odezwał, choćby publicznym słowem.

Na to akurat nie musiał długo czekać.

– Co ty, rwa, drzwi nie umiesz otworzyć? – to głos Wiktora.

– Coś blokuje – głos młodszy, chyba tego „Czesinka”.

– Daj, co tam może blokować?

Pióro zamka wsunęło się w główkę, wysunęło, klamka znowu zatańczyła.

– Widzisz? – zatriumfował głos Czesinka.

– Widzę. Psiakrew, co je może trzymać? Leć do wozu po łyżkę do opon.

– Chcesz wyważyć? Lepiej nie. To za blisko kryminału.

– Idź, durny. Wyważymy od zawiasów, a potem elegancko włożymy z powrotem.

– Jakby była Jadwiga, to tak, ale tak to nie. Czemu ona nie przyszła?

– Bo kawę rzucili do samu. Od rana na zapleczu pakują dla swoich.

– Kurde, czy ta baba z byka spadła? Dla paru groszy zawala sprawę.

– Kto mógł wiedzieć? Leć po łyżkę.

– Ojciec, a może Jadwiga nas wpuszcza w maliny? Że niby ma kawę na głowie, a naprawdę woli, jakby co, zwalić na nas?

– Nie czep się. To złoto kobita. I przecież dała klucze, więc nic nie może zwalić.

Wiktor znowu pokręcił kluczem, poruszał klamką. Potem natarł chyba barkiem na drzwi, bo nad klamką zrobiła się nieznaczna szpara.

– Tata, nie wywalaj drzwi! – krzyknął Czesinek.

– Nie wywalam, tylko chcę wybać, co ten zaszary gówniarz za wihajster wymyślił, że drzwi nie puszczają.

– Daj spokój, nic nam to nie da. Ty – Czesinek zniżył głos – a może on tam jest w środku?

- Ausgekluczt. Mówił wczoraj, że idzie paszport wyrabiać.
- Ten szczun? Paszport? – parsknął pogardliwie Czesinek.
- Możesz ty handlować, może on. Szkoła coś tam organizuje. Tak mówił Jadźce.
- Łże. Ja ci mówię, zjeżdżajmy stąd. I w ogóle bym dał spokój. Obróć z Mariolą parę razy do Budapesztu, ty z Jadwigą do Mińska i kupi się jakieś em.
- Głupis. Wywalać tyle szmalu, jak można mieć za nic? Gablota mi się sypie, jak zaraz nie opchnę, to na wiosnę dostanę grosze. Musi być kolejność. Wóz ważniejszy. Czesinek nie dyskutował, zmienił temat.
- Nic tu nie wystoimy, trzeba jechać po Jadwigę.
- Chyba trzeba.

Wiktorowi ciężko przychodziła kapitulacja. Zaatakował ponownie zamek i kłamkę, rąbnął parę razy pięścią w drzwi, aż rygle drgnęły.

– Chodź, chodź, ojciec – ponaglił go Czesinek. – Walizy już ja zniosę. Po cholere -śmy je brali.

Maciek odczekał, aż umilkną kroki, potem odkleił się od futryny i postąpił w stronę fotela. Nogi miał jak z kwaśnego mleka.

– O kurde – mruknął zadziwiony – robi mi się normalnie mdło. Żebym się tylko nie zerzygał.

Zmienił kierunek, dobrnął jakoś do łazienki. Oparł się ciężko o umywalkę. Nie, dzięki Bogu przechodzi. Odkręcił jednak kran, wsunął ręce w zimny strumień, zwilżył czoło. Zobaczył w lustrze swoją twarz.

– He, he – powiedział do tej twarzy – zzieleniałem, że matka by jęknęła.

Myśl o matce skojarzyła mu się z drugim śniadaniem. Jak przedtem czuł mdłości, tak teraz głód. Wrócił na wiklinowy fotel i wyciągnął z teczki torebkę z bułkami.

Jedzenie to jednak dobra rzecz – myślał, rwąc duże kęsy. – Podnosi na duchu. Czego ja się tak bałem? Niechby się nawet włamali, to co? Powiedziałbym: „Panowie będą odpowiadać za włamanie do cudzego mieszkania. Nie ruszę się stąd, dopóki nie przyjdzie właściciel z adwokatem. Pewnie już są w drodze”. Ale by gały wywalili. Czesinek nie jest taki żul, jak jego stary, zląkłby się prawa.

Przy drugiej bułce już wygłaszał mowę prokuratorską, przy trzeciej zaczął żałować, że Czesinek nie poszedł po łyżkę do opon. Już by było po wszystkim. Skobel by raz na zawsze wyzbył się wątpliwości co do jego, Maćka, odwagi. Prezes patrzyłby z uznaniem. Zośka by przestała dogryzać, przynajmniej na tydzień. A Grażynka? No, Grażynka byłaby zastrzelona. Kto z „mafii wileńskiej” odważyłby się stawić czoło facjowi z targowiska, w dodatku dzierżącemu w szerokiej łapie dopiero co użyty łom? Kto? Może Tommy? Albo Jack-Playboy? Nie rozśmieszajcie mnie.

Pokrzepiony bułkami na ciele, a pochlebnymi tworam wyobraźni na duchu, z wyższością spojrział na podręcznik angielskiego: niech sobie leży, niepotrzebny teraz jako osłona przed złymi myślami. Znacznie przyjemniejsze jest układanie scenariusza najbliższego wieczoru u Grażynki...

Wyciągnął się w fotelu, stopy (ciągle tylko w skarpetkach) oparł na kozetce i bardziej z nudów niż z czujności wsłuchiwał się w przedpołudniową ciszę bloku. Uważniej notował tylko trzask drzwi od windy – nie chciał, by kroki na schodach znowu go zaskoczyły.

No i nie zaskoczyły, ale mimo to zrobiło mu się zimno. Nie tak jak za pierwszym razem – był raczej spięty niż przestraszony. Chyba zdążę włożyć buty – pomyślał, sięgając po adidasy. – Głupio byłoby stać przed nimi na bosaka. A może to nie oni?

Nie oni! – podskoczył, zostawiwszy na później sznurowanie butów. Od drzwi dudniło upragnione tu-tu-tu tam.

Wszedłszy do domu, od razu zauważył na wieszaku płaszcz matki. To już tak późno? – zdziwił się (mama zwykle nie wracała przed czwartą).

– Co tak wcześniej? – usłyszał z kuchni-światlicy głos matki. Pytanie go zaskoczyło, spojrzął na zegarek: wpół do drugiej. Rzeczywiście, normalnie by wrócił z budy za godzinę.

– A ty, urwałaś się z pracy? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Mama nie lubiła krzyczeć, wyszła z sutereny na pół schodów:

– Awaria ogrzewania, puścili nas do domu. Przy plus dwa. Co to będzie przy minus piętnastu?

– Normalka – machnął ręką Maciek. – Masz już może obiad? Zjadłbym, zabrał jakieś kanapki i poleciał.

– Dokąd?

– Wszystko ci opowiem, tylko umyję ręce.

W łazience ogarnęły go wątpliwości, czy naprawdę należy opowiedzieć „wszystko”. O Skoblowych sprawach tak, tu nie ma nic do ukrycia. Ale, że nie był w szkole? Że jutro może też nie będzie? E tam, lepiej kawę na ławę, i tak kiedyś by się przyznał, czy wygadał.

Mama na pytanie o obiad odpowiedziała czynem: stół był już nakryty, ona sama przy kuchence mieszała zupę. Maciek od progu zaczął sprawozdanie. Trochę upiększone – pominął szczegół, że zzieleniał i wymiękł, za to rozwinął barwny scenariusz, jak by to on dał popalić Wiktorowi, gdyby się ośmielił włamać. Mama niby dalej spokojnie pichciła obiad, tylko dwa razy ręka jej drgnęła i trochę makaronu posypało się obok garnka z wrzątkiem, a pokrywka od rondla ze zrazami zleciała na podłogę. Co mama zresztą skwitowała wachlowaniem palcami i okrzykiem: „Ffu, ależ gorące!”.

– Skobel wrócił głodny jak pies, ale cały w skowronkach i z fanfarami. Fanfary należałyby się tej jego adwokatce. Skobel mówi, że to szatan nie baba. Ja się nie znam na prawie, ale na wyczucie: żeby tak z marszu załatwić Skoblowi opiekę sądową i prawo do mieszkania, to chyba osiągnięcie nad normę.

– Wierzyć się nie chce! – zgodziła się mama. – Ojciec załatwiał sprawy spadkowe po babci Liweckiej więcej niż pół roku.

– Skobel coś mówił, że orzeczenia nie są prawomocne, że muszą się odleżeć. Ale Jadwiga i Wiktor nie potrzebują o tym wiedzieć.

– Jaki Wiktor?

– No ten, apsztyfikant ojcowej Skobla. Widziałas go na pogrzebie. Teraz chodzi tylko o to, żeby nie wpuścić Wiktora, no i żeby ona się odczepiła. Dlatego muszę zaraz Dodzwonić i ściągnąć posiłki na dyżur.

– Dlaczego ty?

– Bo mam telefon.

– Argument nie do odparcia. Tymczasem jedz zupę – powiedziała mama sucho.

Mama zawsze każe mi jeść zupę, jak nie wie co o czymś myśleć. Dobrze, poszufluję szybko i spłynę, nim będzie miała jasność.

Ryż w odwiecznej pomidorowej trochę się jednak mamie przypalił, na co Maciek rozsądnie spuścił zasłonę miłosierdzia. Wyszufłował talerz do dna i wykorzystując moment, kiedy mama nakładała przy kuchence drugie danie, szmyrgnął do telefonu.

Najpierw zadzwonił do Zośki. Odebrał jej brat Bolek, ten, którego Maciek niezbyt lubił jeszcze od czasów Rezydencji.

– Nie, Zośki nie ma i nie będzie – usłyszał Maciek zaczepny głos. Pomyślał, że niechęć do Bolka ma podstawy.

– Jak to „nie będzie”? Do Ameryki wyjeżdża czy co?

– Kto wie, kto wie – drażnił się Bolek.

– Nie rób jaj, tylko mów do rzeczy – zirytował się Maciek.

– Nie wiem, kiedy przyjdzie, załatwia ważne sprawy na mieście. A co od niej chcesz?

– Jak jej nie ma to nic, to mam sprawę do ciebie. Zjedź do Prezesa i powiedz, żeby przyszedł zaraz do Skobla.

– Pali się?

– Tak. Prezes wie, o co chodzi.

– A ja nie mogę?

– Możesz, ale to długa historia. Zośka ci opowie.

– Jak będzie miała głowę.

– Chyba nie straciła...

– Kto wie, kto wie – znowu ten kpiący tonik.

– Bolek, proszę cię, nie świruj, tylko rób o co proszę. To nie moja sprawa, tylko Skobla.

– No dobrze, dobrze – zgodził się niechętnie brat Zośki i położył słuchawkę.

Diabli nadali akurat tego Bolka... Zaraz, a może właśnie dobrze? Bolek jest w ostatniej klasie podstawówki, a wygląda jak z zasadniczej. Nie taki dębowy i sękaty jak Skobel, ale prawie tak wysoki. Trzeba było go posłać od razu do Skobla, już byliby we dwóch.

Wykręcił jeszcze raz numer Zośki – nici, Bolek widać pogonił od razu z meldunkiem. I to niepotrzebnym – uświadomił sobie Maciek poniewczasie – przecież Prezes i tak zgłosi się u Skobla, skoro tylko będzie wolny. Ech, pokiepszciliśmy sprawę.

Był zły na siebie, złość wyładował na zrazie, którego ciachnął nożem tak gwałtownie, że pozostała część przerażona umknęła z talerza i schowała się za kompotem.

– Cholera, tępe te noże, jakby kto nimi miesiąc cegły krajał – zwałił winę za incydent na przedmiot martwy.

– Coś ci nie poszło? – mama i tak go zdekodowała. – Jeśli nie chcesz iść po obiedzie do Banaszaka, to nie idź. Ojciec wróci niedługo, to może cię zastąpić. Albo ostatecznie ja – do-dała z wahaniem. – Uważam, że to nie jest akcja dla dzieci.

Maciek przeoczył ocean maminej wielkoduszności, natomiast obraził się za „dzieci”.

– Nie truj. Te „dzieci” jakoś sobie radzą, nie? I kto ci powiedział, że nie chcę iść?

– Przecież widzę.

– Nic nie widzisz. Wkurzyła mnie rozmowa z Bolkiem i tyle.

Mama starannie umieściła na brzegu talerza zapomnianą szpilę od zrazów i z lekka demonstracyjnie zmieniła temat:

– Słuchaj, myśmy z ojcem uradzili, że na sobotę i niedzielę pojedziemy do Jazowa. Zabrać resztę babcinych rzeczy ze strychu, nowy właściciel niedawno przysłał list z ponagleniem. I w tym roku na Wszystkich Świętych nie byliśmy na grobie. Mógłbyś jechać z nami, ale skoro cię trzymają dyżury u Darka...

Chciał zawołać, że do soboty już na pewno będzie po dyżurach, ale uniósł się honorem i nie zawołał. Mama zresztą nie czekała na odpowiedź.

– Wyruszmy golfem w piątek zaraz po obiedzie, pojedziemy przez Warszawę i przenocujemy u wujka Olka.

– Porozumienie narodowe? – spytał kąśliwie, po swojemu. Mama po swojemu udąła, że nie dostrzegła kąśliwości.

– Narodowe to może nie, ale rodzinne, kto wie? Po tym, jak tobie opowiedziałam te rodzinne historie, to dużo nad tym myślałam... Trzeba mu dać szansę. Może i zmienił się przez te lata. Gdzieś schował walizę dziadka Aksaka? Wziąłabym trochę fotografii...

– Ale nie szablę! – krzyknął.

– Nie, szabla jest twoja z woli dziadka i nie ma mowy... Gdzie jest waliza?

– W schowku po lewej. A, a tego, musicie koniecznie jechać w najbliższy piątek?

– Tak, póki jeszcze śniegów nie ma. Przecież wiesz, jakie tam drogi koło Jazowa. A do wiosny nie wypada odkładać. Zresztą – mama zawahała się – nie wiadomo, jak tata będzie z czasem na wiosnę.

– Co, znowu gdzieś jedzie!?



– Nie, nie, wręcz odwrotnie. Musi dobrze przysiąc i robić habilitację, bo go wyrotują. Zwolnią, znaczy się.

– Za co?

– Myślę, że za Monrovię i ten segment. Za dużo szczęścia na jednego. Formalnie byliby w porządku: nie można być zbyt długo adiunktem.

– O Jezu – jęknął i zacytował Okudżawę: – „My zawsze w pochodzie...”

– No właśnie – mama wstała. – Ty już lecisz, prawda? To ja idę szukać tych fotografii.

Zgrabnie mnie mama wyrotowała, nie ma co – myślał, nagle porzucony w kuchni. – Pięć minut moglibyśmy jeszcze posiedzieć przy stole. A czułem, że u taty w instytucie coś nie tak. Mam nosa!

Nie zdążył się nadać z tytułu swojej przenikliwości, bo usłyszał z góry głos mamy, śpiewający podpowiedzianą piosenkę:

...My zawsze w pochodzie

I tylko to jedno nas budzi ze snu:

Dlaczego w odwrocie?...

– „Dlaczego w odwrocie?” – zawtórował z cicha. – Oj, biedni ci moi.

Postanowił żarto dla Skobla załatwić sam, bez zwracania mamie głowy. To też daje do myślenia – rozważał, wyjmując z lodówki pół kostki masła i kielbasę toruńską – że Jadwiga wymiotła lodówkę do ostatniej skórki spleśniałego sera. Tak jakby w razie czego chcieli brać Skobla głodem.

Przypomniał sobie dramatycznie rozczerwaną minę Skobla, który zaraz po powrocie („Wszystko ci opowiem, tylko coś wrzucę na ruszt, bo padnę”) otworzył lodówkę. I jego wymyślne przekleństwa, kiedy nic nie znalazł. I pośpiech, z jakim wyprawił Maćka na obiad, z dodatkowym poleceniem kupienia „co podleci” do żarcia. On chyba teraz żuje suchy chleb – pomyślał Maciek i położył na wierzch jeszcze jeden kawałek kielbasy, serek topiony i rozpozczęty dżem. – Muszę zaszuwać, bo on tam może naprawdę padnie.

Przed domem jednak przystanął na chwilę, spojrzął w prawo, czy przed domem Grażynki już stoi golf. Nie, było pusto i cicho, na jezdni w nie zmaconej kałuży po stopniałym w południe śniegu odbijało się czerwieniejące niebo i wydłużony cień słupa telefonicznego. Zadzwoń do niej, jak wrócę – postanowił. – Albo jeszcze lepiej – pójdę! Ach, żeby już był wieczór.

Ruszył prawie klusem, jakby tym sposobem mógł przyśpieszyć nadejście wieczoru. Zresztą grudniowego zmięzchu nie trzeba popędzać – kiedy Maciek przemierzył parów i pół blokowiska, słońce zdążyło dojść do wzgórz. Maciek, nim wszedł do bloku, patrzył chwilę na czarne, poszczerbione blanki lasu i płynące po czerwonej tafli tratwy pomarańczowych chmur. Gdyby mama była malarką, to bym ją poprosił, żeby to namalowała. Eee, pewnie by powiedziała, że kicz.

Rozejrzał się jeszcze po blokowisku – nie, gabloty Wiktora nie ma, stoją tylko dwa tutejsze wozy i jakiś żuk. Ejże, czy to jednak nie Wiktora? Zaparkowany jak do przeprowadzki. To ci Szybki Bili.

Usłyszał, że winda zjeżdża, pośpieszył do niej i potem na przemian zanudzał Pana Boga westchnieniami: „Żeby ich nie było”, „Albo lepiej niechby byli”...

Na ciemnej końcówce schodów, gdzie stłoczył się slumszysty zapach całego bloku: smród ze zsyków, swąd wszystkiego, co się w tym dniu przypaliło lokatorom, poczuł lekkie echo przedpołudniowych mdłości. Ale wziął się w garść. Zza drzwi „stodoły” dochodziły krzyki wymagające pełnej gotowości.

Rany, już się zaczęło! Kurcze, oni chcą iść na całość!

Przez roztargnienie zadzwonił zamiast zapukać, ale i tak otworzył mu Skobel.

– Dobrze że jesteś, bo jeszcze trochę, a bym Wiktora wziął za krawat – powiedział szep-tem.

– Kogo wpuszczasz? – wrzasnęła, dla kontrastu na cały regulator, eks-ojcowa. – Żadnych gości!

– Jak żadnych, to żadnych – odszczeknął Skobel. – To niech twój też wychodzą!

– Nie możesz nas wyrzucić! – włączył się Wiktor.

– Prędzej niż wy mnie.

Maciek w mig zdecydował się na grzeczną neutralność:

– Dobry wieczór państwu! – skłonił się lekko.

Wszyscy umilkli, tylko Skobel, podsuwając Maćkowi wiklinowy fotel, powiedział: „Siadaj, proszę” i sam przyciągnął w pobliże Maćka stół. Usadził się na nim w pozie Batorego pod Pskowem, wobec czego Maciek postanowił zagrać Stańczyka – jak Matejko to Matejko – wyciągnął nogi, łokcie oparł na poręczach, dłonie splótł przed sobą. Trójka przeciwników, ulokowana na wersalce, usztywniła się jak na rodzinnym zdjęciu robionym w Badziewie. Ciekawym, jak długo wytrzymają – zastanawiał się Maciek. – Ja mam czas, ja poczekam.

Pierwsza złamała się ojcowa.

– Proszę podziękować rodzicom, że przyszli na pogrzeb nieboszczyka – powiedziała sucho, z wyraźnym wysiłkiem.

– Przekażę – Maciek skłonił się powtórnie i zaraz znowu zanurkował w Stańczykową zadumę. To na zewnątrz. Bo wewnątrz główkował szybko, skąd tu nagle taka uprzejmość. Mam – omal nie plasnął się w czoło – ona daje cynk Wiktorowi i Czesinkowi, że to moi rodzice zajęli się wówczas Skoblem. Domniemanie było słuszne, Wiktor złapał cynk i zagrał „z szankiem”.

– Pańscy rodzice chyba zrozumiały, że nikt tu nie chce krzywdzić sieroty, niech ręka Boska broni. Tylko że jak to tak, żeby wyrosnięty chłopak mieszkał w jednym pokoju z samotną kobietą. Stała pokusa!

– Też pokusa, to wyranżerowane pudło! – mruknął Skobel, dość głośno, żeby wszyscy usłyszeli, dość cicho, żeby mogli udać, że nie słyszą. Tak też zrobili, tylko Jadwiga drgnęła jak ukłuta, a Czesinek prychnął i zakaszał. Wiktor pociągnął jakby nigdy nic:

– Co by na to ludzie powiedzieli? Kobieta musi dbać o opinię.

– A, to już nie moja sprawa – zaznaczył swój dystans Maciek.

– To w ogóle nie jest twoja sprawa – zdenerwował się Czesinek. – Po coś tu przyszedł? Załatwiał, co masz do załatwienia, i...

– To potrwa – przerwał mu szybko Maciek, nie chcąc usłyszeć „spływaj” czy czegoś jeszcze bardziej obelżywego.

– Co potrwa? Jak długo?

– Aż panowie się nie pożegnacie. Jestem przyjacielem Darka i w razie czego stanę za świadka. Albo pójdę po milicję.

– Milicję! – krzyknęła Jadwiga. – Milicji im się zachciewa. A pewnie, pewnie, potrzebna milicja! Żeby mi drzwi otwierała, jak ten cham się zamknie! O, jakie rygle założył! – wskazała dramatycznie na drzwi.

– Co ci rygle przeszkadzają? – włączył się ostro Skobel. – Wszłaś do mieszkania normalnie.

– Ale Wiktor rano... – urwała.

– Co Wiktor, co Wiktor? – docisnął pośpiesznie Skobel. Wiktor zerwał się, chwycił Jadwigę za łokieć i pociągnął w stronę łazienki, Czesinek ruszył za nimi, po chwili Maciek i Skobel usłyszeli szczęk zasuwki.

– Narada przy drzwiach zamkniętych – zaśmiał się Maciek.

– Cii, ktoś idzie – uciszył go Skobel, podszedł na palcach do drzwi wejściowych, uchylił je, wyjrzał na schody i powtórzył, już nie do Maćka: – Cii.

Maciek, zaintrygowany, stanął za jego plecami. Zobaczył na schodach Prezesa, Zośkę i – Bolka. O, posiłki – ucieszył się, jednak umiarkowanie. Wolałby, żeby był sam Prezes, a jesz-

cze bardziej – żeby ta „mecenaska”. Przecież obiecała Skoblowi, że przyjdzie z dokumentami przed trzecią, a tu już – odgarnął rękaw – pięć po.

Skobel zgarnął posiłki do swojego kąta – nowo przybyli siedli rzędkiem na kozetce, Skobel przyciągnął swój stołek, Maciek – fotel.

– Co jest grane? – spytał szeptem Prezes.

– Naradzają się w kłocie – wyjaśnił gospodarz.

– Słyszę – parsknęła Zośka, bo zza drzwi łazienki huknął głos Czesinka:

– Sto, kurde, i niech spierdała.

– Za co? Za moje?! – zajazgotała Jadwiga i zaraz ścichła.

Nadstawili uszu w nadziei, że jeszcze coś usłyszą, ale widać Wiktor nałożył swoim skuteczny tłumik.

– Myślałem, że będziemy przed nimi – przerwał szeptem bezcelowe milczenie Prezes. – Jak wsiadałem do windy, przed blokiem zatrzymał się maluch.

– Wiktor ma fiata 125 – zaczął wyjaśniać Skobel i naraz zerwał się. – Jaki był ten maluch?

– Normalny, beżowy.

– To ona! Lecę naprzeciw.

I popędził do windy, zostawiając drzwi otwarte.

– Co za ona? – chciał wiedzieć Bolek.

– Mecenaska – oświecił go Maciek. – Dzięki Bogu, że wreszcie jest. Teraz już pójdzie na pełny gaz.

Podnieceni, skupili się przy wejściu. Za moment dwie ekipy stanęły przed sobą oko w oko. Mecenaska miała z lewej strony Zośkę i jej brata, z prawej – Prezesa i Skobla; Maciek stał za tymi dwoma, trochę z boku. Jadwiga wysforowała się przed swoich współników, rozpoznała sytuację i jęknęła, odwracając się do Wiktora:

– Jezu, znowu ta siksa!

Wiktor spojrział srogo na Zośkę i dopiero po chwili zorientował się, że nie o nią tu chodzi. Jadwiga, nie tracąc czasu na powitanie, natarła ostro:

– Po co pani tu znowu przychodzi? I całą zgrają wciąga do cudzego mieszkania? Dareczek jest czysty, nie potrzebuje, żeby go sąd pilnował. Dawno mu się nadzór skończył.

Prawniczka jakby nie słyszała tej oracji, zbliżyła się do Jadwigowej obstawy i powiedziała, wyciągając rękę do Wiktora:

– My się nie znamy. Barbara Myszewska, z sądu dla nieletnich.

– Globisz – przedstawił się Wiktor.

– Globisz – powtórzył za panem ojcem Czesinek i pocałował mecenaskę w rękę.

– Może by się? – powiedział w przestrzeń Skobel i migiem przysunął wiklinowy fotel swojej rzeczniczce. Maćka oświeciło, że przyjaciel uważa ten fotel za rzecz bardzo cenną, przypomniał sobie, że przedtem jemu go oferował, i poczuł się mile dowartościowany. Umieścił się skromnie w kącie pokoju, półstojąc, półsiedząc na oparciu łóżka. Koledzy poszli za jego przykładem. Jadwiga, dążąc ku wersalce, musiała przejść koło nich.

– Sępy – rzuciła im cicho w twarz.

E tam, najwyżej wrony na płocie – pomyślał Maciek. – Sępy to oni.

„Sępy” rozsiadły się na wersalce czujne i nastroszone. Prawniczka tym się nie przejmowała. Otworzyła torbę, spokojnie położyła na stole szarą, dużą kopertę:

– Od dziś jestem prawną opiekunką Dariusza i dlatego...

– Jakim prawem? – krzyknęła Jadwiga. – To ja powinnam być. Tyle lat go karmię, odziewam, lekcji pilnuję – urwała pod wpływem lodowatego spojrzenia pani Barbary. Ta odpowiedziała na pytanie:

– Na życzenie powoda. Darek nie ma bliższej rodziny i prosił mnie o to.

Jadwiga i Wiktor wymienili spojrzenia z tekstem: „a to cwany gówniarz”. Czesinek westchnął i opadł na oparcie wersalki z cichym „niech to szlag trafi”.

– I jako opiekunka przyszedłam porozmawiać z panią, głównie, żeby ustalić, kiedy pani opuści mieszkanie.

– Wyrzuca mnie, diabelskie nasienie?! Niedoczekanie, ja też mam prawo...

– Nie ma pani prawa, bo nie miała pani ślubu z ojcem Darka. I Darek pani nie wyrzuca, tylko...

– Jak to, nie mam prawa? Że bez ślubu? To nie moja wina, że mi stary rozwodu nie chce dać. Kutwa taki, moje morgi to trzyma, a... I przez to ja mam stąd wyjść jak panna z tańca? To niesprawiedliwe!

– Może niesprawiedliwe, ale tak jest.

– A moja praca? A mój wkład? I co on biedny zrobi, Dareczek, bez kobiecej opieki? – zmieniła ton. – Kto mu da jeść? Ja zawsze...

– Wiem, jak było zawsze – ucięła sucho prawniczka. – A przed chwilą nazwała go pani diabelskim nasieniem.

– To tak, w nerwach...

– Ale nie w nerwach, tylko z rozmysłem chciała go pani, działając wspólnie i w porozumieniu z tymi tu panami, wyzucić z mieszkania. To pana żuk stoi tam przed blokiem? – strzeliła ostro w Wiktora.

-Tak, to jest nie, tylko...

Wiktor zaczął się rozwodzić, że w ogóle co za wyzuwanie, że oni mają zupełnie rozsądną propozycję, na której „Dareczek” nic nie straci, a nawet zyska...

Maciek znał już tę taśmę, słuchał jednym uchem, natomiast z zaciekawieniem przypatrywał się pani Barbarze. Była zupełnie inna, niż się spodziewał. Kiedy Skobel powiedział o niej „szatan nie baba”, z punktu wyobraził sobie energiczną, wysoką, masywną blondynę z krótko ostrzyżonymi włosami. Jak mama Kudelska – uświadomił sobie teraz. -A tymczasem ona jest właśnie podobna do Grażynki. Smukła, zgrabna... Tyle że szatynka i dołeczków na policzkach nie ma. Choć może, jakby się uśmiechnęła?

Ale prawniczka nie miała powodu do uśmiechu, przygważdżała krętałctwa Wiktora celnymi sztychami, niczym pan Wołodyjowski ęczę tatarską, krótko i surowo.

A Grażynka nigdy nie ma surowej miny. Rzeczową, tak. Łobuzerską – prawie wciąż. Choć, kto wie, gdyby miała przed sobą takie typy...

– Proszę pana – przerwała mecenaska Wiktorowi kolejną czarowną wersję zamiany lokali – naprawdę nie ma o czym mówić, skoro właściciel mieszkania się nie zgadza.

– Absolutnie się nie zgadzam – potwierdził Skobel głośno i wyraźnie.

– Ponieważ jednak pan i pani Jadwiga próbowali zawłaszczyć sobie mieszkanie i nie ma gwarancji, że nie ponowicie tych prób, w imieniu podopiecznego wymawiam pani mieszkanie. Powtarzam, co już mówiłam: kiedy się pani wyprowadzi?

– Co? Jak? – wybuchnęła Jadwiga. – Na bruk mnie wyganiają, sierotę!

– Nie na bruk. Ile pani trzeba czasu na znalezienie pokoju?

Jadwiga z płaczem rzuciła się w objęcia Wiktora, chlipała, szlochała i nagle zerwała się na równe nogi:

– Wcale mi nie trzeba. Nic. Jednego dnia więcej z tym gadem nie będę.

– Ależ... – próbował ją uspokoić Wiktor.

– Nie dasz mi przecież zginąć, prawda, że nie dasz – chwyciła go dramatycznie za rękę. – I żuka już sprowadziłeś – dodała całkiem przytomnie.

– No tak, rzeczywiście – potwierdził niepewnie Wiktor.

Czesinek tym razem powiedział „niech to szlag trafi”, przechylając się do przodu i waląc dłońmi w kolana.

– Skoro państwo mają pod ręką transport – mecenaska kuła żelazo póki gorące – to chyba takie wyjście będzie najlepsze. I jest dużo rąk do pomocy – przy tych słowach uśmiechnęła

się po raz pierwszy, odkąd weszła. Łobuzersko! Ale dołeczków na policzkach i tak nie ma, szkoda – pomyślał Maciek.

Zośka w mig pojęła, co trzeba robić. Podeszła do Jadwigi i powiedziała nader słodko:

– Pomogę pani w pakowaniu.

– Obejdzie się. Wiktor, Czechu, bierzcie telewizor.

– Telewizor jest mój – zaprotestował Skobel. – I lodówka też. Były jeszcze za mamy, można sprawdzić po dacie produkcji.

– Udław się nimi. Ale pralkę zabieram. I wersalkę. No, na co czekacie? – zwróciła się do swoich.

Wiktor i Czesinek popatrzyli na siebie bezradnie.

– Zlituj się, kobieto, gdzie to upchniemy? – powiedział Czesinek. – W chałupie ful, że opór.

– Wszystko jedno, jemu nie zostawię.

Ściągnęła energicznie narzutę z wersalki, cisnęła na podłogę, wzniosł się tuman kurzu. Bolek zachichotał, mecenaska wstała i odstawiła fotel do Skoblowego kąta, Wiktor i Czechu stali głupawo, nie kwapiąc się do wersalki. Impas przerwała Zośka:

– Może sprawę wersalki przemyśleć na końcu? Ja bym pani radziła zapakować w tę narzutę pościel.

– Pościel jest moja, po rodzicach – odezwał się Skobel. – Ale niech tam, może zabrać.

Jadwiga chyżo rzuciła się ściągając kapę z łóżek. Maciek wzdrygnął się, nie miał ochoty na to patrzeć, a w ogóle – słuchać pyskówek o każdy kłopot, na co się zanosilo. Jak by tu się godziwie stłenić? Jest!

– Ja myślę – rzucił pomysł – że pani potrzebne kartony. Spożywczy jeszcze otwarty, to skoczę i może coś skombinuję.

– O, jaki szybki – mruknęła Jadwiga cicho. Głośno włączył się Wiktor:

– Można by, dobra myśl. Ty – zwrócił się do syna – zjedź do żuka i przynieś pendelsak. Walizek nie ruszaj!

W walizkach są jego rzeczy, w pendelsak chcieli załadować Skoblowy dobytek. No, kto tu miał wyjść jak panna z tańca? – rozszyfrował zamiary „sępów” Maciek, wciągając kurtkę.

– Poczekaj, ja lecę z tobą – zmobilizował się Bolek.

– Kupcie chleba! – zawołał za wychodzącymi Skobel.

W windzie Bolek milczał ze względu na Czesinka, ale gdy ten zniknął w skrzyni żuka, parsknął:

– Ty, ale jaja, ja cie! No, Skobel na koniec przypieprzył tej babie, że niech go!

– Nic by nie przypieprzył, gdyby nie miał mecenaski. Mógłby się zapierać kopytami, pewnie, ale ciągnęłoby się to jak kurz za wojskiem.

– Mecenaska jest fajna – zgodził się Bolek. – Takie niby chuchro, a jak strzeli: „w zмовie i w porozumieniu”, to najtwardszy chojrak wymięka. Z taką to bym się ożenił!

Maciek roześmiał się:

– Popatrz, popatrz! Skobel mówi to samo. Ale zgadzam się, coś w niej jest!

W dobrej jak nigdy komitywie dotarli do odwiecznego „samu w budowie”, okrążyli równie odwieczne ogrodzenie i weszli do spożywczego, zainstalowanego od trzech lat na tymczasem w suterenie samu. Maciek rozejrzał się trochę bezradnie – wiedział, że tu można dostać kartony, bo ojciec je załatwiał przed ich przeprowadzką. Ale z kim trzeba gadać, to już nie.

– Stawaj po chleb – objął komendę Bolek. – Ja pójdę bajerować na monopol. Aha, masz jakąś stówę albo dwie?

– Mam – powiedział, sięgając do kieszonki na rękawie. Wyjął dwie setki i przy okazji dziesięć dolarów, które wprawdzie zgłosił, ale matce nie przekazał.

– Ho, ho, to ty tak sobie obojętnie dolce w łachu nosisz? – zauważył Bolek.

– Miały być dla Skobla, ale nie chciał wziąć – usprawiedliwił się Maciek.

Kolejka po chleb była nienaturalnie długa, Maćkowi przeleciała przez głowę przerażona myśl, że może to już piątek i dlatego. Nie, uspokoił się, to po prostu ludzie wracają z pracy. Sprawdził godzinę: rzeczywiście, ledwie po czwartej. Rany, jak ten dzień się ciągnie. Wierzyć się nie chce, że dziś rano szedł zwyczajnie do szkoły. A wczoraj wieczorem pił sok pomarańczowy u Grażynki i opowiadało Rezydencji... Nie doszedł jeszcze do lady, kiedy przybiegł Bolek:

– Ty, jak myślisz, ile brać tych kartonów? Ona drze trzy dychy za jeden po winie.

– Weź dziesięć, od przybytku głowa nie boli – zdecydował Maciek i wyłuskał jeszcze sto złotych.

– Dobra, jak zostanie, to będzie dla Prezesa.

– Dla Prezesa? – zdumiał się Maciek, ale Bolek już przepadł. Pojawił się znowu po piętnastu minutach. Maciek akurat zapłacił za chleb, więc wziął bochenek w jedną rękę, pakę z kartonami w drugą, (do spółki z Bolkiem) i zaraz zapytał:

– A na co Dariuszowi kartony?

– Patrz, dodała mi jeszcze drut do wiązania, to już za bezdurno pochwalił się najpierw Bolek. – To ty nie wiesz? Oni ze Skoblem już dawno uradzili, że jak się ta zgreda wyniesie, to Prezes pomieszka u niego.

– Bardzo dobrze! – ucieszył się Maciek.

– Lepiej nie może być. U Prezesa przecież tłok, daj spokój, Ania już prawie panna, Waldek też wyrósł. A tak każde będzie miało swój metraż. U nas też się poluzuje, jak Zośka wyjedzie.

– Zośka? Dokąd? – tą nowiną Maciek się nie ucieszył.

– Nie mówiłem ci przez telefon? Eee, mówiłem. Że poszła paszport odebrać.

– Nic nie mówiłeś, wygłupiałeś się tylko.

– A bo to taka heca! Normalnie bomba. Nasz wujek, najmłodszy brat mamy, ściąga Zośkę do Australii!

„Kurcze, żeby choć do Szwecji” – jęknął Maciek w duchu, ale nie przerywał.

– On jest elektrykiem, nawiał jeszcze za Solidarności, nie chciało mu się czekać, aż kolega Wielki Elektryk Polskę naprawi. Ma teraz w agencji sklep z tysiąc jeden drobiazgami i swój warsztat, gdzieś w buszu. Dorobił się dwójki dzieci i potrzebuje kogoś do pomocy. Ja za parę lat też do niego pojedę. Tylko fach zrobię.

– No dobrze, a Prezes?

– Co Prezes?

– Przecież on z Zośką...

– E tam, pierwsze koty za płoty. Zresztą, jak dobrze pójdzie, to może jego dla odmiany Zośka ściągnie.

Maciek na to już nie odpowiedział. Zdzieliło go. Musiał przetrwać. Bolek był chyba rad z jego milkliwości, może zresztą w ogóle jej nie zauważył, bo głośno rozważał plusy i minusy różnych zawodów pod kątem ich przydatności w Australii. Najlepsza byłaby elektronika, tylko to za długo trzeba by się uczyć. Więc może lepiej transport? Albo gastronomia?

– Ludzie wszędzie muszą jeść, nie? Jak myślisz?

– Myślę – ocknął się Maciek – że przede wszystkim naucz się angielskiego.

– Tak się mówi, ale to wcale nieprawda. Wujek Henio, jak pryskał, umiał tylko „guten Morgen” i „how do you do”, a proszę... Tam wszędzie kupa naszych, da się dogadać.

– Polecimy na Księżyc, a na miejscu się rozejrzemy – mruknął Maciek.

-Co?

– Program polskiej wyprawy kosmicznej. Taki dowcip – dodał wyjaśniająco.

– Kiepski – obraził się Bolek i zamilkł.

Przed blokiem spotkali Prezesa, który podawał Czesinkowi na żuka jakiś tłumok. W windzie przedstawił im aktualny stan rzeczy:

– Tam teraz idzie na noże, bo okazało się, że Jadwiga spylila wszystkie ciuchy nieboszczyka, nawet robocze. Skobel chce jako odszkodowanie wersalkę, Jadwiga – że to za drogo.

– A Wiktor?

– Sflaczał. Czesinek jest wściekły, on na ty m interesie najwięcej traci. I jak skapowałem, boi się żony. Bo żona liczyła, że pozbędą się taty, a tu tata im funduje tatową.

– E tam, zahandluje parę razy więcej i wykupi się od taty z tatową -machnął ręką Maciek i poinformował Prezesa o tym, co rano usłyszał przez zaryglowane drzwi.

W czasie tych trzech kwadransów, które Maciek z Bolkiem strawili na wyprawę po kartony, mieszkanie Skobla zmieniło się radykalnie. Zniknęły firanki, łóżka świeciły gołymi sprężynami, otwarta szafa -pustką, a na stole stały poprzekładane gazetami talerze i kubki, które Zośka zaraz zaczęła pakować do kartonów. Nad sporną wersalką, niczym lekarze nad łóżem ciężko chorego, stali z jednej strony Wiktor i Jadwiga, z drugiej Skobel i pani Barbara.

– Dwadzieścia to i tak tanio – mówiła eks-ojcowa. – Teraz nowej i za trzydzieści nie dostaniesz.

– A ty półkożuszka nawet za pięćdziesiąt – odcinał się Skobel.

– Ojejku, stary już był, więcej niż pięć nie wart.

Maćkowi nerwy puściły: miał już dosyć „sępów”, napięcia, świadkowania i wszystkiego. Przybliżył się i on do kwaciastej kości niezgody, pośpiesznie odmykając kieszeń na rękawie.

– Dam pani dziesięć dolarów. Będzie git?

Zielony czar podziałał momentalnie: Jadwiga capnęła papierek, nim Wiktor wymówił krótkie słowo „git”. Ale dla niej jednak nie było „git”, musiała jeszcze powiedzieć:

– Trudno, niech będzie moja krzywda.

I wreszcie poszło piorunem: Wiktor z Bolkiem odrutowali kartony ze skorupami, zjawił się Czesinek, każde z „sępów” wzięło po jednej paczce i ruszyli do drzwi. Tuż przy wyjściu Jadwiga odwróciła się i zazgrzytała do Skobla:

– Niech ci za to...

– Uważaj, moja matka słyszy! – wpadł jej w słowo Skobel.

Jadwiga obejrzała się spłoszona, i choć żaden cień nie stał w kącie pokoju, „wymiękła”:

– Niech ci się jakoś ułoży – wykrztusiła z trudem.

– Tobie też – odpowiedział Skobel łaskawie.

Zamknął za nią drzwi i z półobrotu oparł się, prawie bezwładnie, o ścianę.

– Koniec – wysapał. – O kurde, wierzyć się nie chce.

## Nocne rozmowy

Pani Barbara też potrzebowała luzu – opadła na fotel, aż zatrzeszczał, i westchnęła głęboko: „Oooch”. Skoblowi przypomniało się, że dawniej, kiedy była jego kuratorką, wzdychała przy co drugim zdaniu. Przypomniał też sobie stare mieszkanie w Brzeźnie, milicjanta na środku kuchni: „Jest taka sprawa, że było włamanie...”

– Pan Bóg wynagrodził, że nie zakapowałem Aniolecza – powiedział. Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni – co on tu o Bogu i cherubinku? Tylko mecenaska od razu pokojarzyła:

– No, to po latach się dowiaduję, że to jakiś Anioleczek cię wciągnął do tego piwniczego gangu.

– Nie wciągnął, tylko zmusił. Ja byłem mu winien pieniądze.

– Czemuś tego nie powiedział przed sądem?

– Bo się nie kapuje. I zresztą całe szczęście. Bo jakbym zakapował, to byłbym niewinny i nie dostałbym nadzoru, i pani by do nas nie przyszła. Proszę pani, jakby nie pani, to ja bym

zeszedł na psy, nie ma siły. Ja się pani nigdy nie wywdzięczę! Ale żeby choć trochę... Może pani kafelki w łazience albo gdzie ułożyć?

– Już ułożone – zaśmiała się. – Teraz myśl o swojej łazience. Nareszcie jesteś u siebie. Swoją drogą, nie wiem, dlaczego ta pani tak łatwo spasowała.

– Ja wiem! – olśniło Maćka. – To jest chytry babus, ona w pewnym momencie zorientowała się, że tu nic nie wygra. Mogłaby się uprzeć, żeby zejść za skórę Darkowi. Ale to by się wlokło, a w tym czasie Wiktorowi mogłaby się trafić inna „złoto kobita”. No i ci młodzi mieliby coś do gadania: godzili się wpuścić pod dach Skobla, a nie Jadwigę.

Skobel stał teraz przy stole i machinalnie odrywał kęsy z bochenka chleba.

– Tra-trafiłeś – powiedział z pełnymi ustami. Maciek klepnął się w czoło:

– Boże, na śmierć zapomniałem – skoczył do Skoblowego kąta i zabrał z kozetki torbę z jedzeniem. – Masz, przyniosłem ci coś do chleba.

– W ogóle chyba się napijemy herbaty? – powiedziała Zośka i zaczęła zbierać ze stołu poprzeprowadzkowe śmieci.

Pani Barbara spojrzała na zegarek i zerwała się z fotela:

– Pijcie, ale beze mnie. Na mnie najwyższy czas. Synek czeka, a mąż się niepokoi.

– Jak to? – rozżalił się Skobel. – Myślałem, że siądziemy, pogadamy na luzie...

– Na pewno, ale kiedy indziej...

– No tak, ten lokal dziś wygląda... Ale jak się urządzimy, musi pani koniecznie – włączył się Prezes.

Mecenaska spojrzała na niego pytająco.

– Ja będę mieszkał z Darkiem, a za to Darek będzie miał u mamy obiady – wyjaśnił Prezes.

– Znakomite wyjście! O obiady to się trochę bałam.

– E tam, gorzej niż za Jadwigi i tak by nie było. Póki nie miałem swoich pieniędzy, ile to razy szłem spać o suchym pysku – wzruszył ramionami Skobel. – Maciek – przypomniał sobie – ty czasem nie ucieknij, ja tylko sprowadzę panią mecenas i zaraz się z tobą rozliczę.

Kiedy prawniczka zegnała się ze wszystkimi po kolei, Maciek z premedytacją stanął z dala od kolegów. Żeby nie słyszeli, co ma jej do powiedzenia.

– Dziękuję pani. Bardzo – powiedział przygotowane zdanie, a kiedy, jak się spodziewał, spytała: „Za co?” – dodał to najważniejsze:

– Że pani jest taka, jaka jest. I że w tym wszystkim pamięta pani o synku.

Mecenaska splonęła jak naiwne dziewczę, Maciek też poczuł, że się zaczerwienił, nie wiedział tylko, czy z zażenowania, czy z zadowolenia. Bo pani Barbara zamiast jakiegoś zdawkowego słowa uściśnęła mu dłoń i spojrzała w oczy poważnie i tak jakoś – sojuszniczko, jakby on był w tym młodzieżowym teamie najdoroślejszy.

Kiedy „team” został sam, Zośka podeszła do szafy, by ją zamknąć.

– No, obrobiła Skobla na czysto – zauważyła, zaglądając przy okazji do środka. – Nie wiem, czy z tych łachów złoży się cała zmiana pościeli. Dobrze choć, że ocaliłam obrusy i trochę naczyń.

– Wiktor chciał zwinąć torbę z narzędziami po nieboszczyku – dorzucił Prezes. – Puścił dopiero, jak go złapałem za łapę.

Bolek chciał się też czymś pochwalić, myślał, myślał, aż wymyślił:

– Fajne kartony skombinowałem, nie? Będą dla ciebie, jak znalazł.

– Racja – powiedział Prezes i ustawił resztkę kartonów przy drzwiach, żeby nie zapomnieć ich zabrać.

– To kiedy się przenosisz? – chciał wiedzieć Maciek.

– W sobotę po południu, myślę. W piątek pomalujemy, w sobotę rano sprzątniemy i poustawiamy po ludzku graty...

– Przyjdę wam pomóc – zgłosił gotowość, niewiele myśląc, Maciek.



– Coś ty, nas będzie ful – załatwił go odmownie, a samowolnie Bolek, który koniecznie chciał być ważny. – Licz sobie: ja, Prezes, Zośka i trójka małaolatów.

Maćkowi wróciła niechęć do Bolka („sam małaolat”), nic nie odpowiedział. Prezes najpierw się zaśmiał:

– Tylko jeszcze Hipka trzeba, żeby stara spółka była w komplecie! W tym momencie coś mu zaskoczyło i dodał:

– Ja wiem, ty masz przeprowadzek do wesela dosyć. Ale wpadnij chociaż na trochę, na wieszanie firanek.

Tego to akurat nie cierpię jak zarazy – pomyślał Maciek rozweselony i pocieszony, i zapewnił, że oczywiście.

Zośka nie wtrącała się do rozmowy, wytarła stół, przykryła ocalałą serwetą, poszła po szczotkę do łazienki. Maciek obserwował ją kątem oka i zastanawiał się, czy Prezes dużo straci na jej wyjeździe do Australii.

Wrócił Skobel, od progu zauważył rezultaty Zośkowej krzątaniny:

– O, salon się zrobił! Czekaście, zrobię herbatę i siądziemy jak ludzie. Znikł za kredensem, zabrawszy wpierw chleb ze stołu i Maćkową torbę z krzesła.

– Tak, ty teraz będziesz mieszkał jak człowiek – zawołała za nim Zośka. – Udało ci się.

Czy ona zgłupiała? Udało mu się, bo nie ma matki ani ojca, sam o wszystko musi zadbać, no i utrzymać się z groszowego stypendium i fuch? Wieczna zazdrośnica – oburzył się w duchu Maciek i uznał, że Prezes nie ma kogo żałować. – Pierwsze koty za płoty.

– Tobie chyba jeszcze lepiej, co? – powiedział ironicznie, – Dostałaś już paszport?

Zośka znieruchomiała ze szczotką w dłoni:

– Skąd wiesz?

– Od Bolka.

– Ech, ten Bolek. Paszport to betka. Najważniejsza jest wiza. Modlę się co wieczór, żeby mi dali.

Maciek nie wiedział, czy mówi serio, czy kpi. Odparł w takim samym „obojętnym” stylu:

– Nie wiem, czy to pomoże. Papież nie kazał wyjeżdzać.

– Papież może sobie kazać – wybuchnęła Zośka. – Niech papież zrobi cud mieszkaniowy nad Polską, to go będę słuchać. Mogę nie mieć auta, dobrze. Mogę do śmierci nie widzieć innego morza, niż ta zatruta, śmierdząca zatoka, dobrze. Ale nie chcę się gniesć na kupie przez całe lata, gdzie tam, do usranej śmierci. Bo niech nawet haruję jak osioł po szesnaście godzin na dobę, to kiedy naskładam na ludzkie mieszkanie? Za dwadzieścia lat? Jak będę siwa?

– W Australii też nie dają mieszkań, ot tak, z rękawa.

– Ale dają na splaty, o! Wujek Henio już ma taki segment jak wy, auto na pewno lepsze i na wczasy jeździ na Bali.

– No! Żebyś wiedział! – dołożył Bolek. – Przysłał zdjęcia. Jakbyś zobaczył, to byś siadł.

Maciek spojrział na Dariusza – Prezes, wódz, sędzia sprawiedliwy, stał teraz z miną niewyrażną, zgola głupią. A właśnie, że go docisnę!

– No, a ty? Jak ci się to widzi? – zwrócił się do niego.

– To chyba nie grzech, chcieć zobaczyć świat? – odpowiedział Prezes jak nie Prezes, bo zaczepnie i niepewnie zarazem.

– Jasne, kto mówi o grzechu – zgodził się zdawkowo Maciek. – I jak tu równać plaże Bali z naszym biednym, zgnojonym Bałtykiem.

– A wiecie – włączył się Skobel, który zdążył tymczasem nastawić wodę na herbatę – że ja się jeszcze kąpałem w Zatoce? I to w Puckiej. Boże, jaka tam była ciepła woda – rozmarzył się i nagle coś mu się przypomniało, bo krzyknął: – O kurde, klucze!

– Co klucze?

– Zapomniałem od niej odebrać. I co ja teraz zrobię?

– Zmienisz zamki – powiedział Maciek.

– Łatwo powiedzieć! Nawet na budowie nie było.

– A ja już o tym myślałem – zatriumfował Prezes. – Myśmy dwa lata temu musieli zmieniać, bo nasz Walduś zgubił klucze. Że zgubił, to pestka, ale ten mądrała wypisał na pochewce nazwisko i adres. Żeby uczciwy złodziej wiedział, gdzie iść.

Pośmiali się z przezorności Waldka, Prezes dokończył:

– Stare zamki są w porządku. Odszukałem je wczoraj. Przyniosę i jeszcze dzisiaj założymy. Będziesz miał z głowy.

Sięgnął po kurtkę, inni bez zastanowienia poszli za jego przykładem.

– A herbata? – zapytał stropiony Skobel.

– W sobotę po południu – powiedziała Zośka i popędziła brata: – No, Bolek, co się guzdrzesz?

– Trudno. Dziękuję wam za dzisiaj – powiedział markotnie Skobel. – Ale ty, Maciek, zostań jeszcze moment. Rozliczymy się.

– Czy to takie pilne?

– Wolę mieć z głowy.

Wolisz pierwszą herbatę na swoim wypić w towarzystwie – odparł w duchu Maciek i miał rację: Skobel przepadł w niby-kuchni i wrócił z dwoma talerzami pustymi i trzecim pełnym funkcją półmiska, na którym rozłożył prowiant przyniesiony przez Maćka. Jeszcze raz przepadł i wrócił, tym razem z dwoma kubkami herbaty w jednej ręce, z cukiernicą w drugiej.

– To by było. Jedz i pij – powiedział i zabrał się do krojenia chleba.

– A wiesz, że chętnie – wyznał Maciek. Posmarował sobie chleb dżemem i żuł powoli, dając Skoblowi czas na pochłonięcie trzech skibek. Przy czwartej gospodarz był znowu do gadania:

– Chciałbym coś kupić w Pewexie dla mecenaski, zostało mi jeszcze pięć dolców. Ale co byś radził? Nie znam się na damskich wihajstrach.

– Ja też nie, ni w ząb.

– Cholera, żeby głupio nie strzelić – martwił się Skobel. – Ja nie chcę tak, żeby się nazywało, tylko żeby naprawdę się ucieszyła.

– Mam! Kup klocki Lego dla jej synka. To jest pewniak. Weźmie bez nikakich i będzie cała szczęśliwa.

– Ona? – powiedział Skobel z niedowierzaniem.

– Pewnie! Każda matka jest szczęśliwa, jak jej dziecko się cieszy. I to będzie bardzo ładnie, tak jakbyś jej napomknął, że w przyszłości i jej syn może na ciebie liczyć.

– Ty, coś w tym jest! Przecież to się nawet mówi: „Niech Pan Bóg w dzieciach wynagrodzi” – ucieszył się Skobel i naraz spoważniał. – Niech i tobie wynagrodzi. Byłeś dla mnie jak brat.

Maciek pojaśniał. To było więcej, niż spodziewał się usłyszeć. Odpowiedział z serca, bez namysłu:

– Cieszę się, że tak to odbierasz. Bo ja to bym chciał, żeby wszyscy jak bracia... Pewnie dlatego, że jestem jedynakiem i nie mam bliższych krewnych. To znaczy, mam kuzyna, ale starzy się przed laty pohakali i teraz tak, jakbym nie miał.

– Patrz, to u lepszych gości też się żrą. A ja myślałem, że tylko u nas.

– Czekaj – przypomniało się Maćkowi – mówiłeś, że Pelagia Szymczak to twoja babka.

– Tak, stara Grobelna mi powiedziała. Te siwe babcie, to niby nic, niby się nie wtrącają w cudze sprawy, a wszystko wiedzą. Więc z tego co mówiła, to wiem tyle, że ojca matka była ze wsi Jak ludzie zaczęli walić do miast, to ją też poderwało i poleciała na Śląsk. Tam poznała dziadka, takiego samego wsioka jak i ona. Pobrali się, zmachali mojego ojca, ale co, dziadek był werbus, zielony w fachu, jak go trzepło w kopalni, to włożyli do trumny i szybko wieko zabili, bo nie było na co patrzeć. Babka miała dosyć miastowych mecyi, jak ją zaczęli swoja-

cy swatać z dzieciątym wdowcem, to się zgodziła. Dlatego nazywa się Szymczak. Ale tych Szymczaków była kupa, na Banaszaka patrzyli jak na znajducha, nie miał życia. Więc jak tylko podrosł, ciepnął widły w gnój i poszedł w Polskę. No i tak jadał z różnych pieców, aż poznał moją matkę, ożenił się i ustatkował. Nie za bardzo, nie wiem, czy był nerwus z natury, czy mu zostało po udrach z Szymczakami, ale z rodziną matki też się pożarł na amen, to ja już sam pamiętam...

Skobel umilkł, coś jakby sobie wyświetlał w pamięci, potem postawił energicznie kubek na stole:

– Nasypali piasku, jest jak jest.

– No, ale co z tą babcią?

– Napiszę do niej na Śląsk. Bo ona w końcu wylądowała jednak w mieście, jako salowa. Teraz jest na emeryturze. Pasierbowie ją wygryźli, jak wdowiec wykitował. Napiszę – powtórzył – ale to dla mnie obcy człowiek.

Maciek pokiwał głową w zadumie:

– Bożeż ty mój, o naszych rodzicach to by można powieści pisać. Moja mama, jak jej się zdaje, że nikt nie słyszy, to sobie podśpiewuje: „Dolo, dolo nasza, hej, dolo tułacza, gdzieś rzuciła nas?...” Ale -skojarzyło mu się – co ty myślisz o Zośce? O tej jej Australii?

– A co ona ma za życie? Ta ich rodzina – niby rodzina, a każdy sobie. Matka kręci w spółce z badylarzem, czasem mi się wydaje, że nie tylko w spółce. Ojciec gzi się w porcie, cały dom na Zośki głowie, a im jeszcze źle. Matka tylko synów widzi, Zośka jak od macochy... Forse, owszem, mają zupełnie niezłą, malucha, ciuchy...

– Na Zośce niczego szpanerskiego nie widziałem – przerwał Maciek i przed oczami stała mu Grażynka w puchatych pantoflach i miodowym dresie.

– Stroi się matka i chłopaki. Ty wiesz – co trzy miesiące nowe džinsy za dwanaście patoli!

– Teraz już, zdaje się szesnaście.

– Jeszcze lepiej. Tak czy tak, na mieszkanie dla Zośki nie naskładają. Więc wszyscy są za ty m, żeby jechała do tego dolarowca. Zresztą słyszałeś Bolka, aż piszczy z zazdrości. Wyfrunie, jak tylko będzie mógł.

– No, a ty? – spytał Maciek. – Ty byś nie wyfrunął, jakbyś mógł?

Skobel przełknął ostatni kawałek piątej kromki, popił herbatą, zapalił papierosa. Z taką delectacją, że Maciek prawie mu pozazdrościł i pożałował, że sam nie pali.

– Nie – odpowiedział, wypuszczając bury kłęb dymu. – Nie, ja jestem tutejszy.

– Jesteś Kaszub? – zdziwił się Maciek.

– Nie umiem po kaszubsku. Sece, sledge, Peck – to i wszystko. Ale moja matka była z domu Konkel.

– Prawda – Maciek przypomniał sobie napis na jej grobie. – Choć i co z tego. Kaszubi też wyjeżdżają. Nawet twoje Konkele.

– Mają onków w rajchu, to jadą. Ja tam nikogo nie mam, w każdym razie nie wiem o nim.

– Tu też nikogo nie masz. Jesteś wolny ptak.

– Tak, tu jestem wolny ptak. A tam byłbym bepański pies. Chwytasz? Maciek w pierwszej chwili nie chwycił, nawet chciał powiedzieć: „Co za różnica?”. Zaraz jednak pojął różnicę i spojrzał na Skobla z uznaniem:

– Ty jesteś mądrzejszy od Bolka.

– Niewielka sztuka – Skobel uśmiechnął się skromnie, ale z zadowoleniem.

W Maćku ocknął się duch przekory:

– Jak tak myślisz, to na co ci paszport? Jadwiga mówiła, że się starasz. Chyba że jej tak dla zmyłki...

– Częściowo. Ja się nie staram, szkoła mi załatwia. Wytypowali mnie do hufca na wymianę do enerdowa.

- To fajnie! – ucieszył się Maciek.
- Pewnie że fajnie. Odkuję się. Zresztą w ogóle nie łąduję twardo. Szkoła mi dała zapomogę, ZUS da rentę sierocą do września.
- Przyzwoicie...
- Tak, z początku. Ja to już przerabiałem, jak matka zmarła. W szkole kochali, dwa razy na kolonie jechałem, ciotka Paula piłkę podarowała... Ale to trwa krótko. Dlatego trzeba brać, póki dają. Aha – dodał zaraz -ile ci jestem winien za jedzenie i kartony?
- Dwie stówy – powiedział Maciek na odczepne.
- Skobel wyciągnął pieniądze, położył na Maćkowym talerzu:
- A dolary ci zwrócę, jak odbiorę depozyt od twojego ojca. Przeplaciłeś tę gangrenę, ja bym jej tyle nie dał.
- Zatkała się i był spokój. A zwracać mi nie musisz, to były takie pieniądze, z którymi nie wiedziałem, co robić.
- Gadanie!
- Kiedy naprawdę. Ktoś dał mi dla matki za przysługę, matka ich nie chciała, oddać nie mogłem... Bracie, ja już muszę lecieć – poderwał się, bo usłyszał, że ktoś idzie po schodach. Pewnie Prezes z zamkami, nie chciałby go teraz spotkać.
- Ja wiem, cały dzień ci zabrałem – zgodził się potulnie Skobel. Okazało się, że istotnie wrócił Prezes, zaczęło się od razu przymierzanie zamków i Maciek z obłudnym: „To ja nie będę przeszkadzał” – bezkolizyjnie spłynął.

Miał szczerą wolę iść najkrótszą drogą do domu, choć myśl o ciemnym już o tej porze parowie nie była najmilsza. Okazało się jednak, że wolę miał wprawdzie szczerą, ale słabą: kiedy usłyszał, że od Wrzeszcza zbliża się autobus, popędził na przystanek, a gdy już był w autobusie, uświadomił sobie, że będzie przechodził koło domu Grażynki. Wpadną do niej na chwilę. Sam los tak chce. Zresztą muszę się dowiedzieć, co było w budzie – rozgrzeszył się lekko.

W autobusie było pustawo, jak to na ostatnich odcinkach. Maciek mógłby sięść, ale był zmęczony takim zmęczeniem, które nie pozwala usiedzieć spokojnie. Za dużo się wydarzyło. Błyskały mu i gasły w pamięci twarze -nalana Wiktora, szczerzo szczupła Czesinka, czerwona z białym ze złości, wronim nosem Jadwigi. Kołatały się strzępki rozmów, krzyków... Nie, to już skończone, wymazuję ich, amen, szlus. Mama się niepokoi, wiem, trudno, ja muszę przez pół godziny być gdzie indziej, mówić o czym innym, widzieć kogo innego... Zrobiłem swoje, dalej Skobel już sobie poradzi.

Przykleił twarz do szyby i patrzył bezmyślnie, jak mżące z autobusu światło przesuwa się po krawężnikach i chodniku bez płyt. Od czasu do czasu pole widzenia poszerzało się; rzadkie lampy przed blokami wydobywały wtedy z mroku zryty piach i wzgórki starego gruzu porośnięte zeschniętym już zielskiem. Potem zrobiło się zupełnie ciemno, znikły krawężniki i Maciek domyślił się, że wjechali na „Danutę”.

Skobel wyjdzie na prostą – powtarzał sobie monotennie – Skobel wyjdzie na prostą. Ale coś go mimo to uwierało w sercu i wiedział co: Zośka, Bolek, w perspektywie Prezes... „Papież może sobie kazać...” Przecież nie tak dawno Zośka najgorliwiej ciągnęła ich wszystkich na Zaspę, popatrzeć, jak rośnie budowa ołtarza. A potem te tłumy wokół „Łodzi Piotrowej”, wpatrzone w białą sylwetkę, przejęte, zasłuchane. Jemu samemu płakać się wtedy chciało ze wzruszenia, czuł się mocny, rycerski i na wiek wieków wierny. A teraz już nie – był bezradny, niepewny i swoich racji, i swojej wierności. Biała postać wydała mu się teraz opuszczona, samotna. Biedny Gandalf Biały! W pojedynkę przeciw całej potędze Mordoru. Gdzie są jeźdźcy Rohanu, rycerze Gondoru? Chyba tylko hobbiti zostali, Frodo i Sam.

Wyobraził sobie na pociechę Skobla-Sama i siebie – Froda (oczywiście!), ale to nic nie pomogło. Nie wiedział, w którą stronę mają ruszyć. Nasz Mordor jest niewidzialny, jak pył z Czarnobyli...

– Koniec jazdy! – usłyszał ponaglający głos kierowcy. Ocknął się -wszyscy już wysiedli, wyskoczył więc czym prędzej i pomaszerował ubitą ścieżynką wzdłuż „drogi w budowie”, która utknęła w stadium wykopu. Trzy ostatnie bloki „Danuty” też utknęły – w wielkich otworach na szóstym piętrze mignął Maćkowi przez moment, nim go nie zakryły chmury, księżyc. Niewiele się zmienił od ostatniego razu – zdziwił się Maciek, ale zaraz przestał się dziwić, skoro uświadomił sobie, że „ostatni raz” to było nie dalej jak wczoraj. Ta prosta konstatacja trochę go stropiła: jeśli mu otworzy drzwi Kudelska, ani chybi pomyśli, że żyć bez jej córki nie może. A niech sobie myśli, co mu tam, byleby nic nie gadała. Nie ma zamiaru się tłumaczyć, zresztą tłumaczenie byłoby „cieniutkie”, jak mawia Tomek-Tommy. Bo co? Że nie wie, co zadane? Wystarczy telefon. Można by udawać, że jeszcze nie podłączony... Idiotyzm. Nie będzie kłamał ze strachu przed „domyślną” miną mamy Kudelskiej, poza tym kłamstwo też by było „cieniutkie”, na krótkich nóżkach...

Kurcze, stawilem dziś mężnie czoło wścieklej babie z wronim nosem, a żartów kulturalnej kobiety miałbym się bać? – dodawał sobie animuszu, zbliżając się do furtki sąsiadów. Była uchylona, co go ucieszyło -krzyczeć na cały ogródek: „Ja do Grażyny”, to jakoś głupio.

Przed wejściem paliła się nowa lampa, której wczoraj jeszcze nie było. „Work in progress” – pomyślał Maciek. – Bardzo dobrze, Kudelska nie będzie pytać przez szparę, kto stoi za drzwiami. Jestem dość „jasno oświecony”.

Jednak drzwi nie otworzyła mu Kudelska, tylko Kudelski. Niewątpliwie, któż inny mógłby chodzić po domy w kapciach i dość podszmaciałej bonzurce. Zaskoczyło to Maćka: po pierwsze, w ogóle mu się jakoś zapomniało, że istnieje na świecie pan Kudelski, po drugie, wyobrażał sobie – jeśli już – ojca Grażynki jak biznesmena z reklam „Newsweeka” – szczerze, szpakowatego pana w chromowanych okularach. Tymczasem obiekt realny był bez okularów, łysawy, rumiany i tak słusznej tuszy, że gdyby miał kilka centymetrów wzrostu mniej, mówiłoby się o nim „grubas”.

Pan domu od razu domyślił się w Maćku kolegi córki:

– Proszę, Grażyna jest u siebie. Urodzaj dzisiaj na gości – wskazał na wieszak, a ściśle – pod wieszak. Stały tam łodziaste adidas, na pewno nie damskie. Maciek wyciągnął właściwy wniosek z gestu Kudelskiego i – bez entuzjazmu co prawda – ustawił swoje buty przy tamtych. Kudelski, nie tracąc słów po próżnicy, machnął jeszcze ręką w kierunku schodów i zniknął w pokoju, skąd dochodził głos telewizora. A może wideo, bo grzmiała strzelanina.

Maciek czuł przez skarpetki niebywałą miękkość chodnika wyścielającego schody. My takiego za lata nie będziemy mieć – pomyślał i zaraz się pocieszył: – To co? Za to mam ładniejszych rodziców.

Na ostatnich stopniach przyhamował, rozważając parę spraw naraz: kto może być u Grażynki, czy ładować się od razu do pokoju, czy zapukać, czy może walić piętami w dywan, żeby usłyszała i wyszła naprzeciw?

Drzwi do pokoju były otwarte, sączyło się stamtąd miłe, przyćmione światło i niecodzienna muzyka, dobrze zresztą znana Maćkowi z domu. Po paru taktach oświeciło go, że to „Pstrąg”, ale tym bardziej zagadkowy stał się dla niego gość. Któż to może być, ten „kulturalny”, co słucha Schuberta?

Zapukał jednak w futrynę drzwi i powiedział głośno: „Dobry wieczór”. Zza oparcia kontiki wychynęła Grażynka, zza drugiego wyjrzał Tommy.

– Hej! – zawołała Grażynka. – O wilku mowa...

– O mnie? – zdziwił się Maciek.

– Między innymi, żebyś sobie nie myślał – włączył się Tommy. -Kompletujemy party na ferie i zastanawialiśmy się właśnie nad twoją kandydaturą.

– I co? – najeżył się Maciek.

– Przeszła, przeszła – zaśmiała się Grażynka. – Siadaj i słuchaj. Jest taka możliwość...  
Możliwość polegała na tym, że przyjaciel Toma, wprowadzie z innej klasy, ale też z „mafii wileńskiej”, stawia do dyspozycji daczę nad Jeziorem Ostrzyckim, niedaleko Wieżycy. Jak byłby śnieg, to można by iść na narty, jakby nie było...

– To można by się kąpać – zażartował Maciek.

– Coś ty, głu... – zaczął Tommy, ale urwał, bo poznał się na żarcie. – Ładne lasy, w dacy kominek, miejsca tyle, że można by maluchem zawracać...

– Nudno na pewno nie będzie – podsumowała Grażyna. – To co, pojedziesz?

– Oczywiście! A z naszej klasy będzie?

– Jolka i my. Nie potrzebujesz się martwić o dojazd, Jolka stawia tatę z mercedesem.

– A ja szampana na sylwestra – pochwalił się Tom.

– Ja mogę w każdym razie bigos i... i... Co jeszcze może być potrzebne?

– Okaże się. Mama przedyskutuje problem z panią Stasią. To jest współpracowniczka ciotki Luny – dodała Grażynka wyjaśniająco. – Prowadzi punkt zapiekanek we Wrzeszczu. Między świętami a sylwestrem nie ma amatorów zapiekanek, to sobie dorobi na dacy jako kucharka. Ona to lubi.

Pewnie tak jak Zośka – pomyślał Maciek. – Już ja lepiej nie będę się zwierzał Prezesowi i spółce, jak spędzę ferie.

– Dobra, tylko musisz mnie we właściwej porze pouczyć, co trzeba przygotować. Nie chciałbym zaskakiwać matki.

– Jaki ty jesteś grzeczny – powiedział słodko Tommy i wstał.

– Gdzie lecisz? – zdumiała się Grażynka.

– Zmienić taśmę. Przecież tego nie można słuchać.

– Właśnie że można. Zupełnie nie przeszkadza w rozmowie. Siadaj – Grażynka ustawiła Toma i zwróciła się do Maćka: – Czemu nie byłeś w budzie?

– Tak się złożyło – Maciek nie chciał przy Tomie opowiadać dzisiejszych przygód. – Przyszędłem zapytać, co się działo i co zadane.

– Jaki grzeczny chłopiec – powtórzył Tommy. Maciek czuł, że musi się odgryźć, ale nie wiedział na razie jak. Zresztą Grażynka nie dała mu szansy:

– Boję się, że wcale nie taki grzeczny. Z jakim ty się folklorem zadajesz?

– Ja? z folklorem?

– Ty, ty. No, kto to był ten badziewiasty obrzęp, z którym rano stałeś przed bramą?

Maćka zatkało, tym razem jednak właściwe słowo przyszło w porę:

– Błąd w definicji. Może to i folklor, ale żaden obrzęp i już na pewno nie z Badziewia. To ten chłopak, o którym ci mówiłem: jego ojciec zginął pod koniec zeszłego tygodnia w wypadku.

– Aa... – zmieszła się Grażyna. – Jakoś go sobie inaczej wyobrażałam. Mówiłeś, że jego ojciec-nieboszczyk miał firmę...

– Mówiłem, że zakładał u nas c.o.

– O c.o. nie mówiłeś – zaprotestowała Grażynka.

– Mniejsza z tym – przerwał Tom. – I co, znowu mu ktoś umarł?

– Tommy, ty też jesteś – skarciła gościa Grażynka. – To jest stara przyjaźń Maćka, jeszcze z podstawówki.

– A przepraszam. „Panowie, szanujmy wspomnienia” – wycofał się Tom.

Nie tak gładko, pajacu – zawziął się Maciek. – Nauczę cię rozumu.

– Nikt mu więcej nie umarł i nie umrze. Bo nie ma nikogo. Matkę stracił, jak był w drugiej klasie.

– Widzisz? – Grażynka chciała wymazać „obrzepa”, więc dokładała Tomowi. – Gorzej być nie może, a ty sobie dowcipasy...

– Może być gorzej – sprzeciwił się Maciek – i właśnie było. Darek nie dość, że bez rodziców, to jeszcze go chcieli z mieszkania wyślizgać. Taka baba, co im gospodarstwo prowadziła, ze swoim uchażorem. Ale obroniłem chatę!

– Ty?! – zawołali równocześnie Tom i Grażynka. Grażynka z podziwem, Tommy z niedowierzaniem. Maćka poniosło, zapomniał, że to opowieść nie dla uszu Toma, i z ogniem w oczach przedstawił im całą historię, koloryzując jeszcze bardziej niż przy obiedzie przed mamą. Słuchali go, nie można powiedzieć, z zainteresowaniem. Tommy przerwał Maćkowi dwa razy – gdy Maciek mówił, jak postraszył żulię milicją („szczęście, dla ciebie, że spasowali, bo milicja i tak by nie przyszła”), i drugi raz przy epizodzie z wersalką („pewnie, że przepłaciłeś, twój Skobel ma rację”). Grażynka zaś w ogóle milczała, wychylona z fotela, wpatrzona w Maćka; to zasłuchanie było dla Maćka dodatkową podniecią, wstał, gestykulował, wręcz odgrywał scenę po scenie. Gdyby nie to, zauważyłby, że twarz Grażynki nie zawsze wyraża zachwyty. Ale kiedy skończył, była bez wątpienia po jego stronie:

– Widzisz, jakie jest życie? – napomniała znowu Toma. – Pojęcia o tym nie masz.

– Nie potrzebuję – mruknął Tom, czego Grażynka nie usłyszała, bo już zwróciła się do Maćka:

– Ale ty jesteś rycerz, no! Ja to bym się bała do tego mieszać.

– Nie powiem, żebym przez cały czas był nieustraszony jak czterech pancernych i pies – spuścił z tonu Maciek. – Odetchnąłem, kiedy przyszły posiłki.

– Popatrz, można powiedzieć, żeście po raz drugi stoczyli zwycięską bitwę. Ty wiesz, Tom, że ta cała paka trzyma się razem od podstawówki? To takie sympatyczne! Dawniej mieli twierdzę tu w kotlinie, a teraz... Zostaw to! – zawołała, spostrzegłszy, że Tom, wykorzystując moment, w którym „Pstrąg” się wyłączył, posunął do regału ze sprzętem grającym i przegląda kasety. – Ja sama wybiorę.

Maciek, tak nieoczekiwanie porzucony, oklapł. Sekundę przedtem, kiedy Grażynka mówiła „to takie sympatyczne”, błysnęła mu myśl, że może by się dało wkręcić Skobla na ową prywatną kolonię pod Wieżycą.

Błysnęła i zgasła, jako pomysł dennie kretyński. Wystarczy popatrzeć na Grażynkę i Toma, ba, choćby tylko na ich plecy, posłuchać, jak się sprzecniają, czy ma być kasetka z „Modern Talking”, czy z Mozartem. Dla Skobla to czy to – jeden pies. Dla niego po prawdzie też. Mozarta ma dosyć w domu, a przy modernie myśli mu się płaczą.

Tak czy owak mi się płaczą – odkrył – coś dzisiejszego z niedzisiejszym. Aa, wiem. To, co Grażynka o zwycięskiej bitwie... Fakt, obróciło się prawie tak samo. Wtedy spychacz, teraz Australia.

– A ty, co byś wybrał? – Grażynka przypomniała sobie, że ma jeszcze jednego gościa.

– Święty spokój – strzelił odruchowo Maciek. – Słuchajcie sobie czego chcecie, ja już idę. Możesz mi dać zeszyt do fizy?

– Leży tam – Grażynka wskazała biurko. – Bierz spokojnie, ja już mam zadania. Aha, weź i twój, chciałam ci oddać w szkole, aleś poszedł w Polskę...

– Bronić wdów i sierot – dodał Tommy. – Zabawny ty jesteś. Wszystkich i tak nie obronisz, a Dziunia-Spychacz była niemile zdziwiona, że cię nie ma. Radzę ci jak bratu – nie wtrącaj się do gminu. Gmin sam sobie radzi, nieraz lepiej niż my.

Maciek spojrział szybko na Grażynkę i zdołał jeszcze uchwycić na jej twarzy błysk niknącej aprobaty dla słów Toma. Więc i on się zgodził:

– Co prawda, to prawda. Nim ja coś zwojuję, oni wydrapią się jeden po drugim w lepsze kraje. Akurat w środku tych pierepalek o Skoblową rezydencję dowiedziałem się, że pół paki wybiera się do Australii.

– No widzisz? – ucieszył się Tom. – To się nazywa myśleć perspektywicznie. Wkuć angielski, załapać zawód i wiać, póki czas. Tu nie ma życia!

– Już ty nie narzekaj – oburzyła się Grażyna, a Maciek dodał:

– Jakby oni mieli takie życie jak ty, to by nie wiali.

– Zgadza się – potwierdził spokojnie Tom. – Ale ja jestem z innego poziomu i mam inne aspiracje.

– Wiem, wiem – przerwała mu Grażynka. – Pić co dzień piwo z puszki i palić dunhille.

– Ej, dziewczyno! – oburzył się Tom. – To jest szpan na Peerel, tam normalka. Mnie chodzi o to, że tam byłbym kimś!

– Tu jesteś wolny ptak, a tam byłbyś bezpański pies – odparł Maciek.

– Kto powiedział?

– Skobel.

– Skobel? O mnie? Skąd mu?

– Nie o tobie, o sobie. On nie planuje wyjazdu. On ma się za tutejszego i nie chce być kim innym.

– Tutejszego! – prychnął Tom i zwrócił się do Grażynki. – Jednak wyczułaś go bezbłędnie, że z Badziewia. Chłop jest za głupi, żeby się wynarodowić.

– Zaraz wynarodowić! – zaprotestowała Grażynka.

– Skąd ci to przyszło? – poparł ją Maciek. – Prezes na przykład chciałby zobaczyć świat, odkuć się i wrócić...

– Idiotyzm. To musi być wóz albo przewóz. Musisz się tam dopasować bez szwu, bo inaczej będziesz egzemplarzem drugiego sortu i rzeczywiście jak bezpański pies. To żaden interes.

– Widzę, żeś przemyślał problem wszechstronnie. Ja nie, ja za głupi, ja z chłopów – Maciek chciał być ironiczny, ale coś nie wyszło, bo Grażynka zamiast go, jak oczekiwał, poprzeć, zawołała:

– Jak to, z chłopów? Mówiłeś wczoraj, że o twoich przodkach pisze się w „Potopie”.

– W „Ogniem i mieczem” – sprostował odruchowo. – Zresztą wszystko jedno, i tak przedpotopowi, poza tym po kądzieli. Gdzie masz te zeszyty? Zbliżył się do biurka, Grażynka z nim.

– Naprawdę chcesz iść? – spytała cicho i miękko.

– Trochę muszę pomieszkać u siebie.

Brzmiało to dość stanowczo, więc Grażynka zostawiła Toma, by odprowadzić Maćka. Na schodach jakby się usprawiedliwiała:

– Mogłam się ruszyć i zrobić herbaty, to byś musiał jeszcze trochę zostać. Dla Toma mi się nie chciało. Przyjdź jutro, posiedzimy spokojnie...

– Mogłabyś wpaść do mnie. Jeszcze nie byłaś. Zwiedzisz chatę... -chciał dodać: „jak rodziców nie będzie”, ale ugryzł się w język. Wyszło, że nie chce ich spotkania, a przecież chce. Chce, żeby się poznali, rodzice z Grażynką i na odwrót.

– Pewnie że przyjdę. Na przykład w sobotę, bo jutro mam pływalnię.

– Co! Gdzie? Sam bym chętnie popływał.

– W AWF-ie. Załatwię ci wejściówkę.

– Jesteś świetna – ucieszył się.

Wyszła z nim na próg i choć furka tym razem była otwarta, stała pod piękną, kutą lampą i czekała, aż jej pokiwa na pożegnanie.

No więc jest nie najgorzej, a nawet zupełnie dobrze. Tom to żaden problem, „masa wypełniająca”, żeby się paka trzymała. Proszę, proszę, to uznali, że mogą być „in”. Śmieszne, ale jak się zastanowić, to prowadzę podwójne życie. Pałac i rudera, w te i wewte.

Szedł środkiem jezdni, do chodników po ciemku wciąż nie miał zaufania. Ale musiał uskoczyć na krawężnik. I to szybko, bo nagle wyblęsty przed nim światła samochodu. Już w bezpiecznym miejscu popatrzył zaciekawiony, co to za wóz. Golf! U licha, to może być tylko ojciec. Gdzie go niesie o te porze?



Poczuł się trochę zawiedziony. Od chwili, kiedy tak nierozważnie sam zaczął o „Australii”, coraz bardziej chciał być w domu. To znaczy: siąść z rodzicami przy stole, porozmawiać na luzie. A tu masz – wybyli. Bądźmy sprawiedliwi, mogę ja się szlajać, mogą i oni. Zresztą, może tylko ojciec wyskoczył? Chyba tak, w jadalni się świeci. Swoją drogą, co mama robi o tej porze w jadalni? Na dziennik jeszcze czas.

Ledwie zamknął drzwi wejściowe, z jadalni wyjrzał – ojciec!

– No, jesteś! – ucieszył się. – Czekamy na ciebie, coś tam za sensacje przeżył. Umyj ręce i przychodź, my też mamy coś w rodzaju sensacji.

Teraz to już zupełnie nic nie rozumiem. Albo się pomyliłem, albo to było auto-widmo, albo jest na ulicy jeszcze trzeci golf – myślał Maciek, wchodząc do łazienki. – Dobrze, że ojciec ma jakąś sensacyjkę. Już mi się nie chce gadać o Skoblu.

Odechciało mu się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył na stole w jadalni zastawę herbacianą i talerzyki z okruchami ciasta. Ktoś tu dopiero co był! Pierwszy prawdziwy gość, nie wykonawca czy dostawca. I nie Korbał, sąsiad uczynny i zagoniony, co wpadał jak po ogień, czyli po wiertło albo garść gipsu. Spojrzał na twarze rodziców – mama miała minę niepewną, tata – ożywioną, „pomysłową”, jak ją w dzieciństwie nazywał.

– Zrobić ci herbaty, czy wolisz przeczekać do kolacji? – spytała mama.

– Poczekam do kolacji – odpowiedział chytrze, czując, że mama nie jest tak skora do ujawnienia „sensacyjki” jak ojciec. – Kto tu był?

– Nie zgadniesz! – zaśmiał się ojciec. Mamie nie chciało się bawić w zgadywanki:

– Matka twojej pasterki.

– To jej golf mnie minął – zawołał Maciek. – A po co przyszła? – dodał niezbyt pewnie. – W sprawie wakacji?

– Ach, z czym ona nie przyszła! – w głosie mamy nie było wielkiego entuzjazmu. – W sprawie wakacji też. To będzie droga zabawa, ale myślę, że udana.

Wygłupiłem się z tym bigosem – zrecenzował swoją niedawną ofertę Maciek. – Bigos to byłby dobry dla folkloru.

– Jeśli za droga, to ja nie muszę – spokojnie zaryzykował wielkoduszność, bo mama przecież nie kutwa.

– Nie, nie, skąd – mama zaraz unieważniła wcześniejsze słowo. – Myśmy zresztą z ojcem liczyli się, że może zechcesz urządzić sylwestra u nas.

– Byłoby fajnie, ale dom jeszcze nie w stanie balowym.

– Na kinderbal chyba w wystarczająco dobrym – obraził się ojciec.

– Tak czy owak, ta sprawa zajęła nam nie więcej niż kwadrans -zakończyła temat mama. – Reszta dotyczyła mnie...

Teraz Maciek zrozumiał niewyraźną minę mamy – ona od zawsze nie lubiła swoich spraw. Ledwie się zjawiały, uważała je za nie do rozwiązania. Po pamiętnych rozmowach, w starym mieszkaniu i tu w kuchni, wiedział już mniej więcej, dlaczego. Po prostu uraz.

Ojciec uznał, że lepiej zreferuje w czym rzecz:

– Krótko: pani Kudelska przywiozła mamie nową fuchę – wskazał na kredens, gdzie stał pięcioramienny, porcelanowy świecznik bez dwóch ramion. – To był pretekst, tak jak i twoje ferie. Naprawdę szło o to, że firma „Cedekor” – ceramika dekoracyjna, jakby kto nie wiedział...

– Na przykład ja – wtrącił Maciek.

– Albo ja, do dziś – dodała mama.

– ...chce utworzyć filię pod nobliwszą nazwą „Decor” dla lepszej porcelany i przy sklepie firmowym utworzyć punkt skupu i renowacji starej porcelany...

– Wiem! I mama ma tę porcelanę renowow... renowa... tego, odnawiać!

– Wiesz, czy się domyśliłeś? – spytała mama.

- Domyśliłem się. To w czym problem? Masz zapewnione fuchy.
- A właśnie że nie fuchy. Praca w pełnym wymiarze. To jest warunek. Musiałabym rzucić muzeum.
- Więc rzuć – poradził beztrąsko Maciek. – Przecież mówiłaś, że nie lubisz archeologii.
- Tak, ale muzeum lubię, przyzwyczaiałam się. No i środowisko, znajomi. Przez te lata człowiek się jakoś zakorzenił, a tu naraz rach-ciach, wszystko zmieniać?
- Nie zauważyłem, żebyś szczególnie kochała kogoś z twoich fach-kolegów – powiedział niby obojętnie ojciec.
- No i twoje szczęście – odcięła się mama. – Nie, masz słuszość, racjonalnych argumentów przeciw właściwie nie ma. Tylko imponderabilia.
- To znaczy co? Wyjaśnisz mi, czy mam szukać w „Słowniku wyrazów obcych”? – włączył się Maciek.
- Wyjaśnię ci, mój mały – odpowiedziała mama podejrzenie słodko. – Imponderabilia to są rzeczy nie dające się zważyć, ale ważne. Na przykład, jakbym cię spytała, co za przyczyny kazały ci dzisiaj uciec ze szkoły i siedzieć do późna u kolegi, to właśnie mógłbyś odpowiedzieć, że imponderabilia.
- Dobre słowo – zgodził się Maciek. – Prawie to samo co honor, a brzmi skromniej.
- Pewnie że skromniej – poparł go tata. – Jakbyś mamie powiedział, że honor jej nie pozwala brać roboty u prywaciarza, to by się obraziła. A jak zasłania się skromnie „imponderabiliami”...
- To nie tak – przerwała mama. – Dzisiaj coraz bardziej „nie honor” być bez pieniędzy. No, powiedz sam – natarła na tatę – jak się czułeś, kiedy z poloneza musiałeś się przesiąść do malucha? A musiałeś, bo nam zaczynało brakować do pierwszego. Nie mogłeś tego znieść i wyrwałeś do Afryki,
- Zaraz nam znowu zacznie brakować, ale tym razem nigdzie nie „wyrwę”, bo primo, nie puszczą mnie, secundo – mam robić tę habilitację, co mnie i od zleceń odsądzi. Choćby ze względu na Maćka powinnaś przyjąć propozycję firmy „Decor”.
- Ze względu na mnie mama nic nie musi – zastrzegł Maciek.
- Mnóstwo musi, na przykład wstawać pół godziny wcześniej. Nie pleć głupstw synu, gdybyśmy żyli z gołych pensji, to byś nie mógł spędzić sylwestra w doborowym towarzystwie na daczce.
- To bym spędził u Skobla i też byłoby dobrze.
- Masz, wpadłem! Miało nie być o Skoblu – jęknął Maciek w duchu. Poniewczasie, bo nim zdołał jeszcze coś powiedzieć, mama naturalnie chwyciła się tematu.
- Właśnie! Jak to się skończyło u Banaszaka? Czy w ogóle się skończyło?
- W ogóle i na amen. Po południu przyszły posiłki, Prezes, Zośka z bratem, ale co tam oni. Główna siła natarcia to mecenaska.
- Ta „szatan nie baba”? – przypomniała sobie mama.
- Gdzież ona szatan! Anioł, zwiewny i cały śliczny, tylko że z mieczem ognistym. To znaczy, nie ognistym – z papierów urzędowych. Machnęła nim gangowi przed oczami i gang wymiękł. Tym żukiem, co nim chcieli wywieźć Skobla, wywieźli manele ojcowej i szlus. W piątek Prezes i Skobel wymalują chatę, w sobotę Prezes się wprowadzi... A sylwestra na pewno urzędzą...
- Założę się, że nic nie urzędzą – głos mamy był jakby trochę kpiący.
- Czemu? Zośka przecież za dwa tygodnie nie leci jeszcze do tej zakichanej Australii. Dopiero co paszport dostała.
- O, to coś nowego! Nie, nie myślałam o Zośce, tylko o tym, że Skobel tydzień temu ojca pochował i chyba „zabaw hucznych sprawać nie będzie”. Ale, że Zośka wyjeżdża, to rewelacja. Jak do tego doszło?
- O, jeny, znowu wpadłem. Szkoda, że nie jestem jakałą, nie strzelałbym tak byka po byku.

– Kuzyn czy tam wujek, no, ktoś z rodziny, już urządzony, ściąga ją – odpowiedział niechętnie. – Kiedy będzie kolacja?

– Mój Boże – westchnęła mama, jakby nie słysząc pytania. – Znowu ktoś... A co jej rodzina?

– Biję brawo i czeka na dolary dla następnego amatora wyjazdu.

Maciek wstał, zaczął zbierać talerzyki, dając tym mamie do zrozumienia, że pora zmienić temat i lokal. Ale mama się uparła.

– No dobrze, a Darek-Prezes... Oni się wyraźnie mają ku sobie. I tak go zostawia?

– Ona jeszcze nie wie. To znaczy, nie wie czy wróci, czy będzie Darka ściągać.

Tata nic nie mówił, też wstał i przyłączył się do czynności porządkowych. Tyle że podśpiewywał przy tym znacząco: Gładko idzie przedza wesolej dziewczynie...

Kolacja była byle jaka i rozmowa przy stole też. Rozjeżdżała się. Tata ciągnął w stronę firmy „Decor”, mama w stronę Zośki, a właściwie Prezesa. Widać było, że Prezes jej bardziej przypadł do gustu niż Zośka. Maciek to wprędce zauważył i wyraził bez ogródek.

– Nie lubisz Zośki. Tylko czemu?

– Zaraz tam „nie lubię”. Nie, tylko nie wydaje mi się zbyt sympatyczna. Skora do docinków... W czasie przeprowadzki parę razy mi przycięła, właściwie nie wiem za co...

– Ale musisz przyznać, że to właśnie ona sprowadziła nam sąsiadów do pomocy w tamtą niedzielę...

– Przyznaję, owszem. Tylko że wciąż wydawało mi się, że to jakby w odwecie...

– W rewanżu – za pomoc Skoblowi.

– W odwecie. Żebyśmy nie byli za dobrzy. I wobec swojego ojca była tak oschła, że początkowo nie mogłam się połapać, czyją jest córką. Doszłam do tego przez eliminację: Dariusz-Prezes odnosił się do swojego ojca wręcz czule.

– Dariusz wiedział, że jego ojciec zjechał do bazy koło północy. Ale nie, masz rację, u Prezesa jest zupełnie inaczej niż u Zośki. Dlatego Skobel tak do nich ciągnie.

– A jak jest u Kudelskich? – spytał tata, chcąc nawrócić do firmy „Decor”.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Tatę widziałem wszystkiego trzy minuty, a mamę w sumie też pewnie krócej niż wy. Jak długo tu była?

– Dobrą godzinę – zeznał ojciec i zaraz zwrócił się do mamy: – Jedno jej w każdym razie trzeba oddać, że poskładana i umie sprawy stawiać jasno.

– Tak, tak – zgodziła się mama. – To jest cenna zaleta. A druga: że daje czas do namysłu. Żebyś ty tak chciał...

– Dobrze, już nic nie mówię.

Jakoż tata dotrzymał słowa. Kolację skończyli szybko i prawie w milczeniu, potem rodzice poszli oglądać dziennik. Maciek nie był ciekaw, odmeldował się:

– Ja się teraz wykapię, bo po filmie może nie być wody. Dobranoc! Zasiadł do lekcji w piżamie, pocieszając się, że tym razem on odpisze od Grażynki i szybko skończy. Próżna nadzieja – z pięciu zadań dwa były rozwiązane dobrze, jedno, że pożał się Boże, a dwa pozostawione do przepisania na przerwie. Już tam Einsteinem moja Grażynka nie będzie – pomyślał z czułym pobłażaniem. Czułość czułością, ale musiał się wziąć do liczenia. Potem zerknął na plan lekcji: angielski – zrobił; polski – nic pisemnego, z ustnego się wyłga; historia, no trudno, trzeba przeczytać; gegra – można liczyć na samopomoc. Zaraz, co Tom mówił, że Dziunia-Spychacz zauważyła Maćka nieobecność? Przecież dziś gegry nie było. Aha, ale była lekcja wychowawcza. Wobec tego jutro Dziunia-geografka da mu popalić za to, że podpadł Dziuni-wychowawczyni. Nie ma rady, trzeba choć trzy po trzy przelecieć o wydobywaniu węgla i w ogóle o kopalinach. 0 jeny. I usprawiedliwienie od rodziców do dzienniczka.

Chciał zaraz to załatwić, ale przypomniał sobie, że rodzice oglądają serial, nie chciał im przeszkadzać. Wziął więc geografę gospodarczą i kiwając się na krześle, zakuwał: wydobywanie węgla: Chiny – 738 („kto by pomyślał?”), USA-710, ZSRR-493, Polska -193 („czwarte

mocarstwo, he, he, a za dwadzieścia lat będziemy chrustem w piecach palić”), Indie – 144, RPA-141...Czego? Milionów ton. Milionów, zapamiętaj. A dalej? Dalej to już ktoś podpowie. Jeszcze raz: Chiny – 738, USA – 710...

Przy piątej powtórcie zamknął oczy, żeby sprawdzić, czy już umie. Trochę za dobrze zamknął, bo ni z tego, ni z owego krzesło kiwnęło się do tyłu tak mocno, że omal nie poleciał razem z nim na podłogę. Uznał, że to sygnał, by dać na dziś spokój. Tylko wpis do dzienniczka i spać.

Na zakręcie schodów skonstatował, że rodzice nie oglądają serialu. Na parterze było ciemno, w ogóle lampy były już pogaszone, tylko zza nie domkniętych drzwi pokoju mamy wydobywało się światło. I głosy.

– Podsumujmy – mówił ojciec. – Plusy są takie: masz nieporównanie więcej czasu do własnej dyspozycji: cztery godziny cztery razy w tygodniu w punkcie usługowym, i to we Wrzeszczu, nie na Starym Mieście, więc i czas na dojazd skraca ci się o połowę...

– Nawet więcej – zgodziła się mama.

– I za te szesnaście godzin na tydzień masz tyle, ile za trzydzieści pięć w muzeum. To już samo w sobie by wystarczyło, żeby się zdecydować. Ale przecież to tylko ułamek twoich dochodów; podstawa to renowacja...

– Renowacja to nie podstawa, tylko wielka niewiadoma.

– Jestem dziwnie spokojny o tę niewiadomą. Kudelska mówiła, że ma już w tej chwili całą półkę skorup, poza ty m: wy starczy dziesięć minut z nią porozmawiać, żeby wiedzieć, że już tam ona palcem nie tknie interesu bez widoków. A skoro dla firmy zastrzega tylko dwadzieścia procent wpływów za naprawy, to widoki muszą być niezłe.

– Ale ja bym musiała wyceniać, a na tym się nie znam.

– O Boże, wszystko dla ludzi. Procent uszkodzenia umiesz obliczyć, sama przed chwilą mówiłaś. A co do cen – zorientujesz się. Masz przecież znajomych w Narodowym, dawali ci zlecenia, kiedy mnie nie było...

– To było co innego. Muzeum ma cennik...

– Którego się nie trzyma, bo stawki śmieszne. Kudelska ujmuje to handlowo, więc jasno; bibelot wart dajmy na to tysiąc, uszkodzony w piętnastu procentach, honorarium – tyleż procent od wartości.

– Gdzieś ty widział bibelot za tysiąc złotych – zaśmiała się mama. – Dodaj zero albo i dwa...

– No widzisz, wcale nie jesteś taka zielona w cenach, jak udajesz. Powiedz otwarcie, o co ci chodzi!

Zapadło milczenie. Maciek zszedł dwa stopnie niżej i zatrzymał się. E tam. Wpis do dzienniczka można załatwić przy śniadaniu. Jakbym teraz wparował do nich, to mama znacznie znowu o czym innym.

Cofnął się tyłem, nie spuszczać wzroku ze smugi światła przed pokojem mamy. Podsluchiwanie rzecz brzydka, ale cóż, inaczej się nie dowie, co jest grane, A przecież ma prawo wiedzieć.

Znieruchomiał – mama zaczęła mówić:

– Dobrze, powiem. Będziesz się śmiał, ale chodzi mi o status inteligenta.

– O Jezu! – krzyknął ojciec. Mama zmiętygowała go szybkim: „Cii, Maciek!”, więc nałożył tłumik, ale nie za mocny. – Status inteligenta! Ten status rozmywa ci się co dzień w inflacji i biedzie. Pisałaś mi, że nie poszłaś na Demarczyk, bo bilety za drogie. Książki też za drogie, już nie tylko na targu, ale i w księgarni. A jak się ubierasz?

– W każdym razie gustowniej niż Kudelska – odparta mama szybko i z godnością. – Te jej „peweksy”...

– To ci się tak tylko zdaje. Twoja „dyskretna elegancja” przechodzi powoli w szarm emerycki. Tak, tak – chodzisz w ciuchach ze zrzutów. O trzy lata za długo.

– Są w dobrym stanie.

– Na tym polega „wdzięk emerycki”. Jeszcze w tym miesiącu musisz się obsprawić, nie popuszczę.

– Ale przecież...

– Nic „przecież”. Kropka. Do rzeczy. Kwaśniejecie w tym muzeum z poczucia niedoceny, zazdroście innym standardu, kto może, łapie fuchę w Desie albo jeszcze lepiej – za granicą. Mówię o normalce, nie o patologii. A sama mi mówiłaś, że tam skradli, ówdzie nadali dzieło sztuki pazernemu amatorowi za „porękawiczne” oczywiście. Bądźmy szczerzy: nie wszyscy u was są strażnikami świętego Graala...

– Biedny święty Graal – westchnęła mama. – I tak mam go rzucić, dla pieniędzy?

– Pewnie że biedny, zgadzam się. Ale wcale go nie rzucisz. Jeśli zreperujesz kilkadziesiąt czy może kilkaset cacek, to uratujesz je przed wyrzuceniem na śmietnik. I w prywatnym salonie będą się lepiej prezentować niż w waszych przepelnionych magazynach.

– Tak, to wszystko jest prawda, ale...

– Ale po prostu się boisz. Boisz się rzucić państwową posiadkę.

– Boję się zmienić środowisko. Zlituj się, dla mnie ten biznes to jak inny kontynent. Na którym w dodatku będę wiecznym cudzoziemcem. Bez prawa powrotu. Jak się czułeś w Londynie u Greena? Jak biały Murzyn, sam mówiłeś.

– Z początku. A potem zacisnąłem zęby, powiedziałem sobie – dobrze, robię za Murzyna u tego cwaniaka, on na moich analizach robi forszę, ale ja też jakąś zrobię. Przecież gdyby nie te wakacyjne orki w Londynie, to z Monrovii mielibyśmy tyle, co na auto i gadzety.

O, to coś nowego! Mówiło się, że tata w wakacje siedział u przyjaciół w Anglii. Czego to ja się jeszcze nie dowiem... – pomyślał Maciek i bezszelestnie zszedł o dalsze dwa stopnie niżej.

– Ależ, moja droga... Nie widzę porównania. Green był zimnym wyzyskiwaczem, ja – cudzoziemcem z plajtującego kraju. A Kudelska to w końcu swój człowiek, sąsiadka i na pewno zna zasadę „żeń się blisko, kradnij daleko”. Zauważyłaś, z jaką czułością mówiła o Maćku? Ma córkę...

Nie! – krzyknęło coś w Maćku. Odwrócił się błyskawicznie i w trzech cichych susach znalazł się na górze. Nie – powtórzył, oddychając szybko – Grażynki w to nie mieszajcie.

Zamknął drzwi i już powoli podszedł do łóżka. Dobrze, że jestem zmęczony – pomyślał, gasząc światło. – Zaraz usnę i cześć.

Jednak mimo stosowania wypróbowanych środków, jak liczenie baranów i zmuszanie się do myślenia o rzeczach miłych i dalekich, sen się go nie miał. Zapalił światło ponownie, wziął podręcznik geografii. Baryłki ropy naftowej – to może być nawet lepsze niż barany.

Nie było. Już nie wiedział, co robić. Wstał po raz drugi, zdjął z półki magnetofon i postawił przy łóżku. Zafunduje sobie kołysankę. Może „Pstrąga” Schuberta? „Pstrąga” nie było wśród jego kaset, musiałby zejść na dół, wykluczone. Zauważył, że jakaś kasetka tkwi w środku. Mama brała magnet, odnieść – odniosła, ale kasety nie wyjęła. A mnie się za takie coś sztorcuje. No dobra, zobaczymy, czym się mama po południu faszeraowała.

Wcisnął klawisz. Widać mama wyłączyła taśmę nagle (może po dzwonku Kudelskiej?), bo śpiew zaczął się od półwiersza:

...z Arbata, arbatskij emigrant  
w biezbożnom pierieułkie chiriejiet moj tałant...

Okudźawa. Może być. Dobrze, że sanyo sam się wyłącza. Maciek umościł się w pozycji superrelaksowej. Rozumiał z piosenki piąte przez dziesiąte, ale to właśnie było mu w sam raz. Taki spokojny, melancholijny szum. ...A mołodyj huzar, w Nataliuju wliublionyj, apiat stoit pried niej...

Sobotnie przedpołudnie z premedytacją, bezwstydnie przespał. Wylazł z barłogu po dwunastej tylko dlatego, że zgłodniał. Nawet nie chciało mu się ubierać, tyle że wciągnął dres na slipy, założył pantofle na bose nogi i zszedł do sutereny odwalić za jednym posiedzeniem śniadanie i obiad. Przygrzewając zupę, pomyślał przelotnie o rodzicach – dziś jeszcze chyba są w Warszawie, jutro skoro świt machną się do Jazowa... Wczoraj dali mu szansę – gdyby chciał, mógłby jechać z nimi. Ale trochę z resztek zaciętości (najpierw nie chcieli go zabrać, to teraz nie potrzebuje), trochę z dobrego serca (niech się mama godzi – czy kłóci -z wujkiem Saszą bez świadka-małolata) zrezygnował.

No i świetnie – myślał teraz. – Jeszcze by mi tego było trzeba, Warszawy i Jazowa. Boże, co to był za tydzień! Wariatkowo na karuzeli z pożarem na dodatek. Ja jestem bohater i superman, że w piątek nie dałem się Dziuni. No, Kotelko pomógł przy rudzie żelaza... Zaraz, jak to wszystko szło? Poniedziałek – pakowanie. Wtorek – przeprowadzka i pogrzeb Banaszaka. W środę byłem normalnie w szkole, ale Grażynki nie było. W czwartek na odwrót. Jeny, czego to nie było w czwartek. Wczoraj normalnie, ale nie dowiedziałem się, czy mama w końcu rzuci świętego Graala dla mamony, czy nie. Co to może być: święty Graal? Muszę potem sprawdzić.

Jeszcze raz przeleciał w pamięci miniony tydzień, powtórzył: „Wariatkowo na karuzeli” – i zabrał się do zupy.

Po drugim daniu czuł się syty, ale nie całkiem. Może kawy sobie zrobić? Stanął mu przed oczami Skobel z kubkiem herbaty i papierosem. Zaśmiał się: a jakby tak kawa, papieros, luz i szpan? Naszła go straszna ochota, by wykorzystać nieobecność rodziców na coś zakazanego. W dzieciństwie w takich momentach brał ojcowe chemikalia, mieszał w szklance, zalewał wodą i czekał, co z tego wyniknie. Pan Bóg czuwa nad głupkami, nie wynikło nic prócz smrodu i lekkiego poparzenia ręki, które łatwo (łatwiej niż smród!) dało się ukryć.

Zaśmiał się znowu, z lekkim zawstydzeniem: dziś już przecież nie jest dzieckiem! Zresztą nie chce mu się czekać, aż woda na kawę się zagotuje.

Wziął więc tylko jabłko z fajansowej miski i pogryzając je opuścił suterene. „Na pokojach” było nadzwyczaj jasno – niskie zimowe słońce sięgało prawie do każdego kąta. I ujawniało każdy pył, każdego „kota”, każdą rysę na podłodze. Nie da się ukryć, do wysokiego połysku to tym „salonom” coś niecoś brakuje. Jak w ten shit wprowadzić Grażynkę? Może zetrzeć na mokro, choćby schody? E tam, Grażynka przyjdzie -jeśli przyjdzie – po południu, słońca już nie będzie, a zatem i kurzu. O, w taty pokoju żadnych śmieci nie widać.

Coś tu miałem sprawdzić – przypomniał sobie, stojąc na progu pokoju ojca. Aha, święty Graal. Zbliżył się do regału, ogarnął go cień „moralnej niewygody” – pomagał ojcu pakować książki, ale ustawiać już nie... W ogóle, jeśli tu mimo wszystko jest jako tako, to jego zasługa w tym minimalna. Tak, ale miał ważniejsze rzeczy na głowie niż pucowanie chaty!

U ojca nie znalazł „Słownika wyrazów obcych”, przeszedł do mamy. Tu, mimo złośliwości słońca, było zupełnie przytulnie. No i ładniej niż w jego własnym pokoju. Gdyby przyniósł magnetofon, można by tu posiedzieć z dziewczyną. Słownik Kopalińskiego stał przy encyklopediach. Maciek szukał dość długo, nim znalazł: (św.) Graal, sławny talizman... poszukiwany przez rycerzy legendarnego króla Celtów, Artura... Poszukiwany. A strzeżony? Ojciec mówił o „strażnikach świętego Graala”. No, jakaś świętość w każdym razie. Imponderabilia, powiedzmy.

Zajrzał jeszcze pod „I”. „Implicite”, „impluwium”, jest: prawie dokładnie tak jak mówiła mama. Dobrze, doksztalciłem się, w razie czego zabryluję przed Tomem...

Wrócił do siebie, ubrał się normalnie, uładził z grubsza pokój, który mimo to nie wydał mu się godnym Grażynki. Te odwieczne foteliki, gołe deski. Może zawiesić nad łóżkiem szablę z Aberdeen? Nie – zreflektował się. – Powieszę ją, owszem, ale później. Dla siebie, nie dla szpanu.

Coś dla szpanu jednak trzeba zrobić, po prostu dla przyzwoitości. Jakaś serwetkę na stolik, żeby można było choć herbatę kulturalnie wypić. Zaraz, a czy jest coś do herbaty?

Zbiegł znowu na dół, przejrzał szafki – figa z makiem, słone paluszki i ostatni szczątek przedwczorajszego ciasta. Kontemplował to przez chwilę bezradnie, dojadając paluszki, wreszcie podjął decyzję: nie ma co liczyć na cud, trzeba się machnąć do Wrzeszcza. „Delikatesy” otwarte do trzeciej, zdąży.

Tak, ale jeśli nie zdąży z powrotem? Jeśli Grażynka przyjdzie i pójdzie? Lepiej do niej zadzwonić.

Telefon odebrał ojciec Grażynki. Maciek przedstawił się jako „kolega z klasy, sąsiad, ten, który był przedwczoraj”. Niepotrzebnie tak dokładnie, bo tata Grażynki tak jakby go znał od lat.

– Maciek? O, przykro mi, moje panie, obie, wyleciały do Gdyni. Sam na nie czekam. Czy coś przekazać?

– Nie. To jest tak. Proszę powiedzieć Grażynce, jak wróci, że czekam na nią między czwartą a piątą. Albo żeby zadzwoniła, ona zna numer, został taki, jak był.

– Dobrze, przekażę. Już zapisuję na „tablicy ogłoszeń”. Może jednak podyktujesz ten numer.

Podyktował, podziękował i poczuł się lekki i wesoły. Świetnie to załatwiłem – chwalił sam siebie – wilk będzie syty i owca cała. Bo dopiero, kiedy wykrecał numer Kudelskich, uświadomił sobie, że przecież jest umówiony u Skobla na wieszanie firanek. I wtedy błyskawicznie wymyślił to „między czwartą a piątą”. Grażynka posiedzi godzinę, dwie, choćby nawet i trzy – tak czy owak starczy czasu, żeby ją odprowadzić i pojechać przez „Danutę” do bloków.

Przeliczył pieniądze – ho, ho, starczy na coś porządnego, a nawet, jakby trzeba, na taksówkę. To dobrze, bo już prawie druga...

Taksówkę miał łapać w ostateczności, jakby w „Delikatesach” musiał długo czekać. Ale kiedy zobaczył zbliżający się z głębi Działkowej wóz z tabliczką „wolna”, nie wytrzymał, pokiwał.

Pożałował tej rozpusty, ledwie stanął przed właściwym stoiskiem. Kolejki nie było, więc niepotrzebnie się śpieszył, to raz. Po drugie, na półkach były już tylko ponure herbatniki – na sam ich widok coś drapało w gardle – i jeden jedyny tort, jak na złość ogromniasty, na pewno nie na jego schudłą przed chwilą kieszeń. Kurde. I co teraz? Gdzieś tu jest cukiernia, ale za cholere nie wiem, gdzie.

Przystanął na środku chodnika, zastanawiając się, w którą stronę ruszyć. Obok niego mrowił się sobotni tłum – z torbami, paczkami, śpieszący się, podenerwowany. Raz i drugi ktoś go potrącił, ktoś rzucił złe słowo, więc ruszył szybko przed siebie też z lekka wnerwiony. No, miejski człowiek to ja jednak nie jestem – pomyślał, wymijając dwoje ludzi obciążonych rulonami jakiejś wykładziny i pakując się na dziecięcy wózek i mamę z siatkami. Przeprasił oczywiście, co zresztą nie zjednało mu przebaczenia. Gdzie u licha jest ta cukiernia?

Wpatrzył się w napływające z przeciwka twarze – może spytać kogoś? E tam, oni tacy jak i ja – „osiedlowi”.

Mijając wieżowiec z Pewexem pożałował, że Kudelska dała mu wtedy jeden banknot zamiast dwóch piątek. Skobel ma rację – przepłacił idiotycznie wersalkę. Gdyby miał teraz połowę tych dolców, nakupiłby czekolady i w ogóle od czorta...

Znalazł wreszcie cukierenkę, na szczęście nie zatłoczoną. Na szczęście albo i nie. Pustka przed ladą jest zawsze prostą konsekwencją pustki za ladą – uogólnił doświadczenie, lustrując mizerotę na półkach. Wpatrzył jednak resztkę sernika, pół makowca i pół babki drożdżowej. To nawet będzie zupełnie dobrze – pocieszał się, gnając do autobusu. – Większa różnorodność na stole.

Z troski o wygląd stołu kupił jeszcze od baby sterczącej nad rozłożoną gazetą wiązanek niedorozwiniętych goździków. Baba zapewniała, że w ciepłe się rozwina. Kto chce, niech wierzy...

W autobusie pożałował, że je kupił. Po pierwsze, zawadzały w tłoku, po drugie – jak z nimi paradować przed domem Grażynki? Jeszcze zobaczy przez okno i pomyśli sobie Bóg wie co. Kiedy autobus zatrzymał się przed „samem w budowie”, podjął nagłą decyzję: poleci skrótem między „Barbarą” a „jamnikowem”, tą trasą, którą dawno temu prowadził Hipka do Drzewnej Wyspy.

Prawie biegł, najbardziej skrótowymi skrótami. Na bloki ani się obejrzał, mimo to jakby czuł na plecach spojrzenie Zośki myjącej okna w Skoblowej stodole na jedenastym piętrze. E, gdzie tam, jeśli w ogóle myła, to przed południem – zbył wybryk wyobraźni (albo nieczyste-go sumienia).

Minął przeredzoną olszynę za „jamnikowem” i – zarył piętami w zboczce. Idiota ze mnie. Dzięk! Płot!

Oczywiście. Na dawnym śmietniku-pokrzywisku ciągnęły się przeciw działki, odcinające dostęp do kotlinki. A jednak ktoś tu chodzi – zauważył Maciek, napotykając błądzącym po zboczku spojrzeniem dziką ścieżkę od „Barbary”. Nie, nawet nie taka dzika: w szczególnie stromym miejscu zrobione były prymitywne, bo prymitywne ale schodki. Za nimi ścieżka była już całkiem wyraźna i docierała do furtki w ogrodzeniu działek. Ten cholerny Leśny Dziadek o wszystkim pamiętał – zauważył, dopadając furtki. – Nawet o tym, żeby działkowi-cze z bloków nie musieli nakładać drogi.

Furtka była wprawdzie zamknięta, ale przeleźć przez nią to już małe piwo. Biegając między ogródkami, Maciek myślał ciepło o Leśnym Dziadku: było nie było, jego „prospołeczne planowanie” ma coś wspólnego z „powodzeniem w życiu osobistym” pewnych jednostek.

Sforsował drugą furtkę, tę przy ulicy, spojrzał na zegarek: phi, morze czasu, ledwie po trzeciej. Więc odsapnął, pozwolił sobie na „obojętny”, spacerowy krok.

I dobrze zrobił. Przed segmentem sąsiada (tego „niewidzialnego”, bo jeszcze nie mieszkał na stałe i nawiedzał dom w nieokreślonych porach) zobaczył wysoką postać w zielonej kurtce. Leśny Dziadek! Co on tu robi? Szczęście, że nie widział, jak skaczą przez bramkę.

Krokiem nadal swobodnym, jakby nigdy nic, zbliżył się do eks-sąsiada i grzecznie go pozdrowił.

– Pan jeszcze o tej porze pracuje na działce? – zapytał, spostrzegłszy oparte o płot grabie, szpadle i inne ogrodnicze bogactwo.

– Nie, właśnie zakończyłem ostatecznie sezon – odpowiedział leśnik trochę skłopotanym głosem. – Umówiłem się z panem Kazimierzem, że zostawię u niego sprzęt na zimę, miał czekać, a tu... – rozłożył wymownie ręce.

– To niech pan zostawi u nas – zaproponował bez namysłu Maciek.

– Miejsca w piwnicy dosyć.

Nowak przystał od razu, nie certoląc się. Tylko nie chciał wchodzić przez mieszkanie.

– Sprzęt oczyszczony, ale buty nie. Poczekam przed garażem.

W suterenie było już ciemno, Maciek zapalił światło, cisnął goździki i ciasto na stół i rzucił się otwierać garaż. Gdy ulokowali narzędzia w komórce, kierowany nieracjonalnym poczuciem wdzięczności za skrót przez działki, zaprosił Nowaka na herbatę.

– Dziękuję, nawet chętnie – ucieszył się pan Antoni. – Nie powiem, żebym zziąbł, ale ręce bym chętnie ogrzał o kubek. Ziemia jeszcze nie zmarznięta, mimo to już ziębi. Można tu się umyć? – wskazał na zakurzoną umywalkę w garażu.

– Tak, tak, czynna, choć rzadko używana.

Nim gość umył ręce, Maciek nastawił wodę i zaczął rozkładać ciasta na talerzu. Skoro nie pożałował czasu dla leśnika, to nie pożałuje i makowca...



Nowak powiesił kurtkę na gwoździu przy drzwiach, podszedł do stołu i zainteresował się smętnymi kwiatami:

– Niech pan je włoży na parę sekund do wrzątku, kiedy się woda zagotuje. Może odżyją.

Maciek poczuł miłą satysfakcję, jak zawsze, gdy ktoś przez roztargnienie zwracał się do niego per pan. Nie chciał jednak, żeby Leśny Dziadek go za chwilę zdegradował, jak swego czasu Kudelska, więc powiedział:

– Proszę mi mówić Maciek, przecież pan mnie zna od dawna. Pan Antoni znalazł na krendsie wazon, podszedł do zlewu, nappełnił wazon wodą i stojąc z goździkami w ręku obok Maćka, czekał, aż czajnik zagwiżdże.

– Wydoroślałeś – stwierdził, przypatrując się chłopcu. – Nie tyle wyrosłeś, choć to też, ale właśnie wydoroślałeś. Co się z tobą działo przez te parę lat, kiedy...

Urwał, Maciek domyślił się, że chciał powiedzieć: „kiedy udawałeś, że mnie nie widzisz”. Poczuł się głupio.

– To trudno w dwóch słowach. O, już się gotuje. Zajął się herbatą, leśnik tymczasem wykonywał jakieś czary nad goździkami.

– Pan się zna na kwiatkach? – spytał Maciek. – Przecież pan jest leśnikiem.

– Tak, ale kwiaty to też biologia.

– Nie cierpię biologii! – wyrwało się Maćkowi. – Zygoty haploidalne, gametofity, sporofity i tak w kółko...

Pan Antoni nie obraził się, tylko wkładając kwiaty do wazonu, kiwał siwą głową:

– Tak, tak, wiem. I potem nie odróżniasz osiki od topoli.

Maćkowi zrobiło się przykro. Gwałtownie usiłował wywołać w pamięci obraz pastwiska nad Liwcem. Jest!

– Osika ma jesienią liście czerwone, a topola żółte – przypomniał sobie szczątek babcinych nauk.

– No, proszę – ucieszył się gość.

Siedli, leśnik objął kubek dłońmi (widać naprawdę mu zziębły) i wpatrywał się wyczekująco w Maćka. Maćkowi wydawało się, że jest mu winien odpowiedź na pytanie, ale zapomniał, na jakie.

– Jak się czujesz na nowym miejscu? Przyzwyczyłeś się już?

To nie było to pytanie, ale Maciek tym gorliwiej na nie odpowiedział:

– A tak. Ja jestem przyzwyczajony do przyzwyczajania się. Jak się jest tak znikąd, jak ja...

– Ty jesteś znikąd? – zdziwił się Nowak. – Robisz zupełnie inne wrażenie.

Maciek chciał zapytać, jakie mianowicie, ale wzięła w nim górę chęć udowodnienia swego:

– Nie wiem, jakie robię wrażenie, ale prawda jest taka, że wszyscy są skądś, tylko ja ani z Warszawy, choć się tam urodziłem, według metryki, ani z Jazowa, ani z Płocka, choć tam szedłem do komunii, ani z Gdańska, choć tu mieszkam najdłużej. Ostatecznie mógłbym powiedzieć, że jestem z blokowiska. Ale to znaczy właśnie: znikąd. I w dodatku też nieprawda, bo w Jazowie – to takie małe miasteczko, prawie wieś – żyłem inaczej, tak inaczej, że w Warszawie mnie nazywali „kmiot”.

– Musiałeś to przeżywać, skoro pamiętasz – pokiwał głową Nowak. – Mnie odwrotnie, jak zaczynałem pracę w lesie, przezwali „lord”. Bo myłem ręce przed jedzeniem, a nogi przed spaniem – zaśmiał się i zaraz spowaźniał. – Ty nie przesadzaj z tym „znikąd”. Patrz, ja się nazywam Nowak. Nowak to jest, to było przezwisko: ktoś nowy, w przeciwieństwie do swojego, rodaka. Ale zauważ: jak do Nowaka dodać jeszcze pochodne: Nowaczyk, Nowacki itede, to wyjdzie na to, że jest to najczęstsze, a więc najnormalniejsze nazwisko u nas.

– I co z tego?

– To, że nie trzeba się tym przejmować, że się jest gdzieś, przez jakiś czas nowym.

Maciek nie był przekonany:

– Eee, to już filozofia. Zresztą, mnie nie tak chodzi o miasto, jak o ludzi. Pan pyta, czy się przyzwyczaiłem do nowego mieszkania. To tak, zwłaszcza że się z nim przedtem oswoiłem, w końcu do niejednego tu przyłożyłem rękę...

– O, właśnie – zaczął Nowak, ale przerwał, by dać Maćkowi mówić.

– Tylko, wie pan, tak się dziwnie obróciło, że przeprowadziliśmy się jakby do innego świata. No, może nie świata, może: klimatu.

– Sfery – odpowiedział Nowak.

– O, to jest to. Jestem w tej samej klasie co przedtem, a ni z tego, ni z owego kleją się do mnie inni koledzy. Tacy, co na tych tu z bloku mówią „folklor”. Rodzice też – niby są, czym byli, a tu już zjawia się ktoś i proponuje spółkę w biznesie. I to żeby tacie. Mamie!

– Pani Krystynie? – zdziwił się Nowak, zdradzając tym nie tylko, że zna mamy imię, ale że był z nią w bliższej komitywie, niż mama ujawniła. – W jakiej branży?

– Ceramika. Ściśle, renowacja starej porcelany. Mama to świetnie robi.

Nowak był zaskoczony, chciał jakby o coś spytać, rozmyślił się, pokręcił głową.

– Nie mam prawa się wtrącać, ale... Wiesz, co mówiły jaskółki.

– Że niedobre są spółki. Ale co robić? Trzeba dorabiać, a mama nie poprowadzi biznesu sama.

– Dlaczego?

Teraz z kolei Maćka zastrzeliło. Wpatrzył się w wyblakłe, niebieskie oczy leśnika, które coś jakby podpowiadały, podpowiadały, aż odpowiedziały.

– To by było trzecie wyjście – ucieszył się. – Przecież może sobie urządzić pracownię choćby i tu, w suterenie... Nie musiałyby emigrować...

– Co?!

– Mama to tak pojmuje. Że zmienić pracę, to jakby do innego kraju. Wczoraj od rana pośpiewywała, że gorzki dla niej słodki emigrancki chleb. Że „sauna naprotiw, da fauna nie ta”.

– Ach, to o to! Już się przestraszyłem... A co do fauny, to ma rację. Jest się czego przestraszyć.

Maciek nie zwrócił uwagi na „faunę”.

– Wie pan, że z moich kolegów co drugi chciałby wyjechać? Zośka w przyszłym roku wyfruwa, jej bracia tylko o tym marzą, Prezes się łamie...

– A Darek? Darek Banaszak? Ten biedak miałby powody. Jak mu idzie? Od miesiąca go nie widziałem...

– Szukał pana w tym tygodniu, potrzebował pomocy...

– Coś się stało?

– Bardzo dużo – zapalił się Maciek. – Jedno goniło drugie. Opowiedział wszystko, poczynając od wieczoru w andrzejki. Najpierw dokładnie, potem coraz bardziej po łebkach, bo już zaczął nadstawiać uszu, czy telefon nie dzwoni. Oni tu sobie gwarzą, a czwarta się zbliża. Herbata już wypita... Na górze nic nie przygotowane... Leśny Dziadek jeszcze naciska o szczegóły. Podsumuję i skończę.

– Naprawdę uratowała Skobla mecenaska. Bez niej to by były ciężkie boje z niewiadomym wynikiem. Ale to fenomenalna kobieta. Muszę swoją dziewczynę wychować na kogoś podobnego. Jak będę jakąś miał! – dodał szybko, by Dziadek nie zdążył wyskoczyć z niestosownym pytaniem.

– O, toś optymista – roześmiał się Nowak. – Wychowywanie dziewczyn to ciężki kawałek chleba.

– Eee, chyba nie wszystkich... Choć, zgadzam się, kiedy tak patrzę na Darka-Prezesa, jak wybija Zośce zawiść z głowy i wybić nie może... Wie pan, Zośki docinki mają w końcu skutek odwrotny. Jak mi wytyka metraże i hektary, to na złość przestają się wstydzić, że tu mieszkam.

Na to Nowak wlepił w Maćka swoje dziwne oczy, co dużo widziały. Naprawdę dziwne: w środku smutne jak zatoka w czasie mgły, a po bokach przymrużone niby w uśmiechu...

– Tak, tak – przerwał wzajemną kontemplację Nowak. – W państwie dobrze rządzonym wstyd być biednym, w państwie źle rządzonym wstyd być bogatym. – Westchnął, wzruszył ramionami: – Tylko nikt się nie kwapi do wstydu. Jedni się chwala, że budowali socjalizm, drudzy – że nie budowali. Gadu, gadu, a kobyłkę wilcy zjedzą.

– Pan myśli, że jest aż tak źle?

– Chłopcze, przecież tu wszystko poprzewracane jak po huraganie. Nawet gorzej, bo jak jeden chce prostować, to drugi nogę podstawia. Mówi się, zatrute powietrze, ziemia... Ludzie, ludzie są podtruci. Pokoleń trzeba, żeby to odrobić.

– A młode pokolenie wieje... – dołożył Maciek. – Nawet ci, którym według miary Zośki przelewa się jak Niagara.

– To jest smutne. Bo nie ma im jak... Maciek usłyszał telefon, zerwał się.

– Przepraszam, tylko odbiorę – rzucił Nowakowi i popędził do jadalni. Po drodze odgarnął rękaw: czwarta dwie. Grażynka jest fenomenalna!

Niestety, nie była fenomenalna, w ogóle nie była, bo telefon nie od niej, tylko od Korbała, że ma faciów do stawiania płotu. Odpowiedział, że ojciec będzie jutro wieczorem, to się wypowie.

W tej krótkiej przerwie Leśnemu Dziadkowi coś się odmieniło. Czy uznał, że nie należy truć młodych dusz pesymizmem, czy widok Maćka z nagłą przyklapniętego wzbudził w nim litość, dość że ledwie młodociany gospodarz doszedł do stołu, powiedział:

– Pocięcha w tym, że bardzo wielu wyjeżdża tylko na krótko. A i z tych, co na długo, też niektórzy wracają. Ot, choćby i wasz sąsiad, pan Kazimierz. Mógł zostać w Stanach, a jednak wrócił do Starego Kraju, dom kupił...

– E tam. „Wyjeżdżający sprzeda powracającemu”. Co komu przyjdzie z jego powrotu? Tylko ceny podbija i tyle. Kupił dom, no i co? Nie może sobie poradzić z wykończeniem chaty i boi się w niej sam mieszkać.

Nowak zastanowił się przez moment.

– Tak, po prawdzie nie zazdroścę mu tego powrotu. Całe życie wśród obcych, żeby cówkę spędzić wśród niby swoich, a też już obcych. On to może narzekać, że jest znikąd, nie ty. Jest w moim wieku, jak tak porównuję, to z dwojga złego chyba jednak moje życie... W każdym razie nie zamieniłbym się. – Wstał. – No, chłopcze, na mnie czas. Dziękuję za gościnę.

Maciek zerknął na budzik przy jabłkach – czwarta siedem. Lepiej nie zatrzymywać. Mimo to powiedział:

– Proszę do nas zaglądać, mama się ucieszy. Tylko jeszcze jedno. Chciałbym wiedzieć: jeśli pan uważa, że tu wszystko zatrute, to czemu pan tyle robi? „Rykwisko”, działki... I sły-szałem, że do wytyczania ulic też się pan przyłożył... Po co?

Patrzył na eks-leśnika badawczo, trochę złośliwie. Na pewno powie: „Czyń każdy w swoim kółku...” albo: „Trzeba ratować, co się da...” Nowak jednak go zaskoczył.

– Ty jesteś myślący chłopiec, wstyd by mi było wykręcać się łatwym morałem. Ja przecież dobrze wiem, parę kwaśnych deszczów, jedna awaria w Żarnowcu i „po ptokach” – ściągnął z gwoździa kurtkę, Maciek już myślał, że na tym koniec, ale nie, Nowak ciągnął dalej: - Pierwsze zawodowe lata zeszły mi w Karkonoszach. Chuchałem, dmuchałem, rękawy wyrwa-łem, potem wrzeszczałem, aż mnie z partii wylali.

– Coś takiego? To pan był...

– Tylko dwa lata, kiedy mi się zdawało... Wylali mnie za „Celwiskożę”, bo się darłem przeciw, aż zachryłem. No i co? „Celwiskoza” stoi, lasy padły. Powinienem mieć dosyć do końca życia. Ja sam się pytam: po co?

– No i?

– Bo taki już jestem. Do tego się wszystko sprowadza. Nie lubię, jak coś niszczy, lubię, jak mnie ludzie lubią.

– No, to powinien pan skupować cenne rzeczy i fundować wino znajomym.

Nowak, stary szpak, poznał się na kpinie:

– Ty, ty, mądralo! Wiesz dobrze, o co chodzi. Tyś niewiele lepszy ode mnie.. Co cię gnało do boju o mieszkanie Banaszaka?

– Święty Graal. Imponderabilia – popisał się Maciek. Ze skutkiem: Nowak był zastrzelony.

– Skąd znasz takie słowa?

Powinien odpowiedzieć: ze „Słownika wyrazów obcych”, ale próżność wzięła górę. Rozłożył ręce wymownym gestem, że niby takie rzeczy to się wie.

Wyszli razem na próg, Maciek spojrział szybko w prawo – a nuż Grażynka uznała telefon za zbyt czyny i po prostu przyjdzie... Leśny Dziadek na ponowne zaproszenie odpowiedział:

– Na pewno przyjdę, przecież będziecie urządzać na wiosnę ogród. Gdzieżbym ja wytrzymał, żeby się nie wtrącić z dobrą radą!

Poszedł w stronę mrocznego parowu, dziarsko i szybko, ale Maćkowi czemuś się serce ścisnęło. Szkoda, że go nie może odprowadzić...

Wrócił do sutereny, poszukał tacy. Nie – odmienił zamiar. – Mogłem siedzieć tu z Leśnym Dziadkiem, mogę i z Grażynką. Jak wychowywać, to od progę!

Więc tylko zmienił talerzyki na stole, zmiotł grudki błota, co z Nowakiem przywędrowały z działek. Spojrzął na budzik: czwarta dwadzieścia. Co ona u licha robi w tej Gdyni? Trzeba było spytać Kudelskiego, o której „panie” wyjechały.

Zmył jeszcze te parę naczyń, czuł jednak, że „zaczyna go nosić”. Poszedł do pokoju matki, przeprowadzić selekcję w taśmach. Ojciec przywiózł ich mnóstwo, kupił gdzieś na wyprzedazy. Dla siebie zatrzymał country i jakichś King’s Singersów, mama zarekwirowała klasykę, te Schuberty i Mozarty, dla Maćka ojciec nie wiedział co brać, więc zgarnął, co popadło – Beatlesów, swingi, bluesy i zupełnie niewiadome. Można to teraz przesłuchać, co się nie nadaje do słuchania – skasować... Zniósł magnetofon do pokoju mamy, założył kasetę, ale melodia przelatywała mu koło uszu. Czemu Grażynka nie dzwoni? Czas ucieka, coraz mniej go zostaje dla Skobla. Nie tak łatwo godzić „pałac” z „rudera”. No, ostatecznie mogę nie pójść. I tak byłem „jak brat”, sam Skobel powiedział. Nie poszedłem na andrzejki, to teraz nie pójdę na wieszanie firanek.

Ledwie to pomyślał, poczuł coś w rodzaju tęsknoty za Skoblową stodołą, gdzie teraz rojno i gwarno. Miało przecież przyjść młodsze rodzeństwo Prezesa, które widywał tylko przelotnie od czasu katastrofy Rezydencji, kiedy to Waldek z krzykiem „wonwygnoje” rzucił się na spychacz, a Ania płakała: „Domik, mój domik...”

Wiem, co zrobię: nastawię budzik na piątą i zobaczę, co pierwsze zadzwoni: budzik czy telefon. Jeśli budzik, nie czekam ani sekundy dłużej, biorę kurtkę i tyle. Wszystkie telefony po budziku nieważne -obostrzył warunki. Poczynam -złagodził je. Ostatecznie Grażynka nie wie, że mam dziś jeszcze coś w planie, może jej się wydawać, że pięć minut w te, pięć minut wewte, co za różnica. Odpuszczam jej kwadrans.

Przesunął wskazówkę budzika, zasiadł znowu przy kasetach. „Hoorah, hoorah, it’s a holy, holy day” wydzielali się radośnie Bonnies M. Skasować? Zostawić? Niech się przekręci.

Przekręciło się, przelożył na drugą stronę, jednak już nie włączył. Zaterkotał wściekle budzik. No, więc los tak chce – do Skobla. Ale z terkotem budzika zmieszał się inny dźwięk – telefonu. Cholera z tym losem – myślał Maciek, biegnąc do aparatu. – Na dwoje wróży, jak głupia babka. Chyba że to nie Grażynka dzwoni.

Dzwoniła Grażynka. Maciek zaraz przestał się złościć na los, w ogóle los przestał go obchodzić.

– Jestem, przecież rozmawiasz ze mną – zaśmiał się w odpowiedzi na słowa Grażynki: „Maciek? Jesteś teraz w domu?”

– Racja, tylko ojciec mnie popędzał, żeby przed piątą... A ja wróciłam taka skonana, jak to po Gdyni. Ale opłaciło się! – w głosie Grażynki nie było cienia „skonania”. – Mam na ferie nowy strój narciarski, mówię ci, marzenie. I wprost od dostawcy, tanioccha, bo bez drugiej łapy. Tyle, co trzy pary džinsów. Uwierzysz?

– Uwierzę, czemu nie? Przecież ja się na tym nie znam.

– Ech wy, chłopaki. No, ale dobrze, że czekałeś. Wiedziałam, że poczekaasz.

„Kocha, to poczeka” – błysnęło Maćkowi w pamięci powiedzonko Joli Bereś, nie pamiętał o kim. Pamiętał za to jej beztroski śmiech. Milczał.

– Maciek? Słyszysz mnie? – zaniepokoiła się Grażynka,

– Słyszę, słyszę.

– Ale nic nie mówisz!

– A co mam mówić?

– No, że chciałbyś mnie zobaczyć w tej kreacji. Nie umiesz być dżentelmenem?

– Nie bardzo.

– Zaraziłeś się od tego twojego folkloru – przycięła Grażynka. – A taki byłeś dotąd miły...

Maćkiem zatrzęsło. Nie, mogę darować ciuchy, spóźnienie, co chcecie, ale folkloru nie daruję! Powiedział sucho:

– No, skoro już nie jestem...

– Jesteś, jesteś, tylko udajesz, żeś się obraził – przerwała mu szybko.

– Daj spokój, o te parę minut...

– Nie obrażem się o te parę minut, słowo honoru. Tylko czas mi się kończy i muszę wyjść.

– Jak to? Fajny jesteś: umawiasz się, a potem mówisz, że wychodzisz.

– Life is brutal and full of zasadzkas – zmusił się do śmiechu. – Sorry, ale tak się złożyło.

Grażynka umilkła. Obrażona czy skruszona?

– Trudno – odezwała się po paru sekundach; jednak skruszona, bo dodała niepewnie: – To do jutra?

– Może być – odpuścił, ale nie do końca. – Przekręc z rana, zobaczymy.

– Z rana to znaczy, o której? Żebym znowu nie nawaliła.

– Przed jedenastą powinienem już wrócić z kościoła.

– Więc o jedenastej. Szczęść Boże!

Kpi, czy się podlizuje? Odparł krótko: „Cześć” i położył słuchawkę.

Dałem jej popalić. Pierwsza lekcja była mocna. Tak trzymać – podsumował Maciek rozmowę, z pewną dumą, ale bez radości. – Wychowywanie dziewczyny to ciężki kawałek chleba. Leśny Dziadek mi przepowiedział. No, komu w drogę...

Już miał wychodzić, kiedy spostrzegł, że nie zgasił światła w suterenie. Zszedł, nim naciśnął wyłącznik, spojrzał jeszcze na zastawiony stół. A figa! – zdecydował się. – Nie będę robił dobrej miny do złej gry. Poznałaby od razu, że kupiłem sernik na jej cześć. Niech jej się za dużo nie wydaje. Zapakował wszystkie resztki ciast, myśląc przy tym, że owszem, zaprosi jutro Grażynkę, czemu nie? Nie może zachowywać się jak dzikus z podstawówki. Ale żadnego mizdrzenia się, potakiwania i śpiewania, jak ona zagra.

Trochę mu ręce latały, gdy zawiązywał sznurek na zawiniątku z ciastem. Cholerstwo pakudne, nie umiem tego pakować. Gdzie jest siatka, przecież w niej przywiozłem. Rozejrzał się po suterenie – wcięło siatkę, krasnoludki schowały czy co? Wreszcie dojrzał ją pod stołkiem, podniósł, miał przy tym ochotę kopnąć stołek. Spokój! – zmytygował się. – Albo się jest mężczyzną, albo nie.

No, gotowe. Może iść. Stał jednak, gapiąc się na ogołocony stół i powtarzał w kółko: albo się jest, albo nie, albo się jest... Zaraz, czym? -ocknął się. – Czym to ja mam być? Przecież nie folklorem i nie play-boyem. Nie wyskoczę ze skóry. Jestem, kim jestem. No właśnie. No i

dobrze. Nie przesadzaj z tym znikąd. Pewnie. Nie jestem znikąd, tylko stąd. Tak w ogóle. Tutejszy.

Już ruszył ku wyjściu, kiedy przyszedł mu do głowy kolejny pomysł: wyjął z wazonu goździki, otrzepał z wody i mniej więcej ostrożnie umieścił w siatce.

Będą jak kwiatek do kożucha – zaśmiał się niewesoło. – Skobel pęknie, jak zobaczy. A może nie? Może uzna, że go uszanowałem?

Zamknął drzwi na wszystkie zamki, znowu chwilę się wahał, a potem poszedł w stronę bloków, parowem, jak przed godziną Antoni Nowak. Tylko że parów był teraz jeszcze ciemniejszy.